

ROBERT LUDLUM



ZEW
HALIDONU

ROBERT LUDLUM
Zew Halidonu

Przekład: Piotr Siemion

Dla Marge i Dona Wilde 'ów w podzięce za grzanki, kwiaty hibiskusa i ciche loty na wyspy, ale na litość boską, w przyszłości uważajcie na udar słoneczny! I przestańcie tak kląć, bo mogą wam naprawdę odłączyć telefon! Zawsze Wam oddany.,.

Część pierwsza Port Antonio, Londyn

I

Port Antonio, Jamajka

Biała kurtyna oceanicznej kipieli wytrysnęła ponad koral raf i przez mgnienie nieomal zastygła w powietrzu, rozpostarta na tle granatowej toni Morza Karaibskiego. Potem kaskada piany runęła w przód, wnikając w każdą z tysięcznych, ostrych jak brzytwa szczelin, które tworzą koralową ławicę, i znów stała się oceanem, na nowo powracając do własnego źródła.

Timothy Durell przeszedł ku najbliższej falom krawędzi wpuszczonego w koral basenu kąpielowego o nieregularnym kształcie, by obserwować, jak przybierają na sile zmagania wody ze skałą. Ten oddalony pas północnego wybrzeża Jamajki tylko częściowo udało się wydrzeć naturze. Wille Neptuna zbudowano na wierzchołku koralowej ławicy, toteż morskie skały z trzech stron otaczały posiadłość. Z czwartej strony zaczynała się prowadząca ku szosie wąska grobla. Poszczególne wille odpowiadały nazwie posiadłości, jako że każda była miniaturowym pawilonem o oknach wychodzących na morze i koralowe rafy. Każdy pawilon stanowił osobny świat, równie odizolowany od sąsiednich willi, jak oddzielona od świata była cała posiadłość, niedostępna dla ludzi z niedalekiego San Antonio.

Durell był młodym Anglikiem i jako absolwent Londyńskiej Szkoły Hotelarstwa zarządzał Willami Neptuna. Choć daleko mu było do trzydziestki, tytuły naukowe wypisane przed jego imieniem i nazwiskiem wskazywały, że mimo młodego wyglądu posiadał znaczną wiedzę i doświadczenie. Tak zresztą było w istocie; co tu kryć, Durell nie miał konkurentów w swojej branży i doskonale zdawał sobie z tego sprawę - podobnie zresztą jak właściciele Willi Neptuna. Niezależnie od okoliczności, Durell zawsze był przygotowany na niespodzianki losu, a zdolność ta, w połączeniu z obowiązkowymi dobrymi manierami, stanowi kwintesencję hotelarskiego powołania.

Durell napotkał właśnie kolejną niespodziankę. Nie dawała mu ona spokoju.

Z punktu widzenia rachunku prawdopodobieństwa rzecz była wykluczona. A przynajmniej bardzo, bardzo mało prawdopodobna.

Co tu kryć, sprawa była niepojęta.

–Panie Durell?

Hotelarz odwrócił się ku swojej jamajskiej sekretarce, której cera i rysy twarzy stanowiły żywy dowód odwiecznego przymierza pomiędzy Afryką a brytyjskim imperium. Sekretarka szukała szefa nad brzegiem basenu, gdyż otrzymała ważną depezę.

–Tak?

–Lot numer 016 Lufthansy z Monachium do Montego jest opóźniony.

–Kto miał rezerwację na ten samolot, Kepplerowie, prawda?

–Właśnie. Ucieknijcie im połączenie do naszej części wyspy

–Szkoda, że od razu nie zdecydowali się na samolot do Kingston...

–Co zrobić. – W głosie dziewczyny pobrzmiwała ta sama co u Durella nuta dezaprobaty, choć nie tak surowa, – Trudno przypuszczać, że będzie się im uśmiechał nocleg w Montego. Pilotowi Lufthansy kazali z pokładu nadać do nas radiogram. Ma pan im znaleźć czarter...

–W trzy godziny? Niech Niemcy sami się tym zajmą! To ich maszyna się spóźnia...

–Już próbowali. Nie znaleźli w Monte żadnej wolnej awionetki.

–Bo niby jakim cudem mieli znaleźć? No, dobrze, poproszę Hanleya. O piątej ma przylecieć z Kingston, przywozi Warfieldów.

–Nie wiem, czy da się go namówić...

–Da się. Musi się dać, bo inaczej... Mam nadzieję, że to nie będzie zły omen na całą resztę tygodnia.

–Dlaczego pan tak myśli? Czymś się pan gryzie?

Durell na powrót odwrócił się ku balustradzie, za którą zaczynały się koralowe rafy. Zapalił papierosa, chroniąc płomyk przed podmuchami ciepłej bryzy, i rzekł:

–Owszem, gryzę się, i to kilkoma sprawami. Nie wiem tylko, czy w każdym przypadku potrafię powiedzieć, o co mi w ogóle chodzi. Ale wiem przynajmniej jedno.

– Durell odwrócił wzrok ku dziewczynie, w oczach miał tylko skupienie. – Trochę ponad rok temu zaczęły do nas przychodzić rezerwacje, na ten właśnie tydzień. Jedenaście miesięcy temu mieliśmy już komplet zgłoszeń. Wszystkie wille wynajęte co do jednej... I to akurat na ten tydzień.

–Neptun to popularne miejsce. Co w tym dziwnego?

–Nic pani nie rozumie. Chociaż minęło jedenaście miesięcy, nikt nie odwołał i nie zrezygnował ze swojej rezerwacji. Więcej, nikt nawet nie przesunął terminu, choćby o jeden dzień.

–Tym mniejszy kłopot dla pana. Myślałam, że się pan będzie cieszył.

–Dalej pani nie rozumie? Matematycznie rzecz ujmując, to po prostu niemożliwe... Dobrze, powiedzmy raczej, że niesłychane. Dwadzieścia pawilonów. Zakładając, że gośćmi są małżeństwa, w grę wchodzi czterdzieści rozmaitych rodzin, a w każdej z nich znajdują się rozmaite mamy, ojcowie, ciocie, wujkowie, kuzyni... Przez długich jedenaście miesięcy ani jednej z tych rodzin nie przydarzyło się nic, co by mogło pokrzyżować naszym gościom wakacyjne plany. Nie mówię już, że nikt z tych ludzi nie umarł; bądź co bądź, przy tych cenach, nasza klientelą to raczej osoby starsze. Nie zaszły żadne niefortunne okoliczności, bieg interesów także nie pokrzyżował niczyich planów, obyło się bez chorób; bez ospy, świnki, wesel, pogrzebów i przewlekłych zapaści, a przecież nie chodzi o koronację królowej angielskiej, tylko o zwykłe tygodniowe wakacje na Jamajce!

Dziewczyna roześmiała się tylko.

–Statystyka spletała panu figla, panie Durell. Po prostu nie w smak panu, że nie da się wpuścić na wolne miejsce kogoś z tak świetnie zorganizowanej listy

oczekujących.

–A do tego jeszcze ten ich przyjazd – młody zarządca hotelu mówił coraz prędeej.
– Taki Keppler, pokrzyżowały mu się plany, więc co robi? Każe pilotowi wysłać radiogram gdzieś znad Atlantyku. Sama pani przyzna, że jest w tym odrobin a przesady... A inni? Nikt nie skorzystał z naszego samochodu wysłanego na lotnisko i nie prosił, żeby mu wyszukać połączenia lotnicze na wyspie, nie pytał o bagaże, o odległość, w ogóle o nic. Przyjadą, i już.

–Jak to, a Warfieldowie? Kapitan Hanley specjalnie poleciał po nich do Kingston,
–Bez naszej wiedzy. Hanley myślał, że leci na nasze zlecenie, ale zamówienie na ten lot przyszło z prywatnej firmy w Londynie. Hanley pytał, czy to my podaliśmy tamtej firmie jego nazwisko. Nie podawaliśmy. Przynajmniej ja nie podawałem.

–Nikt inny by się nie ośmielił bez pana wiedzy... – Dziewczyna zamilkła i z namysłem dodała: – A przyjeżdżają... właściwie zewsząd.

–A tak. Prawie równe reprezentacje. Stany Zjednoczone, Anglia, Francja, Niemcy... i Haiti.

–Do czego pan zmierza? – zapytała dziewczyna, spoglądając na zasepioną twarz Durella.

–Mam dziwne przeczucie, że wszyscy nasi goście na ten tydzień to starzy znajomi. Nie chcą tylko, żebyśmy o tym wiedzieli.

Londyn, Wielka Brytania

Wysoki, jasnowłosy Amerykanin, w rozpiętym klasycznym prochowcu, zatrzymał się za bramą hotelu Savoy po stronie Strandu i spojrzał w angielskie niebo, którego skrawek widać było ponad kwadratem budynków. Nie było w tym odruchu nic osobliwego. Ostatecznie jest rzeczą normalną rozejrzeć się po otoczeniu, kiedy się opuści zaciszną kryjówkę, lecz ten akurat człowiek, zamiast po prostu zerknąć i na podstawie wiatru czy temperatury wyrobić sobie zdanie na temat pogody, dokonał serii uważnych obserwacji.

O tym, że warunki pogodowe da się bezpośrednio przetłumaczyć na korzyści finansowe, wie każdy geolog, który zarabia na chleb, dokonując w terenie badań geodezyjnych na zlecenie rządów, prywatnych firm i fundacji. Pogodą oznacza postęp bądź też opóźnienie w pomiarach.

Normalny odruch.

Amerykanin miał spokojne szare oczy, głęboko osadzone pod szerokimi brwiami, ciemniejszymi niż jasne włosy, z irytującą regularnością opadające mu na czoło. Cera zdradzała człowieka, który większość czasu spędza na powietrzu: miała, złotawy odcień, jak gdyby słońce nieraz jej dotknęło, lecz nigdy nie przepaliło na wylot.

Również zmarszczki przy ustach i w kącikach oczu były nie tyle znamionami wieku, ile skutkiem pracy pod gołym niebem. Takie twarze cechują ludzi, którzy na co dzień mierzą się z żywiołami. Amerykanin miał wysokie kości policzkowe, dość wydatne usta i takąż szczękę, której jednak nie zaciskał. Dawało się więc wyczuć w nim pewną łagodność, kontrastującą dziwnie z twardymi gestami zawodowca.

Łagodność trwała także w oczach Amerykanina, znamionując nie tyle niepewność, ile raczej zaciekawienie. Były to oczy kogoś, kto bardzo uważnie patrzy

na świat... Może dlatego że w przeszłości zdarzyło mu się nie uważać. W przeszłości... Tak, w przeszłości mogło się temu człowiekowi wiele przydarzyć.

Amerikanin oderwał się od obserwacji, uśmiechnął się do portiera w liberii i uprzedzając pytanie, przecząco potrząsnął głową.

–Nie chce pan taksówki, panie McAuliff?

–Dziękuję, Jack, ale pójdę pieszo.

–Trochę chłodnawo, proszę pana.

–Dobrze mi to zrobi. Poza tym mam niedaleko.

Portier dotknął daszka czapki i poświęcił całą uwagę jaguarowi, który zajeżdżał na podjazd. Alexander McAuliff oddalił się w swoją stronę, przecinając Savoy Court, przechodząc obok teatru i mijając biuro American Express, w miejscu gdzie dziedziniec wychodzi na Strand. Wszedł na chodnik i zniknął w tłumie zdążającym w pomocnym kierunku, w stronę mostu Waterloo. Idąc zapiął guziki płaszcza i postawił kołnierz, by odegnąć od siebie lutowy, londyński chłód.

Dochodziła pierwsza. Dokładnie o pierwszej McAuliff miał czekać na skrzyżowaniu przy moście Waterloo. Zostało mu dosłownie kilka minut.

Przystał wprawdzie na to, by właśnie w taki sposób umówić się na spotkanie z przedstawicielem firmy Dunstone, lecz zrobił wszystko, by tonem głosu dać wyraz irytacji. Był przecież skłonny bez specjalnej namowy wziąć taksówkę albo wynająć auto, czy wręcz zamówić limuzynę z kierowcą... gdyby zachodziła taka potrzeba. A skoro firma Dunstone chce przysłać własny wóz, dlaczego go nie przyśle do Savoyu? Geologowi nie chodziło o to, że musi odbyć spacer. Po prostu, najbardziej ze wszystkiego nie cierpiał umawiać się z kierowcami pośrodku zatłoczonych ulic. Cholerny kłopot, a w dodatku najzupełniej zbędny.

Rozmówca z Dunstone udzielił na to krótkiego, lecz dobitnego wyjaśnienia, które -jemu przynajmniej – wydawało się najzupełniej wystarczające:

–Tak polecił pan Julian Warfield.

McAuliff natychmiast spostrzegł auto. Tylko do Dunstone albo do Warfielda mógł należeć rolls-royce model St. James, z czarnym połyskiem ręcznie wykończonej karoserii, majestatycznie tnący przestrzeń, niczym zabytek z innej epoki, zagubiony pośród małowitrazowych austinów, MG i europejskiego szmelcu. McAuliff czekał przy krawężniku, trzy metry od przejścia dla pieszych, wiodącego na most. Żadnym gestem ani miną nie zdradzał, iż wie, że to właśnie jemu na spotkanie sunie rolls-royce. Zaczekał, aż prowadzony przez szofera samochód zatrzyma się tuż przy nim i otworzy się do końca tylna szyba.

–Czy pan McAuliff? – padło ze strony poważnej, ni to starej, ni to młodej twarzy w obramowaniu okna.

–Czy pan Warfield? – odbił pytanie McAuliff, który wiedział już, że dobiegający sześćdziesiątki, pedantyczny dyrektor w rolls-roysie nie jest człowiekiem, z którym się umówił.

–Wielkie nieba, skądże! Nazywam się Preston. Proszę, niech pan wskakuje do środka. Zdaje się, że ustawił się już za nami cały sznur.

–A i owszem. – Alex opadł na siedzenie, a Preston przesunął się w głąb i

wyciągnął dłoń na przywitanie.

–Jestem zaszczycony. To właśnie ze mną miał pan okazję rozmawiać przez telefon.

–Tak, panie... Preston?

–Przykro mi niesłychanie, że naraziliśmy pana na kłopot, umawiając się w ten sposób. Poczciwy Julian miewa dziwne pomysły, pierwszy to przyznam.

McAuliffowi przemknęło przez myśl, że być może pomylił się w ocenie przedstawiciela firmy Dunstone.

–Żaden kłopot, zdziwiło mnie to po prostu. Jeżeli z jakichś względów, choć nie mam pojęcia z jakich, wskazana była dyskrecja, pan Warfield cholernie nieumiejętnie dobrał nam samochód.

–To prawda. – Preston roześmiał się. – Ale z drugiej strony nauczyłem się z biegiem lat, że zarządzenia Warfielda są jak wyroki Boże: niezbadane, lecz na dobrą sprawę całkiem logiczne. Warfield nie jest wcale taki zły. Umówił się z panem na obiad, uprzedzam pana.

–Świetnie. A gdzie?

–Zna pan dzielnicę Belgravia?

–W takim razie jedziemy chyba w złą stronę?

–Julian i Pan Bóg. To, co robią, jest właściwie całkiem logiczne, kolego.

Rolls-royce przemierzył most Waterloo, ruszając na południe, ku uliczce zwanej The Cut. Skręcili nią w lewo, aż do Blackfriars Road, znów w lewo i przez most Blackfriars pomknęli na północ, w stronę dzielnicy Holborn. Trasa, choć krótka, okazała się skomplikowana.

Dopiero dziesięć minut po pierwszej samochód zatrzymał się pod markizą, u wejścia do białego kamiennego budynku, o szklanych dwuskrzydłowych drzwiach, ozdobionego mosiężną tablicą ze słowami SHAFTSBURY ARMS. Portier pociągnął za klamkę, wesoło witając pasażera:

–Dzień dobry, panie Preston!

–Witaj, Ralph.

McAuliff wszedł w ślad za Prestonem do budynku, gdzie w bogato zdobionym westybulu czekały trzy windy.

–Czy to rezydencja Warfielda? – zapytał, bardziej przez grzeczność niż z ciekawości.

–Nie. Prawdę mówiąc, to mój budynek. Niemniej nie będę panom towarzyszył przy posiłku. Powiem jednak panu, że szefowi tutejszej kuchni ślepo wierzę. Nie będzie pan żałował zaproszenia.

–Nawet nie będę się domyślał, o co tu chodzi., Julian i Bóg”, tak?

Preston uśmiechnął się tylko i przekroczył próg windy. Kiedy McAuliff przeszedł przez wskazane przez Prestona drzwi i znalazł się w gustownie – wręcz elegancko – umeblowanym saloniku, przekonał się, że Warfield rozmawia przez telefon. Starszy pan stał przy antycznym stoliku, obok wysokiego okna wychodzącego na Belgravia Square. Rozmiary udrapowanego białymi zasłonami okna dodatkowo podkreślały mizerny wzrost Warfielda. „Straszny karzełek” – przeszło McAuliffowi przez głowę,

kiedy skinieniem głowy i uśmiechem odwzajemniał powitalny gest.

–Czy zatem ustalone, że statystyki zysków kapitałowych wyśle pan McIntoshowi?
– powiedział Warfield do słuchawki tonem, który oznaczał, że nie chodzi wcale o pytanie. – Jestem pewien, że na to nie pójdzie, więc będą panowie obaj musieli omówić szczegóły. Żegnam. – Po tych słowach niski starszy pan odłożył słuchawkę.

–Pan McAuliff, prawda? – zapytał, a potem zachichotał. – Oto pogładowa lekcja, jak powinno się prowadzić firmę. Wystarczy wynająć ekspertów, którzy nie zgadzają się ze sobą w żadnej sprawie, i drogą kompromisu brać od każdego z nich najlepsze pomysły.

–Z grubsza biorąc, to bardzo sensowne podejście – odezwał się McAuliff. – Pod warunkiem, oczywiście, że eksperci nie zgadzają się co do konkretów, a nie tylko drą ze sobą koty.

–Ma pan dobry refleks. To dobrze... A ciebie miło znowu widzieć – zwrócił się Warfield do Prestona. Chodził dokładnie w ten sam sposób, w jaki mówił: niespiesznie, z namysłem. Umysłowo pewny siebie, fizycznie wprost przeciwnie. – Dzięki, że pozwoliłeś nam skorzystać z gościny, Clive. Ty i Virginia, rzecz jasna. Doświadczenie podpowiada mi, że jedzenie będzie wyśmienite.

–Zwyczajna domowa kuchnia, Julian. No, na mnie już czas.

McAuliff odwrócił prędko głowę i nie bawiąc się w subtelność przyjrzał się Prestonowi. Wszystkiego by się spodziewał, tylko nie tego, że Preston i stary Warfield będą ze sobą po imieniu. Preston uśmiechnął się jeszcze raz i, ścigany przez Alexa zdumionym spojrzeniem, prędko wyszedł z pokoju.

–Chociaż nie zadał mi pan tego pytania, od razu odpowiem – zaczął Warfield. Wprawdzie to Preston rozmawiał z panem przez telefon, lecz nie pracuje on dla Dunstone Limited.

Alexander przeniósł wzrok na niewysokiego finansistę.

–Właśnie, ilekroć dzwoniłem do pana pod numer telefonu firmy Dunstone, musiałem podawać swój numer i czekać, aż ktoś do mnie oddzwoni...

–Za każdym razem czekał pan raptem parę minut – przerwał Warfield. – Nigdy nie trzymaliśmy pana długo przy telefonie. Świadczyłoby to przecież o braku dobrych manier. Ilekroć pan telefonował, czyli cztery razy, jeśli dobrze pamiętam, moja sekretarka łączyła się natychmiast z panem Prestonem w jego biurze.

–Więc i rolls-royce na moście Waterloo to własność Prestona? – domyślił się Alex.

–Owszem.

–I dlatego, gdyby mnie ktokolwiek śledził, uważałby, że prowadzę rozmowy z Prestonem. To znaczy, od mojego przyjazdu do Londynu.

–Dokładnie o to chodziło.

–Dobrze, ale dlaczego?

–Moim zdaniem, to dość oczywiste. Wolelibyśmy się nie chwalić, że prowadzimy z panem negocjacje. Wydaje mi się, że w pierwszym telefonie do pana, do Nowego Jorku, podkreślaliśmy kwestię dyskrecji.

–Powiedział pan, że sprawa jest poufna. Zresztą nie tylko pan, wszyscy. Jeżeli

naprawdę tak wam zależy na dochowaniu tajemnicy, dlaczego w ogóle padła nazwa Dunstone?

–A czy inaczej przyleciałby pan tutaj?

McAuliff zastanowił się przez chwilę. Owszem, miał kilka innych ciekawych ofert, nie mówiąc już o perspektywie tygodnia na nartach w Aspen. Z drugiej strony, Dunstone to Dunstone: jeden z największych koncernów na światowym rynku.

–Nie, prawdopodobnie bym się nie pofatygował.

–Wychodziliśmy z identycznego założenia. Wiedzieliśmy przecież, że chce pan zacząć negocjacje z koncernem ITT w sprawie tych złóż na południu Niemiec. Alex wbił groźny wzrok w rozmówcę, lecz po chwili uśmiechnął się tylko.

–Sprawa, o której pan mówi, panie Warfield, była w zamierzeniu równie poufna, jak wszystkie pańskie przedsięwzięcia.

Warfield również wykazał się poczuciem humoru.

–Wiemy przynajmniej, kto lepiej dba o poufność, prawda, panie McAuliff? ITT zawsze się wygada... Ale, ale. Napijmy się czegoś przed obiadem. Znam pańskie preferencje: szkocka z lodem. Moim zdaniem, takie ilości lodu wcale nie są zdrowe dla organizmu. – Starszy pan roześmiał się niegłośnie i poprowadził McAuliffa do mahoniowego kontuaru pod przeciwległą ścianą. Szybko przyrządził trunki, Ruchy zwiótczałych dłoni były energiczne, chociaż chodzenie sprawiało Warfieldowi wiele trudności. Podał szklaneczkę Alexowi i gestem poprosił go, by usiadł.

–Dowiedziałem się o panu mnóstwo rzeczy, panie McAuliff. Powiedziałbym, że to fascynujące szczegóły.

–A tak, mówiono mi, że ktoś o mnie wypytuje.

Siedzieli teraz naprzeciwko siebie w fotelach. Na ostatnie słowa McAuliffa Warfield oderwał wzrok od szklaneczki i posłał geologowi ostre, wręcz niechętnie spojrzenie:

–Nie bardzo chce mi się w to wierzyć.

–Konkretnych nazwisk nie znam, ale dotarły do mnie takie informacje. Z ośmiu źródeł. Z pięciu amerykańskich, dwóch kanadyjskich i jednego z Francji.

–Nikt nie dojdzie tym śladem do Dunstone, – Krótki tułów Warfielda dziwnie zeszywniał. McAuliff zrozumiał, że trafił w czuły punkt.

–Powtarzani, nie podano mi żadnych nazwisk.

–A czyż koleś pan nie posłużył się nazwą Dunstone w jakichkolwiek rozmowach, które miały miejsce potem? Proszę mi powiedzieć prawdę, panie McAuliff.

–Nie mam powodów, żeby przed panem cokolwiek ukrywać – odparł Alex tonem lekkiej urazy. – Nie, nie wymieniałem tej nazwy.

–Wierzę panu. – I dobrze pan robi.

–Gdybym panu nie wierzył, zapłaciłbym panu suto za zmarnowany czas i zaproponował powrót do Ameryki. ITT nie jest taką złą firmą.

–Skąd pan wie, że tak właśnie nie zrobię? Nadal mam taką możliwość.

–Pan lubi pieniądze.

–Uwielbiam.

Julian Warfield odstawił szklanekę i składając wąskie, małe dłonie, zaczął:

–Alexander T. McAuliff. Inicjał „T” od imienia Tarquin, którego używa pan rzadko, a właściwie wcale. Nawet na wizytówkach. Krążą plotki, że nie jest to pańskie ulubione imię...

–To prawda. Nie dałbym się za nie posiekać.

–A więc, Alexander Tarquin McAuliff, lat trzydzieści osiem, dyplom i magisterium z nauk ścisłych, do tego doktorat, ale skrótu „dr” używa pan równie rzadko co drugiego imienia. Instytuty geologiczne kilku czołowych amerykańskich uniwersytetów, w tym California Tech i Columbia, utraciły zdolnego współ pracownika, gdy doktor McAuliff zdecydował się wprząc swoją wiedzę w zajęcia bardziej dochodowe – tu starszy pan uśmiechnął się i spojrzał na rozmówcę z taką miną, jak gdyby się spodziewał pochwały. I tym razem, zamiast pytać, stwierdzał fakty.

–Zajęcia w sali wykładowej i w laboratorium potrafią być tak samo wyczerpujące, jak praca w terenie. Dlaczego mara się męczyć za darmo?

–Właśnie, dlaczego? Ustaliliśmy przecież, że uwielbia pan pieniądze.

–A pan jest może inny?

Warfield zaśmiał się, tym razem głośno i szczerze. Kiedy podawał Alexowi szklankę, jego chudym, drobnym ciałem wstrząsał jeszcze chichot.

–Doskonała riposta. Doprawdy znakomita.

–Nie taka znów świetna...

–Proszę mi jednak nie przerywać – zaczął znów Warfield, powracając na fotel. – Bardzo pragnę czymś panu zaimponować.

–Mam nadzieję, że nie wiadomościami na mój temat.

–Ależ nie. Nasza skrupulatność... Pana rodzina była bardzo zżyta, bezpieczne środowisko uniwersyteckie...

–Czy to naprawdę konieczne? – znów przerwał McAuliff, bębniąc palcami po szklance.

–Tak, konieczne -uciał Warfield, ciągnąc jak gdyby nigdy nic: – Pański ojciec był, to znaczy nadal jest, choć na emeryturze, wysoce cenionym specjalistą w dziedzinie agronomii. Pana matkę, która, niestety, rozstała się z życiem, wielką roman tyczkę, uwielbiali wszyscy znajomi. To ona wybrała dla pana imię Tarquin i to właśnie od jej śmierci unika pan tego inicjału. Miał pan też starszego brata, pilota, zestrzelonego pod sam koniec wojny. Pan także chlubnie się odznaczył w Azji... Kiedy zdobył pan stopień doktorski, wszyscy uważali, że będzie pan kontynuował akademicką tradycję rodzinną. Dopiero życiowa tragedia wygnała pana z laboratorium. Pewna młoda kobieta, pańska narzeczona, straciła życie na nowojorskiej ulicy. Zamordowano ją, wieczorem. Obwiniął pan za to siebie, innych zresztą też. Miał pan jej wyjść na spotkanie. Niestety, udaremniło to zebranie zespołu naukowego, zwołane nagle i zupełnie na dodatek niepotrzebne... Alexander Tarquin McAuliff porzucił więc uniwersytet. Czy zgadza się pan z tym opisem?

–Wchodzi mi pan z butami w życie osobiste. Informacje, które pan powtarza, są może intymne, ale na pewno nie... W każdym razie nie tajne. Każdy może poskładać je w całość. Nie wspomnę już, że jest pan straszliwie gruboskórny. Nie sądzę, żeby

dane nam było zjeść razem obiad.

–Jeszcze tylko kilka minut. Później decyzja będzie już należała do pana.

–Zdażyłem już podjąć decyzję.

–Naturalnie. Jeszcze tylko chwileczkę... A zatem, doktor McAuliff oddał się nowemu powołaniu z zadziwiającą precyzją. Ofiarował swoje usługi kilku znanym firmom geodezyjnym, gdzie jego wysiłki spotkały się z najwyższym uznaniem. Później zerwał tę współpracę i podczas przetargów przebijał oferty tychże firm własną, konkurencyjną ceną. Granice państwowe to dla rozwoju przemysłu żadna przeszkoda. FIAT inwestuje w Moskwie, Moskwa w Kairze, General Motors w Berlinie, British Petroleum w Buenos Aires. Volkswagen z kolei w Ameryce, w New Jersey, a Renault w Madrycie. Mógłbym tę listę ciągnąć całymi godzinami. A każda z tych inwestycji zaczyna się od jednej kartonowej teczki ze skomplikowanym technicznym opisem tego, co się da, a czego nie da się zbudować na danym terenie. Od sprawy tak prostej, tak oczywistej. Z tym że bez tej teczki niemożliwa byłaby cała reszta.

–Pańskich parę minut dobiegło końca, Warfield. Mogę pana tylko zapewnić w imieniu międzynarodowej społeczności geodetów, że jesteśmy panu wdzięczni za uznanie. Dokładnie tak, jak pan mówi, zwykle traktuje się naszą pracę jako rzecz oczywistą. – McAuliff odstawił szklankę na stolik obok fotela i zaczął się zbierać do wyjścia.

–Ma pan dwadzieścia cztery konta bankowe, w tym cztery w Szwajcarii. Jeśli pan chce, mogę podać symbol kodowy pańskiego nazwiska. – Warfield mówił cichym głosem, dokładnie akcentując słowa. – Ma pan też konta w Pradze, Tel Awiwie, Montrealu, w Brisbane, Sao Paulo, Kingston, Los Angeles i oczywiście w Nowym Jorku, między innymi.

Alex zamarł na krawędzi fotela i spojrzał z uwagą na starszego pana. – Nie marnował pan czasu.

–Liczy się dokładność... Nie znaleźliśmy niczego sprzecznego z prawem. Na żadnym z tych kont nie spoczywają krocie. W sumie uzbiera się z tego jednak trzysta osiemnaście tysięcy czterysta parę dolarów amerykańskich, licząc po kursach z dnia, kiedy pan przyleciał z Nowego Jorku. Niestety, sama taka suma niewiele znaczy. Międzynarodowe umowy podatkowe na temat przelewów pieniężnych uniemożliwiają konsolidację kont.

–Teraz już wiem, dlaczego nie usiądę z panem do stołu.

–O tym się dopiero przekonamy. Co by pan powiedział na milion dolarów? Gotówką, legalnie, z opłaceniem wszelkich amerykańskich podatków? Przelewem na wskazane przez pana konto?

McAuliff nadal wpatrywał się w Warfielda. Dłuższa chwila musiała upłynąć, zanim przemówił.

–Rozmawiamy poważnie, zgoda?

–Najzupełniej.

–To wszystko za pomiary geodezyjne?

–Owszem.

–W samym Londynie jest pięć przyzwoitych firm, takich jak moja. Z tą sumą pieniędzy w ręku, dlaczego miałby pan się zwracać akurat do mnie? Dlaczego nie do nich?

–Nie chcemy usług firm. Potrzebny nam jest pojedynczy specjalista. Ktoś, kogo możemy dokładnie sprawdzić i kto, naszym zdaniem, dotrzyma najważniejszego warunku umowy. Czyli dochowa tajemnicy.

–To brzmi dość złowieszczo.

–Ależ skąd. Ostrożność to zwykła rzecz w interesach. Jeśli rozejdą się jakiegokolwiek pogłoski, spekulanci rzucą się i wykupią tereny. Ceny działek wystrzelą w górę, a całe przedsięwzięcie straci rację bytu. A wtedy trzeba się rozstać z planem.

–Jakim planem? Muszę to wiedzieć, zanim dam panu odpowiedź. Po prostu muszę.

–Zamierzamy zbudować miasto. Na Jamajce.

McAuliff grzecznie odmówił, gdy Warfield zaoferował mu odwiezienie do hotelu, specjalnie znów przyzwanym na Belgravia Square samochodem Prestona. Wolał przejść się ulicą, gdzie mroźne zimowe powietrze sprzyjało namysłowi. Ruch pomagał Alexowi pozbierać myśli, a rześkie, przenikliwe podmuchy w jakiś sposób ułatwiały wewnętrzną koncentrację.

Inna sprawa, że nie było nad czym się aż tak zastanawiać. Alex musiał przyjąć do wiadomości wszystko, co usłyszał. W pewnym sensie łowy zakończyły się pomyślnie. W myślach widział już wyjście z pogmatwanego labiryntu. Po jedenastu latach szarpaniny i wędrówek. Nie chodziło tylko o pieniądze. Pieniądze miały stać się dla McAuliffa jedynie środkiem wiodącym do celu.

Nigdy już nie trzeba będzie robić tego, na co się akurat nie ma ochoty.

Impulsem do tych poszukiwań była właśnie śmierć Ann – zamordowanie Ann. Alex rozumiał, że przynajmniej w ten sposób może sobie wszystko wytłumaczyć. Tłumaczenie miało jednak solidne oparcie w rzeczywistości, bo nie tylko wybuch emocji podyktował decyzję o rzuceniu uniwersytetu. Zwołane tamtego wieczora zebranie naukowe – trafnie określone przez Warfielda jako „zupełnie niepotrzebne” – symbolizowało przecież życie naukowe w ogóle.

Wszystko, czym się zajmowano w laboratoriach, czyniono tylko po to, by znaleźć podkładkę w celu zdobycia kolejnych, nowych dotacji. Boże, tyle nikomu niepotrzebnej bieganiny! Ileż to razy użyteczne badania musiały czekać w nieskończoność na swoją kolejkę, bo zabrakło na nie funduszków, albo dlatego że uczelniana administracja postanawiała położyć nacisk na prace, przy których łatwiej było udokumentować „postępy” w oczach wielkich fundacji owładniętych manią dokumentowania nakładów. McAuliff wiedział, że nie wygra z uczelnianym systemem. Czuł też zbyt wielką złość, by móc z czystym sumieniem zaangażować się w uniwersyteckie przepychanki. Wolał odejść.

Praca w firmach poszukiwawczych okazała się równie nieznośna. O Boże! Inne nastawienie – tyle że znów wszystkim przyświecał ten sam, jeden jedyny cel: zyski. Liczył się tylko zysk. Badania, które nie gwarantowały optymalnego „profilu zysków”, porzucano bez chwili zastanowienia.

Tymczasem trzeba inaczej. Nie marnować życia. I robić swoje.

Nic dziwnego, że McAuliff zarzucił pracę dla dużych firm i zaczął działać na własny rachunek. Tylko w ten sposób można samemu określić, co się liczy najbardziej, i orzec, czy naprawdę warto się tym zajmować.

Kiedy McAuliff dobrze się nad tym zastanowił, wszystko... Rzeczywiście, wszystko, co proponował Warfield, było słuszne i godne uwagi. Ba, oferta była fantastyczna. Legalnie zarobiony, wolny od podatków milion dolarów, w zamian za pomiary, które dla Alexa nie były niczym nowym.

Przypominał sobie mniej więcej tę część Jamajki, którą miały objąć badania: tereny na południe i wschód od Falmouth, pas wybrzeża aż po zatokę Duncan i środek wyspy, w tym obszar nazywany Cock Pitem. To właśnie Cock Pit zdawał się najbardziej interesować ludzi z Dunstone – rozległe, nie zamieszkane i w wielu

przypadkach nigdy nie skartowane tereny, pokryte górami i dżunglą. Całe kilometry ziemi pod zabudowę, czekające o dziesięć minut lotu od cywilizacyjnych udogodnień Montego Bay i o piętnaście minut od dynamicznie rozrastającego się Nowego Kingston.

W ciągu trzech najbliższych tygodni ludzie z Dunstone mieli Alexowi dostarczyć dokładne współrzędne terenu, który wchodził w grę. Przez ten czas McAuliff musiał skompletować grupę.

Znow siedł StranDEM, mając kilka przecnic przed sobą grupę budynków Savoyu. Tak naprawdę niczego jeszcze nie postanowił. Po pierwsze, nie było się tu nad czym zastanawiać – co najwyżej nad tym, czy szukać współpracowników na tutejszym uniwersytecie. Było jasne, że kandydatów na wyprawę znajdzie się cały tłum. Chodzi tylko o to, by wybrać wśród nich ludzi o dostatecznych kwalifikacjach.

Wszystko układało się świetnie. Naprawdę świetnie.

Alex skręcił w zaułek prowadzący na dziedziniec, uśmiechnął się do portiera i wyszedł przez szklane drzwi Savoyu. Przeszedł na prawo, ku recepcji i zapytał, czy były do niego jakieś telefony.

Nie, nikt nie dzwonił.

Zdarzyło się natomiast coś innego. Recepcjonista w smokingu zadał pytanie:

–Czy idzie pan na górę, panie McAuliff?

–Czy... Tak, idę, idę na górę – wybąkał zdumiony tym pytaniem Alex. – A bo co?

–Słucham?

–Dlaczego pan o to pyta?

–Na użytek pokojówki – odparł przytomnie recepcjonista, wkładając w te słowa cały brytyjski dar łagodnego przekonywania. – Na wypadek gdyby życzył pan sobie oddać cokolwiek do prania bądź też prasowania. O tej porze pokojówki są straszliwie zajęte.

–Ach! No tak. W takim razie dziękuję. – Alex znowu się uśmiechnął, skinieniem głowy podziękował za troskę i ruszył ku niewielkiej windzie z mosiężną kratą. Usiłował z oczu recepcjonisty w Savoyu wyczytać coś więcej, lecz bez skutku. Wiedział tylko, że coś ukrywa. Podczas sześciu lat wędrówek po hotelach całego świata nigdy jeszcze żaden recepcjonista nie zapytał go, „czy idzie na górę”. Zważywszy zaś na angielską... no, powiedzmy właściwą Savoyowi dyskrecję, pytanie było po prostu niesłychane. A może to tylko dawały znać o sobie przestrogi, jakich udzielił szef koncernu Dunstone? Ale tak od razu, z taką mocą?

W pokoju McAuliff rozebrał się, włożył szlafrok i przez telefon zamówił lód. W biurku czekała ledwo napoczęta butelka szkockiej. Rozsiadł się w fotelu przy oknie i rozłożył gazetę, pozostawioną przez służbę z myślą o gościu.

Niewłocznie rozległo się pukanie do drzwi na korytarz. Personel Savoyu słynie z szybkości usług. McAuliff podniósł się z fotela i nagle stanął jak wryty.

Służba w Savoyu nigdy nie puka do drzwi na korytarz, tylko od razu wchodzi do przedpokoju. Jeżeli goście nie chcą, by ich oglądano, mogą zamknąć drzwi z przedpokoju do sypialni.

Alex prędko podszedł do drzwi i otworzył je. Zamiast pikolaka z kubelkiem lodu,

stał za nimi wysoki, sympatyczny mężczyzna w średnim wieku, ubrany w tweedowy płaszcz.

–Pan McAuliff?

–A o co chodzi?

–Nazywam się Holcroft. Czy możemy zamienić dwa słowa?

–Czy... Ależ tak, oczywiście. – Wpuszczając przybysza do pokoju, Alex rozejrzał się po korytarzu. – Dzwoniłem przed chwilą po lód. Myślałem, że to służba puka.

–W takim razie będę musiał zamknąć się na chwilę w... Pan wybaczy, ale w pańskiej łazience. Proszę zrozumieć, nie chcę, żeby mnie tu widziano.

–Co takiego? Czy przysłał pana Warfield?

–Skądże, panie McAuliff. Wywiad brytyjski.

III

Żałuję, że musiałem się panu przedstawiać w tak niefortunnych okolicznościach, panie McAuliff. Pozwoli pan, że zacznę od początku – odezwał się Holcroft, przechodząc z łazienki do pokoju. Alex wrzucił kilka kostek lodu do szklanki.

–Nic nie szkodzi. Przynajmniej pierwszy raz w życiu byłem świadkiem, jak ktoś puka do mojego pokoju, oświadcza, że jest z wywiadu brytyjskiego, i pyta, czy może skorzystać z łazienki. Osobliwa Scenka... Szkockiej?

–Bardzo dziękuję. Tylko odrobinę, jeśli można. Z kropelką wody sodowej. McAuliff nalał przybyszowi zgodnie ze wskazówkami i podał mu szklankę.

–Niechże pan zdejmie płaszcz, panie Holcroft. Proszę spocząć.

–Wspaniały z pana gospodarz. Dziękuję. – Mówiąc to Brytyjczyk zdjął płaszcz i starannie odłożył go na oparcie fotela.

–Może nie wspaniały, ale bardzo ciekawski, panie Holcroft – rzucił siedzący przy oknie McAuliff, patrząc gościowi w twarz. – Na przykład ten recepcjonista, który mnie zapytał, czy idę na górę”. Pytał na pański użytek, prawda?

–Zgadza się. Dodam tylko, że o niczym nie wie. Powiedziano mu, że dyrektor hotelu chce dyskretnie spotkać się z panem. Często załatwia się różne sprawy w ten sposób. Zwykle chodzi o delikatne kwestie finansowe.

–Nieźle mi się pan przysłużył.

–Sprostujemy, że zaszła pomyłka, jeżeli to panu przeszkadza.

–Nie, nie przeszkadza.

–Czekałem w hotelowej piwnicy. Na sygnał, że się pan zjawił, wjechałem na górę windą dla służby

–Tyle fatygi...

–Tyle niezbędnej fatygi – przerwał Holcroft. – Przez parę ostatnich dni znajdował się pan pod nieustanną obserwacją. Nie mówię tego, żeby pana nastraszyć.

–I tak mnie pan nastraszył – zauważył McAuliff, zatrzymując dłoń ze szklanką w pół drogi do ust. – Domyślam się, że to nie pańscy ludzie mnie śledzą.

–Cóż, powiedzmy, że moi ludzie obserwowali, z bezpiecznej odległości, zarówno śledzących, jak i śledzonego. – Holcroft przełknął mały łyk alkoholu i uśmiechnął się.

–Nie powiem, żeby mi się podobały te zabawy – odezwał się cicho McAuliff.

–Nam też się nie podobają, zapewniam. Czy mogę teraz przedstawić się do końca?

–Ależ proszę.

Holcroft z kieszeni marynarki wydobyl czarny skórzany portfelik z legitymacją, wstał z fotela i podszedł do geologa. Wyciągnął dłoń z portfelikiem i rozłożył go.

–Pod pieczęcią widnieje numer telefonu. Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan zadzwonić tam i upewnić się co do mojej tożsamości, panie McAuliff.

–Nie ma potrzeby, panie Holcroft. Przecież o nic mnie pan jeszcze nie poprosił.

–Ale może poproszę.

–Jeżeli pan poprosi, wtedy na pewno zadzwonię.

–Ach, tak... Cóż, doskonale. – Holcroft powrócił na swój fotel. – Jak stwierdza legitymacja, pracuję dla wywiadu, dla MI-5. Dokumenty nie mówią jednak, że mój

służbowy przydział to Ministerstwo Spraw Zagranicznych i Państwowy Urząd Podatkowy. Zajmuję się analizami finansowymi.

–W służbie wywiadu? – Alex podniósł się i pomaszerował w stronę butelki i kubelka z lodem. Zapraszająco skinął dłonią, lecz Holcroft odmówił ruchem głowy. – To niecodzienna praca, tak mi się wydaje. Co innego, gdyby był pan na usługach banku czy firmy maklerskiej, a nie pracował u specjalistów od płaszcza i szpady.

–Ogromna większość pracy... wywiadowczej wiąże się ze światem finansów, panie McAuliff. Choć i tutaj obowiązki mają wiele rozmaitych odcieni.

–Przyjmuję lekcję z pokorą- rzucił McAuliff, dolewając sobie szkockiej. Przedłużające się milczenie uświadomiło mu, iż Holcroft czeka, aż rozmówca wróci na swój fotel. – Jeśli się człowiek nad tym zastanowi, ma pan właściwie rację – dodał siadając.

–Kilka minut temu sam pan mnie pytał, czy pracuję dla Dunstone Limited.

–Nie przypominam sobie nic takiego.

–Jak pan chce. Julian Warfield... Wiadomo, o kogo chodzi.

–Pomyliłem się, po prostu. Poza tym, niestety, naprawdę nie pamiętam, żebym pana o to pytał.

–Naturalnie, naturalnie. Dyskrecja to w końcu najważniejsza sprawa w pańskiej umowie. Nie wolno panu pod żadnym pozorem wymieniać nazwiska Warfielda ani nazwy Dunstone, ani w ogóle mówić niczego, co by się z tym mogło wiązać.

Doskonale to rozumiemy. Tak między nami, na obecnym etapie z całego serca zgadzamy się z takim podejściem. Z tej chociażby przyczyny, że jeśli złamie pan obietnicę milczenia, natychmiast zostanie pan zgładzony.

McAuliff opuścił dłoń ze szklanką i spojrzał przeciągle na Anglika, który ostatnie słowa wymówił bardzo spokojnie i dobitnie.

–Mówi pan od rzeczy – oznajmił krótko.

–Mówię o zwyczajach Dunstone Limited – niegłośnie odrzekł Holcroft.

–W takim razie poproszę pana o wyjaśnienie.

–Postaram się... Zaczniemy od tego, że ekspedycja geologiczna, którą ma pan przeprowadzić w myśl urnowy, jest już drugą taką wyprawą...

–Nic mi o tym nie wiadomo – przerwał Alex.

–I nie bez przyczyny. Wszyscy członkowie tamtej ekspedycji zginęli. Może raczej powinienem powiedzieć, że zaginęli bez wieści. Uczestników wyprawy na Jamajkę nie udało się w ogóle odszukać. Co do białych, mamy pewność, że nie żyją,

–A to jakim sposobem? Skąd pewność?

–Mamy niezbita dowody. Widzi pan, jeden z uczestników był naszym agentem. McAuliff czuł, że hipnotyzuje go stonowana opowieść brytyjskiego szpiega.

Holcroft rozsnuwał ją niczym oksfordzki profesor, który opowiada studentom pogmatwane sceny ponurej elżbietańskiej tragedii, cierpliwie wyjaśniając każdy kolejny zakręt zapętłonej do niemożliwości fabuły. Tam gdzie brakowało informacji, Holcroft podsuwał domysły, upewniając się za każdym razem, iż McAuliff potrafi odróżnić je od faktów.

Dunstone Limited nie było zwykłą spółką eksploatacyjno-inwestycyjną. Innymi

słowy, ambicje firmy wykraczały daleko poza sferę zainteresowań innych przedsiębiorstw tego typu. Wbrew nazwiskom, jakie widniały na liście członków rady nadzorczej, nie była to też firma czysto brytyjska. W rzeczywistości bowiem Dunstone Limited, z siedzibą w Londynie, służyło jako korporacyjny ośrodek dla potężnej organizacji międzynarodowego kapitału, planującej stworzenie sieci ogólnoswiatowych karteli, które mogłyby działać poza kontrolą i wpływami Wspólnego Rynku i sprzymierzonych organizacji gospodarczych. Co za tym idzie – tu wkraczano już w dziedzinę domysłów – Dunstone chciało wyeliminować z gry ekonomicznej wszystkie rządy państwowe: Waszyngton, Londyn, Berlin, Paryż, Hagę i pozostałe azymuty finansowej busoli. Ostatecznym celem miało być sprowadzenie tych rządów z roli udziałowców i partnerów w rozmowach do statusu petentów.

–Krótko mówiąc, chce mi pan powiedzieć, że Dunstone zabrało się za przejmowanie władzy.

–Dokładnie tak. Chodzi im o rząd, który się będzie kierował wyłącznie przesłankami gospodarczymi. Takiej koncentracji zasobów finansowych, jaką dysponuje Dunstone, świat nie pamięta od epoki egipskich faraonów. W ślad za tą katastrofą nastąpi też, co jest równie istotne, wchłonięcie rządu na Jamajce przez Dunstone Limited. Właśnie Jamajka ma się stać dla Dunstone bazą przyszłych działań. A wszystko to może im się udać, panie McAuliff.

Alex odstawił szklankę na szeroki parapet i powoli, ostrożnie dobierając słowa, rozglądając się po krytych łupkiem dachach wokół dziedzińca, zaczął:

–Chwileczkę, niech to sobie trochę poukładam... Z tego, co pan mówi, i z tego, co sam wiem, wynika, że Dunstone ma zamiar zainwestować ogromny kapitał na Jamajce. Zgoda, co do tego nie ma wątpliwości, a kwoty, o których mowa, rzeczywiście są astronomiczne. Z kolei, w zamian za inwestycje, Dunstone spodziewa się uzyskać poważne wpływy pośród szczerze za to wszystko wdzięcznych członków rządu w Kingston. Tego bym się przynajmniej spodziewał na miejscu ludzi z Dunstone; przy tej okazji normalne będą ulgi podatkowe, koncesje na import towarów, ulgi na rynku pracy, dostęp do rynku nieruchomości... To wszystko nic nowego. Normalne zachęty. – McAuliff z ukosa zerknął na Holcrofta. – Nie bardzo wiem, dlaczego miałyby to oznaczać katastrofę finansową... Może tylko, co najwyżej, dla Anglii.

–Pan przyjął wyjaśnienie, ja przyjmuję sprzeciw – zgodził się Holcroft. – Ale tylko o tyle, o ile. Nie brak panu spostrzegawczości. Owszem, to prawda, że naszą, niepokoje przynajmniej na początku dotyczyły losu Zjednoczonego Królestwa Ale tylko na początku. Wolno panu się w tym dopatrywać angielskiej przewrotności. Dunstone to istotny czynnik w całym brytyjskim bilansie handlowym. Żle, gdybyśmy ten czynnik utracili.

–I dlatego wymyśla się opowieść o spisku...

–O nie, jedną chwileczkę, panie McAuliff! – wtrącił agent nie podnosząc głosu. – Najwyżej postawieni członkowie brytyjskiego rządu nie wymyślają sobie spisków. Gdyby Dunstone naprawdę robiło tylko to, czym się oficjalnie zajmuje, odpowiedzialni za te sprawy politycy z Downing Street mogliby z otwartą przyłbicą

zacząć walczyć o nasze interesy. Niestety, rzecz nie wygląda tak prosto. Dunstone ma dostęp do bardzo wpływowych sfer w Londynie, Berlinie, Paryżu, Rzymie... A także w Waszyngtonie. Wróć jeszcze to tej sprawy... Na razie jednak chciałbym, żebyśmy się zajęli Jamajką. Użył pan takich określeń, jak „koncesje”, „ulgi podatkowe”, „wpływy” i „zachęty”. Ja powiedziałbym raczej „inwazja”.

–Kwestia terminologii.

–Nie terminologii, tylko prawa, panie McAuliff. Najwyższego prawa, usankcjonowanego przez premierów, rządy i parlamenty. Niech pan się chwilę zastanowi. Istniejący, legalny rząd niezależnego państwa o strategicznym położeniu znajdzie się pod kontrolą potężnego monopolu przemysłowego, który obejmuje rynki całe go świata. Nie są to czcze wymysły. To wszystko może się lada chwila wydarzyć.

Alex zastanowił się przez moment a nawet dłużej. Przez cały ten czas przynaglany cichymi i pełnymi stanowczymi określeń „wyjaśnieniami” Holcrofta.

Nie wdając się w opisy metod, które umożliwiły MI-5 te odkrycia, brytyjski agent streścił metody działania, do jakich uciekło się Dunstone. Przede wszystkim przelano ogromny kapitał ze szwajcarskich sejfów do banków na King Street w Kingston. Ta krótka ulica od dawna słynie jako siedziba wielkich międzynarodowych instytucji finansowych. Potężna fala gotówki nie napłynęła jednak do banków brytyjskich, amerykańskich czy kanadyjskich. Te nie dostały nawet miedziaka, podczas kiedy dużo mniej pewne banki jamajskie zaczęły pękać w szwach od nie spotykanego nigdy na taką skalę naporu pieniądza.

Tylko nieliczni wiedzieli o tym, że nowe skarby Jamajki są wyłączną własnością firmy Dunstone. Wtajemniczeni mieli jednak w ręku najlepszy dowód, w postaci tysiąca odnawialnych przelewów pieniężnych, jakie napłynęły do Kingston w ciągu zaledwie ośmiu godzin pracy banków.

Ludziom zaczynało się od tego kręcić w głowie. Niektórym ludziom. Wybrani politycy na najwyższych z możliwych stanowiskach mieli w rękach niezbita dowody na to, że w Kingston miała miejsce tajna inwazja. Agresorem była siła, wobec której mogły zdrzeć Whitehall i giełdy przy Wall Street.

–Jeżeli tyle o tym wiecie, dlaczego nie wkroczycie do akcji, nie powstrzymacie ich?

–To niemożliwe – odpowiedział Holcroft. – Wszystkie transakcje były tajne. Nie ma nawet kogo oskarżyć. Finansowa pajęczyna jest na to zbyt zawiła. Poczynaniami Dunstone kieruje Warfield, a ten wychodzi z założenia, że zamknięta społeczność będzie funkcjonować tylko wówczas, kiedy poszczególne organy nie będą miały pojęcia o swoich wzajemnych poczynaniach.

–Innymi słowy, nie jest pan w stanie niczego udowodnić ani...

–Ani zdemaskować działań, na które nie ma dowodów – dokończył Holcroft. – Zgadza się.

–A co pan powie na szantaż? Wie pan przecież, że na podstawie wszystkich tych informacji, wiadomo że prawdziwych, dałoby się narobić mnóstwo szumu... Ale nie, nie wolno ryzykować. Wracamy, zdaje się, do „wpływowych sfer” w Berlinie,

Waszyngtonie, Paryżu i tak dalej. Nie pomyliłem się także co do tego, prawda?

–Prawda.

–Te „sfery” muszą być naprawdę cholernie wpływowe.

–Według naszych informacji są wśród tych ludzi najwybitniejsi politycy rozmaitych krajów.

–Członkowie rządów?

–Sprzymierzeni z elitą przemysłowców.

–Na przykład kto?

Holcroft długo patrzył Alexowi w oczy. Przestroga wydawała się oczywista.

–Zdaje pan sobie sprawę, że to, co powiem, to wyłącznie... domysły.

–Oczywiście. Zresztą mam krótką pamięć.

–Niech i tak będzie. – Brytyjczyk podniósł się z fotela i obszedł go. Nadal mówił przyciszonym głosem, choć w jego słowach rozbrzmiewała metaliczna nuta. – W pańskiej ojczyźnie: niewykluczone, że sam wiceprezydent Stanów Zjednoczonych lub ktoś z jego współpracowników. Z całą pewnością nie znani nam z nazwiska członkowie Senatu i gabinetu w Białym Domu. W Anglii: wybitni deputowani do Izby Gmin i, znów bez żadnych wątpliwości, niektórzy szefowie departamentów w Ministerstwie Finansów. W Niemczech: grono czołowych *vorsitzen* w Bundestagu. We Francji: dawne kolonialne elity, które utrzymały się przy władzy jeszcze od czasów de Gaulle'a... Ludzie, których opisuję, muszą mieć powiązania z Warfieldem. Bez wpływów na tak poważnych stanowiskach postępy Dunstone byłyby zwyczajnie niemożliwe. Co do tego mamy zupełną pewność.

–Ale nadal nie wiecie konkretnie, o kogo chodzi.

–Nie wiemy.

–I wyobrażacie sobie, nie wiadomo dlaczego, że mogę wam w tym pomóc?

–Tak, właśnie, panie McAuliff.

–Przy wszystkich środkach, jakie macie do dyspozycji, przychodźcie z tą sprawą do mnie? Dunstone wynajęło mnie jako organizatora wyprawy badawczej, nic poza tym.

–Drugiej wyprawy, jaką urzędują Dunstone. Drugiej, panie McAuliff.

Alexander wbił spojrzanie w agenta.

–Więc powiada mi pan, że poprzednią wyprawę wymordowano.

Holcroft jeszcze raz wrócił na fotel i rozsiadł się.

–Właśnie, panie McAuliff. To zaś oznacza, że Dunstone ma przeciwnika. Wroga, który jest albo bardzo potężny, albo doskonale poinformowany, albo jedno i drugie. A my nie mamy najmniejszego pojęcia, kto to taki... Albo co to takiego. Wiemy tylko, że ten przeciwnik, czy raczej przeciwnicy istnieją naprawdę. Chcemy nawiązać kontakt z ludźmi, którym przyświeca ten sam cel co i nam. Możemy zagwarantować bezpieczeństwo pańskiej wyprawie. Wszystko zależy od pana. Bez pańskiej pomocy nadal będziemy dreptać w miejscu. Bez nas z kolei zarówno panu, jak i pańskim podwładnym może grozić śmiertelne niebezpieczeństwo.

McAuliff zerwał się z fotela i stanął nad brytyjskim agentem. Kilka razy odetchnął głęboko, cofnął się i zaczął spacerować bezwiednie po apartamencie hotelu Savoy.

Brytyjczyk zdawał się doskonale rozumieć nastrój rozmówcy i nie odzywał się, pozwalając opaść emocjom.

–Na miły Bóg, Holcroft! Pan to ma tupet! – McAuliff wrócił do swojego fotela, ale zamiast usiąść, sięgnął na parapet po szklankę, nie tyle żeby się napić, ile aby poczuć jej zimny dotyk. – Przychodzi pan tutaj, demaskuje Warfielda drogą wykładu z ekonomii politycznej, a potem najspokojniej w świecie oświadcza mi pan, że jeśli się nie zgodzę na współpracę, będzie to ostatnia ekspedycja w moim życiu.

–Nie trzeba stawiać sprawy tak ostro, kolego...

–Powtarzam tylko słowo w słowo to, co sam mi pan powiedział! Ale czy na pewno się nie mylicie?

–Nie mylimy się.

–Do diabła, wie pan doskonale, że i tego nie potrafię udowodnić. Jeżeli zgłoszę się do Warfielda i opowiem mu o naszej przyjacielskiej pogawędce, w momencie kiedy pisnę jedno słowo, pożegnam się z kontraktem. Mowa o najwyższym honorarium, jakie kiedykolwiek dostał geodeta.

–Czy wolno mi zapytać, jaka to kwota? Z czystej ciekawości.

McAuliff zmierzył Holcrofta spojrzeniem.

–Jak się panu podoba suma miliona dolarów?

–Powiem tylko, że nie wiem, dlaczego nie zaproponował panu dwóch milionów. Albo i trzech. Czemuż by nie? I tak nie dożyje pan tych pieniędzy.

Alex uparcie patrzył Brytyjczykowi w oczy.

–Chce mi pan dać do zrozumienia, że jeśli nie zabiją mnie wrogowie Dunstone, zrobi to sam Warfield?

–Taka jest nasza opinia. Nawiasem mówiąc, jest to jedyne logiczne rozwiązanie. W chwili kiedy zakończy pan pracę.

–Ach, tak... – McAuliff niespiesznie podszedł do stolika i starannym ruchem; jak gdyby odmierzał płyn w laboratorium, napełnił sobie szklankę. Tym razem nie zaproponował trunku Holcroftowi. – A jeżeli pójdę z tym wszystkim do Warfielda, mówi pan, że i wtedy...

–Że i wtedy pana zabiją? Czy to te słowa nie chcą panu przejść przez gardło?

–Nie mam dostatecznych powodów, żeby się uciekać do takich określeń, panie Holcroft.

–Naturalnie. Nie znam zresztą nikogo, kto lubi takie określenia. Ale rzeczywiście, naszym zdaniem, Warfield zgładziłby pana. Cudzymi rękoma, rzecz jasna. Najpierw jednak wy badałby pana dokładnie.

McAuliff oparł się o ścianę i zapatrzył w nie tknięty trunek.

–Nie to, żeby dawał mi pan jakiś wybór.

–Oczywiście, że ma pan wybór. Mogę opuścić pański apartament. Nie było żadnej rozmowy.

–A jeżeli ktoś pana zauważy? Sam pan mówił, że jestem śledzony.

–Nikt nie zauważy. Co do tego, musi mi pan uwierzyć na słowo. – Holcroft rozsiadł się w fotelu i z namysłem zaczął kręcić młynka palcami. – Oczywiście w takich okolicznościach nie będziemy panu mogli zaofiarować ochrony. Ochrony

przed żadną ze stron...

–O ile takie strony w ogóle istnieją – przerwał mu cichym głosem Alex.

–Właśnie.

–Nie ma wyboru... – McAuliff odepchnął się od ściany i przełknął kilka łyków trunku. – Chociaż nie, chwileczkę, panie Holcroft. Co będzie, jeśli się zgodzę na współpracę, powiedzmy, uwierzę, że w tych pańskich argumentach jest trochę prawdy... W argumentach czy teoriach, wszystko jedno. Zgodzę się, pod warunkiem że nie pan mnie będzie rozliczał.

–Nie wiem, czy dobrze pana rozumiem.

–Nie wykonuję na ślepo niczych rozkazów. Nie jestem marionetką na sznurku. Takie są moje warunki. Oficjalnie. Jeżeli można tutaj użyć tego określenia.

–Chyba można. Sam go ciągle używam.

McAuliff podszedł do siedzącego agenta i stanął obok, a potem przysiadł tuż przy nim na oparciu fotela.

–W takim razie, dosłownie w dwóch zdaniach, proszę mi powiedzieć, co mam zrobić.

W słowach, jakie padły z ust Holcrofta, były spokój i precyzja.

–Cel będzie podwójny. Po pierwsze, chodzi o przeciwników Warfielda, tych, którzy przerwali... Którzy wymordowali pierwszą ekspedycję. Jest wcale prawdą podobne, że idąc tym tropem osiągnie pan drugi, oczywiście najważniejszy, cel: zdobycie listy nazwisk w tajnych strukturach Dunstone. Wszystkie te anonimowe osobistości w Londynie, Paryżu, Berlinie, Waszyngtonie... Wystarczy jedno albo dwa nazwiska. Zadowolili nas najdrobniejszy szczegół.

–Od czego mam zacząć?

–Niestety, wiemy bardzo mało. Chodzi o jedno słowo – kto wie, czy nie o nazwę. Nie wiemy, co oznacza, ale są wszelkie powody, by sądzić, że to coś niezwykle istotnego.

–Jedno słowo?

–Tak...”Halidon”.

IV

McAuliff miał odtąd wrażenie, że cały jego świat rozdzielił się na połowy, z których żadna nie jest w pełni rzeczywista. Godziny dnia pochłaniały mu rozmowy z pracownikami laboratoriów geofizycznych Londyńskiego Uniwersytetu, niezbędne W celu zgromadzenia informacji o ewentualnych współpracownikach na czas ekspedycji. Uniwersytet służył ludziom z Dunstone za przykrywkę, podobnie jak Królewskie Towarzystwo Historyczne. Nikt w obu tych instytucjach nie miał pojęcia, że za organizowaną wyprawą kryje się finansowa potęga Dunstone.

Nocami z kolei, często do drugiej i trzeciej nad ranem, Alex spotykał się z agentem brytyjskiego wywiadu Holcroftem w strzeżonych domach przy nędznie oświetlonych uliczkach Kensington albo Chelsea. Drogę na każde z tych spotkań McAuliff pokonywał w kilku etapach, dwukrotnie zmieniając pojazd – taksówkę prowadzoną przez człowieka z MI-5. Za każdym razem dostarczano mu alibi. Powodem eskapad geologa były więc kolejno obiad z przyjaciółmi, dziewczyna, wizyta w znajomej tłocznej restauracji. Historie te nie mogły budzić żadnych podejrzeń, tym bardziej że Alexowi łatwo było po fakcie wytłumaczyć i opisać każdy szczegół.

Kolejne posiedzenia z Holcroftem poświęcone były oddzielnym tematom: politycznemu i finansowemu klimatowi Jamajki, kontaktom, jakie MI-5 posiadało na całej wyspie, wreszcie podstawowym umiejętnościom agenta, zwłaszcza w dziedzinie łączności i unikania inwigilacji.

Podczas kilku z tych sesji towarzyszyli Holcroftowi karaibscy „specjaliści” - czarnoskórzy agenci, których zadaniem było odpowiedzieć na każde, najbardziej nawet szczegółowe pytanie geologa. McAuliff przeważnie jednak nie zadawał pytań. Ostatecznie niewiele ponad rok wcześniej badał na Jamajce pod Oracabessą nowe tereny na zlecenie koncernu Kaiser, specjalizującego się w produkcji aluminium. Przypuszczał zresztą, że właśnie ten fakt nasunął Julianowi Warfieldowi pomysł, komu powierzyć kierownictwo wyprawy.

Sam na sam z podopiecznym, R.C. Holcroft snuł monotonnym głosem pouczenia na temat właściwego podejścia i reakcji, które powinien wyrobić u siebie Alex.

–Przede wszystkim zawsze trzeba zaczynać od prawdy... Nie komplikować historyjek... Szczegóły powinny być łatwe do sprawdzenia...

–Sam się pan przekona, jak łatwo jest działać na kilku poziomach naraz... W sposób naturalny, instynktownie. Wkrótce będzie pan umiał skupić się na dwóch sprawach jednocześnie...

–Już niedługo zacznie pan słyszeć głos wewnętrznej anteny... Trochę jak gdyby się odkryło drugą naturę. Poczujecie pan wewnętrzny rytm... Będzie pan umiał połączyć wszystkie osobne cele...

Brytyjski agent niczego nie podkreślał, tylko wciąż powtarzał niektóre szczegóły. Powtarzał je w kółko, słowo w słowo, odtwarzając wyrażenia i czasem tylko zmieniając w nich niektóre wyrazy.

Alex pojmował ten zamiar. Holcroft chciał mu uprzystępnąć abecadło i dostarczyć rzeczy podstawowych, to jest narzędzi oraz pewności siebie.

–Za kilka dni będziemy już panu mogli podać punkty kontaktowe w Kingston. Na razie dopieszczamy szczegóły. Kingston to prawdziwy kocioł. Niełatwo tam o zaufanie.

–Z czyjej strony? – zapytał McAuliff.

–Dobre pytanie. – Agent skrzywił się. – Nie warto o tym rozmawiać. To już nasza rzecz. Wystarczy, że wbije pan sobie w pamięć całą resztę tych nazwisk.

Alex znów przeniósł wzrok na kartkę z wypisanymi na maszynie nazwiskami. Kartka ta pod żadnym pozorem nie mogła wyjść poza obręb budynku w Kensington.

–Ma pan na utrzymaniu masę ludzi.

–Trochę zbyt wielu. Ci, których nazwiska wykreślono, pracowali na dwie stropy. Dla nas i dla CIA. Wasza Centralna Agencja Wywiadowcza za mocno się coś upolityczniła ostatnimi czasy.

–Chodzi panu o to, że w Waszyngtonie może dojść do przecieków?

–A wtedy Dunstone dowie się o wszystkim. Ten końcem ma w Waszyngtonie przyjaciół. Dyskretnych, ale bardzo, bardzo aktywnych.

Każdego ranka McAuliff wkraczał w drugą sferę rzeczywistości; tę, którą stanowił dla niego Londyński Uniwersytet. Przekonał się niebawem, że łatwiej niż mógłby przypuszczać, wypiera z pamięci sprawy i troski z poprzedniej nocy. Głoszona przez Holcrofta teoria działania na kilku poziomach naraz najwidoczniej sprawdzała się w praktyce. Alex rzeczywiście zaczynał czuć pewien rytm. Umiał więc skupić rankiem całą uwagę na sprawach zawodowych, czyli na kompletowaniu ekspedycji.

Zgodnie z umową, liczba uczestników nie mogła przekroczyć ośmiu osób, a i to wydawało się przesadą. Doświadczenie poszczególnych osób miało obejmować wszystkie dziedziny istotne podczas pomiarów tego typu i na tym terenie, a więc geologię łupków i wapieni, stratyografię, analizę cieków wodnych i złóż gazu, badania gleby i roślinności. Ponieważ pomiary miały objąć Cock Pit, potrzebny był również ktoś, kto zna rozmaite miejscowe dialekty i obyczaje. Warfield uważał, że ten ostami wymóg jest wymysłem McAuliffa. Geolog uparł się jednak. Na Jamajce nietrudno było narobić sobie wrogów.

McAuliff zdecydował się na razie tylko co do jednej kandydatury. Wybór kalifornijskiego gleboznawcy, Sama Tuckera, przyszedł mu z łatwością. Sam, potężne chłopisko po pięćdziesiątce, w najtrudniejszych warunkach uwielbiał używać życia i hulać, lecz w swojej dziedzinie należał do ścisłej czołówki specjalistów. Był też najbardziej godnym zaufania człowiekiem, jakiego Alex spotkał. Wspólnie przemierzali bądź co bądź Alaskę, by nie wspomnieć o ubiegłorocznych poszukiwaniach w Oracabessie, zleconych przez koncern Kaisera. McAuliff bez wahania dał Warfieldowi odczuć, że jeśli kandydatura Sama upadnie, Dunstone będzie sobie musiało poszukać innego geologa.

Była to czcza groźba, biorąc pod uwagę okoliczności, ale warto było zaryzykować i w najgorszym razie ze wstydem wycofać się z żądań. Alex naprawdę chciał, by Sam towarzyszył mu na Jamajce. Reszta grupy będzie przecież zupełnie nowa, nie sprawdzona, podczas kiedy Tuckera znał od lat. Tuckerowi można było zaufać.

Warfield polecił swoim ludziom sprawdzić Tuckera i zgodził się, że poza paroma dziwactwami charakteru, gleboznawcy nie da się niczego zarzucić. Sam miał jednak pozostać szeregowym uczestnikiem wyprawy. Nie wolno mu też było wspomnieć o tym, że ekspedycję finansuje Dunstone: Co rozumiało się samo przez się.

O roli Dunstone Limited nie miał prawa się dowiedzieć nikt z grupy. Co do tego Alex podjął nieodwołalną decyzję. Warfield mógł sobie z tego nie zdawać nawet sprawy. Wszystko to pod warunkiem, że w domysłach R.C. Holcrofta kryje się chociaż odrobina prawdy.

Każdy uczestnik wyprawy miał poznać tę samą historyjkę, skomponowaną z faktów, jakich dostarczyli ludzie z Dunstone. W wersję tę wierzyły nawet organizacje, które nadzorowały wyprawę. Bo też dlaczego miałyby nie wierzyć? Nikt nie kwestionuje zasadności hojnych dotacji, szanowanych przez środowiska naukowe niby Ewangelia. Dotacje stanowiły przedmiot pożądań, wręcz czci. Nie istnieje nic takiego, jak niesłuszne pieniądze. Do wyprawy geologicznej McAuliffa miało więc dojść dzięki dotacji ze strony Królewskiego Towarzystwa Historycznego, które wysupało fundusze, zachęcane inicjatywą Komisji do Spraw Wspólnoty Narodów przy Izbie Lordów. Ekspedycja była wspólnym przedsięwzięciem Uniwersytetu Londyńskiego i jamajskiego Ministerstwa Oświaty.

Wszystkie honoraria, diety i zaliczki musiały przejść przez londyńską kwesturę uniwersytecką. Królewskie Towarzystwo miało w tym celu udostępnić uczelni odpowiednie kredyty.

Powód, dla którego wyprawa wchodziła w zakres zainteresowań Komisji do Spraw Wspólnoty Narodów (lordowie wchodzący w jej skład finansują i zasiadają w większości królewskich towarzystw z różnych dziedzin), był prosty. Oto zaistniała okazja, by ofiarować bezinteresowny dar nowemu niepodległemu państwu, przypominając mu tym samym o historycznej i wciąż ważnej roli Wielkiej Brytanii na wyspie. Wyniki badań miały na długie lata trafić do podręczników, tym bardziej że wedle informacji jamajskiego ministerstwa tereny, o które chodziło, nigdy nie zostały skartowane. Nie istniały też na ich temat żadne profile geodezyjne.

To także nie dziwiło nikogo.

Tym bardziej że nawet jeśli inne pomiary istniały, nikt nie zamierzał wspominać o tym głośno.

Akademicka ewangelia.

Akademicka bonanza. Nie kwestionuje się przecież dotacji. Wybór Alexandra McAuliffa jako szefa wyprawy przyjęty został równie kwaśno przez uniwersytet, jak i przez członków Towarzystwa. Jamajskie ministerstwo obstawało przy kandydaturze Amerykanina. Trudno, trzeba czasem ścierpieć podobne zniewagi ze strony kolonii.

Pieniądze są po to, żeby je brać. Nie warto zadawać zbyt wielu pytań.

Ewangelia. Całe przedsięwzięcie było więc tak zagmatwane, że każdy naukowiec uwierałby w jego autentyczność, przynajmniej w ocenie McAuliffa. Julian Warfield znał dobrze wody, po których lawirował.

Równie dobrze znał je R.C. Holcroft z wywiadu brytyjskiego. Alex zaczął po trochu zdawać sobie sprawę ze swych nierównych szans w tym wyścigu. Zarówno

Dunstone, jak i MI-5 miały wyraźne cele. Łatwo było się zgubić pośród tych sprzecznych podszeptów.

Alex zastanawiał się, czy już się nie pogubił.

Miał zamiar w najbliższej przyszłości zabrać się za wszystko. O pewnych sprawach... O pewnych sprawach trzeba będzie powiedzieć głośno.

Na razie jednak należało dobrać uczestników.

Przy doborze współpracowników przyświecała McAuliffowi zawsze ta sama zasada, tak stara, że nieomylna. Po pierwsze, przed rozmową Alex dokładnie zapoznawał się z publikacjami kandydata. W ten sposób każdy rozmówca mógł z góry pokazać, ile jest wart. Poza dziedziną specjalizacji geolog zwrócił też uwagę na zdolność kandydata do pracy w trudnych warunkach i klimacie, a także na sposób bycia – sprawę istotną podczas tygodni, jakie trzeba ze sobą spędzić podczas wyprawy.

McAuliff przygotował się starannie. Pozostawało czekać.

–Sekretarka wspomniała mi, że chce się pan ze mną widzieć, doktorze McAuliff.

Osobą stojącą w drzwiach był sam szef wydziału geofizycznego, profesor Ralston, chudy okularnik, który bezskutecznie usiłował ukryć swoją mało pochlebną opinię na temat Amerykanina. Było oczywiste, że profesor czuje się oszukany, i to zarówno przez Towarzystwo, jak i przez władze w Kingston. To on, nie McAuliff, miał kierować wyprawą. Niedawno zakończył przecież z ogromnym sukcesem pomiary na Anguilli. Ekspedycja ta niepokojąco przypominała projekt wyprawy na Jamajkę, więc nic dziwnego, że profesor czuł się dotknięty.

–Wielkie nieba! – zmieszał się Alex. – Chciałem przecież sam przyjść do pańskiego gabinetu.

Wyszedł zza biurka i z niepewnym uśmiechem stanął przy jedynym oknie, wychodzącym na miniaturowy podwórzec. Spojrzał w dół na studentów dźwigających skrypty i poczuł ulgę na myśl, że dał sobie spokój z uczelnią.

–Wydaje mi się, że jeszcze dzisiaj po południu mogę zacząć przegląd kandydatów.

–Tak szybko?

–To głównie pańska zasługa, profesorze. Pana rekomendacje okazały się trafione w dziesiątkę – stwierdził Alex zupełnie szczerze. Istotnie, kandydaci wskazani przez profesora prezentowali się świetnie. Na papierze. Spośród dziesiątki, która miała się zgłosić, pięć osób wskazał Alexowi Ralston. Pozostałą piątkę stanowili wolni strzelcy ze świetnymi opiniami z dwóch londyńskich firm poszukiwawczych. – Byłbym wręcz skłonny zaakceptować pańskich ludzi i nie rozmawiać nawet z resztą – dodał Alex, tym razem już tylko przez grzeczność. – Ale cóż robić, ministerstwo w Kingston okazało się nieugięte. Muszę porozmawiać także z tą grupą.

Tu Alex podał profesorowi listę z pięcioma nazwiskami spoza uniwersytetu.

–Ha, owszem... Niektóre nazwiska są mi znajome – orzekł Ralston dużo miłszym tonem. Komplementy Amerykanina poskutkowały. – Widzę tu parę osób, które... że tak powiem, tworzą parę.

–Co takiego?

–Mąż i żona, zawsze pracują razem. Jensenowie.

–Widzę tu tylko jednego Jensena. Kto jest jego żoną?

–R.L. Wells. Czyli Ruth Wells, żona Jensena.

–Nie miałem pojęcia... Nie wiem wcale, czy przemawia to akurat na ich korzyść.

–A to czemu?

–Sam dobrze nie wiem – przyznał Alex szczerze. – Nigdy jeszcze nie miałem pod sobą małżeństwa. Taki głupi odruch z mojej strony, wie pan? Zna pan jeszcze kogoś poza nimi?

–Jedną osobę. Wolałbym się powstrzymać od komentarza. – W takim razie naprawdę poproszę pana o komentarz.

–Chodzi o Fergusona, Jamesa Fergusona. Był moim studentem. Bardzo bezpośredni w poglądach. Zawsze wiedział lepiej, jeśli rozumie pan, co chcę powiedzieć.

–Przecież to botanik, a nie geolog?

–Normalna rzecz przy szkoleniu poszukiwaczy. Geofizyka to drugi najważniejszy przedmiot studiów. Oczywiście zetknąłem się z tym młodym człowiekiem sporo lat temu.

McAuliff zaczął składać papiery na biurku.

–Chyba nie aż tyle? – odezwał się. – Ferguson był dopiero na trzech wyprawach. Wszystkie miały miejsce w ciągu ostatnich czterech lat.

–Rzeczywiście, nie było to tak dawno. Zresztą, powinien się pan z nim spotkać. Słyszałem, że w swojej specjalności chłopak ma niezłą opinię.

–A to już pańscy ludzie. – Alex podał Ralstonowi drugą kartkę. – Z ósemki kandydatów wybrałem pięć osób. Czy i tu trafią mi się niespodzianki? Ale, ale... mam nadzieję, że pochwała pan mój wybór?

Ralston przestudiował listę, poprawiając okulary i zaciskając wargi.

–Tak, spodziewałem się takich decyzji. Zdaje pan sobie oczywiście sprawę, że ten cały Whitehall to ktoś obcy. Polecił go nam Instytut Indii Zachodnich. Profesorowie twierdzą, że to bystry facet. Sam nigdy się z nim nie zetknąłem. Słyszałem natomiast, że robi majątek objeżdżając różne strony z wykładami.

–To Murzyn, tak?

–Ależ tak. Zna ponoć na Antylach wszystkie języki, wszystkie dialekty, najdrobniejsze osobliwości i cechy każdej kultury. W swoim doktoracie udowodnił, że na Antylach pozostały ślady nie mniej niż dwudziestu siedmiu plemion afrykańskich, od Buszwadich do Koromantee. Jego praca o integracji Indian i Murzynów to podstawowe źródło w tej dziedzinie. Poza tym słynie podobno jako dandys.

–Czy oprócz niego chciałby pan wymienić jeszcze kogoś?

–Nie, to wystarczy. I tak będzie pan miał dość kłopotu z decyzją, kogo wybrać jako eksperta od łupków i łożyska skalnego. Widzę tu dwójkę doskonałych kandydatów. Chyba że... że zadecydują tu pańskie osobiste preferencje. Takie czy inne.

–Nie rozumiem. Ralston uśmiechnął się.

–Nie wypada mi drażnić tego tematu – uciął i dodał pospiesznie: – Cóż, polecę w

takim razie naszym dziewczętom, żeby ustaliły harmonogram rozmów.

–Dziękuję. Będę panu bardzo zobowiązany, profesorze. Jeśli uda się to uzgodnić ze wszystkimi dziesięcioma osobami, chciałbym odbyć te rozmowy w ciągu kilku najbliższych dni. Wystarczy mi jedna godzina na osobę. Kolejność nie ma znaczenia. Dostosuję się do kandydatów.

–Tylko godzina...

–Z tymi, którzy mi się spodobają, odbędę dodatkową rundę. Nie ma sensu zabierać wszystkim czasu.

–Ach tak, naturalnie.

Pierwszy chętny utracił własną kandydaturę już w chwili, kiedy wszedł do pokoiku McAuliffa. Fakt, że o pierwszej po południu jest się już po kilku głębszych, dałby się może od biedy wytłumaczyć. Gorzej, że kandydat miał jeszcze inną wadę: kulał na prawą nogę. Trzech następnych musiało się pożegnać z wyprawą z identycznego powodu: każdy z nich w oczywisty sposób nie cierpiał mieszkańców Indii Zachodnich. Amerykański odpowiednik wirusa tej brytyjskiej choroby to *Bacillus intolerantiae*.

Jensenowie przynajmniej – Peter Jensen i Ruth Wells sprawili McAuliffowi, razem i z osobna, przemiłą niespodziankę. Obydwoje zaledwie przekroczyli pięćdziesiątkę, byli bystrzy, pozbawieni kompleksów i dobroduszni. Nie mieli dzieci, posiadali dostateczne środki utrzymania i szczerze dbali zarówno o siebie nawzajem, jak i o swoją pracę. Jensen był specjalistą od skał kruszcowych. Jego żona zajmowała się dziedziną siostrzaną wobec geologii: paleontologią, czyli nauką o skamieniałościach. Wiedza Jensena mogła znaleźć bezpośrednie zastosowanie, umiejętności Ruth były mniej praktyczne, lecz przydatne wyprawie z naukowego punktu widzenia.

–Czy wolno mi zadać kilka pytań, doktorze McAuliff? – odezwał się miłym tonem Jensen, napychając fajkę.

–Jak najbardziej.

–Nie powiem, żebym za dużo wiedział o Jamajce, ale cała ta wyprawa wydaje mi się dość dziwna. Nie wiem, czy dobrze rozumiem... O co tak naprawdę chodzi?

Alex był wdzięczny za tę okazję, by wyrecytować wersję ułożoną przez ludzi z Dunstone Limited. Mówiąc, bacznie śledził wyraz twarzy Jensena i z ulgą przyjął chwilę, kiedy w oczach geologa zaświtało zrozumienie. Kiedy skończył, milczał przez chwilę, po czym dodał:

–Nie wiem, czy udało mi się dużo wyjaśnić...

–Ależ tak, ma pan moje słowo, teraz już wszystko jasne. Kolejna zasadzka „Herbarza parów brytyjskich”! – Jensen zaśmiał się i zerknął na żonę. – Królewskie Towarzystwo raczyło zafundować nam konkretne zajęcie. A wszystko z powodu pomysłu kilku dżentelmenów z Izby Lordów. Pyszny plan... Domyślam się, że uniwersytet także zarobi parę funtów na tym przedsięwzięciu.

–Niestety, obawiam się, że nasz budżet nie jest aż tak pojemny.

–Czyżby? – Peter Jensen wycelował fajką w McAuliffa. – W takim razie rzeczywiście przestaję tu cokolwiek rozumieć. Wybacz pan, ale w naszej branży nie cieszy się pan sławą taniego organizatora wypraw... Sam pierwszy przyznam, że nie

ma w tym nic złego. Pana reputacja rozeszła się szerokim echem.

–Od Bałkanów po Australię – przytaknęła Ruth Wells Jensen, choć jej mina wskazywała, że nie w smak jej ostatnie słowa męża. – Ale nawet jeśli podpisał pan osobny kontrakt, nie ma powodu, żeby Peter wściubiał nos w pańskie sprawy.

Alex roześmiał się z cicha.

–Miło mi to wszystko słyszeć i od pana, i od pani. Tak naprawdę nie ma w moim udziale żadnej tajemnicy. Po prostu, złapano mnie w sidła. W przeszłości pracowałem dla firm na Jamajce. Chciałbym tam jeszcze wrócić, i to nieraz, ale cóż, wszystkie certyfikaty geofizyczne wydają władze w Kingston. Te same, które chcą, żebym pokierował wyprawą. Powiedzmy, że inwestuję we własną przyszłość.

I tym razem McAuliff uważnie obserwował Petera Jensena. Od dawna przygotował sobie tę odpowiedź. Brytyjczyk znowu zerknął na żonę, dosłownie przez mgnienie. Potem roześmiał się, zupełnie jak kilkanaście sekund wcześniej.

–Zrobiłbym na pańskim miejscu dokładnie to samo, kolego. Ale na miejscu uczestników wyprawy modliłbym się dzień i noc.

–Mnie też wołami by nie zaciągnęli na taką ekspedycję – przytaknęła Ruth i roześmiała się w ślad za mężem. – Czy przynajmniej wypada nam zapytać, kogo z kolei pan zdążył złapać w sidła? Może znamy te osoby.

–Na razie nie złapałem nikogo. Dopiero zaczynam rozmowy...

–Ha! – wtrącił z roziskrzonym wzrokiem Peter Jensen. – Ponieważ brak panu funduszy na transport, uprzedzę pana od razu, że wolelibyśmy się z żoną nie rozłączać. Przez tych parę lat przyłgnęliśmy dziwnie do siebie, więc jeśli któreś z nas podoba się panu jako kandydat, druga osoba zgodzi się pojechać za połowę honorarium.

Resztkę wątpliwości rozwiały w oczach Alexa słowa Ruth Wells Jensen, która dobrodusznie i precyzyjnie naśladując profesjonalny ton męża zauważyła:

–Nie upieraj się tak nawet przy połowie honorarium, mój drogi. W naszym mieszkaniu jest o tej porze roku zimno jak w psiarni.

Jensenowie zwycięsko przeszli próbę.

Trzeci kandydat spoza uniwersytetu, James Ferguson, odpowiadał co do joty rysopisowi, jaki nakreślił Ralston, wspominając o kłótności i zapalczywości. Cechy te wiązały się jednak przede wszystkim z młodzieńczą niecierpliwością botanika, tak przynajmniej uznał McAuliff. Ferguson rzeczywiście liczył sobie niewiele lat – dwadzieścia sześć – i nie miał wielkich szans na przetrwanie, a cóż dopiero na sukces, w środowisku uniwersytetu. Alex dostrzegł u Fergusona całe mnóstwo własnych, niegdysiejszych cech, takich jak zachłanna fascynacja własnymi badaniami i brak tolerancji wobec akademickiego otoczenia, w którym przyszło pracować. Sprzeczność była tu ewidentna, nawet jeśli nie do końca udaremniała karierę. Ferguson oferował swoje usługi na wolnym rynku i pracował już dla kilku koncernów przemysłu spożywczego. Najlepszą dlań rekomendacją stanowił właśnie fakt, że młody botanik rzadko pozostawał bez pracy i to na rynku, który wcale nie słynie z braku specjalistów. James Ferguson był naprawdę jednym z najlepszych ekspertów od świata roślin.

–Marzę o tym, żeby znów pojechać na Jamajkę – oznajmił młody człowiek już kilka sekund po rozpoczęciu oficjalnej rozmowy. – Dwa lata temu pracowałem w Port Maria na rzecz fundacji Crafta. Moim zdaniem cała wyspa to pieprzona kopalnia złota. Kłopot tylko, że przetwórcze owoce i przemysł chemiczny nie zgodzą się na żadne inwestycje.

–A co to za złoto pan odkrył? – zainteresował się McAuliff.

–Włókna barakao. Zwłaszcza w drugim okresie przyrastania. Można by wyhodować taką odmianę bananowca, że wszyscy kolesie od nylonu i trykotu narobili by w spodnie. Nie mówię już o reakcji kompanii bananowych.

–Ma pan w ręku konkrety?

–Już prawie, prawie miałem, tak mi się przynajmniej wydawało. I dlatego wylali mnie z fundacji.

–Wylali?

–Nikt nie bawił się ze mną w ceremonie. Nie ma sensu, żebym to przed panem ukrywał. Może pan sobie myśleć, co chce. Ludzie Crafta kazali mi robić, co każą, i nie wychylać się. Wyobraża pan sobie? Jeśli zainteresuje pana moja kandydatura i zapuści pan sondę, dowie się pan pewno niejednego.

–Już mnie zainteresowała, panie Ferguson.

Z kolei rozmowa z Charlesem Whitehallem zupełnie wytrąciła McAuliffa z równowagi. Zdenerwowała go w gruncie rzeczy sama osoba kandydata, a nie to, co od niej usłyszał. Whitehall okazał się czarnoskórym cynikiem, londyńczykiem z wyboru. Zarówno pochodzenie, jak i praca wiązały go z Karaibami, lecz widać było, jak zachłannie Whitehall usiłuje zrobić karierę w Starym Świecie. Jego wygląd również zaskoczył McAuliffa. Jak na autora trzynomowej "Historii Wysp Karaibskich" i twórcę (jeśli wierzyć Ralstonowi) źródłowego podręcznika na ten temat, Whitehall wyglądał niezwykle młodo, prawie tak jak James Ferguson.

–Niech się pan nie sugeruje moim wyglądem, panie McAuliff- przestrzegł Whitehall wchodząc do pokoiku i witając się z Alexem uściskiem dłoni. – Tropikalna cera potrafi lepiej maskować prawdziwy wiek niż blada skóra Europejczyków. Mam czterdzieści dwa lata.

–I czyta pan w moich myślach.

–Niekoniecznie. Przyzwyczaiłem się już, że taka bywa pierwsza reakcja – odparł Murzyn i rozsiadając się, wygładził kosztowną marynarkę, po czym założył nogę na nogę i strzepnął pyłek z wełnianych, prążkowanych spodni.

–Ponieważ nie owija pan niczego w bawełnę, panie Whitehall, ja również będę szczery. Dlaczego interesuje pana ta wyprawa? Domyślam się, że mógłby pan zarobić znacznie więcej pieniędzy, jeżdżąc z wykładami. Pomiary geodezyjne nie są w końcu najbardziej lukratywnym zajęciem.

–Powiedzmy od razu, że względy finansowe zeszły tym razem na drugi plan. A proszę mi wierzyć, w moim życiu nie zdarza się to bardzo często – zaczął Whitehall, wyciągając z kieszeni srebrną papierošnicę. – Jeżeli chce pan znać prawdę, nie ma nic przyjemniejszego niż powrót do własnego kraju w charakterze eksperta i pod egidą Królewskiego Towarzystwa Historycznego. W gruncie rzeczy tylko o to mi

chodzi.

Alex uwierzył tym słowom, tym bardziej że, w jego własnej ocenie, Whitehall jako naukowiec cieszył się za granicą znacznie większą renomą niż we własnym kraju. Wyglądało więc po prostu na to, że Charles Whitehall wypatruje sławy odpowiadającej dotychczasowym dokonaniom, lecz z jakiejś przyczyny wzbranianej mu do tej pory przez intelektualne – a może arystokratyczne? – salony w Kingston.

–Czy zna pan obszar, który nazywają Cock Pitem?

–Mniej więcej tak jak każdy, kto nie jest tragarzem. Oczywiście jeśli chodzi historię i kulturę całej krainy, orientuję się w nich znacznie lepiej.

–O jakich tragarzach mowa?

–„Tragarzami” nazywa się na Jamajce mieszkańców tamtych wzgórz. Sporo tam górskich plemion. Wynajmuje się w nich tragarzy i przewodników, stąd nazwa... Chociaż i to nie jest takie proste. Niech mi pan wierzy, mówimy o autentycznych dzikusach. Kogo wybrał pan już do tej ekspedycji?

–Co takiego? – Myśli Alexa zbłądziły ku tragarzom.

–Pytałem, kto ma z panem pojechać. Kto wchodzi w skład grupy? Ciekawi mnie to.

–Ach, tak... Nie skompletowałem jeszcze zespołu. Mam na oku małżeństwo geologów, nazywają się Jensenowie. Spece od run i skamielin. Znalazłem młodego botanika, Fergusona. Poza tym jedzie mój amerykański przyjaciel, gleboznawca, niejaki Sam Tucker.

–Wydaje mi się, że słyszałem coś o tych Jensenach. Nie jestem pewien, ale chyba tak. Pozostałych nie znam.

–A spodziewał się pan znać?

–Prawdę mówiąc, owszem. Królewskie Towarzystwo to zwykle magnes dla naukowych gwiazd pierwszej wielkości. – Tu Whitehall delikatnie postukał papierosem w krawędź popielniczki.

–Takich jak na przykład pan? – uśmiechnął się McAuliff.

–Nie będę skromny – odpowiedział czarny naukowiec, błyskiem zębów kwitując uśmieszek Alexa. – Tym bardziej że zależy mi bardzo, ale to bardzo, na tej wyprawie. Myślę, że mógłbym się panu przydać.

McAuliff też był tego zdania.

Drugi specjalista od łupków i łożyska skalnego figurował na liście jako A. Gerrard Booth. Kandydata tego osobiście polecił Alexowi profesor Ralston, a uczynił to w następujących słowach:

–Obiecałem, że osobiście doręczę panu i zwrócę uwagę na publikacje i artykuły podpisane nazwiskiem Booth. Myślę, że mógłby pan wiele skorzystać, decydując się na tę kandydaturę.

Teczka, którą przyniósł Ralston, zawierała artykuły na temat pokryw osadowych w tak rozmaitych częściach globu, jak Iran, Korsyka i południe Hiszpanii. Alex przypomniał sobie, że czytał kilka sygnowanych przez Bootha artykułów w *National Geologist*. Zapamiętał je jako przejrzyste i fachowe. Booth musiał być prawdziwym fachowcem. I to nieprzeciętnym.

Booth okazał się ponadto kobietą. W odróżnieniu od Amerykanina, londyńscy naukowcy wiedzieli, że A. Gerrard Booth to po prostu Alison Booth. Nikt nie zadawał sobie trudu i nie używał drugiego imienia.

Alison Booth była właścicielką jednego z najbardziej zniewalających uśmiechów, jakie McAuliff oglądał w swoim życiu. Był to nie tyle uśmiech, co prawie śmiech, dziwnie męski w charakterze, choć wrażeniu temu przeczyła doskonała kobiecość Alison. Jej oczy były błękitne, żywe i spokojne -jak przystało u profesjonalisty. Uścisk dłoni okazał się mocny, i tym razem dokładnie taki, jak należy. Długie ciemnoblonde włosy układały się w drobne fale – widocznie, domyślał się Alex, właścicielka starannie wyszczotkowała je przed rozmową. Wieku rozmówczynie geolog nie umiał określić dokładnie: mogła liczyć dwadzieścia osiem lat równie dobrze, jak trzydzieści pięć. Trudno było to rozpoznać przy pierwszym spotkaniu. Jediną widoczną oznaką wieku były drobniutkie zmarszczki w kącikach ust, towarzyszące każdemu z uśmiechów.

Alison Booth okazała się nie tylko fachowcem i kobietą. Już podczas pierwszej rozmowy dała się poznać jako fascynująca i bardzo przyjazna osoba. Często podczas tej rozmowy przychodziło więc Alexowi do głowy słowo „profesjonalizm”.

–Kazałam Rolly'emu przysiąc, że nie zdradzi pana mojej płci. Proszę go o nic nie obwiniać.

–Z góry uznała mnie pani za męskiego szowinistę?

Dziewczyna podniosła rękę ku długim, miękkim włosom i odgarnęła kosmyk z uroczej twarzy.

–Nie nastawiałam się do pana wrogo, doktorze. Rozumiem po prostu, że bywają przeszkody natury praktycznej. Częścią moich obowiązków jest przekonać pana, że posiadam właściwe kwalifikacje. – Uznając, iż Alex może rozmaicie rozumieć te ostatnie słowa, Alison Booth powściągnęła uśmiech i wygładziła spódnicę. Gestem profesjonalistki.

–Nie mam wątpliwości co do pani kwalifikacji przy pomiarach w terenie albo w laboratorium, ale...

–O jakie jeszcze kwalifikacje może chodzić, tego już nie wiem – oświadczyła dziewczyna z nutą brytyjskiej wyższości w głosie.

–Owszem, znajdują się takie. Chodzi o odporność na warunki zewnętrzne, na niewygodę, konieczność wysiłku.

–Nie wyobrażam sobie, żeby Jamajka mogła iść w zawody z Iranem albo Korsyką. Prowadziłam badania w obu tych miejscach.

–Wiem o tym...

–Roilił uprzedził mnie – przerwała znowu Alison – że z opiniami z wypraw za pozna się pan dopiero po bezpośredniej rozmowie z każdym z nas.

–Praca w odosobnionej grupie potrafi wypaczyć osądy. W innym składzie wszystko może wyglądać mniej świetnie. W przeszłości zdarzyło mi się stracić paru świetnych facetów tylko dlatego, że inni świetni faceci bez specjalnego powodu zaczynali ich nie cierpieć.

–To faceci, a co z kobietami?

–Mówiąc „faceci”, miałem na myśli podwładnych obojga płci.

–Mogą panu przedstawić doskonale opinie, doktorze. Uzasadnione.

–Poproszę więc o nie przy okazji.

–Mam je ze sobą. – Alison rozpięła trzymaną na podołku skórzaną torbę, wydobyła z niej dwie biurowe koperty i położyła je na krawędzi biurka McAuliffa. – Oto moje opinie, doktorze.

Alex roześmiał się i sięgnął po koperty. Potem spojrzał na dziewczynę i nieoczekiwanie napotkał jej wzrok. Znać było w tym spojrzeniu dobrodusze wyzwanie, lecz także wyraz niemej prośby.

–Dlaczego ta wyprawa jest dla pani taka ważna?

–Jestem kwalifikowanym specjalistą i potrafię się wywiązać z obowiązków – odparła spokojnym tonem Alison.

–Jak rozumiem, pracuje pani na uniwersytecie.

–Tylko na pół etatu. Wykład i ćwiczenia w laboratorium. Nie należę do stałych pracowników... Z własnej woli, nawiasem mówiąc.

–A więc nie chodzi o pieniądze – skwitował rzecz Alex tonem stwierdzenia.

–Pieniądze też mi się przydadzą. Nie to, żebyśmy była w jakiejś rozpaczliwej sytuacji...

–W ogóle nie umiem sobie pani wyobrazić w rozpaczliwej sytuacji – zapewnił ją Alex z lekkim uśmiechem. I wówczas właśnie ujrzał w oczach dziewczyny (albo tak mu się wydawało) dziwny cień, zatroskanie, które zniknęło równie prędko jak przyszło. Instynktownie zaczął więc drążyć temat: –Ale dlaczego zależy pani właśnie na tej wyprawie? Przy pani kwalifikacjach na pewno znalazłyby się inne możliwości. Być może bardziej interesujące, a już z pewnością bardziej lukratywne.

–W tym przypadku odpowiada mi termin – odrzekła cicho Alison, wahając się odrobinę. – A to z przyczyn osobistych, które nie mają zupełnie nic wspólnego z moimi kwalifikacjami.

–I właśnie z tych przyczyn chciałaby pani spędzić dłuższy czas na Jamajce?

–Jamajka nie ma z tym nic wspólnego. Jeśli o to chodzi, równie dobrze mógłby pan organizować wyprawę na pustynię Gobi.

–Rozumiem. – Alex odłożył obie koperty na biurko. Rozmyślnie nadał tym ostatnim słowom obojętne brzmienie. Dziewczyna wychwyciła to natychmiast.

–Dobrze, powiem panu, w czym rzecz. W otoczeniu nie robię z tego zresztą tajemnicy – zaczęła, kładąc torbę na kolanach. Nie zaciskała jej kurczowo w dłoniach i nie znać było po niej napięcia. Kiedy się odzywała, mówiła równym tonem, opanowanym tak samo jak opanowany był jej wzrok. Wrócił jej cały dotychczasowy profesjonalizm. – Zacznijmy od tego, że odezwał się pan do mnie na początku per „panno Booth”. Błędnie, jako że nazwisko Booth noszę po mężu. Przykro mi tak mówić, ale nie było to najbardziej udane małżeństwo. Niedawno zakończyło się ono rozwodem. W takim okresie życia przesadna troskliwość poczciwców w całym otoczeniu potrafi bardzo dokuczyć człowiekowi. Wolałabym na pewien czas zejść ludziom z oczu.

McAuliff odpowiedział równie spokojnym spojrzeniem, usiłując wychwycić w tych

słowach dodatkowe znaczenie. Był przekonany, że w historii kryje się coś jeszcze, lecz dziewczyna nie pozwoliła wypytywać się dłużej. Po jej minie Alex poznał, że powinien zamilczeć. Jak... profesjonalista.

–Dla mnie sprawy te nie mają znaczenia. Przepraszam za wścibstwo. Cieszę się jednak, że zechciała mi pani o tym powiedzieć.

–Czy zaspokoił pan... Jako rzetelny szef wyprawy...

–Owszem, zaspokoilem swoją ciekawość. – Alex nachylił się ponad biurkiem, oparł łokcie na blacie i w zamyśleniu wsparł brodę na dłoniach. – A oprócz tego... Bez urazy, ale czuję, że wolno mi będzie w tych okolicznościach zaprosić panią na obiad.

–Czy będzie wolno, zależy od tego, jakie znaczenie przypisuje pan mojej zgodzie. – Alison powiedziała to w sposób uprzejmy i wcale nie wrogi. Jej oczy znów zaiskrzyły się uroczym humorem.

–Uczciwie pani wyznam, że planuję obiad w cztery oczy, kto wie nawet, czy nie wieczorek w barze, z każdym z potencjalnych kandydatów. Tymczasem jednak sam to jeszcze przed sobą ukrywam.

–Wybrnął pan z mojego pytania w rozbrajający sposób, doktorze. – Dziewczyna rozchyliła usta w swoim półuśmiechu, półśmiechu. – Będzie mi bardzo miło dać się zaprosić.

–Zrobię co tylko w mojej mocy, żeby nie okazać się nadmiernie troskliwym pocziwcem. Nie sądzę, żeby zasługiwała pani na takie traktowanie.

–Od razu widzę, że nie będę się przy panu nudziła.

–Nie na tyle, żeby to miało znaczenie, tak?

V

McAuliff przystanął na rogu High Holborn i Chancery, po czym spojrzął na zegarek. Fosforyzujące wskazówki świeciły wyraźnie w przesiąkniętym mgłą londyńskim mroku. Brakowało dwudziestu minut do północy. Rolls-royce Prestona spóźniał się już dziesięć minut. Nie wiadomo, czy w ogóle nadjedzie. Instrukcje na dzisiejszy wieczór mówiły, że jeśli samochód nie zjawi się do północy, McAuliff ma wracać do Savoyu. Następną datę ustalili się później.

Bywały chwile, kiedy McAuliff na siłę musiał sobie przypominać, czyich tajnych instrukcji trzyma się w danej chwili. Zastanawiał się też, czy w dalszym ciągu jest śledzony. Po namyśle musiał sam przyznać, jak mało warte jest podobne życie. Ciągnęła myśl o tym, co będzie dalej, zatrząskiwiała człowieka w podziemnej jamie, w prawdziwym gnieździe strachu. Wszystkie opowieści o tajemnym wszechświecie wywiadu nie wspominały ani słowem o tym, jak wiele tam nieuniknionych upokorzeń. W tych warunkach nie było mowy o jakiegokolwiek niezależności. Człowiek dusił się wśród sprzecznych bodźców.

Spotkanie wyznaczone na ten wieczór u Warfielda zmusiło spanikowanego McAuliffa do pospiesznego kontaktu z Holcroftem. Stało się tak dlatego, że brytyjski agent sam zarezerwował sobie rendez-vous z geologiem, o pierwszej w nocy. Dwadzieścia po dziesiątej zadzwonił jednak telefon. Telefonował ktoś z Dunstone. McAuliff miał o wpół do dwunastej, czyli za godzinę i dziesięć minut, czekać na rogu High Holborn i Chancery.

Tymczasem Holcroft gdzieś przepadł. Pod jego tajnym, prywatnym numerem w Ministerstwie Spraw Zagranicznych nikt najzwyczajniej w świecie nie podnosił słuchawki. Alex nie dysponował innym numerem, tym bardziej że Holcroft wielokrotnie przypominał mu, żeby nie dzwonić na centralę w Foreign Office i nie pozostawiać tam nazwiska. Geolog musiał się też wystrzegać telefonowania z apartamentu w Savoyu. Holcroft dziwnie nie dowierzał centralkom telefonicznym w obu tych instytucjach.

Alex musiał więc wyjść na Strand i dzwonić z kolejnych barów i aptek, czekając aż na linii Holcrofta ktoś wreszcie podniesie słuchawkę. Miał pewność, że jest obserwowany, przez kogo, tego nie wiedział – toteż za każdą bezskuteczną próbą odwieszał słuchawkę gestem skrajnej irytacji. W ten sposób udało mu się, jak sądził, stworzyć osnowę kłamstwa, na wypadek gdyby Warfield chciał zadać mu pytanie na ten temat. McAuliff postanowił skłamać, że próbował się dodzwonić do Alison Booth i odwołać spotkanie w restauracji, wyznaczone na następny dzień. Alex w samej rzeczy umówił się z Alison na wczesne popołudnie, choć tak naprawdę nie miał najmniejszego zamiaru niczego odwoływać. Historyjka zawierała dostatecznie dużo prawdy.

„Zacznąć trzeba zawsze od prawdy... Instynktownie, w sposób naturalny”.
Wskazówki MI-5.

Wreszcie jednak ktoś podniósł słuchawkę u Holcrofta i oświadczył Alexowi beztróskim tonem, że osoba, o którą chodzi, wyszła coś przekąsić.

Przekąsić! Boże miłosierny... Ogólnoswiatowe korporacje, międzynarodowy

spisek politycznych elit, zmowa finansistów, a do tego przekąska.

Nie zwracając uwagi na nerwowość w głosie McAuliffa, rozmówca zapewnił, że zawiadomi Holcrofta. Alexa wcale to nie uspokoiło. Domagał się nadal, by Holcroft czekał pod tym numerem – choćby miał tam tkwić całą noc – aż Alex zatelefonuje po spotkaniu z Warfieldem.

Była za kwadrans dwunasta. Rolls-royce'a model St. James ani widu. McAuliff obrzucił spojrzeniem kilkoro nielicznych przechodniów, brnących przez gęstą mgłę na High Holborn. Nie był pewien, czy któryś z nich nie jest przypadkiem jego opiekunem.

Gniazdo strachu. Alex nie był też pewien, co myśleć o Alison. Już trzeci wieczór z rzędu wybrali się do restauracji. Tym razem jednak Alison wcześniej przerwała spotkanie, tłumacząc, że musi przygotować Wykład. Biorąc pod uwagę komplikacje, jakie nastąpiły potem, można było się tylko cieszyć z takiego obrotu rzeczy.

Alison okazała się dziwną kobietą. Z jednej strony był w niej czysty profesjonalizm, który kazał jej starannie skrywać każdy czuły punkt. Tym samym Alison nigdy nie odważała się wyjść poza żarciki, poza krąg dobrego humoru, który ją chronił. Przerwany śmiech, ciepłe, błękitne oczy, powolny, pełen wdzięku gest, czyniony dłońmi... Wszystko to stanowiło dla Alison swego rodzaju pancerz.

Wybór jej jako uczestnika wyprawy nie nastroczał McAuliffowi najmniejszych trudności – z zawodowego punktu widzenia. Pod tym względem biła o głowę wszystkich kontrkandydatów. Alex uważał, że sam jest jednym z najwybitniejszych specjalistów od skał osadowych na obu półkulach, lecz długo trzeba by go prosić, by stanął w szranki z Alison. Alison Gerrard Booth nie miała sobie równych.

Co więcej, była piękną kobietą. Alex chciał ją ujrzeć na Jamajce.

Długo przygotowywał argumenty, które miały przekonać Warfielda – na wypadek gdyby głupie komputery strzegące Dunstone wypowiedziały się przeciwko uczestnictwu Alison w wyprawie. Spotkanie wyznaczone na ten wieczór miało przypieczętować wybór, jakiego dokonał ostatecznie geolog.

Gdzie się podział ten cholerny czarny parowiec, który tak umiejętnie udawał samochód? Do północy zostało raptem dziesięć minut.

–Przepraszam pana – rozległ się za plecami McAuliffa głęboki, niemal gardłowy głos. Gdy geolog odwrócił się, ujrzał człowieka mniej więcej w swoim wieku, okutanego w brązowy płaszcz w indiańskie wzory. Nieznajomy wyglądał jak doker lub wracający do domu robotnik budowlany.

–Tak?

–Bo wie pan, jestem pierwszy raz w Londynie i chyba się, proszę pana, zgubiłem. Nieznajomy wskazał na tabliczkę z nazwą ulicy, ledwie widoczną we mgle rozpraszanej światłem latarni.

–Tu pisze, że jesteśmy na Chancery Lane, znaczy się niedaleko takiej ulicy, co się nazywa Hatton, bo właśnie na Hatton miałem się spotkać z kumplami. To jak mam tam trafić, proszę pana?

Alex wskazał szerokim gestem w lewo.

–Pójdzie pan w tę stronę, ze dwie czy trzy przecznice.

Obcy również wyciągnął dłoń we wskazaną stronę, gestem wiejskiego prostaczka.

–W tamtą stronę, mówi pan?

–Zgadza się.

Przechodzień parę razy machnął ręką, jak gdyby chciał przydać wagi swoim słowom, i znów zapytał:

–Na pewno, proszę pana?

Jednocześnie zaś zniżył głos i prędko wyszeptał:

–Niech pan się nie rusza, McAuliff. Proszę się zachowywać tak, jakbym dalej pytał pana o drogę. Holcroft będzie czekał na pana w Soho. Znajdzie go pan w nocnym klubie. Lokal nazywa się „Sowa Świętego Jerzego”. Holcroft będzie tam na pana czekał. Niech pan stanie przy barze, on już pana znajdzie. Nieważne, o której godzinie... Prosił, żeby pan już nigdzie nie telefonował. Śledzą pana.

McAuliff przełknął ślinę, zbladł i znów machnął ręką – sam czuł, że trochę zbyt ostentacyjnie – wskazując drogę w stronę Hatton Garden. Prędko wyszeptał przy tym w odpowiedzi:

–Boże! Jeśli mnie śledzą, to pana też.

–Wzięliśmy to pod uwagę...

–Po co się pan przyplątał? Co mam teraz powiedzieć Warfieldowi? Żeby mnie podrzucił do Soho?

–A dlaczego nie? Każdy ma prawo zabawić się na mieście. Nie ma pan na jutro żadnych planów. Co w tym dziwnego? Hazardzistą pan nie jest, ale to jeszcze nie powód, żeby sobie czasem nie usiąść przy zielonym stoliku.

–O rany! Może jeszcze opisz mi pan moje życie intymne?

–Mógłbym, ale nie dzisiaj. – Po czym nieznanemu powrócił gardłowy, północnoangielski akcent. – Bardzo, bardzo panu dziękuję. Taki pan miły. Teraz już na pewno znajdę tych moich kumpli.

Przechodzień oddalił się szybkim krokiem i zniknął we mgle, wiszącej nad rogami ulicy przy Hatton Garden. McAuliff poczuł dreszcz w całym ciele. Zaczęły mu drżeć ręce. Żeby je jakoś uspokoić, sięgnął do kieszeni po papierosa, zadowolony, że może dotknąć zimnego metalu zapalniczki.

Była za pięć dwunasta. Zdecydował, że odczeka, aż upłynie kilka minut po północy, po czym oddali się. Instrukcje nakazywały mu „wrócić do Savoyu”. O terminie następnego spotkania dowie się później. Czy miało to oznaczać, że kolejne spotkanie odbędzie się tejże samej nocy? Może nad ranem? A może słowa „wrócić do Savoyu” znaczyły po prostu, że Alex nie musi już tkwić na rogu High Holbom i może czynić, co mu się żywnie podoba?

Słowa instrukcji były jasne, tyle że można je było odczytać na dwa sposoby. Od niego samego zależało więc, czy – zatrzymując się tu i tam – podąży do Soho na spotkanie z Holcrofem.

Sieć obserwatorów upewni się wówczas, że Warfield nie przybył na umówione miejsce. Istniała taka możliwość.

–O Boże! Co się ze mną dzieje? – pomyślał na głos. – Słowa, znaczenia... Możliwości i alternatywy. Dwuznaczne interpretacje... czego? Rozkazów!

Kto, u diabła, ośmielał się wydawać mu rozkazy!?

Ktokolwiek to był, nie trafił na kukielkę, którą da się popychać w dowolną stronę!

Jednak, patrząc na drżenie własnej dłoni, podnoszącej papierosa do ust, Alex zrozumiał, że musi słuchać rozkazów... Przez pewien czas, i to nie wiadomo jak długi. Przyjdzie mu odsiedzieć wyrok w tym ludzkim piekle. Wolność musi poczekać.

Fosforyzujące wskazówki zegarka pokryły się ze sobą. Północ. Do diabła z całą tą bandą! Pora iść! Trzeba zaraz zadzwonić do Alison i zapytać, czy mógłby o tej porze wpaść na coś mocniejszego... Zapytać Alison, czy wpuści nocnego gościa... Holcroft może sobie czekać w Soho choćby do rana. Gdzie chciał się spotkać? „Sowa Świętego Jerzego”! Też kretyńska nazwa!

Do diabła z Holcroftem!

Od strony Newgate wypadł z mgły rolls-royce, basowym pomrukiem potężnego silnika rozrywając nocną ciszę ulicy. Samochód podjechał do krawężnika, gdzie stał McAuliff, i zahamował raptownie. Kierowca wysiadł, pospiesznie obszedł długą maskę wozu i otworzył przed Alexem tylne drzwiczki.

Wszystko to zdarzyło się tak niespodziewanie, że Alex w pomieszczeniu zdążył tylko odrzucić papierosa i wsiąść do środka. Nie miał kiedy nastawić się na tak szybką zmianę planów. W prawym kącie tylnego siedzenia czekał Julian Warfield. Jego nikła sylwetka prawie ginęła w obszernym wnętrzu limuzyny.

–Przepraszam, że kazaliśmy panu czekać do ostatniej chwili, McAuliff. Coś zatrzymało mnie po drodze.

–Czy zawsze ustala pan spotkania, tak żeby mnie czymś zaskoczyć? Nie powie mi pan, że to zwykła ostrożność – zauważył Alex, który zdążył już się rozgościć na tylnym siedzeniu. Z ulgą stwierdził, że w głosie wróciła mu pewność siebie.

Warfield skwitował kwestię zachrypiałym, starczym śmiechem.

–W porównaniu z Howardem Hughesem jestem zwyczajnym chłopcem na posyłki zauważył.

–Ale i tak nie przestaje mnie pan zaskakiwać.

–Może w takim razie napije się pan czegoś? Preston ma w tym wozie pierwszorzędny barek. – Tu Warfield wskazał na filcowe obicie przedniego siedzenia.

– Wystarczy pociągnąć za tę rączkę.

–Nie, nie. Dziękuję. Może później skusi mnie pan na kieliszek, ale na pewno nie teraz – odparł geolog, karcąc się w myśli: Spokojnie, spokojnie stary, niepotrzebnie dajesz wszystko po sobie poznać. Holcroft może czekać do świtu. Dwie minuty temu sam miałeś ochotę tak go potraktować.

Starszy pan wydobyl z kieszeni marynarki kopertę.

–Najlepiej będzie, jeśli od razu przekażę panu nowiny. Wobec żadnej z tych osób nie wysuwamy zasadniczych obiekcji, nie licząc paru drobiazgów. Wprost przeciwnie, w naszym odczuciu bardzo inteligentnie wywiązał się pan z tej części przygotowań...

Z tego, co mówił Warfield, wynikało, że pierwsza reakcja Dunstone na listę, jaką przedstawił McAuliff, była negatywna. Nie dlatego że kandydaci zagrażali tajności operacji. Tutaj chodziło rzeczywiście o drobiazgi. Nie dlatego żeby kandydatom

brakowało kwalifikacji. I pod tym względem McAuliff przygotował się do swojej roli. Chodziło raczej o zasadniczą koncepcję wyprawy. Sponsorzy z góry odrzucili możliwość udziału kobiet w ekspedycji, nie tyle ze względu na brak odporności na trudy, ile po prostu na niedostatek siły fizycznej. Każda ekspedycja z definicji musiała się składać z mężczyzn. Udział kobiet wszystko niepotrzebnie komplikował, a przynajmniej mógł prowadzić do komplikacji – i to najrozmaitszych.

–Dlatego skreśliłem dwie pierwsze kandydatury na pańskiej liście, zdając sobie sprawę, że jeśli zrezygnuje pan z tej Ruth Wells, odpadnie także jej mąż, Jensen... Wykreśliłem trzy spośród pierwszych pięciu osób. Wiedziałem, że wcale się to panu nie spodoba, ale sam pan przecież wie... Dopiero później zaświtało mi w głowie, że... Do licha, rozumował pan bystrzej od nas wszystkich!

–Nie planowałem żadnych podchodów, panie Warfield. Zebrałem po prostu najlepszą grupę, jaką mogłem. – McAuliff czuł, że powinien wtrącić taki osąd.

–Być może nie zrobił pan tego w pełni świadomie. Zresztą pod względem umiejętności zawodowych jest to rzeczywiście wspaniały zespół. Ale, moim zdaniem, włączenie w jego skład dwóch pań, w tym jednej żony innego uczestnika, na dodatek specjalistek w swoich dziedzinach, w sposób znaczący ulepsza nasz plan.

–Dlaczego?

–Ponieważ taka decyzja, to znaczy udział dwóch kobiet, nadaje całej ekspedycji pozór niewinnej eskapady. Wyprawa zyskuje, że tak powiem, patynę naukowości. Ten akurat aspekt umknął przedtem naszej uwadze. Oddana grupa naukowców obydwójga płci, pod egidą Królewskiego Towarzystwa Historycznego... Taka grupa sprawi o wiele lepsze wrażenie niż ekspedycja złożona z samych mężczyzn. Pierwszy przyznam, że to wyśmienity pomysł.

–Naprawdę nie zaplanowałem tego umyślnie. Szkoda, że muszę pana wyprowadzić z błędu.

–Nie ma mowy o błędzie. Skutek będzie ostatecznie ten sam. Nie muszę dodawać, że zwróciłem współpracownikom uwagę na tę sprawę. Zgodzili się ze mną co do tej taktyki.

–Mam wrażenie, że pańskie otoczenie zgodzi się natychmiast na wszystko, co tylko pan zaproponuje. Ale o jakich to „drobiazgach” mowa?

–Lepiej będzie je określić mianem „dodatkowych informacji”, które zechce pan, być może, przemyśleć. – Starszy pan wyciągnął rękę i przycisnął wyłącznik lampki do czytania. Potem z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyciągnął kilka stron maszynopisu, rozpostarł je i położył obok koperty. Poprawił okulary i wskazał na pierwszą z kartek.

–Mąż i żona, czyli pańscy Jensenowie. Oboje bardzo aktywni w lewicowych kołach politycznych. Marsze pokojowe, demonstracje przeciwko broni atomowej i tak dalej.

–Te sprawy nie mają żadnego wpływu na ich pracę. Wątpię, czy Jansenowie wezmą się za agitację wśród tubylców – skwitował wiadomość McAuliff rozmyślnie znudzonym głosem. Jeżeli Warfield postanowił go sprawdzić za pomocą podobnych „drobiazgów”, trzeba pokazać finansistom, że dla szefa ekspedycji podobne sprawy nie mają znaczenia.

McAuliff poprawił się na siedzeniu i spojrzął na sędziego karzełka, który zaciskając usta, trzymał w kościstych, chudych palcach plik papierów. Stożek żółtego światła barwił mu twarz niezdrowym odcieniem.

–Gdyby tak się jednak stało, to znaczy gdyby nagle Jensenowie uaktywnili się politycznie, sam już będę umiał ich uciszyć... – zaczął Alex. – Z drugiej strony uczestnictwo takich ludzi może okazać się dla pana korzystne. Nikt nie będzie chyba podejrzewał, że świadomie zgodzili się pracować na rzecz Dunstone Limited.

–Właśnie – przytaknął cicho Warfield. – To także przyszło nam do głowy... A co do tego młodego Fergusona, słyszałem, że pogniewali się na siebie z fundacją Crafta.

–Ferguson dokonał bardzo istotnego odkrycia. Chodziło o włókna barakao, właśnie nimi zajmował się na Jamajce. Craft wystraszył się całej sprawy i zamroził wszystkie fundusze badawcze.

–Ale nam z kolei nie zależy na konfliktach z Craftem. Wręcz przeciwnie. Fakt, że przyjechał z panem także Ferguson, może narobić złej atmosfery. A Craft to na Jamajce potęga.

–Ferguson to najlepszy spec z możliwych. Jego główny kontrkandydat nie dorasta mu do pięt. O pozostałych szkoda nawet gadać. Dopilnuję, żeby Ferguson nie pchał się w oczy ludziom Crafta.

–To bardzo istotne. W przeciwnym razie nie zgadzamy się na jego udział w wyprawie.

Z informacji zaczerpniętych z banku danych koncernu Dunstone wynikało ponadto, że czarny naukowiec i dandys, Charles Whitehall, cierpi na swego rodzaju rozszczepienie osobowości. Poglądy polityczne plasowały go wśród prawicy, jako że Whitehall był skrajnym konserwatystą i gdyby pozostał na wyspie, łatwo mógłby stanąć na czele licznych w Kingston reakcjonistów. Wcześniej jednak zorientował się, że na Jamajce jego perspektywy są mizerne. Fakt ten bardzo go rozgoryczył. Warfield pospieszył jednak dodać, że balast negatywnych informacji równoważą u Whitehalla plusy, wśród nich przede wszystkim naukowa pozycja Murzyna. Na jego korzyść przemawiało też oczywiste zaangażowanie w sukces wyprawy. Przy takim składzie grupy, nikt nie mógł oskarżyć organizatorów o merkantylizm. Zagmatwany portret Whitehalla komplikował dodatkowo jeszcze jeden fakt – Murzyn posiadał potrójny czarny pas i uprawnienia instruktorskie w jukato, trudnej i śmiertelnej odmianie japońskiego judo.

–Nasi informatorzy w Kingston byli zachwyceni, że udało się panu dokooptować tego Whitehalla. Podejrzewam, że chcą mu zaoferować samodzielną katedrę na Uniwersytecie Indii Zachodnich. Moim zdaniem powinien się zgodzić, jeżeli tylko zaproponują mu dostatecznie dużo pieniędzy... Cóż, przejdźmy do ostatniej pro pozycji. – Warfield zsunął z nosa okulary i odłożył je na kolana, między papiery, po czym roztarł sobie nasadę cienkiego, kościstego nosa. – Mówię o pani Booth. Alison Gerrard Booth.

Alex poczuł ukłucie niechęci. Warfield zdążył mu już przecież oświadczyć, że zgadza się na udział Alison. Geolog wcale nie miał ochoty poznawać intymnych,

prywatnych faktów, wygrzebanych ze śmietnika przez bezdusznych urzędników z Dunstone i przez ich szemrzące maszyny.

–I co takiego mi pan mówi? – zapytał Warfielda ostrożnie. – Jej dokonania mówią same za siebie.

–Bez wątpienia. Nie brakuje jej kwalifikacji... A do tego bardzo jej pilno opuścić Anglię.

–Wyjaśniła mi, dlaczego tak jest, a ja uwierzyłem. Pani Booth otrzymała nie dawno rozwód, jak się domyślam, w niezbyt dla niej miłych okolicznościach... Wie pan, opinia otoczenia.

–Aha, więc tak panu wszystko wytłumaczyła.

–Tak. I wierzę, że powiedziała prawdę.

Warfield znów włożył okulary i sięgnął po kolejną z leżących przed nim kartek.

–Obawiam się, że nie wie pan wszystkiego, panie McAuliff. Czy na przykład pani Booth mówiła panu, kim jest jej były mąż? I z czego się utrzymywał?

–Nie mówiła. A ja nie pytałem.

–No, tak... Cóż, uważam, że powinien pan jednak coś o tym wiedzieć. David Booth pochodzi z bardzo znanej rodziny. Posiada bodajże tytuł wicehrabiowski, co nie zmienia faktu, że ostatniego funta szterlinga ród ten wydał dobre pokolenie temu. Booth jest współwłaścicielem spółki importowo-eksportowej, chociaż z ich księgowości wynika, że dochody wystarczają mu najwyżej na najskromniejsze potrzeby... A mimo to mąż pana kandydatki żyje na niezmiernie szerokiej stopie. Kilka domów, zarówno w Anglii, jak i na kontynencie, drogie samochody, członkostwo w co lepszych klubach... Coś się tutaj nie zgadza, prawda?

–Też tak sędzę. W czym kryje się tajemnica?

–W narkotykach – odrzekł Julian Warfield tak beztrosko, jak gdyby McAuliff zapytał go, która godzina. – David Booth pracuje jako kurier dla francusko-amerykańskiej organizacji, aktywnej głównie na Korsyce, w Bejrucie i w Marsylii.

Obaj rozmówcy przez kilka chwil siedzieli bez słowa. McAuliff doskonale rozumiał, o co chodzi, toteż postanowił przerwać milczenie uwagą:

–Alison Booth uczestniczyła w badaniach na Korsyce, w Iranie... I na południu Hiszpanii. Chce mi pan zasugerować, że brała udział w przemyśle.

–Może i tak, chociaż mało to prawdopodobne. Jeżeli nawet, nie czyniła tego świadomie. Z jakiegoś powodu ostatecznie rozeszła się z tym draniem. Mamy pewność, że dowiedziała się wszystkiego o działaniach męża i boi się teraz zostać w Anglii. Naszym zdaniem, pani Booth nie zamierza tu wracać.

Znowu zapadło milczenie, przerwane wreszcie przez McAuliffa:

–Kiedy wspomniał pan o obawach, czy chodziło panu o jakieś pogrożki wobec pani Booth?

–Niewykluczone. Na niebezpieczeństwo naraża ją wszystko, czego się dowiedziała, najmniejszy szczegół. Booth bardzo źle przyjął jej pozew o rozwód. Nie dlatego żeby aż tak kochał żonę, chociaż ogólnie rzecz biorąc ma ogromny pociąg do kobiet. Domyślamy się raczej, że jego reakcja miała związek z podrózkami pani Booth. – Warfield złożył stronicę maszynopisu i na powrót ukrył je w kieszeni

płaszcz.

–No, no... – odezwał się Alex. – Jest to dla mnie małe... trzęsienie ziemi. Nie bardzo wiem co teraz.

–Przekazałem panu te informacje na temat pani Booth, ponieważ uznałem, że z czasem sam by się pan wszystkiego dowiedział. Chcieliśmy więc pana z góry przygotować... Ale na pewno nie zniechęcać.

McAuliff odwrócił się raptownie w stronę Warfielda.

–Chcecie, żebym ją zabrał, bo ktoś taki... Na pewno może się wam przydać. Nie dlatego że jest dobrym geologiem.

Spokojnie, chłopie, spokojnie – skarcił się w myśli.

–Niczego nie można wykluczyć w naszych skomplikowanych czasach.

–Nie zgadzam się.

–Bo jeszcze się pan dobrze nie zastanowił. Panuje wśród nas zgodna opinia, że pani Booth będzie na Jamajce o niebo bardziej bezpieczna niż w Londynie... Jest to przecieź dla pana jakiś argument, czyż nie? W ciągu ostatniego tygodnia niejednokrotnie widziano was razem.

–Nie zgadzam się też na to, żeby się za mną ktoś szwendał, – Było to jedyne, co przyszło Alexowi do głowy w odpowiedzi.

–Jakkolwiek się sprawy miały, zastosowaliśmy minimalne środki i to jedynie dla pańskiego dobra – uspokoił go prędko Warfield.

–Co to znaczy? Niech mi pan powie, na litość boską, przed czym to czy przed kim trzeba mnie chronić? – McAuliff spojrzał groźnie na staruszkę. Dopiero w tej chwili poczuł, jak bardzo go nie cierpi. Nie miał pojęcia, czy Warfield nie okaże się równie tajemniczy co Holcroft, gdy go zapytać o ochronę. A może wyjawi, że obecna wyprawa nie jest pierwszą grupą, która wyrusza na Jamajkę? Na wszelki wypadek dodał więc: – Myślę, że mam prawo do takich informacji.

–Wszystkiego się pan dowie. Najpierw jednak chciałbym pokazać panu te papiery. Myślę, że spodoba się panu nasz sposób załatwiania interesów. – Warfield rozchylił nie zaklejoną kopertę i wydobyl kilka wiotkich stroniczek, przypiętych do arkusza papieru listowego z nadrukiem. McAuliff ujrzał przed sobą przebitkową kopię umowy wstępnej, jaką podpisali z Warfieldem tydzień wcześniej w Belgravii. Wyciągnął rękę ku sufitowi, pstryknął wyłącznikiem swojej własnej lampki do czytania, wyjął dokumenty z dłoni Warfielda i przerzucił kartki, zatrzymując wzrok na grubszym arkuszu papeterii. Nie była to jednak strona papieru listowego, lecz kserokopia akredytywy bankowej dotyczącej przelewu. Dokument pochodził z Chase Bank w Nowym Jorku. Po lewej stronie uwidoczniło na nim sumę wpłaconą na rachunek McAuliffa przez szwajcarski koncern przemysłowy; po prawej wyszczególniono podatki od wpłaconej sumy, określonej jako prywatny dochód i uregulowane już zarówno u władz szwajcarskich jak i w Urzędzie Podatkowym Stanów Zjednoczonych.

Po opłaceniu podatków suma wynosiła trzysta trzydzieści trzy tysiące dolarów amerykańskich.

Geolog podniósł wzrok na Warfielda.

–Pierwsza rata miała się równać jednej czwartej sumy kontraktu. Umawialiśmy się, że otrzymam ją po rozpoczęciu prac, a konkretnie po przybyciu do Kingston. Do tamtej chwili miał pan tylko pokrywać moje bieżące wydatki i, w przypadku rozwiązania umowy, wypłacić mi po dwieście dolarów za każdy dzień przygotowań. Skąd ta zmiana?

–Bardzo zaimponował nam pan rozmachem przygotowań do wyprawy. Chcieliśmy okazać panu w ten sposób naszą dobrą wolę.

–Jakoś nie bardzo wierzę...

–A oprócz tego – Warfield podniósł głos, nie zważając na słowa Alexa – nie zauważyłem, żebyśmy tym krokiem zmienili warunki umowy.

–Widziałem, co podpisywałem.

–Widocznie jednak niezbyt dokładnie... Proszę, niech pan zerknie na kontrakt. Napisane jest w nim wyraźnie, że otrzyma pan minimum, podkreślam, minimum dwadzieścia pięć procent całej sumy, znów podkreślam, najpóźniej do godziny siedemnastej dnia, który uznamy za Chwilę rozpoczęcia pomiarów. Umowa nie wspomina ani słowem, że nie wolno nam wypłacić panu więcej niż dwadzieścia pięć procent. Nie ma tu też klauzuli, która uniemożliwiałaby wcześniejszą wypłatę. Spodziewaliśmy się, że będzie pan bardziej zadowolony... – Starszy pan złożył rączki, upodabniając się tym gestem do miniaturowego Gandhiego, tyle że w garniturze z Saville Row.

McAuliff znów przestudiował akredytywę bankową z Chase.

–Ten przelew określa kwotę jako honorarium za usługi już wyświadczone prze ze mnie. Końcowa data jest dzisiejsza. Zapłacił mi pan jednym słowem za to, co zrobiłem do tej pory, to jasne. Niełatwo byłoby panu odzyskać tę sumę, gdybym się rozmyślił co do wyjazdu na Jamajkę. Zresztą biorąc pod uwagę pańskie paranoiczne przywiązanie do dyskrecji, nie wszczynałby pan pewnie nawet awantury... Nie, panie Warfield, takie pociągnięcie naprawdę nie leży w pańskim stylu.

–Więcej wiary w ludzi, McAuliff. Pańskie pokolenie oduczyło się ufać komukolwiek. – Finansista uśmiechnął się dobrotliwie.

–Nie chciałbym wyjść na gbura, ale nie dam centa za to, czy pan tak bardzo wierzy w ludzi. Kto tu mówi o ufności? Z pana jest już prędzej manipulant niż kaznodzieja... Powtarzam, nie pasuje mi do pana ta hojność.

–Dobrze więc. – Warfield rozplótł delikatne dłonie, wciąż zachowując w żółtawym świetle pozę Gandhiego. – Chodzi tak naprawdę o ochronę, o której wspomniałem i która się tak panu nie podoba, może i słusznie... Jest pan teraz jednym z nas, McAuliff. Alexander Tarquin McAuliff, ważny, jeśli nie najważniejszy element planów koncernu Dunstone. W uznaniu dla pańskiego wkładu wnieśliśmy do naszej rady nadzorczej wnioski o to, by mianować pana jednym z jej członków, oczywiście nie reklamując tego faktu. Co za tym idzie, wypłacone panu sumy – brutto około miliona dolarów – stanowią zaliczkę kwot, jakie będą się panu należały jako udział w zyskach. Sam pan słusznie powiedział, że byłoby dziwne z mojej strony, gdybym zgodził się wypłacić komuś tak duże pieniądze bez stawiania warunków.

–Do czego pan zmierza, u diabła?

–By ująć rzecz bez ogródek, niech panu nie postanie w głowie zaprzeczyć się naszej organizacji. Jest pan odtąd naszym stałym, dobrowolnym współpracownikiem. Gdyby kiedykolwiek, obojętnie z jakiej przyczyny, zaświtało panu, że nie podoba się panu Dunstone, proszę nie próbować działania na własny rachunek i tak nikt panu nie uwierzy.

McAuliff nie odrywał groźnego spojrzenia od starszego pana, który uśmiechał się teraz z humorem.

–Dlaczego miałbym próbować się od was odciąć? – zapytał cicho geolog.

–Mamy podstawy uznać, że istnieją... siły, którym bardzo zależy na tym, by powstrzymać nasze prace. Ci ludzie mogą chcieć się z panem skontaktować. Być może już się skontaktowali. Pana przyszłość wiąże się jednak z nami i z nikim innym. To kwestia pieniędzy, ale może także i wiary. A już na pewno kwestia prawnie zobowiązującej umowy.

Alex odwrócił się od rozmówcy. Rolls-royce wtoczył się między budynki na New Oxford, skręcił na południe w Charing Cross, a potem znowu na zachód, w stronę Shaftesbury. Zbliżali się do pierwszych neonów przy Picadilly Circus. Ich bajecznie kolorowe błyski ledwo prześwitywały przez gęstą mgłę.

–Do kogo tak nerwowo próbował się pan dodzwonić cały wieczór? – zapytał starszy pan. Z jego twarzy zdążył zniknąć uśmiech.

McAuliff raptownie odwrócił się od okna.

–Powiedziałbym, żeby pan pilnował swego nosa, ale dobrze, dzwoniłem do pani Booth. Chociaż niekoniecznie nerwowo. Umówiliśmy się na jutro, żeby coś zjeść. Jeżeli byłem poirytowany, to tylko dlatego że umawia się pan ze mną na ostatnią chwilę, a mnie z kolei nie wypada dzwonić do pani Booth po pomocy. A pan myślał, że do kogo dzwonię?

–Po co ten ostry ton...?

–Zapomniałem – przerwał Alex – że zależy panu na tym, by mnie chronić. Przed „siłami”.

–Stać mnie na precyzyjniejsze określenie. – Julian Warfield prześwidrował Alexa wzrokiem tak twardym, jak jeszcze nigdy przedtem. – Nie ma sensu, żeby coś przede mną ukrywać, więc proszę mi powiedzieć prawdę. Panie McAuliff, co mówi panu słowo „Halidon”?

VI

Jękliwa, histeryczna kakofonia podsycanej narkotykami muzyki rockowej zadawała uszom fizyczny ból. Tylko niewiele mniej od uszu cierpiały w tym wnętrzu oczy, drażnione do łez gęstymi, półprzeźroczystymi obłokami dymu. Nozdrza wychwytywały natychmiast wonną słodkość tytoniu, przemieszana z aromatem marihuany i haszyszu.

McAuliff przedarł się przez poplątany gąszcz miękkich ciał. Delikatnie, ale stanowczo rozdzielał osobne, wijące się ręce i ramiona, dopóki nie udało mu się wreszcie dotrzeć do przeciwległego końca baru.

Euforia rozfalowanej klienteli „Sowy Świętego Jerzego” osiągała tymczasem szczyt. Błysk psychodelicznych reflektorów rozpryskiwał się po ścianach i suficie w rytmicznym crescendo. Ciała wyginały się w przód, to znów zapadały i wiły na boki. W całym lokalu nie było chyba nikogo, kto stałby prosto. Tłum kołysał się i wirował, wtórując oszalałej muzyce.

Holcroft siedział w osobnej, półkolistej loży, w towarzystwie pięciu innych osób – dwóch mężczyzn i trzech kobiet. Alex zatrzymał się i korzystając z tego, że przed wzrokiem agenta zasłania go gromada pijanych, roztańczonych gości, przyjrzał się bliżej towarzystwu przy stoliku. Widok był zabawny – nie tyle ironiczny, ile po prostu śmieszny. Holcroft i jego podstarzały kolega przyszli w garniturach i krawatach, dwie spośród trzech kobiet również miały na sobie eleganckie suknie, a oprócz tego były dobrze po czterdziestce. Pozostała para bardziej pasowała do wnętrza: i on, i ona byli młodsi i wyraźnie obcy z podobnymi sytuacjami. Zamiast garniturów mieli na sobie skóry i mnóstwo błyskotek, a długie włosy przewiązali przepaskami. Łatwo było natychmiast ocenić tę scenę: oto rodzice pozwolili się dać zaprosić dzieciom na wypad do miasta i dzielnie, choć z trudem udają teraz, że się świetnie bawią. McAuliffowi stanęły w myśli słowa mężczyzny na High Holborn. „Niech pan stanie przy barze, on już pana znajdzie”. Pozostawało tylko precyzyjnie się do mahoniowego kontuaru i wykrzyknąć zamówienie pod adresem typowego dla Soho czarnego barmana z burzą rozkudłanych włosów. Geolog nie wiedział, kiedy Holcroft zdecyduje się podejść. Miał nadzieję, że niedługo. Miał Brytyjczykowi niejedno do powiedzenia.

–Przepraszam, ale nie pomyliłem się chyba? Pan jest McAuliff, nie? – Nagły okrzyk spowodował, że Alex rozlał część whisky. Osobą, która wołała, był młody długowłosy, który przedtem siedział obok Holcrofta. Agent nie marnował czasu.

–Tak, a co?

–To rodzice mojej dziewczyny poznali pana. Chcą, żeby się pan do nas przysiadł.

Następne chwile przypominały McAuliffowi teatr w teatrze. Krótka, wystudiowana etiuda o nieznośnie banalnym dialogu odegrała się na oczach znudzonej widowni, złożonej z innych, bardziej energicznych aktorów. Jednak nawet ta scenka przyniosła niespodziankę, która McAuliffowi kazała inaczej spojrzeć na zawodowe talenty Holcrofta.

McAuliff odkrył mianowicie, iż drugi mężczyzna przy stoliku to rzeczywiście stary znajomy, podobnie jak jego żona. Nie żeby zaraz kumpel, ale zawsze znajomy.

Spotkali się w przeszłości, ze dwa czy trzy razy, podczas poprzednich wypadów geologa do Londynu. Ludzi tego typu nie rozpoznaje się na ulicy – czy nawet w „Sowie Świętego Jerzego” – natychmiast. Dopiero po chwili zastanowienia przypomniał sobie, z kim rozmawia.

Holcrofta przedstawiono Alexowi prawdziwym nazwiskiem. McAuliff usiadł właśnie obok niego.

–Jak pan to zorganizował, do licha? – udało się Alexowi zapytać po pięciominutowej torturze zupełnie nieistotnych plotek z parą znajomych. – Pana towarzystwo wie, kim pan jest?

–Proszę się śmiać od czasu do czasu – napomniał go Holcroft ze spokojnym, wystudiowanym uśmiechem. – Nie, myślę że jestem zwyczajnym trybikiem gdzieś głęboko w rządowej maszynie, dodaję kolumny liczb w ciemnej klitce jakiegoś ministerstwa... Musiałem tak to wszystko urządzić. Warfield podwoił liczbę pańskich opiekunów. Bardzo nam się to nie podoba. Mógł nas nawet spostrzec chociaż oczywiście sam nie bardzo w to wierzę.

–Coś już na pewno spostrzegł, gwarantuję to panu – Alex wyszczerzył się, lecz uśmiech wyszedł mu zupełnie fałszywie. – Muszę z panem porozmawiać, o wielu sprawach. Gdzie się możemy spotkać?

–Tutaj. Teraz – padła odpowiedź Brytyjczyka. – Od czasu do czasu niech pan zamieni dwa słowa z resztą towarzystwa, wtedy nikt nie będzie się dziwił, że nawiązał pan ze mną rozmowę. W ten sposób będziemy mieli nawet pretekst, żeby za parę dni umówić się w jakiejś restauracji czy w barze.

–Odpada. Pojutrze rano odlatuję do Kingston.

Holcroft zamarł ze szklanką podniesioną w pół drogi do ust.

–Tak Szybko? Nie spodziewaliśmy się tego.

–To i tak głupstwo, w porównaniu z następną sprawą... Warfield wie o istnieniu Halidonu. A to dlatego że zapytał mnie, co mi mówi to słowo.

–Co proszę?!

–Ale, ale, panie McAuliff! – zakrzyczano do nich przez blat stolika. – Pan na pewno będzie znał Bensonów, tych z Kentu...?

Alex pomyślał, że przerwano im w samą porę. Holcroft zareagował na ostatnią nowinę ze zdumieniem, które przeszło zaraz w pełną złości rezygnację. Dzięki temu, że rozmowa zeszła na nikomu dobrze nie znanych Bensonów, agent miał czas na zastanowienie. Alex zaś chciał, żeby Holcroft dobrze sobie wszystko przemyślał.

–Co panu właściwie powiedział? – zapytał w końcu agent Wirujące, psychodeliczne reflektory puszczały teraz na ich stolik ostre kliny światła, od których twarz Holcrofta przybrała błazeński wygląd. – Proszę mi powtórzyć wszystko słowo w słowo.

–Co mówi panu słowo „Halidon”? Powiedział tylko tyle.

–A pan co na to?

–A co miałem powiedzieć? Przecież sam nie wiem. Powiedziałem mu, że to takie miasteczko w New Jersey.

–Że jak, proszę?

–Halidon, stan New Jersey. Takie miasteczko.

–Wydaje mi się, że inaczej się pisze. I inaczej wymawia... I co, uwierzył w pańską niewiedzę?

–Czemu miał nie uwierzyć? Ja naprawdę niczego nie wiem.

–Ale ukrył pan przed nim fakt, że słyszał pan już to słowo? To ogromnie ważne!

–Tak... Wydaje mi się, że owszem. Tak naprawdę martwiło mnie zupełnie co innego. Kilka spraw...

–Czy Warfield wracał później do swojego pytania? – uciął agent.

–Nie, już nie. Popatrzył mi tylko w oczy, ale więcej już nie wymieniał tej nazwy. A co się za nią kryje, pańskim Zdaniem?

Na ich stolik zatoczył się nagle jeden z wirujących, oszołomionych muzyką tancerzy. Oczy miał nieprzytomne, wargi rozchylone w nie kontrolowanym grymasie.

–Co ja widzę, tatusiowie z mamusiami! – wybełkotał. Akcent miał twardy, wprost z Yorkshire. – Pooglądajcie sobie pantomimę! Ładnie tu, co?

–Cholera! – uderzenie w stolik sprawiło, że Holcroft oblał się koktajlem.

–Ojej, zadzwoń po służącego, dziadziu! I poskarż się, że wszystko przez ten Edynburg – dobiegły ich dalsze bełkotliwe słowa. – Kolesie z Edynburga! Ci to mają pomysły... – wykrztusił z siebie jeszcze zabląkany tancerz, po czym zniknął równie nagle, jak się pojawił. Druga starsza para przy stoliku troskliwie zajęła się Holcroftem, złorzeczając zarazem na klientelę „Sowy Świętego Jerzego”. Młodszy mitygowali ich, jak mogli, łagodząc sytuację.

–Nic się nie stało, po prostu głupstwo – z humorem odezwał się agent. – Ot, mokra plama. Nie ma o czym mówić.

Wyjął chusteczkę i zaczął wycierać sobie gors. Towarzystwo wróciło do przerwanych rozmów, Brytyjczyk zaś szybko nachylił się ku McAuliffowi i szepnął, maskując to, co mówił, uśmiechem rezygnacji:

–Mam mniej niż sześćdziesiąt sekund. Jeśli będzie to konieczne, jutro skontaktujemy się z panem.

–Zaraz, czy to zderzenie było sygnałem?

–Tak. Proszę teraz słuchać i notować wszystko w pamięci. Nie mam czasu powtarzać po dwa razy. W Kingston przez jakiś czas będzie pan musiał działać na własną rękę. Mówiąc szczerze, nie byliśmy przygotowani na tak bliską datę...

–Zaraz, chwileczkę! – przerwał McAuliff stłumionym, przepelnionym złością głosem. – Niech pana szlag trafi! Sam niech pan posłucha i... zanotuje sobie.

Gwarantował mi pan pełne bezpieczeństwo, całodobowy kontakt z waszymi ludźmi. Tylko dlatego się zgodziłem...

–Nic się nie zmieniło w naszej umowie – uspokoił go pospiesznie Holcroft, uśmiechając się po ojcowsku. Uśmiech ten zupełnie nie pasował do dyskretnie wrogiego tonu, jakim zaczęli rozmawiać. – Nadal będzie pan miał kontakty. Zapisał pan w pamięci osiemnaście czy dwadzieścia nazwisk, więc...

–Wszystkie z północnej części wyspy, nie z Kingston! Miał mi pan dostarczyć namiary ludzi w Kingston.

–Postaram się, żeby jutro miał je pan w ręku.

–I co mi po nich?!

–Tyle musi panu na razie wystarczyć, McAuliff- rzekł Holcroft zimno. – W Kingston, przy Duke Street, po wschodniej stronie Parku Wiktorii, znajdzie pan sklep rybny. Na szyldzie będzie nazwa „Tallon”. W ostateczności, ale tylko w ostateczności, może pan przekazać mi wiadomość przez właściciela sklepu. Pozna go pan, bo ma prawą rękę zniszczoną artretyzmem. Powtarzam panu jednak, ten człowiek to jedynie skrzynka kontaktowa. Poza tym na nic się panu nie przyda... A teraz na prawdę muszę już iść.

–Mam do pana jeszcze parę spraw. – Alex zatrzymał Holcrofta, kładąc mu dłoń na ramieniu.

–Innym razem.

–Dobrze, jedną sprawę... Alison Booth. Wiedział pan o wszystkim, tak?

–To znaczy o jej mężu?

–Tak.

–Wiedzieliśmy, oczywiście. Szczerze mówiąc, z początku myślano nawet, że to ludzie z Dunstone podsunęli ją panu... Nadał nie możemy tego wykluczyć. Aha, pytał pan, dlaczego Warfield zrobił wzmiankę na temat Halidonu. O co mu naprawdę chodziło? W mojej ocenie Warfield wie dokładnie tyle co i my. I równie usilnie jak my próbuje się czegoś dowiedzieć.

Z energią, której można by się było spodziewać u dużo młodszej osoby, Holcroft wstał, mijając McAuliffa wyśliznął się z łoży i przeprosił pozostałych. McAuliff siedział teraz obok starszej kobiety, która, jak się domyślał, przyszła właśnie z Holcroftem. Kiedy przedstawiano go towarzystwu, nie dosłyszał imienia kobiety, lecz kiedy teraz na nią spojrział, nie musiał o nic pytać. W oczach kobiety widać było niepokój. Nie niepokój. Lęk. Próbowwała nie okazywać po sobie strachu, lecz bezskutecznie. Nawet wymuszony uśmiech zniknął jej co chwila z twarzy;

–Ach, więc to pan jest tym młodym człowiekiem... – pani Holcroft urwała i podniosła kieliszek do ust.

–Młodym albo i nie takim młodym – odezwał się McAuliff, patrząc na trzęsącą się dłoń żony Holcrofta. Czuł w ciele identyczne drżenie, kiedy godzinę wcześniej rozmawiał z Warfieldem. – Nie sposób tutaj porozmawiać w takim hałasie. A do tego jeszcze to okropne migotanie.

Pani Holcroft albo nie dosłyszała, albo nie zwróciła uwagi na te słowa. Na jej wystraszonej twarzy tańczyły pomarańczowe, żółte i mdłozielonkawe plamy psychodelicznych świateł. Alex pomyślał ze zdziwieniem, że do tej pory w ogóle nie wyobrażał sobie Holcrofta jako ojca rodziny, czy w ogóle kogoś, kto poza życiem zawodowym ma jeszcze żonę i bliskich.

Kiedy się zastanawiał nad tymi pomijanymi dotąd elementami rzeczywistości, kobieta złapała go nagle za rękę i nachyliła się ku niemu. W szalejącym zgiełku, w kaskadzie oślepiających, rozskakanych świateł, pani Holcroft szepnęła Amerykaninowi do ucha:

–Na litość boską, niech pan idzie za nim!

Rozfalowane ciała tworzyły żywy, skaczący i zbity mur. McAuliff wdarł się między

nie całym impetem, przepychając się, klinując i wywijając łokciami. Obrzucany przekleństwami, przebił sobie wreszcie korytarz na drugą stronę parkietu. Próbował odnaleźć wzrokiem oszołomionego tancerza, który dał sygnał Holcroftowi, zderzając się z ich stolikiem. Łącznik zniknął gdzieś jednak.

Naraz, na samym końcu zatłoczonego, migotliwego kwadratu sali McAuliff ujrzał kilku mężczyzn, którzy pospiesznie wpychali w wąski korytarzyk szamoczącą się postać. Był nią Holcroft. McAuliff znów wpadł między tańczących, przebijając się ku tylnej części sali. Wysoki Murzyn zaczął protestować i powstrzymywać atak Amerykanina:

–Ejże, *mon!* Hola! Dość tego, myślisz, że to twój lokal? Mnie się nie wydaje!

–Z drogi! Zabieraj ode mnie te łapy, do cholery!

–Z rozkoszą. – Murzyn oderwał dłonie od klap marynarki geologa, zwinął rękę w ciasną pięść i z całych sił rąbnął McAuliffa w żołądek. Siła uderzenia w połączeniu z całkowitym zaskoczeniem sprawiły, że McAuliff zgiął się wpół.

Wyprostował się jednak najszybciej jak umiał i mimo Ostrego bólu spróbował złapać Murzyna za ubranie. W połowie gestu czarny wywinął mu się jakimś cudem, posyłając McAuliffa między najbliższych tancerzy, którzy i tak na nic już nie zwracali uwagi. Gdy Alex pozbierał się z podłogi, Murzyna już nie było.

Chwila była bardzo dziwna i bardzo bolesna.

Od dymu i towarzyszącego aromatu Alexowi zakręciło się w głowie. Potem nagle doznał olśnienia. Wziął parę głębokich wdechów. Cios w brzuch zatkał go na dobrą chwilę. Z mniejszą już siłą, lecz z niezłomnym uporem McAuliff znów ruszył przez tańczący tłum w stronę korytarzyka.

Przesmyk prowadził ku toaletom. Na prawo widniały drzwi z napisem „dla kurek”, na lewo „dla kogutków”. Na samym zaś końcu przejścia widać było potężne drzwi z grubym skoblem i monstrialną kłódką. Całość miała niewątpliwie uświadamiać bywalcom „Sowy Świętego Jerzego”, iż wyjście jest tylko jedno. Przed wyjściem z lokalu goście muszą zapłacić rachunki.

Skobel zerwał ktoś jednak, a potem znów nieporadnie osadził w drewnianych drzwiach. Zakrzywiony metalowy bolec, teraz o dwa centymetry za krótki, nie blokował już drogi.

McAuliff szarpnął za skobel i rozwarł drzwi. Znajdował się na ciemnym, bardzo ciemnym podwórku, pełnym odpadków i kubłów na śmieci. Nie świeciła się tu dosłownie ani jedna żarówka, więc za jedyne oświetlenie miał przesycone mgłą nocne niebo i odblask z okien sąsiednich, obskurnych kamienic. Tuż przed sobą ujrzał ceglany mur. Na prawo zaułek skręcał, mijał tylne wejścia jakichś sklepów i kończył się zamurowaną ślepą ścianą. Na prawo, między ścianą „Sowy” a następnym domem, widniała luka. Przejście, zastawione kubłami tak samo jak podwórko i przesycone ich smrodem, prowadziło na główną ulicę.

McAuliff popędził wybetonowanym zaułkiem, którego zarysy widział teraz w świetle latarni ulicznych. Od chodnika dzieliło go raptem siedem metrów, kiedy ujrzał pod nogami pierwszą plamę. A właściwie plamkę: pierwszy z serii ciemnoczerwonych rozbryzgów.

Wypadł na ulicę, gdzie wieczorne tłumy dawno już się przerzedziły. Nawet w Soho przychodzi wreszcie godzina duchów. Cały zgiełek przenosił się o tej porze do wnętrza prywatnych klubów, do otwartych aż do świtu szulerni i do łóżek przybytków, gdzie zależnie od zapłaty każdy mógł znaleźć odpowiadający mu rodzaj seksu. Amerykanin rozejrzał się po chodniku, próbując wychwycić jakieś zakłócenie, wir w ludzkim potoku. Szamotaninę, zator.

Wszystko wyglądało normalnie.

Znów przeniósł więc wzrok na płyty chodnika. Krwawe rozbryzgi zacierały się już, rozmazywane butami wciąż licznych przechodniów. Ostatnia plamka krwi spadła tuż przy krawężniku. Holcrofta załadowano tam widocznie do wnętrza auta.

Bez jakiegokolwiek ostrzeżenia McAuliff poczuł nagle na plecach napór pary rąk. W ostatnim ułamku sekundy zdążył tylko ustawić się bokiem do napastnika, właściwie niechcący, bo odwrócił się w tejże samej sekundzie, po to by przyjrzeć się migotaniu neonu nad głową. Tylko ten drobny gest sprawił, że nie wypchnięto go z wielką siłą na jezdnię. Na jezdnię wypadł za to rozpędzony napastnik, potężny Murzyn, który zdążył zrobić trzy kroki, zanim zmiotł go zderzak pędzącego ulicą bentleya. Samochód gnał z niesamowitą szybkością. McAuliff poczuł jeszcze nagle pieczenie w twarzy. Potem przód samochodu zetknął się z ciałem Murzyna. Krótki krzyk był ostatnim dźwiękiem, jaki wydał napastnik. Pisk kół przypieczętował na oczach Alexa to, co wydawało się tak nierzeczywiste. Bentley ruszył z maksymalną szybkością, rozgniatając ciało Murzyna, i zniknął za rogiem, zarzucając w lewo. Opony dotknęły krawężnika, zawarczały w powietrzu i znów dotknęły asfaltu, unosząc samochód w dal. Przechodnie nawet nie zdążyli krzyknąć. Mężczyźni biegli przed siebie, uliczne kurwy chroniły się w bramach, ich alfonsi chwyтали się za kieszenie, McAuliff zaś wciąż stał nad zmasakrowanym, okrwawionym ciałem, zdając sobie sprawę z tego, że to on sam, nie Murzyn, miał tej nocy leżeć na asfalcie.

Biegł przed siebie ulicami Soho, nie wiedząc dokąd. Byle dalej. Byle dalej od tłumu, który zbierał się za nim na chodniku. Lada chwila zaczną się pytania, spisywanie świadków... Każdy z przechodniów będzie umiał wskazać człowieka, który stał najbliżej miejsca wypadku – nie tylko stał, lecz sam brał w nim udział, jak uświadomił sobie zaraz Alex. Nie mógłby udzielić policji żadnej sensownej odpowiedzi, a instyktownie domyślał się, że nie wolno mu się dać zidentyfikować. Przynajmniej do chwili, kiedy będzie już umiał podać policji odpowiedź.

Przejechany Murzyn był tym samym, który zaczepił go w „Sowie Świętego Jerzego”, co do tego McAuliff miał pewność. Był tym samym napastnikiem, który uderzył go tak potężnie w żołądek na parkiecie i wykręcił mu rękę, odrzucając go między rozwirowanych tancerzy. Ten sam Murzyn nie pozwolił mu więc dogonić Holcrofta w korytarzyku, który obok drzwi „dla kurek” i „dla kogutków” prowadził w mrok zaułka za lokalem. Dlaczego Murzyn próbował go zatrzymać? Dlaczego, na miłość boską, usiłowano go zamordować?

No i gdzie się podział Holcroft?

Alex musiał jak najszybciej znaleźć telefon. Trzeba zadzwonić pod numer Holcrofta i porozmawiać z kimś, z kimkolwiek, kto będzie w stanie wytłumaczyć, co

się właściwie dzieje.

Alax zdał sobie w tym momencie sprawę, że ściąga na siebie spojrzenia wszystkich przechodniów. Dlaczego? Ach, oczywiście. Dlatego, że biegnie, czy też idzie przed siebie bardzo szybkim krokiem. Ktoś, kto maszeruje w takim tempie o tej godzinie, i to przez zamglone ulice Soho, nie może się nie rzucać w oczy. Nie można sobie na to pozwolić. Alex zwolnił kroku, choć dalej nie wiedział, dokąd się skierować i w powolnym tempie przemierzał kolejne nieznanym ulice.

Ludzie nadal się jednak gapili. Z wysiłkiem powstrzymał w sobie falę paniki. O co im chodzi?

Dopiero po chwili domyślił się, w czym rzecz. Poczł teraz, że po policzku ściąka mu strużka ciepłej krwi i przypomniał sobie, skąd się wzięła. Pieczenie na twarzy w sekundzie, kiedy para mocarnych rąk musnęła go i przeleciała za krawężnik. Może napastnik zahaczył go sygnetem? Albo paznokciem. Co to zresztą za różnica? Alex miał skaleczony policzek i krwawił. Sięgnął do kieszeni po chusteczkę i przekonał się, że połę marynarki rozerwał sobie na pół.

Był dotąd zbyt oszołomiony, by spojrzeć, że krwawi i ma pokrwawioną marynarkę.

Boże, ładne rzeczy! Facet w podartej marynarce, który z pokrwawioną twarzą biegnie ulicami Soho, uciekając od miejsca, gdzie leży martwy Murzyn.

Martwy? To znaczy umarł? Może wyzionął ducha?

Nie. Zamordowano go. Zamordowano metodą przeznaczoną dla McAuliffa. Murzyn trafił w rozpędzie na jezdnię, prosto pod koła i stalowy zderzak pędzącego jak na wyścigach bentleya.

W połowie ulicy – tylko jaka to ulica? – stała budka telefoniczna. Typowa angielska budka, ciemniejszą i bardziej obszerna niż jej amerykańskie kuzynki. Alex przyspieszył kroku i zaczął wyjmować z kieszeni kolejne monety. Zamknął za sobą drzwi. Ciemno. Za ciemno. Tylko dlaczego? Alex wyciągnął z kolei swoją metalową zapalniczkę, ściskając ją kurczowo niczym dźwignię, która, gdy ją puścić, uruchomi pod nogami zapadnię. Nacisnął przycisk, odetchnął głęboko i przy gazowym płomyku wykręcił numer Holcrofta.

–Wiemy już, co się stało, McAuliff- usłyszał opanowany, szczekliwy angielski głos.

– Skąd pan dokładnie dzwoni?

–Nie wiem... Biegłem przed siebie. Przeciąłem dobrych parę ulic.

–Musi nam pan natychmiast powiedzieć, gdzie pan jest... Kiedy wyszedł pan z „Sowy”, poszedł pan w lewo czy w prawo?

–Nie szedłem, tylko biegłem, do diabła! Biegłem! Ktoś próbował mnie zabić!

–No więc, w którą stronę pan pobiegł, McAuliff?

–W prawo... Cztery czy pięć przecznic. Potem znów w prawo. I zaraz w lewo, tak myślę. Nie, nie zaraz, tylko w drugą ulicę.

–W porządku. Spokojnie... Telefonuje pan z jakiejś budki?

–Tak. Nie. Nie wiem. Tak ciemno, że nie wiem, z budki czy z tubki! – wybuchnął, przedrzeźniając nosową wymowę Anglika – Przepraszam, ale na litość boską, proszę mi powiedzieć, co się dzieje! Nie widać stąd żadnej tabliczki. Stoję w połowie ulicy.

–Naprawdę proszę się uspokoić. – Anglik mógł człowieka doprowadzić do Szalu

swoim spokojem i pełnym wyższości tonem. – Czy widzi pan przez szybę jakieś charakterystyczne budynki? Niech pan opisz chociaż cokolwiek, pierwszą rzecz, jaka wpadnie panu w oko.

McAuliff wyjaśnił ponuro, że jest mgła, ale spróbował mimo to opisać najbliższe domy i szczyty.

–To tyle. Rany boskie, więcej nic tu nie ma... Muszę pędzić. Spróbuję złapać taksówkę, a potem chcę się natychmiast zobaczyć z kimś od was! Gdzie mam się zgłosić?

–Niech pan się nie rusza ani na krok, McAuliff! – Opanowany angielski głos stał się naraz donośny i ostry. – Proszę zostać dokładnie tam, gdzie pan jest. Jeżeli w budce jest żarówka, niech ją pan rozbije i czeka. Wiemy, gdzie pana szukać. Przyjeżdżamy za parę minut.

Alex odwiesił słuchawkę. W budce nie było oczywiście żadnej żarówki. Plemiona zamieszkujące Soho dawno ją wykręciły z oprawki... Spróbował zebrać myśli. Nie usłyszał przez telefon cienia wyjaśnień. Jedynie rozkazy. Nową serię poleceń.

Czyste szaleństwo. Ostatnie pół godziny było szaleństwem. Co on tu właściwie robi? Dlaczego stoi w ciemnej budce telefonicznej z zakrwawioną twarzą i w podartej marynarce, drżący i zbyt wystraszony nawet na to, żeby zapalić papierosa?

Szaleństwo!

Za drzwiami budki stanął jakiś mężczyzna, podzwaniając trzymanymi w dłoni monetami i znacząco przestępując z nogi na nogę, w geście irytacji. Agent, który odebrał telefon, kazał Alexowi czekać w budce, ale co począć w sytuacji, kiedy facet na chodniku lada chwila może zacząć się awanturować, zwróci na nich uwagę...? A może zadzwonić do kogoś jeszcze? Tylko do kogo? Do Alison. Nie, lepiej nie. Wiedział, że powinien teraz myśleć o Alison, lecz na pewno nie wolno mu do niej telefonować.

Zachowywał się jak wystraszony dzieciak! Choć miał też ku temu pewne, jakże przerażające powody. Bał się zrobić choć krok, bał się nawet wyjść z budki i ustąpić w niej miejsca mężczyźnie z garścią monet. Dostyc, nie wolno się tak zachowywać! Tę lekcję przyswoił sobie całe lata wcześniej – wydawało mu się, że całe stulecia -na wzgórzach Panmundzonti. Zastygnąć w miejscu, oznaczało tam wystawić się na cel. Trzeba było się ruszać, pamiętając zarazem o zachowaniu rozsądku. Przede wszystkim zaś trzeba było nastroić własną wewnętrzną antenę i stale zachowywać czujność. Czujność, zdolność do szybkiej reakcji, przytomność umysłu. To najważniejsze.

Boże! Chyba oszalał, żeby porównywać mordercze piekło Azji z jakąś cichą uliczką w Soho. Rzeczywiście jednak zaczął tu dostrzegać podobieństwa i zmusił się do logicznej reakcji. Zdarzyło się w końcu cholernie wiele.

Otworzył drzwi budki, zakrył dłonią policzek i niewyraźnie przeprosił człowieka z monetami. Potem zrobił parę kroków ku wnętrzu bramy naprzeciwko budki i zaczął czekać.

Rozmówca w biurze Holcrofta dotrzymał słowa. Oczekiwanie nie potrwało długo, a samochód był jednym z aut, którymi Alex i Holcroft posłużyli się ostatnio

parokrotnie. Auto wjechało w uliczkę i przystało przy budce z włączonym silnikiem.

McAuliff wyszedł z ciemnej wnęki i szybko zbliżył się do samochodu. Ktoś otworzył przed nim tylne drzwiczki. Amerykanin wskoczył do środka.

I wówczas znów zamarł z wrażenia.

Z tylnego siedzenia spoglądał na niego Murzyn. Ten sam, który przed chwilą poniósł śmierć i zmienił się w zmasakrowane zwłoki na asfalcie, przed wejściem do „Sowy Świętego Jerzego”.

–Tak, panie McAuliff. To znowu ja – usłyszał Alex od rzekomego nieboszczyka. – Przepraszam, że tak pana gruchnąłem w żołądek, ale wtrącał się pan niepotrzebnie. Nic panu nie jest?

–O Boże! – sapnął Alex, zastygając na krawędzi siedzenia. Samochód ruszył i pędem opuścił uliczkę. – Myślałem, że... Widziałem przecież...

–Jedziemy prosto do Holcrofta. Niedługo wszystko pan zrozumie. Na razie niech pan siądzie wygodniej. Przeżył pan w ciągu ostatniej godziny wyczerpujące chwile... Czego się nikt nie spodziewał, nawiasem mówiąc.

–Widziałem pana pod kołami! – wybuchnął wreszcie McAuliff, na chwilę przestając nad sobą panować.

–Widział pan pod kołami jakiegoś Murzyna. Dużego i równie wysokiego jak ja, ale to wszystko. A my naprawdę mamy dość frazesów, że wszyscy wyglądamy tak samo. Ani to prawda, ani to grzeczne. Skoro o grzecznościach mowa, nazywam się Tallon.

Alex wbił wzrok w Murzyna.

–Nie, wcale nie nazywa się pan Tallon. „Tallon” to nazwa sklepu rybnego, niedaleko Parku Wiktorii w Kingston.

Murzyn roześmiał się niegłośnie.

–Brawo, panie McAuliff. Sprawdzalem pana tylko. Papierosa?

Alex z wdzięcznością przyjął propozycję. „Tallon” wyciągnął ku niemu zapalną, a Amerykanin zaciągnął się głęboko, próbując odnaleźć się w ogólnym szaleństwie.

Przyjrzał się własnym dłoniom. To, co ujrzał, zdumiało go i zaniepokoiło.

Okazało się, że chroni żar papierosa w złożonych dłoniach, zupełnie tak samo jak... Jak całe wieki temu, kiedy dowodził plutonem piechoty na wzgórzach Panmundżonu.

Jazda trwała prawie dwadzieścia minut Mknęli londyńskimi ulicami w kierunku przedmieść. McAuliff nie próbował nawet, patrząc przez okno, sprawdzać, którą jadą. Nic go to nie obchodziło. Pochłaniała go sprawa decyzji, którą musi podjąć jak najszybciej. Rozwaga zaczęła w nim dojrzewać przede wszystkim na widok własnych rąk, osłaniających – już bez drżenia – ognik papierosa. Dlaczego nieświadomie osłaniał żar? Chował go przed wiatrem? Ukrywał, żeby nie zdradzić własnej pozycji? Czy obserwowali go snajperzy czy co? Nie. McAuliff wiedział, że nie jest żołnierzem i tak naprawdę nie został stworzony do wojaczki. Dawniej robił wszystko, co trzeba, bo tylko w taki sposób można było ująć z życiem. Nie kierował nim żaden motyw, oprócz chęci przeżycia. McAuliff nie prowadził własnych wojen i nie miał zamiaru mieszać się do cudzych. Na pewno nie do wojen Holcrofta.

–Jesteśmy na miejscu, panie McAuliff- poinformował go Murzyn, który

przedstawił się nazwiskiem Tallon. – Pustkowie, co?

Samochód wjechał na drogę wiodącą obok pola – równego, lecz nie porośniętego trawą. Spłacheć gruntu liczył może z pięć akrów i wyglądał jak teren zniwelowany z myślą o przyszłej zabudowie. Tam, gdzie kończyło się pole, widać było rzekę. Alex domyślał się, że to Tamiza; nie było zresztą innej możliwości. W oddali majaczyły kwadratowe budowle, które sprawiały wrażenie magazynów. Nadbrzeżne składy nad Tamizą. McAuliff nie miał pojęcia, co to za miejsce.

Kierowca skręcił pod ostrym kątem w lewo, a wóz zaczął podskakiwać po ubitej na polu wyboistej drodze dla ciężarówek. W blasku reflektorów McAuliff ujrzał przez przednią szybę dwa osobowe samochody, może ze sto metrów w przodzie. W kabinie samochodu po prawej paliła się wewnętrzna lampka. Nim upłynęło parę sekund, kierowca zatrzymał wóz bok w bok z drugim samochodem..

McAuliff wysiadł i ruszył za „Tallonem” do drugiego auta. To, co ujrzał, przeraziło go, a może tylko zdenerwowało. Na pewno zaś umocniło go w decyzji, że najwyższy czas porzucić wojnę Holcrofta.

Brytyjski agent tkwił sztywno na tylnym siedzeniu, z koszulą i marynarką luźno narzuconymi na ramiona. Od jego obnażonego tułowia wyraźnie odcinał się szeroki biały bandaż. Agent nieznacznie mrużył oczy, tylko w ten sposób dając po sobie poznać, że ból, jaki czuje, wcale nie jest bagatelny. Alex znał przyczynę bólu. Widywał już podobne sceny – całe wieki temu. Zwykle po potyczce na bagnety.

Ktoś dziabnął Holcrofta nożem.

–Kazałem tu pana przywieźć z dwóch powodów, McAuliff. Uprzedzę pana i sam przyznam, że ryzykowaliśmy – odezwał się agent, gdy Alex stanął przy otwartych drzwiczkach samochodu. – Proszę nas zostawić samych – dodał pod adresem Murzyna.

–Czy nie powinien pan pędzić do szpitala?

–Nie, draśnięcie jest nie głębokie...

–Rana to rana, Holcroft – przerwał McAuliff. – Poza tym widzę, że nie draśnięcie.

–Pańska skłonność do melodramatów. Mówię, że to głupstwo. Sam pan się, mam nadzieję, przekona, że żyję i jestem w świetnej formie.

–Miał pan szczęście.

–Szczęście, drogi kolego, nie miało tu nic do rzeczy. Chciałbym, żeby zechciał pan zrozumieć właśnie to jedno.

–Doskonale, Jest pan supermanem, niezniszczalnym mścicielem i pogromcą zła.

–Mam pięćdziesiąt lat i jestem weteranem służb Jej Królewskiej Mości, za młodu nie umiałem nawet dobrze kopnąć piłki... Mówię o piłce nożnej, nie o tym pańskim futbolu amerykańskim. – Holcroft wykrzywił się boleśnie i pochylił do przodu. – Całkiem możliwe, że nie musiałbym tkwić w tych cholernie ciasnych bandażach, gdyby posłuchał pan moich instrukcji i nie wywołał tamtej sceny na parkiecie.

–Że co?

–Zmusza mnie pan ciągle do dygresji. Skupmy się na sprawach najważniejszych. W tej chwili, kiedy stało się jasne, że coś mi grozi, zagrożenie zniknęło. Ani przez chwilę, ani przez sekundę moje życie nie znajdowało się w niebezpieczeństwie.

–A ja mam w to uwierzyć? Podczas gdy pan na brzuchu ma dwadzieścia centy metrów bandaża? Co mi pan tu wciska?

–Zraniono mnie w panice, a ta wynikła, bo rzucił się pan za nami! Nawiązywałem akurat najważniejszy kontakt w całym naszym planie, kontakt, który pan miał nawiązać za nas.

–Z Halidonem?

–Tak się mogliśmy domyślać. Niestety, teraz nie ma już tego jak sprawdzić. Niech pan idzie za mną. – Holcroft uchwycił się podłokietnika, prawą ręką wsparł się o przednie siedzenie i z bolesnym wysiłkiem wypełznął z samochodu. Alex uczynił gest, jak gdyby chciał pomóc agentowi, choć wiedział, że spotka się z odmową. Brytyjczyk powiodł McAuliffa w stronę drugiego auta, po drodze niezdarnie wyłuskując latarkę z marynarki, którą miał na ramionach. W cieniu wokół samochodu czekało jeszcze kilku ludzi, którzy odstępili na bok. Widocznie takie dostali polecenie.

Wewnątrz wozu spoczywały dwa bezwładne ciała. Holcroft skierował na nie kolejno snop światła. Obaj denaci byli Murzynami, zapewne po trzydziestce. Ubrani w klasyczne, chociaż nie przesadnie drogie garnitury. McAuliff nie wiedział, co o tym myśleć, bo brakowało w tej scenie jakichkolwiek oznak przemocy: nie widział rozbitego szkła ani nawet krwi. Wnętrze samochodu było czyste, uładzone, wręcz sielskie. Dwóch nieboszczyków wyglądało jak para młodych biznesmenów, którzy zjechali z szosy na krótką drzemkę podczas długiej podróży gdzieś w interesach. Zdumienie Alexa rozwiało następne słowo, jakie wypowiedział Holcroft:

–Cyjanek.

–Ale dlaczego?

–Oczywista sprawa, że to fanatycy. Woleli to zrobić, niż cokolwiek wyznać... Nie to że wyznaliby nam coś dobrowolnie. Źle odczytali nasze zamiary. Wszystko zaczęło się właśnie wtedy, kiedy w tak oczywisty sposób próbował pań popędzić za mną w „Sowie Świętego Jerzego”. Wtedy pierwszy raz tej dwójce puściły nerwy.

I stąd ta pamiątka. – Holcroft krótkim gestem wskazał swój obandażowany tułów. McAuliff nawet nie próbował skrywać złości.

–Mam już naprawdę dosyć tych pańskich zjadliwych domysłów!

–Sam przyznałem, że ryzykujemy, sprowadzając tu pana...

–Niech pan przestanie mnie ciągle pouczać!

–Niechże pan nie zapomina, że bez naszej pomocy miał pan przed sobą cztery miesiące życia. Maksimum.

–Taka jest pańska wersja, Holcroft. – Wersja agenta miała jednak więcej uzasadnienia, niż McAuliff wolałby w tej chwili przyznać.

–Czy ktoś odbiera sobie życie z powodu fałszywej wersji? Nawet fanatycy?

Alex odwrócił się plecami do niemiłej sceny. Bez wyraźnej przyczyny oderwał od marynarki dyndający strzęp podszewki i oparł się ciężko o maskę samochodu.

–Skoro obciąża mnie pan odpowiedzialnością za tyle wypadków, co się właściwie stało?

Brytyjczyk opowiedział wszystko po kolei. Kilka dni wcześniej inwigilacja MI-5 wychwyciła ludzi z „drugiej siły”, towarzyszącej poczynaniom Dunstone. W

rozmaitych sytuacjach przewijała się więc gdzieś w tle ta sama grupka trzech albo czterech nie zidentyfikowanych osobników. Murzynów. Zrobiono im zdjęcia, w restauracjach przechwycono ich odciski palców (zdejmując je z pustych paczek papierosów, wyrzuconych gazet i tak dalej), a dane wprowadzono do komputerów w nowej centrali Scotland Yardu i w urzędzie imigracyjnym. Nie odnaleziono żadnych danych. Podejrzani wjechali do Anglii nielegalnie. Holcroft nie posiadał się z radości. Trudno było o bardziej wyraźne powiązanie. Agent nie miał wątpliwości, że w podejrzanych osobnikach znalazł przeciwników ludzi z Dunstone. Ostatnie wątpliwości rozwiały się do reszty wieczorem, kiedy jeden z obserwowanych Murzynów zabił śledzącego go agenta Dunstone.

–Wtedy uzyskaliśmy pewność – opowiadał Holcroft – że trafiliśmy w cel. Mieliśmy pod obserwacją tych, o których chodzi. Pozostawało tylko nawiązać kontakt, podkreślam, przyjazny kontakt. Zastanawiałem się nawet po cichu, czy przy najbliższej okazji nie zetknąć pana z tymi ludźmi, powiedzmy dziś rano. Tym sposobem natychmiast rozwiązałibyśmy tyle spraw...

Z nową grupą nawiązano więc ostrożny, wstępny kontakt.

–Wszystko wyglądało tak niegroźnie i obiecująco... Byliśmy wręcz gotowi przyrzec tym ludziom w zamian wszystko, co pozostało z brytyjskiego imperium. Tamci bali się oczywiście, że idą w pułapkę.

Do pierwszego spotkania miało dojść w „Sowie Świętego Jerzego”, klubie uczęszczanym przez wszystkie rasy, gdzie można było spokojnie porozmawiać. Kontakt miał nastąpić o wpół do trzeciej nad ranem, po rozmowie Holcrofta z McAuliffem.

Kiedy jednak Alex zatelefonował w panice, domagając się – grożąc wręcz, że musi się spotkać niezależnie od pory, agent postanowił zatrzymać część atutów w odwodzie. Potem zaś podjął decyzję. „Sowa Świętego Jerzego” nadawała się na spotkanie równie dobrze jak każde inne miejsce. Amerykanin miał więc podjechać do Soho, do klubu. Jeżeli decyzja okaże się chybiona, zawsze będzie można zatrzymać McAuliffa wewnątrz, gdyby natomiast była prawidłowa, dojdzie do idealnej sytuacji, w której w tym samym miejscu spotykają się wszystkie zainteresowane strony.

–A co z ludźmi Warfielda? – zapytał Alex. – Sam pan mówił, że podwoili strażę wokół mnie.

–Kłamałem. Chciałem, żeby się pan nie ruszał. Warfield przydzielił panu tylko jednego opiekuna. Znaleźliśmy mu inne zajęcie. Ludzie z Dunstone mieli inne zmartwienia. Jeden z nich zginął. Wiadomo było, że to nie pana sprawka.

Noc potoczyła się zgodnie z planami Holcrofta, czyli bez niespodzianek. Agent zarezerwował stolik, umówił się – tu z uśmiechem wyjaśnił geologowi, że jego instytucja zna dosłownie wszystkich spośród jego londyńskich znajomych – i czekał, aż będą się mogły zetknąć ze sobą przeciwne żywioły.

Zaraz potem wszystkie elementy planu rozpadły się, jeden po drugim. Najpierw więc Alex oświadczył, że ekspedycja wyrusza już za dwa dni. MI-5 w Kingston zupełnie nie było przygotowane na taką ewentualność. Następna informacja mówiła, że Warfield użył słowa „Halidon”. Oczywiście należało się tego spodziewać. Ludzie z

Dunstone z furią zabrali się za poszukiwania zabójców pierwszej ekspedycji, lecz mimo wszystko w MI-5 nie spodziewano się, że Warfield robi aż tak szybkie postępy. Następny kryzys wywołał oszołomiony agent, który potracił stolik i wypowiedział słowo „Edynburg”. Wypowiedział je dwukrotnie.

–Co dwadzieścia cztery godziny rozprowadzamy takie niezbyt popularne słowo. Hasło ma oznaczać tylko jedno: „przerwać akcję, wrogie okoliczności”. Jeżeli wypowiedzieć je dwukrotnie, znaczy, że jesteśmy spaleni albo że ktoś źle odczytał nasze zamiary. Pozostaje wtedy przygotować broń.

Dopiero w tamtej chwili Holcroft zorientował się, jak kolosalny błąd popełnił w planach. Jego agenci uwolnili Alexa spod opieki ludzi Warfielda, ale nie pomyśleli o Murzynach, którzy także obserwowali geologa. O północy jeden z nich mógł więc przez dłuższą chwilę obserwować spotkanie McAuliffa z Warfieldem. Niewiele minut później McAuliff wmaszerował do „Sowy”. Za nim wszedł tam jego czarny opiekun, przerażony myślą, że jego koledzy wpadli w pułapkę. Do konfrontacji doszło więc właśnie w rozwirowanym, psychodelicznym domu wariatów o nazwie „Sowa Świętego Jerzego”.

Holcroft próbował jeszcze ratować sytuację.

Złamał w tym celu umowę. Wprawdzie nie było jeszcze drugiej trzydziści, ale ponieważ zauważono już przy nim Alexandra McAuliffa, bał się dłużej zwlekać. Postanowił uczynić pierwszy krok, wyjaśnić wszystko, zażegnać grożący wybuch.

Prawie mu się to udało, kiedy jeden z Murzynów – ten, który leżał teraz martwy na kierownicy – spostrzegł, że McAuliff zrywa się z miejsca i rzuca się w tłum, roztrzaskując ludzi i rozpaczliwie rozglądając się (co było oczywiste) za Holcrofem.

Na ten widok rozpoczęła się panika. Holcrofta ugodzono nożem; chwycono pod ramiona i jako żywą tarczę wyprowadzono przez tylne drzwi na podwórko. Trzeci Murzyn przebił się przez tłum na sali i wypadł drugimi drzwiami na ulicę, żeby sprowadzić samochód.

–Następnych parę minut okazało się trudnych, ale nie beznadziejnych – ciągnął Holcroft. – Moi ludzie mieli instrukcje chronić mnie przed fizycznym zagrożeniem, więc kiedy tylko porywacze wyprowadzili mnie na chodnik, ujęto ich. Zapakowaliśmy obu do samochodu i odjechaliśmy, ciągle mając nadzieję, że uda nam się ich pozyskać. Umyślnie pozwoliliśmy przy tym zniknąć temu trzeciemu, na dowód, że można nam ufać.

MI-5 zawiozło schwytanych na puste pole nad Tamizą, dokąd wezwano także lekarza, aby jakoś załatał Holcrofta. Obaj Murzyni – rozbrojeni i bez, usuniętych dyskretnie, kluczyków zostali w aucie sami, po to by mogli spokojnie porozmawiać i ustalić, co mają teraz robić. Holcrofta tymczasem bandażowano w drugim samochodzie.

–Oczywiście natychmiast spróbowali uciec, tyle że w samochodzie nie było kluczyków. Sięgnęli więc po swoje tabletki czy kapsułki i odebrali sobie życie. Uznali ostatecznie, że nie można nam ufać.

McAuliff milczał dłuższą chwilę. Holcroft nie przerywał tej ciszy.

–A pański „dowód zaufania” natychmiast spróbował mnie zabić.

–Na to wygląda. W Anglii został więc im tylko jeden człowiek. Musimy go odnaleźć. Kierowca... Rozumie pan oczywiście, że nie można nas obarczać winą za to wszystko. Zupełnie zlekceważył pan nasze instrukcje i...

–Wrócimy jeszcze kiedyś do tej sprawy – wtrącił McAuliff. – Mówił pan, że wywieźliście mnie tutaj z dwóch powodów. Pierwszy zrozumiałem: pana ludzie są szybcy, bezpieczeństwo gwarantowane... Jeśli tylko nie będę „lekceważył instrukcji”. – Alex wypowiedział te ostatnie słowa z przekąsem. – Jaki jest drugi powód?

Agent podszedł i stanął twarzą w twarz z McAuliffem, który nawet w nocnym świetle widział napięcie w oczach rozmówcy.

–Przywieźliśmy tu pana po to, żeby coś panu powiedzieć. Odtąd nie może się pan już wycofać. Zbyt wiele się wydarzyło. Za bardzo się pan wplątał.

–To samo mówił mi Warfield.

–I miał rację.

–A co będzie, jeżeli odmówię? Jeżeli spakuję manatki i zniknę?

–Będzie pan głównym podejrzanym i straci pan naszą ochronę. Zacznie się polowanie. Ma pan na to moje słowo. Nie od dziś znam takie sytuacje.

–Poważne słowa... I to z ust, kogo? Eksperta od analiz finansowych? to tylko etykiety, McAuliff. Oficjalne tytuły. Bez znaczenia.

–Znaczą coś dla pańskiej żony.

–Co pan powiedział?! – Holcroft wziął głośny, głęboki oddech. Kiedy znów zaczął mówić, nie zadawał już pytań. McAuliff usłyszał tylko ciche, pełne bólu stwierdzenie:

– To ona posłała pana za mną.

–Ona.

Tym razem na dłuższą chwilę zamilkł Holcroft. Alex postanowił nie przerywać tego milczenia. Zamiast mówić, przyglądał się, jak pięćdziesięcioletni agent próbuje dojść do siebie.

–Fakt pozostaje faktem, że zlekceważył pan moje instrukcje.

–Z pana musi być ciekawy mąż.

–Można się do mnie przyzwyczaić – uciał Holcroft z zimną precyzją. – Panu też to radzę, bo przez parę najbliższych miesięcy nasze związki będą bardzo intymne. I niech pan robi dokładnie to, co każę. Jeżeli chce pan przeżyć.

Część druga Kingston VII

Słońce wypalało krwistopomarańczową dziurę w błękitnym, pasiastym arrasie wieczornego nieba. Niższe chmury szybowwały w aureoli złotych łuków; wyżej trwała już fioletowa i czarna pustka. Łagodna karaibska noc miała wkrótce ogarnąć całą tę część świata, na tyle prędko, że samolot lądował w Port Royal w zupełnej ciemności.

McAuliff zapatrzył się w horyzont przez przyciemnione szkło okna kabiny. Przy swoim boku miał Alison, która zasnęła zwinięta w fotelu.

Po drugiej stronie przejścia rozsiedli się na fotelach jumbo jeta Jensenowie. Alex nie mógł się powstrzymać od refleksji, że jak na parę, która polityczne sympatie ulokowała na lewicy, Jensenowie rozgościli się w fotelach pierwszej klasy boeinga 747 Brytyjskich Linii Lotniczych bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Zamówili dla siebie najlepsze wino, pasztet z gęsich wątróbek, kaczkę z pomarańczami i szarlotkę z kremem, zupełnie tak jak gdyby właśnie do takiej diety przyzwyczaili się od lat. Alex nie był pewien, czy Warfield nie pomylił się w informacjach. Wszyscy lewacy, jakich geolog zdążył poznać, poza blokiem wschodnim, byli kompletnie pozbawieni poczucia humoru. Jensenowie tymczasem żartowali bez przerwy.

Z przodu siedział samotnie młody James Ferguson. Z początku towarzyszył mu Charles Whitehall, lecz bardzo prędko wstał i zniknął w pokładowym barze, gdzie spotkał znajomego z Savanna-la-Mar i został z nim. Na pustym fotelu Ferguson położył więc skórzaną torbę ze sprzętem fotograficznym. Właśnie po raz kolejny zmieniał filtr na obiektywie, trzaskając przez okno zdjęcia wieczornego nieba.

McAuliff i Alison przysiedli się na kilka kolejek do Whitehalla i jego znajomego w barku na górnym pokładzie. Znajomy – biały, bogaty i rozpity; był rozpróżnionym spadkobiercą starej fortuny na południowo-wschodnim wybrzeżu wyspy, toteż Alex nie mógł się nadziwić, że właśnie komuś takiemu poświęca Whitehall tak wiele uwagi. Dziwnie niemiło przychodziło mu patrzeć, jak Whitehall nadskakuje grubasowi i przytakuje co chwila jego pijackim, niezbyt byстрыm i niezbyt śmiesznym uwagom.

Po drugiej kolejce Alison trąciła McAuliffa w ramię. Był to sygnał, że wolałaby wrócić na fotel Miała dosyć, podobnie jak i McAuliff.

Alison.

Ostatnie dwa dni przed wyjazdem z Londynu okazały się tak pełne obowiązków, że Alex nie był w stanie spędzić z nią tyle czasu, ile pragnął, czy ile planował. Pochłonęły go na dwa dni problemy organizacyjne: zakupy i wynajem sprzętu, sprawy paszportowe, upewnianie się, jakich szczepień wymaga się na Jamajce (nie wymagano żadnych), zakładanie kont bankowych w Montego, Kingston i Ocho Rios, oraz dziesiątki podobnych zajęć, niezbędnych przed każdą dłuższą wyprawą geologiczną. Dunstone trzymało się za kulisami tego wszystkiego, chociaż i tak firma dzięki różnym kontaktom ogromnie we wszystkim pomogła. Ludzie z Dunstone umieli dokładnie powiedzieć Alexowi, gdzie i do kogo ma się zgłosić. Tylko dzięki geologowi udało się nie utknąć w sieciach rządowej i handlowej biurokracji.

McAuliff poświęcił jeden z wieczorów na spotkanie dla całej grupy, to jest dla wszystkich oprócz Sama Tuckera, który miał do nich dobić w Kingston. Uczestnicy spotkali się przy kolacji w restauracji „Simpson”. Impreza raczej się udała. Wszyscy obecni byli w końcu profesjonalistami; taksowali pozostałych wzrokiem i jeżeli znali ich prace, komplementowali je uprzejmie. Najwięcej komplementów zebrał Whitehall, co słusznie mu się należało. Bądź co bądź, rzeczywiście był sławą, choć tylko w wąskim kręgu naukowców. Ruth Jensen i Alison przypadły sobie najwyraźniej do gustu, czego spodziewał się w głębi duszy McAuliff. Mąż Ruth, Peter Jensen, przybrał dobrotliwy, ojcowski ton w stosunku do Fergusona, dyskretnym śmiechem zbywając nieustanne przechwałki młodego botanika. Charles Whitehall posiadał za to nienaganne maniery. Był nieco wyniosły i niesłuchanie uprzejmy, ze szczyptą naukowego dowcipu i udawanej skromności,

Lecz wracając do Alison...

McAuliffowi udało się spotkać z nią w południe, nazajutrz po nocnych szaleństwach w „Sowie Świętego Jerzego” i obłędzie, który zaczął się później na opustoszałym polu pod Londynem. Alex szedł na to spotkanie z mieszanymi uczuciami. Był zły na Alison za to, że nie szepnęła słowem o podejrzanych machinacjach byłego męża. Nie zaakceptował jednak rzuconego mimochodem przez Holcrofta argumentu, że Alison może się okazać wtyczką Warfielda. Nie miałyby to najmniejszego sensu. Alison można było zarzucić wszystko, prócz braku niezależności. Podobnie jak Alexowi. Zgoda na donoszenie o wszystkim Warfieldowi oznaczałaby kres tej niezależności, z czego Alex zdawał sobie sprawę. Alison nigdy by nie poszła na nic takiego, a już na pewno nie potrafiłaby tego przed nikim ukryć.

Mimo wszystko spróbował skierować rozmowę na męża Alison. Jedyną reakcją były pełne humoru, lecz grzeczne frazesy, na przykład ten o wywoływaniu wilka z lasu. Alexowi zdarzało się już wywołać wilka, i to nieraz. Postanowił więc dać spokój sprawie, gdyż Alison, przynajmniej w tej chwili, nie miała najmniejszego zamiaru rozmawiać z nim o Davidzie Booth.

Rzecz nie była w końcu taka ważna.

–Panie i panowie – dobiegł ich przez głośniki męski, pełen autorytetu głos z kabiny pilotów – mówi kapitan Thomas. Zbliżamy się do północno-wschodniego wybrzeża Jamajki i za kilka minut będziemy przelatywać nad Port Antonio, skąd zaczniemy podchodzenie do lądowania w porcie lotniczym Palisados w Port Royal. Prosiłbym uprzejmie, aby zechcieli państwo wrócić na swoje miejsca. Nad Górami Błękitnymi możemy wejść w niewielką strefę turbulencji. Lądowanie przewidujemy obecnie na godzinę dwudziestą pierwszą trzydzieści czasu miejscowego. Temperatura w Kingston wynosi dwadzieścia sześć stopni Celsjusza, pogoda i widoczność bez zarzutu...

Kiedy spokojny, mocny głos zakończył komunikat, McAuliff pomyślał o Holcrofcie. Gdyby brytyjskiemu agentowi wręczyć mikrofon, przemawiałby pewnie dokładnie tak samo jak kapitan Thomas.

Ach, Holcroft.

McAuliffowi nie udało się w przyjazny sposób zakończyć ich wzajemnego -jak ujął

to sam agent – tymczasowego zawieszenia znajomości. Na kwaśną uwagę agenta, że na przyszłość Alex musi słuchać instrukcji, geolog z pasją postawił własny, trudny do spełnienia warunek. Ponieważ należało mu się jeszcze sześćset sześćdziesiąt i parę tysięcy dolarów od Dunstone Limited, oświadczył, że bez tych pieniędzy nie zrobi kroku. Niezależnie od tego, czy zapłaci mu ostatecznie Dunstone czy ktoś inny.

Na to wybuchnął z kolei Holcroft. Jaki pożytek z miliona dolarów może mieć martwy geolog? Alex sam powinien zapłacić za wszystkie ostrzeżenia i ochronę, jaką mu przydzielono. Po namyśle Holcroft uznał jednak, że wywiadowi przydałby się dodatkowy argument, dzięki któremu da się nakłonić McAuliffa do współpracy. Groźba utraty życia okazała się słabym straszakiem – nie od dziś wiadomo, że nie przeżywa się własnej śmierci.

Toteż nad ranem nowy w Savoyu służący doręczył do pokoju McAuliffa tekst umowy. Alex rozpoznał w gońcu mężczyznę w brązowym płaszczu, tego samego, który pytał go na High Holborn o drogę. Umowa określała warunki, na jakich Amerykanin może liczyć na zwrot kosztów w przypadku „utrąty honorarium”. Górną wysokość tej sumy określono bardzo wyraźnie na sześćset sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Alex uznał, że jeśli ocaleje – a miał wszelki zamiar wyjść z wyprawy bez szwanku – straci na tym wszystkim najwyżej sześć tysięcy dolarów.

Z tym zaś mógł się pogodzić. Podpisaną umowę wysłał pocztą do Nowego Jorku. Ale, ale. Holcroft.

Alex nadal głowił się nad odpowiedzią. Jak wytłumaczyć sobie ogromny strach w głosie żony Brytyjczyka? Nie wiadomo było, co myśleć o tym, jaki jest Holcroft na co dzień dla domowników. Instynkt podszeptował jednak Alexowi, że z całą pewnością nie doczeka się odpowiedzi na żadne z niedyskretnych pytań na ten temat.

Taki był już Holcroft. Może nie różnił się wcale od reszty ludzi, którzy zajmowali się tym, co on. Od ludzi z cienia, których żony wędrują nie kończącym się tunelem lęków. Wprost w gniazda strachu.

A oprócz tego było jeszcze coś...

Halidon.

Co oznaczała nazwa? Czym było to coś?

Murzyńska nazwa?

Niewykluczone. Ale też mało prawdopodobne, tak przynajmniej twierdził Holcroft. Na pewno zaś nie chodziło tylko o Murzynów. Halidon za dużo wiedział i wyraźnie cieszył się względami potężnych zwolenników. Za dużo pieniędzy, jak na czarną organizację.

Słowo „Halidon” przewijało się nieodmiennie w dziwnych i przerażających okolicznościach. Brytyjski agent, przydzielony do poprzedniej ekspedycji z Dunstone, stał się jedną z dwóch ofiar pożaru buszu, zaproszonego w bambusowym gaju nad rzeką Martha Brae, głęboko w Cock Picie, gdzie rozbiła obóz pierwsza wyprawa. Ślady wskazywały na to, że obie ofiary próbowały ratować przed pożarem sprzęt geodezyjny, lecz zemdlały od dymu i spłonęły w bambusowym piekle. Nie była to jednak cała prawda. Zapomniano bowiem o szczególe tak okropnym, że nie chciał o nim mówić nawet Holcroft.

Obie ofiary przywiązano pędami bambusa do osobnych drzew, tuż obok cennych instrumentów poszukiwawczych. Zwłoki zwęgliły się w ogniu, dlatego że dwójka Brytyjczyków nie mogła uciec przed pożarem. Agent pozostawił jednak wiadomość czy raczej pojedyncze słowo, wdrapane na metalowej osłonie geodimetru.

Halidon.

Badanie mikroskopowe dopowiedziało resztę makabrycznej historii. W rysie na metalu znaleziono drobiny szkliska z ludzkich zębów. Agent wydrapał te litery własnym, wybitym zębem.

Halidon. Prawie jak „holly” plus „dawn”.

Słowo bez definicji. Czy naprawdę słowo? Może nazwa? Nazwisko? Trójsylabowy okrzyk?

I co oznacza?

–Piękny widok, prawda? – Alison spojrzała przez ramię Alexa za okienko. – O, nie śpi pani.

–Ktoś włączył radio, wydawało mi się, że słyszę komunikat... Tasiemcowy. – Alison uśmiechnęła się i rozprostowała długie nogi, a potem ziewnęła szeroko. Od wdechu pod białym jedwabiem bluzki podniosła się para piersi. McAuliff nie mógł oderwać wzroku. Widząc to, Alison uśmiechnęła się i znów ziewnęła. Dla żartu, nie przez perwersję. – Są sprawy, które nie mają najmniejszego znaczenia. Sam pan to mówił, doktorze.

–Ten zwrot wpędzi panią jeszcze w kłopoty.

–Dobrze, będę się go wystrzegać. Jeśli się zastanowić, chyba w ogóle go nie używałam, do momentu spotkania z panem.

–Skoro to wszystko przeze mnie, proszę używać go dalej.

Alison zaśmiała się i sięgnęła po leżącą pomiędzy nimi torebkę. W tej samej sekundzie samolot dostał się w strefę turbulencji. Kołysanie szybko ustało, lecz przy pierwszym przechyle otwarta torebka Alison przewróciła się na płask, wysypując zawartość na kolana McAuliffa. Geolog ujrzał kolejno szminkę, puderniczkę, zapalki i grubą, krótką tubę. Przedmioty zatrzymały mu się między nogami. Przez chwilę nie wiadomo było, jak teraz postąpić. Torebki słyną jako skarbnice intymnych sekretów, bezbronne i pozwalające wnikać w prywatne życie właścicielki. Alison z kolei nie należała do kobiet, które bez namysłu wsadzają dłoń między uda mężczyzny, by odzyskać swoją własność.

–Zdaje się, że nic nie upadło na podłogę- bąknął Alex, wręczając torebkę Alison. – O, proszę.

Lewą ręką podniósł z kolan szminkę i puderniczkę, a prawą złapał gruby cylinder, który na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie jakiegoś nader intymnego przyrządu. Kiedy Amerykanin przyjął się obudowie, skojarzenie zniknęło, a na jego miejsce zjawilo się inne. Cylinder zawierał sprężony gaz. Na ścianie widniały słowa:

ZAWARTOŚĆ GAZ 312
TYLKO DO UŻYTKU WOJSKA/POLICJI
ZEZWOLENIE NUMER4316

DATA: 1.06

Numer zezwolenia i datę wpisano ręcznie, niezmywalnym atramentem. Władze brytyjskie wydały cylinder z gazem przed miesiącem. Alison wyjęła tubę z dłoni Amerykanina.

–Dziękuję – padło tylko z jej strony

–Zamierza pani porwać ten samolot? Nosi pani przy sobie bardzo groźną zabawkę.

–Londyn potrafi być niebezpiecznym miejscem dla dziewcząt. No i dla kobiet. W moim budynku zdarzyło się już kilka incydentów. Czy znajdzie pan dla mnie papierosa? Chyba mi się skończyły.

–Naturalnie. – McAuliff sięgnął do kieszeni koszuli i wydobył paczkę, po czym wystukał z niej papierosa dla Alison. Podał ogień, a potem cicho, bardzo delikatnie zapytał:

–Dlaczego pani kłamie?

–Wcale nie kłamie. Co pan sobie wyobraża?

–Dobrze, dobrze. – McAuliff uśmiechnął się do Alison, nadając swojemu śledztwu lżejszy charakter. – Żadna policja, a już na pewno londyńska, nie wydaje miotaczy gazu z powodu byle „incydentów”. A pani dziwnie mi nie wygląda na pułkownika Pomocniczej Służby Kobiet.

Ostatnie słowa Alex wypowiedział z poczuciem, że być może straszliwie się omylił. A nuż Alison Booth była wysłanniczką Holcrofta i pracowała nie dla Warfielda, lecz dla wywiadu brytyjskiego?

–Czasem robi się wyjątki. Naprawdę, Alex. – Alison spojrzała Amerykaninowi w oczy. Rzeczywiście nie kłamała.

–Czy mogę zaryzykować domysł? Na temat przyczyny?

–Trudno, proszę.

–David Booth?

Alison odwróciła wzrok i głęboko zaciągnęła się papierosem.

–A więc wie pan o nim. Dlatego poprzednim razem zadawał mi pan tyle pytań.

–Owszem. Sądziła pani, że się niczego nie dowiem?

–Nie obchodziło mnie to... Nie, może niezupełnie tak. Myślę, że po prostu chciałam pana skłonić do pomocy. Tylko że nic nie mogłam powiedzieć.

–A to dlaczego?

–Na litość boską, Alex, dlaczego?! Powtórzą ci twoje własne słowa. Chciałeś zabrać najlepszych profesjonalistów, a nie ich życiowy bagaż. O ile znam życie, skreśliłbyś mnie natychmiast z listy uczestników. – Kiedy to mówiła, z jej twarzy zniknął uśmiech, a pozostał tylko lęk.

–Z tego Bootha musi być kawał drania.

–To tylko bardzo chory i bardzo zły człowiek... Ale mam swoje sposoby na Davida. Zawsze je miałam. Prócz wszystkiego, jest to nadzwyczajny tchórz.

–Jak większość złych ludzi.

–Nie wiem, czy mogę się podpisać pod takim twierdzeniem. Ale nie chodziło o Davida, tylko o kogoś innego. O człowieka, dla którego pracował.

–Czyli o kogo?

–O pewnego Francuza, markiza. Nazywa się Chatellerault.

Grupa wyruszyła do Kingston w osobnych taksówkach. Alison została na razie na lotnisku wraz z McAuliffem, który usiłował odbić sprzęt wyprawy z rąk celników. Pomagała mu w tym para urzędników z jamajskiego Ministerstwa Oświaty Alex wyczuwał ze strony wyspiarzy tę samą nieokreśloną niechęć, którą w Londynie przejawiali wobec niego naukowcy. Teraz atmosferę, psuł jeszcze na dodatek kolor skóry. Urzędnicy mieli w oczach nieme oskarżenie, jak gdyby chcieli zapytać, czy w świecie zabrakło już czarnych geologów.

Podobne nastawienie mieli celnicy w odprasowanych na kant mundurach khaki. Nie ustąpili, dopóki nie sprawdzili każdej skrzyni i każdego pudełka, jak gdyby w każdym opakowaniu mógł kryć się najbardziej złowrogi rodzaj kontrabandy. Ponieważ postanowili się wykazać urzędową skrupulatnością, McAuliff mógł tylko przyglądać się bezradnie ich poczynaniom. Stał tak jeszcze długo po tym, jak samolot odkołował na miejsce postoju na mierzei Palisados. Alison przystanęła dziesięć metrów od geologa, a potem przysiadła na wózku bagażowym. Półtorej godziny później cały sprzęt udało się skontrolować, zapakować i opatrzyć listami przewozowymi do portu lotniczego Boscobel w Ocho Rios na pomocy wyspy. Wściekły McAuliff zaczynał już zgrzytać zębami i co chwila gryzł się w język, by czegoś nie powiedzieć. Teraz chwycił Alison pod łokieć i poprowadził ją z powrotem w stronę pawilonów dworca.

–Wielki Boże, Alex, posiniaczysz mi łokieć! – mruknęła cicho Alison, usiłując się nie roześmiać.

–Przepraszam... Naprawdę przepraszam. Ci cholerni czarni mesjasze myślą, że odziedziczyli królestwo ziemskie! Sukinsyny!

–Dopiero niedawno odziedziczyli swoją własną wyspę...

–Nie jestem w nastroju do wykładów o kolonializmie – przerwał. – Prędeż już bym się czegoś napił. Przysiadźmy na chwilę w barku, co?

–Ale co z bagażami?

–Chryste Panie, zapomniałem! Zaraz, to na pewno tutaj – Alex wskazał na bramkę po prawej stronie.

–Chyba tak – zgodziła się Alison. – Zwykle tak można rozumieć tablicę „Przyloty”.

–Cicho bądź. Moim pierwszym poleceniem jako szefa wyprawy jest, żebyś nie pisnęła słowa, dopóki nie znajdziemy bagaży i nie usiadziemy z kieliszkiem w dłoni.

McAuliff musiał jednak, niestety, odwołać ten rozkaz, z konieczności, gdyż okazało się, że bagaże zniknęły. Co gorsza, nikt nie był w stanie wytłumaczyć, co się z nimi stało. Cały bagaż, jaki przyleciał z Londynu rejsem 640, został już dawno odebrany. Godzinę temu.

–Ale my też przylecieliśmy tym samolotem. Nie odbieraliśmy bagażu. Najlepszy dowód, że się pan myli – pouczył Alex ostro kierownika zmiany.

–A to sam sobie poszukaj, *mon* - brzmiała odpowiedź Jamajczyka, zirytowanego faktem, że Amerykanin uważa jego zmianę za mniej niż doskonałą.

–Wszystkie walizki zabrane. Nic nie zostało. Cały rejs 640 stał tutaj, *mon*! Tu i nigdzie indziej.

–Proszę mnie zaprowadzić do szefa biura Brytyjskich Linii Lotniczych. Gdzie go znajdę?

–Kogo?

–Jak to kogo, do cholery, waszego szefa!

–Szeff to ja! – odparł Murzyn ze złością.

Alex z trudem powstrzymał się od gwałtowniejszej reakcji.

–Proszę posłuchać – zaczął. – Najwyraźniej źle mnie pan zrozumiał. Chciałem tylko powiedzieć, że zawiniły Brytyjskie Linie Lotnicze, i tyle.

–Ja tam nie wiem, *mon* – wtrącił łagodniejszym tonem szef zmiany i sięgnął po telefon na kontuarze. – Dzwonię do Angoli.

–Telefonuje do brytyjskich linii – szepnął McAuliff do Alison. – Nasze bagaże lecą już pewnie do Buenos Aires.

Rozmowa przez telefon nie potrwała długo.

–Proszę, *mon* – kierownik wyciągnął ku Alexowi słuchawkę. – Proszę, niech pan sam pogada.

–Halo?

–Doktor McAuliff? – zapytał ktoś o brytyjskim akcencie.

–McAuliff, słucham.

–Zastosowaliśmy się tylko do wskazówek w pańskiej notatce, doktorze.

–Jakiej notatce?

–Tej do biura obsługi pasażerów pierwszej klasy. Doręczył nam ją kierowca. No, taksówkarz. Ten sam, który zabrał bagaże pana i pani Booth do hotelu Courtleigh Manor. Takie były przecież pańskie wskazówki, prawda? – Głos w słuchawce pełen był zawodowej łagodności, jak gdyby rozmówca wiedział z góry, że ma do czynienia z pasażerem, który wypił jedną kolejkę za dużo.

–Ach, tak... Cóż, doskonale – odrzekł cicho McAuliff, odłożył słuchawkę i spojrzał na Alison. – Ktoś zabrał już te bagaże do hotelu.

–Naprawdę? Jak to ładnie ze strony tego kogoś – stwierdziła spokojnym tonem Alison.

–A ja myślę, że wcale nieładnie – skrzywił się McAuliff. – Ale teraz chodźmy, musimy znaleźć nasz bar.

Usiedli przy stoliku w rogu salonu obserwacyjnego Palisados, na górnym piętrze lotniska. Kelner w amarantowym smokingu postawił przed nimi napoje, nie przestając nucić melodii rodem z wnętrza Jamajki. Alex dałby sobie głowę uciąć, że biuro podróży kazało obsłudze nucić pieśni i kiwać się rytmicznie. Sięgnął po szklankę i wychylił większą część podwójnej szkockiej, którą zamówił. Przy okazji spostrzegł, że i zdenerwowana Alison, która na co dzień stroniła od alkoholu, tym razem postanowiła się nie oszczędzać. Jeśli się dobrze zastanowić – ale rzeczywiście dobrze – było więcej niż prawdopodobne, że ktoś otrzymał zadanie, by ukraść walizki

McAuliffa. Jego, ale dlaczego oba komplety? Tymczasem w notce napisano wyraźnie o bagażach pana McAuliffa i pani Booth.

–Nie wiozłaś jeszcze jakiejś artylerii w swoich rzeczach? – zapytał Alex prędko. – Takiej jak ten gaz?

–Nie. Włączyłabym wszystkie alarmy w maszynie do prześwietlania bagażu. Ten miotacz zadeklarowałam przed wejściem na pokład – Alison zrobiła gest w stronę torebki.

–No tak, oczywiście – wymamrotał Alex w odpowiedzi.

–Muszę przyznać, że zachowujesz zadziwiający spokój. Wyobrażałam sobie, że natychmiast będziesz dzwonił do hotelu, sprawdzał, czy wszystkie walizki dotarły... Nie, żeby tak mi na nich zależało. Nie podróżuję z klejnotami Korony Brytyjskiej.

–Boże, racja. Strasznie cię przepraszam, Alison – odepchnął krzesło i zerwał się. – Już biegnę zadzwonić.

–Nie, proszę cię, usiądź – Alison położyła mu rękę na dłoni. – Domyślam się, że masz swoje powody, żeby nie dzwonić i nie okazywać zdenerwowania. Pewnie słusznie. Nawet jeśli bagaże zniknęły, nie miałam tam niczego, czego rano nie znajdę w sklepach.

–Cieszę się, że tak mnie rozumiesz. Dzięki.

Alison zabrała rękę i znów zajęła się swoim trunkiem. Alex przesunął krzesło i nieznacznie zmienił pozycję, odwracając się ku wnętrzu sali. Przyjrzał się towarzystwu przy sąsiednich stolikach.

Poziom obserwacyjny był wypełniony co najwyżej w połowie. Od swojego stolika – nie, od stolika ich dwojga – w zachodnim Skraju sali Alex mógł zlustrować prawie wszystkie pozostałe miejsca. Powoli przesunął wzrok od stołu do stołu, zastanawiając się tak samo jak dwa wieczory wcześniej na High Holborn, kto z obcych ludzi przygląda się z kolei jemu.

W źle oświetlonym wejściu zrobił się ruch. McAuliff przeniósł wzrok w tamtym kierunku. Mężczyzna, którego ujrzał, był zwałisty i miał na grzbiecie tylko białą koszulę, ani śladu marynarki. Mówił coś do kierowniczkii sali i rozglądając się po wnętrzu, powoli kręcił głową z rozczarowaniem. Alex zamrugał nagle i bacznie przyjrzał się grubasowi.

Owszem, tego przynajmniej znał.

Ostatni raz widział go w Australii, na polach płaskowyżu Kimberley. Słyszał potem, że grubas wycofał się z interesów i osiadł na Jamajce.

Robert Hanley, pilot awionetek.

Hanley nadal tkwił u wejścia i rozglądał się po sali. Instynkt podszeptał Alexowi, że to właśnie jego szuka pilot.

–Przepraszam – oznajmił Alison – ale widzę tu znajomego. Jeżeli się nie mylę, bardzo mu zależy, żeby mnie znaleźć.

Przemykając się między stolikami, pośród przyćmionych cieni, Alex pomyślał, że spośród wszystkich mieszkańców Karaibów właśnie Robert Hanley najbardziej pasuje do takiej sytuacji. Hanley był typem uczciwego faceta, który zadaje się z półświatkiem właśnie dlatego, że można mu zaufać. Poza tym uwielbiał żarty, był

twardy i znał się na swoim fachu o niebo lepiej niż wymagali tego kolejni chlebodawcy. Jednym słowem, był kimś, komu udało się dobić sześćdziesiątki wbrew temu, iż wszystkie okoliczności podpowiadały, że nie dociągnie do czterdziestki. Inna sprawa, że na pierwszy rzut oka nie można mu było dać więcej niż czterdzieści pięć lat. Nawet w jego krótko przyszczyżonych, rudoblond włosach nie widać było odrobiny siwizny.

–Robert!

–Alexander!

Obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i pokleпали się po plecach.

–Właśnie mówiłem damie, która mi towarzyszy, że chyba to za mną się tak rozglądasz. Powiem ci coś uczciwie: mam nadzieję, że się pomyliłem.

–Niestety, wcale się nie pomyliłeś, chłopie.

–Tego się właśnie bałem. O co chodzi? Siadajże z nami!

–Już, chwileczkę. Najpierw powiem ci, co się stało. Po co twoja dama ma się przekonać, jaki potrafisz być, kiedy się wkurzysz. – Hanley poprowadził McAuliffa za drzwi. Stanęli sami przy ścianie. – Chodzi o Sama Tuckera.

–O Sama?! Gdzie jest?

–Właśnie w tym szkopał, chłopie. Zwyczajnie nie wiem. Trzy dni temu Sam wylądował w Montego i zadzwonił do mnie, do Port Antonio. Dowiedział się, gdzie jestem, od chłopaków z Los Angeles. Wskoczyłem w samolot i zjawiłem się natychmiast. Możesz sobie wyobrazić nasze huczne przywitanie. Oszczędzę ci szczegółów. Następnego dnia rano Sam zszedł do recepcji, chyba żeby kupić gazetę, i tyle go widziano. Zniknął.

VIII

Robert Hanley musiał za godzinę lecieć z powrotem do Port Antonio. Alex poprosił go, żeby nie wspominał o losach Tuckera przy Alison. Hanley zgodził się też rozpocząć poszukiwania. Alex miał z nim pozostawać w kontakcie.

Całą trójką zapakowali się do taksówki z Port Royal do Kingston, kładąc się wieść do Courtleigh Manor. Przy hotelu Hanley pozostał w taksówce i odjechał nią na niewielkie lądowisko w Tinson Pen, gdzie trzymał awionetkę.

W recepcji Alex zapytał nonszalancko, chociaż wcale nie był w szampańskim humorze:

–Domyślam się, że nasze bagaże już przyjechały?

–Tak, tak, w samej rzeczy, panie McAuliff- padła odpowiedź. Recepcjonista pod stemplował im obojgu formularze i skinął na portiera, dodając: – Dosłownie parę minut temu. Kazałem je zanieść do pokoi. Państwa apartamenty przylegają do siebie.

Ileż troski – pomyślał bez złości Alex, głowiąc się nad tym, czy Alison także usłyszała ostatnie słowa recepcjonisty. Hotelarz mówił cicho, Alison zaś stała akurat przy drugim końcu kontuaru, przeglądając broszury turystyczne. Kiedy podniosła wzrok, McAuliff nie musiał o nic pytać. Słyszała. Minę miała jednak tak obojętną, że Alex znów zaczął w myślach robić rachunek sumienia.

Pięć minut później Alison rozchyliła drzwi, dzielące ich pokoje. Alex wiedział już, że może sobie oszczędzić dalszych spekulacji.

–Wszystko zgodnie z rozkazem, panie bosmanie – zameldowała Alison, prze stępując próg. – Nie ruszałam tych...

McAuliff szybko podniósł rękę, dając dziewczynie znać, by nie kończyła, i odezwał się nie swoim głosem:

–Hurra, łóżko. Co za szczęście! Jesteś wspaniała, kocciu! Tym razem minie Alison daleko było do obojętności. Podobnie jak do zachwyty. Alex nie był przygotowany na tę niezręczną chwilę. Ostatecznie nie spodziewał się, że Alison rozmyślnie wmaszeruje mu do pokoju. Nie miało jednak sensu tkwić z głupią miną pośrodku pomieszczenia.

Sięgnął do kieszeni marynarki i wydobyl z niej niewielkie, prostokątne metalowe pudełko wielkości paczki papierosów. Był to jeden z kilku instrumentów, jakie otrzymał od Holcrofta. (Tenże Holcroft załatwił na lotnisku w Londynie, by McAuliffa wpuszczono na pokład bez kontroli i bez deklarowania metalowych przedmiotów).

W metalowym pudełku mieścił się elektroniczny wykrywacz fal radiowych, zaopatrzony w silną baterię. Jego funkcja była bardzo prosta, budowa skomplikowana, a popularność coraz większa. Tak przynajmniej utrzymywał Holcroft. Wykrywacz umiał wskazać wszystkie elektroniczne urządzenia podsłuchowe w promieniu trzech metrów. Alex zamierzał się nim posłużyć, kiedy tylko znajdzie się sam w pokoju, lecz zapomniał i zamiast tego przez dłuższą chwilę gapił się z balkoniku na mroczny, majestatyczny masyw Gór Błękitnych, odcinający się pośród bezchmurnej jamajskiej nocy.

Alison nie spuszczała oka z wykrywacza. Potem spojrzała na McAuliffa. W jej

wzroku była zarówno wściekłość, jak i strach, lecz zachowała dosyć przytomności umysłu na to, by się nie odzywać.

Dokładnie jak na szkoleniu, Alex włączył wykrywacz i zaczął nim zataczać półkola, w pionie i w poziomie, poczynając od najdalszego kąta pokoju. Tę samą procedurę trzeba było powtórzyć w pozostałych kątach. Alex czuł się zawstydzony całą sytuacją, wręcz śmieszny. Dzielnie jednak zataczał ramionami powolne koła, jak gdyby udzielał tajemnego błogosławieństwa hotelowemu wnętrzu. Wolał nie patrzeć na Alison, gdy czynił to wszystko.

Nagle jednak poczucie własnej śmieszności zniknęło bez śladu. Alex poczuł nagły ból w okolicach żołądka, ostre ukłucie, które uświadomiło mu dopiero, że bezwiednie wstrzymał oddech, wbijając wzrok w centymetrową, wąską wskazówkę na skali przyrządu. Obserwował już poruszenia tej wskazówki podczas treningów z Holcroftem. Fascynowały go wówczas jej powolne, chwiejne poruszenia. Tym razem nie czuł jednak fascynacji, lecz zwyczajny strach.

Nie brał już udziału w szkoleniu w ustronnym domku, gdzie Holcroft cierpliwie wyjaśniał mu, jak ważną rzeczą jest sprawdzać kolejne, nakładające się wycinki wnętrza. Tym razem wszystko działało się naprawdę. Alex nigdy by nie pomyślał, że do tego dojdzie. Wszystko to wydawało mu się zbyt... nie tylko nieprawdopodobne, ale wręcz niepoważne.

Oto jednak widniejąca przed nim wąska wskazówka wibrowała wyraźnie, oscylując z miniaturową gwałtownością. Miniaturowe czujniki wychwyciły obecność intruza.

Gdzieś w bezpośrednim sąsiedztwie tego miejsca znajdował się obcy przedmiot, którego zadaniem było przekazywać na zewnątrz każde słowo, jakie pada w pokoju.

Geolog skinął na Alison, która podeszła z ociąganiem. Znów uczynił gest, uświadamiając sobie, że zupełnie brak mu gracji tancerza z pantomimy. Pokazał palcem wskazówkę, a następnie dotknął ust. Kiedy Alison odezwała się na głos, znów poczuł się jak idiota.

–Obiecałeś, że się czegoś napijemy w tym cudownym ogrodzie na parterze. Inne sprawy muszą na razie poczekać... kociu. – Alison powiedziała to wszystko z prostotą i niezbyt głośno. Doskonała aktorka.

–Racja – odpowiedział, wiedząc już, że sam nie nadaje się do teatru. – Muszę tylko umyć ręce.

Szybko wszedł do łazienki i odkręcił oba kurki w umywalce. Kiedy przymknął drzwi, szum wody przycichł, chociaż wciąż dawało się go wychwycić. Amerykanin wrócił do miejsca, gdzie stał poprzednio, i znów wziął do ręki czujnik. Półkola, jakie nim zataczał, stawały się coraz węższe, a wąska wskazówka wychylała się coraz dalej. Holcroft pouczał, że w ten sposób najprędzej da się znaleźć źródło transmisji.

Tylko jeden fakt przyjął McAuliff bez zdziwienia, a mianowicie to, że czerwone światełko wykrywacza zapaliło się bezpośrednio nad walizką, która oparta o ścianę stała na specjalnej półce na bagaże.

Czerwone światełko informowało, że źródło fal znajduje się trzydzieści centymetrów od wykrywacza.

Alex przekazał czujnik Alison i ostrożnie otworzył walizkę. Zaczął wygarniać z niej swoje ubrania, kolejno wyjmując koszule, skarpety i bieliznę i kładąc – nie, ciskając je na łóżko. Kiedy walizka w połowie się opróżniła, naciągnął palcami elastyczną wyściółkę i przeciągnął ręką wzdłuż skórzanej ścianki.

Wiedział mniej więcej, czego szuka. Holcroft pokazał mu tuzin „pluskiew” różnego kształtu i rozmiarów.

Nie szukał długo.

Urządzenie przyczepiono od wewnętrznej strony do wyściółki. Pod palcami dawało się wyczuć niewielką wypukłość, wielkości guzika obciążonego skórą. McAuliff zostawił znalezisko w spokoju i, znów zgodnie z instrukcjami Holcrofta, zabrał się za przetrząsanie reszty walizki. Chodziło o to, żeby znaleźć drugi, zapasowy podsłuch.

Druga „pluskwa” znalazła się także, w przeciwległej ścianie walizki.

McAuliff przejął wykrywacz od Alison, odszedł od półki i szybkimi półkolami omiótł resztę pokoju. Holcroft miał widocznie rację mówiąc, że nie należy się spodziewać innych sygnałów. Jeżeli nadajnik umieszczono w ruchomym obiekcie, oznacza to zwykle, że nie było innego sposobu dyskretnego założenia podsłuchu.

Reszta pokoju okazała się czysta. „Sterylna”, jak mówił Holcroft. McAuliff znów skierował się do łazienki. Tam również nie znalazł „pluskiew”. Zakręcił więc oba krany i zawołał do Alison:

–Rozpakowałaś rzeczy?!

Ugryzł się natychmiast w język, bo ze wszystkich bzdur, jakie mógł powiedzieć, ta biła rekordy.

–Nie pierwszy raz jadę robić pomiary -padła beztraska odpowiedź. – Wzięłam tylko ubrania z nie mnącego materiału. Mogę się z nimi nie spieszyć Naprawdę mam wielką ochotę zejść do tego ogrodu. Jest taki śliczny! Pospiesz się, proszę.

McAuliff uchylił drzwi między pokojami i ujrzał, jak dziewczyna zasuwa taflę drzwi balkonu i zaciąga zasłonę. Przyszło mu do głowy, że Alison Booth wie, co robi. Holcroft często powtarzał z naciskiem, że jeżeli znalazło się nadajnik, trzeba też wyrzeć przez okno. „Pluskwy” idą w parze z inwigilacją optyczną.

Kiedy Alex wyszedł z łazienki, Alison zerknęła na niego... Nie, wcale nie zerknęła, tylko posłała mu twarde spojrzenie.

–Doskonale - odezwała się. – Widzę, że jesteś gotowy. Nie bardzo ci wyszło to golenie, ale i tak możesz się pokazać,... Cóż, chodźmy... kociu!

Zaraz za drzwiami, gdy szli korytarzem, Alison wzięła Amerykanina pod ramię. Zanim dotarli do windy, geolog kilkakrotnie usiłował się odezwać, lecz Alison przerywała mu za każdym razem.

–Nie, poczekaj, aż usiadziemy na dole – powtarzała łagodnie. To jednak Alison, kiedy ich usadzono w ogrodzie na wewnętrznym dziedzińcu hotelu, poprosiła o inny stolik. Ten po przeciwległej stronie wolnej przestrzeni na środku. Alex zdał sobie sprawę, że wokół nowego stolika nie było palm w donicach ani innych roślin. W ogrodzie siedziało najwyżej kilkanaście par. Zupełnie nie widziało się samotnych mężczyzn czy kobiet bez partnera. McAuliff miał wrażenie, że Alison bacznie

przygląda się wszystkim parom po kolei.

Przyniesiono im zamówienie. Kiedy kelner oddalił się, milczenie przerwała Alison.

–Chyba pora, żebyśmy porozmawiali... O tym, o czym nie mówiliśmy jakoś do tej pory.

Alex zaproponował jej papierosa. Odmówiła, więc poczęstował się sam, zyskując kilka sekund, zanim odpowie. Obydwoje zdawali sobie sprawę z bezcelowości tego gestu.

–Przepraszam, że musiałaś oglądać na górze te manewry. Nie chcę, żebyś przywiązywała do tego wszystkiego niepotrzebną wagę.

–Ach nie, dawno nie widziałam czegoś równie śmiesznego, kochanie. Może niezupełnie śmiesznego, bo przecież byłeś bliski hysterii.

–Jak to miło. – Co mianowicie?

–Że powiedziałaś do mnie „kochanie”.

–Błagam cię, zachowujmy się jak zawodowcy.

–Wielki Boże! A jesteś zawodowcem? W jakim sensie?

–Jestem geologiem. A ty?

McAuliff zignorował to pytanie.

–Sama powiedziałaś, że tam, na górze, byłem... Zdenerwowany. To prawda. Uderzyło mnie natomiast, że ty byłaś taka spokojna. Kiedy ja pogubiłem się w sytuacji, ty robiłaś wszystko co trzeba.

–Zgadzam się. Rzeczywiście gubiłeś się w tym wszystkim, Alex... Czy ktoś ci kazał mnie wybrać?

–Nie. Przeciwnie, ostrzegano mnie dwa czy trzy razy, żebym się dobrze zastanowił.

–To akurat mogła być zasłona dymna. Bardzo mi zależało na udziale. Żeby pojechać, poszłabym z tobą nawet do łóżka... Dziękuję, że nie domagałeś się tego.

–Inna rzecz, że nikt nie wywierał na mnie nacisków w twojej sprawie. Słyszałem tylko ostrzeżenia. Przyczyną całego szumu były ostatnie prywatne zainteresowania twojego męża, z których, zdaje się, czerpie większą część pieniędzy. Mówię pieniędzy bo, jak rozumiem, nie deklaruje tych kwot jako dochodu.

–Czerpie stamtąd całość swoich, jak mówisz, pieniędzy i rzeczywiście nie deklaruje ich jako dochodu. Nie próbuj mi tylko wmawiać, że wydział geofizyki Uniwersytetu Londyńskiego ma dostęp do takich informacji. Co dopiero mówić o Królewskim Towarzystwie Historycznym...

–I tu się mylisz. Znaczna część funduszków na tę ekspedycję pochodzi z dotacji rządowej. Uniwersytet i Towarzystwo tylko tu pośredniczą, a sama wiesz, że kiedy idzie o wydatki rządowe, władze lubią wiedzieć, ile płacą i komu.

McAuliff sam był zaskoczony swoją wprawą. Reagował dokładnie tak, jak uczył go Holcroft: udzielał natychmiastowych, logicznych odpowiedzi. Trzeba zaczynać od prawdy, nie komplikować... Słowa Holcrofta.

–Dobrze, powiedzmy że przyjmuję ten wykręt, wątpliwy i amerykański w stylu – uspokoiła go Alison, sięgając po papierosy. – W takim razie wyjaśnij mi łaskawie, co takiego widziałam na górze.

Alex uznał, że wybiła jego godzina. Zastanawiał się, czy sprostą sytuacji zgodnie z podpowiedziami Holcrofta, który nieraz powtarzał, by tłumaczenia ograniczać do paru niezbędnych słów, prostych, rozsądnych i zawsze tych samych. Podał Alison ogień i próbując zdobyć się na lekki ton, zaczął:

–Na pewno wiesz, że w Kingston wciąż trwają polityczne podchody. Większość tych historii to zupełne głupstwa, ale czasami dochodzi do ostrych sytuacji. Wokół naszej wyprawy trwają kontrowersje. Wyspiarzom nie podoba się, że przyjeżdżamy z Londynu, wszystkiego zazdroszczą, sama zresztą widziałas, jak to wyglądało w komorze celnej... Powtarzam, są ludzie, którzy chcą nas skompromitować. Dostałem ten cholerny czujnik z instrukcją, aby użyć go, jeżeli wydarzy się coś dziwnego. Uznałem, że coś takiego właśnie zaszło, i nie pomyliłem się.

Alex przełknął resztę alkoholu, śledząc reakcję dziewczyny. Nie mógłby zdobyć się na ton większej uczciwości.

–Mówisz o naszych walizkach – dopowiedziała Alison.

–Właśnie. Ta historia z notatką ode mnie nie ma najmniejszego sensu, a poza tym recepcjonista sam przyznał, że walizki przyjechały do hotelu tuż przed nami. Tyle że w Palisados odebrano je dobre dwie godziny temu.

–Aha. Tylko dlaczego zwykła wyprawa geologiczna wywołuje tyle zamieszania? Trudno mi to jakoś przetrwać, Alex.

–Wcale nie. Zastanów się tylko. Dlaczego organizuje się takie pomiary? W jakim celu? Czy nie dlatego, że zwykle ktoś, konkretni ludzie, spodziewa się coś na tym terenie wybudować?

–Nasza wyprawa ma inny charakter. W grę wchodzi zbyt rozległy areał. Pierwsza powiem, że to typowa, wręcz podręcznikowa wyprawa naukowa. To jedyna logiczna wersja... – Alison urwała i spojrzała McAuliffowi w oczy. – Boże, więc to tak! Jeżeli badania są tylko pretekstem... Niewiarygodne!

–Być może znajdą się tacy, którzy jednak uwierzą. A gdyby ktoś taki się znalazł, jak myślisz, co by zrobił? – Alex wyciągnął dwa palce, dając kelnerowi znak, że powtórzą kolejkę. Alison Booth rozchyliła usta ze Zdumienia.

–Przecież w grę wchodzi miliony, naprawdę miliony! – szepnęła. – Boże, tacy ludzie mogliby wykupić wszystko aż po horyzont.

–Ale tylko pod warunkiem, że mieliby pewność co do całego planu.

Alison zmusiła Amerykanina, by na nią spojrzał. Kiedy się ociągał, rozglądając się zamiast tego za opieszalym kelnerem, ujęła go za rękę i ściskając ją stwierdziła:

–Nie mylą się, prawda? Ci ludzie, o których mówisz?

–Nie mam na to żadnego dowodu. Podpisałem kontrakt z uniwersytetem w Londynie, a parafowało go Królewskie Towarzystwo i ministerstwo na Jamajce. Co będzie z wynikami pomiarów, to już sprawa tych instytucji.

Zapieranie się nie miało sensu. McAuliff był z zawodu geologiem, a nie jasnowidzem.

–Nadal ci nie wierzę. Kazano ci tak powiedzieć.

–Nikt nic mi nie kazał. Powiedziano mi tylko, żebym się miał na baczności.

–A ten twój... Nie daje się takich groźnych zabawek ludziom, którzy po prostu

mają się na baczności.

–Sam też tak myślałem. Ale wiesz co? Okazało się, że obydwójce nie mieliśmy racji. Takie wykrywacze są w naszych czasach bardzo popularne. Najzwyklejsza rzecz pod słońcem, zwłaszcza jeśli przychodzi działać na cudzym terenie. Niezbyt optymistyczny komentarz na temat zaufania między ludźmi, co?

Kelner, który przyniósł wreszcie napoje, również mruczał pod nosem melodię i kiwał się rytmicznie w jej takt. Alison skupiła jednak całą uwagę na geologu. McAuliff nie był do końca pewien, ale wydawało mu się, że zaczyna zyskiwać zaufanie dziewczyny. Gdy kelner zniknął, nachyliła się, jak gdyby chciała powiedzieć coś ważnego.

–I co masz teraz zamiar zrobić? Znalazłeś przecież te okropne... paskudztwa. Co chcesz z nimi zrobić?

–Nic. Rano poinformuję o wszystkim ministerstwo, i tyle.

–Serio, chcesz je tak zostawić, zamiast wyjąć z walizki i rozdeptać? Chcesz je zwyczajnie zostawić?

Alex sam przyznawał w duchu, że nie jest to najciekawsza perspektywa, lecz instrukcje Holcrofta były pod tym względem jasne. Jeżeli znalazło się „pluskwę”, trzeba ją było pozostawić i w miarę możliwości wykorzystać do własnych celów. Podstęp mógł się okazać niezmiernie cenny, więc przed wyeliminowaniem każdego z takich urządzeń Alex miał poinformować kogo trzeba i postąpić zgodnie z instrukcją. Sklep rybny Tallon, niedaleko Parku Wiktorii.

–Płacą mi w końcu... To jest, płacą nam wszystkim. Pewnie chcą po kryjomu sprawdzać, co robimy. Jaka to różnica? I tak nie mam żadnych tajemnic.

–I nie będziesz miał – dodała dziewczyna cicho, lecz z naciskiem, zabierając dłoń. McAuliff pojął nagle, w jak karkołomną sytuację się wplątał. Wszystko wydało mu się śmieszne, a zarazem niesamowite, zabawne i bardzo mało zabawne.

–Czy w takim razie mogę zmienić zdanie i zadzwonić do kogoś? – zapytał. Na twarzy Alison powoli – bardzo powoli – zawitał znajomy, śliczny uśmiech.

–Nie, nie. Umyślnie byłam niesprawiedliwa... Poza tym naprawdę ci wierzę.

Należysz do najbardziej beztroskich, głupio beztroskich facetów, jakich znam. Albo jesteś okropnie naiwny, albo niesamowicie skryty. W to drugie nie wierzę. Za bardzo denerwowałeś się tam, na górze. – Alison znów nakryła jego dłoń swoją. Drugą, wolną ręką McAuliff przechylił szklankę do ust.

–Czy mogę zapytać, dlaczego... dlaczego ty się nie denerwowałaś?

–Możesz. Chyba pora, żebym ci coś opowiedziała. Mam u ciebie dług... Nie wracam do Anglii, Alex. Przynajmniej nie w ciągu najbliższych lat, a może w ogóle.

Nie mogę. Ostatnich kilka miesięcy musiałam... Współpracowałam z Interpolem. Stąd mam trochę doświadczenia z tymi radiowymi paskudztwami. Tak się je nazywa w branży. „Pluskwy”, „paskudy”. McAuliff znów poczuł pieczenie w żołądku. Strach, a może coś więcej niż strach. Holcroft wspominał, że brytyjski wywiad uważa, iż Alison Booth nie wróci do Anglii. Julian Warfield z kolei insynuował, że Alison może się przydać wyprawie z przyczyn, które nie miały nic wspólnego z naukowymi wartościami jej pomiarów.

Nie wiadomo było, w jaki sposób – ani dlaczego – Alison działa na dwie strony. Wiadomo było tylko, że tak właśnie jest.

–Jakim cudem to się stało? – zapytał teraz z odpowiednią dozą zdziwienia. Alison streściła mu najważniejsze punkty swojej współpracy. Jej małżeństwo osiadło na mieliźnie, zanim jeszcze minęła pierwsza rocznica ślubu. Mówiąc po prostu, Alison Booth bardzo szybko doszła do wniosku, że mąż zbliżył się do niej i poślubił z przyczyn, które wiązały się najbardziej z jej zawodowymi wyjazdami do różnych krajów.

–Zupełnie tak jak gdyby ktoś mu kazał mnie kupić, zrobić ze mnie narzędzie, usidlić...

Do pierwszego kryzysu doszło wkrótce po ślubie. Booth wykazywał chorobliwe zainteresowanie podróżami żony. W dodatku jak grom z jasnego nieba zaczęły napływać oferty od mało znanych, lecz hojnych firm, którym zależało na badaniach w rozmaitych egzotycznych okolicach.

–Wśród nich były oczywiście Liban, Korsyka, południe Hiszpanii. David jechał ze mną za każdym razem. Przyjeżdżał na całe dni albo tygodnie...

Do konfrontacji między małżonkami doszło na Korsyce. Wyprawa prowadziła pomiary dna morskiego na szelfie, u przylądka Senetosa. Mniej więcej w połowie wyjazdu Booth przybył także na miejsce, by, jak poprzednio, spędzić dwa albo trzy tygodnie przy żonie. W ciągu tego okresu miała miejsce seria dziwnych rozmów telefonicznych i ukradkowych spotkań. Każde z tych wydarzeń przyprawiało. Davida wręcz o załamanie nerwowe. Tymczasem w Ajaccio coraz częściej lądowały szybkie awionetki, a nieznajomi osobnicy wysiadali z kutrów rybackich i małych jednostek pełnomorskich. David zniknął na całe godziny, czasem na całe dni. Obowiązki przy pomiarach pozwalały Alison co wieczór wracać do nadmorskiego hotelu, gdzie kwatrował zespół. Mąż nie mógł więc ukryć swoich dziwnych poczynań ani faktu, że cały jego pobyt na Korsyce nie wypływa z gorących uczuć względem żony.

Alison zaczęła się domagać wyjaśnień, wyliczając kolejne wątpliwe sytuacje i bez ogródek określając tłumaczenia Davida po imieniu, jako nieudolne kłamstwa. Wreszcie mąż załamał się, zaczął płakać, prosić o przebaczenie i wyznał jej całą prawdę.

Aby żyć na stopie, do jakiej przywykł, David Booth, który nie umiał zdobyć tych pieniędzy zwykłymi sposobami, związał się z międzynarodowym handlem narkotykami. Świadczył zwykle usługi jako kurier. Ułatwiał mu to znakomicie fakt, że był współwłaścicielem firmy eksportowo-importowej. Firma nie posiadała właściwie profilu i – jak można się spodziewać przy takich właścicielach – świadczyła usługi nie tyle handlowcom, ile ludziom z towarzystwa, pośrednicząc w zakupach dzieł sztuki do dekoracji wnętrz. David Booth mógł więc podróżować po całym świecie, nie narażając się na oficjalną dociekliwość. W świat kontrabandy wprowadziły go banalne sprawy: zaciągnięte po pijanemu długi karciane i kompromitujące związki z kobietami. Tak naprawdę nie miał wyboru, a poza tym otrzymywał hojne wynagrodzenie i nie żywił najmniejszych skrupułów co do swego zajęcia.

Skrupuły miała natomiast Alison. Jej wyprawy geologiczne były najzupełniej

legalne i chlubnie świadczyły o zdolności mocodawców Davida do pozyskiwania sobie łatwowiernych partnerów. David otrzymał od mocodawców listę grup poszukiwawczych w basenie Morza Śródziemnego, wraz z poleceniem, by każdej z nich zaoferować fachowe umiejętności swej szanowanej w tym środowisku żony. W zamian za zatrudnienie małżonki, David Booth po cichu obiecywał rozmaite sumy. Wzorowy bogaty mąż, który stara się dyskretnie dostarczyć rozrywki zawodowo aktywnej żonie. Oferty przyjmowano natychmiast, dzięki zaś nieoficjalnym układom z grupami badawczymi jego podróże zyskiwały podwójną wiarygodność. Nic dziwnego, że wkrótce jego umiejętności jako kuriera wykroczyły daleko poza ciasne horyzonty tej profesji.

Alison zagroziła, że porzuci pomiary na Korsyce.

David wpadł wówczas w histerię. Tłumaczył, że jeśli Alison to zrobi, obydwójce czeka śmierć. Obraz wszechogarniającej, bezlitosnej i zdradzieckiej organizacji, jaki odmalował, skłonił do ustępstw Alison, która rzeczywiście zaczęła się obawiać o życie męża i swoje własne. Zgodziła się zatem dokończyć badania na Korsyce, lecz zapowiedziała jasno, że małżeństwo jest skończone. Decyzja była nieodwołalna.

A przynajmniej tak wydawało się wówczas Alison.

Stało się tak, że pewnego popołudnia, w terenie – a właściwie na morzu, gdzie pobierano próbki z otworów wiertniczych – Alison napotkała niewielki jacht motorowy. Na pokładzie stało dwóch panów, którzy przedstawili się jako agenci Interpolu. Od wielu miesięcy śledzili Davida Bootha i zdążyli zgromadzić dla Interpolu wielotomową dokumentację. Śledztwo coraz bardziej zacieśniało się wokół kuriera.

–Nie muszę ci nawet mówić, że agenci zdążyli się przygotować na przyjazd Davida. Mój pokój był tak samo bezpieczny, jak twój dzisiejszego wieczora...

Agenci postawili przed Alison nieodparte i logiczne argumenty. To, co jej własny mąż nazywał potężną, złowrogą siecią, ludzie z Interpolu opisali jej jako osobny świat, pełen bólu, tortury i straszliwej, bezsensownej śmierci.

–Rozmawiałam z prawdziwymi ekspertami. – W oczach Alison zamigotało wspomnienie, a na twarz wypłynął jej smętny uśmiech. – Pokazali mi fotografie, całe dziesiątki fotografii. Dzieci w męczarniach, młodzi ludzie, wyniszczone dziewczęta: Nigdy nie zapomnę tych zdjęć. Interpol chyba także wiedział, że nie zapomnę...

Pokaz był klasycznym wstępem do próby werbunku. Pani Alison Booth miała przecież tak ogromny wpływ. Nikt nie nadawał się lepiej do tego zadania. Mogłaby wyświadczyć tak znaczną pomoc, tak ogromną... Ale gdyby zamierzała odejść od męża zgodnie z wcześniejszym zamiarem, czyli nagle i bez wyjaśnienia, pytanie, czy by jej na to rzeczywiście zezwolono...

McAuliff jęknął w duchu i pomyślał, że świat w ogóle się jednak nie zmienia. Ludzie z Interpolu zachowywali się dokładnie tak samo, jak Holcroft podczas pierwszej rozmowy w Savoyu.

Agenci ustalili z Alison plan działania, określili tryb spotkań i wyznaczyli rozsądny czas, podczas którego miało dojść do „rozkładu pożycia”. Uradowanemu mężowi Alison mogła wyznać, że postanowiła dać mu jeszcze jedną szansę, pod warunkiem że nigdy, przenigdy nie będzie jej opowiadał o swojej skrytej działalności.

Przez następne pół roku Alison Gerrard Booth informowała o wszystkich poczynaniach męża, identyfikowała ludzi z fotografii, umieszczała całe garście miniaturowych podsłuchów w pokojach hotelowych, samochodach, nawet we własnym domu. Robiła to w przekonaniu, że niezależnie od zarzutów, jakie policja postawi przed Davidem, mężowi nie stanie się żadna cielesna krzywda. Interpol miał już tego dopilnować.

Oczywiście bez żadnej gwarancji, że się uda.

–I jak się to wszystko skończyło? – zapytał Alex.

Alison na mgnienie odwróciła wzrok, spoglądając na ciemną, złowrobną panoramę Gór Błękitnych, wyrastających z mrocznej równiny, zaledwie kilka mil na północ.

–Musiałam kiedyś wysłuchać bardzo bolesnego nagrania. Tym bardziej okropnego, że sama dopomogłam je zrobić.

Któregoś ranka, zaraz po wykładzie na uniwersytecie, w gabinecie Alison, w instytucie geologii, zjawił się człowiek z Interpolu. W teczusce miał miniaturowy magnetofon i kasetę ze skopiowaną rozmową między Davidem Boothem a wysłannikiem markiza de Chatellerault, osoby zidentyfikowanej jako mózg handlu narkotykami. Alison usiadła więc i wysłuchała z taśmy pijackich zwierzeń, w których tak jej bliski mężczyzna opisywał klęskę małżeństwa z kobietą, którą kochał. Alison słyszała płacz, słowa wściekłości i oskarżenia, jakie David Booth kierował pod własnym adresem, zarzucając Sobie, że okazał się do niczego. David wracał też co chwila do swoich bezskutecznych suplikacji, by żona wpuściła go do łóżka, i łkał, że Alison odepchnęła go od siebie. Wreszcie zaś w słowach, które nie zostawiały cienia wątpliwości, oświadczył, że bardzo cierpi, zmuszając żonę do takich usług. Cierpi tak bardzo, że jeśli Alison kiedykolwiek dowie się o wszystkim, będzie musiał popełnić samobójstwo. W ten sprytny, prawie zbyt perfekcyjny sposób udało się Boothowi wybielić żonę i twierdzeniami, że Alison nic nie wie o działalności Chatelleraulta, oddalić od niej podejrzenia. Odegrał rzecz po mistrzowsku.

–Interpol doszedł do wniosku, który był jeszcze gorszy niż nagrana rozmowa. David dowiedział się w jakiś sposób o mojej roli. Musiałam się wycofać.

W ciągu czterdziestu ośmiu godzin udało się załatwić błyskawiczny rozwód na Haiti. Alison Booth była wolna. Co nie znaczyło, oczywiście, że może robić, co chce.

–Zanim upłynie rok, policja dotrze do Chatelleraulta, do Davida, w ogóle do wszystkich. A wtedy zaczną się domysły i wyjdzie na jaw, że to żona Bootha...

Alison sięgnęła po szklankę, upiła z niej i spróbowała się uśmiechnąć. – To wszystko? – odezwał się Alex, który wcale nie był tego taki pewien.

–To wszystko, panie McAuliff... A teraz powiedz mi coś uczciwie. Czy gdybyś wiedział o tej sprawie, włączyłbyś mnie w skład grupy?

–Nie, nie sądzę... Zdziwiałem, że nic do mnie nie dotarło.

–Takich informacji nie znajdziesz na uniwersytecie ani w urzędzie imigracyjnym.

–Alison – przerwał jej nagle McAuliff, usiłując stłumić w sobie nagły lęk. – Ale o tej wyprawie dowiedziałaś się na uniwersytecie, prawda?

Dziewczyna roześmiała się i uniosła przepiękne brwi w udawanym oburzeniu.

–O mój Boże, godzina szczerości, tak? Owszem, przyznaję, że dostałam cynk. Tylko dzięki temu miałam czas zebrać specjalnie dla ciebie tak wspaniałe dossier na własny temat.

–W takim razie skąd się dowiedziałaś?

–Od Interpolu. Szukali dla mnie czegoś od paru miesięcy. Zadzwonili do mnie dziesięć, nie, dwanaście dni przed rozmową kwalifikacyjną.

McAuliff nie musiał zagłębiać się w skomplikowane obliczenia. Dwanaście dni przed rozmową. Czyli mniej więcej wtedy, kiedy po południu spotkał się przy Belgravia Square z Julianem Warfieldem.

A później z niejakim Holcroftem z wywiadu brytyjskiego. Alex poczuł w żołądku nawrót piekącego bólu. Tym razem doznanie było silniejsze i bardziej wyraźne. Nie mógł jednak zaprzętać sobie nim teraz głowy, zwłaszcza że spomiędzy cieni patio wynurzył się i zakosami szedł w ich stronę jakiś człowiek. Niepewnym krokiem zbliżał się do ich stolika. Pijany jak bela, stwierdził Alex.

–Ho, ho, tuście się schowali! Głowiliśmy się wszyscy, co się z wami dzieje, do cholery. Siedzimy w środku, w barze. Ten Whitehall zasuwa na fortepianie jak szatan! Pieprzony Noel Goward w negatywie! Aha, przy okazji, mam nadzieję, że te wasze bagaże jakoś dojechały? Widziałem, że utknęliście w komorze celnej, więc naskrobałem tym sukinkotom notkę, żeby wysłali wasze graty taksówką. Nie wiedziałem, czy się doczytają. Zawsze jak wypiję, krzywo mi wychodzą litery.

Młody James Ferguson Opadł ciężko na wolne krzesło i z pijacką błogością uśmiechnął się do Alison. Potem odwrócił się do McAuliffa, a jego uśmiech zgasł na widok spojrzenia, jakim go zmierzył szef wyprawy.

–Jestem panu bardzo wdzięczny – cicho powiedział Alex. Po czym ujrzał w oczach Fergusona coś jeszcze. Spoza załzawionych, maślanych tęczówek patrzyły na niego dwie zupełnie przytomne źrenice.

James Ferguson wcale nie był aż tak pijany, jak twierdził.

IX

Postanowili bawić się tej nocy do upadłego, dyskretnie mszcząc się w ten sposób na „paskudnych pluskwach”. Bez oporów dołączyli więc w barze do reszty kompanii, a McAuliff, jak przystało na kapitana okrętu, odbył szeptaną konferencję z szefem sali. Wszyscy wiedzieli więc, że tym razem rachunek za zabawę bierze na siebie kierownictwo wyprawy.

Charles Whitehall okazał się artystą ha miarę pochwał Fergusona. Przy swoim talencie mógłby występować zawodowo na estradach, a piosenki, jakie akompaniując sobie odśpiewywał w wyspiarskiej gwarze – pełne karaibskich idiomów i murzyńskiego humoru rodem z Jamajki – okazały się zabawne, żywe, słone, a czasami wręcz pieprzne. W głosie wykonawcy słyszało się jasny, wysoki ton ulicznych balladzystów z Kingston. Tylko oczy Whitehalla pozostawały nieruchome. Murzyn zabawiał towarzystwo i umiłał mu czas, lecz sam nie bawił się wcale i tylko udawał dobry humor. Tak wydawało się Alexowi.

Whitehall grał.

Wreszcie, prawie po dwóch godzinach zabawy, Whitehall znużył się tym zajęciem, łaskawie przyjął aplauz podpitego już towarzystwa i okrężną drogą powrócił do stolika. W marszu przyjął jeszcze uściski dłoni, poklepywania i ukłony Fergusona, Jensenów, Alison Booth i Alexa, po czym spoczął na fotelu obok McAuliffa. Przedtem siedział na tym miejscu Ferguson – zachęcony do tego przez Alexa – lecz młody botanik chętnie skorzystał ze sposobności, by się oddalić. Na chwiejnych nogach.

–Nadzwyczajne! – pochwaliła Alison i tuż przed nosem McAuliffa wyciągnęła dłoń ku Murzynowi. Alex obserwował jego reakcję. Czarna, karaibska dłoń (o wypielęgnowanych paznokciach z błyskiem złotego sygnetu) delikatnie, wręcz po kobiecemu owinęła się wokół palców Alison. A potem nagle, jak gdyby przecząc własnej manierze, Whitehall podniósł dłoń dziewczyny do ust i ucałował. Kelner przyniósł butelkę białego wina i poddał ją inspekcji Whitehalla. W barowym świetle Murzyn odcyfrował etykietę, podniósł wzrok na uśmiechniętego kelnera i potakująco skinął głową, a potem znów odwrócił się do McAuliffa. Alison nachyliła się nad blatem, opowiadając coś siedzącej po drugiej stronie Ruth Jensen.

–Chciałbym zamienić z panem parę słów na osobności – od niechcienia zaczął Jamajczyk. – Proszę przyjść do mojego pokoju, powiedzmy dwadzieścia minut po tym, jak wyjdę z baru.

–Sam?

–Sam.

–Czy ta rozmowa nie może poczekać do rana?

Whitehall przeniósł ciemne oczy na McAuliffa i cicho, lecz z naciskiem oświadczył:

–Nie. Nie może.

James Ferguson zerwał się nagle na równe nogi i od swojego miejsca przy końcu stołu wznosił toast pod adresem Whitehalla. Kiedy wymachiwał kieliszkiem, drugą ręką kurczowo trzymał się blatu. Nadawał się na podręcznikową ilustrację młodego człowieka, który za dużo wypił.

–Niech żyje Charles I, król Kingston! – wrzasnął. – Zdrowie czarnej wersji Noela Cowarda! Byłeś po prostu f-fantastyczny, Charles!

Przy stoliku zapanowała niezręczna cisza. Wszyscy próbowali udąć, że nie słyszeli nieszczęsnej „czarnej wersji”. Kelner pospiesznie napełnił kieliszek Whitehalla. Sytuacja zupełnie nie sprzyjała powolnemu kosztowaniu trunku.

–A, dziękuję. – Whitehall zachował całą uprzejmość i przywołując karaibskie określenie moczymordy dodał pod adresem botanika: – Uważam te słowa za ogromny komplement, Jimbo-mon.

–Jimbo-mon! – radośnie wykrzyknął Ferguson. – To pyszne! Mówcie mi odtąd Jimbo-mon! A teraz chciałbym... – nie dokończył, a jego młodą twarz wykrzywił straszny grymas. Dla wszystkich stało się nagle przeraźliwie jasne, że organizm botanika nie przyjmie już ani odrobiny alkoholu. Ferguson z chwiejną precyzją odstawił kieliszek, zrobił dwa niepewne kroki w tył i jak na zwolnionym filmie własnego autorstwa, zwałił się bezwładnie na podłogę.

Towarzystwo zerwało się z miejsc. Pary przy sąsiednich stolikach zaczęły także spoglądać w tę stronę. Kelner co prędzej odstawił butelkę i ruszył w stronę Fergusona. Wraz z nim zaczął iść Peter Jensen, który stał najbliżej.

–O Boże! – Jensen ukląkł przy koledze i rzucił: – Wydaje mi się, że biedakowi zbiera się na mdłości. Rum, chodź tu i pomóż! Kelner! Proszę mi pomóc, przyjacielu...

Jensenowie wspomagani przez dwóch kelnerów ostrożnie posadzili młodego botanika, rozluźnili mu krawat i na rozmaite sposoby zaczęli przywracać mu przytomność. Tymczasem stojący obok McAuliffa Whitehall uśmiechnął się, podniósł ze stołu dwie serwetki i cisnął je w kierunku grupy samarytanów. Alex spod oka obserwował gest Jamajczyka – niezbyt miły gest. Ferguson zaczął kiwać głową i pojękiwać, jak ktoś, kto zaraz zwymiotuje.

–Myślę, że to dla mnie najlepsza okazja, żeby opuścić towarzystwo – oznajmił Whitehall. – Za dwadzieścia minut?

–Albo coś koło tego – przytaknął McAuliff.

Jamajczyk stanął przed Alison, delikatnie wziął ją za rękę, ucałował jej dłoń i z uśmiechem szepnął:

–Dobranoc, moja droga.

Odrobinę tym rozeźlony McAuliff obszedł ich boki i zbliżył się do Jensenów, którzy wspomagani przez kelnerów podnosili Fergusona z fotela.

–Odprowadzimy go do pokoju – obiecała Ruth. – Ostrzegałam go, żeby nie pił rumu. Nie wolno mieszać rumu z whisky, ale chyba mnie nie posłuchał – i z uśmiechem pokręciła głową. McAuliff nie spuszczał wzroku z twarzy Fergusona, zastanawiając się, czy znów ujrzy na niej to samo co przedtem, i czego wypatrywał na niej od ponad godziny.

Zaraz potem rzeczywiście to ujrzał. Tak mu się przynajmniej zdawało.

Kiedy ręce Fergusona opadły bezwładnie na ramiona kelnera i Petera Jensena, botanik otworzył oczy. Z pozoru były one zamglone i niewidzące, lecz na ułamek sekundy ich szklisty wyraz zniknął, zastąpiony ostrym, czujnym spojrzeniem.

Ferguson uczynił to samo, co każda normalna osoba idąca przez źle oświetlone wnętrze. Sprawdził mianowicie, czy stawiając kroki nie natrafi na żadną przeszkodę.

Przez ułamek sekundy – ale tylko przez mgnienie – był zupełnie trzeźwy.

Dlaczego jednak James Ferguson pozwolił sobie na tak epicką w skali, a w dodatku rozmyślną kompromitację? McAuliff postanowił odbyć z nim rano krótką, męską rozmowę. Tematów znajdzie się co najmniej kilką, poczynając od „krzywo nabazgranej” notatki, która sprawiła, że walizka geologa przybyła do hotelu wzbogacona o mały detal. Ten sam, który uruchomił światelko wykrywacza fal.

–Biedna zbląkana owieczka. Będzie się okropnie czuł jutro rano – odezwała się Alison, dołączając do Alexa. Wspólnie mogli teraz podziwiać pochod Jensenów, którzy wywlekają Fergusona z baru.

–Mam tylko nadzieję, że owieczka zabląkała się jeden jedyny raz i nie zamierza się przyzwyczajać do takich numerów.

–Przestań, Alex, bo gderasz jak stara ciotka. To pierwszorzędnny chłopak, tylko po prostu wypił jedną kolejkę za dużo...- Alison obejrzała się przez ramię na opustoszały stół. – Ha, wygląda na to, że już po balu.

–Pamiętam, że umówiliśmy się, żeby balować do rana.

–Padam z nóg, kochanie, więc nie wiem, czy wystarczy mi samozaparcia.

Umawialiśmy się też, że tym magicznym pudełeczkiem sprawdzimy moje bagaże. Co ty na to?

–Jasne. – McAuliff skinął na kelnera.

Powędrowali hotelowym korytarzem. Przy drzwiach McAuliff wyjął klucz z dłoni Alison.

–Za parę minut muszę się zobaczyć z Whitehallem.

–Naprawdę? Daj spokój. Jest już strasznie późno.

–Mówił, że musi ze mną porozmawiać. W cztery oczy. Dlaczego, nie mam pojęcia. Postaram się pospieszyć. – Przekręcił klucz i otworzył drzwi, odruchowo blokując przejście Alison. Wpuścił ją dopiero, kiedy włączył światło i rozejrzał się po wnętrzu.

Pokój okazał się pusty, a drzwi łączące go z numerem McAuliffa nadal były uchylone, tak jak je pozostawili parę godzin wcześniej.

–Imponujesz mi – szepnęła Alison, żartobliwie opierając brodę na wyciągniętym ramieniu, które broniło jej wstępu do pokoju.

–Co takiego? – zdziwił się McAuliff i podszedł do wewnętrznych drzwi. W jego pokoju nadal paliło się światło, które tam zostawił. Jak najciszej zamknął drzwi, wyjął z marynarki wykrywacz i podszedł do łóżka, na którym leżały obok siebie obie walizki Alison. Zatrzymał instrument tuż nad nimi. Wskazówka nie drgnęła. Prędko obszedł więc cały pokój, udzielając wnętrzu serii pionowych i poziomych błogosławieństw. Pokój okazał się czysty.

–Mówiłaś coś do mnie? – zapytał cicho.

–Ochroniasz mnie. To bardzo miłe.

–Dlaczego u ciebie nie paliło się światło, a u mnie było? – McAuliff musiał nie dosłyszeć ostatnich słów.

–Bo je zgasiałam. Kiedy byliśmy na górze, zabrałam stąd torebkę, poprawiłam

makijaż i wróciłam do twojego pokoju. Przy drzwiach jest kontakt, więc nacisnęłam go odruchowo.

–Nie pamiętam.

–Nie dziwię się. Byłeś taki zdenerwowany. Widzę, że mój pokój nie ściąga na siebie ogólnej uwagi, w odróżnieniu od twojego. – Alison przestąpiła parę kroków i dokładnie zamknęła drzwi na korytarz.

–Rzeczywiście, chyba nie, ale mów trochę ciszej... Ciekawe, czy te cholerne podsłuchy działają też przez drzwi i ściany?

–O ile wiem, to nie – uspokoila go Alison, patrząc jak Alex zdejmuje z łóżka obie walizki i dźwiga je przez pokój. Przy szafie ściennej przystanął, rozglądając się za półką na bagaże. Półki jak na złość nie było.

–Czy nie robisz tego zbyt ostentacyjnie? – usłyszał.

–Proszę?

–Dlaczego zabierasz mi walizki? Jeszcze się nie rozpakowałam.

–Ojej. – McAuliff poczuł na twarzy nagły rumieniec. Znów czuł się jak ostatni idiota. – Przepraszam. O takich jak ja mówi się, że mają chorobliwe zamiłowanie do porządku.

–Albo inne chorobliwe zamiłowania.

Alex wrócił z walizkami na środek pokoju i nie wypuszczając ich z rąk przyjrzał się minie Alison. Czuł się okropnie zmęczony.

–Mieliśmy podły dzień... Bardzo karkołomny dzień – mruknął. – Co gorsza, ten dzień wcale się nie chce skończyć. Muszę iść do Whitehalla... A na dodatek nie mogę nawet w swoim pokoju chrapać ani gadać przez sen, ani nawet iść do łazienki bez zamykania drzwi, bo wszystko zostanie zapisane na taśmie. Mogę się z tego śmiać, ale wcale nie będzie mi przez to lżej... Powiem ci coś jeszcze, skoro już plotę bzdury. Jesteś bardzo, bardzo piękną dziewczyną... A co gorsza, nie mylisz się. Rzeczywiście mam chorobliwe skłonności... Na przykład w tej chwili czuję, że muszę cię objąć i pocałować, i poczuć, że ty też mnie obejmujesz... Mam taką okropną ochotę... Wszystko przez ten twój uśmiech i to, jak się śmiejesz... Kiedy się śmiejesz, mam zawsze ochotę patrzeć na ciebie, móc dotknąć twojej twarzy... Chcę cię tylko objąć i zapomnieć o całym świecie... Dobrze, skończyłem bredzić, więc możesz spokojnie kazać mi się zabierać w diabły.

Alison Booth stała bez słowa, przyglądając się McAuliffowi przez podejrzenie długą chwilę, a potem niespiesznie, z namysłem, podeszła do niego.

–Czy masz pojęcie, jak głupio wyglądasz z tymi walizkami? – szepnęła i nachylając się ku Alexowi pocałowała go.

Walizki stuknęły o podłogę. Słyszając ten łoskot, obydwójce uśmiechnęli się. McAuliff przyciągnął Alison do siebie, odkrywając, jak wspaniale jest to uczucie i jak niezwykle okazuje się rosnące w nim podniecenie. Kiedy całował Alison i kiedy ich usta dotykały się żarłocznie, coraz bardziej natarczywe i coraz szerzej rozchylone, Alex uświadomił sobie, że Alison drżącymi rękami ściska go z siłą, która oznacza coś więcej niż pożądanie. Nie był to jednak strach: w ruchach Alison nie było najmniejszego wahania, najmniejszego ociągania, tylko rozpaczliwe zdecydowanie.

Delikatnie ułożył dziewczynę, ona zaś nie czekając na nic rozpięła górne guziki bluzki i wiodła pod nią dłoń Alexa. Czując pieśczość, zamknęła oczy i wyszeptała:

–Tyle czasu zmarnowałam, Alex. Jak myślisz, czy Whitehall mógłby poczekać jeszcze chwilę? Bo widzisz, ja już czekać nie mogę.

Leżeli nadzy obok siebie, przykryci miękką kołdrą. Alison podniosła się na łokciu i poprzez włosy spadające jej na twarz przyjrzała się Alexowi. Przesunęła mu czubkiem palca wzdłuż ust, nachyliła się nad nim i pocałowała, tym razem zarys jego warg wykreślając językiem.

–Jestem po prostu bezwstydna – roześmiała się cicho. – Chciałabym się z tobą kochać całą noc. A potem jeszcze pół dnia... Byłam spragniona i dotarłam do studni, i nie mogę się od niej oderwać...

Wyciągnął dłoń do góry i zaczął między palcami przesiewać włosy dziewczyny. Potem wciąż dotykając jasnych kosmyków opuścił dłoń i zamknął ją wokół lewej piersi Alison.

–Będziemy robić przerwy tylko na jedzenie i drzemkę – obiecał.

Za ścianą rozległ się ledwo słyszalny brzęczyk. Telefon dzwonił w sąsiednim pokoju. W pokoju McAuliffa.

–Spóźniłeś się do Whitehalla – przypomniała sobie Alison. – Lepiej idź odebrać.

–Nasz cholerny Sir Noel. – McAuliff wymotał się z pościeli, prędko podszedł do wewnętrznych drzwi, otworzył je i zniknął w swoim pokoju. Kiedy podnosił słuchawkę, popatrzył na zaciągnięte story w wielkim oknie balkonowym i w duchu podziękował Alison za doświadczenie. Oprócz pary skarpetek – skąd skarpetki, u diabła? – był zupełnie nagi.

–Powiedziałem, że za dwadzieścia minut, panie McAuliff. Minęła już prawie godzina – głos Whitehalla pulsował tłumioną furią.

–Bardzo przepraszam. Powiedziałem: dwadzieścia minut albo coś koło tego. Dla mnie godzina to „coś koło tego”. O tej porze mogę zrywać się i pędzić tylko do ciężko rannych.

–Nie kłóćmy się. Czy przyjdzie pan zaraz?

–Tak. – Za ile?

–Za dwadzieścia minut. – Alex odłożył słuchawkę trochę mniej delikatnie niż powinien, po czym zerknął na swoją walizkę. Kimkolwiek była osoba przy odbiorniku, wiedziała, że geolog opuszcza pokój o trzeciej nad ranem, posłuszny cudzym poleceniom. Trudno, później będzie czas się nad tym zastanawiać.

–Czy masz pojęcie, jaki jesteś okropnie przystojny? Caluteńki – oznajmiła Alexowi dziewczyna, gdy przestąpił próg jej pokoju.

–Miałaś rację, że jesteś bezwstydna.

–Ale dlaczego zostawiłaś skarpetki? Wyglądasz dość osobliwie. – Alison przysiadła na łóżku i przykryta kołdrą aż po brodę sięgnęła na nocny stolik po papierosy.

–Zapał mi też, dobrze? Muszę się tymczasem ubrać. – McAuliff rozglądał się wokół łóżka w poszukiwaniu ubrań, które w takim pośpiechu zrywał z siebie pół godziny temu.

–Był wściekły? – Alison podała papierosa Alexowi, który wciągał już spodnie i podnosił koszulę z podłogi.

–Okropnie. Kawał aroganckiego sukinsyna.

–Moim zdaniem, pan Charles Whitehall chce się odegrać na kimś albo na czymś – odezwała się Alison, patrząc na Alexa z roztargnieniem. – Dlatego tyle w nim złości.

–Może mu chodzi o sławę. Uważa, że dostał jej mniej, niż mu się należy. – McAuliff zapinał już koszulę.

–Może i tak Wyjaśnialoby to przynajmniej, dlaczego tak mu nie zależało na komplementach.

Jakich znów komplementach?

–Ten jego estradowy występ w barze był przemyślany w każdym szczególe. Whitehall nie przygotowuje się przecież do kariery w wodewilu. Prędzej już się przymierza do Covent Garden. Albo do sali posiedzeń Zgromadzenia Ogólnego ONZ.

McAuliff zastukał delikatnie do drzwi. Kiedy się uchyliły, ujrzał Jamajczyka ubranego w haftowany szlafroki z rodzaju zwanego w Japonii *hopi*. Pod kwiecistym jedwabiem Whitehall miał na sobie prążkowane spodnie i aksamitne papucie.

–Proszę, proszę siadać. Tym razem przyszedł pan wcześniej. Nie minęło nawet piętnaście minut.

–Ma pan jakąś obsesję zegarka. Jest już dobrze po trzeciej. Wolę nawet nie sprawdzać ile. – Alex zamknął za sobą drzwi. – Mam nadzieję, że chodzi o coś ważnego. Bo jeżeli nie, będę na pana porządnie zły.

Murzyn przeciął pokój i podniósł z biurka złożoną na pół kartkę, po czym wskazał McAuliffowi fotel.

–Powtarzam, niech pan siada. Ja także jestem nieco zmęczony, ale musimy porozmawiać.

Alex rozsiadł się w fotelu.

–Słucham – rzucił.

–Myślę, że pora, abyśmy zawarli pewną umowę. W żadnym razie nie będzie ona miała wpływu na mój wkład w wyprawę.

–Dobrze, że pan to dodał. Nie wynająłem pana do zabawiania moich ludzi w barze.

–Zafundowałem wam to gratis – oświadczył zimnym tonem Whitehall. – Niech pan nie narzeka. Byłem dziś świetny.

–O tym wiem i bez pana. Czy ma pan jeszcze jakąś nowinę?

Naukowiec postukał w kartkę trzymaną w dłoni.

–Może się zdarzyć, że na pewien czas będę musiał oddalać się od grupy. Za każdym razem najwyżej na dzień albo dwa. Naturalnie zawsze będę o tym pana uprzedzał, a w przypadku jakichkolwiek kłopotów – jeżeli będzie taka możliwość – uwzględnię to w swoich planach.

–Że co proszę?! – McAuliff o mało nie wyskoczyła fotela. – „Jeżeli będzie taka możliwość”? Dostosuje pan swoje plany do moich potrzeb? Cholernie to ładnie z pańskiej strony. Mam nadzieję, że nasza ekspedycja nie okaże się dla pana nadmiernie absorbująca.

Whitehall roześmiał się, bardziej przez grzeczność.

–Nic podobnego. To dla mnie wymarzony układ! Zobacz pan, że i pan będzie z tego zadowolony... Chociaż nie wiem, dlaczego miałbym się tym akurat przejmować. Widzi pan, nie przyjmuję do wiadomości oficjalnych powodów, dla których zorganizowano tę wyprawę. Podejrzewam, że gdyby otwarcie postawić sprawę, znalazłoby się oprócz mnie jeszcze parę osób, które dzielą te wątpliwości.

–Chce mi pan powiedzieć, że najałem pana pod fałszywym pretekstem?

–A nie? – zapytał zgryźliwie czarny naukowiec, w rozdrażnieniu mrużąc oczy. –

Alexander McAuliff, człowiek słynący z dyskrecji, jednoosobowa firma poszukiwawcza rozchwytywana na całym świecie... Dodajmy, że nie za darmo, przeciwnie, za bardzo słone pieniądze. I ktoś taki postanawia nagle puścić się na akademicką filantropię? Pozbawić się na cztery albo i sześć miesięcy dochodowych zamówień, by pokierować wyprawą jakiegoś uniwersytetu? – Śmiech Whitehalla zabrzmiał jak nerwowy chichot szakala. Murzyn podszedł prędko do drzwi balkonowych i odciągnął częściowo zasłonę. Przekręcił klamkę i uchylił szklaną tafle o kilkanaście centymetrów. Zasłona wydeła się od nocnej bryzy.

–Nie zna pan szczegółów mojego kontraktu – odrzekł wymijająco McAuliff.

–Za to wiem, ile płacą ludziom uniwersytety, towarzystwa naukowe i ministerstwa oświaty. Pan gra w zupełnie innej lidze, McAuliff. – Jamajczyk znów przysiadł na krawędzi łóżka, zasłonił usta złożoną na dwoje kartką i wbił wzrok w Amerykanina.

McAuliff zawahał się, a potem niespiesznie zauważył:

–Nie uważa pan, że ten opis pasuje nie tylko do mnie? Ja także spotkałem w Londynie parę osób, które nie chciały uwierzyć, że podjął się pan z nami pojechać. Dla pana także nie jest to dochodowy interes.

–A właśnie. Wygląda, że jedziemy na tym samym wózku, chociaż domyślam się, że z krańcowo różnych przyczyn... Moje przyczyny zmuszają mnie do tego, żeby rano pojechać do Savanna-la-Mar.

–Do pańskiego znajomego z samolotu?

–Ach, nie. Stary nudziarz. Poza tym był tylko gońcem. – Whitehall podał Amerykaninowi kartkę. – Doręczył mi to oto zaproszenie. Czy zechce pan przeczytać?

–Nie proponowałby mi pan tego, gdyby sprawa nie dotyczyła i mnie.

–Nie mam pojęcia, czy dotyczy. Ale może pan mi to wyjaśni.

Alex wziął do ręki kartkę i rozłożył ją. Hotelowa papeteria. Z nadrukiem hotelu George V w Paryżu. Ręczne pismo było pochylone, pospieszne, prawie bez przerw między słowami.

Drogi Panie Whitehall!

Proszę wybaczyć mi ten pospieszny liścik, lecz dosłownie przed chwilą dowiedziałem się, że obaj wybieramy się na Jamajkę. Mnie czeka tam miły wypoczynek, Pana zaś, jak rozumiem, zajęcia dużo bardziej pożyteczne.

Poczytywałbym sobie za zaszczyt i wielką przyjemność, gdyby udało mi się spotkać z Panem. Nasz wspólny przyjaciel zaznajomi Pana z niezbędnymi szczegółami. Mam zamiar zatrzymać się w Savanna-la-Mar, aczkolwiek incognito. Nasz przyjaciel wszystko Panu wyjaśni.

Jestem przekonany, że im szybciej dojdzie do naszego spotkania, tym więcej może nam ono przynieść wzajemnych korzyści. Nie od dziś podziwiam Pańską dawną (?) działalność na wyspie. Proszę tylko, aby na temat spotkania, a i mojej obecności na Jamajce, zachował Pan jak najściślejszą dyskrecję. Ponieważ tak podziwiam Pańskie wysiłki, z góry wiem, że zechce Pan zrozumieć moją prośbę.

Chatellerault

Chatellerault...?

Ach, tak.

Markiz de Chatellerault.

„Pracodawca” Davida Bootha. Ten sam, który krył się za organizacją handlu narkotykami na terenie całej Europy i basenu Morza Śródziemnego. Człowiek, którego Alison bała się tak bardzo, że stale nosiła przy sobie groźny cylinder z paralizującym gazem.

McAuliff domyślał się, że Whitehall studiuje jego reakcję. Zmusił się więc do sztucznego spokoju. Na jego twarzy i w oczach malowało się jedynie zmęczenie.

–Od kogo to? – zapytał od niechcienia. – Kto to jest, ten Chatel... Chatellerault?

–Pan nie wie?

–Do wszystkich diabłów, Whitehall! – rzucił Alex z odrętwiałą złością. – Dostyc tych zagrywek. W życiu o nikim takim nie słyszałem.

–A ja myślałem, że pan słyszał. – Naukowiec znów przyjrzał się McAuliffowi. – Sądziłem, że związek będzie dość oczywisty.

–Jaki znów związek?

–Chodzi mi o przyczyny, dla których z kolei pan znalazł się na Jamajce.

Chatellerault to znany finansista... Między innymi. Finansista o sporych zasobach. Dostyc ciekawy zbieg okoliczności, sam pan przyzna.

–Zupełnie nie rozumiem, o czym pan mówi. – McAuliff znów zerknął na list od Chatelleraulta. – O jakiej pańskiej przeszłej ze znakiem zapytania działalności tu mowa?

Whitehall odpowiedział dopiero po chwili. Mówił cicho, podkreślając w ten sposób wagę swoich słów.

–Dziesięć lat temu musiałem opuścić ojczyznę. Stało się tak, gdyż frakcja polityczna, do której należałem... której służyłem, bez reszty i w całkowitej konspiracji... Zmuszono ją do zejścia jeszcze głębiej. W całkowite podziemie, tak bym to ujął. Przez dziesięć lat frakcja nie prowadziła żadnej działalności, albo tak się przynajmniej wydawało. Tak się wydawało... Ale teraz wróciłem. Kingston nie wie o niczym. Ich służby nigdy nie wiązały mnie z tamtym ruchem. Za to Chatellerault wie i dlatego ma czelność domagać się dyskrecji. Narażam się na spore ryzyko, łamiąc umowę, ale inaczej nie zaufa mi pan. Robię to właśnie dla pana i proszę... Niech mi pan powie, dlaczego pan tu jest? Może tą drogą dowiem się, dlaczego ktoś taki jak Chatellerault domaga się spotkania ze mną.

Alex wstał z fotela i z roztargnieniem podszedł do drzwi na balkon. Chciał w ten sposób zebrać myśli. W głowie miał teraz prawdziwą gonitwę. Zaczynał niejasno czuć, że Alison grozi niebezpieczeństwo. Zarazem odsuwał od siebie takie

przypuszczenia, podważał ich wiarygodność.

Staął za fotelem, twarzą w stronę łóżka, i mocno uchwycił się oparcia.

–Dobrze, zawrę z panem pewną umowę. Powiem panu co mnie sprowadza na wyspę, a pan opowie mi o swojej, jak pan to nazwał, działalności.

–Opowiem panu tyle, ile mogę – odrzekł Charles. Po jego oczach dało się poznać, że nie kłamie. – Zresztą nawet to wystarczy całkowicie, sam się pan przekona. Nie wolno mi wyjawiać wszystkiego. Wyświadczyłbym panu wątpliwą przysługę.

–Nie wiem, czy mogę zaakceptować taki warunek.

–Bardzo o to proszę. Niechże mi pan zaufa.

Dla McAuliffa było jasne, że Murzyn nie próbuje go oszukać.

–Dobrze, już mówię. Znam północne wybrzeże wyspy. Poszukiwałem tam nowych złóż boksytów dla koncernu Kaisera. Znają mnie jako zawodowca. To znaczy faceta, który umie zebrać dobrą grupę. Miałem doskonale wyniki...

–Tak, tak, oczywiście, ale proszę do rzeczy.

–W zamian za pokierowanie tą wyprawą, władze Jamajki gwarantują mi prawo pierwokupu do pięćdziesięciu procent akcji wszystkich nowych inwestycji na badanych terenach. A to może oznaczać setki tysięcy dolarów... Prosta sprawa.

Whitehall siedział bez ruchu z rękami pod brodą – elegancki chłopczyk w pozie zatroskanego starca.

–Brzmi to prawdopodobnie – oświadczył. – O ile znam Kingston, wszystko ma tu swoją cenę. Dla Chatelleraulta byłyby to wystarczający motyw.

Alex nie ruszał się z fotela.

–Doskonale. Skoro wie pan już, co mnie tu sprowadza, może dowiem się tego samego od pana.

–Cieszę się, że mi pan powiedział o tej umowie... Zrobię co tylko w mojej mocy, żeby jej dotrzymano. Należy się to panu.

–Co pan plecie, u diabła?

–Nie plotę, tylko mówię panu, że moja misja na wyspie jest polityczna. To wewnętrzne sprawy Jamajki, więc musi je pan uszanować... I dochować tajemnicy. W razie czego i tak mogę się wyprzeć wszystkiego, a pan pobrudziłby sobie tylko białe ręce sprawami Jamajki. Powiadam jednak panu, że już niedługo przejmemy władzę w Kingston.

–Boże! Brakowało tylko cholernej rewolucji!

–Nie takiej, o jakiej pan myśli, McAuliff. Mówiąc po prostu, jestem faszystą. Faszyzm to jedyny ratunek dla mojej wyspy.

McAuliff otworzył oczy, podniósł do oczu ukrytą dotąd pod kołdrą rękę z zegarkiem i przekonał się, że jest prawie wpół do jedenastej. Miał zamiar wstać o wpół do dziewiątej, najpóźniej o dziewiątej.

Musiał porozmawiać w Kingston z pewną osobą. Z artretykiem, którego można spotkać w sklepie rybnym Tallon.

Spojrzał na leżącą obok Alison. Dziewczyna przez sen odsunęła się na drugi koniec łóżka i spała, zwinięta w kłębek, z burzą włosów na pościeli i z twarzą zagrzebaną w poduszce. Wspaniała dziewczyna. Nie – sprostował Alex w myślach - obydwójce okazali się wspaniali. Alison zaś była... Jak powiedziała to poprzedniej nocy? Spragniona. „Byłam spragniona, i dotarłam do studni”. Jej własne słowa, jakże prawdziwe.

Wspaniale.

Zaraz jednak powróciły niewesołe myśli.

Nazwisko, które jeszcze dobiegł wcześniej Alex zbyłby wzruszeniem ramion, przeistoczyło się w nieznaną siłę, siłę groźną, a w dodatku dotyczącą pary osób, które tydzień wcześniej nawet się nie znały.

Chatellerault. Markiz de Chatellerault.

Obecnie przebywający w Savanna-la-Mar, na południowo-zachodnim wybrzeżu Jamajki.

Człowiek, który za kilka chwil spotka się z Charlesem Whitehallem, o ile już się nie spotkał. Czarny faszysta ściska dłoń francuskiego finansisty. Brzmiało to jak tytuł skeczu kabaretowego.

Lecz przecież nie dla śmiechu Alison Booth nosiła w torebce śmiercionośny cylinder. Nosiła go z myślą o spotkaniu z Chatelleraultem. Albo z ludźmi, którzy pracują dla markiza.

Czy krył się tu jakiś związek? Z całą pewnością. McAuliff przeciągnął się ostrożnie, żeby nie obudzić Alison. Z drugiej strony pragnął ją jednak obudzić, wziąć w ramiona i znów poczuć pod palcami jej gorące ciało, kochać się z nią przez cały ranek.

Trudno. Czekano na niego zbyt wiele pilnych spraw. Zbyt wiele ponurych myśli...

Zastanawiał się, jakie mogą być nowe instrukcje i ile czasu minie, zanim je otrzyma. Ciekawe, jaki jest ten artretyk w sklepie rybnym.

No i jeszcze jedna ważna sprawa: co u Boga Ojca przytrafiło się Samowi Tuckerowi? Miał jeszcze dobieg, żeby się zjawić w Kingston. Nie zdarzyło się nigdy, żeby Sam zniknął bez słowa. Nie było to w jego stylu. Chociaż, jeśli się zastanowić, różnie bywało.

Aha, a kiedy ekspedycja otrzyma wszystkie zezwolenia i samolotem wyruszy na północ, żeby wreszcie rozpocząć pomiary?

McAuliff uznał, że nie uzyska na te pytania odpowiedzi, gapiąc się w sufit nad łóżkiem Alison Booth. Telefonowanie z obu pokojów także nie wchodziło w grę.

Na myśl o „paskudnych pluskwach” w walizce uśmiechnął się tylko, wyobrażając sobie skulonych nad aparaturą facetów, którzy w zaciemnionym pomieszczeniu

nadaremnie czekają na najmniejszy dźwięk.

Pocieszający obrazek.

–Słyszę, jak myślisz – wymruczała Alison przez poduszkę. – Nadzwyczajne, prawda?

–Przerażające.

Alison przetoczyła się na drugi bok i nie otwierając oczu uśmiechnęła się, po czym bez wahania sięgnęła pod przykrycie.

–Jesteś bardzo zmysłowy, kiedy się przeciągasz.

Pogładziła go po płaskim brzuchu, a potem po udach. McAuliff zrozumiał nagle, że odpowiedzi na wszystkie pytania będą musiały poczekać. Przyciągnął dziewczynę do siebie. Alison otworzyła oczy i szarpnęła za kołdrę, usuwając ostatnią dzielącą ich przeszkodę.

Taksówka zatrzymała się przy Promenadzie Południowej na skraju Parku Wiktorii. Nazwa ulicy odpowiadała rzeczywistości, choć rzeczywistość ta była typowa dla dziewiętnastego stulecia. Tłumy ludzi przelewały się w obie strony przez bramę parku, jak stada różnobarwnych pawi, przechadzających się na sztywnych nogach i chwilami przyspieszających kroku, by zaraz zatrzymać się i patrzeć z przechyloną głową.

McAuliff także wszedł w obręb parku, starając się gestami upodobnić do turysty, który zażywa przechadzki. Idąc po żwirze ku środkowej alei, czuł na sobie wrogie, pytające spojrzenia. Uzmysłowił sobie nagle, że jest tu jedyną białą osobą. Tego się akurat nie spodziewał. Miał nieodparte wrażenie, że wszyscy obserwują go jak obcy przedmiot, tolerowany, lecz podejrzany. Mocno podejrzany.

Znienacka stał się oto przybłądą o dziwnym kolorze skóry – obcym, który psuje zabawę normalnym ludziom. Prawie się roześmiał, kiedy młoda Jamajka z roześmianym dzieckiem na jego widok pociągnęła małą na drugą stronę alejki. Dziecko nie mogło się napatrzeć na wysoką, różowawą postać, ale matka stanowczo, bez słowa, odciągnęła je. Wiedziała lepiej. Godność przede wszystkim.

Amerykanin ujrzał przed sobą kwadratową białą tabliczkę z brązowym napisem: QUEEN STREET, STRONA WSCHODNIA. Wąska strzałka wskazywała w prawo, ku następnej, tym razem węższej żwirowej alejce. Ruszył więc w tamtym kierunku.

W pamięci wróciły do niego słowa Holcrofta: „Nie wolno się spieszyć. Nigdy, jeśli to tylko możliwe. A już w żadnym razie wówczas, kiedy ma pan nawiązać kontakt. Jest tylko jedna rzecz bardziej rzucająca się w oczy, niż mężczyzna, który pędzi przez spacerujący tłum, mianowicie widok pędzącej kobiety. Albo widok mężczyzny, który co dwa metry przystaje, żeby znów zapalić papierosa i przy tej okazji rozejrzeć się dookoła. Trzeba się zachowywać naturalnie, tak jak to podpowiada poradnia, klimat, otoczenie...”

Wokoło trwał upalny ranek. A właściwie południe. Jamajskie słońce paliło ostro, ale na szczęście od oddalonego o półtora kilometra portu zawiewała bryza. Nic bardziej naturalnego od widoku przybysza, który rozsiada się na ławce, korzystając ze słońca i wiatru. Proszę, rozpiął kołnierzyk koszuli, teraz zdejmuje nawet marynarkę i rozgląda się z ciekawością turysty.

Po lewej stronie alejki stała ławka, z której podniosła się w tejże chwili jakaś para. Korzystając ze sposobności, McAuliff zdjął marynarkę, rozluźnił krawat i usiadł. Rozprostował nogi i zaczął udawać, że chodziło mu właśnie o chwilę relaksu.

W scenie pobrzmiwała jednak fałszywa nuta. Z oczywistej przyczyny: McAuliff był zbyt beztroski, zbyt odprężony jak na to otoczenie, sanktuarium prawdziwych ludzi. Natychmiast wyczuł błąd. Umocnił go w tym spostrzeżeniu stary Murzyn z laseczką, który zbliżając się do ławki zwolnił kroku. Alexowi wydał się odrobinę pijany: głowa chwiała mu się lekko, a nogi plątały przy każdym kroku. Za to oczy zachowały twarde wyraz. Dało się w nich wyczytać lekkie zaskoczenie przemieszane z dezaprobatą. McAuliff powstał z ławki i wsadzając marynarkę pod pachę uśmiechnął się obojętnie do starego Murzyna, Miał już ruszyć przed siebie alejką, kiedy spostrzegł jeszcze kogoś. Kogoś, kogo rozpoznał z łatwością. Tym kimś był biały – poza Alexem jedyny biały w całym parku, przynajmniej w zasięgu wzroku. Był jeszcze dość daleko, bo jakieś sto pięćdziesiąt metrów za rozległym trawnikiem, ciągnącym się wzdłuż północno-południowej osi parku.

Młody człowiek, przygarbiony i z nieporządną grzywą ciemnych włosów.

Właśnie odwracał się pospiesznie. Szedł czymś tropem. Alex był o tym przekonany.

Ferguson próbował go śledzić.

James Ferguson. Ten sam młodzieniec, który poprzedniej nocy w Courtleigh Manor zafundował im amatorskie przedstawienie. Pijak obdarzony dostateczną przytomnością umysłu, na to by trzeźwym wzrokiem wypatrywać przeszkód w mrocznej sali.

McAuliff skorzystał z chwilowej nieuwagi Fergusona i szybkim krokiem ruszył alejką przed siebie, by zaraz przeciąć trawnik i schować się za grubym pniem palmy. Od botanika dzieliło go teraz prawie dwieście metrów. Ostrożnie wychylił głowę zza pnia, starając się nie rzucać w oczy. Wiedział, że siedząca na trawniku gromadka Jamajczyków przygląda się tym manewrom. Domyślał się, że w ich wzroku nie ma aprobaty.

Zgodnie z oczekiwaniami Alexa, widząc, że ofiara inwigilacji zniknęła, Ferguson wpadł w popłoch. (Alex sam się roześmiał namyśl o tym, jak łatwo przechodzi mu przez gardło termin „inwigilacja”. Do chwili, kiedy trzy tygodnie temu zaczęło się to wszystko, użył tego słowa może dziesięć razy w życiu). Młody botanik ruszył pospiesznym krokiem, wymijając brązowoskórych spacerowiczów. McAuliff musiał przyznać rację obserwacjom Holcrofta: rozpędzony człowiek natychmiast rzucał się w oczy w powolnym tłumie.

Ferguson dotarł do skrzyżowania z alejką, która wiodła ku Queen Street, i przystanął. Stał teraz mniej niż czterdzieści metrów od Alexa i wyraźnie wahał się, jak gdyby nie mógł zdecydować, czy iść przed siebie, czy zawrócić na Południową Promenadę.

McAuliff przytulił się do palmowego pnia, gdyż Ferguson pospiesznie rzucił się naprzód. Zdecydował najwidoczniej, że tym sposobem uda mu się najszybciej wyjść za obręb parku. Tłumy przewalające się po wschodnim odcinku Queen Street mogły

stanowić kryjówkę. Park przestał nagle być bezpiecznym miejscem. Jeżeli domysły McAuliffa były słuszne – a tak wynikało z rozpaczliwej miny Fergusona – Amerykaninowi udało się dowiedzieć o młodym człowieku kolejnego szczegółu. To, co robił Ferguson, cechowały przymus i zupełny brak doświadczenia.

„Trzeba wypatrywać drobiazgów”, uczył Holcroft. „Pełno ich, trzeba się tylko nauczyć je wychwytywać. Chodzi o drobne symptomy, znamionujące prawdziwą siłę albo całkowity jej brak...”

Ferguson zdążył już dotrzeć do bramy przy Promenadzie Wschodniej. Widać było, że jest mniej zdenerwowany. Zatrzymał się i starannie rozejrzał na wszystkie strony.

Niebezpieczny teren został daleko.

Popatrzył na zegarek, czekając, aż umundurowany policjant zatrzyma ruch i puści przechodniów. Nareszcie rozległ się gwizdek, samochody zatrzymały się w kakofonii piszczących hamulców, a Ferguson mógł już spokojniej ruszyć dalej w dół Queen Street. Alex podążył za nim, kryjąc się w tłumie najlepiej jak potrafił. Botanikowi wyraźnie ulżyło, bo nie szedł już tak agresywnym krokiem i nie rozglądał się co chwila. Zupełnie tak, jak gdyby w chwili, kiedy zgubił przeciwnika, martwił się bardziej tym, w jaki sposób się z tego wytłumaczy, niż jak odzyskać utracony kontakt.

Na zachowaniu kontaktu zależało natomiast McAuliffowi. Trafiała się świetna okazja, żeby zapytać Fergusona o kilka interesujących spraw.

Alex przeciął ulicę, nurkując między samochodami, po czym wskoczył na krawężnik, uskakując przed rozpędzoną taksówką. Przebił się przez sklepowy tłum i przystanął tuż pod ścianą budynku.

Między Mark Lane a Duke odchodził od głównej ulicy zaułek. Ferguson zawahał się, rozejrzał i postanowił najwyraźniej spróbować szczęścia, bo odwrócił się nagle i dał nura w przejście.

McAuliff uświadomił sobie, że uliczka jest mu znajoma. Wraz z Samem Tuckerem zwiedzili ów pełen barów i knajpek, należący już do strefy wolnocłowej przesmyk, w upalne popołudnie, prawie dokładnie przed rokiem. Poszli wówczas do miasta po naradzie z dyrektorami koncernu Kaisera w hotelu Sheraton. McAuliff pamiętał także, iż uliczkę przecina pod kątem jeszcze węższy zaułek, wychodzący na Duke Street. Szczegół utkwiał mu w pamięci, dlatego że Sam Tucker zaciągnął go tam w przekonaniu, że w wilgotnym, mrocznym ceglany przejściu kryją się wspaniałe miejscowe knajpy. Odkryli tam jedynie tylne drzwi magazynów. Sam nie mógł tego przeboleć, gdyż uwielbiał prawdziwie tubylcze lokaliki, ukryte przed turystami w zakamarkach miasta.

Alex puścił się pędem, lekceważąc na moment wszystkie przestrogi Holcrofta. Sklep rybny mógł spokojnie zaczekać, razem ze wszystkimi artretykami, jacy się tam znajdują. Na razie trzeba łapać Jamesa Fergusona.

Geolog pędem ruszył w poprzek Queen Street, nie zwracając uwagi na zamieszanie, jakie wywołuje, ani na nerwowy gwizdek znękanego jamajskiego policjanta. Przebiegł kilkadziesiąt metrów i rzeczywiście natknął się na ukośnie odbiegającą uliczkę, jeszcze węższą niż ją zapamiętał. Wbiegł w nią, przepychając się przez grupkę Jamajczyków, przeprosił ich w pędzie i postanowił nie zwracać uwagi

na wrogie spojrzenia mijanych ludzi – wyzywające spojrzenia dorosłych dzieci, które bawią się w kozły na wąskiej kładce. Zatrzymał się dopiero na końcu przesmyku i wyjrzał za róg.

Udało mu się dobrze obliczyć czas, bo kroczący z chytrą miną James Ferguson był już tylko dziesięć metrów od niego. Pięć metrów.

McAuliff wynurzył się z zaułka i zastąpił mu drogę.

Twarz młodego człowieka z bladej stała się śmiertelnie biała. Alex ruchem ręki wskazał mu, by stanęli przy otynkowanej ścianie. W obu kierunkach mijali ich przechodnie, niektórzy głośno złorzecząc na przeszkodę w postaci dwóch białych.

Ferguson zmusił się do uśmiechu i zduszonym głosem zaczął:

–O, cześć, Alex... Chciałem powiedzieć, dzień dobry, panie McAuliff. Robimy zakupy? Najlepsze miejsce na takie sprawy.

–Czy robię zakupy, Jimbo-mon? Ty sam chyba wiesz to najlepiej, co?

–Nie wiem, o co panu chodzi... Ja przecież...

–Może dalej jesteś pijany – przerwał Alex. – Zeszłej nocy popiło się trochę, co?

–A, tak. Musiałem wyjść na straszego pajaca. Naprawdę chciałbym za to przeprosić...

–Przeprosiny są zupełnie niepotrzebne. Nie wypileś przecież tak dużo. Inna sprawa, że świetnie to odegrałeś.

–Wiesz co, Alex? Czasem się posuwasz za daleko. – Ferguson cofnął się po tych słowach pod samą ścianę. Obok nich przemknęła Jamajka z wielkim koszem na głowie. – Powiedziałem już, że przepraszam. Tobie na pewno też zdarzyło się nieraz zalać pałę.

–Częściej niż myślisz. Powiem więcej: wczoraj w nocy również byłem o wiele bardziej zalany niż ty.

–Nie wiem, co mi próbujesz wpierać, przyjacielu, a poza tym za bardzo boli mnie łeb, żebym się miał bawić w zgadywanki. Powtarzam po raz ostami, że przepraszam.

–Ale nie za te grzechy, co trzeba, Jimbo-mon. Lepiej rozejrzyjmy się za tymi prawdziwymi. Tak się składa, że mam do ciebie parę pytań.

Ferguson niezgrabnie spróbował przestać się garbić i odrzucił z czoła spadające włosy.

–Czepiasz się bez powodu. A ja nie mam czasu. Zakupy czekają.

Z tymi słowami botanik chciał się oddalić od McAuliffa, lecz nie zdążył zrobić jednego kroku, gdyż Amerykanin złapał go za ramię i na powrót przygwoździł do tynku, ostrzegając:

–Oszczędzaj forszę. Przyda ci się w Londynie.

–Nie! – Ferguson zeszywniał cały. Pociągła twarz wydłużyła mu się jeszcze bardziej. – Proszę, tylko nie to – szepnął.

–W takim razie zacznijmy od sprawy walizek. – McAuliff zwolnił uchwyt, trzymając Fergusona pod ścianą wyłącznie siłą spojrzenia.

–Przecież powiedziałem – wyjęczał botanik. – Mielście kłopot z celnikami, więc wam pomogłem.

–Gównu wiesz o prawdziwych kłopotach, kolego. Nie tylko z celnikami. Co

zrobiłeś z moimi bagażami? Z naszymi bagażami! Kto je zabrał?

–Nie wiem. Chwileczkę, naprawdę przysięgam, że nie wiem!

–Kto ci kazał przekazać tę notkę?

–Nikt mi nie kazał! Boże, kompletny wariat!

–Dlaczego udawałeś wczoraj, że się schlałeś?

–Ja udawałem?

–Nie byłeś wcale pijany. Byłeś trzeźwy.

–O Boże. Chciałbym, żebyś sam poczuł, jakiego mam dziś kaca. Słowo daję...

–Za słabo to zagrałeś, Jimbo-mon, ale spróbujmy jeszcze raz. Kto kazał ci napisać tę notkę?

–Nie słyszałeś, co powiedziałem...

–Słyszałem doskonale. Dlaczego mnie śledzisz? Kto kazał ci rano włóczyć się za mną?

–Boże, ty naprawdę zwariowałaś!

–Boże, patrz, jak wyrzucam tego gnojka z ekipy!

–Nie! Proszę... Nie może pan tego zrobić. – W głosie Fergusona powrócił strach, zmieniając słowa w zduszony szept.

–Coś ty powiedział? – McAuliff wyciągnął ciężką rękę i położył ją na kruchym ramieniu Fergusona, a potem nachylił się ku młodemu pomyślniowi i szepnął: – No, powtórz. Czego takiego nie mogę ci zrobić?

–Proszę... Nie może mnie pan odesłać. Błagam pana..., – Ferguson oddychał szybko przez usta, rozpryskując sobie ślinę na wargi. – Jeszcze nie, błagam.

–Mam cię nie odsyłać do Londynu? W porządku, myślisz, że mnie obchodzi, dokąd pojedziesz? Nie jestem twoją niańką, chłopczyku. – Alex opuścił rękę i wy szarpnął spod lewego ramienia marynarkę. – Masz prawo do zwrotu kosztów biletu powrotnego. Po południu wyciągnę te pieniądze z banku i zapłacę za twój ostatni nocleg w Courtleigh. Potem możesz sobie robić, co chcesz. Jedź, gdzie ci tylko przyjdzie ochota, bylebyś nie pętał się więcej za mną. Ani za resztą grupy.

McAuliff odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie. Znow skręcił w wąziutki zaułek i zaczął dreptać w ślad za rzędem milkliwych przechodniów. Wiedział, że oszołomiony Ferguson ruszy za nim. Już po chwili rzeczywiście usłyszał jego kroki i świszczący głos, w którym dało się słyszeć tłumioną histerię. Alex nie zatrzymywał się ani nie oglądał za siebie.

–McAuliff! Proszę pana, panie McAuliff?! Proszę... – Brytyjska wymowa rozchodziła się echem w ceglany korytarzu, tworząc hałaśliwy kontrapunkt dla śpiewnego pomruku tuzina jamajskich pogwarek. – Proszę, niech pan poczeka... Przepraszam, przepraszam, muszę przejść, przepraszam, proszę mnie przepuścić. Panie McAuliff...

–Co za hałas, mon? Co się tak pchasz?

Rzucane pod jego adresem uwagi nie zniechęcały Fergusona. Gorzej poszło mu z fizycznymi przeszkodami, jakie miał na drodze. Alex wciąż parł przed siebie, na słuch wyczuwając, że młody botanik stopniowo nadrabia dystans. Sytuacja wyglądała komicznie i niesamowicie: oto jeden biały kłusuje w ślad za drugim, a wszystko to w

wąziutkim, zatłoczonym zaułku, do którego ostrożny turysta nie zapuściłby się za nic w świecie. Od wylotu na Duke Street dzieliły McAulifa raptem trzy metry, kiedy poczuł na ramieniu palce Fergusona.

–Proszę! Musimy porozmawiać... Tylko nie tutaj.

–A gdzie?

Stanęli na chodniku. Od ulicy zasłaniał ich długi konny wóz, wyładowany wiejskimi jarzynami i owocami. Woźnica w wielkim sombrero wyklócał się z klientami zebranymi wokół staroświeckiej wagi. Korzystając z tego, kilkoro obdartych dzieci podbierało z tyłu wozu banany. Ferguson wciąż kurczowo ścisnął Amerykanina za ramię.

–Umówmy się w Devon House. Wszyscy turyści...

–Wiem, gdzie to jest.

–Na zewnątrz jest restauracja. – Kiedy?

–Za dwadzieścia minut.

Taksówka wtoczyła się na długi podjazd przed Devon House, georgiańską w stylu budowlą, która stanowi w Kingston pomnik przebrzmiałej ery brytyjskiego panowania i świadectwo wciąż żywej epoki białego, europejskiego pieniądza. Półkoliste ogrody kwiatowe zakręcały wzdłuż rzędów nieskazitelnych kolumn, a ścieżki z wypłukanego, bielusienkiego żwiru wiły się wokół olbrzymiej fontanny. Niewielką ogrodową restaurację urządzono z boku, a stoliki ustawiono pośród żywopłotów, by goście mogli uniknąć wzroku ciekawskich. Stolików było tylko sześć. McAuliff nie zdawał sobie sprawy, że restauracja ma tak kieszonkowe rozmiary. W takim miejscu trudno obserwować cudze spotkanie, tak by samemu nie rzucić się w oczy.

A może Ferguson nie był tak niedoświadczony, jak się wydawał?

–Witaj, stary!

Alex odwrócił się na przywitanie Fergusona, który nadchodził środkową ścieżką od strony fontanny. Miał teraz przy sobie wierny aparat fotograficzny, a z nim mnóstwo toreb, pasków i specjalnych światłomierzy.

–Cześć, – burknął McAuliff, zachodząc w głowę, jaką to kolejną rolę wymyślił dla siebie młody botanik.

–Zrobiłem kilka kapitalnych zdjęć. Trudno o bardziej zabytkowe miejsce, sam rozumiesz – klepał Ferguson, który podchodząc zdążył jeszcze pstryknąć zdjęcie Alexowi.

–Bez sensu – syknął do niego Amerykanin. – Kogo znów próbujesz nabrać, do licha?

–Doskonale wiem, co robię. Proszę mi nie przerywać. – Po tych słowach Ferguson powrócił do swej roli, jednocześnie podnosząc głos i wyciągając w górę swój aparat. – Masz pojęcie, że ten ceglany mur należał do pierwotnego dziedzica? Można było tędy dojść na tyły rezydencji, tam gdzie w rzędach ceglanych komórek kwaterowali żołnierze.

–Fascynujące.

–Już dobrze po południu, pora na małe co nieco, stary – głośno perorował rozentuzjasmowany Ferguson. – Co byś powiedział na kufelek? Może poncz

rumowy? A może coś przekąsimy?

Oprócz nich na restauracyjnym podwóreczku siedziały tylko dwie inne pary. Mężczyźni mieli na sobie słomkowe kapelusze, a ich workowate szorty doskonale pasowały do wysadzanych cekinami ciemnych szkieł ich partnerek. Widać było, że to turyści i że majestat Devon House nie czyni na nich najmniejszego wrażenia. McAuliff ucieszył się, że zamiast się rozglądać, obie pary utoną za chwilę w swoich sprawach, planując zajęcia lepsze niż zwiedzanie zabytków; na przykład wypad do sklepów strefy wolnocłowej. Jeszcze mniej od zabytków interesował tych ludzi Ferguson i amerykański geolog, a o to przecież chodziło.

Znudzony kelner w brudnawym białym kitlu przyniósł im jamajski poncz rumowy. Nie nucił pod nosem ani nie kiwał się do wewnętrznego rytmu, co zmartwiło Alexa. Restauracja Devon House nie miała w sobie zbyt wiele życia. Kingston to nie Montego Bay.

–Powiem panu dokładnie, jak to było – odezwał się nagle Ferguson w panice, a jego głos zniżył się do szeptu. – Powiem wszystko, co wiem. Pracowałem kiedyś dla fundacji Crafta, słyszał pan przecież o tym. Tak?

–Naturalnie – uspokoił go McAuliff. – Pamiętam nawet, jak się umawialiśmy, że cię zaangażuję pod warunkiem, że będziesz się trzymał z dala od Crafta. Pamiętam też, jak się zgodziłeś.

–Bo nie miałem wyjścia. Kiedy wysiedliśmy z samolotu, pan i Alison zostaliście z tyłu. Whitehall i Jensenowie pobiegli odebrać bagaże, a ja zacząłem robić zdjęcia lotniska w podczerwieni... Zostałem na chwilę sam, no i właśnie. Ledwie wyszedłem do głównego hallu, natknąłem się na Crafta. Oczywiście na syna, nie na starego. Fundacją zawiaduje teraz tylko syn. Spróbowałem go ominąć, zresztą miałem po temu wszelkie powody, bo w końcu wylał mnie z pracy. Ale nie udało się. Sam się zdziwiłem, bo Craft okazał się nagle taki przyjacielski, jak nigdy. Przepraszał mnie bez przerwy, opowiadał, jakich to nadzwyczajnych odkryć dokonałem, tłumaczył, że osobiście postanowił wyjść po mnie na lotnisko, kiedy tylko dowiedział się o moim udziale w wyprawie. – Ferguson przełknął poncz i pospiesznie omiół wzrokiem ceglany dziedzińczyk.

–No, dalej – ponaglił go McAuliff. – Na razie opisałeś mi tylko nie zapowiedzianą kampanię honorową.

–Ale musi pan zrozumieć, że... To było takie dziwne. Nie zapowiedziane, jak pan mówi. Dobrze, Craft gadał swoje, a tymczasem podszedł do mnie taki facet w mundurze czy liberii i pyta, czy Ferguson to ja. Mówię mu, że tak, a on na to, że zatrzymali pana celnicy, nie wiadomo na jak długo i że wobec tego prosi mnie pan, żebym wyekspediował wszystkie wasze walizki do hotelu. Mam tylko napisać upoważnienie, a linie lotnicze już się wszystkim zajmą.

Oczywiście Craft zaproponował, że mi pomoże. Cała sprawa wydawała mi się nieważna, po prostu głupstwo, przecież naprawdę mogło tak być, a poza tym nie miałem sekundy do namysłu. Napisałem, co trzeba, a ten w mundurze wziął kartkę i powiedział, że wszystkim się zajmie. Craft dał mu napiwek. O ile pamiętam, to całkiem spory.

–Ale jaki to był mundur?

–Nie mam pojęcia. Nie zastanawiałem się. W obcym kraju wszystkie mundury wyglądają tak samo. – Dobrze, dalej.

–Craft zaprosił mnie do baru. Powiedziałem mu, że nie da rady, ale tak się uparł, że dla świętego spokoju, żeby nie robić sceny, poszedłem. Pan i tak wyklócał się z celnikami... Teraz rozumie pan, dlaczego się zgodziłem, prawda?

–Pod wpływem byle kłamstwa. Dalej.

–Poszliśmy do takiego baru na samej górze... Tego, z którego widać pas startowy. Jak on się nazywa...

–„Obserwacyjny”.

–Co takiego?

–„Salon Obserwacyjny”. Tak się nazywa ten barek. Proszę, co było dalej?

–Aha, no tak. Martwiłem się, zresztą powiedziałem Craftowi, że musimy jeszcze odebrać moje walizki, Whitehalla, Jensenów. Poza tym bałem się, że będzie pan... Nie chciałem, żeby zaczął się pan rozglądać za mną... Zwłaszcza w takiej sytuacji.

Ferguson znów upił ponczu. McAuliff powstrzymał się od gwałtowniejszej reakcji i rzekł po prostu:

–A może przejdziemy do rzeczy, Jimbo-mon?

–Nie chcę, żeby się do mnie przyczepiło to przezwisko. Zepsułem tamten wieczór.

–Jeżeli zaraz mi wszystkiego nie powiesz, osobiście zepsuję ci popołudnie.

–Już, już. Craft uspokajał mnie, że na komorze celnej zejdziesz panu jeszcze co najmniej godzina i że reszcie grupy ten mundurowy wytłumaczy, gdzie jestem. Że niby robię zdjęcia, a do Courtleigh dojadę sam. Zdziwiłem się trochę, kiedy mi tak powiedział, ale zaraz zmienił temat, i to zupełnie, bo zaczął mówić o fundacji. Powiedział, że są bardzo bliscy wielkiego wynalazku. Chodziło o włókna barakao. Większość postępów w badaniach to moja zasługa. Dlatego z rozmaitych przyczyn, prawnych, moralnych i tak dalej, chcą, żebym wrócił do Craftów. Młody zaproponował mi nawet udział w zyskach ze sprzedaży nowego wyrobu. Zdaje pan sobie w ogóle sprawę, co to dla mnie znaczy?

–Jeżeli tyle masz mi do powiedzenia, możesz od razu pędzić do Crafta.

–Miliony! – gorączkował się Ferguson, nie zważając na to, co wtrącił McAuliff. – Prawdziwe miliony... Oczywiście nie zaraz, tylko z biegiem lat. A ja zawsze byłem goły. Przeważnie bez miedziaka w kieszeni. Musiałem pożyczyć pieniądze na sprzęt fotograficzny. O tym też pan słyszał?

–Tym się akurat nie zajmowałem, ale trudno, za późno na żale. Teraz pracujesz dla Crafta, więc...

–Właśnie że nie. Jeszcze nie. O to chodzi, że zatrudnią mnie dopiero po zakończeniu wyprawy. Muszę wziąć udział w wyprawie, razem z panem. – Ferguson dopił ponczu i rozejrzał się za kelnerem.

–Ot, po prostu, wziąć udział, i tyle? Razem ze mną? Chyba coś tu opuściłeś.

–A tak. Opuściłem. – Ferguson przygarbił się nad stołem, starając się nie patrzeć McAuliffowi w oczy. – Craft zapewniał mnie, że to po prostu głupstwo, drobnostka. Chodziło mu tylko o to, żeby sprawdzić, z którymi osobami z władz ma pan do

czynienia... O pana kontakty, właściwie ze wszystkimi, bo przecież wszyscy tutaj są we władzach. Miałem zapisywać sobie nazwiska i tyle. Zwyczajnie prowadzić dziennik. – Ferguson podniósł wreszcie wzrok i spojrzał prosząco na Amerykanina. – Prawda, że mnie pan rozumie? Chodziło o głupstwo.

McAuliff również podniósł wzrok. – I dlatego ciągnąłeś się za mną rano?

–Dlatego. Nie chciałem, żeby tak wyszło. Craft tłumaczył mi, że najwięcej zdziałam, jeśli będę się za panem... No, ciągnął. Na przykład jeśli będę razem z panem robił pomiary w terenie. Powiedział, że i tak jestem okropnie ciekawski i ciągle zadaję ludziom pytania, więc nikt się nie zdziwi.

–Dwa punkty dla Crafta.

–Jakie dwa punkty?

–To takie staroświeckie amerykańskie powiedzonko... I co, zacząłeś się za mną włóczyć.

–Naprawdę nie chciałem, żeby tak wyszło. Zadzwoiłem do pana do pokoju, nawet kilka razy, ale nikt nie podnosił słuchawki. Potem zadzwoniłem do Alison... O, przepraszam. Wydawała mi się jakaś zdenerwowana.

–Ale co powiedziała?

–Tylko tyle, że słyszała, jak parę minut temu wychodził pan ze swojego pokoju. Pognałem do recepcji, potem na dwór. Akurat odjeżdżał pan taksówką. Wtedy naprawdę zacząłem pana śledzić, bo też wziąłem taksówkę.

McAuliff odsunął na bok szklanę.

–A dlaczego nie podszedłeś do mnie w Parku Wiktorii? Widziałem, jak się odwróciłeś i uciekłeś.

–Miałem trochę dosyć... Wystraszyłem się. Bo rzeczywiście, zamiast zapytać, czy mogę iść z panem, zacząłem szpiclować.

–A dlaczego wczoraj wieczorem udawałeś, że jesteś taki wstawiony?

Roztrzęsiony Ferguson wziął głęboki oddech.

–Dlatego że... Kiedy przyjechałem do hotelu, zapytałem, czy są już pana bagaże, ale ich nie było. Wpadłem w panikę, trudno. Bo widzi pan, Craft przy pożegnaniu mówił mi o pana walizkach...

–I o podsłuchach? – przerwał wściekły McAuliff.

–O czym,...? – I nagle James wszystko zrozumiał. – Nie. Nie! Przysięgam panu, nie wiedziałem o niczym takim. Boże, to straszne! – Ucichł i zamyślił się, po czym dodał: – Oczywiście, że to by wszystko wyjaśniało...

Alex wiedział, że nikt nie umiałby wyćwiczyć z góry tak zmiennych reakcji. Nie było sensu krzyczeć.

–No więc co z walizkami?

–Z czym? Aha, co mi mówił Craft, tak? Na sam koniec rozmowy powiedział mi, że sprawdzają pana bagaż. Sprawdzają, tyle mi powiedział. Doradził mi, że gdyby zaczęły się jakieś pytania, powinienem się przyznać, że napisałem tę notkę i że sam wpadłem na ten pomysł, bo widziałem, że utknęliście ze sprzętem. Mówił mi, żebym się nie martwił, bo walizki na pewno dotrą do hotelu. Tylko że kiedy przyjechałem, wcale ich tam nie było. Sam pan widzi.

McAuliff nic wprawdzie nie widział, lecz smętnie westchnął i zapytał znowu:

–Więc to dlatego udawałeś wstawionego?

–Pewnie że tak. Wiedziałem, że zaraz się pan dowie o tym upoważnieniu, że zaraz mnie pan o to zapyta i że jeżeli walizki zniknęły, nie obejdziesz się bez dzikiej awantury. Wszystko będzie na mnie... A tu, proszę, komu będzie się chciało krzyczeć na faceta, który sobie troszkę podlał i chciał tylko wyświadczyć przysługę. Naprawdę w takich sytuacjach ludzie wolą machnąć ręką, słowo daję.

–Masz bardzo żywą wyobraźnię, Jimbo-mon. Nawet nie tyle żywą, ile rozbuchaną.

–Może i mam. Ale pan się wtedy rzeczywiście zdenerwował, sam widziałem. A tu proszę, rozmawiamy sobie i wszystko gra. Ironia losu: wszystko jest tak, jak miało być.

–Wszystko tak, jak miało być? To znaczy jak?

Ferguson uśmiechnął się zmieszany.

–No, tak właśnie... Przecież się ciągnę za panem.

–Moim zdaniem nie miało być tylko jednego. Miałeś mi nie pisać słowa o Crafcie.

–Aha. Ale ja i tak bym wszystko powiedział. Dlatego tak pana rano szukałem. Craft wcale się nie dowie, bo i jak? A ja będę się ciągnął za panem. Oddam panu część mojej gaży, obiecuję. Jak pan chce, mogę to stwierdzić na piśmie. Zawsze byłem bez forsy. Lepsza okazja już mi się nie zdarzy. Prawda, że teraz mnie pan rozumie?

XI

Amerykanin zostawił Fergusona w ogrodach Devon House i taksówką dojechał do starej części Kingston. Jeżeli go nawet śledzono, miał to gdzieś. Musiał teraz znów uporządkować myśli, a nie martwić się inwigilacją. Poza tym nie szedł na żadne spotkanie.

Z Fergusonem zawarli obwarowaną różnymi warunkami umowę. Dwustronną, bo botanik miał dalej prowadzić swój tajny dzienniczek (do którego miały trafić odpowiednio dobrane nazwiska), a McAuliff mógł się zamian spodziewać informacji o poczynaniach Craffa.

Podniósł wzrok na tabliczki z nazwami ulic. Znajdował się na rogu Tower i Matthew, dwie ulice od portu. Na chodniku jak na zawołanie stał automat telefoniczny na postumencie. Ciekawe tylko, czy czynny.

Czynny.

–Czy pan Sam Tucker zameldował się już w hotelu? – zapytał recepcjonistę na drugim końcu linii.

–Nie, panie McAuliff. Dosłownie przed chwilą sprawdzaliśmy listę rezerwacji. Pan Tucker miał czas do trzeciej.

–Zatrzymajcie dla niego pokój. Płacę chyba za ten nocleg.

–Niestety, tego akurat nie jestem pewien. Powiedziano nam tylko, że jest pan odpowiedzialny za bieżące rachunki. Ale i tak pójdziemy panu na rękę.

–Bardzo miło z waszej strony. Skoro tak, zatrzymajcie dla Tuckera pokój. Aha, czy nikt do mnie nie dzwonił?

–Sekundeczkę, proszę pana. Wydaje mi się, że tak.

W ciszy, jaka zapadła w słuchawce, McAuliff miał czas zastanowić się nad losami Sama Tuckera. Gdzie, u diabła, podziewa się Sam? McAuliff nie przejmował się tym zniknięciem aż tak jak Robert Hanley. Tucker słynął z ekscentrycznych pomysłów, które kazały mu bez ostrzeżenia ruszać na wędrowną, włóczącą się po terenach zamieszkałych tylko przez tubylców. Pewnego razu, w Australii, na cztery tygodnie zamieszkał w wiosce aborygenów i co rano dojeżdżał landroverem pięćdziesiąt kilometrów do terenu badań na wyżynie Kimberley. Sam był facetem, który zawsze wypatruje osobliwości, zwykle znajdując je w obyczajach i stylach bycia ludności kraju, w którym akurat pracował. Tym razem jednak, w Kingston, jego spóźnienie zaczęło być niepokojące.

–Przepraszam, że tyle to potrwało – odezwał się ze śpiewnym akcentem, choć ze śmiertelną powagą, jamajski recepcjonista. – Zostawiono dla pana kilka wiadomości. Ułożyłem je po kolei.

–Dziękuję. Które z nich...

–Wszystkie noszą adnotację „pilne”, proszę pana. Pierwsza z godziny jedenastej piętnaście, z Ministerstwa Oświaty, żeby jak najszybciej zechciał się pan skontaktować z panem Lathamem. Następna z jedenastej dwadzieścia, od pana Piersalla, z hotelu Sheraton, pokój numer 51. Następna od pana Hanleya, który dzwonił z Montego Bay o dwunastej sześć. Dwa razy powtórzył, żeby koniecznie pan się do niego odezwał. Podaję jego numer, uwaga...

–Chwileczkę – Alex prędko wysupłał z kieszeni notes i ołówek, zapisując kolejno hasła „Latham”, „Piersall” i „Hanley”. – Dobrze, słucham.

–Centrala w Montego, numer 8227. Do piątej po południu. Potem pan Hanley będzie uchwytany w Port Antonio, od wpół do siódmej wieczorem.

–Czy zostawił numer w Port Antonio?

–Nie, proszę pana. Poza tym o pierwszej trzydzieści pięć pani Booth zostawiła wiadomość, że będzie z powrotem w swoim pokoju o wpół do trzeciej. Prosiła, żeby ją z panem połączyć, gdyby zadzwonił pan z miasta. To wszystko, panie McAuliff.

–Znakomicie. Bardzo dziękuję. Powtórzę jeszcze raz te nazwiska – Alex wyliczył na głos osoby, rodzaj spraw i numery telefonów, a potem poprosił o numer hotelu Sheraton. Nie miał pojęcia, o jakiego Piersalla chodzi. W myślach powtórzył dwanaście nazwisk z listy dostarczonej mu przez Holcrofta. Nie było wśród nich żadnego Piersalla.

–Czy to wszystko, proszę pana?

–Tak. Czy byłby pan uprzejmy połączyć mnie z panią Booth? Alison odebrała telefon dopiero po kilku sygnałach.

–Właśnie biorę prysznic! – zawołała zdyszana. – Żałowałam nawet, że cię tu nie ma.

–A owinęłaś się chociaż ręcznikiem?

–Pewnie. Umyślnie powiesiłam go na klamce i nie zamykałam drzwi, skoro o to pytasz. Nie chciałam przegapić telefonu.

–Rzeczywiście żałuję, że mnie tam nie ma. Zaraz bym go odebrał. To znaczy, odebrałbym ci ręcznik, nie telefon.

–Nic by nie zaszkodziło, gdybyś zrobił jedno i drugie – roześmiała się Alison, a McAuliffowi wydało się, że w migotaniu popołudniowego skwaru na Tower Street zamajaczył mu znajomy półuśmiech.

–Chyba naprawdę masz pragnienie. Aha, kazałaś mi przekazać, że to coś pilnego. Czy coś się stało? – W aparacie rozległ się jednak ostrzegawczy sygnał. Alexowi kończył się czas rozmowy. Alison także to usłyszała.

–Skąd dzwonisz? Zaraz się z tobą połączę – zaproponowała prędko.

Niestety, ktoś złośliwie i rozmyślnie wydrapał numer z obudowy telefonu.

–Nie mam pojęcia, skąd dzwonię. Czy to coś bardzo pilnego? Muszę zatelefonować jeszcze w jedno miejsce.

–Nic aż tak ważnego. Proszę cię tylko, żebyś do spotkania ze mną nie rozmawiał z człowiekiem, który nazywa się Piersall. To na razie.

McAuliff miał wielką ochotę znów wykręcić numer Alison. Kim jest, u licha, cały ten Piersall? Ważniejsza była jednak dla niego tymczasem rozmowa z Hanleyem w Montego. Dzwonić musiał na koszt odbiorcy, bo zabrakło mu drobnych. Minęło dobre pięć minut, zanim telefon Hanleya zaczął dzwonić. Następne trzy minuty zabrało Hanleyowi przekonywanie telefonistki w jego niezbyt luksusowym hoteliku, że naprawdę zapłaci za rozmowę.

–Przepraszam za to zamieszanie, Robert, ale dzwonię z jakiegoś automatu w Kingston.

–Nie ma o czym mówić, stary. Co tam? Tucker dalej się nie odzywał? – W serii pytań Hanleya dawało się wyczuć niepokój.

–Nie. Na razie nie zameldował się w hotelu. Myślałem, że może ty coś wiesz.

–Owszem, wiem, ale raczej nic wesołego... Parę godzin temu przyleciałem tu z Montego i co się okazuje? Ci durnie z hotelu powiedzieli mi, że jacyś dwaj Murzyni zabrali manatki Sama, zapłacili za niego rachunek i odjechali bez słowa.

–Ktoś im na to pozwolił?

–Wiesz, stary, że nie mieszkamy w Hiltonie. Tamci zapłacili, ile trzeba, i już.

–W takim razie skąd dzwonisz?

–Tłumaczę ci, do cholery, że wziąłem ten sam pokój, tylko na popołudnie, na wypadek gdyby Sam próbował się ze mną skontaktować. Wykombinowałem, że najpierw będzie dzwonił tutaj. Poza tym poprosiłem paru znajomych, żeby rozpytali się o Sama w mieście. Ciągle nie chcesz zawiadomiać policji?

McAuliff zawahał się, pamiętając o umowie z Holcroftem. Pod żadnym pozorem nie powinien rozmawiać z jamajską policją bez uzgodnienia tego z człowiekiem z MI-5.

–Na razie nie, Bob.

–Pamiętaj, że chodzi o naszego kumpla.

–Tak, tylko że Sam jeszcze nie przekroczył terminu, w jakim miał się zjawić, więc nie mogę nawet oficjalnie zawiadomić, że zniknął. Poza tym, jak znam tego naszego kumpla, na pewno byłby strasznie zły, że się tak o niego trzęsiemy.

–Ja tam bym zaraz narobił smrodu w całym mieście. Co to znaczy, że dwóch przybłędów zabrało mu bagaże?! – Hanley nie żartował, za co McAuliff nie mógł go wcale winić.

–Nie wiadomo, czy to obcy. Dobrze wiesz, że Sam dobiera sobie świtę nie gorszą niż na dworze Eryka Rudego. Zwłaszcza jeśli jest przy forsie i może ją rozdać w jakichś zapadłych wioskach. Przypomnij sobie, co się działo w Kimberley, Bob. Sam roztrwonil dwumiesięczną gażę, zakładając jakąś zasraną wspólnotę rolną.

Hanley zachichotał na samo wspomnienie.

–Jasne, że pamiętam, chłopie. Chciał nauczyć tych kędzierzawych gałganów produkcji wina. Wiem, że Sam to jednoosobowa służba ONZ z wibrującym kroczem... No dobra, Alex. Zaczekajmy jeszcze do jutra. Muszę się zbierać do tego Port Antonio. Zadzwoń rano.

–Jeżeli Sam nie zjawi się do rana, zadzwonię na policję, a ty możesz uruchomić te swoje ciche kontakty. Jak cię znam, masz ich już całą masę.

–Dobrze mnie znasz. My, starzy traperzy, mamy swoje sposoby. To co, uważajmy na siebie!

Oślepiająca spiekota rozpalonej, karaibskiej ulicy, nie mówiąc już o stęchłym zapachu słuchawki telefonicznej, przekonały McAuliffa, że pora wracać do Courtleigh Manor.

Później, może pod wieczór, przyjdzie się rozejrzeć za sklepem rybnym pod szyldem Tallon i za artretycznym łącznikiem. Amerykanin skręcił na pomoc w Matthew Lane i na Barry Street złapał taksówkę, a raczej na poły przerdzewiały

kabriolet dla turystów, niewiadomej marki, lecz na pewno nie pochodzący ani z obecnej dekady, ani nawet z poprzedniej. Kiedy wsiadał, w nozdrza uderzyła go intensywna woń wanilii. Wanilia i rum, zapachy czarnej Jamajki. Urzekające nocą, nieznośne w ciągu dnia, pod palącym, zwrotnikowym słońcem.

Kiedy taksówka wyjeżdżała już ze starej części Kingston, tej położonej wokół portu, pełnej splątanych ze sobą, zrujnowanych domostw i kipiącej roślinności, Alex z niedowierzaniem przyjrzał się majaczącej w przodzie panoramie gmachów Nowego Kingston. Było coś nieprzyzwoitego w tak bliskim sąsiedztwie nowych, sterylnych wieżowców z kamienia i przydymionego szkła tuż obok rządów brudnych baraków z blachy falistej, przed którymi powoli, bez cienia energii, snuły się wychudzone dzieci, a obok nich równie chude psy. Ciężarne, ni to młode, ni to stare kobiety, na sznurach znalezionych nad morzem wieszaly wyprane szmaty, a w ich oczach widziało się ponurą, nienawistną pewność, że tak będzie już zawsze. Nowe, wypolerowane, falliczne wieżowce strzelały w niebo niecałych dwieście metrów od najokropniejszych miejsc, w jakich mógł się gnieździć człowiek: od przegniłych, zaszczurzonych barek, schronienia tych, którzy upadli na samo dno; Niecałych dwieście metrów.

McAuliff zdał sobie nagle sprawę, jakie to gmachy widzi: banki. Trzy, cztery, pięć... Sześć banków, skupionych obok siebie o rzut kamieniem albo złotą dwudziestodolarówką.

Banki. Sterylne, czyste, o przydymionych szybach.

Tylko dwieście metrów.

Osiem minut później dzwoniący, staroświecki kabriolet wtoczył się na wysadzany palmami podjazd przed Courtleigh Manor. Dziesięć metrów przed wejściem kierowca zatrzymał się na sekundę, tak nagle, że wyciągającym portfel McAuliffem rzuciło do przodu. Przepraszony natychmiast Alex spostrzegł, o co chodziło. Kierowca wyjął z filcowego pokrowca zabójczą, półmetrową maczetę i ukrył ją pod siedzeniem. Po czym z filuternym uśmiechem wytłumaczył:

–Powrotny kurs będzie na stary port. A tam slumsy. Jak tam jadę, nóż obowiązkowo.

–Naprawdę tak trzeba?

–Ach, mon! Prawdę mówię, *mon*. Żli ludzie. Brudasy. Nie jak w Kingston. Mówię, wystrzelać tych brudasów. Na co oni? Zapakować na statki i do Afryki. Albo utopić. Tak, tak, *mon*.

–Całkiem pomysłowe rozwiązanie – zauważył McAuliff, gdy wóz zatrzymał się przy krawężniku. Kierowca uśmiechnął się obleśnie i zaśpiewał wygórowaną cenę za kurs. Alex wręczył mu odliczoną kwotę.

–Jestem pewien, że wliczył pan już napiwek – wycedził, rzucając banknoty na siedzenie.

W recepcji McAuliff odebrał wszystkie wiadomości. Była wśród nich jedna nowa: jeszcze raz dzwonił pan Latham z Ministerstwa Oświaty.

Alison leżała w bikini na niewielkim balkonie, korzystając z popołudniowego słońca. McAuliff wszedł do jej pokoju przez wewnętrzne drzwi. Wziął ją za rękę i

dopiero wtedy zapytał:

–Czy ma pani pojęcie, jaka jest pani piękna, moja piękna pani?

–Dziękuję wam, piękny panie.

Delikatnie puścił jej dłoń.

–Opowiedz mi o tym Piersallu.

–Jest w hotelu Sheraton – powiedziała tylko Alison.

–Tak, wiem. Pokój 51.

–Rozmawiałeś z nim! – Alison była w widoczny sposób przejęta.

–Nie. Taką mi zostawił wiadomość. Mam zadzwonić do pokoju 51. Jak najszybciej.

–Może go teraz zastaniesz. Kiedy do mnie telefonowałaś, nie było go tam.

–Ach, tak? Dostałem tę wiadomość tuż przed rozmową z tobą.

–Musiał ją zostawić przez recepcję albo zadzwonił z automatu na dole. Minęliście się o parę minut.

–Skąd wiesz?

–Bo był tutaj. Rozmawiałam z nim.

–Opowiadaj.

Alison opowiedziała więc. Kończyła przeglądać notatki, które przygotowała sobie na temat północnego wybrzeża, kiedy od drzwi pokoju Alexa dobiegło ją natarczywe stukanie. Sądząc, że to ktoś z grupy, Alison otworzyła własne drzwi na korytarz i wyjrzała, płosząc chudego, wysokiego mężczyznę w białym garniturze jak z Palm Beach. Obydwoje mieszała się, lecz zaraz Alison oświadczyła, że usłyszała pukanie, a tak się składa, że wie, iż pana McAuliffa nie ma w hotelu. Czy może przekazać mu jakąś wiadomość?

–Ten Piersall cały czas denerwował się okropnie. Jąkał się trochę, ale powiedział, że szuka cię od jedenastej rano. Zapytał, czy można mi zaufać w pewnej sprawie i czy nie zdradzę, o co chodzi, nikomu poza tobą. Naprawdę strasznie się trząsł. Zaprosiłam go do siebie, ale podziękował, mówił, że się spieszy. A potem wykrztusił z siebie, że ma wiadomości o jakimś Samie Tuckerze. Czy nie tak się nazywa ten Amerykanin, który miał dołączyć do grupy?

Alex nie próbował nawet ukrywać niepokoju. Wyprostował się nagle i zerwał, dopytując się:

–Ale co z Tuckerem?

–Piersall nie wchodził w szczegóły. Powiedział tylko, że ma wiadomość, o Tuckerze albo od Tuckera. Mówił tak niejasno...

–Dlaczego nic mi nie powiedziałaś przez telefon?

–Bo prosił mnie o to. Mówił, żebym powtórzyła ci wszystko w cztery oczy, w żadnym wypadku przez telefon. Dał do zrozumienia, że może ci się to nie podobać, ale że musisz skontaktować się właśnie z nim, zanim zgłosisz się do kogokolwiek. A potem poszedł... Alex, o co mu chodziło, u licha?

McAuliff nie odpowiedział, gdyż szedł już do telefonu. Podniósł słuchawkę, zerknął na wewnętrzne drzwi i szybko odłożył ją na widełki. Zamknął pośpiesznie drzwi, znów usiadł obok telefonu, podał numer hotelu Sheraton i czekał.

–Proszę z panem Piersallem, pokój 51.

Cisza, jaka zapadła na chwilę w słuchawce, o mało nie doprowadziła McAuliffa do pasji. Przerwał ją dopiero spokojny, stonowany brytyjski głos, który zapytał najpierw, kto dzwoni, a potem upewniał się, czy McAuliff to znajomy czy też może krewny doktora Piersalla. Na odpowiedź Alexa, w słuchawce rozległ się ponownie przymilny głos, a geologowi przypomniła się natychmiast zimna noc w Soho, gdy stał na chodniku przed „Sową Świętego Jerzego”. A także mrugający neon, który jemu ocalił życie, a niedoszłego mordercę posłał na śmierć.

Doktor Piersall miał okropny, tragiczny wypadek.

Na ulicy w Kingston rozjechał go pędzący samochód.

Na śmierć.

XII

Walter Piersall, obywatel USA, doktor antropologii, badacz ludów karaibskich i autor podstawowej pracy na temat pierwszych znanych mieszkańców Jamajki, czyli Indian z plemienia Arawaków, właściciel domu zwanego „Wysokim Wzgórzem”, niedaleko Carrick Foyle, w okręgu (czyli według jamajskiego nazewnictwa w parafii) Trelawny.

Tyle mniej więcej dowiedział się McAuliff oficjalnie od Lathama z Ministerstwa Oświaty.

–Straszne nieszczęście, panie McAuliff. Wszyscy go tak cenili, miał taki dorobek! To strata dla całej Jamajki.

–Strata, mówi pan? W takim razie kto go zamordował?

–O ile wiem, śledztwo właściwie utknęło, z braku poszlak. Samochód odjechał pędem z miejsca wypadku, a relacje świadków są sprzeczne.

–To się stało w środku dnia, panie Latham.

Rozmówca zamilkł na chwilę.

–Wiem, panie McAuliff. Co mam panu powiedzieć? Pan też jest Amerykaninem, jak Piersall, a ja pochodzę stąd, z Jamajki. Tak się złożyło, że nieszczęście wydarzyło się na ulicach Kingston. Ubolewam nad nim z rozmaitych powodów, choć nie znałem Piersallą osobiście.

Nawet przez telefon wyczuwało się u Lathama szczerą Alex zniżył głos.

–Powtarza pan ciągle „nieszczęście”. Czy był to tylko zwykły wypadek?

–Raczej tak. Piersalla nie obrabowano, nie straszono nożem. Zwykły wypadek.

Nietrudno o taki, tam gdzie pełno lenistwa i rumu. Jednego i drugiego nie brakuje w Kingston, proszę mi wierzyć. Człowiek, który spowodował wypadek, może zupełny młodzik, dawno zdążył ukryć się w górach. Kiedy przestanie mu szumieć w głowie od rumu, zacznie się bać, więc się schowa. Policja z Kingston nie słynie z delikatności.

–Rozumiem – uciął McAuliff, który miał wielką ochotę wymówić nazwisko Sama Tuckera, lecz powstrzymał się jakoś. Lathamowi powiedział tylko, że Piersall szukał go z ważną wiadomością. Na razie nie wchodził w szczegóły. – Cóż, jeśli będę panu potrzebny...

–Piersall był wdowcem i mieszkał w Carrick Foyle samotnie. Policja mówiła mi, że próbują odszukać jego brata, mieszka w Cambridge pod Bostonem... Czy domyśla się pan przynajmniej, w jakiej sprawie Piersall pana szukał?

–Nie mam pojęcia.

–Dużą część pomiarów będziecie prowadzić właśnie w parafii Trelawny. Może Piersall dowiedział się o tym i chciał zaproponować gościnę.

–Może... Ale czy to logiczne, żeby Piersall znał program wyprawy, panie Latham?

–zapytał McAuliffi zaczął wsłuchiwać się w reakcję urzędnika. Jak zwykle Holcroft: „Trzeba nauczyć się wychwytywać drobiazgi”.

–Czy logiczne? A co niby jest logiczne na Jamajce? Nikt w naszym ministerstwie nie będzie specjalnie ukrywał, że z hojną pomocą naszej byłej metropolii organizujemy potrzebny od dawna cykl badań naukowych. Tajemnica, której nikt specjalnie nie kryje, przestaje być tajemnicą. Może to nielogiczne, że o wszystkim

dowiedział się właśnie doktor Piersall, ale ja bym wcale tego nie wykluczał.

Ani śladu wahania, odpowiedzi zdecydowane, ale nie natychmiastowe, brak gotowych fraz na każdą okazję.

–W takim razie domyślam się, że właśnie po to dzwonił. Przepraszam za całe zamieszanie.

–Mnie także zmartwiła ta wiadomość. – Latham znów zamilkł, wcale nie dla efektu. – Może to, co powiem, będzie nie na miejscu, panie McAuliff, ale chciałbym, żebyśmy przeszli do naszych spraw.

–Oczywiście. Proszę mówić.

–Wszystkie zezwolenia, jakich potrzebowała wyprawa, trafiły do mnie dziś przed południem... A więc niecałą dobę po złożeniu wniosków. Zwykle tego typu sprawy zabierają tydzień i dłużej...

Szybkość była rzeczywiście niezwykła, lecz Alex przyzwyczał się już do niespodzianek autorstwa Dunstone Limited. Odwieczne bariery padały ze zdumiewającą łatwością. Na każdym kroku można było liczyć na pomoc niewidzialnych przyjaciół, posłusznych poleceniom Juliana Warfielda.

Latham dodał, że ministerstwo spodziewa się poważniejszych kłopotów, dopiero kiedy grupa wkroczy z pomiarami w okolice Cock Pitu, na rozległe tereny, nie zamieszkane i na dobrą sprawę porośnięte dżunglą. W Cock Picie potrzebni będą miejscowi przewodnicy, obznajomieni z całą zdradziecką krainą. Trzeba będzie też uzyskać zgodę tamtejszej ludności – Maroonów, czyli potomków dawnych hiszpańskich niewolników, którzy w myśl traktatu z 1739 roku posiadają autonomię w tamtych okolicach. Maroonowie, wojowniczy i zaczepny lud o niewolniczej przeszłości, znali wnętrza wyspy o niebo lepiej niż biali właściciele. Monarcha brytyjski, Jerzy I, ofiarował Maroonom autonomię i po wsze czasy zagwarantował im w traktacie terytorium Cock Pitu. Było to mądrzejszym rozwiązaniem niż nie kończący się rozlew krwi. Ponadto całą okolicę uznano za niezdrową dla białych osadników.

Przez prawie ćwierć tysiąclecia, twierdził Latham, przestrzegano tego traktatu, choć niechętnie. Dlatego nawet nowe władze w Kingston musiały prosić tak zwanego Pułkownika Ludu Maroonów o zezwolenie na pomiary na jego terenach.

Władze, a więc także Ministerstwo Oświaty.

Ministerstwo, które pracuje na rzecz Dunstone Limited -dodał McAuliff w myśli. Stąd łatwość uzyskiwania zezwoleń, stąd ta nadzwyczajna sprawność urzędników.

–Wasz sprzęt wysłaliśmy już drogą powietrzną do Boscobel – ciągnął Latham. – Stamtąd przewieziemy go ciężarówką do pierwszego obozu.

–W takim razie wyruszam jutro po południu, najpóźniej pojutrze. Najmę ludzi w Ocho Rios. Reszta grupy może do mnie wtedy dołączyć. Zajmie mi to najwyżej dwa dni.

–Górcy przewodnicy, nazywamy ich „tragarzami”, są umówieni dopiero za dwa tygodnie. Do tego czasu nie potrzebuje ich pan chyba? Wspominał pan, że zaczniecie pomiary od wybrzeża.

–Dwa tygodnie będą w sam raz. Chciałbym tylko sam sobie wybrać tych tragarzy.

–Wybór jest dość niewielki, panie McAuliff. Coraz mniej młodych ludzi podejmuje się takich zajęć, więc i tragarzy jest mało. Postaram się jakoś to panu ułatwić.

–Będę wdzięczny. A czy mógłby mi pan przysłać do hotelu zatwierdzone mapy terenu?

–Przyślę je jutro, o dziesiątej rano. Cóż, do widzenia, panie McAuliff. Jeszcze raz proszę przyjąć moje wyrazy ubolewania z powodu doktora Piersalla.

–Ja też go nie znałem, panie Latham. Do widzenia.

Rzeczywiście, nie znał Piersalla, ale przecież gdzieś już słyszał nazwę „Carrick Foyle”, nazwę osady antropologa? Nie mógł sobie przypomnieć, przy jakiej to było okazji, ale nazwa brzmiała znajomo.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na wyciągniętą na balkonie Alison. Obserwowała go podczas rozmowy i słyszała każde słowo. Nie umiała teraz ukryć lęku. Nie minęły przecież nawet dwie godziny od czasu, kiedy nerwowy chudzielec w białym garniturze mówił jej, że ma poufną wiadomość. Ten sam człowiek, który zaraz potem stracił życie.

Słońce przepełniło pomarańczową barwą karaibskie popołudnie, a żelazna balustrada balkonu rzucała serię ostrych cieni. W tle widać było głęboką zieleń wysokich palm, za którymi strzelały w niebo potężne górskie szczyty. Alison Booth wyglądała jak dama z portretu, w którym artysta zamknął kwintesencję tropikalnych kolorów. Takie kolory mewają też tarcze strzelnicze.

–Powiedział, że to wypadek. – Alex podszedł niespiesznie do drzwi balkonu. – Wszyscy są bardzo zdenerwowani. Piersall był na wyspie popularną postacią. Podobno w Kingston ciągle ktoś kogoś potrąca.

–A ty nie wierzysz w ani jedno słowo.

–Tego nie powiedziałem. – McAuliff zapalił papierosa. Nie chciał, żeby Alison zobaczyła jego minę.

–Nie musisz nic mówić. O tym swoim kumplu, Tuckerze, też nie pisałeś słowa. Dlaczego?

–Tak mi podpowiadał rozsądek. To sprawa dla policji, nie dla wicedyrektora departamentu. Rozgadałby tylko o wszystkim i zrobiłby zamieszanie.

–W takim razie chodźmy na policję, – Alison wstała z leżaka. – Już się ubieram.

–Nie! – Dopiero ponieważ Alex zdał sobie sprawę, że prawie krzyknął. – To znaczy, tak, ale pójdą sam. Nie chcę, żebyś się w to mieszała.

–To ja rozmawiałam z Piersallem, nie ty.

–Przekażę wszystko, co mi powiedziałaś.

–Nie będą chcieli cię słuchać. Zresztą po co, skoro to ja jestem świadkiem?

–Bo tak ci każę. – Alex odwrócił się pod pretekstem, że szuka popielniczki.

Wiedział, że nie nadaje się na aktora. – Posłuchaj, Alison – zwrócił się znów do dziewczyny. – Dostaliśmy te zezwolenia na pomiar. Jutro jadę do Ocho Rios wynająć kierowców i pomocników. Was spodziewam się za dwa, trzy dni. Nie chcę, żeby po moim wyjeździe ty albo ktokolwiek z grupy rozmawiał z policją. W ogóle nie rozmawiajcie z nikim. Mamy swoje pomiary, a reszta to już nie nasza sprawa. Jestem odpowiedzialny za wyprawę i nie chcę, żeby doszło do niepotrzebnej zwłoki.

Alison przestąpiła krok do przodu, znikając z barwnego obramowania, i stanęła twarzą w twarz z Amerykaninem.

–Okropnie kłamiesz, Alex. Okropnie w tym sensie, że bardzo słabo.

–W tej chwili wychodzę na policję. Potem, jeżeli nie będzie za późno, wpadnę może do ministerstwa i rozmówię się z tym Lathamem. Nie byłem dla niego zbyt uprzejmy.

–Wydawało mi się, że rozstaliście się jak najlepsi przyjaciele.

McAuliff uznał, że Alison o wiele lepiej od niego wychwytuje „drobiazgi”, o jakich mówił Holcroft. Była w tym naprawdę dobra.

–Słyszałaś tylko moją część rozmowy, więc skąd ta pewność? Dobrze, jeżeli nie wrócę do siódmej, co ty na to, żeby zjeść kolację z Jensenami? Dołączę do was zaraz jak się pojawię.

–Jensenów nie ma.

–Co takiego?!

–Nie denerwuj się tak. Dzwoniłam już do nich przed południem, żeby się umówić. Zostawili w recepcji wiadomość, że korzystają z wolnego dnia i robią sobie wycieczkę. Port Royal, Spanish Town, Old Harbour: pół południowego wybrzeża W hotelu zorganizowano im całą trasę.

–Życzę im dobrej zabawy.

Kierowcy taksówki oznajmił, że chce odbyć półgodzinną przejażdżkę po mieście. Zgodnie z tą wersją miał trzydzieści minut do spotkania towarzyskiego w restauracji na Duke Street. Nieważne, w której restauracji, pokaże ją, kiedy dojadą na miejsce. Dokładnego adresu nie zna. Przez pół godziny kierowca może go wozić, którądy zechce. Kierowca obruszył się na te słowa: w popołudniowym korku ulicznym pół godziny ledwie im wystarczy, żeby dojechać z Courtleigh na Duke Street. McAuliff wzruszył ramionami i zapewnił, że się specjalnie nie spieszy.

Widocznie doskonale wyczuł nastrój kierowcy, bo samochód ruszył wzdłuż Trafalgar, skręcił na południe w Lady Musgrave, a potem w Old Hope Road. Po drodze McAuliff musiał się nasłuchać na temat handlowej potęgi Nowego Kingston, ciągłych postępów i tytanicznych dokonań rządowej komisji planowania.

Puszczał mimo uszu ten potok słów, przetykanych miejscową gwarą i przechwałkami o „mnóstwie wielkich milionów z Ameryki”, które ludzką, tropikalną narośl, jakim było Kingston, zmieniają w karaibską Mekkę dla finansjery. W zależności od tego, z jakim akcentem mówili pasażerowie, kierowca opowiadał im o „wielkich milionach” marek, funtów lub franków.

Mógł sobie gadać. Zorientował się zresztą po paru minutach, że pasażer zamiast słuchać pogadanki, wypatruje czegoś pilnie przez tylną szybę.

Wypatruje, by wreszcie znaleźć.

Zielony osobowy chevrolet, model sprzed kilku lat. Jechał za nimi, zawsze mając przed sobą dwa albo trzy inne wozy, lecz ilekroć taksówka zakręcała albo wyprzedziła kogoś, chevrolet czynił to samo.

Taksówkarz też zauważył intruza.

–Ma się kłopoty, *mon*. Kłamstwa nie miały sensu.

–Nie wiem.

–Ale ja wiem, *mon*. Ten zielony zapapraniec jedzie, jedzie, patrzę, znowu jedzie. Stał na tym wielkim placu przed Courtleigh Manor. Patrzę do środka, dwa czarne sukinsyny.

McAuliff spojrział na kierowcę, bo ostatnie słowa Jamajczyka przypomniały mu to, co z Montego Bay opowiedział mu Robert Hanley. „Dwaj Murzyni zabrali ma-natki Sama”. Alex sam się śmiał z tak odległych skojarzeń, o które zresztą nietrudno w czarnoskórym kraju, ale nie miał żadnej innej poszlaki.

–Dam ci zarobić dwadzieścia dolarów, kolego – rzekł prędko do kierowcy. – W zamian za dwie przysługi.

–Mów mi, mów!

–Pierwsza sprawa: musimy podjechać do tego zielonego tak blisko, żebym mógł zanotować sobie rejestrację. A kiedy już zanotuję, musimy ich zgubić. Zrobi się?

–Ty tylko patrz. – Jamajczyk zakręcił kierownicą w prawo. Taksówka na mgnienie wjechała na sąsiedni pas, cudem unikając czołowego zderzenia z autobusem, a potem znów wskoczyła w sznur pojazdów, ustawiając się za volkswagenem. McAuliff skulił się za oparciem i przycisnął czoło do tylnej szyby. Zielony chevrolet dokładnie powtórzył manewr i ustawił się o dwa samochody za nimi.

Nagle kierowca taksówki znowu przyspieszył, wyprysnął przed volkswagena i popędził przez skrzyżowanie, na którym właśnie zmieniały się światła, zakręcając w lewo. Alex zdążył odczytać nazwę ulicy i tablicę w kształcie średniowiecznej tarczy z napisem:

TORRINGTON ROAD WJAZD DO PARKU IMIENIA JERZEGO VI

–Tędy się jedzie na koniki, *mon!* - krzyknął kierowca. – Te zielone gnoje utknęły na światłach na Snipe Street. Zaraz tu wpadną. Teraz patrz, co będzie!

Taksówka popędziła Torrington, dwa razy przeskakując na sąsiedni pas, by wyprzedzić trzy samochody, po czym przez szeroką bramę wjechała w parkową aleję. Tuż za bramą kierowca przycisnął hamulce, na wstecznym biegu wjechał w boczną ścieżkę, chyba dla amatorów jazdy konnej, zakręcił kierownicą i znów wyjechał na główną aleję.

–Teraz ich masz, *mon!* – wrzasnął Jamajczyk hamując, po czym włączył się w sznur pojazdów opuszczających park. Kilka sekund później minęli zielonego chevroleta, wciśniętego w kolejkę pojazdów wjeżdżających do parku. Dopiero wtedy McAuliff zorientował się, jak przewrotny jest plan kierowcy. Zbliżała się godzina rozpoczęcia wyścigów konnych, a Park Imienia Króla Jerzego VI był kolebką tego sportu królów. Wszyscy hazardziści w Kingston spieszyli się na trybuny.

Alex mógł spokojnie zapisać sobie numer chevroleta. Jego taksówka nie rzucała się w oczy. Było jasne, że dwaj Murzyni w zielonym samochodzie nie zorientowali się zupełnie, że o dwa metry od nich przejeżdża samochód, który śledzą.

–Skurkowani będą musieli teraz jechać naokoło, nie, *mon?* Durne czarne barany! To co, gdzie teraz, *mon?* Czasu, ile chcemy. I tak nas nie dogonią.

McAuliff uśmiechnął się pod nosem, ciekaw, czy talenty kierowcy trafiły do któregoś z podręczników Holcrofta.

–Masz u mnie dodatkowych pięć dolarów. A teraz proszę na róg Queen i Hanover Street. Szkoda czasu.

–Ej, *mon!* Chcesz, to wóz twój na cały pobyt w Kingston. Pojedziemy, gdzie tylko masz chęć. O nic się nie będę pytał, *mon.*

Alex spojrzał na koncesję, zatkniętą w brudnej plastikowej okładce za deskę rozdzielczą.

–Przecież to nie twoja własna taksówka... Rodney.

–Ale ze mną się trzeba ugadać, tak? A z szefem sam już załatwię. – Kierowca łypnął z uśmiechem we wsteczne lustro.

–Zastanowię się. Masz jakiś telefon?

Jamajczyk błyskawicznie wygrzebał potężnych rozmiarów wizytówkę i podał ją McAuliffowi. Wizytówka reklamowała firmę taksówkową. Podobnych znaleźć można mnóstwo w recepcji każdego hotelu. Rodney wypisał swoje imię dziecięcym pismem, pod nazwą przedsiębiorstwa.

–Jak się dzwoni do firmy, trzeba tylko prosić o Rodneya. Żeby Rodney, nikt inny, tylko Rodney, *mon.* Chłopaki zaraz mi powiedzą. Każdy wie, gdzie Rodney. Robię tylko hotele i Palisados. Zaraz mnie znajdą, nie?

–A gdybym nie chciał zostawiać im swojego nazwiska?

–A po co nazwisko, *mon.* - zdumiał się Jamajczyk, szczerząc uzębienie do lusterka. – Pamięć mam dobrą, ale taką krótką! To na co mi nazwisko! Powiedz w

firmie, że dzwonił ten, no, ten od koników. I gdzie cię szukać. Już ja się zgłoszę, *mon.*

Rodney na pełnym gazie przemknął North Street, skręcił nią w lewo w Duke i wykręcił znów na południe, mijając Gordon House, potężny kompleks nowych gmachów parlamentu.

Na chodniku McAuliff wygładził marynarkę, poprawił krawat i spróbował przybrać pozę typowego białego handlowca, który szuka właściwej spośród tysiąca rządowych bram. Sklep Tallon nie figurował ani w książce telefonicznej, ani w rejestrze handlowym. Holcroft wspomniał, że trzeba szukać tego miejsca poniżej kwartału rządowych budynków, czyli za skrzyżowaniem z Queen, lecz poza tym nie podał bliższych wskazówek.

Rozglądając się za sklepem rybnym, McAuliff zerkał też na przechodniów, także tych na przeciwległym chodniku, nawet na ludzi w samochodach, które jechały podejrzenie wolno jak na niewielki ruch.

Przez kilka minut znów czuł, że wstąpił w podziemne gniazdo strachu. Albo lęku przed nieznanym, które już wzięło go na muszkę.

Dotarł nareszcie do Queen Street i co prędzej ruszył za ostatnią gromadką, jaka skorzystała z zielonego światła. Na krawężniku odwrócił się szybko, aby się przekonać, kto został po drugiej stronie ulicy.

Pomarańczowe słońce dotykało już horyzontu, tworząc oślepiający, świetlisty korytarz od strony odległego o kilkaset metrów na zachód Parku Wiktorii. Resztę ulicy skrywał już półmrok, a murowane i drewniane domy rzucały na jezdnię czarne, wyraziste cienie. Na wschód i zachód mknęły auta, zasłaniając ludzi stojących na pomocnym, a także na południowym rogu ulicy.

Nie widać było nic podejrzanego. Amerykanin odwrócił się i znów ruszył przed siebie.

Najpierw spostrzegł szyld ze strzałką, skądinąd brudny i wyblakły. Widać było, że nie myto go i nie malowano od miesięcy, albo i od lat:

TALLON
Świeże ryby i delikatesy jamajskie
311 i pół Queen's Alley.
(Pierwsza przecznica od Duke Street
West)

McAuliff posłusznie przewędrował jedną przecznicę. Wylot zaułka Queen miał ledwie trzy metry wysokości. Od góry zamykała przejście żelazna krata, obrośnięta tropikalnymi kwiatami. Brukowany kocimi łbami zaułek, zamiast wychodzić na następną ulicę, urywał się, zakończony ślepym murem. Podobne ślepe uliczki spotyka się bardzo często w Paryżu, Rzymie czy w Greenwich Village. Chociaż zaułek leżał w sercu handlowej części miasta, wyglądał niczym część prywatnej posesji, jak gdyby niewidzialny znak zabraniał przystępu osobom obcym: tylko dla mieszkańców, brama zamykana na klucz, postronnym wstęp wzbroniony. McAuliff pomyślał, że brakuje tylko psa na łańcuchu.

W Paryżu, Rzymie i Greenwich Village w podobnych uliczkach ukrywają się jedne z najlepszych restauracji na świecie, znane tylko prawdziwym smakoszom.

W Sajgonie, Makao i Hongkongu znaleźć można w takich miejscach wszystko, co da się kupić za pieniądze.

W Kingston natomiast zaułek był domem artretyka na usługach wywiadu brytyjskiego. Uliczka zwana Queen's Alley miała może piętnaście metrów długości. Po prawej stronie McAuliff ujrzał księgarnię z dyskretnie oświetloną wystawą, na której leżały najrozmaitsze publikacje, od oprawnych w skórę monografii naukowych po najtańszą, gazetową pornografię. Po lewej stronie mieścił się z kolei sklep rybny: Tallon.

Geolog wyobrażał sobie z góry skrzynie pokruszonego lodu, na którym leżą z wylupiastym okiem rzędy martwych ryb, wokół nich zaś uwijają się w brudnych, białych i byle jakich fartuchach sprzedawcy, ważąc towar i klóćąc się z klientami.

Wystawa sklepowa rzeczywiście okazała się pełna pokruszonego lodu. Znalazło się nawet na niej kilka rzędów ryb z zeszlonymi oczami. McAuliffowi zaimponowała jednak obfitość innych owoców morza, artystyczną ręką wyłożonych w witrynie: kałamarnic, ośmiornic, rekinów i egzotycznych krabów.

Tallon nie był byle śledziowym targiem na Fulton Street. Jak gdyby potwierdzając to spostrzeżenie, z drzwi sklepu wychynął kierowca w liberii, niosąc ostrożnie plastikową torbę. Geolog spostrzegł, że dla wygody klienta torbę również wyłożono drobnymi kostkami lodu.

Podwójne drzwi były ciężkie i otwierały się z trudem. Wewnątrz czekały na McAuliffa nieskazitelne lady, a trociny, którymi wysypano podłogę, okazały się białe. Para ekspedientów przypominała właśnie ekspedientów, a nie sklepikarzy. Obaj mieli na sobie długie fartuchy w białe i niebieskie pasy, uszyte z doskonałej tkaniny. Waga, widoczna za ladą ze szkła i chromu, błyszczała mosiężnymi okuciami. W całym sklepie ustawiono podświetlone reflektorkami setki puszek z delikatesami rybnymi z całego świata.

Widok był po prostu niezmierny.

We wnętrzu poza McAuliffem była tylko trójka klientów: jakaś para i jeszcze jedna kobieta. Para studiowała etykiety na puszkach w drugim kącie sklepu, kobieta natomiast zamawiała kolejne artykuły z przygotowanej listy, umyślnie wystudiowanym, aroganckim tonem.

McAuliff podszedł do lady i wypowiedział umówione słowa.

–Znajomy z Santo Domingo mówił mi, że właśnie tu można dostać pstrągi z północnego wybrzeża.

Murzyn o jasnym odcieniu skóry, stojący za białą ladą, ledwie spojrzał na Alexa, lecz nawet po tym szybkim spojrzeniu dało się poznać, że zrozumiał. Nachylił się zaraz i nie przestając sortować skrzynki małży, rzucił od niechcienia prawidłowy odzew:

–Tak, mamy trochę świeżych pstrągów z Martha Brae, proszę pana.

–Wolałbym słonowodne. Na pewno by się nie znalazły?

–Pójdę sprawdzić, proszę pana. – Murzyn zamknął wieko skrzynki, odwrócił się i zniknął w korytarzyku, który, jak się domyślał Alex, prowadził do chłodni za sklepem.

Kiedy z bocznych drzwi w korytarzu wychynął starszy człowiek, McAuliff aż się zachłysnął z wrażenia, na próżno usiłując ukryć zdumienie. Stał przed nim sędziwy, drobnej budowy Murzyn, chodzący o lasce, z prawym ramieniem sztywnym i starczo chwiejną głową.

Ten sam, którego rankiem spotkał w Parku Wiktorii – ten, który tak nieprzyjaźnie spoglądał na niego przy ścieżce w kierunku Queen Street.

Staruszek podszedł do lady i odezwał się z akcentem, który był bardziej brytyjski niż jamajski, chociaż dawało się wyczuć karaibską melodię:

–Jeszcze jeden amator morskich pstrągów. Ale co mam doradzić tym słodkowodnym smakoszom, którzy mnie narażają na straty? Proszę, niedługo zamykamy. Będzie pan mógł sobie coś wybrać z mojego specjalnego zapasu.

Ekspedient w pasiastym fartuchu otworzył przejście w kontuarze, unosząc część lady z litego drewna. Alex ruszył korytarzem w ślad za sędziwym artretykiem i przez niewielkie drzwi wszedł do małego gabineczku, który w miniaturowej skali odzwierciedlał wykwint całego sklepu. Ściany pokrywała boazeria z owocowego drewna. Za umebłowanie służyło mahoniowe biurko ze staroświeckim, lecz funkcjonalnym obrotowym fotelem i normalny fotel vis a vis biurka. Rozproszone światło padało tu tylko z porcelanowej lampy na blacie. Kiedy zamknęły się drzwi, Alex spostrzegł jeszcze pod przeciwległą ścianą dębowe szafki na akta. Chociaż pokój przytłaczał niewielkimi rozmiarami, był niesłychanie wygodny – typowa samotnia filozofa.

–Niech pan siada, panie McAuliff – powiedział właściciel sklepu pod szyldem Tallon, wskazał Amerykaninowi fotel i sam pokuśtykał wokół biurka, za którym usiadł, opierając laseczkę o ścianę. – Spodziewałem się pana.

–Więc to pana spotkałem dzisiaj rano w parku.

–A, rano się pana nie spodziewałem. Prawdę mówiąc, trochę mnie pan wystraszył. Ledwie parę minut przed spacerem oglądałem pana na fotografii i oto naraz ta sama

twarz wynurza się przede mną w Parku Wiktorii. – Staruszek uśmiechnął się i gestem rozłożonych dłoni podkreślił, że zdarzenie było dziełem przypadku. – A przy okazji, nazywam się Tallon. Westmore Tallon. Ze starego jamajskiego rodu Tallonów, jak pan na pewno słyszał.

–Nie słyszałem wprawdzie, ale wystarczy spojrzeć na pański... sklep rybny, żeby natychmiast w to uwierzyć.

–A i owszem. Prowadzę przeraźliwie drogi sklep, i przeraźliwie ekskluzywny. Nawet numer telefonu jest zastrzeżony. Kupują nas tylko najwięksi bogacze na wyspie, ale za to wszyscy, od Savanna aż po Montego, Antonio i Kingston. Doręczamy towar przez specjalnych posłańców, prywatnym samolotem, rzecz prosta... To ogromna wygoda.

–Domyślam się. Zwłaszcza jeżeli wziąć pod uwagę pańskie dodatkowe zajęcia.

–O których za nic w świecie nie będziemy dyskutować głośno, panie McAuliff – uciał błyskawicznie Tallon.

–Mam do pana kilka spraw. Domyślam się, że przekaże pan wiadomość Holcroftowi, a on już zrobi, jak zechce.

–Widzę w panu złość.

–Złości mnie tak naprawdę tylko jedno, ale za to cholernie złości... Mówiąc pani Booth, o Alison Booth. Wmanipulowano ją w tę eskapadę, korzystając z pośrednictwa Interpolu. Dla mnie to śmierdząca sprawa. Alison pomogła wam raz, mimo niebezpieczeństwa i złamanego życia. Myślę, że pora byłaby zostawić ją w spokoju.

Tallon dotknął stopą podłogi, obracając swój fotel w prawo, a potem bezwiednie sięgnął po laseczkę i zaczął po niej bębnić palcami.

–Jestem tu tylko... Powiedzmy, że gońcem, panie McAuliff, ale nawet z tego, co wiem, wynika, że nikt pana nie zmuszał, żeby zaangażować panią Booth. Gdzie pan tutaj widzi manipulację?

Alex obserwował, jak staruszek bawi się gałką laseczki. Zdjęła go nagle myśl, że w pewien dziwny sposób Westmore Tallon przypomina mu artretyczną syntezę Juliana Warfielda i Charlesa Whitehalla. Podobieństwo było dość niepokojące.

–Wiem, że panowie znają wszystkie sztuczki w tej branży – oświadczył z nutą goryczy. – Zwłaszcza kiedy tak umiejętnie stawiacie ludzi wobec wyboru.

–Ona naprawdę nie może wrócić do Anglii, panie McAuliff. Dają panu na to słowo.

–Z pewnego punktu widzenia mogłaby wracać choćby dziś. Markiz de Chatellerault jest przecież na Jamajce.

Tallon okręcił się na antycznym fotelu i zmierzył McAuliffa wzrokiem, lecz przez chwilę znać w nim było pewną niemoc. Patrzył przez chwilę, a potem zamrugał szybko, jak gdyby bez słowa odrzucił wiadomość Amerykanina.

–To niemożliwe – rzekł tylko.

–Nie tylko możliwe, nie wiem nawet, czy to w ogóle tajemnica. A jeżeli tajemnica, to marnie strzeżona. Taka tajemnica przestaje być tajemnicą, jak mówił mi ktoś godzinę temu.

–Skąd pan ma te wiadomości? – Tallon mocniej ścisnął laseczkę.

–Od Charlesa Whitehalla. Mówił mi to dziś o trzeciej nad ranem. Wybierał się do Savanna-la-Mar na spotkanie z Chatelleraultem.

–Przy jakiej okazji mówił panu o tym?

–Okazja nie ma tu nic do rzeczy. Ważny jest fakt, że Chatellerault zjawiał się w Savanna-le-Mar. Jest honorowym gościem u rodziny nazwiskiem Wakefield. Białej i zamożnej.

–Znamy Wakefieldów – zapewnił go Tallon, artretyczną dłonią niezdarne pisząc coś na kartce. – To nasi klienci. Ma pan dla nas coś jeszcze?

–Kilka spraw. Pierwsza jest dla mnie bardzo ważna i ostrzegam, że nie wyjdę stąd, dopóki nie zrobi pan czegoś dla mnie w tym względzie.

Tallon podniósł oczy znad papieru.

–Wysuwa pan żądania bez względu na możliwość ich realizacji. Nie mam pojęcia, czy mogę coś dla pana zrobić w jakimkolwiek względzie i nic tego nie zmieni, nawet to, że rozbije pan w tym gabinecie namiot. Proszę mówić dalej.

Alex opisał niespodziewane spotkanie Jamesa Fergusona z Craftem na lotnisku na mierzei Palisados i manewry, na skutek których walizka wzbogaciła się o elektroniczne nadajniki. Opisał też szczegółowo finansowe propozycje Crafta, oferowane w zamian za informacje o pomiarach.

–Wcale się nie dziwię. Ludzie Crafta słyną ze wścibstwa – skwitował rzecz Tallon, z męką wodząc ołówkiem po papierze. – Czy dojdziemy wreszcie do sprawy, która jest dla pana taka ważna?

–Najpierw chcę podsumować.

–Co podsumować? – Tallon odłożył ołówek

–Wszystko, co panu powiedziałem.

–Nie ma takiej potrzeby, panie McAuliff. – Tallon uśmiechnął się. – Notuję może powoli, ale umysł mam jeszcze bystry.

–Chciałbym, żebyśmy się dobrze zrozumieli... Brytyjskiemu wywiadowi zależy na Halidonie. Dlatego i tylko dlatego zwerbowaliście mnie. Z chwilą nawiązania kontaktu z Halidonom moja rola się kończy, a całej grupie nadal przysługuje pełna ochrona.

–No i co?

–Myślę, że dotarliście do Halidonu. Chatellerault i Craft.

Tallon nadal bez słowa spoglądał na McAuliffa, z miną, w której była doskonała obojętność. Potem rzekł:

–I to jest właśnie wniosek, do którego pan doszedł?

–Holcroft zapowiadał, że Halidon da o sobie znać, do tego stopnia, że może nawet w pewnej chwili udaremnić pomiary. Nie trzeba skomplikowanych diagramów. Markiz i Craft pasują do opisu. Macie ich w ręku.

–Ach, tak... – Tallon znów sięgnął po laseczkę, niczym po berło monarsze albo magiczny miecz Ekskalibur. – Proszę! Jednym genialnym stwierdzeniem nasz amerykański geolog rozwiązał zagadkę Halidonu.

Między McAuliffem a Tallonem zapadło długie milczenie. Przerwał je Amerykanin, a w jego słowach słyhać było ten sam skrywany gniew, co u przeciwnika:

–Chyba przestaniemy się lubić, panie Tallon. Potrafi pan być bardzo arogancki.

–Niewiele mnie obchodzi, czy mnie pan lubi, panie McAuliff. Obchodzi mnie tylko Jamajka, i to bardzo. Powiem nawet, że żywotnie. Natomiast co pan sobie o tym myśli, to już nie moje zmartwienie... Chyba że znów wyskoczy pan z absurdalną teorią, która tylko psuje mi szyki. Panowie Craft, *pere et fils*, to rodzina, która już pół stulecia grabi moją wyspę, wychodząc z przekonania, że sam Bóg zesłał im taką misję. Zbyt wiele mogą osiągnąć pod szyldem Craft, żeby chować się za symbolem. Bo Halidon jest symbolem, panie McAuliff... A markiz de Chatellerault? Słusznie pan zauważył, że pani Booth została wmanipulowana, dodam, że w genialny sposób. Nazwałbym go zapyleniem krzyżowym, uważa pan. Wszystkie okoliczności akurat temu sprzyjały. Proszę sobie wyobrazić dwa jamajskie ptaki kling-kling w gałęziach hibiskusa, kiedy jeden nieustępliwie zmusza tego drugiego, by się odłonił. Pani Booth była najzwyczajniejszą w świecie przynętą, panie McAuliff. Od dawna podejrzewano, że Chatellerault to wspólnik Juliana Warfielda. Pański markiz pracuje dla Dunstone Limited.

Tallon uniósł trzymaną w poziomie laseczkę, położył ją na biurku i nadal wpatrywał się uparcie w Amerykanina.

–Ukrywaliście przede raną informacje – odezwał się znów McAuliff. – Dlaczego nie wiedziałem tego od razu? Jak mam w tych warunkach uważać się za jednego z was? Znów czuję tu smród, Tallon.

–Przesadza pan. Po co komplikować i tak już skomplikowany obraz?

–Od was powinienem był się dowiedzieć o tym markizie, a nie od pani Booth!

Tallon wzruszył ramionami.

–Przeoczenie. Co dalej?

–Dalej? Mam w grupie kogoś, kto się nazywa Tucker.

–Pański przyjaciel z Kalifornii? Gleboznawca?

–Właśnie.

McAuliff streścił opowieść Hanleya, nie wymieniając pilota z nazwiska. Podkreślił przy tym zbieżność między dwójką Murzynów, którzy zabrali walizki Sama, i identyczną parą w zielonym chevroletcie za taksówką. Opisał też w paru słowach wyczyny taksówkarza w parku obok toru wyścigów konnych i podał Tallonowi numer rejestracyjny chevroleta. Tallon podniósł słuchawkę i nie mówiąc słowa wybrał numer.

–Mówi Tallon – rzekł niegłośnie. – Potrzebuję coś sprawdzić w wydziale komunikacyjnym. Tak, to pilne. Numer rejestracyjny KYB-448. Sprawdźcie i zadzwońcie do mnie do biura. – Odłożył słuchawkę, zerknął na McAuliffa i dodał: – To nie potrwa dłużej niż pięć minut.

–Dzwonił pan na policję?

–Ale nie tak, żeby policja miała zaraz o tym wiedzieć... Podobno ministerstwo otrzymało dziś zezwolenia dla was. Dunstone umie ułatwić człowiekowi życie, prawda?

–Powiedziałem Lathamowi, że jutro po południu ruszam do Ocho Rios. Jeżeli Tucker się nie zjawi, zostanę na miejscu. Oświadczam to panu z góry.

Po raz kolejny Westmore Tallon sięgnął po laseczkę, lecz już bez poprzedniej

złości. Wyglądał teraz jak osoba stale zamyślona, wręcz łagodna.

–Jeżeli pańskiego człowieka zabrane wbrew jego woli, mówilibyśmy o porwaniu. A to bardzo poważne przestępstwo, zwłaszcza że chodzi o Amerykanina. Gazety zaraz by podchwyciły tę sprawę, a kto lubi szum? Nie, panie McAuliff, moim zdaniem nikt nie porwał Tuckera... Sam pan powiedział, że miał się zjawić do dzisiaj, czyli praktycznie do północy, jak się domyślam?

–Do północy.

–W takim razie naprawdę radzę zaczekać... Nie wierzę, żeby którakolwiek ze stron w tej grze mogła czy też chciała popełnić tak gigantyczny błąd. Jeżeli pański Tucker nie zjawi się... powiedzmy, że do dziesiątej, proszę do mnie zatelefonować. – Tallon wypisał numer na karteczce i podał ją Alexowi. – Proszę go sobie utrwalić w pamięci i zostawić tutaj tę kartkę.

–Ale co pan robi, jeżeli Tucker się nie zgłosi?

–Wykorzystam swoje jak najbardziej legalne kontakty i skieruję sprawę w ręce najbardziej godnych zaufania policjantów na Jamajce. Poza tym uczulę na wszystko wysoko postawione osoby we władzach. Jeśli trzeba, pójdę z tym nawet do generalnego gubernatora. Na wyspie St. Croix zdarzyły się morderstwa i co? Turyści natychmiast zniknęli jak zdmuchnięci. Jamajce także bardzo by zaszkodziło porwanie Amerykanina... Zaspokoilem pana ciekawość?

–Z nawiązką. – Alex rozduśił papierosa w popielniczce i przypominając sobie w tym momencie reakcję Tallona na wieść, że Chatellerault jest w Savanna-la-Mar, zapytał:

–Dlaczego tak pana zaskoczyło, że markiz jest na wyspie?

–Jeszcze dwa dni temu był w księdze gości hotelu George V w Paryżu. Nie mieliśmy żadnego meldunku, że wyjeżdża, co oznacza, że przyleciał tu incognito, zapewne via Meksyk. Niepokojące. Musi pan teraz dobrze pilnować pani Booth. Domyślam się, że ma pan broń?

–Mamy w ekwipunku dwie strzelby. Remingtona kaliber 0.30 z celownikiem optycznym i samopowtarzalny sztucerek kaliber 0.22.1 nic poza tym.

Tallon debatował nad czymś w duchu, lecz ostatecznie podjął decyzję, wyjął z kieszeni pęk kluczy i jednym z nich otworzył dolną szufladę biurka. Wyjął z niej wypchaną szarą kopertę, rozgiął blaszane zapięcie i wytrząsnął na blat biurka pistolet. W ślad za bronią wypadło też kilka naboju.

–Daję panu smith and wesson kaliber 0.38, wersja z krótką lufą. Wszystkie numery seryjne usunięte. Niech pan śmiało weźmie go do ręki. Wytarliśmy odciski palców. Nikt nie dojdzie, skąd pan wziął tę broń. Jedyne odciski palców będą pańskie. Tylko ostrożnie.

McAuliff przez kilka sekund patrzył na broń, lecz ostatecznie wyciągnął dłoń i podniósł powoli żelastwo. Wolałby obejść się bez pistoletu. W posiadaniu broni kryje się zawsze groźba, że przyjdzie jej użyć. Znowu jednak stanął przed wyborem: pozbawić się możliwości obrony byłoby głupotą. Poza tym uznał, że pistolet przyda się, jeśli trzeba będzie kogoś postraszyć.

–W pana aktach czytałem, że umie się pan obchodzić z czymś takim. Inna sprawa,

że pewnie dawno nie miał pan broni w ręku. Może chciałby pan trochę poćwiczyć na strzelnicy? Znajdzie się nawet kilka, każda o parę minut lotu od miasta.

–Nie, dziękuję – zbył go Alex. – Nie tak dawno temu, bo w Australii, była to nasza jedyna rozrywka.

W tejże chwili rozległ się stłumiony dzwonek telefonu. Tallon podniósł słuchawkę.

–Tak?

Przez kilka minut słuchał, nie przerywając, a kiedy skończył, znów popatrzył na McAuliffa.

–Właściciel zielonego chevroleta nie żyje. Rejestrację wystawiono na nazwisko Walter Piersall. Adres: Wysokie Wzgórze, Carrick Foyle, parafia Trelawny.

XIII

McAuliff przesiedział u Westmore'a Tallona całą następną godzinę. Sędziwy wyspiarski arystokrata puścił w tym czasie w ruch wszystkie kontakty. Miał swoich ludzi na całej Jamajce. Nic więc dziwnego, że przed upływem sześćdziesięciu minut wyszedł na jaw jeden przynajmniej ważny fakt: zmarły, Walter Piersall z Carrick Foyle w parafii Trelawny, miał na swoich usługach dwóch czarnych pomocników, którzy nieodmiennie towarzyszyli mu we wszystkich podróżach. Związek z dwójką Murzynów, którzy zabrali rzeczy Sama Tuckera z hoteliku w Montego Bay, a także z parą śledzącą Alexa w zielonym chevrolecie, przestawał więc graniczyć z fantazją. Ponieważ to właśnie Piersall wymienił nazwisko Tuckera w rozmowie z Alison Booth, wniosek narzucał się sam przez się.

Tallon polecił swoim ludziom odnaleźć pomocników Piersalla i obiecał McAuliffowi, że zadzwoni do niego, kiedy to nastąpi. Alex powrócił więc do Courtleigh Manor. W recepcji zapytał, czy są dla niego nowe wiadomości. Okazało się, że Alison poszła na kolację, prosząc, by Alex po powrocie znalazł ją w hotelowej restauracji. Poza tym nic.

Ani słowa od Sama Tuckera.

–Gdyby ktoś mnie szukał, będę w restauracji – oznajmił jeszcze Alex recepcjoniście.

Alison siedziała samotnie pośrodku rojnej sali. Mnóstwo tu było tropikalnych roślin, a otwarte okna zdobne były kratami z giętego żelaza. Na każdym stole płonęły w szklanych kloszach świece, jedyne źródło światła w całej restauracji. Po rdzawych, zielonych i żółtych liściach skakały cienie. W pomruku rozmów i śmiechach, coraz częstszych, lecz jeszcze niezbyt głośnych, słyhać było zadowolenie: goście upodobnili się do nienagannie ubranej i uczesanej gromady manekinów, automatów, które na zwolnionych obrotach czekają, aż rozpoczną się nocne igrzyska.

Manekiny uwielbiają chwile, kiedy liczą się właśnie maniery, wystudiowany wdzięk i subtelne sygnały. Do czasu, bo wkrótce zaczyna się liczyć co innego, a scena przestaje być taka urocza. Z tej to a nie innej przyczyny James Ferguson mógł poprzedniej nocy z tak dobrym skutkiem udawać, że jest pijany do nieprzytomności.

Również z tejże przyczyny Charles Whitehall mógł ukradkiem, lecz z niesłychaną arogancją, cisnąć wówczas na podłogę serwetkę. Jak gdyby mówił, że czas, by cudzoziemcy posprząтали po sobie.

–Bardzoś zamyślony. Albo wściekły – zauważyła Alison, kiedy Alex przysuwał sobie krzesło.

–Wcale nie.

–Czy coś się stało? Co ci powiedzieli na policji? Już myślałam, że zadzwonią do mnie.

McAuliff z góry przemyślał odpowiedź, lecz na razie wskazał tylko ręką na kawę i koniak, stojące przed Alison.

–Widzę, że już jadłaś.

–Pewnie. Padałam z głodu. A ty nie jadłeś?

–Jeszcze nie. Dotrzymasz mi towarzystwa?

–Oczywiście. Odprawię tylko od stołu eunuchów.

McAuliff zamówił whisky.

–Prześlicznie się uśmiejasz. Prawie tak jakbyś się śmiała.

–Nie zagaduj mnie, tylko powiedz, co się stało.

McAuliff kłamał znakomicie, przynajmniej we własnej opinii. Na pewno wychodziło mu to lepiej lub bardziej przekonująco niż poprzednio. Oznajmił więc Alison, że spędził na policji dwie godziny. Westmore Tallon dał mu adres komendy głównej, a nawet opisał jej wnętrze. On też wymyślił dla Alexa tego rodzaju alibi. Nigdy nie wiadomo, kiedy człowiekowi przydadzą się takie szczegóły.

–Mówią to samo, co przedtem Latham. Wypadek, kierowca uciekł. Robili też aluzje do łóżkowych upodobań Piersalla. Przejechano go w bardzo szemranej dzielnicy.

–Coś nie bardzo chce mi się w to wierzyć. Moim zdaniem policja z góry chce się wybielić. – Alison zmarszczyła brwi, a na jej twarzy pojawił się sceptycyzm.

–Kto wie? – od niechcienia odpowiedział Alex, dodając już szczerze: – Dla mnie ważne jest tylko to, że nie dopatrują się tu związku ze sprawą Tuckera.

–Ale ten związek istnieje, sam mi mówiłeś.

–To samo powiedziałem policji. Wysłali już ludzi do Carrick Foyle w Trelawny. Piersall miał tam dom. Inna ekipa miała przejrzeć rzeczy Piersalla w Sheratonie. Jeśli coś znajdą, zaraz do mnie zadzwonią.

McAuliff czuł, że tym razem się udało. Ostatecznie nie kłamał, tylko naginał fakty. Swoich ludzi wysłał do Carrick Foyle i do hotelu nie komisarz policji, lecz Westmore Tallon.

–A tobie to wystarczyło? Będziesz ich po prostu trzymał za słowo? Parę godzin temu tak się okropnie martwiłeś o Tuckera, a teraz, proszę.

–Nadal się martwię. – Alex odstawił szklaneczkę i spojrzał na Alison. Tym razem nie musiał wcale kłamać. – Jeżeli do północy albo... Powiedzmy, jeżeli do jutra rana nie będę miał od Sama wiadomości, pójdę prosto do ambasady amerykańskiej i narobię rabanu.

–Aha. Jak chcesz. Powiedziałeś im o „pluskwach”? Miałeś zawiadomić, kogo trzeba.

–Zaraz, o czym?

–O tych „pluskwach” w twojej walizce. Mówiłeś, że to sprawa dla policji.

McAuliff znów poczuł, jak bardzo nie dorasta do zadania. Zirykowało go, że na śmierć zapomniał o kolejnym szczególe. Owszem, z Tallonem rozmawiał pierwszy raz w życiu, nie miał żadnych instrukcji na ten temat, ale teraz nie wiedział, co postanowić. Zaczaj więc:

–Żałuję, że wczoraj wieczorem nie posłuchałem twojej rady. Trzeba było się pozbyć tych podsłuchów, rozdeptać je.

–Znam lepszy sposób.

–Mianowicie?

–Przesadźmy je.

–Na przykład dokąd?

–Nie wiem. Gdzieś, gdzie nikomu nie zaszkodzą i gdzie ciągle się ktoś kręci.

Przynajmniej jest co nagrywać, tamci będą mieli zajęcie.

McAuliff roześmiał się, bez przymusu.

–Zabawny pomysł – potwierdził. – A do tego jaki praktyczny. Tylko gdzie? Alison podparła brodę, jak psotna dziewczynka, która obmyśla kolejną psotę.

–Musimy znaleźć miejsce w promieniu stu metrów, taki jest normalny zasięg tych urządzeń. Miejsce, gdzie jest duży ruch... Zaraz, zaraz. Pochwaliłam kelnera za świetną rybę. Założę się, że pozwoli mi pójść do szefa kuchni i zapytać go o przepis.

–Szefowie kuchni uwielbiają takie historie – przytaknął Alex. – Pomysł świetny. Posiedź tu chwilę, a ja zaraz wrócę.

Alison Booth, do niedawna wtyczka Interpolu, mogła teraz donieść, że oba urządzenia podsłuchowe umieściła bezpiecznie w wielkim koszu na ścierki i serwety, pod ladą do przyrządzania sałat, w kuchni hotelu Courtleigh Manor. Wcisnęła je tam wraz ze zużytą serwetką i przylepiła plastrem, gdy szef kuchni z entuzjazmem wyliczał składniki karaibskiego sosu do ryb.

–Kosz nie jest taki głęboki -wyjaśniała, gdy McAuliff kończył obiad. – Dobrze przycisnęłam plaster, więc powinny się trzymać.

–Jesteś niewiarygodna – pochwalił ją Alex z pełnym przekonaniem.

–To tylko kwestia doświadczenia – sprostowała Alison mniej wesołym tonem. – Nauczono cię tylko połowy zasad w tej grze, kochanie.

–Mówisz tak, jak gdyby chodziło o tenis.

–Tenis to może nie jest, ale każdą grę można polubić. Na przykład, czy masz w ogóle pojęcie, ile się pojawia nagle możliwości? Chociażby w tej kuchni, bo przecież wszystko wyjdzie na jaw dopiero za jakieś trzy godziny.

–Zaraz, nie bardzo wiem, o czym mówisz.

–W zależności od tego, kogo nagrają w kuchni, zaczną gorączkowo zapisywać słowa, wyrażenia... A kucharze, trzeba ci wiedzieć, posługują się osobnym, specjalnym językiem. Tamci domyśla się, że zabrałaś walizkę pod umówiony adres, szykując się do wyjazdu, oczywiście. Narobimy im niezłego zamieszania. – Alison uśmiechnęła się i spojrzała na Amerykanina z takim samym psotnym wyrazem, z jakim przedtem żegnała go, gdy szedł na górę wyłuskać obie „pluskwy” z walizki.

–Chcesz powiedzieć, że wezmą „sos bearneński” za kryptonim pistoletu maszynowego, a „cztery kawy” za sygnał do inwazji na wyspę?

–Tak mi się wydaje. Pewnie tak będzie, zobaczysz.

–Myślałem, że takie sytuacje są tylko na filmach o drugiej wojnie światowej, wiesz, kiedy cały niemiecki sztab wrzeszczy i wysyła w złą stronę kolejne dywizje pancerne. – McAuliff spojrział na zegarek, który wskazywał kwadrans po dziewiątej. – Muszę jeszcze zatelefonować i przejrzeć z Fergusonem listę zapasów. Obiecał mi...

Urwał, gdyż Alison trąciła go nagle w ramię i szepnęła:

–Nie oglądaj się. Wygląda na to, że twoje „pluskwy” zaczęły już działać. W tej sekundzie jakiś człowiek prawie wbiegł na salę i zaczął się za kimś rozglądać.

–Myślisz, że to o nas chodzi?

–O ciebie, mówiąc dokładniej.

–Prędko rozszyfrowali te kuchenne kryptonimy.

–Może nie rozszyfrowali. Poza tym nie wiadomo, bo może nie pilnowali cię specjalnie i teraz sprawdzają w popłochu, gdzie jesteś. To za mały hotel, żeby na okrągło...

–Opisz mi go – przerwał McAuliff. – Najdokładniej jak możesz. Patrzy ciągle w naszą stronę?

–Zauważył cię i przystanął. Teraz przeprosza kelnera od rezerwacji stolików. Białe, w jasnych spodniach, ciemnej marynarce i białej... Poczekaj, nie, bo w żółtej koszuli. Trochę niższy od ciebie, krępawy...

–Jaki?

–No, wiesz, taki grubasek. Ani stary, ani młody, powiedziałabym, że po trzydziestce. Ma dość długie włosy, nie jak hippis, ale długie. Ciemny blondyn albo nawet szatyn. Nic nie widać przy tych świeczkach.

–Nieprawda, świetnie ci poszło. Muszę zaraz biec do telefonu.

–Poczekaj, aż facet sobie pójdzie. Znowu na nas patrzy. – Alison udała, że śmieje się i zaleca do Amerykanina. – Może zrobisz jakąś minę i poprosisz kelnera o rachunek? Tylko powolutku, kochanie.

–Czuję, że trafiłem do przedszkola. Do najpiękniejszej przedszkolanki świata. – Alex podniósł rękę, wypatrzył kelnera i starym zwyczajem wykonał w powietrzu gest pisania. – Odprowadzę cię do pokoju, zejść na dół i spokojnie zadzwonię.

–Po co? Możesz zadzwonić z pokoju. „Pluskwy” już wytępione.

Cholera! Jasna cholera! Znowu to samo. Brak przygotowania. Drobiazgi, wiecznie te drobiazgi. Wpada się przez drobiazgi. Holcroft powtarzał to bez przerwy... Holcroft. Hotel Savoy. Przestrogi, żeby nie dzwonić przez hotelową centralkę.

–Mam dzwonić tylko z automatów. Na pewno nie bez powodu.

–Kto ci tak kazał?

–Ministerstwo. Ten cały Latham... No i policja, oczywiście.

–Policja. Ach, oczywiście.

Alison cofnęła rękę, a kelner podbiegł i podał Alexowi do podpisania rachunek. Nie uwierzyła w policję i nawet nie udawała, że wierzy. Dlaczego zresztą miałyby tak udawać? McAuliff nie nadawał się na aktora. Dał się przyłapać... Lepiej jednak kłamać, niż wygadać się albo krępując się, że Alison usłyszy, rozmawiać z Westmore'em Tallonem z aparatu w pokoju. A przecież w dyskusji z artretycznym łącznikiem swoboda była sprawą podstawową. Nie można negocjować, a jednocześnie strzyc uchem i zerkać na Alison. Jak wymienić przy niej nazwisko Chatelleraulta, czy chociażby uczynić aluzję do obecności Francuza? Bystra Alison domyśliłaby się wszystkiego.

–Poszedł już?

–Wyszedł, kiedy podpisywałeś rachunek. Zobaczył, że się zbieramy – padła ani gniewna, ani serdeczna, wręcz obojętna odpowiedź.

Wyszli z pełnej płomyków sali i mijając kaskady tropikalnej zieleni znaleźli się przy recepcji, obok wind. Obydwoje milczeli. Nie odzywali się też jadąc na piętro, co ułatwiała im obecność innych hotelowych gości w ciasnej kabinie.

Alex uchylił drzwi i powtórzył procedurę z poprzedniego wieczora. Oszczędził

sobie tylko przeszukiwania wnętrza wykrywaczem fal. Za bardzo się spieszył. Uznał, że jeśli nie zapomni, później udzieli elektronicznego błogosławieństwa pomieszczeniom. Sprawdził, co dzieje się w jego własnym pokoju, i zamknął wewnętrzne drzwi od strony pokoju Alison. Zajrzał też do łazienki i wystawił głowę na balkon. Alison stała nieruchomo w korytarzu, obserwując to wszystko.

Podszedł więc do niej.

–Poczekasz tu na mnie, dopóki nie wrócę?

–Tak – odrzekła po prostu.

Pocałował ją w usta i przytulił się, mocniej niż się tego spodziewała. Chciał jej w ten sposób coś uprzytomnić.

–Jesteś prześliczna.

–Alex? – Alison położyła mu dłonie na ramionach i podniosła wzrok. – Znam te objawy, wierz mi, że znam. Tak łatwo się ich nie zapomina... Jeśli są sprawy, o których mi nie chcesz powiedzieć, nie będę cię o nic pytać. Wolę zaczekać.

–Bez teatralnych kwestii, Alison.

–Coś takiego!

–Co takiego?

–Dokładnie to samo, co ty przed chwilą, mówił mi David. To było na Maladze. Stał przede mną, zdenerwowany i przerażony. Stracił wiarę w siebie, mnie też nie ufał. Powiedziałam mu wtedy: „David, proszę bez teatralnych gestów”... Teraz wiem, że właśnie wtedy domyślił się wszystkiego.

McAuliff wytrzymał jej spojrzenie.

–Nie jestem Davidem, tak jak nie jestem tobą. Tyle ci powiem. Muszę pędzić do telefonu. Zaraz wrócę. Zamknij drzwi na zasuwkę.

Jeszcze raz pocałował dziewczynę, odwrócił się i wyszedł na korytarz, zamykając drzwi. Odczekał, aż usłyszy metaliczny trzask zasuwki, i ruszył w stronę wind. Drzwi zasunęły się, kabina ruszyła w dół. Nad głowami turystów i ludzi biznesu sączyła się z głośników muzyka. Winda była nabita ludźmi. McAuliff myślał tylko o zbliżającej się rozmowie z Tallonem i o losie Sama Tuckera.

Po drodze kabina zatrzymała się na kolejnym piętrze. Alex zerknął z roztargnieniem na podświetloną cyferkę nad drzwiami, zastanawiając się leniwie, czy do zatłoczonej windy zdoła się wcisnąć jeszcze ktoś. Nie musiał roztrząsać tej kwestii zbyt długo, bo kiedy dwójka czekająca przed drzwiami ujrzała wnętrze kabiny, obaj panowie uśmiechnęli się i dali znak, że czekają na następną windę.

Właśnie wtedy McAuliff ujrzał osobę, której szukał: za zasuwającymi się niespiesznie drzwiami, daleko w głębi korytarza. Człowiek otwierał już drzwi pokoju. Właśnie odchyłał połę marynarki w poszukiwaniu klucza. Mignęła żółta koszula. Drzwi kabiny zamknęły się.

–Przepraszam! Przepraszam! – ocknął się McAuliff, sięgając przed nosem gościa w smokingu ku guzikowi z liczbą 2, numerem kolejnego piętra. – Zapomniałem, że to tutaj. Ogromnie przepraszam.

Zatrzymana w rozpędzie przez naciśnięcie przycisku kabina drgnęła i z biernością automatu posłusznie przystanęła. Drzwi rozchyliły się, a McAuliff precyzyjnie się

prędko między gromadką zniecierpliwionych, lecz mimo wszystko spokojnych, pasażerów.

Stał na korytarzu i bez namysłu przywołał windę jadącą na górę. Wróciło jednak zastanowienie. Gdzie schody?

Znak WYJŚCIE – SCHODY, wypisany niebieskimi literami na białym tle, zdziwił go. Na całym świecie znaki tego typu są przecież czerwone. Drzwi widniały na drugim końcu korytarza. Pospiesznie ruszył po grubej wykładzinie w tamtą stronę, po drodze uśmiechając się nerwowo do pary, która wychynęła po drodze z drzwi jednego z pokojów. Mężczyzna miał około pięćdziesiątki i był podpity. Dziewczyna nie przekroczyła chyba dwudziestu lat, była trzeźwa i wyglądała na Mulatkę. Z jej stroju wynikało jasno, że jest kosztowną hotelową dziwką. Uśmiechnęła się porozumiewawczo do Alexa. Jeszcze jeden umowny znak. Mrugnął do niej, jak gdyby chciał powiedzieć, że choć sam nie skorzysta, życzy szczęścia przy opróżnianiu pijakowi portfela.

Pchnął podłużne zamknięcie drzwi na schody i narobił okropnego hałasu. Zamykał więc drzwi ostrożnie i cichutko. Z ulgą spostrzegł, że drzwi można otworzyć także od strony schodów.

Pomknął w górę betonowymi schodami, starając się zachowywać jak najdyskretniej. Na stalowych, malowanych na beżowo drzwiach bez szyby wymalowano od szablonu czarną rzymską trójkę. McAuliff powoli przekręcił klamkę i wychylił się na korytarz trzeciego piętra.

Nie zauważył nikogo. Na dole nocne zabawy rozpoczęły się już na dobre. Uczestnicy jeszcze długo będą przemierzać hotelowe łowiska, dopóki nie schwytają zdobyczy albo nie zapomną o niej w alkoholowym stuporze. Jedyną groźbę stanowili goście, którzy nie trafili do sali na dole, no i ci mało odporni, jak gach na drugim piętrze, wprawną, drobną rączką wleczony do numeru przez Mulatkę. McAuliff próbował sobie przypomnieć, przy których drzwiach Stał człowiek w żółtej koszuli. Daleko, w głębi korytarza na pewno, lecz nie na samym końcu. Nie przy schodach, prędzej już w dwóch trzecich długości korytarza. Po prawej stronie. Kiedy mężczyzna rozchylił marynarkę, odsłaniając żółtą koszulę, uczynił to prawą ręką. Musiał więc zniknąć za którymiś z drzwi po lewej ręce Alexa. Geolog odwrócił się i przyjrzał trzem, nie, czterem pokojom po lewej stronie, jakie wchodziły w grę. Poczynając od drugich drzwi od schodów, na odcinku za połową korytarza.

Które drzwi?

McAuliff bezszelestnie przestąpił po grubym chodniku wzdłuż korytarza, przyciskając ucho do lewej ściany. Przy każdych kolejnych drzwiach przystawał i kręcąc głową, obserwując czujnie otoczenie, nadśluchiwał ze środka głosów, brzęku kieliszków, czegokolwiek.

Nie usłyszał niczego. Cisza. Wszędzie cisza.

Przyjrzał się mosiężnym numerom na drzwiach. 218, 216, 214, 212. Może nawet 210. Reszta pokoi była za daleko od miejsca, które zapamiętał.

W połowie korytarza zatrzymał się i odwrócił na pięcie. Może wystarczy to, co już wie? Nawet tyle będzie dla Westmore'a Tallona wystarczającą poszlaką. Alison

mówiła przecież, że nadajniki i odbiorniki miniaturowych urządzeń podsłuchowych działają z tolerancją do stu metrów. Ten odcinek trzeciego piętra doskonale mieścił się więc w granicach normy. Za drzwiami jednego z pięciu pokoi siedział ze słuchawkami na uszach lub przy głośniku ktoś, kto w razie potrzeby włączał magnetofon. Proste.

Wystarczy pewnie poinformować, o które pokoje chodzi. Po co szukać guza?

McAuliff wiedział jednak, że nie zaprzestanie poszukiwań. Komuś spodobało się w ohydny sposób wtargnąć w jego prywatne życie. Mało co przyprawiało McAuliffa o większą agresję niż rozmyślne, zaczepne naruszanie ludzkiej prywatności. To i jeszcze chciwość. Chciwość także wprawiała McAuliffa w pasję. Każda – ludzka, naukowa, instytucjonalna.

Nic innego jak tylko chciwość kazała człowiekowi o nazwisku Craft kazać swoim fagasom podsłuchiwać prywatne życie amerykańskiego geologa.

Amerykański geolog Alexander T. McAuliff czuł, że za chwilę eksploduje.

Znowu ruszył w kierunku schodów, wzdłuż tej samej ściany, lecz jeszcze czujniej nasłuchując przy drzwiach. Przy każdym pokoju stawał bez ruchu i słuchał.

I jeszcze raz, tą samą trasą. Kwestia cierpliwości. Za jednymi z drzwi zniknął ten w żółtej koszuli. Trzeba go po prostu znaleźć. Wreszcie Alex coś jednak usłyszał.

Pokój 214.

Włączone radio albo telewizor. Tak, ktoś podkręcił głośność w telewizorze. Nie dawało się rozróżnić słów, ale nawet przez drzwi dobiegały zniekształcone strzępy szybkich rozmów, tak ożywionych, że głośnik wpadał w wibrację.

Nagle dźwiękowe tło rozdarł metaliczny trzask zasuwki. O centymetry od ucha McAuliffa, po drugiej stronie drzwi, ktoś manipulował klamką.

Alex jednym skokiem dosięgnął drzwi na klatkę schodową. Nie udało mu się zrobić tego bez hałasu, ale trudno. Najciszej jak mógł schował się na nędznie oświetlonym, betonowym półpiętrze. W ostatniej chwili, najszybciej i najciszej jak potrafił, popchnął stalowe drzwi i wsadził palce między futrynę, by pozostała niewielka szpara. Zamiast zatrzaskać się z hukiem, drzwi zatrzymały się.

Przez szczelinę Alex dojrzał człowieka w żółtej koszuli. Mężczyzna wychodził już z pokoju, lecz całą uwagę nadal skupiał na tym, co działo się wewnątrz. Stał najwyżej dwanaście metrów od wyjścia na schody. Ciszę zakłócały jedynie głosy z telewizora. Mężczyzna był chyba zły. Zanim zatrzaskał drzwi pokoju, spojrzął jeszcze raz do środka i ostrym głosem o południowym akcencie warknął:

–I ściszej, do kurwy nędzy, ten głośnik, mało jedna!

Potem z hałasem zamknął drzwi i szybkim krokiem ruszył ku windom. Stał chwilę na drugim końcu korytarza, nerwowo sprawdzając, która godzina, poprawił krawat, potarł noskami butów o spodnie i czekał, aż czerwone światelko i stłumiony gong obwieszczą windę. McAuliff obserwował to pilnie z kryjówki, pięćdziesiąt metrów dalej.

Kiedy zasunęły się drzwi windy, wyszedł z ukrycia, podszedł prosto do drzwi pokoju 214 i przez chwilę stał bez ruchu. Wiedział, że może jeszcze zmienić decyzję. Zawsze mógł przecież pójść w swoją stronę, zadzwonić do Tallona, powiedzieć, o który pokój chodzi, i po kłopotcie.

Może i po kłopotcie, ale gdzie własna satysfakcja? Nigdzie, ot co. McAuliff miał lepszy pomysł: osobiście zgarnąć mieszkańca pokoju i pokazać go Tallonowi. Jeżeli Tallonowi nie będzie się to podobało, może się pocałować. Tak samo jak Holcroft. Skoro wiadomo już, że to niejaki Craft kazał założyć w walizce podsłuchy, i że Craft nie ma żadnych powiązań z tajemniczym Halidonem, można dać Arthurowi Craftowi naukę. Umowa Alexa z Holcrofem nie wspominała ani słowem o wrogich poczynaniach stron innych niż Halidon i Dunstone Limited.

Logicznym rozwiązaniem było wyeliminowanie Crafta, który niepotrzebnie zamącał grę i utrudniał osiągnięcie celu. McAuliff znał już kilka podstawowych faktów dotyczących Crafta: był on synem Crafta seniora i Amerykaninem. Był też cholernie nieprzyjemnym typkiem.

Wystarczą i takie informacje.

McAuliff zapukał mocno do drzwi pokoju 214.

–Kto tam, otom? O co chodzi, *mon!* - dobiegł ze środka stłumiony głos.

–Jak to kto, Arthur Craft, ty durniu!

–Ojej! Pan Craft, ja już, ja już wpuszczam, *mon*! – W głosie lokatora dawał się słyszeć autentyczny lęk. Klamka obróciła się. Lokator pokoju nie zadał sobie kłopotu z zamknięciem drzwi na zasuwkę.

Kiedy drzwi uchyliły się dokładnie o dziesięć centymetrów, McAuliff z całej siły runął na nie barkiem, ładując w uderzenie cały ciężar swych osiemdziesięciu kilogramów. Drzwi trafiły średniego wzrostu Jamajczyka, który odleciał od nich i przeकोziołkował na podłogę. Alex złapał za drzwi i pchnął je z powrotem, odcinając wyjście. Huk ciężkiego drewna o futrynę rozniósł się echem po korytarzu. Kiedy Jamajczyk zbierał się z podłogi, w oczach miał furję przemieszana z strachem. Odwrócił się prędko w stronę biurka. Stały na nim dwa głośniki, a między głośnikami leżał pistolet.

McAuliff znów runął naprzód, lewą ręką usiłując pochwycić broń, prawą natomiast chwytając lokatora za koszulę. Dwie dłonie, biała i czarna, zamknęły się na ciepłym metalu małego pistoletu. Alex mocno pochwycił czarną dłoń, a palce drugiej ręki wbił w gardło napastnika.

Jamajczyk wyswobodził się gwałtownym ruchem, strącając pistolet z biurka na podłogę. Wierzchem pięści McAuliff zdzielił lokatora pokoju w twarz. W tym samym ułamku sekundy rozchylił dłoń, zacisnął palce na włosach i pociągnął głowę Murzyna w dół, poderwał kolano i dwukrotnie, raz w klatkę piersiową, raz w twarz, z całej siły uderzył nim przeciwnika.

W uszach słyszał głosy zapamiętane przed tysiącletkami: „Bij kolanem! Kopnij! Łap i trzymaj! Palcami w oczy! Ślepy nic ci nie zrobi!... Wypruj mu...”

Koniec walki. Głosy w uszach umilkły. Murzyn zwałił się do stóp McAuliffa.

Geolog odstąpił. Bał się, bo przez kilka przerażających sekund dostąpił dziwnego uczucia, że znów biegnie po wzgórzach Panmundżonu. Przeniósł wzrok na bezwładnego Jamajczyka. Leżał odwrócony, z twarzą wciśniętą w dywan. Z różowych warg ciekła mu krew.

Dziękować Bogu, że chociaż oddycha.

Wszystko przez pistolet. Zastrany pistolet! McAuliff nie spodziewał się takiego widoku. Bójka, proszę bardzo. Był tak zły, że z rozkoszą przyłożyłby komu trzeba, ale idąc tu wyobrażał sobie zwyczajną bijatykę, zaciętą i błyskawiczną. Chciał przyłapać, schwytać i siłą porwać ze sobą osobę z magnetofonem. Skompromitować takie metody. Dać nauczkę chciwemu pracodawcy Jamajczyka. Nie spodziewał się ujrzeć pistoletu.

Tu kończyły się żarty, a zaczynała się walka o przeżycie. Taśmy. Ach, więc to te głosy... Podeksycytowane słowa nadal płynęły z pary głośników na biurku.

A więc nie telewizor był źródłem dźwięków dochodzących z pokoju 214. Kakofonia z głośników niosła kuchenny hałas z zaplecza Courtleigh Manor. Mężczyźni krzyczeli na siebie, inni odkrzykiwali im coś ze złością, szefowie kuchni wydawali polecenia, czeladnicy skarżyli się na coś jękliwie... Nie dawało się zrozumieć prawie niczego. Z pewnością to właśnie doprowadziło podsłuchiowaczy do takiej furii.

Następną rzeczą, jaką ujrzał Alex, były kręcące się szpule magnetofonu. Nie

wiadomo, czemu ustawiono go na podłodze, po prawej stronie biurka. Mały, profesjonalny wollensak przewijał taśmę, jak gdyby nic się nie stało.

McAuliff podniósł obie kolumny głośnikowe i parę razy trzasnął jedną o drugą, dopóki nie pękła obudowa, a poszczególne głośniczki powrywał i razem z drutami rozdeptał na podłodze. Potem podszedł do biurka i opuścił stopę na magnetofon. Miażdżył plastikowe klawisze tak długo, aż z wnętrza urządzenia poszedł dym, a szpule przestały się obracać. Schylił się i wyrwał szpulę z taśmą. Mógł ją oczywiście spalić, ale nagranie nie było aż tak ważne, przeciwnie. Potoczył więc obie szpule po dywanie, rozwijając brązową taśmę w kształt litery V.

Jamajczyk jęknął, zamrugał oczami, przełknął ślinę i rozkaszał się.

Alex zdążył podnieść broń z podłogi i wetknąć pistolet za pasek. Wszedł teraz do łazienki, odkręcił zimną wodę i wrzucił do umywalki jeden z ręczników. Namoczony ręcznik zaniósł do pokoju i cisnął go kaszłaczem, pokaleczonemu Jamajczykowi. Uklęknął przy nim, pomógł mu przysiąc i wytarł mu krew z twarzy. Woda spłynęła z ręcznika na koszulę i spodnie Murzyna... Woda pomieszana z krwią.

–Przepraszam, ale tak wyszło – odezwał się Alex. – Nie o to mi chodziło. Nic bym ci nie zrobił, gdybyś nie sięgał po ten cholerny pistolet.

–*Mon* - wykaszał z siebie wreszcie Jamajczyk. – Ty chory na głowę, *mon* – Przerwał i trzymając się za klatkę piersiową wstał, skrzywiony od bólu. – Wszystko... Wszystko poniszczyłeś, *mon* - stwierdził ze zdumieniem, rozglądając się po pokoju.

–A coś ty myślał? Może twój pan Craft zrozumie aluzję. Jeżeli chce się bawić w szpiegostwo gospodarcze, niech to robi na swoim podwórku. Nikt nie będzie mnie podsłuchiwał. Zbieraj się, idziemy! – Alex złapał Jamajczyka pod ramię i popchnął go ku drzwiom.

–Nie, *mon*! – krzyknął opierający się Murzyn.

–Tak, *mon* - szepnął mu Alex. – Pójdziemy na spacer.

–Gdzie mnie ciagniesz?

–Pójdziemy odwiedzić staruszka, który ma sklepik rybny. Nic się nie bój. – Alex popchnął Jamajczyka. Ten jednak kurczowo uchwycił się ramienia Amerykanina. Wyglądało na to, że ma połamane zębra.

–Proszę, *mon*, tylko nie na policję! Załatwią mnie! – krzyknął Jamajczyk z błagalnym wzrokiem, trzymając się za klatkę piersiową.

–Złapałeś za pistolet, kochasiu. Nie dziw się, że się nie patyczkowałem.

–To nie mój. Nie pistolet. Bez naboju.

–Co ty powiesz?

–Zobacz, zobacz, *mon*! Proszę, wylej mnie z roboty... Nikomu nic nie zrobiłem! Zamiast słuchać, Alex sięgnął po pistolet.

Murzyn nie kłamał. Zamiast śmiercionośnej broni, McAuliff trzymał w dłoni zwykły pistolecik startowy, jakich używa się na zawodach lekkoatletycznych.

–Rany boskie, więc to tak...

Arthur Craft junior lubił zabawy, a zabawek miał jak widać mnóstwo. McAuliff znów popatrzył na przerażonego Jamajczyka.

–No dobrze, *mon*. Niech ci będzie. Powtórz tylko swojemu panu, co ci tu

powiedziałem. Następnym razem zaciągnę go do sądu.

Wychodząc na korytarz i zatraskując drzwi, Alex uświadomił sobie, że plecie głupstwa. Obyłoby się bez sądu, Wystarczyło pójść do Juliana Warfielda albo do mocodawcy przeciwnej strony, czyli do R.C. Holcrofta. W porównaniu z Dunstone Limited i z brytyjskim wywiadem, Arthur Craft był zwyczajnym zerem.

Nic nie znaczącym intruzem, który najprawdopodobniej zniknie teraz na dobre ze sceny.

Geolog wyszedł z windy i spróbował sobie przypomnieć, gdzie jest najbliższy telefon. Aha: rząd automatów stał niedaleko recepcji, na lewo od wejścia.

Skinął głową recepcjoniście i wywołał w pamięci prywatny telefon Westmore'a Tallona.

–Czy pan McAuliff? – zapytał go w tejże chwili wysoki Jamajczyk, niesłychanie barczysty, zwłaszcza że był w ciasno opiętej ortalionowej kurtce.

–Tak.

–Proszę pozwolić ze mną.

Alex przyjrzał się obcemu. Jamajczyk był schludnie ubrany, miał wyprasowane spodnie, a spod kurtki widać było białą koszulę i krawat.

–Nic z tego. Niby po co?

–Bardzo pana proszę. Nie mamy czasu. Na dworze czeka na pana znajomy.

Nazywa się Tucker.

–Jak to? Skąd się...

–Proszę, panie McAuliff. Nie mogę tu się pokazywać.

Alex wyszedł w ślad za Jamajczykiem za szklane drzwi hotelu. Na podjeździe ujrzał idącego od strony parkingu mężczyznę w żółtej koszuli. Człowieka Crafta. Żółty zatrzymał się, jak gdyby nie wiedział, co ma teraz zrobić.

–Pospieszmy się – ponaglił prosząco Jamajczyk, który wyprzedził Alexa o kilka kroków. – To niedaleko, tuż za bramą. Samochód czeka!

Pobiegli po asfalcie podjazdu, mijając kamienną bramę. Po drugiej stronie ulicy czekał na nich zielony chevrolet z zapuszczonym silnikiem. Jamajczyk otworzył przed Alexem tylne drzwiczki.

–Niech pan wsiada!

McAuliff wsiadł.

Sam Tucker, który masywnym cielskiem zajmował większość tylnego siedzenia, potrząsnął rudawą grzywą i wyciągnął rękę na przywitanie.

–Miło cię widzieć, chłopcze!

–Sam!

Samochód ruszył ostro, a impet wcisnął Alexa w siedzenie. Przed parą Amerykanów, na przednim siedzeniu, umościła się trójka czarnych: kierowca w czapce baseballowej, ten, który zaczął McAuliffa, a pomiędzy nimi jeszcze trzeci Murzyn, prawie tak zwalisty jak Sam Tucker. Alex odwrócił się do przyjaciela.

–O co tu chodzi, Sam? Gdzieś ty mi zniknął, do diabła?

Odpowiedź nie padła jednak z ust Sama Tuckera. Ten sam Murzyn, który wprowadził McAuliffa z hotelu, odwrócił się teraz i rzekł niezbyt głośno:

–Gościliśmy pańskiego przyjaciela u siebie, panie McAuliff... Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, właśnie my będziemy pańskim kontaktem z Halidonem.

XIV

Jechali już prawie godzinę, cały czas wspinając się w górę. Tak wyczuwał to przynajmniej McAuliff, spoglądając w mrok na wijącą się serpentynami drogę, której zakręty wyrastały nagle przed maską, ukryte dotąd w burzliwych wodospadach tropikalnej zieleni. Chwilami skręcali z asfaltu na górskie drogi, gdzie samochód skakał na wybojach, a wycie silnika na niskim biegu zaświadczało najlepiej o trudności jazdy.

McAuliff i Sam Tucker rozmawiali prawie szeptem, choć i tak wiedzieli, że ci z przedniego siedzenia muszą słyszeć każde słowo. Tuckerowi najwyraźniej to nie przeszkadzało.

Historia, jaką opowiedział, była w pełni logiczna, zwłaszcza jeśli się znało jego obyczaje oraz styl życia. Tucker w najrozmaitszych częściach świata posiadał przyjaciół i znajomych. Mało kto natomiast wiedział o jego tak rozległych znajomościach, nie dlatego że Sam rozmyślnie ukrywał swoje kontakty, lecz z tej przyczyny, iż rzadko rozwodził się nad swoim osobistym życiem, w odróżnieniu od zawodowego.

Do tejże grupy jego znajomych należał Walter Piersall.

–Mówiłem ci przecież o nim, będzie z rok temu, Alex – przypomniał Tucker pośród mroków panujących na tylnym siedzeniu. – To było w Ocho Rios.

–Nie pamiętam.

–Powiedziałem ci, że znam w Carrick Foyle jednego naukowca. Miałem do niego wpaść na parę dni, nie pamiętasz?

McAuliff uświadomił sobie nareszcie, gdzie słyszał przedtem nazwę Carrick Foyle. Ależ tak.

–No, teraz już pamiętam. Chodziło o jakieś wykłady w Kingston Institute, tak?

–Zgadza się. Walter był rzadkością. Antropolog, który nie zanudzi cię na śmierć. Dałem mu telegraficznie znać, że wracam na Jamajkę.

–Wiem, że skontaktowałeś się z Hanleyem. To on narobił krzyku, że zniknąłeś.

–Zadzwoń do Boba zaraz, jak tylko wylądowałem w Montego. Chciałem, żebyśmy się ociupinę zabawili, rozumiesz. Potem nie miałem go już jak zawiadomić, bo najpierw ciągle byliśmy w drodze, a potem, na miejscu, okazało się, że nie ma telefonu. Coś mi mówiło, że będziesz się pienić ze złości.

–Nie złościłem się, tylko martwiłem. Jakbyś pod ziemię się zapadł.

–Myślałem, że mnie lepiej znasz. Mam na tej wyspie przyjaciół, a nie wrogów. Przynajmniej nie wiem nic o żadnych wrogach, tak samo jak ty.

–Dobrze, ale co się stało? Gdzieś ty tak zniknął?

Tucker opowiedział Alexowi wszystko po kolei.

Kiedy wylądował w Montego Bay, już na lotnisku czekała na niego wiadomość od Piersalla. Tucker miał zatelefonować do antropologa do Carrick Foyle, kiedy już się rozgości w hotelu. Uczynił tak, lecz od służącego Piersalla dowiedział się tylko, że gospodarz wróci bardzo późno.

W tej sytuacji Tucker zadzwonił do Hanleya, starego kumpla. Obaj upili się tego wieczora, co zresztą czynili po każdym dłuższym rozstaniu. Rano, kiedy Hanley

jeszcze spał, Sam wyszedł z hotelu, żeby sobie kupić cygara.

–W takiej norze, jak tam, nie załatwisz wszystkiego telefonem do recepcji.

–Tyle to i sam wiem – uspokoił go Alex.

–Na ulicy, wyobraź sobie, napotkałem naszych przyjaciół. – Tucker uczynił gest w stronę przedniego siedzenia. – Czekali na mnie w samochodzie kombi...

–Pana Tuckera śledzono – przerwał Murzyn, który siedział przy oknie. – Doktor Piersall dowiedział się o tym i wysłał nas do Monte, żebyśmy się nim zaopiekowali. Pan Tucker lubi wstawać wcześniej.

–Znasz mnie, Alex – zaśmiał się Tucker. – Nawet jak się skuję, długo nie pośpię.

–Znam cię, znam. – Alex przeżył zbyt wiele wspólnych noclegów w hotelach i namiotach, by nie wiedzieć, że Sam urządza sobie spacer o pierwszym brzasku.

–Nastąpiło małe nieporozumienie – opowiadał dalej Tucker – bo ci nasi chłopcy oświadczyli, że Piersall czeka na mnie. Myślę sobie, a co mi szkodzi, tłukli się po nocy, żeby mnie spotkać o świcie, ruszymy od razu, to się prędzej wyśpią. Robert i tak się zwlecze najwcześniej za godzinę... Zadzwoni się do niego od Piersalla. Tyle że, niech to szlag, wcale nie pojechaliśmy do Carrick Foyle, tylko do jakiegoś obozowiska w bambusowym gaju, nad Martha Brae. Zadupie takie, że jechaliśmy tam ze dwie godziny, Alex.

Na miejscu Walter Piersall bardzo ciepło przywitał Sama. Okazało się jednak prędko, że zaszła w nim dziwna przemiana. Jeszcze rok temu Tucker znał go od zupełnie innej strony. W Piersallu znać było obecnie energię, gorliwość i koncentrację, których próżno było u niego szukać dwanaście miesięcy wcześniej.

Walter Piersall zaraził się w tym czasie Jamajką. Milkliwy antropolog przedzierzgnął się w gorliwego orędownika wyspy, zamieszanego po uszy w walki między różnymi społecznymi i politycznymi frakcjami w Kingston. Nagle zaczął więc gorliwie bronić praw wyspiarzy i demaskować zagranicznych wyzyskiwaczy.

–Widziałem już w życiu z tuzin takich przypadków, Alex – ciągnął Sam. – Od Karaibów do Tasmanii. To coś jak gorączka tropikalna. Opętanie, monomania, nie znam się na tym. Faceci jadą do ciepłych krajów, żeby odpocząć, uciec od podatków i cholera wie czego jeszcze, a potem nagle, bęc, zamieniają się w samozwańczych obrońców tych swoich sanktuariów... Bardziej katolicki niż sam papież, uważasz...

Objeżdżając całą wyspę przy okazji działalności politycznej, Piersall coraz częściej słyszał o olbrzymiej i tajnej organizacji, skupionej zwłaszcza na jego własnym podwórku, bo w parafii Trelawny. Z początku nie wierzył w te pogłoski, mimo że słyszał je od ludzi o nieposzlakowanej uczciwości, choć niekoniecznie dzielących z nim poglądy. Ludzie ci nie mogli kłamać.

Dopatrywanie się wszędzie konspiracji to choroba każdego młodego, nowo powstałego rządu. Piersall wiedział o tym doskonale. Na Jamajce łatwo było uwierzyć w takie teorie, zwłaszcza na widok ogromnych kapitałów zagranicznych, których właściciele szukają na wyspie ulg podatkowych. Teorie były tym bardziej prawdopodobne, że również miejscowy parlament proklamował reformy dużo szybciej, niż był w stanie wprowadzać je w życie, a życie kraju kontrolowała szukająca teraz ochrony dla swych wpływów niewielka i bogata arystokracja. W

takich warunkach łapówki stają się życiową koniecznością.

Piersall postanowił przekonać się raz na zawsze, ile prawdy mają w sobie pogłoski o wyspiarskiej konspiracji. Cztery miesiące temu złożył więc w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych wnioski o umożliwienie mu kupna dwudziestu mil kwadratowych gruntu wzdłuż północnej granicy Cock Pitu. Traktował to w rzeczywistości jako niewinny gest, zwłaszcza że sprawa zakupu tułałaby się całymi latami po sądach i zmuszałaby rząd do reinterpretacji szeregu traktatów o własności ziemskiej. Piersall chciał po prostu przekonać się w ten sposób, jak przyjmą wniosek władze w Kingston. Właśnie Kingston, nie obcy kapitał, było właścicielem terenów.

–Wyobraź sobie, Alex, że od tamtego dnia życie tego człowieka zmieniło się w koszmar. – Sam Tucker zapalił cienkie jamajskie cygaro. Aromatyczny dym przez uchylone okno umykał w mrok. – Zaczęła go nawiedzać policja, tuzin razy bez wyraźnego powodu ciągnano go po parafialnych sądach, na uniwersytecie i w instytucie w Kingston odwołano mu wykłady, założono mu podsłuch w telefonie... Wiedział o tym, bo rządowi prokuratorzy cytowali słowo w słowo jego prywatne rozmowy... Zamiast ukręcić łeb plotkom, Piersall sam dał go sobie ukręcić, no i masz.

McAuliff milczał przez dobrą chwilę.

–A dlaczego Piersall tak bardzo chciał się z tobą spotkać? – zapytał Tuckera.

–Napisałem mu w telegramie, że będę robił w Trelawny wielką serię badań.

Wspólne przedsięwzięcie Londynu i władz w Kingston. Nie chciałem, żeby sobie pomyślał, że lecę sześć tysięcy mil tylko po to, żeby go naciągnąć na gościnę. Piersall miał i beze mnie dość kłopotów, Alex.

–Ale dziś wieczór byłeś w Kingston, nie w jakimś bambusowym szalasie nad Martha Brae. A dwóch spośród tych panów – McAuliff wskazał na przednie siedzenie – śledziło mnie dzisiaj po południu. Tym samym wozem.

–Może ja odpowiem – odwrócił się do Alexa Jamajczyk spod okna i położył rękę na oparciu. – Kingston przejęło depezę pana Tuckera. Ktoś dodał do siebie fakty, zręcznie jak koliberek. Uznali, że pan Tuck zwąchał się z panem Piersallem, w złym celu. Złym, ale dla nich, *mon*. Wysłali oprychów do Monte, żeby się dowiedzieć, co robi pan Tucker...

–Skąd wiecie? – przerwał Alex.

Murzyn zamienił błyskawiczne spojrzenie z kierowcą. W mętnym świetle i w kabinie pełnej migających cieni trudno było rozpoznać ich miny, lecz McAuliffowi wydawało się, że kierowca przytaknął lekkim ruchem głowy.

–Wiemy, bo przejęliśmy w Montego tych oprychów. Więcej nic panu nie powiem. Dowiedzieliśmy się od nich, co grozi panu Piersallowi, a groziło tyle, *mon*, że zaraz poleciliśmy do Kingston. Żeby się z panem spotkać... I dlatego zginął doktor Piersall.

–Ale kto go przejechał?

–Gdybyśmy wiedzieli, to w Parku Wiktorii już by ktoś dyndał na drzewie.

–A czego się jeszcze dowiedzieliście... od tych z Montego Bay?

Murzyn i kierowca znów popatrzyli na siebie. Po paru sekundach zwłoki Murzyn

wyjaśnił:

–Ktoś w Kingston uznał, że Piersall dopiero teraz narobi zamieszania. Kiedy zaczął pana szukać, pomyśleli, że mają w ręku dowód. Zabili go z taką ulgą, jakby sobie wyciągali kolec jeżowca z nogi.

–To znaczy, że nie wiecie, kto go zabił?

–Najemne czarnuchy, *mon* – rzucił Murzyn.

–Ktoś tu zwariował! – McAuliff powiedział to tyleż do siebie, ile do Sama Tuckera.

– Jedni się mordują, drudzy śledzą... Wariactwo!

–Skąd takie zdziwienie, kiedy się samemu odwiedza sklep Tallona? – zapytał nagle Murzyn.

–A skąd... – McAuliff ugryzł się w język. Wszystko zaczynało mu się mieszać.

Więcej rozwagi. – Skąd o tym wiecie? Zgubiłem was przy wyścigach konnych!

Jamajczyk uśmiechnął się, błyskając zębami w świetle migającym przez przednią szybę.

–Pstrąg morski tak naprawdę nie umywa się do rzecznego, *mon* - zapewnił.

Ekspedient! Nonszalancki ekspedient w pasiastym Inianym fartuchu!

–Macie swoich ludzi wśród personelu. Doskonale – zauważył cicho McAuliff.

–Bo jesteśmy doskonali. Westmore Tallon to agent Brytyjczyków... Wynajęty tubylec, popierający po cichu Londyn. Bardzo w stylu Anglików. Tyle że to głupi styl, *mon*. Tallonowi ufają jego stetryczali koleżkowie ze szkolnej ławy w Eton, ale na pewno nie wyspiarze.

Jamajczyk zsunął ramię z oparcia i znów się odwrócił. Koniec odpowiedzi. Sam Tucker w zamyśleniu i nie kryjąc się wcale zauważył:

–A teraz, Alex, powiedz mi, co tu się dzieje. Coś ty tu nawyrabiał, chłopcze?

McAuliff drgnął. Zwalisty, pełen życia, niesłychanie bystry przyjaciel patrzył mu w oczy. Alex widział jego źrenice tylko przez ułamki sekund, w rozbłyskach zza szyby. W oczach Tuckera było zdziwienie i ból. A także gniew.

Cóż ja takiego nawyrabiałem? – zapytał sam siebie w myślach McAuliff.

–Dojechaliśmy, *mon* – przerwał ciszę kierowca w czapce baseballowej, który nie odzywał się przez całą drogę.

McAuliff wyjrzał przez okno. Stali na równym terenie, ale na pewno wysoko nad morzem, na pewno też w górzystej okolicy. Teren widać było w świetle księżyca, sączącym się co chwila przez niskie chmury nad pasmem Gór Błękitnych. Chevrolet stał na polnej drodze. W pewnej odległości, może ze dwieście metrów od wozu, widać było niewielką chatkę z żarówką w jedynym oknie. Na prawo od domku stały jeszcze dwie – budowle? Nie były to domy ani chaty czy szałas, lecz zwiewne, lekko wklęsłe sylwetki. Czy przezroczyście? Ach, tak. Druty i płótno. Albo siatka. „Budowle” okazały się płóciennymi namiotami, wspartymi na licznych tykach. Alex dopiero w tej chwili zrozumiał, gdzie się znalazł, gdyż ujrzał za namiotami ubity pas trawy, wzdłuż którego co dziesięć metrów rozstawiono stojaki z nie zapalonymi pochodniami.

Namioty były w rzeczywistości zamaskowanymi hangarami, a łąka pasem startowym.

Byli na ukrytym w górach lądowisku dla awionetek.

Chevrolet ruszył i z wolna podjechał do budynku, który z bliska okazał się

dawną zagrodą rolnika. Obok domu stał staroświecki traktor, sprzęt rolniczy -plugi, nosidła, widły. W księżycowym świetle narzędzia wyglądały jak teatralne rekwizyty. Nie używane, martwe wspomnienia przeszłości.

Kamuflaż.

Zakamuflowane były też hangary. Takich lądowisk nie znajdzie się na żadnej mapie.

–Panie McAuliff! Panie Tucker! Chodźcie ze mną! – Murzyn, który siedział przy oknie, otworzył drzwi i wysiadł. Sam i Alex poszli w jego ślady. Kierowca i trzeci Jamajczyk zostali w samochodzie, a kiedy pasażerowie odstąpili, Chevrolet ruszył i szybko zniknął za zakrętem drogi.

–Dokąd pojechali? – zapytał z pewną obawą McAuliff.

–Ukryć auto – odpowiedział Murzyn. – Kingston wysyła nocne patrole lotnicze, szukają takich lądowisk jak to. Przy łucie szczęścia trafi im się awionetka z gandzą.

–Z gandzą? Myślałem, że marihuana to północne wybrzeże? – zdumiał się Tucker. Jamajczyk roześmiał się szczerze.

–Z gandzą, haszem czy makiem... Na północy, na zachodzie czy wschodzie. Podstawowy eksport tej wyspy, *mon*. Tyle że nas to nie dotyczy. Ale chodźcie do środka.

Drzwi maleńkiej zagrody uchyliły się, kiedy podeszli. W kwadracie światła stanął Mula, ten sam, który w pasiastym fartuchu rozmawiał z Alexem za ladą u Tallona.

Wnętrze okazało się urządzone prymitywnie: drewniane krzesła, pośrodku jedynej izby okrągły stół z grubą blatem, przy ścianie łóżko polowe. Kontrastował z tymi meblami skomplikowany nadajnik radiowy na stoliku przy drzwiach. Światło, które widzieli z zewnątrz, padało z lampki wiszącej przed nadajnikiem. Słysząc też było warkot generatora, zapewniającego prąd.

McAuliff zanotował to wszystko w pamięci w ciągu dwóch sekund, zanim jeszcze w cieniach wnętrza dojrzał drugiego mężczyznę, odwróconego dotąd plecami. Znał tę sylwetkę, krój marynarki, wciętą talię i dopasowane spodnie. Tak, znał.

Mężczyzna odwrócił się do nich, a na jego twarz padło światło lampki. Charles Whitehall przeciągle spojrzał na McAuliffa, po czym z wolna skinął mu głową.

Drzwi ponownie się otworzyły i do izby wszedł kierowca wraz z trzecim Murzynem. Kierowca podeszedł do okrągłego stołu i usiadł, po czym zdjął czapkę baseballową, odsłaniając masywną, ogoloną na zero czaszkę.

–Jestem Moore. Barak Moore, panie McAuliff. Niech się pan nie obawia, zadzwoniliśmy do tej kobiety, do pani Booth. Powiedzieliśmy, że zabrano pana do ministerstwa na pilne posiedzenie.

–Nie uwierzy – zapewnił go Alex.

–Jeśli zacznie wydzwaniać do ministerstwa, dowie się, że pojechaliście z Lathamem do magazynów. Nie ma problemu, *mon*.

Sam Tucker nadal stał przy drzwiach, spokojny, lecz niezmiernie zaintrygowany. Biła od niego siła, zwłaszcza gdy skrzyżował na piersiach potężne ramiona. Siłę znać było również w jego pooranych rysach, wygarbowanych słońcem Kalifornii. Podkreślały ją także węzlaste mięśnie. Charles Whitehall nie ruszył się od okna

znajdującego się po lewej stronie drzwi, a na jego aroganckiej, nieruchomej twarzy malowała się jedynie pogarda.

Jasnoskóry Murzyn ze sklepu rybnego Tallona i dwóch jamajskich „partyzantów” odsunęło krzesła pod przeciwległą ścianę, daleko od stołu. Dawali w ten sposób do zrozumienia, że o wszystkim decyduje tu Barak Moore.

–Proszę, siadajcie – Moore wskazał trzy wolne krzesła przy stole. Tucker i McAuliff popatrzyli po sobie. Odmawiać nie było sensu. Charles Whitehall uparcie tkwił przy oknie. Barak Moore spojrzał na niego.

–A ty się nie przysiądziesz?

–Jeżeli będę miał ochotę, to usiądę.

Moore uśmiechnął się i nie odejmując wzroku od Whitehalla wyjaśnił:

–Charley-*mon* kiepsko toleruje moją obecność w tym samym domu, a co dopiero przy jednym stole.

–To jak się tu znalazł? – zapytał Sam Tucker.

–Nie miał pojęcia, dokąd naprawdę leci. Dopiero kilka minut przed lądowaniem zrozumiał, że w Savanna-la-Mar podmieniliśmy pilota.

–Nazywa się naprawdę Charles Whitehall – oświecił McAuliff Sama Tuckera. – Uczestnik naszej wyprawy. Ja też nie wiedziałem, że go tu spotkam.

–Czym się zajmujesz, chłopcze? – zapytał Whitehalla Tucker, okręcając się wraz z krzesłem.

–Jamajką... chłopcze.

–Nie chciałem cię urazić, synu.

–Widać ma pan talent – brzmiała krótka odpowiedź Whitehalla.

–Charley i ja – podjął wątek Barak Moore – stoimy na przeciwnych biegunach polityki. W waszym kraju mówi się o pewnych warstwach białego społeczeństwa „wyskrobki”. Dla Whitehalla jako Murzyn jestem więc pewnie „wysmołkiem”, a na pewno takim samym ludzkim śmieciem. Przyczyna jest wszędzie taka sama: Whitehall uważa, że jestem chamem, nie umyтым wyszczekanyam chamem. W oczach Charley-*mona* jestem nie domyтым lewackim rewolucjonistą... Podczas gdy on, rozumiecie, uważa się za rebelianta wykwintnego. – Moore uczynił dłonią falujący, obraźliwy gest. – Nasze rewolucje są skrajnie, krańcowo odmienne, *mon*. Ja chcę, żeby Jamajka należała do nas wszystkich. Dla Whitehalla wystarczy na Jamajce paru właścicieli.

Whitehall nie drgnął nawet, lecz beznamiętnie odparował:

–Jesteś tak samo zaślepiiony jak dziesięć lat temu. Jedyne, co się w tobie zmieniło, to imię, Bramwellu Moore. – Następne słowa Whitehalla przesyczone były szyderstwem. – „Barak”, z akcentem na końcu. Pseudonim równie dziecinny i głupi jak cała twoja filozofia społeczna. Rechot ropuchy w dżungli.

Moore, zanim odpowiedział, przełknął z wysiłkiem ślinę.

–Pewnie, że wolałbym cię zabić, i dobrze o tym wiesz. Tyle że byłoby z tego równie mało pożytku co z systemu, który chcesz siłą narzucić tej wyspie. Ty i ja mamy dzisiaj wspólnego wroga. Lepiej skorzystaj z *szansy, fascisti-mon*.

–Słownictwo twoich instruktorów. Kazali ci wkuć je ze słuchu, czy może nawet

nauczyli cię czytać?

–Słuchajcie! – przerwał im ze złością McAuliff: – Bijcie się albo przezywajcie, mordujcie się nawet, co mnie to obchodzi! Ale najpierw odwieźcie mnie do hotelu! – Odwrócił się do Baraka Moore'a i ponaglił: – Mówcie, co macie nam do powiedzenia!

–McAuliff ma rację, Charley-mon – zauważył Moore. – Rozliczymy się, gdy będzie po wszystkim... Dobrze, podsumuję sprawę, jak się to mówi. Podsumowanie będzie krótkie, *mon*. Powstały plany zabudowy dużej części wyspy. O mieszkańcach nie ma w tych planach słowa. Plan jest faktem. Potwierdza to śmierć doktora Piersalla. Logika podpowiada nam, że częścią planu są także wasze badania geologiczne. Wynika z tego, że ministerstwo i londyńskie Towarzystwo świadomie bądź też nieświadomie ukrywają prawdziwą tożsamość kapitału, który za tym wszystkim stoi. Dalej, obecny tu doktor McAuliff wie coś o całej sprawie, zważywszy, że utrzymuje kontakt z wywiadem brytyjskim, korzystając z pośrednictwa tej gnidy, Tallona. To już, podsumowałem. Co dalej? – Moore przewiercił Alexa parą oczu, które były jak smoliste kratery potężnego czarnego wulkanu. – Mamy prawo wiedzieć co dalej, panie McAuliff.

–Zanim go, chłopcze, przydusisz do muru – wtrącił Sam Tucker ku zaskoczeniu Alexa – pamiętaj, że do was nie należę. Może jeszcze będę, ale teraz nie należę na pewno.

–Myślałem, Tucker, że będzie ci zależało na tej sprawie tak samo jak nam – usłyszeli. McAuliff uznał, że Modre wybrał formę „ty” urażony faktem, że Tucker zwracał się do niego per „chłopcze”. Moore nie miał pojęcia, że Amerykanin zwraca się tak dosłownie do wszystkich.

–Zrozumcie – dodał Sam – mnie też to wszystko ciekawi. Przestańcie tylko tak na siebie pyskować. Chyba pora, żebyś opowiedział nam, jak sprawy stoją, Alex.

McAuliff spojrział na Tuckera, potem na Moore'a, wreszcie na Whitehalla. Żadna z instrukcji Holcrofta nie uwzględniała takiej konfrontacji. Pamiętał tylko przestrożę, by „nie komplikować”. „Zaczynać trzeba od prawdy”.

–Ludzie z brytyjskiego wywiadu, i oczywiście ich mocodawcy, chcą powstrzymać tę inwestycję tak samo jak wy. Potrzebne im do tego informacje. Londyn wierzy, że uzyska je od Halidonu, Chcą nawiązać kontakt z Halidonem. Dostałem zadanie, żeby nawiązać taki kontakt.

Alex nie wiedział, jakie skutki przyniesie seria tych stwierdzeń, lecz na pewno nie spodziewał się podobnej reakcji. Grubo ciosane rysy Baraka Moore'a, i bez tego groteskowe pod kopułą wygolonej czaszki, wykrzywiły się w wyrazie wesołości, która przeszła zaraz w prawdziwy paroksyzm. Humor ten był jednak podszyty okrucieństwem, bo z gardła Murzyna wydobył się tylko krótki, podobny do kaszlu i złośliwy śmiech.

Od okna dobiegł Alexa inny odgłos, również oznaczający śmiech, lecz wyższy i podobny do chichotu szakala. Charles Whitehall odrzucił do tyłu szlachetną głowę i zadzierając wzrok ku sufitowi, z rękoma skrzyżowanymi na gorsie dopasowanej marynarki, śmiał się do łez. Wyglądał zupełnie jak chudy czarny azjatycki kapłan, którego bawi naiwność młodzieńczego ucznia.

Również trójka Jamajczyków pod ścianą uśmiechała się wesoło, błyskając zębami. Ich ciałem wstrząsał tłumiony chichot.

–Co w tym takiego śmiesznego, do diabła? – zapytał McAuliff, zdumiony tą nieoczekiwaną kompromitacją.

–Śmiesznego? To dużo więcej niż śmieszne. Bo co, gdy mangusta goni żmiję, żmija chce się nagle pobratać? – Moore znowu roześmiał się złośliwie. – Tak bywa tylko w bajkach, *mon*.

–Moore chce panu w ten sposób powiedzieć – wtrącił się Whitehall, podchodząc do stołu – że trudno jest się spodziewać, iż Halidon pójdzie na wspólną pracę z Anglikami. Powiem nawet, że to nie do pomyślenia. Ostatecznie to członkowie Halidonu przepędzili Brytyjczyków z Jamajki. Mówiąc po prostu, MI-5 nie można zawierzyć.

–Ale czym jest ten Halidon? – Alex obserwował czarnego naukowca, który stał nieruchomo, wbijając oczy w Baraka Moore'a.

–Siłą – odrzekł cicho Whitehall.

McAuliff przeniósł wzrok na Moore'a, lecz ten także wpatrywał się w oczy Whitehalla.

–Nie dowiedziałem się wiele, prawda?

–Nikt w tej izbie nie może powiedzieć nic więcej, *mon*. – Barak Moore przeniósł nieruchomy wzrok na Alexa.

Milczenie przerwał Whitehall:

–Niech pan nie próbuje pytać o nazwiska, McAuliff. Halidon to jeden z tych niewidzialnych dziwów, jak bezludny parlament. Nie kłamiemy panu w tej chwili. Nie na taki temat... Ani ja, ani tamta trójka, wyborowy oddziałek Moore'a, jego, że tak powiem, elita...

–To tylko twoje słowa, Charley-*mon*! Nie nasze! U nas nie ma elit. – Barak Moore prawie splunął.

–Dziw niematerialny – ciągnął jak gdyby nigdy nic Whitehall. – Nie pomyślę się chyba twierdząc, że na całej Jamajce słyszało o Halidonie może pięćset osób. Mniej niż pięćdziesiąt z nich może uznać, że zna kogoś z członków Halidonu. Nawet ta grupa wolałaby przejść męki *obe*a, niż zdradzić, o kogo chodzi.

–*Obea!*? - ton głosu Tuckera wystarczał za cały komentarz. Amerykanin nie wierzył ani trochę w magiczny system przesądów, który przepełniał strachem tysiące wyspiarzy. *Obea* stanowi na Jamajce odpowiednik haitańskiego *voodoo*. – *Obea* można sobie wybić z głowy, chłopcze. Jeśli te obdartusy z wioski i ze wzgórz dalej będą w to wierzyć, nigdy do niczego nie dojdą.

–Gorzko się pan myli sądząc, że *obe*a dotyczy tylko wieśniaków i górali – sprostował Whitehall. – Tyle że na Jamajce nie częstujemy nią turystów, nie stanowi ona głównej atrakcji. Za bardzo cenimy tę wiarę.

Alex także spojrzał na Whitehalla.

–Jak to? Pan też tak ceni? Pan także wierzy?

W oczach Whitehalla McAuliff ujrział wiedzę, a także błysk humoru.

–Owszem, panie McAuliff. Cenię *obe*a, tym bardziej że dokopałem się do jej źródeł

w naszej afrykańskiej praojczyźnie. Widziałem, jak podobna wiara nadal kwitnie tam, na sawannie i w dżunglach. A poza tym mówiłem o poszanowaniu, a nie o przekonaniach bądź wierze.

–Jednym słowem, Halidon to organizacja. – McAuliff wyciągnął z kieszeni papierosy. Barak Moore przyjął jeden z nich, podobnie jak zgarbiony w fotelu Sam Tucker. Alex postanowił drążyć kwestię. – Tajne stowarzyszenie o potężnych wpływach. Skąd takie wpływy? *Obea?*

–Trochę tak, *mon* – odpowiedział Moore, niewprawnie zaciągając się papierosem. – Poza tym są bardzo bogaci. Mówi się, że Halidon posiada niewyobrażalny majątek, *mon*.

McAuliff zrozumiał nagle rzecz oczywistą. Spojrzał prędko na Whitehalla i na Baraka Moore'a, po czym wybuchnął:

–Wielki Boże! Zależy wam na kontakcie z tym Halidonom jeszcze bardziej ode mnie! Tak samo jak tym z MI-5!

–Dokładnie tak, *mon*. - Moore rozduśił ledwo napoczęty papieros na blacie.

–Ale dlaczego? – zapytał go Alek, Odpowiedział mu jednak Charles Whitehall.

–Mamy do czynienia z dwójką olbrzymów, doktorze. Jeden jest czarny, a drugi biały. Halidon musi zwyciężyć.

XV

Spotkanie w opuszczonej zagrodzie, wysoko w Górach Błękitnych, przeciągnęło się do drugiej w nocy.

Udało się uzgodnić wspólny cel, w postaci kontaktu z Halidonem.

Przekonany argumentami Moore'a i Whitehalla, że Halidon w ogóle nie będzie chciał rozmawiać z wywiadem brytyjskim, McAuliff zgodził się na jeszcze bliższą współpracę z dwójką czarnych konkurentów do władzy. Barak i jego elitarna „gwardia” mieli zapewnić bezpieczeństwo uczestnikom wyprawy. Dwóch spośród trójki siedzącej pod ścianą obiecało jak najszybciej polecieć do Ocho Rios i wynająć się tam jako tragarze.

Nawet jeśli Jamajczycy domyślali się, że McAuliff wie dużo więcej, niż się do tego przyznaje, nie naciskali go zbyt. Alexowi wydawało się, że bez oporów uwierzyli w wersję, dwukrotnie powtórzoną Whitehallowi – iż na kierowanie wyprawą zgodził się zwabiony perspektywą lukratywnych zamówień na przyszłość. Zamówień z Kingston. Świadczenie przymusowych usług wywiadowi opisał jako późniejszą, nieoczekiwaną komplikację.

Tamci rozumieli chyba, że McAuliff ma swoje sprawy, tak jak oni mają swoje. Geolog uznał, że na pełną otwartość zdobędzie się dopiero w chwili, kiedy okaże się, że jedno i drugie sprawy nie wykluczają się wzajemnie.

Zwariowane zdarzenia zmusiły go do wzięcia udziału w cudzej, nie chcianej wojnie, lecz jeden względ liczył się dla McAuliffa najbardziej ze wszystkich: względ na bezpieczeństwo tych, których wyprawa sprowadziła na wyspę.

No i drugi względ.

Milion dolarów.

Milion, niezależnie od kogo. Od Dunstone Limited albo od wywiadu.

–W takim razie ci z MI-5 nie powiedzieli panu, kim są ci, którzy tak chcą nam zapaskudzić wyspę – raczej stwierdził niż zapytał Moore i nie czekając, aż Amerykanin coś powie, dodał: – Za tym stoi ktoś jeszcze, nie tylko lokaje z Kingston, *mon*.

–Jeżeli Anglicy dotrą do Halidonu, podzielą się kompletem informacji – uspokoił go McAuliff. – Tego jestem pewien. Chcą połączyć całą wiedzę na ten temat, tak mi mówili.

–Z czego z kolei wynika, że Anglicy zakładają ogromną wiedzę u Halidonu – podpowiedział Whitehall z namysłem. – Ciekawe, czy to prawda.

–Może mają powody, żeby tak myśleć – zastanowił się ostrożnie McAuliff. – Chodzi mi o poprzednią wyprawę,

Jamajczycy wiedzieli, o czym mowa. Zniknięcie poprzedniej ekspedycji mogło stanowić dowód na istnienie Halidonu, choć mogło także być odosobnionym morderstwem rabunkowym, dziełem bandy prymitywnych wyspiarzy z odludnych wzgórz Cock Pitu.

Na odpowiedź przyjdzie poczekać.

Koncentryczne kręgi domysłów.

A co z markizem de Chatellerault? Dlaczego tak nalegał, by Whitehall spotkał się z

nim w Savarnna-la-Mar?

–Markiz to człowiek nerwowy – wyjaśnił Whitehall. – Twierdzi, że prowadzi na Jamajce rozmaite interesy. Tymczasem ktoś podrzucił mu zgniłe jajo w postaci naszej ekspedycji.

–Czy nie przyszło panu do głowy, że Chatellerault sam może być zamieszany w to wszystko? – McAuliff zwrócił się bezpośrednio do czarnego naukowca. – Tak uważają ci z MI-5. Tallon wyjawiał mi to po południu.

–Jeśli tak, markiz nie dowierza kolegom.

–Czy Chatellerault wymieniał inne nazwiska z naszej grupy? – zapytał znów Alex, chociaż bał się poznać odpowiedź.

Whitehall posłał mu przeciągłe spojrzenie, ale odpowiedział tylko: – Nie. Uczynił tylko parę aluzji. Powiedziałem mu, że nie interesują mnie takie dygresje. Mam ważniejsze sprawy. Chyba wyłożyłem mu to jasno. – Tak? Dziękuję.

–Ależ proszę.

Sam Tucker uniósł krzaczaste brwi i z powątpiewaniem spytał:

–To jakie są te ważniejsze sprawy? Czego on chciał, do licha?

–Chciał, żeby go informować o postępach naszych badań. Donosić o każdym zdarzeniu.

–Skąd u niego taka pewność, że pan na to pójdzie? – Sam przechylił się nad stołem ku Whitehallowi.

–Po pierwsze, obiecał mi duże pieniądze. A oprócz tego markiz liczył, że zainteresuje mnie jeszcze czymś. Tyle że się przeliczył.

–Mam cię, *mon!* - ucieszył się Moore. – Sami widzicie, ludzie wiedzą, że Charley-mon da się kupić! Baraka Moore'a nie próbują nawet prosić. Whitehall spojrzał na rewolucjonistę jak na powietrze, zauważając:

–Bo i za co mieliby ci płacić?

Otworzył srebrną papierośnicę, na widok której Moore uśmiechnął się triumfalnie, położył ją po prawej ręce i zapalką, nie zapalniczką, przypalił sobie papierosa.

–Idźmy dalej – zaproponował. – Wolałbym tu nie siedzieć do rana.

–Dobra, *mon.* - Barak Moore obrzucił pozostałych szybkim spojrzeniem. – Chodzi nam o to samo, co Anglikom. Żeby nawiązać kontakt z Halidonom.

Moore wymówił to słowo w jamajskim dialekcie, przeciągając je w *holly-dooooon.*

–Ale jest jeden kłopot. To Halidon musi znaleźć nas, nie odwrotnie. Musimy im dać jakiś powód. Nie możemy chodzić po lesie i pohukiwać, bo i tak nie wyjdą z kryjówek.

–Nic a nic nie kapuję z tego wszystkiego – zapewnił ich Tucker, zapalając kolejne cienkie cygaro – ale jeśli chcecie po prostu usiąść i czekać, będziecie siedzieć do usranej śmierci.

–Moim zdaniem znajdzie się sposób. A to dzięki doktorowi Piersallowi. – Mówiąc to, Moore przygarbił się niepewnie, jak gdyby nie bardzo wiedział, jak wyrazić to, o co mu chodzi. – Piersall całymi miesiącami badał... No, próbował się dowiedzieć, czym jest Halidon. Chciał odszukać Halidon, nie tu, tylko w historii. Przystudiował całą historię Karaibów, źródła na temat Arawaków, plemion afrykańskich... Szukał

znaczenia tego słowa. – Moore zamilkł i spojrział na Whitehalla. – Twoje książki też czytał, Charlie-*mon*, chociaż mówiłem mu, że taki chory koziół, jak ty, będzie tylko łął. A doktor Piersall na to, że, jego zdaniem, nie kłamiesz w tych książkach... W każdym razie, z rozmaitych drobiazgów doktor poskładał całą łamigłówkę, tak to nazwał. Papiery ukrył później w Carrick Foyle.

–Momencik – zirytował się Sam Tucker. – Przez ostatnie dwa dni Walterowi gęba się nie zamykała. Gadał do mnie nad Martha Brae, w samolocie, w Sheratonie, ale słowem nie wspomniał o tej całej historii. Może mi ktoś wytłumaczy dlaczego? – dokończył Amerykanin, wyzywającym wzrokiem obrzucając dwóch z trójki Jamajczyków pod ścianą. Patrzył na ludzi, którzy nie rozstawali się z nim od wyjazdu z Montego Bay.

Odpowiedział mu ten sam Murzyn, który rozmawiał z Tuckerem i Alexem w samochodzie.

–Powiedziałyby i to już niedługo, *mon*. Umówiliśmy się, że zaczniemy mówić, jak już dołączy do pana McAuliff. Takich historii nie wolno powtarzać za często.

–Ale czego się dowiedział z łamigłówki? – spytał Alex.

–Na pewno nie wszystkiego – oświadczył Barak Moore. – Doktor Piersall zebrał tylko część faktów, ale ukuł kilka teorii. No więc, po pierwsze, Halidon to boczna gałąź plemion koromantyńskich. Po wojnach z Maroonami wybrali życie w odosobnieniu, bo nie chcieli brać udziału w łapaniu zbiegłych niewolników. Anglicy zobowiązali do tego Maroonów, czyli lud koromantyński, w traktatach na zakończenie wojny. Halidonicy nie chcieli łapać afrykańskich braci w niewolę, więc długie dziesiątki lat koczowali w górach. Później, dwieście czy dwieście pięćdziesiąt lat temu, osiedlili się, choć nie wiadomo gdzie. Nikt nie zna tego miejsca, nie da się tam dojechać z zewnątrz – z tym że zawsze utrzymywali kontakty ze światem. Wybranych chłopców oddawali na wychowanie, by się uczyli i robili wszystko, co nakazuje starszyzna. Tak już zostało do dziś. Halidon sprowadza też z zewnątrz kobiety, by uniknąć degeneracji... I na koniec jeszcze dwie sprawy: Halidon ma kryjówkę wysoko w górach, gdzie wieją silne wiatry. Piersall był tego pewien. Poza tym Halidon posiada olbrzymie bogactwa... Macie swoje części łamigłówki. Nie wiadomo, ilu jeszcze brakuje.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał.

–Niesamowita historyjka – zauważył wreszcie Sam Tucker – tylko co nam po niej? Nawet jeśli wiemy, kto to jest, dalej nie umiemy znaleźć Halidonu. Sam powiedziałeś, chłopcze, że to oni muszą zrobić pierwszy krok. Do diabła! Jeżeli to całe plemię dwieście lat siedzi w górach i nikt ich jeszcze nie znalazł, my też mamy marne szanse. Jakiego to sposobu dostarczył Piersall?

Odpowiedział mu Charles Whitehall.

–Jeżeli odkrycia doktora Piersalla są prawdziwe, właśnie ta wiedza zwabi do nas Halidon, panie Tucker.

–Poproszę jaśniej – ponaglił Alex.

Z niespodziewaną pokorą elokwentny naukowiec dał pierwszeństwo nieokrzesanemu rewolucjoniście:

–Myślę, że... Najlepiej objaśni to Barak Moore. Zgadzam się, jednak podstawowe znaczenie ma to, co nam powiedział parę minut temu. Halidon musi mieć silną motywację, żeby do nas dotrzeć.

–Dobrze mówisz, *mon*. Doktor Piersall też dałby sobie głowę uciąć, że gdyby Halidon dowiedział się nagle... Gdyby znalazła się grupka odpowiedzialnych facetów, którzy przypadkiem dowiedzieli się o istnieniu, no i o majątku Halidonu, tamci na pewno wyszliby z kryjówki. Piersall uważał, że Halidonom chodzi o te ich olbrzymie bogactwa. Trzeba ich tylko przekonać, tak żeby nie mieli cienia wątpliwości... Wtedy się zgłoszą.

–Kogo mamy przekonać? – przerwał Alex.

–Musimy wysłać kogoś do Maroon Town, to taka dziura na samej granicy Cock Pitu. Wysłannik musi poprosić o posłuchanie u Pułkownika Ludu Maroonów, zaproponować dużo, dużo forsy. Piersall uważał, że Pułkownik (tytuł dziedziczny się z pokolenia na pokolenie) to jedyne dojście do Halidonu.

–Mamy wszystko opowiedzieć temu „pułkownikowi”?

–Gdzie tam, McAuliff-*mon*! Nawet Pułkownikowi Maroonów nie można zawierzyć. Poza tym i tak nic by nie zrozumiał. Z badań doktora Piersalla wynika, że Halidon zachował tylko jedno powiązanie z afrykańskimi braćmi. Chodzi mi o *nagarro*...

–To z języka Akuamu – wtrącił Whitehall. – Język jest od dawna wymarły, ale niektóre zapożyczenia przetrwały w dialektach Aszantów i Mossai-Grusso. „Nagarro” to rodzaj abstrakcji, którą najlepiej oddać w przekładzie słowami „ucieleśnienie ducha”.

–Ducha...? – powtórzył jak echo McAuliff, lecz nagle zrozumiał. – Chodzi o dowód, tak? O dowód, że coś istnieje? Whitehall przytaknął.

–Gdzie go szukać? – zapytał znów McAuliff.

–Dowodem będzie znaczenie innego słowa – podsunął myśl Barak Moore. – Znaczenie słowa „Halidon”.

–Jak ono brzmi?

–A skąd mam wiedzieć?

–O do diabła! – wybuchnął Sam Tucker, lecz Barak Moore uciszył go gestem dłoni.

–Znaczenie znał Piersall. Trzeba je przekazać temu Pułkownikowi, a on zanieś je w góry.

Zanim McAuliff odezwał się, zacisnął szczęki aż do bólu, próbując się opanować.

–Nie możemy przekazać czegoś, czego nie mamy.

–Ale zdobędziemy, *mon* -uspokoił go Barak z nieruchomym wzrokiem. – Miesiąc temu doktor Piersall zaprosił mnie do siebie, do Carrick Foyle, i dał mi wskazówki, co robić. Gdyby coś mu się przytrafiło, mam odszukać jedno miejsce w lesie, na terenie jego posiadłości. Zakarbowałem je sobie w pamięci, *mon*. Głęboko w ziemi jest zakopana ceratowa torba, a w niej papiery. Znaczenie słowa „halidon”.

Jamajski kierowca, z którym wracali do Kingston, był najwyraźniej zastępcą Baraka Moore'a. To właśnie on rozmawiał z Tuckerem i McAuliffem w drodze na lądowisko. Przedstawił im się teraz jako Floyd. Charles Whitehall usiadł obok niego z

przodu, podczas gdy Tucker i McAuliff umościł się na tylnym siedzeniu.

–Gdyby potrzebne wam było alibi na tę noc – zwrócił się do całej trójki Floyd – byliście w magazynach ministerstwa i do późnej nocy wybieraliście sprzęt. Magazyny są na Crawford Street, niedaleko portu. Wszystko da się sprawdzić.

–A kto nas tam wpuścił? – dopytywał się Sam.

–Niejaki Latham. To właśnie on nadzoruje...

–Latham? – zdumiał się Alex, który aż za dobrze pamiętał popołudniowy dyskurs telefoniczny z wysokim urzędnikiem ministerstwa. – Przecież Latham...

–Wiemy, wiemy – uspokoił go Floyd i wyszczerzył zęby do lusterka wstecznego. – Latham to nasz człowiek, *mon*.

Alex otworzył swoje drzwi, jak tylko mógł najciszej. Dochodziło wpół do czwartej rano, a cały hotel spał. Nocne igrzyska dawno się zakończyły.

Bezszelestnie zamknął drzwi i zrobił krok po miękkim dywanie. W pokoju Alison paliło się światło, wpadając przez lekko uchylone drzwi. W jego własnym pokoju było ciemno. Alison wyłączyła wszystkie lampy. Paliły się, kiedy wychodził pięć godzin wcześniej z pokoju.

Dlaczego tak zrobiła?

Zbliżył się do uchylonych drzwi między pokojami, zdejmując przy okazji marynarkę. Za plecami usłyszał trzask. Nim zdążył się odwrócić, zapaliła się lampka na stoliku przy łóżku, zasnuwając wewnątrz mętnym światłem, ostrym tylko u samego źródła.

W jego łóżku siedziała wyprostowana Alison. Alex dostrzegł, że dziewczyna ściska w dłoni złowrogi cylinder, prezent od „londyńskiej policji”. Opuściła miotacz i ukryła go pod kołdrą.

–Cześć, Alex.

–Jak się masz.

Zapanowało niezręczne milczenie.

–Wolałam zostać tutaj, bo myślałam, że może zadzwoni ten twój Tucker. Od siebie mogłabym nie usłyszeć telefonu.

–Znam też lepsze powody – Alex uśmiechnął się i podszedł do łóżka. Alison podniosła miotacz i przekreśliła go. McAuliff usłyszał ten sam trzask, co przed chwilą. Odłożyła miotacz na stolik i dodała:

–Poza tym chciałam z tobą porozmawiać.

–Brzmi to jakoś złowieszczo – odezwał się Alex, siadając. – Nie mogłem do ciebie zadzwonić... Byliśmy w takim pośpiechu. Najpierw zjawił się Tucker. Jak gdyby nigdy nic wmaszerował do recepcji i jeszcze się dziwił, dlaczego się tak denerwuję...

Później, kiedy załatwialiśmy dla Sama pokój, dostałem telefon od Lathama. Strasznie nas prosił, żebyśmy przyszli. Chyba zaskoczyłem go tym, że jutro lecę do Ocho Rios, bo nie zdążył wysłać do Boscobel całej masy sprzętu...

–Twój telefon milczał – przerwała mu Alison.

–Proszę?

–Pan Latham nie dzwonił pod numer twojego pokoju.

McAuliff przygotował sobie odpowiedź. Tym razem uważał na „drobiazgi”.

–Pewnie, przecież zostawiłem telefonistkom wiadomość, że jestem na kolacji.

Recepcja wysłała zaraz pikolaka do jadalni.

–To ci się udało, Alex.

–O co ci chodzi? Prosiłem recepcjonistę, żeby zadzwonił do ciebie i powtórzył, dokąd idę. Naprawdę byliśmy w pośpiechu. Latham zabrał nas do jakiegoś magazynu... Na Crawford Street, koło portu. Musieliśmy zdążyć przed zamknięciem ewidencji na ten dzień.

–To wyszło ci gorzej. Stać cię na większą zręczność.

McAuliff spostrzegł, że Alison powiedziała to najzupełniej serio. Co więcej, z gniewem.

–Dlaczego tak mówisz? – spytał prędko.

–Nie zadzwoniono do mnie z dołu, więc nie ma mowy o wyjaśnieniach recepcjonisty. – To ostatnie słowo Alison wymówiła przez nos, przedrzeźniając amerykańską wymowę, jakże różną ód brytyjskiej. McAuliff poczuł się urażony. – Telefonował natomiast „asystent” pana Lathama, ale mało inteligentnie. Nie wiedział, co ma robić, kiedy poprosiłam do telefonu samego Lathama. Nie spodziewał się czegoś podobnego... A czy wiesz, że Gerald Latham mieszka w Kingston, w dzielnicy Barbican? Bez kłopotu znalazłam nazwisko w książce telefonicznej.

Alison urwała, pozwalając trwać napiętej ciszy. Alex dopowiedział za nią niegłośno:

–I zastałaś go w domu.

–Tak, zastałam – pokiwała głową Alison. – Ale nic się nie martw. Nie rozmawiałam z nim. Telefon odebrała jakaś kobieta, poprosiłam ją o Lathama, a kiedy się odezwał, odłożyłam słuchawkę.

McAuliff westchnął ciężko i pomacał się po kieszeni, szukając papierosów. Nie miał pojęcia, czy można coś tu jeszcze dodać. Wreszcie rzekł: – Przepraszam.

–Ja też cię przepraszam – zapewniła go cichym głosem Alison. – Rano złożę ci na piśmie oficjalną rezygnację z udziału w wyprawie. Za bilet lotniczy i inne wydatki mogę ci na razie wypisać weksel. Cała gotówka, jaką mam, będzie mi teraz potrzebna, ale na pewno szybko znajdę jakąś pracę.

–Nie możesz tego zrobić! – McAuliff sam się zdumiał, ile siły i przekonania słyhać było w tym głosie. Wiedział, dlaczego tak jest. Alison rzeczywiście miała święty zamiar zrezygnować. Tak postanowiła, i już. Gdyby ukrywała prawdziwą przyczynę bądź przyczyny, które skłoniły ją do wyjazdu na Jamajkę, nigdy by się nie zdecydowała na podobny krok.

–Na litość boską, nie zrezygnujesz chyba z wyprawy, dlatego że skłamałem ci, co robiłem przez parę godzin?! Do licha, Alison, dlaczego muszę się przed tobą tłumaczyć...?

–Wiesz, przestań się zachowywać jak urażony, pompatyczny kretyn! To też ci nie wychodzi, nawiasem mówiąc. Nie mam zamiaru znów pętać się po twoim labiryncie kłamstw. Mdli mnie od tego. Dostyc już, słyszysz?! – Głos Alison załamał się nagle, a w oczach zamigotał strach. – Ja już dłużej tego nie wytrzymam.

Alex spojrzał na nią zdumiony.

-O co ci chodzi?

-Po południu tak ładnie, ze szczegółami opisałeś mi rozmowę w komendzie policji. Budynek, dzielnicę, z kim rozmawiałeś... Mnóstwo takich drobiazgów, Alex. Tylko co z tego, skoro dzwoniłam do nich po tym telefonie do Lathama. Nigdy o tobie nie słyszeli.

XVI

Wiedział, że znów musi zacząć od samego początku – od pierwszych chwil obecnego szaleństwa. Musiał powiedzieć Alison całą prawdę. Przyjął tę konieczność z wielką ulgą.

Całą prawdę. Tak by wszystkie wydarzenia nabrały sensu, o ile był w tym wszystkim jakiś sens.

Opowiedział więc.

Kiedy mówił, przyłapał się na tym,, że sam usiłuje zrozumieć oderwane dotąd wydarzenia. Mówił powoli, dosyć monotonnym głosem, jak ktoś, kto usiłuje przebić się przez mgłę niezrozumienia.

Kolejno wyjawiał Alison treść dziwnej depeszy z Dunstone Limited, tej samej, która sprowadziła go z Nowego Jorku do Londynu, opisał niejakiego Juliana Warfielda i „eksperta finansowego” z hotelu Savoy z plastikową legitymacją ze słowami „Holcroft, R.C., wywiad brytyjski”. Potem opowiedział o udręce kolejnych dni spędzanych między dwoma wykluczającymi się światami – a więc o tajnym instruktażu, tajnych spotkaniach, zmianach samochodu, o angażowaniu ludzi pod pretekstem wyprawy naukowej. Następnie przyszła kolej na historię słabego i zastraszonego Jamesa Fergusona, najętego do szpiegowania wyprawy przez Arthura Crafta juniora, krezusa, któremu nie wystarczało, że jest najbogatszym człowiekiem na Jamajce. Po Fergusonie McAuliff zajął się aroganckim Charlesem Whitehallem, który mimo całej błyskotliwej inteligencji i wiedzy nie umiał wyzwolić się z fanatycznego oddania dla starej, zużytej i plugawej idei. Alex nie zapomniał też o artretycznym wyspiarzu, którego w szeregach jamajskiej arystokracji umieszczala afrykańska i francuska krew, a w szeregach MI-5 wykształcenie, jakie odebrał w Eton i w Oksfordzie.

Alex powtórzył także Alison osobliwą opowieść Tuckera na temat przemiany, jaka zaszła w życiu Waltera Piersalla, antropologa, który złapał „gorączkę tropikalną” i przedzierzgnął się w samozwańczego obrońcę tej zwrotnikowej krainy.

Wreszcie przyszła kolej na historię wygolonego rewolucjonisty, który przedstawiał się jako Barak Moore. A także na wiadomość o tym, że wszystkie te osoby tropią zaginioną osobliwość znaną jako Halidon.

Szaleństwo. Lecz szaleństwo bardzo, bardzo rzeczywiste. Słońce przeszywało już wczesnymi strzałami światła szare obłoki, skłębione nad szczytami Gór Błękitnych. McAuliff siedział w obramowaniu drzwi balkonowych, wdychając płynące z wilgotnego parku, od pni palm, zapachy jamajskiego świtu. W nozdrzach i na skórze czuł miły chłód.

Prawie zakończył opowieść. Rozmawiali, czy raczej on sam przemawiał godzinę i czterdzieści pięć minut. Na sam koniec zostawił jeszcze wiadomość o markizie de Chatellerault.

Alison nie wstawiała z łóżka i siedziała pod kołdrą, wsparta na poduszkach. Oczy same jej się zamykały, lecz za nic nie chciała ich spuścić z McAuliffa.

Alex nie wiedział, jaka będzie reakcja dziewczyny, kiedy padnie nazwisko Chatelleraulta. Bał się tej chwili.

–Jesteś zmęczona. Ja zresztą też. Może skończę opowiadać rano?

–Już jest rano.

–W każdym razie później.

–Lepiej nie. Opowiedz do końca i spokój.

–Już ci prawie wszystko opowiedziałem.

–Kto wie, może najlepsze kawałki zostawiłeś na koniec? Czy tak? – Alison nie umiała ukryć lekkiego strachu. Przeniosła wzrok z Alexa na słoneczny brzask, który zaczynał dobiegać poprzez drzwi na balkon. Światła wciąż przybywało, w dziwnej mieszaninie pastelowych żółcieni i gorącej barwy pomarańczy, tak charakterystycznych dla jamajskich świtów.

–Wiesz, że chodzi o ciebie...

–Oczywiście, że wiem. Wiedziałam już wczoraj. – Alison znowu popatrzyła na Alexa. – Sama nie bardzo chciałam się przed sobą przyznać... Ale wiedziałam. Wszystko za bardzo mi się zgadzało.

–Chatellerault – zebrał się na odwagę McAuliff. – Jest tutaj.

–O, Boże – wyszeptała.

–Nie dotknie cię nawet, wierz mi.

–Wyśledził mnie. O Boże...

McAuliff podniósł się i podszedł do łóżka. Usiadł na jego skraju i delikatnie pogładził Alison po włosach.

–Gdybym uważał, że może cię skrzywdzić, nigdy bym cię nie ostrzegł, że tu jest. Wolałbym go wtedy po prostu... usunąć.

Alex skarcił się w myślach za łatwość, z jaką przyszły mu ostatnie słowa. Czy lada dzień powie może z równą łatwością „zabić” albo „sprzątnąć”?

–Wszystko tak ustalili, od samego początku. Wiedzieli, co zrobię. – Alison wpatrywała się w niebo nad balkonem, bezwiednie pozwalając się głaskać po twarzy. – Mogłam się domyślić. Tobie też nie przepuszczą.

–Kto niby?

–Wszyscy. Wszyscy, kochanie – odrzekła Alison i przycisnęła dłoń Alexa do warg. – Mniejsza o nazwiska, bo nie w nich rzecz. Listy, numery i cała reszta oficjalnych bzdur... Ostrzegano mnie, że tak będzie. Naprawdę ostrzegano.

–A to w jaki sposób? – McAuliff złapał Alison za rękę, zmuszając dziewczynę, by spojrzała mu w oczy. – Jak cię ostrzegano? Kto?

–To było w Paryżu, najwyżej trzy miesiące temu, wieczorem. Właśnie skończyłam ostatnią oficjalną sesję tego... Nazywaliśmy to „podziemnym karnawalem”.

–Chodzi o Interpol?

–Tak. No więc, spotkałam pewne małżeństwo. Dosłownie spotkałam, w poczekalni. Normalnie nigdy się do tego nie dopuszcza, w tej branży izolacja to podstawowa zasada, ale ktoś widocznie pomieszał coś w grafiku... Para była też z Anglii, z Maclesfield, mąż miał salon samochodowy, sprzedawał porsche, więc nie wiodło mu się najgorzej. Co z tego, skoro i on, i ona byli już na granicy załamania. Tamci zwerbowali go, bo mieli haczyk, Samochodów z jego salonu używano do przemytu papierów wartościowych, skradzionych na europejskich giełdach. Ilekroć

sprzedawca myślał, że się wypłacił i będzie miał spokój, znów przychodzili do niego i wynajdowali powód do nowych usług. Nie ostrzegali go nawet, że przyjdą. Ciągnęło się to przez trzy lata, więc człowiek prawie oszalał. Obydwoje chcieli uciec z Anglii. Wyjechać do Buenos Aires...

–Mógł zawsze odmówić. Nie potrafiliby go zmusić.

–Naiwniak z ciebie, kochanie. Każde nazwisko, z jakim się zetknąłeś, to następny haczyk, każda nowa metoda, o jakiej doniesiesz, to kolejny krzyżyk w twojej kartotece. – Alison roześmiała się melancholijnie. – Wjechałeś do krainy szpiclów. Niedługo sarn znajdziesz u siebie objawy.

–Jeszcze raz ci powtarzam: Chatellerault nawet cię nie dotknie.

Alison umilkła na chwilę, jak gdyby nie usłyszała tych pełnych przejęcia słów.

–To, co powiem, może ci się wyda dziwne, ale wiesz, Alex... Nie jestem odważna, nie ma we mnie brawury i tak dalej, ale jakoś zupełnie się nie boję tego Francuza. Najokropniejsze, że... Jeśli się kogoś boję, to nie jego, tylko ich. Ci nigdy mnie nie wypuszczą, niezależnie od tego, co mi obiecują, na co się zgodzą i jakich gwarancji udzielą. Za bardzo będzie ich kusiło, żeby sprawdzić kolejną teczkę, odszukać w komputerze kolejne nazwisko, w ślad za którym wywołają także i moje. Prosta zasada: czynnik X i czynnik Y, suma, a skutek jest jeden – okradają cię z życia. I tak do końca. Całe życie musisz się bać.

Alex objął ją mocno.

–Nie ma takiego prawa, Alison. Możemy się spakować i wyjechać.

–Ale, kochanie... kochanie... ty na pewno nie możesz. Nie rozumiesz? Nie da się uciec w ten sposób. Wszystkie umowy, setki teczek pełnych słów, ich, twoich... Nie wyprzesz się tego. Żeby przekroczyć granicę, musisz mieć papiery. Żeby dostać pracę, to samo. Chcesz kupić samochód albo założyć konto w banku... Mogą z tobą robić, co zechcą. Nie uciekniesz im. Nie im.

McAuliff puścił Alison i wstał. Podniósł ze stolika gładki, lśniący cylinder i jeszcze raz przeczytał datę na zezwoleniu. Niewiele myśląc, stanął w drzwiach balkonu i odruchowo wciągnął głęboko w płuca powietrze, przesycone najdelikatniejszym aromatem wanilii i korzeni.

Korzenny rum i wanilia.

Jamajka.

–Nie masz racji, Alison. Nie musimy się chować. Z wielu powodów, ale najpierw musimy skończyć to, co już zacząłem. Co do tego, zgoda. Nie zgadzam się tylko z końcowym wnioskiem. To wszystko jeszcze się skończy. Skończy się, i już. Daję ci słowo – tu odwrócił się do dziewczyny.

–Chciałabym w to wierzyć. Naprawdę. Tylko nie wiem jak.

–Stara wojskowa zasada. Wykończ tamtych, zanim tamci wykończą ciebie. Jeśli rozmaici Holcroftowie i Interpole używają nas, to tylko dlatego że się boimy. Wiemy, co nam mogą zrobić i jak zrujnować nam to całe tak niby ułożone życie. Boimy się słusznie, bo to okropne skurwysyny. Sami to chętnie przyznają... Ale czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, jak bardzo im możemy zaszkodzić? A możemy, i słusznie, bo w nas też może się kiedyś ocknąć skurwysyństwo. Jeśli wszystko

dobrze rozegramy, a będziemy mieli przy sobie uzbrojonych ludzi, końcówka będzie nasza. Skończymy i z tą sprawą, i z nimi.

Charles Whitehall siedział w fotelu, odstawiwszy na stolik obok siebie kieliszek absyntu. Była szósta rano. Murzyn nie kładł się tej nocy, gdyż próba zaśnięcia tak czy inaczej nie miała sensu.

Dwa dni spędzone na wyspie rozdrapały wszystkie rany sprzed lat dziesięciu. Whitehall nie spodziewał się tego. Przeciwnie, myślał, że będzie panem sytuacji. Panem, nie niewolnikiem.

Wróg czaił się teraz gdzie indziej, niż od dziesięciu lat oczekiwał tego Whitehall – wcale nie w rządowych gmachach Kingston ani w partyzanckich kryjówkach osobników w rodzaju Baraka Moore'a. Prawdziwy wróg był nowy, równie odrażający i nieskończenie silniejszy, chociażby dlatego iż posiadał wystarczające środki, by prędko zawładnąć ukochaną Jamajką.

Władza. Najpierw poprzez korupcję, a potem już jawna... Inwazja.

Whitehall kłamał, gdy odpowiadał Alexandrowi McAuliffowi. Podczas rozmów w Savanna-la-Mar Chatellerault otwarcie przyznał, że należy do grupy, która ma zawładnąć ziemią Trelawny. Wywiad brytyjski miał dobre informacje. Majątek markiza mógł się znacznie przyczynić do budowy miasta na dziewiczych terenach północnego wybrzeża i Cock Pitu. Chatelleraultowi zależało więc na losach inwestycji. Ochronę taką mógł mu zapewnić w pierwszym rzędzie Charles Whitehall - a gdyby Charles Whitehall zawiódł, zapłaci za to głową. Markiz wyraził się jasno, nie pozostawiając co do tego cienia wątpliwości. Siedział naprzeciwko naukowca i wykrzywiając w uśmiechu cienkie galijskie wargi wyliczał kolejne nazwiska, adresy, kontakty... Znał całą podziemną siatkę, którą Whitehallowi udało się stworzyć na wyspie w ciągu ubiegłej dekady.

Na sam koniec markiz zostawił sobie największą i najbardziej dla Whitehalla groźną rewelację: okazało się, że zna zarówno kalendarz, jak i metody, jakimi partia polityczna Charlesa Whitehalla miała zamiar sięgnąć po władzę w Kingston.

Ustanowienie dyktatury wojskowej pod przywództwem cywila, któremu podlegać będą wszyscy bez wyjątku mieszkańcy. Tytuł dyktatora miał brzmieć: Prefekt Pretorianów Jamajki. Jedynym kandydatem był Charles Whitehall.

Gdyby w Kingston dowiedziano się o tym... Hmm, Kingston nie pozostałoby obojętne, prawda?

Chatellerault podkreślił jednak, że ich interesy wcale nie muszą się okazać rozbieżne. Istniały obszary – filozoficzne, polityczne i finansowe – na których markiz i czarny naukowiec mogliby z powodzeniem złączyć siły. Najważniejsza była jednak kwestia inwestycji na północnym wybrzeżu. Najważniejsza i najbardziej pilna. Nowe miasto stanie się odskocznią dla dalszych planów.

Markiz nie uznał za stosowne wyjawic, kim są jego partnerzy. Przeciwnie, Whitehall nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Chatellerault sam nie bardzo wie, kogo reprezentuje. Widać było również jasno, że markiz nie ufa partnerom. Z jednej strony nie bardzo rozumiał ich intencje, z drugiej nie wierzył specjalnie w ich zdolności. Wspomniał przecież mimochodem, że poprzednim razem „położyli sprawę”, ale nie

wytłumaczył dokładnie, o jakie fakty mu chodzi.

Było oczywiste, że fakty dotyczą pierwszej ekspedycji.

Jaki los ją spotkał?

Czy to Halidon był sprawcą zagłady?

Czy Halidon naprawdę mógł komukolwiek zagrozić?

Czy Halidon naprawdę istnieje?

Halidon.

Whitehall wiedział, że aby uzyskać odpowiedź, musi najpierw zbadać dokumenty, jakie pozostawił po sobie Piersall, a potem oddzielić egzotyczne fantazje antropologa od fragmentów wyspiarskiej rzeczywistości. Dziesięć lat wcześniej podobnym objawieniem wydawali się wszystkim rastafarianie, symbol afrykańskiego terroru – lecz niezbyt długo, bo tylko do czasu, kiedy się okazało, że rasta to tylko dzieci, które, opalone marihuaną i z włosami zlepionymi błotem, pragną tylko jednego, to jest, aby świat uszanował ich prawo do lenistwa. Po rastafarianach byli jeszcze pocomanianie, których brodaci kapłani łączyli erotyczne orgie z abstrakcjami chrześcijańskiej miłości bliźniego – społeczno-religijny ruch mający usprawiedliwić wyuzdanie. Jeszcze krócej trwała moda na sektę anansi, spadkobierców pradawnej wiary Aszantów w przemyślność pajaków, dających wzorzec reszcie żyjącego świata.

Tyle tych sekt, tyle metafizycznej paranoi, rozdrobnienia, i wreszcie zapomnienia.

Czy Halidon – *Hallidooon* – okaże się inny?

W obecnej chwili nie miało to dla Charlesa Whitehalla najmniejszego znaczenia.

Liczyło się tylko to, by przetrwać i urzeczywistnić wielki plan. Osiągnąć ten cel mógł jedynie, zachowując dystans wobec Chatelleraulta i przenikając na piętra finansowej hierarchii, jaka stoi za Francuzem.

Na dodatek trzeba było zgodzić się na współpracę z najdawniejszym rywalem, Barakiem Moore'em.

A więc, współpraca z dwójką wrogów.

Wrogów Jamajki.

James Ferguson po omacku poszukał przełącznika lampki nocnej. Rozległ się brzęk i potrącona popielniczka oraz szklanka roztrzaskały się na podłodze. Przez niedokładnie zaciągnięte story wpadało do pokoju ostre światło. Ferguson widział je, mimo że zaciskał powieki. Ból przeszywał mu gałki oczne i kleszczami ścisnął czaszkę od skroni do skroni, tak mocno, że botanik odnosił wrażenie, że wszystko się ściemnia. Spojrzał na zegarek, zasłaniając ręką oczy przed blaskiem słabej lampki. Kwadrans po szóstej.

O rany! Głowa bolała go po prostu przeraźliwie, aż w kącikach oczu zbierały się łzy. Kark przeszywały bolesne, paraliżujące igły bólu, docierając aż do ramion i dłoni. Również mięśnie brzucha były dziwnie skurczone i napięte. Na samą myśl o tym Ferguson poczuł, że zaraz zwymiotuje.

Poprzedniego wieczora botanik nie udawał, że pije. Przeciwnie, tym razem McAuliff nie mógłby go oskarżyć o aktorstwo. Ferguson zwyczajnie się urznął. Właściwie wręcz nadzwyczajnie. Miał po temu swoje powody.

Urznął się z wielkiej radości.

Arthur Craft zatelefonował do niego – ale nie z pogrózkami. W przerażeniu!

Ktoś złapał Crafta juniora na gorącym uczynku. Nie ktoś, tylko McAuliff, który znalazł pokój, gdzie zamontowano odbiornik, i pobił technika przy magnetofonie, po prostu i zwyczajnie skuł mu twarz. Craft wrzeszczał do słuchawki, domagając się odpowiedzi, skąd McAuliff znał jego nazwisko.

Przecież nie od Fergusona? Od niego, gdzieżby! Nie, Jimbo-mon, milczał jak grób. Craft nadal darł się i klął na „cholernego czarnucha przy magnetofonie”, przekonany, że „czarny skurwiel” wychłapał wszystko Amerykaninowi. Craft zaklinał się także, iż „pieprzony Murzyn” nigdy nie będzie zeznawał jako świadek.

–Nawet gdyby nas ciągnano po sądach! Nawet gdyby...

–Nigdy mnie nie widziałeś! – wrzasnął Craft junior. – Nie rozmawialiśmy ze sobą! Nie widziałeś mnie na lotnisku! Zapamiętaj to sobie na zawsze, ty tchórze!

–Oczywiście... Oczywiście, panie Craft! – odpowiedział na to Ferguson. – Ale, proszę pana? Przecież rozmawialiśmy. Widziałem pana. Oczywiście to niczego nie zmienia...

Ferguson w środku wręcz skamieniał ze strachu, lecz odważył się wypowiedzieć właściwe słowa. Cicho, bez podkreślania, do czego zmierza. Cel nie pozostawiał jednak wątpliwości.

Arthur Craft junior znalazł się w niezręcznej sytuacji. Niepotrzebnie krzyczał na Fergusona. Uprzejmość byłaby dużo skuteczniejsza. Dużo bardziej rozważna.

Bądź co bądź, rzeczywiście rozmawiali...

Craft w lot pojął aluzję. Dlatego najpierw zamilkł, a później potwierdził, że rozumie:

–Jakoś to załatwimy.

Najprostsza rzecz pod słońcem. Jeżeli Craft junior chce wymazywać fakty i sporządzać własną wersję historii, cóż, stać go na to, jako właściciela niesłychanie majątnej fundacji. Na pewno znajdzie garść miedziaków dla bardzo, ale to bardzo utalentowanego botanika.

Kiedy Ferguson odkładał słuchawkę, czuł w sobie falę błęgiego spokoju, milczącej pewności siebie, jaka nachodziła go po udanym eksperymencie w laboratorium – tam gdzie wszystko zależało od jego oka i ręki.

Przy odrobinie ostrożności, powinno się udać.

Kiedy to zrozumiał, natychmiast poszedł się upić.

Dlatego tak go teraz bolały głowa i żołądek. Ale to nic, da się przetrzymać. Za chwilę będzie lepiej. Już niedługo wszystko się odmieni.

Znów spojrzął, która godzina. Cholerny, tandetny timex. Dwadzieścia pięć po szóstej. Tani, ale dobrze chodzi.

Zamiast timexa będzie można sobie zafundować chronometr Piageta. No i oczywiście nowy, bardzo kosztowny sprzęt fotograficzny.

Założyć porządne konto w banku.

Rozpocząć nowe życie.

Przy odrobinie ostrożności.

U wezłowia Petera Jensena zajazgotał dzwonek telefonu. Pierwsza usłyszała to jednak Ruth.

–Peter! Peter, wielkie nieba, odbierz telefon!

–Co takiego? Co się dzieje, dziewczyno? – Jensen zamrugał. W pokoju było ciemno, chociaż przez zasłony przebijało się już światło dnia.

Telefon zadzwonił powtórnie, serią krótkich sygnałów w pospiesznej pobudce, w jakiej celują hotelowe telefonistki. Zręczne paluszki, rozdrażnieni goście. Peter Jensen wyciągnął rękę i włączył lampkę. Budzik wskazywał za dziesięć ósmą. Tym razem telefon dzwonił bez przerwy.

–Cholera by ich wzięła! – parsknął geolog, przekonując się, że aby dosięgnąć słuchawki, musi wstać z łóżka. – Tak, słucham? Halo?

–Czy pan Jensen? – rozległ się nieznajomy męski głos.

–Tak, Jensen. Kto mówi?

–Dzwonię z serwisu telegraficznego Cable International, panie Jensen. Kilka minut temu dostaliśmy dla pana depezę. Z Londynu. Czy mam panu przeczytać jej treść? Nosi oznakowanie „pilna”.

–Nie! – krótko i dobitnie powstrzymał go Jensen. – Proszę nie czytać. Czekałem na tę depezę i wiem, że jest dość długa.

–Owszem, proszę pana. Długa.

–Proszę mi ją wysłać zaraz do hotelu, jeśli można. Zrobi to pan zaraz? Courtleigh Manor, pokój 401. Goniec może przyjść prosto na górę, z pominięciem recepcji.

–Rozumiem, panie Jensen. Natychmiast wysyłam. Będziemy musieli doliczyć dodatkową opłatę za...

–Oczywiście, oczywiście – przerwał Anglik. – Proszę zaraz przysłać.

–Już panu wysyłam.

Dwadzieścia pięć minut później do drzwi zapukał posłaniec z Cable International. Parę chwil wcześniej pokojówka wtoczyła do apartamentu wózek ze śniadaniem, na które składały się herbata, melon i okrągłe angielskie grzanki.

Peter Jensen rozpostarł dwustronicową depezę na lnianym obrusiku, po swojej stronie łóżka. W dłoni trzymał ołówek.

Ruth Jensen podniosła do ust filiżankę, zerkając przed siebie na stronicę gazety. Ona także miała obok spodeczka ołówek.

–Nazwa firmy brzmi Parkhurst – odezwał się Peter.

–Już szukam. – Ruth odstawiła filiżankę, wzięła ołówek i zaznaczyła coś na gazetowej stronicy.

–Adres to Sheffield By The Glen. – Peter Jensen zerknął na żonę.

–Dalej – ponagliła Ruth, czyniąc kolejny znaczek.

–Sprzęt, który trzeba przejrzeć, to mikroskopy.

–Doskonale. – Ruth postawiła trzeci znaczek na lewym marginesie stronicy, porównała go z parą poprzednich i spojrzała prędko w prawy dolny róg gazety. – Gotowy?

–Jazda.

Ruth Wells Jensen, z zawodu paleontolog, wyczytała na głos serię liczb. Mąż przesunął ołówek na sam początek depezy i zaczął nim zakreślać niektóre słowa. Kilka razy poprosił żonę, by powtórzyła numer. Kiedy to czyniła, za każdym razem

odliczał litery od poprzedniego kółeczka i zakreślał kolejny wyraz.

Trzy minuty później zabawa dobiegła końca. Peter Jensen przełknął łyk herbaty i jeszcze raz przebiegł wzrokiem cały telegram. Żona zdążyła przez ten czas posmarować dżemem dwie grzanki i przykryć imbryk specjalnym kapturkiem.

–Warfield przylatuje w przyszłym tygodniu. Twierdzi to samo co my. McAuliff nawiązał kontakt.

Część trzecia Północne wybrzeże XVII

McAuliffowi powróciły w pamięci słowa Holcrofta: „Sam się pan przekona, jak łatwo jest działać na kilku poziomach naraz. Przyjdzie to panu w sposób naturalny, instynktownie. Będzie pan umiał się skupić na dwóch sprawach jednocześnie”.

Agent brytyjskiego wywiadu nie kłamał. Wyprawa wkraczała już w dziewiąty dzień, Alex zaś z każdą chwilą przekonywał się, że przez długie godziny może myśleć tylko o czekających go za chwilę zadaniach.

Ciężarówki przewiozły sprzęt geodezyjny z lotniska Boscobel prosto do Puerto Seco nad zatoką Discovery, Alex, Sam Tucker i Alison Booth, nie czekając na resztę grupy, polecili awionetką do Ocho Rios, dzięki czemu mogli sobie zafundować trzy dni luksusu w apartamentach San Souci. Alex udawał przez ten czas, że szuka pomocników. Rzeczywiście wynajął tragarzy w postaci dwóch Murzynów, którzy przysłuchiwali się nocnym pertraktacjom w samotnej zagrodzie, wysoko w Górach Błękitnych. Zgodnie z przewidywaniami, Alex odkrył, że Alison i Sam Tucker doskonale się ze sobą dogadują. Żadne z nich nie miało zbyt trudnego charakteru, a co więcej, obydwójce byli obdarzeni świetnym poczuciem humoru i znali się na swoim fachu. Nie miało najmniejszego sensu kryć się przed Samem Tuckerem z nowym romansem.

–Byłbym zgorszony, gdyby się okazało, że z nią nie sypiasz – zauważył zresztą Sam.

Przybycie Sama stanowiło dla McAuliffa punkt zwrotny, tym bardziej że Alison ani na chwilę nie mogła teraz zostawać sama. Nigdy. Pod żadnym pozorem. Sam Tucker okazał się ideałem goryla. Alex zdał sobie sprawę, że Tucker przewyższa go opiekuńczością, ma mnóstwo pomysłów i ogromną wytrzymałość. Nosił też w sobie zasoby agresji, które w razie potrzeby zmieniały go w prawdziwego dzikusa. Nie warto było szukać w nim wroga. Pod opieką Tuckera Alison była tak bezpieczna, na ile tylko było to możliwe.

Czwarty dzień w Ocho Rios był zarazem pierwszym dniem właściwych badań. Kwaterę grupy założono w połowie drogi między Puerto Seco a Rio Bueno Harbour, w miłym nadmorskim motelu o nazwie Bengal. Pomiary zaczynały się tuż po szóstej rano. Pierwszym celem było dokładne wykartowanie przebiegu linii brzegowej. Alex i Sam Tucker stanęli nareszcie przy teodolitach.

Najpierw trzeba było wytyczyć wzdłuż wybrzeża ośnowę geodezyjną. Po rozstawieniu teodolitów pozostawało jeszcze zgrać kąty linii demarkacyjnych z mapami morskimi, jakie udostępnił Instytut Jamajski w Kingston. Okazało się zaraz, że mapy są wycinkowe i pełne błędów, dobre może dla kierowców na szosie i dla sterników jachtowych, lecz zupełnie nieprzydatne do celów geodezyjnych. Żeby dokładnie wytyczyć obwody, Alex zastosował specjalne geodimetry akustyczne, w których fala dźwiękowa przeskakiwała między kolejnymi instrumentami, pozwalając idealnie złapać namiary kątowe. Każdy zarys lądu i każda poziomica trafiały więc zarówno na wykresy akustyczne, jak i w obiektywy teodolitów.

Zajęcie było nudne, pracochłonne i wyczerpujące, zwłaszcza pod gorącym niebem. Jediną ulgę przynosiła Alexowi nieustanna bliskość Alison. Nalegał na to, wbrew protestom dziewczyny. Jęki nie zmieniały jednak decyzji McAuliffa, który rozkazał parze partyzantów Baraka Moore'a czuwać nieustannie w promieniu stu metrów od Alison. Ją samą ubłagał, by zawsze była w zasięgu wzroku.

Prośba okazała się oczywiście niemożliwa do spełnienia. Sam McAuliff zdawał sobie sprawę, iż za kilka dni straci ona wszelką zasadność. Alison także zabierała się za pomiary, niezbyt intensywne na terenie nadmorskim, za to bardzo rozległe później, kiedy badania przeniosą się w głąb lądu. Początki są jednak zawsze trudne, zwłaszcza przy tak wielkim napięciu nerwowym. McAuliff nie potrafił z łatwością rozdzielić uwagi, a może nawet nie chciał jej rozdawać.

„Już niedługo zacznie pan słyszeć głos wewnętrznej anteny. Trochę jak gdyby się miało drugą naturę. Poczujecie pan wewnętrzny rytm, dzieci któremu można połączyć wszystkie osobne cele. Nauczy się pan go wychwytywać i nabierze pan zaufania do takiej metody”.

Znów Holcroft.

Pierwszych kilka dni okazało się innych: Alexowi nie śniło się nawet ufać wewnętrznym głosom. Sam musiał jednak przyznać, że boi się coraz mniej... Strach zacierał się niepostrzeżenie, krok po kroku. Alex przypisywał ten fakt ciągłej aktywności fizycznej; a także temu, że wokół Alison czuwali tacy faceci, jak Sam Tucker i „komandosi” Baraka Moore'a. Wystarczyło obejrzeć się, by ujrzeć Alison w pobliżu – w tym przypadku niedaleko plaży, w łódce, w której dziewczyna pukała młotkiem w kamienie i uczyła pomocników obsługi świdra do pobierania rdzeni wiertniczych.

Z drugiej strony czy właśnie owe uczucia nie były głosem wewnętrznej anteny? Czy malejący strach nie oznaczał większego zaufania do własnych zdolności?

R.C. Holcroft. Kawał zarozumiałego sukinsyna. Manipulant. Ten, który posiadał prawdę.

Niecałą prawdę.

Tereny okalające plażę Braco okazały się niebezpieczne, zwłaszcza nad morzem, gdzie szerokie na setki metrów ławice koralowe wybiegały daleko w fale. McAuliff i Sam Tucker musieli czołgać się po ostrych jak brzytwa miniatury wzgórzach koralowca, rozstawiając geodimetry i teodolity. Obaj pokaleczyli się w dziesiątkach miejsc, ponaciągali sobie mięśnie w plecach i ramionach.

Trzeciego dnia wspomogła ich w pracy Alison, której udało się jakimś cudem wydębic od miejscowych płaskodenną łódź rybacką. W towarzystwie dwójki opiekunów dziewczyna przywozła na rafę drugie śniadanie, w postaci kurczaka na zimno.

Ucztowali więc wygodnie na najbardziej niewygodnej murawie, jaką tylko można sobie wyobrazić.

Jeden z czarnych rewolucjonistów, Floyd – ten, który przybił łódką do zdradliwego koralowego portu – celnie zauważył, że na plaży byłoby równiej i o wiele mniej mokro.

–Tak, ale wtedy Sam i Alex musieliby później znowu tutaj pełznąć – wyjaśniła Alison, poprawiając płócienny kapelusz z szerokim rondem.

–*Mon*, ale masz troskliwą babę! – ucieszył się drugi Murzyn, milkliwy, potężnie zbudowany Lawrence.

Całą piątką przysiedli – o rozsiadaniu się nie było mowy – na najwyższych kondygnacjach koralowej rafy, gdzie i tak dosięgały ich rozbryzgi fal, spadające w postaci rozpylonej mgły błyszczącej kolorami tęczy. Daleko na morzu mijały się dwa masowce, jeden idący w stronę horyzontu, drugi do bazy załadunkowej boksytów, na wschód od zatoki Runaway. Kilkaset metrów od rafy ciął fale luksusowy jacht motorowy, przystosowany do wędkowania na głębokich wodach. Pasażerowie pokazywali sobie z niedowierzaniem piątkę osób, które urządzają piknik na rafach.

McAuliff przyglądał się reakcji swoich ludzi na zaskoczenie pasażerów jachtu. Sam Tucker zerwał się na równe nogi, wskazał na koralowiec i ryknął do nieznanym:

–Diamenty!

Floyd i Lawrence, obaj muskularni i obnażeni do pasa, zaśmiali się serdecznie, widząc te wyglupy. Lawrence oderwał kawał koralowca i podniósł go w górę, a potem cisnął Tuckerowi. Ten złapał koral i znowu zawołał:

–Dwadzieścia karatów!

Alison, w dżinsach i polowej bluzie, przemoczona od bryzgów, również przyłączyła się do tych figli. Z namaszczeniem przyjęła wręczony jej koralowiec i wyciągnęła go na rozłożonej dłoni niczym pierścień z drogocennym klejnotem. Nagły podmuch wiatru omiół rafę. Alison upuściła kamień, usiłując zatrzymać uciekający kapelusz, ale było za późno. Kapelusz uleciał i zniknął za następnym koralowym pagórkem. Zanim Alex zdążył wstać i rzucić się za nim, Lawrence pędził już w stronę wody, pewnie skacząc z jednej koralowej skały na następną. W mgnieniu oka dogonił kapelusz, otrzepał go z wody i bez wysiłku, prawie jednym skokiem, powrócił na miejsce. Alison zaś przyjęła zdobycz.

Wszystko to nie trwało nawet dziesięciu sekund.

–Lepiej go mieć na głowie, pani Alison. Słońce pali. Spiecze, jak tę skórę na kurczaku, *mon*.

–Dziękuję, Lawrence – odezwała się wdzięczna Alison, mocno naciskając mokry kapelusz na głowę. – Biegasz po tych rafach jak po polu golfowym.

–Lawrence to świetny chłopiec do piłek, proszę pani – zgodził się z uśmiechem Floyd, który nawet nie ruszył się z miejsca. – W klubie golfowym Negril wszyscy za nim przepadali. Nie, Lawrence?

Lawrence wyszczerzył się w uśmiechu i posłał McAuliffowi wymowne spojrzenie.

–Ech, *mon*, w Negril wszyscy by tylko: Lawrence! Lawrence! Dlatego, że dobrze kiwam, *mon*. Wszyscy tylko chcą, żeby im piłki, z wysokiej trawy w niską, nie? Wszyscy wiedzą, co robię, nie? Ale wszyscy: Lawrence! Lawrence!

Sam Tucker usiadł także i śmiejąc się dodał:

–Wszyscy tylko: Masz tu dolara. Czy nie tak, Lawrence?

–Pewnie, dolar i dolar – zgodził się Murzyn.

–A może nie tylko dolar? – domyślił się McAuliff, patrząc na Floyda i przypominając sobie, jak ekskluzywnym miejscem jest klub golfowy Negril. – Wszyscy by tylko chlapali językiem. Informacja, tak?

–A tak, *mon* - Floyd uśmiechnął się porozumiewawczo. – Jak to się mówi... Bogacze z Westmoreland lubią się chwalić przy golfie.

Alex zamilkł. Cała sytuacja wydała mu się nagle bardzo dziwna. Siedzieli oto w piątkę, racząc się kurczakiem na rafie koralowej, sto metrów od brzegu, przedrzeźniając pasażerów jachtu i dowcipkując na temat szpiegowskiej działalności chłopca od podawania pitek.

Dwaj czarni rewolucjoniści, rekruci z górskiego oddziału *guerillas*, jeden podstarzały żołnierz fortuny albo po prostu najemnik (Sam Tucker obraziłby się za taki stereotyp, lecz jeśli etykieta taka pasowała do kogoś, to właśnie do niego). Dalej, niezwykle przystojna... urzekająca angielska rozwódka, której kariera obejmowała dziwnym trafem pracę dla międzynarodowej organizacji policyjnej. I, na koniec, jeden trzydziestoosmioletni były oficer piechoty, który sześć tygodni wcześniej przyleciał do Londynu myśląc, że po negocjacjach podpisze kontrakt na pomiary i badania geologiczne.

Pięć osób, z których każda wiedziała, iż robi zupełnie co innego, niż się to wydaje postronnym. Wszyscy znaleźli się w tej samej sytuacji co McAuliff, Alison i reszta. Dlatego że nie było innego wyjścia. Nie było, i tyle.

Dziwne? Prędzej już obłędne.

McAuliffa znów uderzyła myśl, że w obecnych okolicznościach ma spośród tych ludzi najmniejsze predyspozycje do tajnego zadania. Niemniej, to właśnie okoliczności, nie kwalifikacje, uczyniły z niego przywódcę.

Szaleństwo.

Siódmego dnia, pracując tylko z krótkimi przerwami, Alex i Sam dokończyli kartowanie wybrzeża aż po Boorwood, pięć mil na wschód od ujścia Martha Brae, które stanowiło granicę pomiarów. Jensenowie i James Ferguson posuwali się za nimi wzdłuż wybrzeża, choć w mniej ostrym tempie, gdyż co chwila rozstawiali stoliki z mikroskopami, palniki, naczynia, wagi i odczynniki chemiczne, zgodnie ze swoim zadaniem. Nikt z uczestników nie poczynił w tym czasie nadzwyczajnych odkryć, nikt też nie spodziewał się nadzwyczajności na terenach nadmorskich. Obszary te badano w przeszłości szczegółowo, na zlecenie przemysłu i przedsiębiorstw turystycznych, więc wszystko, co godne uwagi, dawno trafiło do naukowych raportów. Ponieważ botaniczne badania Fergusona wiązały się bezpośrednio z analizami gleby, domeną Sama Tuckera, botanik podjął się robić te analizy za Amerykanina. Dzięki temu Tucker mógł pomagać Alexowi przy całej serii pomiarów topograficznych.

Tyle jeśli idzie o geofizykę. Działo się jednak coś jeszcze, choć nikt nie umiał wyjaśnić dlaczego.

Pierwszy zorientował się w tym Jensen.

Dźwięk. Zwyczajny odgłos. Niskie zawrodożenie bądź zew, który zdawał się ciągnąć ich śladem przez całe popołudnie. Kiedy usłyszeli ten głos, dobiegał z zarośli za

pasmem wydmy. Pomyśleli, że słyszą zranione zwierzę, a może zabląkane dziecko, w męczarniach, w cierpieniu, które nie pozwala już nawet na łzy.

Przerażający dźwięk, w bezpośrednim sensie tego słowa.

Jensenowie popędzili natychmiast przez wydmy, wpadając w gąszcz i przedzierając się przez płataninę gałęzi, by jak najszybciej dotrzeć do źródła przerażającego, okropnego krzyku. Nie znaleźli niczego.

Zwierzę, dziecko? Czymkolwiek było to krzyczące coś, uciekło. Niedługo potem, bo jeszcze tego samego popołudnia, James Ferguson wbiegł zdyszany na plażę, a na twarzy malował mu się prawdziwy popłoch. Okazało się, że kiedy próbował wytropić w gęstwinie główną łodygę krzewiastej paproci, zaplątał się na skalną półkę wysoko nad brzegiem. Stał tam, zasłonięty pnączami i liśćmi makki, kiedy w całym ciele poczuł wibrację – z początku tylko wibrację. W ślad za nią rozległ się jednak dziki, przeszywający krzyk; wysoki, lecz ogłuszający, od którego, jak twierdził, o mało nie popękały mu bębenki.

Tylko temu, że kurczowo chwycił się lian, zawdzięczał, iż nie runął w przepaść.

Przerażony i roztrzęsiony, co tchu zbiegł ze skał na równy grunt i dołączył do grupy.

James oddalił się od nich najdalej na kilkaset metrów.

A mimo to nikt oprócz niego nie słyszał żadnego straszliwego krzyku.

Whitehall również doświadczył podobnych omamów. Idąc wzdłuż brzegu, trochę plażą, trochę przez las, zapędził się daleko wzdłuż zatoki Bengal. Szedł właściwie bez celu, ot, na poranny spacer dla zdrowia. Miał zamiar dojść najwyżej do cypla.

Mniej więcej o milę na wschód od hotelowej plaży zatrzymał się na odpoczynek na płaskiej skale nad wodą. Za sobą usłyszał dziwny hałas, toteż odwrócił się, pewny że ujrzy ptaka albo myszkującą po lesie mangustę.

Nie zobaczył niczego.

Znowu odwrócił się ku falującej wodzie, kiedy poczuł tuż za sobą prawdziwą eksplozję dźwięku – przeciągłe, idące echem, rozdzwonione kakofonią wycie, które równie nagle ucichło.

Nic.

Whitehall mocno wsparł się o skałę i zaczął przepatrywać las. Na próżno.

Wiedział tylko, że czuje potworny ból w skroniach. Charles Whitehall był jednak naukowcem, a więc po części i sceptykiem. Doszedł prędko do wniosku, że gdzieś w głębi lasu, najpewniej ze starości, musiało runąć ogromne drzewo. W śmiertelnym upadku tony spróchniałego, trącego o siebie drewna z potężnego pnia spowodowały to dziwne zjawisko akustyczne.

Nikt nie chciał w to jakoś uwierzyć.

McAuliff przyglądał się minie Whitehalla, kiedy Murzyn opowiadał o swoim przeżyciu. Z łatwością spostrzegł, że Whitehall sam nie wierzy we własne wytłumaczenie.

Działy się rzeczy nie do wyjaśnienia, i to na oczach badaczy – bądź co bądź specjalistów od nauk ścisłych. Speców od wyjaśniania.

Może nie tylko Whitehall zwał wszystko na leśną akustykę? McAuliff miał

wrażenie, że wszyscy uchwycili się podobnych wytłumaczeń. Nie mogli sobie poza rym pozwolić na dłuższe dywagacje. Czekala na nich praca.

Jak połączyć osobne cele?

Alison uznała, że warto pochwalić się znaleziskiem. Z pomocą Floyda i Lawrence'a dokonała serii głębokich wierceń wzdłuż łuku plaży i raf koralowych. Próbki z rdzeni wykazywały obecność warstw węgla brunatnego, przerastających wapienne pokłady dna szelfu. Geologicznie odkrycie dawało się wyjaśnić stosunkowo prosto: przed setkami tysięcy lat ruchy tektoniczne pogrzebały całe pokłady lasów i pni. Niezależnie od teorii było jednak jasne, że jeśli ktoś zamierza wbijać w dno pale pod nadbrzeża albo mola, musi się liczyć z dodatkowymi kosztami przy osadzaniu konstrukcji.

Zaabsorbowanie Alison McAuliff przyjął z ulgą. Im więcej miała pracy, tym mniej skarżyła się na ciągły dozór. Co więcej, McAuliff mógł teraz pilnować Floyda i Lawrence'a, pilnujących dziewczyny. Obaj Murzyni okazali się bardzo obowiązkowi i pełni taktu. Ilekroć Alison zapuszczała się dalej wzdłuż plaży albo na nadmorskie łąki, szli za nią, najczęściej obaj, i albo wyprzedzali, albo trzymali się z boku. Przypominali wtedy dwie pantery, wiecznie sprężone do skoku, chociaż nie można im było zarzucić, że ściągają na siebie ludzką uwagę tymi wędrówkami. Obaj upodobnili się do naturalnych elementów pejzażu wokół Alison, obaj też zawsze coś nieśli: lornetkę, pudła na próbki, mapniki i co tylko im wpadło w ręce, odwracając uwagę od faktycznej funkcji, jaka im przypadła.

Nocami McAuliff odkrywał dodatkową zaletę ich obecności, choć wcale ich o to nie prosił: Floyd i Lawrence na zmianę patrolowali trawniki i korytarze motelu Bengal. Alex zorientował się w tym przypadku, gdy nocą, ósmego dnia pomiarów, wstał o czwartej nad ranem, by nabrać sobie do plastikowego wiaderka trochę lodu z kostkami przy recepcji. Bez lodu woda pitna wydawała mu się za ciepła.

Kiedy skręcił za narożnik aneksu, w którym stała maszyna do lodu, dostrzegł nagle przez okienną kratę jakąś postać. Obcy szedł szybko przez trawnik, zupełnie bezszelestnie.

McAuliff prędko zebrał lód do wiaderka, zamknął metalową pokrywę i skręcił za róg, idąc ku recepcji. Gdy tylko zniknął z pola widzenia, bezszmerowo postawił wiaderko na podłodze i przycisnął się plecami do ściany.

Natychmiast zauważył ruch.

Wyskoczył zza narożnika, by rzucić się na intruza. Zacisnął pięści, skoczył i wpadł na Lawrence'a. Nie złapał już równowagi.

–Ech, *mon!* - zawołał niegłośnie Murzyn, padając pod ciężarem McAuliffa.

Obaj przetoczyli się na trawnik.

–Rany boskie! – . szepnął przytulony do Lawrence'a McAuliff. – Co ty tu robisz, u diabła?

Lawrence uśmiechnął się w ciemnościach i wyszarpnął rękę spod pleców Alexa.

–Ciężki jesteś, *mon*. A jaki szybki!

–Bo się zdenerwowałem... Ale co ty robisz o tej porze?

Lawrence wyjaśnił krótko, przepraszającym tonem, że razem z Floydem zawarli

układ z nocnym stróżem, starszym, który nocą z flintą na plecach patrolował teren motelu. Nikt nie wierzył, że stróż umiałby użyć strzelby, a ponieważ Barak Moore nakazał swoim ludziom czuwać w dzień i w nocy, czuwali. Lawrence dodał, że robiliby to nawet bez rozkazu.

–No dobrze, ale kiedy śpisz?

–Już ja się umiem wyspać, *mon* - uspokoił go Murzyn. – My tylko: raz jeden, raz drugi, nie?

Alex wrócił do swojego pokoju. Kiedy zamknął drzwi, Alison przysiadła na łóżku i z lękiem zapytała:

–Czy coś się stało?

–Skądże, wręcz przeciwnie. Czuwa nad nami mała armia. Nic nam nie grozi.

Po południu dziewiątego dnia, McAuliff i Tucker dociągnęli pomiary do ujścia rzeki Martha Brae. Karty geodimetryczne i zdjęcia z teodolitów trafiły do hermetycznej skrzyni, zamkniętej w klimatyzowanym schowku ciężarówki ze sprzętem. Peter Jensen przedstawił w zarysie przebieg złóż i żył kruszcowych wzdłuż wybrzeża. Ruth, jego żona, natrafiła w koralowych skałach na skamieniałości, chociaż niezbyt ciekawe. James Ferguson, który zajmował się jednocześnie florą i glebą, także nie natrafił na nic szczególnego. Jediną niespodziankę sprawiły odkryte przez Alison warstwy węgla brunatnego.

Wszystkie raporty miały powędrować do Ocho Rios do skopiowania. McAuliff zapowiedział, że zajmie się tym osobiście, Namordował się przez ostatnich dziewięć dni i na jedną dobę chciał sobie wziąć wolne. Tych, którzy mieli ochotę na wypad do *Ochee*, zaprosił do kompanii. Reszta uczestników mogła ruszyć do Montego albo leniuchować na motelowej plaży, do wyboru. Wznowienie pomiarów – rankiem jedenastego dnia wyprawy. Usiedli na brzegu rzeki, snując plany na wolny dzień i przeżywając wciąż takie same kanapki z motelowej kuchni. Jedyne Charles Whitehall, który dotąd głównie polegał na plaży, miał jasny i konkretny plan, chociaż nie mógł się nim pochwalić przy wszystkich. Wyjawiał go, gdy znaleźli się z Alexem sami.

–Naprawdę muszę wygrzebać te papiery Piersalla. Daję słowo, McAuliff, nie śpię przez nie po nocach;

–Zaczekamy na Moore'a. Taka była umowa.

–Jak długo? Na litość boską, ile jeszcze mamy na niego czekać? Jutro mija dziesięć dni, dokładnie tyle, ile nam dał.

–Niczego nie obiecywał. Ja też się niecierpliwię. Jak to było? Ceratowa torba, zakopana gdzieś na terenie posiadłości?

–Nie zapomniałem o tym ani przez chwilę.

Skupienie na dwóch sprawach jednocześnie. Osobne cele. Holcroft.

Charles Whitehall niecierpliwił się nie tylko jako spiskowiec, lecz także jako naukowiec; Może nawet przede wszystkim jako naukowiec – pomyślał McAuliff. – Ostatecznie całe życie strawił na badaniu tych spraw i miał prawo wykazywać ciekawość.

Jensenowie chcieli zostać w motelu. Ferguson zażądał od McAuliffa zaliczki i

zamówił taksówkę do Montego Bay. McAuliff, Sam Tucker i Alison pojechali ciężarówką do Ocho Rios. Za nimi pociągnęli w starym kombi Floyd i Lawrence, w towarzystwie Whitehalla. Obaj partyzanci długo nalegali na taki podział.

Barak Moore leżał w wysokiej trawie, nie odejmując lornetki od oczu. Słońce zachodziło już, a pomarańczowożółte światło sączyło się przez listowie nad głową i odbijało się od białych murów domostwa Piersalla, czterysta metrów w przodzie. Moore widział poprzez trawę sylwetki policjantów z Trelawny, krążących wokół domu i sprawdzających na odjezdnym drzwi oraz okiennice. Pozostawiają na noc jednego policjanta na warcie. Jak zwykle.

Na ten dzień policja zakończyła już czynności dochodzeniowe w najdłuższym śledztwie w historii parafii Trelawny. Barak nie pamiętał innego dochodzenia, które by trwało prawie dwa tygodnie. Z Kingston przybywały kontyngenty cywilów w odprasowanych garniturach. To ostatnie znaczyło, że w śledztwie biorą udział instytucje ważniejsze niż policja.

Niczego nie znajdą. Barak Moore był tego najzupełniej pewien.

O ile oczywiście Walter Piersall prawidłowo opisał mu obie kryjówki.

Barak nie mógł już czekać. Nic prostszego, niż wykopać ceratową torbę, od której dzieliło go w tej chwili sto pięćdziesiąt metrów, ale problem nie kończył się na kopaniu. Moore potrzebował pomocy Charlesa Whitehalla i to o wiele bardziej, niż wyobrażał to sobie Whitehall. Go za tym idzie, trzeba było dostać się do wnętrza domostwa Piersalla i wynieść stamtąd resztę dziedzictwa: dokumenty zgromadzone przez antropologa.

Niezwykłe dokumenty. Zabetonowane w kamiennej ścianie suchej, nie używanej cysterny na wodę w piwnicach domu.

Walter Piersall pieczołowicie wyłupał z tej ściany kilka kamiennych bloków, wygrzebał w ziemi za murem otwór, po czym go zamurował. W otworze zaś spoczęły wyniki jego badań nad Halidonem.

Dopóki Charles Whitehall nie ujrzy tych papierów, nie zaoferuje pomocy. Barak bardzo liczył na pomoc ze strony *Charley-mona*.

Policjanci z Trelawny wsiadali już do samochodów. Kiedy ruszali, pozostawiony strażnik pomachał im na pożegnanie.

Oto on, Barak, ludowy rewolucjonista, musi kolaborować z Whitehallem, politycznym kryminalistą. Porachunki, a może i wojnę domową, odłożą na później, jak w tylu innych nowych państwach. Najpierw trzeba się uporać z białymi, z ich bogactwem, z ich koncernami, z ich wiecznym łaknieniem, by wycisnąć z czarnego człowieka resztki potu. Najpierw walka, przede wszystkim walka.

W zamyśleniu Barak na moment przestał śledzić teren przez lornetkę. Strażnik zniknął z pola widzenia. Murzyn przepatrzył całą okolicę, poprawiając ostrość szkła firmy Zeiss Ikon, gdy kierował wzrok na trawniki przy domu i na łagodny skłon łąki za rezydencją. Za wygodną rezydencją białego człowieka.

Dom Piersalla zbudowano na wzgórzu, a do jego bramy prowadziły dwie kręte drogi, jedna od zachodu, z dna doliny George'a, a druga ze wschodu, od strony Martha Brae. Wjazd obrastały drzewa mango, palmy, hibiskusy i storczyki. Rośliny

spowijały też cały wpuszczony w ziemię, piętrowy budynek z białego kamienia. Dom był podłużny, a większość obszernych pokoi znajdowała się na górze. We wszystkich oknach i drzwiach widniały czarne, ozdobne kraty. Jedyne okna z szybami należały do sypialni na piętrze. Wszystkie okna posiadały też okiennice z tekowego drewna.

Najbardziej w Wysokim Wzgórzu -jak nazywano rezydencję – uderzał jednak tył domu. Po wschodniej stronie dawnego, zarośniętego pastwiska, w którym ukrył się Moore, wykrojono wśród zagajników i łąk ogromny trawnik, obsiany karaibską kostrzewą i gładki jak pole golfowe. Sterczące tu i ówdzie skały pobielono wapnem, co upodobiło je do grzywaczy nad oceaniczną tonią.

Pośrodku tej sztucznej łąki znajdował się basen, niezbyt duży i zbudowany właśnie przez Piersalla. Błękitne i białe kafelki odbijały słońce równie mocno jak zielonkawa woda. Wokół basenu, na okalającym go trawniku, stały krzeselka i stoły – białe, odlane z żeliwa, z wyglądu delikatne, lecz bardzo wytrzymałe.

Strażnik znów pojawił się w polu widzenia. Barak Moore aż się zadławił z zaskoczenia i złości. Strażnik bawił się z psem, paskudnym dobermanem. Do tej pory nie kręcił się tu żaden pies... Widok ten zmartwił Baraka. Pocieszenie mógł jedynie stanowić fakt, że mając do pomocy psa, policjant będzie pewnie dłużej czekać na zmiennika na posterunku. Policja używała psów w dwóch przypadkach: kiedy teren patrolu był niebezpieczny albo kiedy jeden człowiek musiał przez dłuższy czas strzec tego samego miejsca. Psy okazywały się wówczas pożyteczne, gdyż były czujne, stanowiły dodatkową ochronę i pomagały zabić czas.

Strażnik cisnął przed siebie patyk. Doberman puścił się cwałem wokół basenu i omal nie wpadając na żeliwny stolik złapał zdobycz w pysk. Zanim zdążył go zaaportować, policjant cisnął kolejny patyk. Doberman zgłupiał w tym momencie, upuścił pierwszy kijek i rzucił się za następnym.

Barak splunął na widok takiej głupoty. Strażnik rechotał w najlepsze. Widać, że nie zna się na zwierzętach. Tych, którzy nie znają się na zwierzętach, łatwiej złapać w pułapkę.

Pułapka czekała.

XVIII

Noc była wyjątkowo jasna, a jamajski księżyc w trzeciej kwadrze lśnił ponad urwistymi brzegami Martha Brae. Sterowana długimi kijami, skradziona bambusowa tratwa spłynęła nareszcie bystrym nurtem do miejsca, skąd do domostwa w Carrick Foyle były już tylko dwa kroki. Tratwa wpłynęła do małej, mrocznej zatoczki, a załoga wyciągnęła ją na brzeg i ukryła pod bujnymi kaskadami mangowców i palm.

Załoga, czyli Barak Moore, Alex, Floyd oraz Whitehall. Sam Tucker i Lawrence pozostali w motelu Bengal, by czuwać przy Alison.

Spiskowcy zaczęli skradać się w górę zbocza, przez gęste i splątane podszycie. Stok okazał się bardzo stromy, a wspinaczka powolna i niezmiernie utrudniona. Od Wysokiego Wzgórza dzieliło ich półtora kilometra, najwyżej dwa, lecz pokonanie tej odległości zabrało im dobrą godzinę. Charles Whitehall uważał, że bardzo głupio obrali marszrutę. Jeżeli domu pilnuje tylko jeden strażnik z psem, dlaczego nie podjechać do oddalonej o kilkaset metrów bramy posiadłości i nie podkraść się krętą drogą do samego domu?

Barak Moore wychodził jednak z założenia, iż policja w Trelawny nie jest aż tak głupia, za jaką ma ją Whitehall. Rewolucjonista nie wykluczał, że miejscowe władze kazały rozstawić w bramie posiadłości elektroniczne potykacze. Od miesiący słyszało się przecież o stosowaniu podobnych urządzeń w hotelach Montego Bay, Kingston i Port Antonio. Nie można ryzykować nadziania się na fotokomórkę.

Zadyszani przystanęli na południowym skraju opadającej w tę stronę łąki za domem i przyjrzeni się Wysokiemu Wzgórzu. Księżycowe światło odbite od białego kamienia upodobiało rezydencję do alabastrowego pomnika, milczącego, cichego, pełnego wdzięku i treści. Zza tekowych okiennic w dwóch pomieszczeniach dobywało się światło. Jedna lampa paliła się w pokoju na dole, wychodzącym na gazon, druga w środkowej sypialni na piętrze. Inne części domu krył mrok.

Poza tym paliły się też podwodne lampy w basenie. Lekki wietrzyk marszczył jego taflę, a drobne falki tańczyły podświetlane błękitną poświatą.

–Musimy go tu zwabić – szepnął Barak. – I psa tak samo, *mon*.

–Dlaczego? Po co? – zapytał McAuliff, czując, jak pot kapie mu z brwi i spływa w oczodoły. – On jest jeden, nas czterech.

–Moore ma rację – odezwał się Charles Whitehall. – Jeżeli rozstawili fotokomórki w bramie, na pewno założyli też coś w środku.

–Strażnik ma na pewno krótkofalówkę, *mon* - przerwał Floyd. – A ja znam te drzwi. Zanim je wyważymy, zdąży dziesięć razy wezwać pomoc.

–Do Falmouth jest stąd pół godziny drogi, a policja odjechała do Falmouth – naciskał Alex. – Zanim przyjadą, będziemy daleko.

–Wcale nie – zbył go Barak. – Nie wiadomo, ile się będziemy mocować z tym murem w piwnicy... Najpierw wykopujemy torbę. Chodźcie!

Rewolucjonista z wygoloną czaszką poprowadził ich wzdłuż lesistego skraju posiadłości, w stronę zarośniętego pastwiska. Zasłaniając dłonią szkło latarki, popędził ku kępie drzew chlebowych w pomocnym narożniku kamienistej łąki i przykucnął zapniem najdalszego drzewa. Pozostali poszli w jego ślady. Barak

oznajmił im, oczywiście szeptem:

–Jeżeli coś mówicie, to cicho. Na wzgórzach wiatr niesie głosy. Torba jest zakopana czterdzieści cztery kroki na prawo od czwartego głazu, w północno-zachodnim rogu pastwiska, licząc od tego drzewa.

–Widać, że Piersall znał się na Jamajce – zauważył cicho Whitehall.

–A to czemu? – McAuliff zdziwił się na widok smutnego uśmiešku na oświetlonej księżycem twarzy naukowca.

–Arawakowie zawsze zaznaczali wojenny marsz śmierci czwórkami i zawsze na prawo od zachodzącego słońca.

–Mało pocieszające – bąknął Alex.

–To samo mogli powiedzieć Indianie – odezwał się znów Whitehall. – Arawaków jakoś mało ubawiło przybycie białych.

–Afrykanów też nie, *Charley-mon*. – Barak obrzucił Whitehalla groźnym spojrzeniem. – Myślę sobie, że czasem o tym zapominasz.

I już pod adresem Alexa oraz Floyda rzucił:

–Za mną. Gęsiego.

Przebiegli chyłkiem przez zarośniętą łąkę w ślad za rewolucjonistą, po drodze po omacku dotykając głazów. Pierwszy, drugi, trzeci i czwarty.

Przyklękli przy czwartym głazie, mniej niż sto pięćdziesiąt metrów od ostatniego chlebowca. Barak znów osłonił latarkę i rzucił wąski snop światła na kamień. Na samym wierzchu głazu ktoś leciuteńko wyrył dłutem znak. Whitehall pochylił się nad dziwnym symbolem.

–Ten wasz Piersall miał tradycyjne wyobrażenia o świecie. Tradycyjne w pozytywnym sensie. Popatrzcie, od Arawaków przeskokczył do znaków koromantyńskich. – Naukowiec przesunął palcem wzdłuż widocznych przy latarce linii i ciągnął zniżając głos: – Zakrzywiony sierp to dawny księżyc Aszantów. Koromantowie zaznaczali nim szlak na użytek reszty plemienia, ciągnącej dwa czy trzy dni za myśliwymi. Wyżłobienia po wypukłej stronie sierpa określają kierunek. Jedno wyżłobienie: w lewo. Dwa: w prawo. Miejsce wzdłuż łuku oznacza dokładny kierunek. Macie: dwa wyżłobienia, przy samym środku. Czyli: dokładnie na prawo od kamienia, patrząc od podstawy łuku. – Whitehall wskazał dłonią na północny wschód.

–Dokładnie jak mi mówił Piersall – skwitował te rewelacje Barak Moore. Nie próbował nawet kryć złośliwego tonu. W przycinku pod adresem *Charley-mona* McAuliff wyczuł jednak coś w rodzaju szacunku. Rewolucjonista odwrócił się i zaczął odmierzać odległość czterdziestu czterech kroków. Piersall doskonale zamaskował jamę, gdzie schował dokumenty. W miejscu, gdzie powinni kopać, sterczała z traw kępa krzaczastych paproci. Przesadzono je w to miejsce nadzwyczaj starannie – tak starannie, iż można by przysiąc, że od co najmniej trzech lat nie tknęła tego miejsca łopata.

Floyd wyjął zza pasa składaną saperkę, rozłożył ją, zamocował ostrze i zabrał się do kopania. Charles Whitehall przyklękął obok rewolucjonisty i pomagał mu, gołymi rękami odgarniając ziemię.

Prostokątna kasetka spoczywała głęboko w ziemi. Gdyby wskazówki nie były tak dokładne, dawno zrezygnowaliby pewnie z poszukiwań. Wygrzebany dół miał już ponad metr głębokości. Whitehall domyślał się, że Piersall zagrzebał dokumenty dokładnie cztery stopy pod ziemią. Arawacka czwórka.

Gdy tylko saperka Floyda zachrobotła o metalową kasetkę, Whitehall sięgnął błyskawicznie po znalezisko, wyszarpnął je z ziemi i palcami spróbował podważyć wieko. Już po sekundzie zorientował się, że próbuje rzeczy niemożliwej. Sam setki razy używał podobnych kasetek i doskonale wiedział, co ma przed sobą; próżniowy pojemnik na archiwalia, z wiekiem hermetycznie zamykanym i uszczelnionym gumą. Z wnętrza dawało się wypompować powietrze, a wtedy, by otworzyć kasetkę, potrzebne były dwa osobne klucze, do pary zamków po obu krótszych bokach. Po przekręceniu kluczy powietrze napływało do wnętrza i rozhermetyzowywało kasetkę, na tyle że po kilku minutach dawała się otworzyć. Tego rodzaju schowki stosuje się w najbogatszych bibliotekach świata do przechowywania rzadkich rękopisów – tak rzadkich, że naukowcy mają do nich dostęp raz na pięć lat i konieczne są niezwykle metody przechowywania. Słowo „kasetka na archiwalia” pasowało zresztą doskonale do dokumentów o sprawach, które od tysiąca lat spoczywają w archiwalnym zapomnieniu.

–Dawaj klucze – szepnął rozgorączkowany Whitehall do Baraka.

–Jakie znów klucze, *mon*. Piersall niczego mi nie mówił o kluczach.

–Cholera!

–Cisza! – zmytygował ich McAuliff.

–Zasypuj dół – polecił Moore Floydowi. - Inaczej poznają, że ktoś tu kopali; Wsadź z powrotem paprocie, i w ogóle.

Floyd posłusznie zrobił, co mu kazano. McAuliff pomagał, Whitehall natomiast: nadal przewiercał wzrokiem trzymaną w ręce kasetkę. Był blady z wściekłości.

–To jakiś paranoik! – wyszeptał, mając na myśli Piersalla, i znów odwrócił się do Baraka: – Mówiłeś, że będzie torba. Ceratowa torba czy teczka! A tu, masz! Trzeba palnika, żeby to otworzyć.

–Charley ma rację – mruknął Alex, rękami zasypując dół. Poniewczasie zdał sobie sprawę, że niechcący nazwał naukowca obelżywym zdrobnieniem. – Ciekawe, po co Piersall tak się fatygował? Nie mógł zamurować tej kasetki razem z resztą papierów w piwnicach?

–Pytasz o coś, czego nie wiem, *mon*. Wiem tyle, że Piersall bardzo się tym wszystkim przejmował.

Dół udało się już zasypać. Floyd przyklepał ziemię i wcisnął w nią korzenie krzaczastej paproci.

–Według mnie wystarczy, *mon* -rzucił, składając saperkę i przypinając ją do pasa.

–Tylko jak się dostać do środka? – McAuliff nie pomyślał o tym wcześniej. – Jak wywabić strażnika?

–Zastanawiam się od paru godzin – odpowiedział mu Barak. – Myślałem o dzikich świniach.

–Świetny pomysł, *mon!* – ucieszył się Floyd.

–Do basenu, tak? – domyślił się Whitehall.

–A pewno.

–O czym wy mówicie, do diabła? – Alex spojrział na trzy jasne od księżyca murzyńskie twarze. Odpowiedział mu Barak Moore.

–W Cock Pitcie jest mnóstwo dzikich świń. Złośliwe szkodniki, nie? Jesteśmy raptem półtora kilometra od miejsca, gdzie się zaczyna Cock Pit. Świnie zapuszczają się często jeszcze dalej... Floyd i ja zaczniemy chrząkać, a pan i Charley-mon musicie rzucać kamienie do basenu.

–Tylko co z psem? – powstrzymał go Whitehall. – Najlepiej go zastrzelić.

–Żadnej strzelaniny, *mon!* Huk niesie się na całe mile. Sam zajmę się psem. – Moore wydobył z kieszeni pistolet pneumatyczny z nabojem usypiającym. – Mamy takich parę w arsenale. Chodźcie!

Pięć minut później McAuliff miał wrażenie, że bierze udział w podwórkowej dziecięcej inscenizacji, której pomysł podszeptał malcom sataniści. Barak i Floyd podczołgali się do skraju wysokich traw, okalających elegancki gazon. Pewni, że doberman ruszy tym tropem, kiedy zwęszy ludzi, Alex i Whitehall położyli się obok siebie, trzy metry na prawo od rewolucjonistów. Przed sobą rozłożyli kamienie. Mieli je cisnąć, byle celnie, do odległego o dwadzieścia metrów basenu, gdy rozlegną się pierwsze hałasy świńskiego pojedynku.

Nie czekali długo.

Nocną ciszę rozdarł przeraźliwy i niesłychanie autentyczny kwik, po którym rozniosło się chrząkanie przerażonej świni, przenikliwe i dziwnie okropne.

–Auuuuuuuuuu! Grrrr... Grrrrr... Auuuuuuuu! liijaaaaaa!

McAuliff! Whitehall cisnęli kamienie do wody. Dźwięk rozbryzgów przemieszał się z apokaliptycznym kwikiem, wypełniając noc przeraźliwą kakofonią.

Okiennica pokoju na parterze otworzyła się nagle. Za kratą widać było strażnika z karabinem w rękach. Nagle Alex poczuł, że w policzek trafił go kamyk. Niezbyt mocno. Przekręcił głowę w tamtym kierunku i ujrzał, jak ukryty w wysokiej trawie Floyd daje znak, by przestać rzucać kamienie. Alex posłusznie złapał Whitehalla za rękę.

Kwiczenie nabrało mocy, a towarzyszyło mu teraz głuche dudnienie racic. W księżycowym świetle Alex widział, jak Barak i Floyd tupią w ziemię nie gorzej od pary oszalałych zwierzaków i trzęsą głowami w hałaśliwym crescendo.

Dzike świnię, walczące w wysokiej trawie.

Drzwi rezydencji Piersalla rozwarły się z trzaskiem. Strażnik, nie rozstając się z karabinem, puszczał już psa ze smyczy. Doberman wypadł na trawnik i pędem rzucił się tam, skąd go dobiegały histeryczny hałas i ludzka woń.

McAuliff przyklęknął, zahipnotyzowany sceną oświetlaną przez jamajski księżyc. Floyd i Barak, nie podnosząc głów i nie przestając kwiczeć, odstąpili nieco dalej. Pies rzucił się za nimi, nurkując w wysokiej trawie. Do kwików i chrząkania doszło teraz agresywne ujadanie wytresowanego dobermana. Pośród tych przerażających hałasów McAuliff dosłyszał serię cmoknięć – strzałów z pistoletu pneumatycznego.

Ponad chrząkanie i kwiki wybił się nagle przeraźliwy psi skowyt. Strażnik podbiegł

do skraju wysokiej trawy i podrzucił broń do ramienia. Zanim McAuliff spostrzegł, co się dzieje i zrozumiał cały zamysł, Charles Whitehall porwał garść kamyków i cisnął ją w toń podświetlonego basenu. Jedną garść i następną.

Strażnik okręcił się raptownie, celując bronią w tamtą stronę, a Whitehall odepchnął Alexa, pędem ruszył przed siebie i wyskoczył na trawnik tuż przed czarnym policjantem.

McAuliffa zamurowało.

Wykwintny naukowiec Whitehall – drobny i wiotki Charley-mon – wyprostował ramię, miażdżąc kark strażnika, a jednocześnie trafił go stopą prosto w żołądek. Tym samym ruchem złapał strażnika za nadgarstek i unieruchomił go, posyłając strzelbę na ziemię. Policjant szarpnął się, zakręcił w powietrzu i padł w drgawkach na murawę. Wykorzystując to, Whitehall błyskawicznie wycelował i ugodził strażnika obcasem w nasadę nosa.

Policjant wyprężył się na trawie i znieruchomiał.

Kwiki ucichły. Podobnie jak wszystkie inne dźwięki.

Koniec walki.

Barak i Floyd wyskoczyli z traw i podbiegli. Barak szepnął:

–Dzięki, Charley-mon. Lepsze to niż strzelanina na oślep.

–Musiałem – odrzekł tylko Whitehall. – Muszę dostać do rąk te papiery.

–W takim razie chodźmy – ponaglił Moore. – Floyd, zaciągnij tego wieprzka do środka i zwiąż.

–Szkoda czasu – wtrącił się Whitehall, który z kasetką pod pachą obserwował dom. – Rzućcie go tylko w trawę. Przecież nie żyje.

Za progiem Floyd sprowadził ich schodami do piwnic. Kamienna cysterna na wodę mieściła się w zachodniej części piwnic i miała wymiary mniej więcej dwa na dwa metry. Jej wnętrze okazało się suche, a boki i sklepienie obrastała gęsta pajęczyna. Barak odgarnął jej wiotką zasłonę i zniknął w otworze.

–Skąd wiadomo, o który kamień chodzi? – niecierpliwiał się Whitehall, ściskając prostokątną kasetkę.

–Jest jeden sposób. Doktor mi go opisał – uspokoił go Moore, wyciągając pudełko zapalek. Zapalił na początek jedną i powiódł nią wzdłuż północnej ściany cysterny, zataczając półkole w lewo. Zapałka prawie dotykała zaprawy między kamiennymi blokami nad posadzką.

–Sproszkowany fosfor – domyślił się na głos Whitehall. – Piersall wtarł go w zaprawę, tak?

–Właśnie, *mon*. Od zapałki powinny wyskoczyć płomyki, bo ja wiem, iskry...

–Nie marnuj czasu! – Whitehall wręcz wypluł z siebie te słowa. – Odwróć się w lewo, słyszysz? Na północny zachód. Nie, nie na prawo!

Pozostała trójka spojrzała ze zdumieniem na naukowca.

–O co chodzi, Charley- *mon*! - zdenerwował się Barak Moore.

–Róbcie tak, jak mówię! Proszę was...

–Symbolika Arawaków? – zapytał go McAuliff. – Ta... odyseja śmierci, czy jak to było? W prawo od zachodzącego słońca...

–Cieszę się, że mogę was zabawić.

–Nie zabawiasz mnie, Charley-mon. Ani trochę, naprawdę – cicho odpowiedział McAuliff.

–Jest! – westchnął z ulgą Barak, widząc jak pod płomykiem zaczynają skakać iskry. – Ty masz łeb, Charley-mon! Znalazłem, patrzcie. Floyd, dawaj narzędzia.

Floyd sięgnął pod kurtkę mundurową i podał przywódcy spory przecinak, wraz ze składanym młotkiem o metalowym trzonku.

–Pomóc ci? – zapytał.

–Nie zmieścimy się we dwóch – burknął Barak i zaczął odkuwać zaprawę wzdłuż szczeliny.

W trzy minuty udało mu się obluźować pierwszy kamienny blok. Pociągnął i z wysiłkiem zaczął wysuwać go ze ściany. Whitehall przyświecał mu latarką, pożerając wzrokiem każdy ruch Baraka. Blok wyszedł wreszcie, a Floyd prędko zabrał go dowódcy i odłożył na bok.

–Co tam widać? – Whitehall zapuścił snop światła w szeroki otwór.

–Czerwona glina i tyle. Nie – zreflektował się Moore. – Widzę wierzch drugiej kasetki. Dużo większa niż tamta.

–Pospieszcie się, na litość boską!

–Już, już, Charley-mon. Przecież nie czekają na nas z kolacją w Hiltonie w Montego Bay – zaśmiał się partyzant. – Żadna ukryta mangusta już nam nie pomiesza szyków, panie wężu.

–Nie kłóćcie się – mówiąc to, McAuliff nie patrzył na Whitehalla, bo i nie chciał patrzeć. – Mamy czas do świtu, tak? Zabiłeś tego człowieka koło basenu, a tylko on mógł nam przeszkodzić. Skoro uznałeś, że dla tych dokumentów warto zabić, cóż...

Whitehall odwrócił głowę i zmierzył McAuliffa wzrokiem.

–Zabiłem go, bo musiałem.

Po tych słowach naukowiec znów zaczął pomagać Moore'owi. Drugi kamienny blok wysunął się znacznie łatwiej. Barak sięgnął w poszerzony otwór i poruszał kamieniem, dopóki nie pękła zaprawa. Floyd przejął ciężar i znów odłożył go ostrożnie na bok.

Przy wyrwie przykucnął natychmiast Whitehall i pomagając sobie latarką stwierdził:

–Tak, następna kasetka. Już ją wyciągam. – Oddał latarkę Floydowi i czekał, aż Barak Moore poda mu wyszarpięte z gliny pudełko. – Nadzwyczajne! – ucieszył się, obmacując podłużne pudełko. Kolanem przyciskał do podłogi pierwsze znalezisko. Widać było, że Whitehall nie da sobie wydrzeć żadnej z kasetek.

–Co nadzwyczajne, kasetka? – zapytał Moore.

–Ależ tak – Whitehall pokazał ją pozostałym, a Floyd przyświecił im latarką, – Dalej nic nie rozumiecie, tak? Bez kluczy i bez właściwych narzędzi będziemy się nad tym biedzić długie godziny. Pudełko jest wodoszczelne, hermetyczne, Opróżnione z powietrza, niezniszczalne. Tego metalu nie ugryzie nawet diamentowe wiertło... O, popatrzcie! – Naukowiec wskazał litery na denku. – Sejfy Hitchcocka, Indianapolis. Najlepsza firma na świecie. Zapytajcie w byle muzeum, bibliotece czy archiwum

państwowym. Hitchcock to pewna firma. Nadzwyczajne, mówię.

Dźwięk, który usłyszeli, rozdarł ciszę, jak ogłuszająca eksplozja, chociaż dobiegał na razie z daleka. Wycie silnika samochodu, który na niskim biegu pędzi po stromej drodze od szosy, w stronę rezydencji.

Dwa silniki.

Czwórka spiskowców spojrziała po sobie w zupełnym zaskoczeniu. Wszystkiego by się spodziewali, lecz nie nagłej interwencji. To, co niemożliwe, przerosło nagle w pewnik.

–O Boże! O Jezusie Chryste, *mon!* – Barak co prędzej wyskoczył z cysterny.

Zabierz narzędzia, głupku! – krzyknął na niego Whitehall. – A odciski palców? Jednak to Floyd, a nie Barak, zniknął w otworze, porwał przecinak z młotkiem i ukrył je w kieszeni kurtki.

–Są tylko jedne schody, *mon!* – zdążył krzyknąć. – Tylko te!

Barak Moore wspinał się już na górę. McAuliff schylił się, by podnieść pierwszą z ciężkich kasetek i zderzył się z Whitehallem.

–Nie uniesiesz obu naraz, Charley-*mon* – odpowiedział Amerykanin na furiackie spojrzenie Whitehalla. – Ta jest moja!

Porwał kasetkę z podłogi, wyszarpnął ją spod palców Whitehalla i popędził w ślad za Moore'em po schodach, wśród kontrpunktu zgrzytających biegów. Samochody słyhać było coraz bliżej.

Całą czwórką pobiegli gęsiego schodami i przez krótki korytarz wypadli do zaciemnionego, odartego z dywanów salonu. Przez szpary w tekowych okiennicach widzieli snopy światła z reflektorów. Pierwszy wóz wtoczył się już na niewielki parking. Kolejno trzasnęły drzwiczki. Drugi samochód wpadł z rykiem silnika przed dom, dosłownie parę sekund po pierwszym. W pręgach światła widać było w kącie salonu przyczynę całej akcji: nastawione na odbiór walkie-talkie. Barak złapał pudełko radiotelefonu i zmiażdżył je jednym ciosem pięści, a potem wyrwał antenę.

Na zewnątrz rozległy się nawoływania. Słyhać było zwłaszcza jedno imię:

–Raymond!

–Raymond!

–Raymond, gdzie jesteś, *mon?!*

Floyd ocknął się pierwszy i skoczył ku tylnej części salonu, poganiając resztę: – Szybko! Tędy!

Otworzył drzwi i przytrzymał je, dopóki nie znaleźli się za nimi. W idącej od basenowych reflektorów poświacie McAuliff spostrzegł, że Floyd ma w ręce pistolet. Murzyn szeptał tymczasem do Baraka Moore'a:

–Zatrzymam ich tutaj, *mon*. Odciągnę ich na zachód. Znam ten teren, nie bój się.

–Tylko uważaj! A wy dwaj – Barak zwrócił się do McAuliffa i Whitehalla – wyrwyjcie stąd prosto do lasu. Spotkamy się przy tratwie, dokładnie za pół godziny. Nie dłużej, więc niech nikt nie czeka. Ci, którzy dotrą na czas, niech odpływają. Kije do ręki i z prądem. Bez tratwy nikt sobie nie poradzi z Martha Brae. No, jazda! – popchnął Alexa ku drzwiom.

McAuliff wypadł na dwór i puścił się cwałem przez dziwnie sielski trawnik, gdzie

błękitnawa poświata z basenu omywała kontury białych żeliwnych krzeselek. Za sobą postyszał krzyki. Od strony parkingu biegli już ku drzwiom rezydencji policjanci. Alex nie miał pojęcia, czy go widzą. Biegł jak tylko mógł najszybciej, w stronę, nie do przebycia zdawałoby się, ściany lasu za skłonem gazonu. Pod prawą pachą ścisnął ciężką podłużną kasetkę. Na odpowiedź czekał parę sekund.

Nadeszła pora na nową rundę szaleństwa.

Strzelali!

Nad głowami świsnęły mu raz i drugi pociski. Zza pleców dobiegała chaotyczna pukanina.

Policjanci na oślep walili do niego z pistoletów. O Boże. Znów tak jak niegdyś?

W jednym mgnieniu wróciła pamięć dawnych szkoleń. Zygzakiem, trzeba biec zygzakiem. Rób krótkie, szybkie skoki, byle nie za krótkie. Takie, żeby wróg miał tylko pół sekundy, by w ciebie wycelować.

Sam prowadził takie szkolenia, sam tego uczył dziesiątki szeregowców na pozostawionych w Azji wzgórzach.

Wrzaski przeszły nagle w histeryczny chór, w symfonię, przeciętą jednym ostrym krzykiem.

McAuliff wyskoczył w górę i zanurzył się w gęstych liściach, obrastających murawę. Niewidoczny już, padł na ziemię i odtoczył się na lewo.

Na ziemię, poza pole widzenia! Czołgaj się ile sił, bylebyś zmienił pozycję.

Elementarz.

Abecadło.

Dałby sobie głowę uciąć, że widział policjantów, ścigających go po łagodnym zboczu.

Nieprawda. Nie zobaczył policji.

Ujrzał za to widok, który go zahipnotyzował, jak przedtem zahipnotyzował go w wysokich trawach popis rewolucjonistów, udających watkę dzikich świń.

Tuż przy domu, a właściwie po jego zachodniej stronie, zobaczył Floyda, który zupełnie się nie kryjąc biegał w kółko. Poświata basenu dodatkowo podświetlała jego wojskową kurtkę. Floyd zrobił z siebie ruchomy cel, leci sam przy tym ostrzeliwał się z pistoletu, przyciskając policjantów do ścian domu. Kiedy skończyła mu się amunicja, sięgnął do kieszeni, wyszarpnął drugi pistolet i znów otworzył ogień. Zaczął też biec wzdłuż basenu, jak kamikaze gotowy złożyć ofiarę z życia.

Trafiono go, i to nieraz. Krew rozlewała się coraz szerszą plamą po wojskowej kurtce i ściekała długimi smugami po nogawkach, oblepiając nogi Floyda. Murzyn zebrał już dobre pół tuzina trafień i czuł upływ sił. Zostały mu jeszcze sekundy.

–McAuliff! – doleciał geologa z prawej głośny szept. Przykucnął tam Barak Moore. Na jego groteskowo wygolonej czaszce perliły się w księżycowym świetle kropelki potu. Moore dopadł do Alexa i szarpiąc go za przemoczoną koszulę ponaglił:

–Wyrywajmy stąd, *mon!*

–Boże, jak to? Nie widzisz, co się tam dzieje? Oni go zabijają!

Barak spojrzał przez gęstwinę liści i spokojnie odparł:

–Przysięgaliśmy oddać życie. Taka śmierć to nawet luksus. Floyd też tak myśli.

–Oddać życie? Za co? Za co oddać życie, na Boga? Dla takiego gówna?

Poszaleliście wszyscy!

–Idziemy! – rozkazał Moore. – Jeszcze parę chwil i ruszą za nami. Floyd daje nam szansę, więc korzystaj, biały kutasie!

Alex złapał za rękę, wciąż uczeponą jego koszuli, i odepchnął ją od siebie.

–Więc to tak? Ja jestem biały kutas, a Floyd musi umrzeć, bo tak ci się podoba? A strażnik zginaj, bo tak się podobało Whitehallowi... Jesteście wszyscy chorzy!

Barak Moore przystanął.

–Czym jesteś, mniejsza o to, *mon*. I tak nie uda ci się nam odebrać tej wyspy. Wiele, wiele krwi popłynie, ale wyspy nam i tak nie zabierzecie. A teraz biegnij za mną, bo sam stracisz życie. – Moore poderwał się nagle i popędził w leśne ciemności.

McAuliff spojrzął za nim, tuląc do piersi metalową kasetkę. Potem także wstał i potruchtał śladem czarnego rewolucjonisty.

Czekali przy krawędzi szybszego nurtu, czując jak tratwa skacze im w rękach. Stali po pas w rwącej wodzie. Barak Moore spojrzął na zegarek, McAuliff zaś przestąpił dwa kroki w rzeczonym mule, by mocniej chwycić krawędź tratwy.

–Dłużej nie możemy czekać, *mon* - zdecydował Barak. – Słyszę, jak zbiegają po zboczu. Mamy ich coraz bliżej.

McAuliff słyszał tylko szum rzeki i falę, która pluska o belki tratwy. Słyszał też słowa Baraka.

–Nie zostawimy go tutaj!

–Nie ma rady. Chcesz, żeby ci odstrzelili łeb, *mon*?

–Nie chcę. Poza tym nic nam nie zrobią. Ukradliśmy papiery, własność nieboszczyka. Na jego własne polecenie. Czy to powód, żeby do nas strzelać? Mam tego, cholera, dosyć!

Barak zaśmiał się tylko.

–Krótką masz pamięć, *mon*! Tam przy domu leży w trawie martwy gliniarz. Jak znam Floyda, trafił jeszcze przynajmniej jednego. Floyd to były snajper. Odstrzelą ci ten łeb jak nic. Policja z Falmouth nawet okiem nie mrugnie.

Barak Moore miał rację. Tylko gdzie, u diabła, zniknął Whitehall?

–Może go trafili? Nie widziałeś, czy nie jest ranny?

–Nie wydaje mi się, *mon*, ale głowy nie dam... Charley-*mon* zrobił, jak kazałem. Pobiegł przez łąkę, na południowy zachód.

Sto metrów w górę rzeki błysnął w zaroślach snop światła, omiatając zarośnięte ściany wąwozu.

–Patrz! – krzyknął Alex. Moore odwrócił się.

W ślad za pierwszą rozbłysła druga, a potem trzecia latarka.

Trzy snopy roztańczonego światła zbliżały się ku nim przez nadbrzeżne zarośla.

–Nie ma co czekać, *mon*! Prędko, wskakuj i odpychaj!

Wspólnie wypchnęli tratwę na środek nurtu i wpełzli na bambusowy pokład,

–Idę do przodu! – wrzasnął Moore, gramoląc się przez ławeczkę z wysokim oparciem, zajmowaną zwykle przez turystów podziwiających piękno Martha Brae. –

Zostań na rufie, *mon!* Odpychaj nas, a jak ci powiem, odłóż drąg, usiądź i zanurz nogi!

McAuliff skupił wzrok, próbując wśród księżycowej nocy odnaleźć na bambusowym pokładzie bambusowy kij. Znalazł go wreszcie w szczelinie między pokładem a poręczą, podniósł i zanurzył w mulistym odmęcie.

Gdy tylko tratwa wypłynęła na środek, bystry prąd uniósł ją w dół, ku progom skalnym. Moore stał na dziobie i co sił próbował odpychać się swoim kijem, unikając serii zdradzieckich spotkań ze sterczącymi z wody, ostrymi jak brzytwa skałami. Zakole rzeki było coraz bliżej. Barak zawołał nagle:

–Siadaj na rufie, *mon!* Nogi do wody! Raz-dwa, szybko!

Alex zrobił, co mu kazano i bardzo prędko zrozumiał, w czym rzecz. Z nogami w wodzie dociągał tratwę, na tyle że płynęła wolniej. Moore zaś dzięki temu mógł łatwiej sterować tratwą pośród miniaturowego archipelagu niebezpiecznych głazów. Bambusowe burty co chwila ocierały się o kamień, wpadając na ostre skalne grzebienie. Dwukrotnie wydawało się Alexowi, że tratwa utknie albo się wywróci.

Właśnie szuranie tratwy po kamieniach i konieczność skupienia uwagi na rzece sprawiły, że Alex z początku nie usłyszał wystrzałów. Huk dotarł więc do niego jednocześnie z palącym bólem, który mu przeszył ramię. W księżycowym świetle spostrzegł, że rękaw nasiąka krwią.

Z tyłu wciąż rozlegało się staccato karabinowych wystrzałów.

–Schyl się, *mon!* – wrzasnął Barak Moore. – Głowa niżej! Nie dościgną nas. Dotrzyjmy tylko do zakrętu, znam tam groty. Pełno jaskiń, kilka wychodzi na szosę w Brae, *mon.* Stamtąd... Aaaa!

Moore zgiał się wpół, wypuszczając kij chwycił się za brzuch, i upadł na bambusowy pokład. Alex sięgnął prędko po podłużną kasetkę, wsadził ją sobie za pas i jak tylko mógł najszybciej przepełznął na przód tratwy. Barak Moore wił się na pokładzie, ale żył.

–Mocno dostałeś?

–Gorzej nie można, *mon...* Głowa niżej! Jeżeli utkniemy, zeskocz do wody i pchaj... Byle za zakręt...

Moore stracił przytomność. Bambusowa tratwa wpadła na płyciznę, otarła się dnem o żwir i wreszcie wyminęła zakole, gdzie na głębokiej wodzie zaczęła płynąć szybciej niż przedtem. Strzelanina ustała. Policja z Trelawny musiała ich stracić z oczu.

McAuliff wyprostował się powoli. Metalowa kasetka wrzynała mu się w brzuch, lewe ramię płonęło żywym ogniem. Rzeka zmieniła się tymczasem w szerokie rozlewisko, a bystry prąd skrył się w głębinie. Ukosem do brzegu piętrzyły się skalne urwiska, które wyrastały nagle z nurtu.

Alex ujrział naraz promień pojedynczej latarki. W żołądku poczuł znajomy, przeszywający ból, objaw lęku. Wróg, zamiast zostać z tyłu, już czekał.

Odruchowo sięgnął do kieszeni po pistolet. Smith and wesson, prezent od Westmore'a Tallona. Podniósł broń, pozwalając tratwie dryfować w stronę skalnych obrywów i latarki.

Skulił się za nieruchomym ciałem Baraka Moore'a i czekał z pistoletem w wyciągniętej ręce. Starannie wycelował broń w postać z latarką.

Od sylwetki na brzegu dzieliło go ze trzydzieści metrów. Miał już nacisnąć spust i zabrać kolejne życie, gdy usłyszał:

–Barak, *mon!*

Postacią z latarką był Lawrence.

Charles Whitehall zaczął się w wysokiej trawie, niedaleko kępy chlebowców. Kasetkę z dokumentami ścisnął pod pachą, nie bojąc się już, że ją zgubi. Klęczał bez ruchu w księżycowym świetle i z odległości dwustu metrów obserwował posiadłość Piersalla. Nikt nie natknął się jeszcze na porzucone w trawie zwłoki policjanta. Ciało Floyda wniesiono do domu, żeby przy lampie dokładnie przeszukać ubranie.

Przy domostwie czuwał tylko jeden policjant. Pozostali puścili się w pogoń, w kierunku zarośli na wschodzie i dalej, ku rzece, usiłując dogonić Moore'a i McAuliffa.

Dokładnie tak, jak wyobrażał to sobie Charles Whitehall, który z tej właśnie przyczyny nie posłuchał rozkazu Baraka Moore'a. Znał lepszą drogę ucieczki. Musiał tylko działać sam.

Osamotniony jamajski policjant był grubasem. Sapał teraz, chodząc tam i z powrotem po murawie przy samym skraju lasu. Widać było, że się boi i niechętnie czuwa na samotnym posterunku. Nie wypuszczał z rąk karabinu i podrzucał go do ramienia słysząc najdrobniejszy szelest.

Nagle z oddali dobiegł go grzechot kanonady. Od strony rzeki. Strzelano gęsto, raz za razem. Albo ktoś głupio marnował amunicję, albo też Moore i McAuliff dostali się w tarapaty.

Był to dla Charlesa Whitehalla idealny moment. Wartownik trzymał się blisko lasu i usiłował dojrzeć coś w ciemnościach. Strzelanina dodawała mu otuchy, lecz zarazem podsyciała strach. Mocniej ścisnął karabin i nerwowo zapalił papierosa.

Charles podniósł się i ściskając kasetkę z dokumentami pomknął przez wysoką trawę ku zachodniemu skrajowi pastwiska. Tam zakręcił i omijając zabudowania, przez rzednący zagajnik, dobiegł do podjazdu.

W blasku księżycy, u stóp kamiennych schodów wiodących ku drzwiom rezydencji czekały na niego spokojnie dwa wozy policyjne. Whitehall wypadł z zagajnika i sprawdził pierwsze auto. Drzwiczki kierowcy stały otworem, a światło wewnętrznej lampki kładło się na czarnej skórze siedzeń.

Kluczyki dyndały w stacyjce. Whitehall wyjął je, a potem sięgnął pod radiotelefon i wyszarpnął z deski rozdzielczej wszystkie kable. Cichuteńko zamknął drzwi, podbiegł do drugiego samochodu i znów upewnił się, że kluczyki są na miejscu. Powrócił do pierwszego wozu, jak się dało najciszej otworzył maskę, zerwał gumową osłonę z kopułki rozdzielacza i szarpnął za przewody.

Zadowolony wrócił do drugiego wozu, wszedł i położył obok siebie podłużną kasetkę. Kilka razy nacisnął pedał gazu, sprawdził, jak chodzą biegi i uśmiechnął się.

Przekręcił kluczyk. Silnik zaskoczył natychmiast

Charles Whitehall na wstecznym biegu wyjechał z parkingu, zakręcił kierownicą i pomknął w dół podjazdu.

XIX

Lekarz zamknął za sobą drzwi wychodzące na patio i wyszedł na niewielki taras między pokojami McAuliffa i Alison. Ułożyli Baraka Moore'a właśnie w łóżku Alison, zgodnie z jej żądaniem. Nie tłumaczyła, dlaczego tak jej na tym zależy, ale nikt nie kwestionował tej decyzji.

Lekarz zabandażował przy okazji lewe ramię McAuliffa. Rana okazała się zadrażnieniem, bolesnym, lecz niegroźnym. Geolog siedział obok Alison na nadmorskim tarasie, przy wysokim do pasa murku. Nie wyjawiał dziewczynie szczegółów nocnej akcji. Na to będzie jeszcze czas. Sam Tucker i Lawrence usadowili się po obu końcach patio, aby nie zaplątał się tam nikt przypadkowy.

Lekarz, Murzyn z Falmouth, do którego drzwi zapukał o północy Lawrence, podszedł najpierw do McAuliffa.

–Zrobiłem, co mogłem. Niestety, szanse są dość niewielkie.

–Czy nie powinniście go zabrać do szpitala? – Pytanie Alison było jednocześnie oskarżeniem.

–Powinniśmy – przytaknął smętnie lekarz. – Rozmawiałem z nim o tym. Uznaliśmy, że nie ma to sensu. Jedyna klinika w Falmouth to szpital państwowy. Nie wiem, czy tutaj nie jest czyściej.

–Baraka poszukuje policja – wyjaśnił cicho Alex. – Zanim by wyciągnęli kulę, najpierw wsadziliby go do więzienia.

–Wątpię, czy zadawaliby sobie kłopot z wyciąganiem pocisku, panie McAuliff.

–Ma w ogóle jakieś szanse? – zapytał Alex, zapalając papierosa.

–Może i tak, o ile będzie leżał absolutnie nieruchomo. Ale tylko szansę. Udało mi się zeszyć otrzewną, ale za trwały skutek nie ręczę. Zrobiłem mu transfuzję... A tak, mam w swojej przychodni notatnik z grupami krwi niektórych osób. Jest bardzo osłabiony. Jeśli uda mu się przeżyć najbliższe dwa, trzy dni, to może się wylize.

–Coś nie za bardzo pan w to wierzy – podsumował McAuliff.

–Nie wierzę. Zbyt rozległy krwotok wewnętrzny. Poza tym... Mój przenośny zestaw operacyjny nie jest nadzwyczajny. Pomocnik kończy już wszystko sprzątać. Zabierze ze sobą prześcieradła, ubrania, wszystkie pokrwawione rzeczy. Niestety, zapach eteru i środków bakteriobójczych zostanie. O ile to możliwe, proszę zostawić wewnętrzne drzwi otwarte. Lawrence zadba już, żeby nikt tam nie wchodził. Alex oderwał się od ściany i pochylony nad parapetem zapytał:

–Panie doktorze? Domyślam się, że jest pan w organizacji Baraka, jeżeli tak to można określić.

–W tej chwili to trochę przesadne określenie.

–W każdym razie wie pan, co się u nich dzieje.

–Nie znam szczegółów. I nie chcę znać. Moim zadaniem jest po prostu leczyć, kiedy zachodzi taka potrzeba. Im mniej się wie, tym lepiej dla wszystkich.

–Ale potrafiłby pan zawiadomić, kogo trzeba, prawda?

Doktor uśmiechnął się.

–Przez „kogo trzeba” rozumie pan ludzi Baraka Moore'a?

–Tak.

–Znam kilka telefonów... W budkach telefonicznych. I godzinę, o której trzeba zadzwonić. Skoro pan pyta, to owszem.

–Będzie nam potrzebny przynajmniej jeszcze jeden człowiek. Floyd zginął.

Alison Booth zachłysnęła się prawie i spojrzała wymownie na Alexa. Złapała go za rękę. Alex bez słowa pogładził ją po dłoni.

–Boże, więc to tak? – wyszeptała.

Lekarz popatrzył na Alison, lecz nie skomentował jej reakcji, tylko zwrócił się do McAuliffa:

–Barak wspomniał mi o tym. Nie wiem, czy się uda kogoś znaleźć. Zobaczymy. Wyprawa jest pod obserwacją. Floyd pracował przy pomiarach, więc policja nie długo przyjdzie tutaj po tropach. Będą pana oczywiście przesłuchiwać, Pan naturalnie o niczym nie ma pojęcia. Musi pan tylko chodzić przez jakiś czas z długim rękawem. Dosłownie parę dni, potem ranę zaklei się plastrem. Możecie się sami pogrążyć sprowadzając na miejsce Floyda kogoś nowego.

Alex z ociąganiem przyznał lekarzowi słuszność.

–Rozumiem – mruknął. – Ale tak czy inaczej potrzebni mi ludzie. Lawrence nie może czuwać okrągłą dobę...

–Czy mogę coś panu doradzić? – zapytał doktor z lekkim uśmiechem i porozumiewawczym spojrzeniem.

–Co takiego?

–Niech się pan porozumie z wywiadem brytyjskim. Naprawdę nie powinien ich pan aż tak lekceważyć.

–Idź się zdrzemnąć, Sam. Lawrence, ty też – odezwał się Alex do pary na tarasie. Lekarz zdążył już odjechać, natomiast jego asystent czuwał u wezgowia Baraka Moore'a. Alison przeszła do pokoju McAuliffa i zamknęła drzwi. – Noc powinniśmy mieć spokojną, chyba że zjawi się tu policja i zaczną mnie wypytywać o pomagiera, który przepadł gdzieś zaraz po południu.

–Ustaliliśmy, co mówimy, *mon?* - upewnił się władczym tonem Lawrence, jak gdyby to on sam wszystko wymyślił.

–Doktor przekazał wam wszystko, co powiedział Barak.

–Musisz być zły, *mon*. Teraz wszyscy tylko: co, Floyd? Czarnuch złodziej z *Ochee!* Wszystko jasne: sprzęt zginął! Ty teraz zły, ale to zły, *mon!*

–Ładną mu opinię wyrobimy po śmierci – gryzł się Alex.

–Zrób tak, jak ci radzą, chłopie – doradził mu Sam Tucker. – Lawrence wie, co mówi... Ty rób swoje, a ja się zdrzemnę na tarasie. Nie poświęcam się, po prostu nie znoszę swojego łóżka, i tyle.

–Naprawdę się nie fatyguj, Sam.

–A czy zdajesz sobie, chłopcze, sprawę, że policja może tutaj wpaść bez żadnego zaproszenia? Wolałbym się w piekle smażyć, niż dopuścić, żeby na przykład pomylili pokoje.

–Boże, jeszcze i to... – W głosie Alexa rozbrzmiewało znużenie. Najbardziej wyczerpujące okazało się poczucie bezsilności i świadomość, że nic się nie da zrobić. – Nie przyszło mi to do głowy.

–Temu doktorowi też nie – parsknął Sam. – Na szczęście my z Lawrence'em jeszcze za was myślimy. I dlatego będziemy tu tkwić na zmianę.

–Zamawiam sobie kolejkę po was.

–Ty już się dzisiaj napracowałeś, *mon* - oświadczył stanowczo Lawrence. – No, i ta ręka... Może policja nie przyjedzie tak szybko. Floyd i dokumenty? Gdzie tam. Rano Sam Tuck i ja weźmiemy Baraka i już czysto!

–Doktor mówił, żeby go nie ruszać.

–Doktor to, doktor tamto, *mon*. Dwie, trzy godziny Barak pośpi. Jeśli żywy, to się go raz-dwa na plażę. O świcie ocean spokojny, a płaskodenka nie kiwa, *mon*. Zabierzemy go stąd.

–Lawrence ma rację, Alex – bez oporu zgodził się Tucker. – Pomijając opinie naszego doktora, wybór jest prosty. Wiesz poza tym równie dobrze jak ja, że większość rannych zniesie podróż, jeśli da im się przedtem spokojnie poleżeć.

–Ale co będzie, jeśli policja zwali się tu zaraz? Zrobią rewizję i macie. Lawrence odpowiedział z tym samym przekonaniem co przedtem:

–Mówiłem ci, Tuck, co wtedy. Ten w pokoju biedny, *mon*, ma gorączkę indyjską. Nawet smród podobny. Policja w Falmouth słyszy „gorączka indyjska”, już ich nie ma, *mon*.

–Nie dziwię im się – dodał Sam z chichotem.

–Macie pomysły! – Alex wygłosił tę pochwałę szczerze. „Gorączka indyjska” była eufemizmem na szczególnie złośliwą odmianę zapalenia mózgu, niezbyt częstą, lecz wciąż spotykaną, zwłaszcza na wzgórzach północnej części wyspy. U dotkniętych tą chorobą mężczyźni jądra puchną do monstrualnych rozmiarów, a sami chorzy zapadają na impotencję i zmieniają się w ludzkie karykatury.

–A teraz idź spać, McAuliff. Proszę, idź.

–Tak, tak, już idę. Zbudźcie mnie za parę godzin – uspokoił Lawrence'a Alex i zanim zamknął drzwi, przyjrzał się Murzynowi. Zdumiewało go, że w chwili gdy Floyd padł od kul, a Barak został ciężko ranny, Lawrence, ten uśmiechnięty dotąd beztrąsko młodzik, tak z pozoru naiwny i posłuszny wobec starszych kolegów, stracił nagle całą naiwność i w ciągu kilku godzin przeistoczył się w autentycznego przywódcę, szefa oddziału. Wydarzenia obudziły w nim zmysł dowódcy, choć Lawrence wciąż bardzo delikatnie okazywał tę nową władzę.

„Idź spać, McAuliff. Proszę, idź”.

Za kilka dni Lawrence przestanie już dodawać „proszę”. Wystarczy sam rozkaz.

A więc znów: nieważne, kim jesteś, tylko komu rozkazujesz. Sam Tucker zerknął wesoło na McAuliffa pod jasnym księżycem Jamajki. Wydawał się czytać w jego myślach. A może Sam przypomniał sobie tylko pierwszą samodzielną wyprawę Alexa? Tucker był jej świadkiem i pamiętał wiosnę na Wyspach Aleuckich. Ktoś stracił wówczas życie, gdyż Alex nie potrafił wymóc na swej grupie dyscypliny i pozwolił wszystkim samopas zapuszczać się w szczeliny w lodowcu.

Tamtej wiosny na Aleutach Alexander T. McAuliff bardzo szybko nauczył się być przywódcą.

–To na razie, Sam.

Alison czekała w pokoju, w łóżku, przy zapalanej lampce. U jej boku leżała kasetka na dokumenty, wyniesiona z domu w Carrick Foyle. Alison sprawiała wrażenie spokojnej, lecz widać było, jak bardzo jest wstrząśnięta w głębi ducha. McAuliff zdjął koszulę, cisnął ją na krzesło i podszedł do ściennego przełącznika, by zmienić prędkość wentylatora pod sufitem. Przekręcił gałkę, a cztery łopaty wentylatora przyspieszyły z furkotem, który mieszał się z szumem fal za oknami. Przy biurku stało wiaderko z na wpół roztopionym lodem. Udało się wyłowić kilka ocalałych kostek, w sam raz na dwie podwójne whisky.

–Napijesz się szkockiej? – zapytał, nie patrząc na Alison.

–Nie, dziękuję – odparła ze swym łagodnym brytyjskim akcentem. Łagodnym, lecz pełnym tłumionego poczucia wyższości i rozsądku.

–A ja bym się napił.

–Wyobrażam sobie.

Alex nalał szkockiej do hotelowej szklanki, wrzucił dwie kostki lodu i odwrócił się ku dziewczynie.

–Odpowiem ci, zanim zapytasz. Nie miałem pojęcia, że wszystko skończy się tak, jak się skończyło.

–A czy poszedłbyś jeszcze raz, gdybyś wiedział?

–Oczywiście, że nie... Ale stało się. Poza tym mamy to, o co chodziło.

–To? – Alison dotknęła kasetki.

–Właśnie.

–To, co powtarzałeś, to... Bredzenie umierającego dzikusa. Który z kolei powtarzał, co mu opowiedział przed śmiercią jakiś maniak.

–Jesteś trochę zbyt pochopna w opiniach. – McAuliff usiadł na krześle obok łóżka i spojrzał Alison prosto w oczy. – Nie szkodzi, nikogo nie mam zamiaru bronić. Zaczekam, Dowiem się, co jest w środku, zrobię to, co mi każą tamci, i zobaczę co dalej.

–W głowie mi się nie mieści, że jesteś taki pewny swego. Strzelali do ciebie. Parę centymetrów w prawo i też byś nie żył, a teraz siedzisz tu przy mnie i najspokojniej mi oświadczasz, że pożyjemy, zobaczymy? Alex! Czyś ty rozum stracił!

McAuliff uśmiechnął się w odpowiedzi i wziął potężny łyk szkockiej. Potem w jednej chwili spoważniał.

–Robię to, co wydawało mi się zawsze niemożliwe... Czyli co? Wiesz, dosłownie przed chwilą byłem świadkiem, jak młodziutki chłopak zmienił się w mężczyznę. W ciągu godziny. Cena za wydoroslenie okazała się potworna, ale tak było... Nie wiem, czy rozumiem, dlaczego tak jest, ale widziałem wszystko na własne oczy. Do takiej przemiany potrzeba jednak wiary... A my jej nie mamy. Kieruje nami chciwość, strach albo jedno i drugie, ale na pewno nie wiara. A ten chłopak ma wiarę. Robi to, co robi, bo tak każe mu wewnętrzna wiara... I dziwna rzecz, tak samo postępuje Charlie-mon.

–Na miłość boską, co ty wygadujesz?

McAuliff opuścił szklankę i spojrzał na Alison.

–Mam pomysł, jak oddać naszą wojnę w ręce tych, którzy powinni ją prowadzić naprawdę.

Charles Whitehall odetchnął wreszcie, zgasił acetylenowy płomień i zdjął czarne okulary. Palnik odłożył na wąski stół warsztatowy i ściągnął azbestowe rękawice. Z zadowoleniem stwierdził, że panuje nad każdym ruchem, jak znający swój fach chirurg. Żadnych zbędnych gestów, każdy mięsień pod kontrolą intelektu.

Powstał z taboretu i przeciągnął się. Spojrzenie ku wejściu upewniło go, że drzwi niewielkiej izby nadal blokuje skobel. Swoją drogą, błąd. Po co ryglować zamki? Był tu przecież sam.

Polnymi drogami odskoczył od Carrick Foyle dobrych siedemdziesiąt kilometrów, na tereny parafii Saint Anne. Porzucił skradziony samochód w polu i ostatnie dwa kilometry, jakie go dzieliły od miasteczka, przeszedł piechotą.

Dziesięć lat wcześniej St. Anne było częstym miejscem spotkań wśród członków ruchu, rozrzuconych między Falmouth a Ocho Rios. Grupa ta lubiła się żartobliwie określać mianem „bogatyh czarnuchów”, tym bardziej że posiadali spore grunty w Drax Hali, Chalky Hill czy w Davis Town. Partię Whitehalla tworzyły osoby majątkowe, posiadacze, których wyzuto z własności, jaką stanowiła wyspa, jednym słowem ludzie, którzy nie mieli zamiaru podporządkować się brytyjskim lokajczykom z Kingston. Charles Whitehall doskonale pamiętał ich nazwiska – znakomita pamięć była w jego dyscyplinie niezbędną – toteż nim upłynął kwadrans, zabrał go z ulic St. Anne nowiuteńkim pontiakiem mężczyzna, który na widok przybysza rozplakał się w głos.

Kiedy Whitehall wytłumaczył, czego mu potrzeba, zawieziono go do domu innego mieszkańca Drax Hali, który zajmował się majsterkowaniem na epicką skalę. Obyło się bez przedstawiania, Majsterkowicz podbiegł i objął Whitehalla, tak serdecznie i mocno, że Charley-*mon* musiał siłą wyrwać się z uścisku.

Zaprowadzono go do szopy warsztatowej obok domu. Wszystko, czego potrzebował, leżało na długim stole warsztatowym przy ścianie. Pośrodku stołu był nawet zlew. Jarzeniówka pod sufitem, nastawna lampa kreślarska na stole. Charles ubawił się, kiedy oprócz narzędzi przyniesiono mu misę świeżych owoców i potężny kufel pełen lodu.

Mesjasz powrócił na wyspę.

Kasetka odsłoniła nareszcie swą zawartość. Whitehall przyjrzał się rozprutej ściance. Poszarpany metal jaśniał jeszcze pomarańczowo, potem czerwono, by na koniec wrócić do czarnej barwy. Wewnątrz widać było grubą szarą tubę, kryjącą dokumenty. Każdą przechowywaną kartkę oddziela w takiej tubie od innych wilgotnawa, pergaminowa wyściółka.

Sejf zakopany w ziemi. Szczelność gwarantowana na tysiąc lat.

Walter Piersall zakopał ów skarb dla potomności, na wypadek gdyby jego własne pokolenie zlekceważyło dokumenty.

Uczył to z talentem zawodowca.

Z podobną starannością, z jaką położnicy odbierają powikłany poród, Charles Whitehall sięgnął do kasetki i wydobył z jej łona bezcenne dziecię. Natychmiast rozłożył dokument i zabrał się za lekturę.

Akaba.

Plemię Akaby.

Walter Piersall przekopał jamajskie archiwa, by natknąć się na króciutką, aluzyjną wzmiankę w materiałach na temat wojen z Maroonami.

Drugiego dnia stycznia roku 1739 potomek plemiennej starszyny koromantyńskiej, zwany Akaba, wyprowadził swoich sympatyków w góry, jako że plemię pomienionego Akaby nie życzyło sobie brać udziału w Traktacie z Cudjoe i układać się z Anglią, szczególnie z tej pono przyczyny, iż Afrykanom nakazywał traktat łapać zbiegów stanu niewolniczego i doprowadzać tychże do białych garnizonów...

Pod dokumentem widniało nic nie znaczące nazwisko oficera, który przekazał wiadomość rejestratorowi królewskiemu w Spanish Town, ówczesnej stolicy kolonii.

„Middlejohn, Robt. Maj. 641 PIZ”

Nazwisko „Middlejohn, Robt.” nadawało odkryciu Piersalla nowy wymiar, kiedy się odnalazło inny zapis:

„Rejestrator Królewski. Spanish Town, 9kwietnia roku 1739. (Dokument wycof. Middlejohn, 641 PIZ)”.

I dalej:

„Rejestrator Królewski. Spanish Town. 20 kwietnia roku 1739. (dokument wycof. R.M. 641 PIZ)”.

A zatem Robert Middlejohn, major z 641 Pułku Indii Zachodnich, w Roku Pańskim 1739, wyraźnie ściągnął na siebie czyjąś uwagę.

Czyją?

Z jakiego powodu?

Znalezienie w archiwach Instytutu Jamajskiego kolejnej poszlaki zajęło Piersallowi całe tygodnie. Znalazł jednak. Znalazł drugie nazwisko.

„Fowler, Jeremiasz. Skryba. W służbie Dyplomacji”.

Tenże Jeremiasz Fowler wycofał nieokreśloną ilość dokumentów z archiwów nowej stolicy, czyli Kingston, „w myśl instrukcyj Służby Dyplomatycznej Jej Królewskiej Mości dnia 7 czerwca roku 1883, za miłościwego panowania królowej Wiktorii”.

Kolonialne dokumenty, o które chodziło, określono jedynie jako „Papiery Middlejohna, 1739”.

Walter Piersall długo zastanawiał się nad tym odkryciem. Czy to możliwe, by „papiery Middlejohna” mówiły o plemienu Akaby, podobnie jak pierwszy ślad w archiwach? Czy pierwszy dokument zachował się do dzisiaj na skutek przeoczenia? Przeoczenie, jakie siódmego czerwca 1883 roku popełnił niejaki Jeremiasz Fowler?

Piersall wsiadł w samolot do Londynu i wykorzystując swój status naukowca uzyskał dostęp do archiwów Indii Zachodnich w Foreign Office. Ponieważ dokumenty, jakie miał badać, pochodziły prawie sprzed stu lat, nikt w ministerstwie nie zgłaszał obiekcji. Przeciwnie, archiwiści uczynili, co mogli, by dopomóc w pracach.

Okazało się, że w 1883 roku nie napłynęły z Kingston żadne dokumenty. Żadne. To zaś oznaczało, że Jeremiasz Fowler, skryba placówki Foreign Office, po

prostu ukradł „papiery Middlejohna”.

Jeżeli sprawy te wiązały się ze sobą, Piersall mógł się teraz uchwycić dwóch tropów: nazwiska Fowler i wydarzeń, jakie w 1883 roku mogły mieć miejsce w jamajskich koloniach Wielkiej Brytanii.

Ponieważ był w Londynie, najłatwiejsze okazało się znalezienie potomków Jeremiasza Fowlera. Poszło mu to jak z płatka.

Fowlerowie – synowie i wuj – posiadali na londyńskiej giełdzie własną firmę maklerską. Patriarchą rodu był wielmożny Gordon Fowler, praprawnuk Jeremiasza, skryby Służby Dyplomatycznej w koloniach jamajskich.

Walter Piersall wypytał starego Fowlera o tę sprawę pod pretekstem, że pisze książkę o ostatnich dwóch dekadach wiktoriańskich rządów na Jamajce. Nazwisko Fowlerów miało zająć poczesne miejsce w publikacji. Wobec takiego pochlebstwa, patriarcha udostępnił Piersallowi wszystkie rodowe papiery, albumy i dokumenty mające związek z Jeremiaszem Fowlerem.

Z materiałów tych Piersall poznał historię, jak na wiktoriańskie czasy zwyczajną: oto młody człowiek „średniego rodu” wstępuje do służby w dyplomacji, jedzie do dalekiej kolonii i po długich latach, na odległej placówce, powraca do Anglii daleko bogatszy niż na początku. Na tyle bogaty, by wykupić sobie miejsce na parkiecie Giełdy w ostatniej dekadzie dziewiętnastego stulecia. Czas sprzyjał interesom. Wówczas to zrodziła się obecna fortuna Fowlerów.

Pierwsza część odpowiedzi.

Jeremiasz Fowler nawiązał odpowiedni kontakt, służąc w dyplomacji.

Walter Piersall powrócił na Jamajkę i zaczął szukać reszty odpowiedzi na zagadkę.

Pracował dzień za dniem, tydzień po tygodniu, badając archiwalne zapisy historii Jamajki z roku 1883. Praca była ogromna.

Nareszcie znalazł. Pod datą dwudziestego piątego maja 1883 roku.

Do zniknięcia przywiązywano niewielką wagą, jako że grupki Anglików, zwłaszcza podczas polowań, stale gubiły się w Górach Błękitnych albo w dżungli i trzeba było na ich poszukiwanie wysyłać oddziały Murzynów pod wodzą innych białych.

Ponadto w tym wypadku udało się odnaleźć zaginionego człowieka.

Był nim Jeremiasz Fowler, rejestrator królewski.

A więc nie skryba, lecz naczelny rejestrator.

Z racji piastowanej godności, o zaginięciu Fowlera napisano w jamajskiej gazecie. Rejestrator to nie byle kto. Daleko mu oczywiście do włościan, ale co człowiek, to człowiek.

Doniesienia staroświeckich gazet okazały się krótkie, nieprecyzyjne i dziwne.

Imię Fowlera widziano po raz ostatni w jego biurze, wieczorem dwudziestego piątego maja, to jest w sobotę. W poniedziałek Jeremiasz Fowler nie stawił się w pracy, nie widziano go też przez resztę tygodnia. Nie nocował również w swoich pokojach.

Sześć dni później imię Fowler zawitał na posterunku wojskowym we Fleetcourse, na południe od nieprzebytych ostępów Cock Pitu, eskortowany przez kilku

czarnoskórych Maroonów. Jak twierdził, wybrał się w niedzielę na przejażdżkę konną, samotnie. Koń poniósł go jednak, a tak daleko, że Fowler zabłąkał się w górach i parę dni błądził, zanim go odnaleźli Murzyni.

W historii brak było logiki. Walter Piersall wiedział, że w tamtych czasach nikt nie zapuszczał się samotnie w głąb terytorium wyspy. A jeśli nawet, to każdy, komu inteligencja pozwalała piastować urząd rejestratora, umiałby zorientować się według słońca i kierując się stale na lewo od jego tarczy w ciągu paru godzin czy jednego dnia dotrzeć do południowego wybrzeża,

Tydzień później jednak Jeremiasz Fowler wykradł z archiwów papiery Middlejohna. Dokumenty dotyczące sekty plemiennej pod wodzą koromantyńskiego kacyka Akaby... Sekty, która sto czterdzieści cztery lata wcześniej zniknęła bez śladu w górach.

Ponadto, pół roku później, Fowler składa dymisję ze służby dyplomatycznej, to jest kolonialnej, by powrócić do Anglii z pokaźnym, wręcz olbrzymim majątkiem.

Fowler odkrył plemię Akaby.

Było to jedyne logiczne wytłumaczenie. A skoro tak, można było wysnuć następny domysł: czyżby plemię Akaby i Halidon były... jednym i tym samym?

Piersall był święcie przekonany, że tak. Potrzebny był mu tylko świeży dowód.

Dowód, który nadałby realność szeptanym plotkom o, niesamowicie bogatej sekcje, która żyje wysoko w górach okolic Cock Pitu. O odosobnionej grupie, która rozsyłała swoich wysłanników wszędzie, nawet do samego Kingston, by zdobyć wpływ na wydarzenia.

Piersall podpytywał nawet piątkę wysokich urzędników w Kingston. Wszyscy piastowali ważne stanowiska, wszyscy też mieli niezbyt jasne pochodzenie. Czy chociaż jeden z nich należał do Halidonu?

Każdemu z piątki polityków Piersall wyznał, że tylko on jeden może poznać wstrząsające informacje o „plemieniu Akaby”.

A także o „Halidonie”. Trzech spośród zapytanych podnieciło się tą zagadką, lecz najwyraźniej słyszeli o niej po raz pierwszy.

Pozostałych dwóch zniknęło.

Zniknęło, ponieważ wyjechali z Kingston. Piersallowi powiedziano, że jeden z nich nieoczekiwanie poszedł na emeryturę i osiedlił się na którejś z wysp w pobliżu Martyniki. Drugiego przeniesiono z Jamajki na odległą placówkę.

Piersall uzyskał świeży dowód.

Halidon i plemię Akaby to jedno i to samo. Halidon był faktem.

Jeśli potrzebował dalszych dowodów, tych ostatecznych, stanowiły je ciągłe próby zastraszenia go. Nieznani sprawcy przetrząsnęli jego prywatne archiwum. Ktoś z uniwersytetu – kto, nie wiadomo – dopytywał się bardzo pilnie o zakres obecnych badań naukowych Piersalla. Ktoś ukryty za plecami władz w Kingston usiłował zebrać informacje o antropologu. Trudno było o to wszystko podejrzewać zaniepokojonych stołecznych biurokratów.

Plemię Akaby. Czyli Halidon.

Pozostawało tylko dotrzeć do tajemniczych przywódców. Okazało się to

nadspodziewanie trudne, tym bardziej że cały Cock Pit obfitował w rozmaite izolowane sekty, przeważnie biedne, lecz mimo nędznej, rolniczej egzystencji, zazdrosne o swe tajemnice. Halidon nie zerwał wszelkich kontaktów ze światem. Która z grup była tą właściwą?

Antropolog znów wziął się za wertowanie zapisów na temat losów afrykańskich plemion w Nowym Świecie, zwłaszcza koromantyńskiej historii wieku XVII i XVIII. Klucz musiał się kryć właśnie tutaj.

Piersall odnalazł ów klucz. Nie podał tylko źródła, skąd pochodził znaleziony zapis.

Każde plemię i każda jego gałąź „posiadały własny rodzaj zewu, stosowany tylko i wyłącznie przez nie samo. Mógł to być gwizd, klaśnięcie lub słowo. Symbol ten znany był jedynie najwyższej starszyźnie plemiennej, uczestniczącej w radach. Jego znaczenie rozumieli tylko nieliczni, choć posługiwali się nim nawet w kontaktach z innymi grupami”.

Symbol ten – czy też słowo, zew – brzmiał w tym przypadku: Halidon.

Natomiast co do znaczenia...

Prawie miesiąc, nie licząc nie przespanych nocy, Piersall ślęczał nad wykresami fonetycznymi, nad hieroglifami i afrykańskimi symbolami ze wszystkich dziedzin życia.

Wynik zadowolił go całkowicie. Piersall złamał historyczny szyfr.

Bał się jednak zapisać tę odpowiedź na papierze, który przecież w razie jego śmierci – zwłaszcza naglej, jak w przypadku morderstwa – mógł dostać się w niepowołane ręce. Dlatego mniejszą kasetkę z odpowiedzią postanowił zakopać w innym, bezpiecznym miejscu.

Aby jednak odczytać odpowiedź, trzeba było znać treść papierów z pierwszej kasetki.

Wskazówki otrzymał tylko jeden człowiek. Miał je wypełnić w przypadku, gdyby Piersall nie był w stanie uczynić wszystkiego sam.

Charles Whitehall dotarł do ostatniej kartki. Na twarzy i szyi perlił mu się pot, choć w warsztacie było dość chłodno. Przez parę uchylonych okien w południowej ścianie wpadał wietrzyk, idący od wzgórz Drax Hall. Żaden powiew nie mógł jednak ugasić gorączki Whitehalla.

Whitehall dowiedział się prawdy. Jeszcze większa, przemożna prawda, była już w zasięgu ręki.

Był pewien, że pozna ją już niedługo.

Naukowiec i patriota stali się na powrót jedną osobą.

Prefekt Pretorianów Jamajki zwerbuje dla swych celów Halidon.

James Ferguson nie posiadał się z radości. Takiego samego uniesienia doświadczał, kiedy w okularze mikroskopu zdarzało mu się ujrzeć wiekopomną scenę, o której wiedział, że jest jej pierwszym świadkiem – albo przynajmniej świadkiem, który pierwszy odkrył prawdziwe znaczenie tego, co ogląda.

Tak było z włóknami barakao.

Gdy Ferguson badał pod szkiełkiem kształty i gęstość mikroskopijnych cząsteczek, stać go było na ogromną wyobraźnię. Stawał się olbrzymem, dogląającym setek milionów malusieńkich poddanych.

Całkowicie panował nad wszystkimi i wszystkim.

Teraz również panował nad sytuacją. Prowadził na pasku faceta, który nie zakosztował w życiu ciągłych walk o swoje, nie musiał bronić własnego podwórka, nie zaznał lekceważenia od świata i nie wyciągał z banku ostatnich paru funtów, gdy zleceńodawcy, zamiast płacić, wykręcali się sianem.

Wszystko to miało szansę się zmienić. Ferguson widział już w myślach mnóstwo rzeczy, które wczoraj wydawały mu się tylko próżnym marzeniem: własne laboratorium z kosztowną aparaturą – elektroniką, komputerami, bankami danych. Nareszcie się wyrzuci karteluchy z zapisanymi sumami, które znowu przyszło od kogoś pożyczyć.

A może maserati? Tak, trzeba sobie zafundować maserati. Takim wozem jeździ Arthur Craft. On, Ferguson, nie będzie gorszy.

Rachunek także zapłaci Arthur Craft.

Ferguson zerknął na zegarek – cholera, ciągi e ten tandetny timex – i kiwnął na barmana, na znak, że chce zapłacić.

Minęło trzydzieści sekund, a barman wciąż nie podchodził.

Ferguson sięgnął po rachunek, jaki leżał przed nim na blacie, i odwrócił go. Bilans nie sprawił mu kłopotu: dwa razy po dolarze pięćdziesiąt. James Ferguson uczynił więc to, na co nie odważył się jeszcze nigdy w życiu. Wyjął z portfela pięciodolarowy banknot, zmiażdżył go w kulkę, zeskokczył z wysokiego stołka i cisnął banknot w stronę odległej o parę metrów kasy. Papierowa kulka odbiła się od butelek na podświetlanej półce i łukiem spadła na podłogę.

Ferguson ruszył ku wyjściu.

Odkrył w tym geście całe pokłady męskości czy męstwa. Czuł się niby rycerz, pan na zamku.

Za dwadzieścia minut miał się spotkać z wysłannikiem Crafta juniora. Za ulicą z wylotem na port, przy nabrzeżu Parish, moło numer 6. Wysłannik będzie się przed nim płaszczył – czy chce czy nie chce – i wręczy kopertę, a w niej tysiąc dolarów.

Okrągły tysiąc dolarów.

W jednej kopercie, od razu, bez wielomiesięcznego odkładania banknotów i odejmowania sobie od ust, bez użerania się z urzędem podatkowym i wierzycielami z dawnych lat, wydzierającymi od razu pół sumy. Tysiąc dolarów, z którymi można zrobić, co się zechce. Choćby nawet przepuć, wydać na dziewczynki, kazać dziewczynie rozebrać najpierw siebie, a potem jego i zrobić wszystko, co po tylekroć

oglądał w marzeniach... Do wczoraj były to marzenia.

Musiał pożyczyć dwieście dolarów od McAuliffa, w charakterze zaliczki. Dwie setki. Nie ma powodu, żeby mu zwracać tę forszę. Na pewno nie teraz. Powie się McAuliffowi... Ciekawe, jak zareaguje na słowo „Alex”? Może lepiej „Lex”? Po kumpelsku, bezczelnie... Powie mu się, żeby odciągnął te pieniądze z honorarium. Nawet w całości, jeżeli ma ochotę. Nieważne. Naprawdę drobiazg.

Oczywiście, teraz już drobiazg.

Co miesiąc Arthur Craft miał odtąd dostarczać Fergusonowi kopertę. Umówili się, że w środku za każdym razem będzie tysiąc dolarów, ale co szkodzi zażądać więcej? Powiedzmy, z racji rosnących kosztów utrzymania? A koszty Ł będą rosły, w ślad za apetytami i zachciankami Fergusona.

Tysiąc, tak na początek.

Ferguson przemierzył St. James Square i ruszył ku nabrzeżom. Noc była bardzo ciepła, bezwietrzna i parna. Skłębione chmury przepływały nisko, grożąc deszczem i przesłaniając księżyc. Staroświeckie latarnie uliczne rzucały przyćmione światło, kłójące się z krzykliwymi, białymi i pomarańczowymi neonami, które zachwalały światu nocne życie Montego Bay.

Z Harbour Street Ferguson skręcił w lewo. Zatrzymał się pod lata nią i znów sprawdził godzinę. Dziesięć po dwunastej. Craft mówił, żeby czekać kwadrans po północy. Jeszcze pięć minut i do kieszeni wpadnie tysiąc dolarów.

Molo numer 6 miał teraz Ferguson dokładnie po prawej ręce, za bulwarem. Przy brzegu nie cumował tu żaden statek, nikt też nie kręcił się po rozległej n nabrzeżu załadunkowym za płotem z drucianej siatki. Teren oświetlała tylko potężna, naga żarówka, pod którą widniała tablica z napisem:

MOLO NR 6

LINIE ŻEGLUGOWE HAMMONDA

Ferguson zatrzymał się pod żarówką, dokładnie na wprost tablicy, czekając aż pojawi się wysłannik w sportowym samochodzie marki Triumph. Wysłannik miał sprawdzić tożsamość Fergusona. Ferguson pokaże mu wtedy paszport i zainkasuje kopertę.

Proste. Cała transakcja nie potrwa nawet pół minuty. Za to odmieni Fergusonowi całe życie.

Żądania botanika oszołomiły Crafta, którego z początku zatkało. Kiedy odzyskał mowę, zasypał Fergusona wyzwiskami i zdzierając sobie gardło wyzywał go od najgorszych... To jest, dopóki nie zrozumiał, że stoi na straconej pozycji. Craft junior posunął się za daleko. Naruszył prawo. Gdyby rzecz wyszła na jaw, skompromitowałby się w oczach świata. James Ferguson chętnie opowie o spotkaniu nas lotnisku, o walizkach, o telefonach i szpiegostwie gospodarczym... Przypomni także obietnice Crafta.

No właśnie, obietnice.

Na szczęście dyskrecja to kwestia odpowiedniej ceny. Craft może sobie zapewnić dyskrecję botanika, ale pierwsza rata wyniesie tysiąc dolarów. Jeżeli Craftowi nie podoba się taki układ, być może szczegóły opowieści Fergusona zainteresują kogoś wśród władz w Kingston?

Nie, na razie jeszcze z nikim nie rozmawiał... Na razie. Zapisał jednak wszystko skrupulatnie. (Craft nie był w stanie stwierdzić, czy to prawda). Gdzie, nie pamięta, ale mógłby sobie przypomnieć. Na pewno umiałby to sobie przypomnieć. Craft mógłby natomiast wysupłać pieniądze. Uśmiech za uśmiech. To jak?

Właśnie tak.

Ferguson przeszedł na drugą stronę portowego bulwaru, zbliżając się do odrutowanej żarówki i tablicy. Dwie przecznice dalej wysypało się na chodnik stadko turystów. Ciągnęli wszyscy w tę samą stronę, do dworca żeglugi pasażerskiej i do trapów statku wycieczkowego. Z bocznych ulic i zaułków wyjeżdżały taksówki, przywożąc z centrum Montego Bay wycieczkowiczów. Taksówki trąbiły na siebie i powoli przebijały się przez ruch uliczny w stronę dworca. Powietrze wypełniły nagle trzy basowe tony, wstrząsając nocą. Okrętowa syrena ostrzegała, że za chwilę wszyscy muszą znaleźć się na pokładzie.

Ferguson usłyszał silnik triumpha zanim jeszcze dojrzał samochód. Wóz wypadł z rykiem z ciemnej uliczki, wychodzącej ukosem na molo numer 6. Nisko zawieszony, czerwony sportowy kabriolet wyrósł nagle przed Fergusonem i zatrzymał się równie nagle. Za kierownicą siedział jeden z ludzi Crafta, zapamiętany sprzed roku, choć Ferguson nie pamiętał jego imienia ani nazwiska. Przypominał sobie tylko, że fagas Crafta był bezczelnym, zręcznym osiłkiem. Tym razem można go będzie wyleczyć z bezczelności.

Nie było jednak takiej potrzeby. Fagas uśmiechnął się zza kierownicy i ruchem ręki zachęcił Fergusona, by podszedł bliżej.

–Sie masz, Fergy! Kopę lat!

Ferguson nie cierpiał przezwiska „Fergy”, które prześladowało go przez większość lat dotychczasowego życia. Kiedy już myślał, że przeszło bezpowrotnie do szkolnej przeszłości, zawsze znalazł się ktoś – i to zawsze ktoś nieprzyjemny – kto znowu musiał je wyciągnąć na wierzch. Ferguson chciał już poprawić fagasa, uświadomić mu, że jest tylko zwyczajnym gońcem, ale machnął ręką i zignorował zaczepkę.

–Skoro mnie rozpoznajesz, zakładam, że nie muszę ci przedstawiać dokumentów – wycedził, zbliżając się do samochodu.

–Jezu, i jeszcze co? Jak zdrówko?

–Dziękuję, służy. Masz dla mnie tę kopertę? Spiesz mi się.

–Mam, pewno że mam. Nie gorączkuj się, Fergy. Strasznie jesteś wrywny, koleś. Nasz przyjaciel cię nie lubi. Mało dziś ze skóry nie wyskoczył, a wiesz jaki on jest, nie?

–Wiem, wiem. Widać ma powody. Poproszę kopertę.

–Łap! – kierowca wysupłał z kieszeni kopertę i podał ją Fergusonowi. – Powiedzieli, żebyś przy mnie przeliczył. Jeżeli suma się zgadza, oddaj mi po prostu kopertę... Tylko zrób na niej jakiś znaczek, jakikolwiek. Aha, tutaj masz długopis. – Fagas otworzył schowek w desce rozdzielczej i podał pisak Fergusonowi.

–Nie będę liczyć. Na pewno mnie nie oszukał.

–Coś ty, z byka spadłeś, Fergy? Jak nie przeliczysz, zmyją mi łeb tak, że nie wiem. Przelicz, postaw parafkę, co ci szkodzi?

Ferguson zajrzał do pękatej koperty. Dostał całą sumę w dziesiątkach i w piątkach. Ponad sto banknotów. Nie prosił o niskie nominały, ale sam musiał przyznać, że to dobry pomysł.

Drobnicy zawsze się łatwiej pozbyć niż setek, pięćdziesiątek albo dwudziestek. Zaczął więc liczyć.

Dwa razy fagas Crafta przerwał mu tę czynność jakimś głupim pytaniem. Za każdym razem James mylił się i musiał zaczynać liczenie od początku.

Gdy skończył, kierowca wręczył mu nieoczekiwanie torbą.

–Nasz przyjaciel chce ci udowodnić, że można się z nim dogadać, rozumiesz. Mówię ci, że to naprawdę fajny facet, no wiesz. Daje ci w prezencie nowy aparat. Patrz, małoobrazkowa yashica. Pamiętał, że masz bzika i zawsze coś fotografujesz.

Ferguson rzeczywiście dostrzegł na torbie znak firmowy Yashiki. Aparat za siedemset dolarów! I to jeden z najlepszych na świecie! Craft junior naprawdę miewał zatrwające pomysły.

–Powiedz... Arthurowi, że dziękuję. Aha, ale powtórz, żeby nie traktował tego jako zaliczki na konto przyszłych wypłat.

–Powie mu, pewno że powiem... A tobie też coś powiem, Ferguniu. Pierwszy raz w życiu grasz w filmie, chociaż nic o tym nawet, kurwa, nie wiesz – poinformował go niegłośno kierowca.

–Co ty gadasz?

–Ano, obejrzyj się za siebie, Ferguniu.

Ferguson okręcił się błyskawicznie w stronę pustych doków załadunkowych za

plotem. W cieniach bramy stało tuż za siatką dwóch ludzi. Ruszyli, nie spiesząc się, oddaleni o dobrych dwadzieścia pięć metrów. Jeden z nich dźwigał trójnog z kamerą filmową.

–Co wyście zrobili...?

–Zabezpieczyliśmy się tylko na przyszłość, Ferguniu. Nasz przyjaciel lubi, żeby dotrzymywać umów, kapujesz, nie? Film wysokiej czułości, wiesz chyba, co to takiego? Zagrałeś kapitalną scenę, z całym tym liczeniem pieniędzy i Bóg wie jakimi prezentami od faceta, którego na północ od Caracas nie widziano publicznie od pół roku. Kapujesz, nasz przyjaciel specjalnie ściągnął mnie tu z Rio, żebym też zagrał w filmie... Z tobą w duecie.

–Nie możecie mi tego zrobić! I tak nikt wam nie uwierzy.

–A to dlaczego, prosiaczkę? Strasznie z ciebie zachłanny kutasek, kapujesz, nie? Takie kutaski jak ty prędko lądują w śmietniku... A teraz słuchaj, sieroto. Ty masz haka na Arthura, a on na ciebie. Tyle że jego hak jest jakby większy. Taki film narobiłby ci dużo gnoju, takiego że w życiu byś się nie wytłumaczył. Nie jestem bardzo popularny na tej wyspie, Fergy. Ciebie też by stąd zaraz wykopsali... Chyba że najpierw wsadzą cię do pudła. A wiesz, jak jest w pudle. Wyrzutki społeczeństwa, zbrodnie, nie wytrzymałbyś z nimi piętnastu minut. Odarliby cię, koleś, z tej białej skórki, warstwa za warstwą... Dlatego musisz być grzeczny, Fergy. Arthur kazał powtórzyć, żebyś sobie zatrzymał tego patyka. Jeszcze będziesz miał okazję się odwdziżyć. – Wysłannik pomachał pustą kopertą. – Dwa komplety odcisków palców. Twoje i moje... No, sie masz, mały. Muszę spływać z tej wyspy, po co człowiek ma ryzykować ekstradycję.

Dwukrotnie dodał gazu i płynnym ruchem wrzucił bieg. Z doświadczeniem rajdowca zawrócił triumpha, by z rykiem silnika zniknąć w ciemnościach Harbour Street.

Julian Warfield przybył do Kingston. W ciągu trzech dni, jakie upłynęły od przylotu, zdążył poruszyć wszystkie siły podległe Dunstone Limited, aby tylko za wszelką cenę rozszyfrować dziwną działalność Alexandra McAuliffa. Peter Jensen wywiązał się nadzwyczaj skrupulatnie z instrukcji. Nie dość, że sam nie spuszczał oka z McAuliffa, to jeszcze przekupił portierów i taksówkarzy, aby uzyskać pewność co do każdego posunięcia Amerykanina.

Jak zwykle, Jensenowie starali się przy tym nie rzucać w oczy i sprawiać wrażenie, że nie mają najmniejszego związku z nadzorem.

Jensen zrobiłby dla Juliana Warfielda wszystko... Julian mógł przed nim postawić dowolne żądanie. Nie było takiej usługi na rzecz Dunstone Limited, której Jensen by się nie podjął. Oddał tej organizacji i jej szefowi wszystkie talenty, dlatego że właśnie Dunstone wybawiło Petera i Ruth Jensenów od straszliwego losu i wprowadziło w świat, w którym znów możliwe stały się nadzieje a i spokojna praca.

Jensenowie uwielbiali swoją pracę, za którą szły pieniądze i poczucie bezpieczeństwa, na ogół niedostępne innym uniwersyteckim małżeństwom. W tych warunkach można było zapomnieć o przeszłości.

Julian napotkał Jensenów prawie dwadzieścia lat wcześniej, rozbitych,

skończonych, doprowadzonych do ruiny...A także zubożonych, osamotnionych i bezdomnych. Petera i Ruth Jensenów przyłapano niedługo wcześniej na gorącym uczynku, a działo się to w czasach powszechnego obłędu, po aferze Klausa Fuchsa i Guya Burgessa, kiedy źle pojęta gorliwość kazała władzom nie cackać się przy wyrokach. Jensenowie dorabiali sobie tymczasem do uniwersyteckich pensyjek tajnymi zleceniami rządowymi. Po kryjomu badali złoża ropy naftowej, złota i surowców strategicznych, lecz kopie tajnych raportów z poszukiwań przekazywali przy okazji zaufanemu łącznikowi z sowieckiej ambasady.

Jeszcze jeden cios zadany wrogom równości i sprawiedliwości społecznej.

Niestety, przyłapano ich.

Na szczęście natrafił na nich Julian Warfield.

Julian Warfield zaproponował im nowe życie... Nie za darmo, bo w zamian za podjęcie się pewnych zadań. Jakich, to się okaże. Mieli infiltrować agencje rządowe i nie tylko rządowe, węszyć, co dzieje się w dużych firmach... W Anglii i nie tylko w Anglii. Zawsze będą przy tym zatrudnieni jako najwyższej klasy specjaliści i nadal będą mogli się zajmować ukochaną gałęzią nauki. Brytyjska prokuratura oddaliła nagle wszystkie zarzuty wobec pary geologów. Okazało się, że wskutek straszliwej pomyłki o mało nie wyrządzono niepowetowanej krzywdy dwójce szanowanych członków społeczności akademickiej. Scotland Yard oficjalnie przeprosił Jensenów. Tak, dosłownie: przeprosił.

Peter i Ruth nigdy już nie odmówili Julianowi. Ich lojalność nie budziła odtąd wątpliwości.

Właśnie dlatego Peter leżał w tej chwili na zimnym, wilgotnym piasku, patrząc jak ponad horyzontem zaczyna wstawać karaibski świt. Peter leżał plackiem, ukryty za koralowym pagórkiem, skąd doskonale można było obserwować nadmorski taras przy pokoju McAuliffa. Ostatnie instrukcje Warfielda okazały się bardzo konkretne.

Sprawdzić, kto się kontaktuje z McAuliffem. Które z tych osób są najważniejsze. Jeśli się uda, zdobyć nazwiska. I na miły Bóg, nie dać się zauważyć. Pomoc pary geologów będzie niezbędna, gdy zaczną się pomiary wnętrza wyspy.

Julian zgadzał się z teorią, że częste zniknięcia McAuliffa – wypadki do Kingston, nagle jazdy taksówkami, spotkanie z ludźmi czekającymi w nie oznakowanym wozie przed bramą Courtleigh Manor – oznaczają, że Amerykanin ma na Jamajce innych mocodawców niż Dunstone Limited.

A zatem można było założyć, że McAuliff złamał pierwszy i najbardziej zasadniczy warunek: nie dochował tajemnicy, Skoro tak, trzeba będzie McAuliffa przenieść... Usunąć.

Świat natychmiast zapomni, że w ogóle istniał jakiś McAuliff. Najpierw jednak z pomocą McAuliffa trzeba było dowiedzieć się, kim jest wyspiarski wróg Dunstone.

Wróg czy może wrogowie?

Nie było przesadą stwierdzenie, że w porównaniu z tą misją badania i pomiary geologiczne to sprawy drugorzędne. Wręcz trzeciorzędne. Jeżeli o to chodzi, wyprawę można było od razu spisać na straty, pod warunkiem że jej zagłada przyczyni się do wyjaśnienia, kim jest przeciwnik.

Peter Jemen wiedział, że wyjaśnienie to kwestia najbliższego czasu... Leżąc na piasku za motelem Bengal, wiedział to już na pewno.

Wszystko zaczęło się zaledwie trzy godziny wcześniej.

Peter i Ruth parę minut po północy poszli spać. Ich pokój znajdował się we wschodnim skrzydle motelu, obok pokoiów Fergusona i Charlesa Whitehalla. McAuliff, Alison i Sam Tucker rozlokowali się w zachodnim skrzydle. Podział ten odzwierciedlał stare przyjaźnie, nowe romanse oraz upodobania nocnych birbantów.

Około pierwszej w nocy Jensenowie usłyszeli hałas. Na głównym podejździe z piskiem hamulców zatrzymał się samochód. Potem jednak zapadła cisza, jak gdyby kierowca zorientował się, że niechcący może ściągnąć na siebie uwagę.

Zdarzenie było niezwykle o tyle, że motel Bengal nie był nocnym klubem ani tętniącą wyspiarskimi rytmemi stołeczną knajpą, pełną rozbrykanych, przeważnie bardzo młodych turystów. Przeciwnie, przybytek był cichy, a jego restauracja wydawała się ostatnim miejscem nadającym się na karnawał. Ba, od przyjazdu Peter Jensen nie pamiętał dnia, kiedy choćby jeden samochód zatrzymał się na podejździe po dziewiątej wieczór.

Prędko wstał z łóżka i wyszedł na taras, lecz niczego nie zauważył. Musiał okrążyć wschodnie skrzydło motelu i podkraść się do skraju parkingu. Wówczas, owszem, zauważył to i owo, choć niewyraźnie. Zauważył coś, co bardzo go zdenerwowało.

W cieniach na drugim końcu parkingu, ogromny Murzyn – Jensenowi wydawało się przynajmniej, że to Murzyn – wywlekał z tylnego siedzenia samochodu bezwładną postać. Za samochodem ktoś inny, biały, wybiegł zza narożnika zachodniego skrzydła i pomknął przez trawnik w stronę samochodu. Sam Tucker. Tucker zbliżył się do Murzyna niosącego na rękach postać, zaszeptał coś do niego, wskazując na kierunek, skąd przybiegł, dotarł do samochodu i jak najciszej zamknął tylne drzwiczki.

Sam Tucker miał być przecież z McAuliffem w Ocho Rios? Byłoby co najmniej dziwne, gdyby sam jeden powrócił do motelu tuż po północy.

Gdy Jensen wciąż się nad tym głowił, na trawniku przy zachodnim skrzydle zamajaczyła kolejna postać. Tym razem była to Alison Booth, która gestykulując powiedziała coś pod adresem Murzyna. Widać było, że jest zdenerwowana i ledwie nad sobą panuje. Murzyn ruszył za nią posłusznie, dźwigając ciężar, po czym wszyscy zniknęli za rogiem.

Peter Jensen poczuł naraz w żołądku mdlące uczucie. Czy nieprzytomna postać to czasem nie Alexander McAuliff? Przywołał jeszcze raz w pamięci całą scenę. O pewności nie mogło być mowy, nie przy tej widoczności i tym tempie wypadków, ale kiedy Murzyn stąpał przez trawnik na odcinku oświetlanym przez parkingową lampę, na moment mignęła Jensenowi głowa niesionej postaci. Peter zdumiał się na ten widok, bo kiwająca się głowa była zupełnie łysa... Gładka, jak gdyby wygolona.

Sam Tucker zajrzał do samochodu i usatysfakcjonowany popędził do zachodniego skrzydła, by dołączyć do pozostałych.

Peter przykucnął, postanawiając nie opuszczać kryjówki. Cała scena wydawała

mu się niesłychana. Ani Tucker, ani Alison Booth nie pojechali wcale do Ocho Rios. Za to ktoś inny został ranny, i to chyba poważnie. Zamiast wnieść rannego głównym wejściem, przemycono go do środka, tak aby nikt nie zauważył. Co więcej, wykluczone, aby Sam Tucker powrócił do motelu sam, bez McAuliffa. Wykluczone, by to samo uczyniła Alison Booth.

Co oni wyrabiają? Co się im przytrafiło, na Boga? I w ogóle, co się dzieje? Peter pomyślał, że najłatwiej dowie się tego wszystkiego, jeżeli się ubierze, pójdzie do motelowego baru i pod byle jakim pretekstem – jakim, to się zobaczy – zaprosi McAuliffa na kielicha przed snem.

Postanowił załatwić wszystko sam. Ruth niech zostanie w pokoju. Ale najpierw trzeba podejść do skraju plaży, nad wodę, skąd doskonale widać cały motel, a zwłaszcza poszczególne tarasy.

W miniaturowym barze motelu Peter zastanawiał się chwilę, pod jakim pretekstem zadzwonić do McAuliffa. To, co wymyślił, było tak proste, że wręcz absurdalne. Mianowicie, ponieważ nie mógł zasnąć, wyszedł się przejść na plażę i zobaczył światło za zaciągniętymi storami kwatery Alexa. Domyślił się, że powrócili z Ocho Rios. Czy Alex i Alison nie mieliby ochoty napić się czegoś?

Jensen podniósł słuchawkę telefonu na końcu kontuaru. Kiedy McAuliff zgłosił się, słycać było, jak cierpi, zmuszony do uprzejmego tonu w okolicznościach, kiedy nie ma czasu na kurtuazję. To, że McAuliff kłamie, było ewidentne.

–Boże, chyba nie, Peter, strasznie miło, że dzwonicz, ale naprawdę jesteśmy skonani. Ledwo weszliśmy w Rios do San Souci, kiedy dopadł nas telefonicznie Latam z ministerstwa. Ci jego biurokraci znowu schrzanili sprawę i zostaliśmy bez załączników do zezwoleń. Jutro o świcie znów musimy tłuc się do miasta, żeby wziąć udział w jakimś cholernym... odbiorze komisyjnym. Poza tym chcą od nas jeszcze zaświadczeń o szczepieniach ochronnych, badań. To znaczy, nie od nas, tylko od tragarzy.

–Mało uprzejme z ich strony, przyjacielu. Sukinsyny, nieprawdaż? Pierwszy to przyznam.

–Ano, co zrobić... Z kielicha nici, ale pamiętam o zaproszeniu, jeszcze będzie okazja. Chociażby jutro.

Peter chciał przytrzymać McAuliffa przy telefonie nieco dłużej. Amerykanin był wyraźnie zdyszany. Każda sekunda rozmowy zwiększała ryzyko, że Jensen coś dosłyszy.

–Jutro? Nie wiem. Jutro chcieliśmy z Ruth wynająć auto i podjechać koło południa do Wodospadów Dunna. Do tego czasu powinniście wrócić. Może wybierzecie się z nami?

–Szczerze mówiąc, Peter – zaczął z wahaniem McAuliff – planowaliśmy, że wpadniemy jeszcze do *Ochee*.

–No tak, w tym układzie nie wybierzecie się oczywiście z nami do wodospadów. Oglądałeś je już kiedyś, co? Naprawdę są takie świetne, jak mówią?

–Świetne, świetne. Coś nadzwyczajnego. No to bawcie się dobrze.

–Ale wróćcie na jutro wieczór, tak? – nie dawał sobie przerwać Jensen.

–Pewnie że tak... A co?

–Nic, będzie okazja się napić.

–Owszem – powoli i ostrożnie zgodził się McAuliff. – Wrócimy jutro pod wieczór.

Oczywiście, że wrócimy... To co, Peter? Dobranoc!

–Dobranoc, kolego. Śpij dobrze – pożegnał go Jensen i odłożył słuchawkę.

Niespiesznie przeniósł kieliszek do stolika w kącie baru, kłaniając się uprzejmie innym gościom i siadł, udając, że czeka na kogoś, na przykład na żonę. Nie chciał się do nikogo przysiadać. Trzeba ułożyć plan działania.

Tenże plan kazał mu teraz leżeć na brzuchu w piasku za koralowym wzgórkem i śledzić rozmowę Lawrence'a z Samem Tuckerem.

Jensen leżał tak od paru godzin i zdążył przez ten czas podejrzeć sprawy, które starannie próbowano ukryć przed światem. Najpierw przyjazd kolejnej dwójki osób. Jedną z nich był lekarz z charakterystyczną torbą, drugą chyba sanitariusz, dźwigający spory kuferek i jakieś dziwne przyrządy.

McAuliff, Alison i lekarz naradzali się dłuższy czas. Potem dołączyli do dyskusji Sam Tucker i czarny tragarz Lawrence. Wreszcie na tarasie zostali tylko Sam Tucker i Murzyn. Zamiast spać, czuwali na dworze.

Wartownicy.

Strzegli jednak nie tylko Alexandra i jego dziewczyny, lecz prócz nich także bezwładnej postaci w jednym z pokojów. Pilnowali rannego z samochodu, tego z dziwną czaszką.

To znaczy kogo?

Tucker i Lawrence już trzy godziny tkwili na posterunkach. Nikt przez ten czas nie wchodził i nie wychodził. Peter wiedział mimo to, że nie może opuścić plaży. Jeszcze nie.

Naraz wzrok Jensena padł na Lawrence'a, który zbiegał po stopniach tarasu, kierując się przez wydmy w stronę plaży. Jednocześnie zaś Tucker pobiegł przez trawnik i stanął przy narożniku budynku. Chyba czekał na kogoś. A może obserwował teren?

Lawrence był już na skraju plaży. Jensen śledził w zdumieniu jego dziwne posunięcia. Murzyn popatrzył na zegarek, a potem zapalił kolejno dwie zapalki i uniósł je nad głową w bezwietrznym powietrzu przedświt, a następnie cisnął je w wodę.

Po minucie cel tej czynności stał się jasny. Lawrence zrobił z dłoni daszek, chroniąc oczy przed oślepiającym klinem słońca, którego rąbek zaczynał wstawać ponad horyzontem, i spojrzał w morze. Jensen również skierował wzrok w tamtą stronę.

Na gładkiej jak stół tafli, w cieniach urwisk koło przylądka, mignęły dwa nowe ogniki. U wejścia do wąskiej zatoki pojawiła się łódka. Pierwsze promyki słońca oświetliły jej czarnoszary kadłub.

Łódka zmierzała prosto ku odcinkowi plaży, gdzie czekał Lawrence. Parę minut później Lawrence powtórzył sygnał, czekając na odzew ze zbliżającej się łódki. Potem zapalki zgasły, a czarny tragarz puścił się pędem z powrotem do motelu.

Czekający na trawniku Sam Tucker odwrócił się i spostrzegł biegnącego Lawrence'a. Zaczekał na niego przy schodach idących w stronę plaży. Murzyn dobiegł do Tuckera i wymienił z nim parę szybkich uwag. Razem zniknęli za drzwiami pokoju wychodzącego na taras – za drzwiami Alison Booth. Otworzył je Tucker i umyślnie zostawił szeroko otwarte.

Peter Jensen popatrywał teraz to na motel, to znów na plażę. Na tarasie nic się nie działo, natomiast łódka uparcie zmierzała ku plaży po wyjątkowo wręcz spokojnych wodach. Od brzegu dzieliło ją raptem trzysta metrów. Jensen rozpoznał w niej płaskodeną rybacką krypę, popychaną wytłumionym silniczkim spalinowym. Na rufie siedział Murzyn w łachmanach i szerokim słomkowym kapeluszu. Przy burtach sterczały zatknięte wędziska, a wzdłuż burt widać było zwinięte sieci. Najnormalniejszy widok na świecie: jamajski rybak, który przed świtem wypłynął na połów.

Sto metrów od brzegu czarny szyper znów zapalił zapalniczkę i zgasił ją prędko. Jensen przeniósł spojrzenie na taras. Po paru sekundach z ciemności wnętrza wychynął Sam Tucker dźwigający nosze, z drugiej strony trzymane przez Lawrence'a. Na noszach zaś leżał człowiek okryty kocami.

Para z noszami ostrożnym, lecz szybkim krokiem zeszła – ześliznęła się z tarasu, ruszając po schodach, a potem po wydmach, w stronę wody. Manewr był wyliczony co do sekundy. Jensen miał wręcz wrażenie, że Tucker i Lawrence zaczęli brodzić w falach, kiedy łódź dopiero wpływała na płyciznę. Nosze spoczęły na dnie krypy. Tucker, Lawrence i „rybak” ostrożnie przesadzili je przez burtę i zamaskowali sieciami. Amerykanin natychmiast zepchnął łódź na głębszą wodę, a Lawrence wskoczył do środka i przykucnął na dziobie, prędko zdjął koszulę i z jakiegoś schowka wydobyl podarty słomkowy kapelusz. W kapeluszu i z wędziskiem w ręce stał się w jednej chwili innym człowiekiem. Spiskowiec Lawrence zniknął, a na jego miejscu siedział w łódce osowiały miejscowy rybak.

Płaskodenka zawróciła, przecinając gładką jak szkło, morską toń, a silnik zawarczał odrobinę głośniejsze niż przedtem. Szyper chciał jak najszybciej uwięzić z plaży swój żywy ładunek.

Sam Tucker pomachał załodze. Lawrence kiwnął głową i zanurzył wędzisko. Tucker nie czekał już, tylko brodząc po pas wyszedł na brzeg i prędko ruszył z powrotem do motelu.

Peter Jensen został jednak na miejscu i patrzył, jak łódź sunie przez zatokę w kierunku przylądka. Kilka razy Lawrence nachylił się nad sieciami, jak gdyby je przekładał, choć w rzeczywistości sprawdzał stan człowieka na noszach. Co pewien czas wydawał też przyciszone komendy Murzynowi przy rumplu sterowym. Słońce przebijało się już nad linię horyzontu, a dzień zapowiadał się gorący, nawet jak na Jamajkę.

Peter spostrzegł, że drzwi z tarasu do pokoju Alison nadal stoją otworem. W pierwszym świetle dnia udało mu się teraz dojrzeć, co się dzieje w środku. Sam Tucker wynurzył się dwukrotnie na taras, taszcząc brązowe plastikowe worki. Zostawił je na dworze. Po nim na patio wyszedł ktoś inny, w kim Jensen rozpoznał

asystenta przybyłego z lekarzem. Sanitariusz dźwigał dużą czarną butlę, a w drugiej ręce czarną walizę. Położył je na posadzce, na moment schylił się i zniknął za balustradą, a kiedy się wyprostował, miał w rękach dwie podłużne puszkę, jak od aerozolu. Jedną z nich wręczył zaraz Tuckerowi, który znów wyszedł na taras. Sanitariusz zamienił z Tuckerem dwa słowa, a potem obaj wrócili do środka.

Nie minęły nawet trzy minuty, kiedy Tucker i sanitariusz znowu się pojawili w polu widzenia Jensena. Tym razem scena wyglądała komicznie, bo obaj cofając się jednocześnie wpadli plecami na drzwi. Obaj także mieli wyciągnięte ręce. Jensen zrozumiał, że rozpylają z puszek jakiś preparat.

Tucker i czarny pomagier systematycznie spryskali całe wnętrze.

Kiedy skończyli, podeszli do plastikowych worków, walizki i butli. Podnieśli cały ładunek, znowu zamienili słowo i pomaszerowali przez trawnik.

Na morzu łódź była już w połowie drogi do ujścia zatoki. Coś jednak musiało się stać na pokładzie, bo ruch łodzi ustał. Krypa kołysała się lekko na gładkiej powierzchni. Peter widział na dziobie pomniejszoną postać Lawrence'a, który przyklęknął nagle, a potem znów wstał. Szyper tłumaczył mu coś i zawzięcie gestykulował.

Potem łódź znowu zaczęła się posuwać naprzód, lecz zakręciła i zmieniła kierunek żeglugi. Porzucając dotychczasowy kurs – jeśli rzeczywiście zmierzała do przylądka – płynęła teraz prosto na pełne morze.

Przez następny kwadrans Jensen nadal leżał na wilgotnym piasku, patrząc jak krypa zmienia się w czarną kropkę na czarnoszarym oceanie, omywanym pomarańczowym blaskiem słońca. Nie potrafił czytać w myślach obu Jamajczyków z pokładu i nie wiedział, co zdarzyło się na pokładzie łódki, która tak nietypowo oddaliła się od brzegu. Przy swojej znajomości prądów morskich i przyływów, a do tego obserwując przez ostatnie trzy godziny wydarzenia, mógł jednak dojść tylko do jednego wniosku.

Człowiek na noszach umarł. Jego ciało, odarte ze znaków tożsamości i obciążone balastem od sieci, znajdzie się zaraz w wodzie, a prądy przydenne uniosą je daleko od Jamajki. Być może za kilka tygodni lub miesięcy fale wyrzucą je na którąś z raf koralowych albo – co byłoby lepszym końcem – rozszarpia je i pożrą głębinowi drapieżcy.

Peter uznał, że najwyższy czas zadzwonić do Juliana, spotkać się z nim.

Najwyższy czas.

Kiedy McAuliff przewrócił się na drugi bok, ramię aż po klatkę piersiową przeszył mu nagły ból. Prędko uniósł się na posłaniu, oszołomiony doznaniem. Kiedy zebrał myśli, przekonał się, że jest ranek. Poprzednia noc wydawała mu się teraz serią przeraźliwych omyłek. Znowu trzeba będzie składać wszystkie fragmenty w sensowną całość, układać nowe plany.

Spojrzał na leżącą obok Alison. Oddychała głęboko i równo, pogrążona we śnie. Jeżeli ostatnia noc wydawała mu się takim koszmarem, Alison musiała ją znieść równie ciężko. Może nawet gorzej niż on. Alex miał przynajmniej tę pociechę, że ruszał się cały czas, biegł, uciekał. Alison natomiast czekała biernie, za towarzystwo

mając własne myśli. Alex na szczęście nie miał czasu na myślenie.

Czekanie musiało być gorsze. Przynajmniej pod pewnymi względami.

Powoli, starając się nie robić hałasu, postawił stopy na podłodze i wstał. W całym ciele czuł odrętwienie. Bolały go stawy, zwłaszcza w kolanach.

Trudno się dziwić. Mięśnie, na które tak się zdał poprzedniej nocy, były jak rozstrojone struny dawno nie używanego instrumentu, któremu spanikowany dyrygent powierzył partię solową. Alex pomyślał, że porównanie doskonale odzwierciedla jego stan, nie tyle fizyczny, ile umysłowy. Uśmiechnął się prawie, kiedy te myśli przysły mu do głowy, tak bardzo nie harmonizowały z sytuacją.

Ale też sytuacja pełna była fałszywych akordów.

Kilka nut pomimo to składało się w pełne akordy. Gdzieś daleko zaczynała się nawiązywać melodia, której Alex nie potrafił jeszcze do końca wychwycić.

Bo i cóż tu wychwytywać? Bzdura, nie melodia.

Na razie bzdura.

W nozdrza uderzył go z kolei obcy zapach, słodki, choć niepodobny do mamiącej go na wyspie woni korzeni i wanilii. Jeżeli kojarzył z czymś ten zapach, to z południową Azją... Tak pachniało na Jawie, w cieśninie Sunda. Mdląca, dusząca woń. Cicho podszedł do drzwi na taras i już miał je otworzyć, kiedy spostrzegł własną nagość. Na palcach podszedł do krzesła przy zasłoniętym oknie, gdzie kilka dni wcześniej zostawił do wyschnięcia parę kąpielówek. Zdjął je z drewnianego oparcia i naciągnął na biodra.

–Przeschły już, mam nadzieję – odezwała się z łóżka Alison. – Pokojówki nie zadają tu sobie specjalnie trudu z porządkami, a ja też ci ich nie rozwiesiłam.

–Śpij jeszcze. – Alex odwrócił się ku niej. – Przed chwilą spałaś. I to jak!

–Ale teraz nie śpię. I to jak! O rany, już piętnaście po ósmej!

–To co?

–Właściwie nic... Po prostu nie myślałam, że tak późno wstaniemy.

–Dlaczego późno? Położyliśmy się dobrze po trzeciej. Tyle się wydarzyło, że mamy prawo spać do południa.

–Jak twoja ręka? Ramię?

–Trochę boli...Wszystko mnie boli. Ale przeżyję.

–A skąd ten okropny zapach? – Alison przysiadła. Przykrycie opadło z niej, odsłaniając dziwnie purytańską w kroju nocną koszulę. Z nieprzezroczystej bawełny, a w dodatku zapinaną pod szyję. Dziewczyna spostrzegła spojrzenie Alexa i jego półuśmieszek, bo sama zerknęła na koszulę i roześmiała się. – Własność mojej babci. Włożyłam ją, kiedy zasnęłaś. Było zimno, a tobie i tak chciało się co najwyżej filozofować.

McAuliff podszedł do łóżka i usiadł obok Alison.

–Musiałem strasznie perorować, co?

–Nie mogłeś się uciszyć. Próbowалам tak, owak i nic. Poza tym wypileś mnóstwo szkockiej. A właśnie, jak tam głowa?

–Świetnie. Zupełnie jakbym pił kakao, nie szkocką.

–Nie dziwię się. Pewnie od razu z ciebie wyparował ten alkohol. Widziałam już

takie przypadki... O, przepraszam. Zapominam, że nie lubisz moich brytyjskich uwag.

–Sam w nocy miałem różne uwagi. Naprawdę, wycofuję wszystkie pretensje.

–Czy dalej wierzysz w to, co mi powiedziałeś? W każde słowo? A może, jak to się mówi, ranek jest mądrzejszy od wieczora?

–Myślę, że wierzę. Usiłowałam cię tylko przekonać, że najlepiej biją się ci, którzy bronią własnego podwórka i których egzystencja zależy od wyniku walki... Owszem, wierzę w każde słowo. Wierzyłbym jeszcze bardziej, gdyby nie ta rana Baraka.

–Dziwne imię, „Barak”.

–I dziwny człowiek. Bardzo silny. Ta wyspa potrzebuje kogoś takiego, Alison. Chłopcy prędko tutaj męźnieją, ale nawet im potrzeba doświadczenia. Wiedza Baraka będzie bardzo potrzebna.

–Komu będzie tak potrzebna?

McAuliff popatrzył na Alison. Uwielbiał sposób, w jaki pytająco podnosiła brwi ponad jasno błękitnymi oczami.

–Jego ludziom - odrzekł tylko.

–Czyli nie ludziom Charlesa Whitehalla – stwierdziła dziewczyna.

–Nie. To zupełnie inny rodzaj ludzi. Myślę poza tym, że trzeba... Przynajmniej na razie, w tych warunkach, jakie są... Trzeba uznać, że ci rewolucjoniści Baraka to równie dobra opcja jak to, czego chce Whitehall.

–Dla mnie taka opinia jest równoznaczna z interwencją w ich sprawy, kochanie.

–Tak, wiem. Kłopot w tym, że wszystko wydaje mi się takie poplątane. Whitehall uważa, że sytuacja jest prosta. Barak też tak myśli. Widzą jednoznaczne podziały: tu swoi, tam obcy, a z boku jeszcze parę drobnych grupek. Nie rozumiesz? Barak i Charley-mon potrafili się skupić na tym, co najważniejsze. Posuwają się krok za krokiem, wiedząc, że przyjdzie chwila, kiedy będą musieli stoczyć walkę. Obaj nie zapominają o tym ani na chwilę. Współpracują, ale już ostrzą noże.

–Co takiego? – Alison wsparła się na poduszce i obserwowała, jak McAuliff patrzy tępym wzrokiem w ścianę. – Nie rozumiem cię.

–Nie wiem, czy umiem ci to wytłumaczyć. Wyobraź sobie wilcze stado, które otacza swoje ofiary. Wilczury co chwila rzucają się w środek kręgu i szarpią, to tu, to tam, na zmianę, dopóki zdobycz się nie zmęczy i nie pogubi. Wtedy wilki mogą ją już zagryźć. – Alex zawiesił głos, niepewny, czy coś dodać.

–Rozumiem, że Charles i cały ten Barak Moore to ofiary – próbowała mu pomóc Alison.

–Ofiarą jest tu Jamajka. Ale Charles, Barak i Jamajka to jedno i to samo. Wilki, wrogowie to z kolei Dunstone i wszystko, co się kryje za tą firmą. Warfield i jego banda globalnych kombinatorów, rozmaici Chatelleraultowie, wywiad brytyjski i podporządkowane mu arystokratyczne towarzystwo w rodzaju Tallona i innych kolonialnych oportunistów, a jeszcze rozmaici Craftowie, którzy obsiedli wyspę... Miejscowe pijawki, tak ich można określić. Może nawet także sam Halidon, bo przecież nie można Zapanować nad czymś, czego właściwie nie ma. A jeśli nawet jest, może wcale nie życzy sobie cudzego panowania... Sama widzisz, że sporo tych wilków.

–Sporo zamieszania – poprawiła go Alison. McAuliff odwrócił się ku niej.

–Dla nas to zamieszanie; Im z kolei wszystko wydaje się jasne. Właśnie to mnie najbardziej zadziwia. Ofiary umiały sobie wypracować strategię. Kiedy kolejny wilk skacze na nie, biorą się za niego i zagryzają.

–To ma być ten twój związek z ostrzeniem noży?

–Nie, chwileczkę, wyszedłem poza nasz zakres i odbiegłem inną ścieżką...

–Masz talent do abstrakcji – zauważyła dziewczyna.

–Ale wiem, co mówię. Każda armia na świecie, a nie łądz się, że Whitehall i Moore nie posiadają armii, posuwając się naprzód, rozwija za sobą linie zaopatrzenia. W tym wypadku próbuje zaskarbić sobie poparcie wyspiarzy. Pamiętaj, kiedy padnie ostatni wilk, Whitehall i Moore staną naprzeciwko siebie. Dlatego ostrzą noże... Próbują pozyskać ludność. – McAuliff znowu zamilkł i podniósł się z łóżka. Odsunął zasłonę z okna po prawej stronie drzwi na taras i wyjrzał na plażę, a potem zapytał cicho: – Czy to, co mówię, to jakaś straszna bzdura?

–Nie, dla mnie to tylko polityka, a ja nie bardzo znani się na polityce. Inna rzecz, że opisałeś mi znajomą sytuację...

–Jeszcze jak znajomą! – przerwał Alex i cedząc każde słowo odwrócił się od okna:

– W historii znajdziesz takich sytuacji, ile zechcesz... Nie muszę być nawet historykiem, żeby je znać. Proszę bardzo, od czego zaczniemy? Od Galii Juliusza Cezara? Od rzymskiej Ferrary? Od Chin w latach trzydziestych? Od Korei, Wietnamu, Kambodży? Od całego worka państw afrykańskich? Gdzie tylko spojrzysz, wszędzie te same słowa. Wyzysk kolonialny, rewolta wewnętrzna, potem powstania i tłumienie powstań. Chaos, krwawa łaźnia, wygnanie. Później kompromis i odbudowa na podstawie chwiejnego kompromisu. Tak to wygląda. Barak i Charley-mon nie spodziewają się niczego innego po tej rozgrywce. Jeden i drugi wiedzą, że chociaż sprzymierzają się, by utłuc kolejnego wilka, muszą jednocześnie okopywać się, każdy na swojej pozycji. A to dlatego że kiedy przyjdzie pora na kompromis... A przyjdzie, to jasne... Obaj będą chcieli rozmawiać z pozycji siły.

–Jednym słowem... Zapomnijmy na chwilę o kręgach i metaforach... Chodzi ci o to, żeby nie osłabiać przedwcześnie armii tego Moore'a, tak?

–Przynajmniej nie teraz. Nie w tej chwili.

–W takim razie rzeczywiście chcesz się wtrącać. Jesteś tu obcy i chcesz narzucić własne zdanie. A to nie twoje... nie twoje podwórko, kochanie.

–Ale to ja sprowadziłem tu Whitehalla. Ja dostarczyłem mu pretekstu, alibi. A Charley to kawał sukinsyna.

–Nie powiesz mi, że Moore jest taki święty.

–Przez myśl mi to nie przeszło. To też straszny sukinsyn. Dodam, że na całe szczęście. – McAuliff wrócił pod okno. Poranne słońce biło prosto w szybę, na której skraplały się teraz drobinki pary. Dzień będzie gorący.

–Więc co teraz zrobisz? – Alison przysiadła i nie spuszczając wzroku z Alexa, zaczęła wstawać.

–Co zrobię? – powtórzył szeptem, Skupiając wzrok na czymś, co ujrzał za oknem. – Zrobię to, po co tu przyjechałem i za co mi mają zapłacić milion dolarów. Dokończę

pomiary albo odnajdę Halidon – Jedno bądź drugie. A potem zabierzemy się stąd... I nikt nam już nie będzie dyktował warunków.

–Pomysł rozsądny – przyznała Alison, wstając z posłania. – A cóż to za obrzydliwy smród?

–Ach, to? Zapomniałem cię ostrzec. Lawrence i ten drugi mieli spryskać cały twój pokój, żeby pozbyć się woni lekarstw. – McAuliff przybliżył czoło do szyby i zasłonił oczy przed słońcem.

–Sto razy bardziej wolałam już ten eter czy środki dezynfekcyjne. Zostawiłam u siebie kostium kąpielowy. Będziesz taki dobry?

–Co takiego? – Alex nie słuchał, pochłonięty czymś zupełnie innym. – Poczekaj tu, ja zaraz wrócę.

Podbiegł do drzwi na taras, otworzył je i wypadł na dwór. Zdumiona Alison również spojrzała przez szybę. Dopiero po kilku sekundach pojęła, co się zdarzyło. Dopomógł jej w tym widok McAuliffa biegnącego przez wydmy na plażę.

Daleko na skraju wody widać było samotną sylwetkę. Murzyn zapatrzony w ocean. Lawrence.

Alex biegł w tamtą stronę, nie wiedząc, czy coś zawołać do wysokiego Jamajczyka. Instynktownie nie powiedział słowa, tylko odchrząknął i przystanął dziesięć metrów od rewolucjonisty. Odchrząknął na tyle głośno, że odgłos dawał się usłyszeć poprzez szum fal...

Lawrence odwrócił się ku Alexowi. Oczy miał pełne łez, ale nie mrugnął nawet ani nie wykrzywił twarzy. Trochę mężczyzna, a trochę dziecko, któremu przydarzyła się straszna, wstydliva tragedia.

–Co się stało? – zapytał najciszej jak mógł McAuliff, podchodząc do olbrzymiego chłopca, który stał bez koszuli na piasku morskim.

–Wszystko przez to, że cię nie słuchałem, *mon*. A posłuchałem tamtego. Pomylił się, *mon*.

–Powiedz mi, co się stało – powtórzył Alex.

–Barak umarł. Zrobiłem wszystko, tak jak kazał, ale i tak umarł. Posłuchałem go, *mon*. A on umarł.

–Wiedział, co ryzykuje. Decyzja należała do niego. Moim zdaniem miał rację.

–Nie... Nie miał racji. Gdyby miał, toby teraz żył. Ale umarł, więc nie ma racji, *mon*.

–Najpierw Floyd... Barak. Kto jeszcze został?

Lawrence wwiercił się wzrokiem w McAuliffa. Oczy miał czerwone od niemego szlochu. Wbrew całej dumie i sile, przeżywał tę śmierć niczym dzieciak. Również jego głos mógłby należeć do małego chłopca:

–Tylko ty i ja, *mon*. Nikt więcej. Pomożesz mi, *mon*?

Alex również spojrział rewolucjoniście w oczy. Milczał.

Przyłapał się na myśli, że inaczej sobie wyobrażał swój debiut w roli rewolucjonisty.

Policji z Trelawny udało się zidentyfikować Floyda dwie minuty po siódmej rano. Opóźnienie nie powinno dziwić, gdyż komisariat w Falmouth nie dysponował jakąkolwiek kartoteką, a zerwana kolejno z łóżek kilkunastoosobowa grupa mieszkańców okręgu, wezwana do identyfikacji zwłok, ociągała się ze współpracą. Komendant posterunku był święcie przekonany, że niejeden z zapytanych doskonale wie, do kogo należy podziurawione kulami ciało, lecz przełom nastąpił dopiero o siódmej rano, gdy sędziwy świadek – ogrodnik z Carrick Foyle – na widok krwawej masy na stole zmienił się na twarzy na tyle, iż kapitan postanowił zastosować bardziej surowe metody. Przystawił zapalonego papierosa do lewego oka ogrodnika i wolną ręką odchylił powiekę, grożąc drżącemu Murzynowi, że jeśli nie dowie się prawdy, usmaży mu gałeczkę.

Stary ogrodnik zaskowyczał ze strachu i zeznał, co trzeba. Człowiek, który leżał teraz martwy na blaszanym stole, pracował u Waltera Piersalla. Nazywał się Floyd Cotter.

Komendant niezwłocznie zatelefonował do kilku komisariatów na terenie parafii, szukając szczegółowych informacji o niejakim Cotterze. Imię: Floyd. Na próżno. Nigdzie nie słyszano o kimś takim. Komendant jednak nie ustawał w poszukiwaniach, pamiętając jak bardzo Kingston interesowało się doktorem Piersallem, zarówno za życia, jak i po śmierci. Zainteresowanie było tak duże, iż wokół domostwa na wzgórzu nad Carrick Foyle całą dobę krążyły patrole. Komendant nie znał przyczyn takich poleceń, ale nie był osobą dociekliwą, a już na pewno nie postąpiło mu w głowie kwestionować, co mówi stolica. Rozkaz to rozkaz. Niezależnie od przyczyn, dla których prześladowano białego naukowca przed śmiercią, a po śmierci kazano tak pilnie strzec jego rezydencji, instrukcje z Kingston były prawem dla szarego komendanta posterunku, a prawa trzeba się słuchać. Komendant słuchał się gorliwie, wręcz z entuzjazmem. Czy nie dzięki temu mianowano go szefem dużego posterunku, i to w samym Falmouth?

Dokładnie ta sama przyczyna kazała mu teraz wydzwaniać w różne miejsca w poszukiwaniu informacji o Floydzie Cotterze, którego zwłoki leżały na stole, a krew nie przestawała kapać z dziur w twarzy, piersi, brzuchu i nogach. Krople krwi krzepły na stronicach dziennika *The Gleamer*, którymi pospiesznie wyście- łono podłogę.

Brakowało jeszcze pięciu minut do ósmej. Komendant miał już po raz kolejny zdjąć słuchawkę z widełek i zadzwonić do placówki w Sherwood Content, kiedy rozległ się dzwonek. Telefonował z Puerto Seco kolega, również komendant posterunku, w odpowiedzi na zapytanie sprzed dwudziestu minut. Któryś z podwładnych oficera z Puerto Seco, pełniący akurat poranny dyżur, przypomniał sobie, że jakiś Floyd pomagał nosić sprzęt geologom z wyprawy kierowanej przez Amerykanina, McAuliffa. Amerykanin dziesięć dni temu zaczął robić wzdłuż wybrzeża pomiary i dlatego wynajął w Ocho Rios pomocników. Pomagało mu w tym rządowe Biuro Zatrudnienia.

Komendant natychmiast wyrwał ze snu dyrektora biura w *Ochee*. Podnosząc słuchawkę, dyrektor był już w pełni przytomny, bo nie miał w domu telefonu i aby się

zgłosić, musiał wybiec z domu i popędzić do sklepiku Johnny'ego Canoe, gdzie znajdował się jedyny aparat w okolicy. Dyrektor pamiętał, że pośród ludzi, których najął do pracy Amerykanin, rzeczywiście był jakiś Floyd. Kłopot w tym, że wyleciało mu z głowy jego nazwisko. Floyd zgłosił się razem z gromadą innych chętnych, którzy dowiedzieli się z plotek, że w Ocho Rios czeka robota. W urzędowej kartotece nie było śladu na jego temat, podobnie jak na temat jednego czy dwóch innych pomocników McAuliffa.

Komendant wysłuchał szefa biura, podziękował mu i nawet go nie skrzyczał, ale też nie wyjaśnił mu, o co chodzi. Odwiesił słuchawkę i zadzwonił prosto do Gordon House w Kingston. Pod numer inspektora, który kierował kolejnymi ekipami metodycznie przetrząsającymi rezydencję w Carrick Foyle.

Inspektor doszedł do identycznego wniosku co komendant: zastrzelony Floyd Cotter, były służący Waltera Piersalla, wrócił ze współnikami do rezydencji, żeby nakraść ile się da, lecz przeszkodzono mu w tym.

Czy z domu zniknęło coś cennego?

Ślady kopania w piwnicy? W starej, od lat nie używanej cysternie na wodę?

Inspektor zapowiedział, że w południe przyleci do Falmouth. Do tego czasu byłoby wskazane dyskretnie wypytać o tę sprawę pana McAuliffa. A już na pewno ustalić, gdzie przebywa.

Dwadzieścia po dziewiątej komendant i jego zastępca minęli bramę motelu Bengal.

Alexander wyłaził ze skóry, by pokazać, jaki jest wzburzony. Ba, nie tylko wzburzony, lecz także zgorszony i oczywiście przygnębiony postawą Floyda Cottera. Co z tego, do diabła, że Murzyn stracił życie, przynajmniej wiadomo teraz, jak wytłumaczyć fakt, że z ciężarówki, którą dysponowała wyprawa, zginął cenny sprzęt. Mowa nie o drobiazgach, tylko o kosztownych instrumentach, które da się na pewno odsprzedać paserom za duże pieniądze. Teraz od razu widać, dlaczego Cotter wkręcił się do wyprawy. Złodziej, i to złodziej z powołania.

Czy pan kapitan życzy sobie obejrzeć listę skradzionego sprzętu? Proszę, jeden geodimetr, obiektyw podwodny, pół tuzina kompasów, nie zwyczajnych, bo na rubinach, pięć nowiutkich apteczek w skrzynkach ze znakami Królewskiego Towarzystwa, aparat fotograficzny Rolleiflex, a prócz tego jeszcze trochę drobiazgów. Co nie znaczy, że tanich drobiazgów. Zastępca komendanta notował najszybciej jak umiał, podczas gdy Alex wyliczał pospiesznie wciąż nowe zguby. Policjant dwa razy zapytał o pisownię, a raz złamał ołówek. Były to bardzo wyczerpujące minuty.

Po skończonej rozmowie komendant i zastępca kolejno uścisnęli dłoń amerykańskiego geologa i podziękowali mu za pomoc w śledztwie. McAuliff patrzył, jak wsiadają do radiowozu i pomachał za nimi, kiedy wóz ruszył gazem z parkingu i zniknął za bramą.

Pół kilometra od motelu komendant nacisnął na hamulec, zatrzymał się i cicho rozkazał podwładnemu:

–Wracaj przez las na tamtą plażę, *mon*. Wypytaj się, kto do niego przyjeżdża i w

ogóle, kto się przy nim kręci.

Zastępca zdjął czapkę z lśniącym daszkiem i odprasowaną mundurową koszulę z żółtymi dystynkcjami rangi, i z tylnego siedzenia podniósł zieloną koszulkę bez rękawów. Oblókł się w nią i wysiadł z samochodu. Już na asfalcie rozpiął pas, zdjął z niego kaburę i przez okno podał ją komendantowi.

Kapitan sięgnął pod deskę rozdzielczą i wygrzebał wymiętą czapkę baseballową, niegdyś czarną, lecz teraz wyszarzałą od słońca i potu. Podał ją zastępcy i roześmiał się.

–My naprawdę wyglądamy wszyscy tak samo, *mon*. Ej, czy to nie ty sprzedaje *cocoruru*?

–Sprzedaję tylko indyki, *mon*. Nie sprzedaję mangust.

Zastępca łypnął na komendanta i zszedł z szosy w zarośla, oddzielone zardzewiałym drucianym płotem. Porwana siatka wyznaczała teren motelu Bengal.

Samochód zawarczał i odjechał. Komendant posterunku w Falmouth musiał się pospieszyć, żeby zdążyć do Halfmoon Bay na hydroplan z Kingston.

Charles Whitehall przystanął w wysokiej trawie na zboczu ponad drogą z Priory-On-The-Sea. Pod pachą miał czarną kasetkę na dokumenty, zatrzaśniętą i zaklejoną szerokim przyklepcem. Właśnie minęło południe. Niedługo tą drogą będzie przejeżdżał McAuliff.

W pojedynkę.

Charles upierał się przy tym warunku. To znaczy, upierał się do chwili, kiedy McAuliff powiedział mu – w krótkich słowach i jak gdyby z poczuciem winy – że Barak Moore nie żyje.

Barak Moore nie żyje.

Bramwell Moore, kumpel ze szkoły, całe wieki temu. W Savanna-la-Mar. Zastrzelili go Jamajczycy.

Padł od jamajskiej kuli.

Od kuli jamajskiej policji, a to co innego. Dodając to z pozoru nieistotne określenie, Whitehall swoją logikę wzbogacał nutą współczucia.

Czuł, że niepotrzebnie pozwala błędzić myślom i złościł się na siebie. Wiedział w końcu równie dobrze jak Barak Moore, że minął czas dziecięcych zabaw w kurczęta i sępy. Żadna matka w chustce na głowie nie wymachiwała już miotłą, przeganiając z obejścia dzieci i drób, karcąc małe i śmiejąc się głośno. Tym razem zaczęły się zupełnie inne podchody. Zamiast matek w chustkach miało się do czynienia z funkcjonariuszami w czapkach z lakierowanymi daszkami, a miotły zmieniły się w szybkostrzelne karabiny. Idee zamiast kurcząt... Idee były dla umundurowanych funkcjonariuszy o wiele groźniejsze niż wydarte kogutom pióra dla matek biegających z miotłą po podwórku.

Barak Moore nie żyje.

Wiadomość brzmiała jak żart. Miała jednak pewien pozytywny skutek Barak nie potrafił zrozumieć, skąd się biorą wszystkie problemy tej wyspy. Co za tym idzie, nie wiedział, jak je rozwiązać. Rewolucyjne pomysły Moore'a były spóźnione o całą epokę.

Najważniejsza jest siła. Armia, dowodzona przez kilku mocnych i odważnych ludzi. Po co kilku? Wystarczy jeden.

Daleko u stóp wzgórza zamajaczył kłęb kurzu. Stary wóz kombi pędził o wiele za szybko jak na tę dziurawą polną drogę.

McAuliff też chce poznać dokumenty.

Charles zawrócił i przez pole poczłapał ku drodze dojazdowej do domu. Osobiście poprosił człowieka, który w Drax Hall udzielił mu gościny, by ten oddalił się między dwunastą a trzecią po południu. Wyjaśnienia były zbędne, obyło się też bez pytań.

Po co pytać? Mesjasz powrócił na wyspę.

–Przywiozłem – oświadczył McAuliff, stając przed Whitehallem w chłodnym wnętrzu warsztatu. W lewej ręce trzymał mniejszą kasetkę. – Z tym że, zanim zaczniemy zabawę, chciałbym postawić parę spraw zupełnie jasno.

Charles Whitehall zmierzył Amerykanina spojrzeniem.

–Obejdzie się bez stawiania warunków. Obaj wiemy, co trzeba zrobić.

–Znam jeden warunek, bez którego się nie obejdzie. Mianowicie, musisz zrozumieć, że od tej pory nie ma mowy o... jednostronnych decyzjach. Nie prowadzisz tu prywatnej wojny, Charley-mon.

–Zupełnie jakbym słyszał Baraka.

–Może pilnuję jego interesów? Oprócz swoich.

–Że swoich, to jeszcze rozumiem, ale jego? Po co? Tych spraw nie da się pogodzić, to jasne.

–Rewolucja Moore'a mało mnie wzrusza.

–W takim razie o co w ogóle chodzi? – Whitehall wbił wzrok w metalową kasetkę. Zdał sobie nagle sprawę, jak ciężko dyszy i jaką okazuje niecierpliwość. Znów skarcił się w myślach. – Proszę mi to dać.

–Zadałeś mi pytanie, więc może najpierw odpowiem -powstrzymał go McAuliff. – Nie ufam ci ani trochę, Charley-mon. Wymanipulowałbyś każdego, przy byle okazji. To nic nowego u takich jak ty. Umawiasz się i zawiązujesz pakt z kim się tylko da. Świetnie ci to wychodzi. Jesteś taki obrotny, że sam sobie depczesz po piętach. Tyle że cały czas chodzi ci o stary, dobry *Sturm und Drang*, a mnie na tym akurat nie zależy.

–Ach, już rozumiem. Wolisz tych bambusowych spadochroniarzy Baraka? Zaprowadzą tu nie gorszy chaos niż u Fidela. Kaprale będą pluć, żuć cygara i gwałcić córki generałów, żeby zlikwidować nierówność społeczną. Będziemy mieli plany, trzyletnie i pięcioletnie, a nieokrzesane pastuchy zaczną zawiadywać sprawami stanu. I prędko doprowadzą wyspę do katastrofy. Tyle ci powiem. Nie bądź durniem, McAuliff. Przecież wiesz, do czego to doprowadzi.

–Oszczędź sobie pogadanek, Charley-mon. Nie wrzeszczysz z mównicy do swoich pułkowników – ze znużeniem przerwał mu Alex. – Nie wierzę w proste recepty na szczęście ludu, tak jak nie wierzę w twoją dyktaturę. Przestań wymachiwać szabelką, bo na razie to ja jestem szefem wyprawy i mogę cię w tej sekundzie wyłączyć. Na oczach wszystkich. Może nie usunie cię to z wyspy, ale na pewno trochę zmieni twój tutejszy status.

–A jakie mam gwarancje, że mnie nie wyrzucisz?

–Niespecjalne. Masz tylko moje słowo, że równie gorąco jak ty chcę się pozbyć facetów, którzy nam siedzą na karku. Dodam, że z innych przyczyn niż twoje.

–Coś mi mówi, że kłamiesz.

–Nie założyłbym się o to na twoim miejscu.

Whitehall badawczo spojrział McAuliffowi w oczy.

–Nie będę się zakładał. Od początku mówiłem, że obejdzie się bez tej rozmowy, i wyszło na moje. Zgadzam się na twoje warunki, bo inaczej się nie da... A teraz poproszę o kasetkę.

Sam Tucker rozsiadł się na tarasie i czytał gazetę, a w przerwach gapił się przez balustradę na wydmy, gdzie Alison i James Ferguson opalali się na leżakach na skraju wody. Co pewien czas, gdy oślepiający karaibski skwar miał im już, już przysmażyć skórę, Alison i młody botanik ratowali się brodzeniem w wodzie. Nie chlapali się, nie wskakiwali do wody ani też nie nurkowali, tylko kładli się plackiem na gładkiej toni, jak gdyby wyczerpywała ich ta czynność. Obydwoje sprawiali wrażenie plażowych męczenników.

Sam także spostrzegł, jak mało radości czuje się dziś *sur la plage*. Mimo to podnosił do oczu lornetkę, ilekroć Alison zanurzała się w fale, i przepatrywał okolicę. Przyglądał się zwłaszcza innym pływakom, którzy zbliżali się do dziewczyny. Było ich niewiele, a we wszystkich umiał rozpoznać gości motelu Bengal.

Żaden z pływaków nie stanowił zagrożenia, a właśnie zagrożenia wypatrywał Sam Tucker.

Ferguson wrócił z Montego Bay tuż przed południem, kiedy Alex odjeżdżał do Drax Hall. Botanik zaplątał się nieoczekiwanie na zachodnie patio, płosząc Tuckera i wprawiając w pomieszenie Lawrence'a, który siedział na balustradzie i ściszym głosem opowiadał o życiu Baraka Moore'a. Zaskoczenie brało się z faktu, że poprzedniego dnia Ferguson bardzo się chwalił, jak intensywnie zamierza spędzić wolny dzień w Monte.

Ferguson był zupełnie roztrzęsiony. Wyglądał, można rzec, jak strzęp człowieka. Tucker i reszta grupy uznali, że botanik znów przedawkował w konsumpcji alkoholu, a jego smętna mina bierze się z przeraźliwego kaca. Zaczęto nawet żartować na ten temat, lecz Ferguson wykazał tym razem zadziwiający brak poczucia humoru.

Tucker zorientował się, że trzeba szukać innego wyjaśnienia. James Ferguson trząsał się nie dlatego, że poprzedniego wieczora nadużył whisky. Amerykanin miał przed sobą nie pijaka, lecz młodego i bardzo wystraszonego delikwenta, który nie spał całą noc. Nie było sensu pytać o przyczynę strachu, tak jak nie warto było rozmawiać o nocnym życiu Montego Bay. Ferguson opisał poprzedni wieczór jako nudny i zmarnowany. Wyraźnie Ignął do ludzi, jak gdyby w ich towarzystwie chciał się poczuć pewniej. Przyczepił się zwłaszcza do Alison Booth, co chwila proponując, że przyniesie jej to czy tamto... Zakochany uczeń czy przymilny pedał? Ani jedno z określeń nijak nie pasowało do Fergusona.

Ferguson bał się.

Tucker uznał te zmiany w zachowaniu za bardzo dziwne.

Naraz usłyszał za sobą stłumione, szybkie kroki. Odwrócił się, by ujrzeć Lawrence'a, który już w ubraniu zmierzał w tę stronę przez trawnik. Rewolucjonista podszedł do Sama i przyklęknął. Nie chodziło mu o dowód oddania, lecz o to, by ukryć się za krawędzią tarasu. Lawrence także był zdenerwowany.

–Coś mi się tu nie podoba, *mon*.

–Mianowicie?

–Tu kurczaki, a tu sęp lata!

–Ktoś nas obserwuje? – Tucker odłożył gazetę i pochylił się niżej.

–A pewno, *mon*. Już trzy, cztery godziny.

–Kto? –

–Taki śmieciarz, co od rana chodzi po plaży. W tamtej zatoczce tkwił, tyle że dawno by pozbierał wszystko po turystach. Dobrze się przyjrzałem. Nogawki zawinał, ale spodnie nowiuteńkie. To ja bęc w las i zaraz znalazłem buty. Znam ja takie spodnie, *mon*. To policjant.

Sam zmarszczył w namyśle kanciastą twarz.

–Alex rozmawiał z tymi policjantami z Falmouth około wpół do dziesiątej, tak? Przy recepcji... Mówił, że było ich dwóch. Wódz i wierny Indianin.

–Że co?

–Nic, nic... No więc tyle widziałeś. A co słyszałeś?

–Widziałem coś jeszcze. – Lawrence wyjrzał za krawędź obmurowania i zerknął na wschód, w stronę głównej plaży. Uspokojony znowu popatrzył na Sama. – Idę zaraz za tym śmieciarzem na placyk za kuchnią, a ten już się rozpytuje u kogoś. Patrzą, recepcjonista. Gada, tylko kręci głową. Policjant zły, *mon*.

–Pytany czy coś słyszałeś, chłopcze?

–Ja nie, ale kuchcik siedział blisko, skrobał rybę w wiaderku. To jak policjant, znaczy się śmieciarz, poszedł, wypytałem go jak trzeba. Mówi, śmieciarz pytał ciągle, gdzie pojechał Amerykanin, kto dzwonił, po co.

–Ale recepcjonista nie wiedział.

–Nie wiedział, *mon*. Policjant zły, zły.

–Gdzie teraz polazł?

–Czeka o tam, na wschodniej plaży. – Lawrence nie podnosząc głowy wskazał ponad pasmem wydm właściwy kierunek. – Widzisz? Tam gdzie leżą te rybackie łódki, *mon*.

Tucker wziął do ręki lornetkę i nastawił ostrość, przypatrując się postaci obok wyciągniętych na piach płaskodennych łodzi żaglowych do połowów ryb zwanych na Jamajce *mola*. Odległość wynosiła około czterystu metrów. Śmieciarz miał na sobie podartą zieloną koszulkę i wymiętą czapkę baseballową. Spodnie rzeczywiście nie pasowały do reszty stroju. Murzyn zawinał je do kolan, jak wszyscy poszukiwacze plażowych skarbów, lecz Lawrence trafnie spostrzegł zaprasowany kant. Poza tym były za czyste. Śmieciarz rozmawiał o czymś ze sprzedawcą *cocoruru*, chudym, smolistoczarnym Jamajczykiem, który pchał przed sobą po plaży taczki wyładowane orzechami kokosowymi. Na żądanie plażowiczów sprzedawał im orzech i rozłupywał go morderczą z wyglądu maczetą. Rozmawiając, śmieciarz zerkał od czasu do czasu

na tarasy zachodniego skrzydła, prosto w lornetkę. Sam Tucker wiedział od razu, że Murzyn nie wie, iż jest obserwowany. Gdyby wiedział, zdradziłby to miną.

Tymczasem na czarnej twarzy malowała się tylko irytacja i nic poza tym.

–Najlepiej, jeśli dostarczymy mu nowin, synu. – Sam odłożył lornetkę.

–Że jak?

–Po co się ma denerwować... Powiemy mu, co trzeba, to przestanie się tak zastanawiać.

Lawrence wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Ułożymy bajeczkę, *mon*.

–A jak, *mon* - przytaknął rozpromieniony Sam. – Zwyczajną, wiarygodną i fajną bajeczkę.

–Może powiemy, że McAuliff chce coś kupić w *Ochee*, co? *Ochee* jest tylko dziesięć lub dwanaście kilometrów od Drax Hali, *mon*. Ta sama szosa.

–Dobrze, ale dlaczego pojechał sam, bez pani Booth... Bez Alison?

–Bo chce kupić swojej pani prezent. Czemu nie?

Sam spojrział na Lawrence'a, a potem na plażę, gdzie Alison wstawiała z leżaka, by znów wejść do wody.

–Możemy tak zrobić, chłopcze. Ale potrzeba będzie więcej blichtru. – Wstał i podszedł do balustrady. – Moim zdaniem Alison powinna mieć dzisiaj urodziny.

W pokoju McAuliffa zadzwonił telefon. Drzwi były wprawdzie zamknięte, by nie wpuszczać do środka upału, lecz ostry dzwonek i tak słyszało się przez szczeliny w okiennicach. Tucker i Lawrence popatrzyli na siebie, czytając sobie w myślach. Chociaż rankiem McAuliff wymknął się z motelu bez słowa, nie starał się ukryć faktu, że gdzieś jedzie. Co więcej, poprosił nawet w recepcji o mapę samochodową, wspominając coś o przejażdżce. W recepcji wiedziano więc na pewno, że Amerykanina nie ma w pokoju.

Tucker podszedł prędko do dwuskrzydłowych drzwi, otworzył je i podniósł słuchawkę.

–Czy pan McAuliff? – cichy, odmierzony, jamajski głos w słuchawce rozwiął wszystkie wątpliwości Sama. Dzwoniono z motelowej centrali.

–Niestety, pana McAuliffa nie ma. Czy przekazać mu jakąś wiadomość?

–Jest do niego telefon z Kingston, proszę pana. Dzwoni pan Latham. Proszę się nie rozłączać.

–Oczywiście. Panu Lathamowi proszę powiedzieć, że mówi Sam Tucker. Może załatwić wszystko ze mną.

Przytrzymując słuchawkę pomarszczonym podbródkiem, Sam przytknął zapalną do cienkiego cygara. Nie zdążył się jeszcze zaciągnąć dymem, kiedy w słuchawce rozległ się podwójny szczęk. Rozmówcą rzeczywiście okazał się Latham, wzorowy biurokrata z Kingston, a oprócz tego zwolennik frakcji Baraka Moore'a. Słyszając ten głos, Tucker prędko zdecydował, że nie wspomni słowem o śmierci Moore'a.

–Pan Tucker?

–Tak, panie Latham. Alex pojechał do Ocho Rios.

–Nic nie szkodzi. Pan też będzie umiał mi pomóc, jak miemam. Udało nam się

spełnić to, o co prosił McAuliff. Załatwiliśmy wam miejscowych przewodników z kilkudniowym wyprzedzeniem. Są teraz w Duanvale, ale po południu przyjadą szosą numer 11 do Queenhythe.

–Queenhythe to gdzieś niedaleko od nas, prawda?

–Najwyżej pięć albo sześć kilometrów od motelu. Kiedy przyjadą, zadzwonią do was.

–Jak się nazywają ci przewodnicy?

–To dwaj bracia Hedrikowie. Marcus i Justice. Maroonowie, rzecz jasna. Dwójka najlepszych tragarzy na Jamajce. Doskonale znają cały Cock Pit i naprawdę można na nich polegać.

–Miło słyszeć. Alex będzie wniebowzięty.

Latham zamilkł, lecz najwyraźniej miał jeszcze coś do powiedzenia.

–Panie Tucker...?

–Słucham.

–Czy słusznie odnoszę wrażenie, że pan McAuliff zmienił harmonogram pomiarów? Nie jestem pewien, czy wiem, o co mu chodzi...

–O co tu może chodzić, panie Latham? Alex postanowił zwyczajnie rozpocząć badania od geograficznego środka całego obszaru. W ten sposób łatwiej uniknąć błędów w pomiarach, dokładnie, jak przy bisekcji trójkąta ze współrzędnych półokrężnych. Popieram jego plan. – Tucker zaciągnął się dymem, czekając, aż oszołomiony tą perorą Latham powie coś jeszcze. Nie doczekawszy się, dodał: – Poza tym w ten sposób wszyscy będą mieli znacznie więcej roboty.

–Ach, rozumiem... Chce pan powiedzieć, że w ten sposób łatwiej będzie zaspokoić waszą, nazwijmy to, zawodową ciekawość?

–Czysto zawodową, panie Latham – przytaknął Tucker, który zdał sobie wreszcie sprawę, że urzędnik boi się rozmawiać otwarcie przez telefon. Boi się albo nie może. – Plan jest pod każdym względem uzasadniony; jeżeli ma pan obawy co do stanowiska ministerstwa w tym względzie. Powiem więcej: Alexander może w ten sposób zaoszczędzić wam mnóstwa wydatków. Dostaniecie więcej wyników w dużo krótszym czasie.

Latham znów zamilkł, jak gdyby chciał przydać wagi temu, co powie.

–Naturalnie, oszczędności budżetowe zawsze nas bardzo cieszą... Ufam, że naprawdę wszyscy zgadzacie się co do tego, żeby iść tam od razu. Tam, to znaczy w głąb Cock Pitu.

Sam Tucker potrafił przetłumaczyć te słowa. To, o co Latham chciał zapytać, brzmiało: czy Barak Moore też się zgadza?

–Zgadzamy się wszyscy. Co do jednego, panie Latham. Mamy pewne do świadczenie.

–No tak... Cóż, doskonale. Ostatnia sprawa, panie Tucker...

–Tak?

–Życzylibyśmy sobie, by pan McAuliff wykorzystał wszystkie nasze środki. Nie musi zwracać aż takiej uwagi na oszczędności. Dla nas jest to zbyt ważna wyprawa.

Tucker znów bez kłopotu wytłumaczył sobie słowa Lathama: Alex miał

podtrzymywać kontakty z wywiadem brytyjskim. Jeśli ich będzie unikał, zaczną się podejrzenia.

–Powtórzę mu to oczywiście, panie Latham, chociaż jestem pewien, że sam doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Ostatnie dwa tygodnie to zwykła rutyna, ot, nudy, proste pomiary geodezyjne wzdłuż wybrzeża. Nie było okazji wykorzystać całego sprzętu. Ani środków.

–Zwróciłem na to uwagę po to, żeby nie było między nami niedomówień – zauważył prędko Latham, któremu nagle zaczęło być spieszo, by skończyć rozmowę. – Do widzenia, panie Tucker.

–Żegnam. – Sam przycisnął widełki, odczekał kilka chwil, puścił je i czekał, aż zgłosi się telefonistka. Poprosił ją o połączenie z recepcją.

–Motel Bengal, dzień dobry.

–Mówi Tucker, z szóstki, w zachodnim skrzydle. Wyprawa brytyjska.

–Czym mogę służyć, panie Tucker?

–Mój kolega, McAuliff, prosił mnie, żebym przygotował na wieczór małe przyjęcie. Rano nie miał czasu się tym zająć, a poza tym nie bardzo mu wypadało przy pani Booth... – Sam przerwał, by recepcjonista dobrze zapamiętał każde słowo.

–Słucham, panie Tucker. Czego pan sobie życzy? – padła odruchowa odpowiedź.

–Pani Booth ma dzisiaj urodziny. Czy myśli pan, że w kuchni mogliby dla nas wypieść jakiś mały torcik? Nie żeby zaraz wielki tort, po prostu drobiazg...

–Ależ oczywiście! Z radością, proszę pana – rozpląwał się w umizgach recepcjonista. – Będzie nam bardzo miło, panie Tucker.

–Świetnie. To się nazywa uprzejma obsługa. Rachunkiem proszę obciążyć McAuliffa...

–Motel funduje ten tort – oznajmił przymilny recepcjonista.

–Nie, to już naprawdę zbytek uprzejmości. Zaczniemy fetę około wpół do dziewiątej. Przy tym samym stoliku co zawsze.

–Dopilnuję, żeby wszystko było jak trzeba...

–To znaczy, mam nadzieję, że o wpół do dziewiątej – ciągnął Sam – o ile McAuliff zdąży wrócić do tej pory...

Recepcjonista natychmiast skorzystał z tej szansy.

–Ach tak? Czyżby miał jakieś kłopoty, panie Tucker?

–Właściwie nie, wybrał się tylko jak dumy do takiej wioski na południe od Ocho Rios, zaraz koło Fern Gully, żeby znaleźć figurki ze stalaktytów. Wie pan, mówił mi, że miejscowi z tamtej okolicy robią takie rzeźby na sprzedaż.

–Owszem, panie Tucker. W Gully jest kilku takich ludowych artystów. Z tym że oficjalne przepisy zabraniają...

–Do diabła, synu! – zaczął się bronić Tucker. – Czy ja coś powiedziałem? Mówię tylko, że McAuliff wypuścił się po mały prezent dla pani Booth.

Recepcjonista roześmiał się cichutko i przypocholebnie.

–Ależ źle mnie pan zrozumiał, panie Tucker. Wszyscy wiemy, że przepisy sobie, a życie sobie. Chciałem tylko życzyć panu McAuliffowi sukcesu. Szkoda, że nie powiedział mi rano o co chodzi, kiedy prosił o mapę. Mógłbym mu ułatwić zakupy...

–Tak, ale wie pan... – Tucker konspiracyjnie zniżył głos. – Pewnie się krępował pytać i wcale mu się nie dziwię. Na pana miejscu nie wspominałbym mu o tej naszej rozmowie, bo będzie na mnie zły jak cholera.

–Oczywiście.

–Jeszcze raz dziękuję za torcik. Bardzo się cieszę, synu.

–Drobiazg, proszę pana.

Pożegnanie było krótkie, gdyż recepcjoniście pilno było odłożyć słuchawkę. Sam odszedł od telefonu i wrócił na taras.

Lawrence przerwał obserwację i oparty o murek usiadł na flizach posadzki, znikając z pola widzenia ciekawskich na plaży.

–Pani Booth i Jimbo-mon są na brzegu – zameldował. – Znowu siedzą na leżakach.

–Dzwonił Latham. Po południu mają tu przyjechać ci nasi tragarze. Poza tym rozmawiałem z recepcją. Zaraz się przekonamy, jak prędko się rozejdzie to, co mówiłem. – Tucker usiadł niespiesznie i podniósł ze stolika lornetkę. Zasłonił się gazetą i ponad jej krawędzią zapuścił żurawia na teren wokół basenu pływackie go za motelem.

Dziesięć sekund później mógł się już przyglądać, jak postać w marynarce i krawacie wybiega z tylnych drzwi motelu. Recepcjonista. Murzyn okrążył basen, wyminął drewniane, wyściełane leżaki, uklonił się plażowiczom, porozmawiał z kilkorgiem gości motelowych i po kamiennych stopniach zbiegł na brzeg. Przez chwilę tkwił w miejscu i rozglądał się po plaży. Potem puścił się biegiem po białym, miękkim piasku, zmiernając na prawo, w stronę rzędu rybackich płaskodenek.

Na oczach Sama recepcjonista podleciał do śmieciarza-policjanta w niechlujnej czapce i do sprzedawcy kokosów. Na widok przybysza przekupień chwycił za drążki taczki i ruszył z ładunkiem swoich *cocoruru* po mokrym piasku, byle dalej. Śmieciarz został na miejscu i przywitał się z recepcjonistą.

Gesty postaci w szklach lornetki mówiły same za siebie. Tucker ujrzał, jak policjant wykrzywia twarz w irytacji. Najwyraźniej nie mógł przeboleć, że zmarnował tyle czasu i wysiłku, zwłaszcza w tak skwarny dzień.

Recepcjonista zawrócił i ruszył przez piaski z powrotem do motelu, a policjant-śmieciarz podreptał plażą na zachód. Nie kuśtykał już i nie garbił się, porzucając pozę zbieracza plażowych skarbów.

Sam Tucker widywał już zręczniejszych tajniaków. W drodze do miejsca, gdzie zostały buty, obok dziury w zardzewiałej siatce przy drodze, policjant ani razu nie schylił się i nie rozgrzebał piasku w poszukiwaniu odpadków, jakie mogli pozostawić turyści.

McAuliff zaglądał Whitehallowi przez lewe ramię, śledząc, jak Murzyn prowadzi acetylenowy płomień wzdłuż szczeliny w krawędzi pancерnej kasetki. Gorący język płomienia tylko o milimetry wychylał się poza krawędź skrzynki.

Pokrywka raptem ustąpiła z trzaskiem. Charles prędko zakręcił zawór palnika i wstawił koniec kasetki pod kran. Cienki strumień zamienił się w obłok pary w zetknięciu z gorącym metalem. Whitehall zdjął okulary ochronne, złapał za niewielki

młotek i postukał w dymiącą stal.

Boczna ścianka kasetki odpadła z brzękiem i pośród syku pary wylądowała w zlewie. Wewnątrz pudełka widać było ceratowy pakunek. Lekko drżącymi dłońmi Whitehall wyciągnął go, wstał z taboretu, przeniósł na wolny fragment blatu i dopiero wtedy zabrał się za rozwiązywanie nylonowych tasiemek. Rozprostował starannie ceratę, rozpiął zamek błyskawiczny i wyciągnął ze środka dwie stronicę gęstego maszynopisu. Sięgnął do kontaktu lampy kreślarskiej, zerkając przy okazji na McAuliffa.

Alex był urzeczony całą sceną. W oczach Whitehalla jaśniało dziwne skupienie. Prawdziwa gorączka. Może mesjanistyczny zapach.

Czyżby przecucie zwycięstwa, namaszczenia Bożego? Dla McAuliffa było to zwycięstwo fanatyka.

Whitehall bez słowa zabrał się za lekturę. Gdy uporał się z pierwszą kartką, przesunął ją po blacie w stronę McAuliffa. Na słowo „Halidon” składały się w rzeczywistości trzy osobne wyrazy czy też dźwięki, z afrykańskiego narzecza Aszanti – z biegiem czasu tak jednak zniekształcone, że z ledwością dawały się rozpoznać. (Hieroglify, które wyrysował w tym miejscu Piersall, nie mówiły Alexowi dokładnie nic). Rdzeniem wyrazu (tu nowy hieroglif) był dźwięk *Li-do*, mający oznaczać pusty w środku, drewniany instrument, trzymany w ręku. *Lido* było prymitywnym instrumentem służącym do przekazywania na odległość wiadomości w dżunglach i na wzgórzach. Grający mógł zmieniać wysokość tonu oddechem i rozmieszczeniem palców na szczelinach wyciętych w drewnie, podobnie jak we wszystkich drewnianych instrumentach dętych.

Paralele historyczne były tu dla Piersalla zupełnie jasne. Podczas gdy osiadli w wioskach Maroonowie posługiwali się *abengami*, to jest rodzajem trąb z rogów bydłych, dając sygnały wojownikom bądź ostrzegając o najeździe białych, ludzie wierni Akabie, jako nomadzi, nie mogąc hodować zwierząt, zmuszeni byli powrócić do afrykańskiego materiału, który jest zawsze pod ręką, czyli do drewna.

Po ustaleniu, że źródłosłowem jest wyraz oznaczający prymitywny instrument dęty, Piersall musiał z kolei określić zmiany, jakie zaszły w sąsiadujących dźwiękach. Z tekstów źródłowych na temat Aszantów i ludów koromantyńskich uzyskał całą listę pasujących rzeczowników. Najpierw udało mu się odkryć znaczenie ostatniej sylaby. Hieroglif odpowiadający temu dźwiękowi oznaczał głęboki prąd rzeczny albo głębiny wir, w którym tonęli ludzie i zwierzęta. Dźwiękowym odpowiednikiem sylaby był basowy jęk czy też zew. W zapisie fonetycznym sylabę przedstawiano jako *nua*.

Części prymitywnej łamigłówni dawały się połączyć bez trudu. Pierwszy dźwięk z kolei pochodził od słowa *haili*, które w narzeczu koromantyńskim oznaczało błaganie pod adresem wioskowych bożków.

Haili-lido-nua. Basowy zew leśnej piszczalki, oznaczający groźbę i błaganie bóstw o wsparcie.

Tajne symbole Akaby. Ukryty klucz, za pomocą którego obcy mogli dostąpić spotkania z prymitywnym plemieniem.

Czy na pewno aż tak prymitywnym?

Halidon. *Holly-doon*. Jękliwy zew instrumentu, który wiatr zaniesie do uszu bogów.

Tak oto się przedstawiał ostatni dar doktora Waltera Piersalla dla wyspy, na której znalazł schronienie. Posiadając te informacje, można było pozyskać na Jamajce potężną i ukrytą siłę i wprząc ją w służbę dobra. Można było przekonać ów „Halidon”, że pora przejąć odpowiedzialność za wyspę.

Pozostało jeszcze tylko określić, która z izolowanych społeczności gór Cock Pitu jest tą właściwą, Halidonem. Która z nich zareaguje na zaklęcie Akaby?

Z dokumentu Piersalla przebijał jednak zdrowy sceptycyzm naukowca. Piersall nie kwestionował istnienia Halidonu, snuł natomiast różne domysły co do bogactwa i determinacji sekty. Mity czy realne fakty? Mit mógł przecież dawno przerosnąć kurczący się z biegiem czasu majątek.

Odpowiedź czekała w górach Cock Pitu.

McAuliff skończył czytać drugą stronicę i podniósł oczy na Whitehalla. Czarny faszysta odstąpił od blatu i przez okienko wyjrzał na uprawne pola Drax Hall. Nie odwracając głowy stwierdził cicho, jak gdyby wiedział, że Alex stoi tuż za nim i zaraz się odezwie:

–Nareszcie wiemy, co robić. Ale musimy uważać, zwracać uwagę na najmniejszy krok. Jeden fałszywy ruch z naszej strony i zew Halidonu rozwieje się na wietrze.

Dwusilnikowy samolot typu Caravel podchodził do lądowania na zachodnim końcu pasa na lądowisku Boscobel w Oracabessie. Pilot zmienił skok śmigieł, krótkimi zmianami obrotów walcząc z wiatrem i strumieniami nagłej, tropikalnej ulewy, dopóki gładko nie posadził maszyny na betonie. Samolot pokołował na drugi koniec pasa, zawrócił niezgrabnie i podtoczył się do parterowego, wykonanego z prefabrykatów budyneczku dworca lotniczego.

Dwaj jamajscy portierzy wybiegli natychmiast przez niską furtkę i z parasolami w rękach popędzili w stronę samolotu. We dwóch podepchnęli do samych drzwi maszyny metalowe schodki i zapukali w kadłub, na znak, że gotowe.

Potężnie zbudowany biały odryglował drzwi od środka i wyskoczył na schodki, odpędzając gestem dłoni portierów z parasolami. Zeskoczył z górnego stopnia prosto na ziemię i rozejrzał się po smaganym deszczem terenie.

Prawą rękę trzymał ukrytą w kieszeni marynarki.

Kiedy skończył lustrację, odwrócił się ku drzwiom samolotu i skinął przyzwalająco głową. Z wnętrza wynurzył się następny biały osiłek, który również nie wyjmując ręki z kieszeni popędził w stronę betonowego pawilonu. Wszedł do środka, rozejrzał się i drugimi drzwiami wyszedł na parking.

Sześćdziesiąt sekund później jego partner rozchylił bramę przy przechowalni bagażu, robiąc przejazd dla mercedesa 660, który buksując w rozmokniętej murawie ruszył w stronę samolotu.

Obaj Jamajczycy czuwali przy schodkach, trzymając w pogotowiu parasole.

Mercedes zatrzymał się bok w bok z samolotem, a po schodkach zszedł podtrzymywany przez dwójkę opiekunów drobniutki, stary Julian Warfield. Drugi z białych goryli zatrzasnął tylne drzwiczki mercedesa. Pierwszy osiłek stał przy masce, taksując odległość i przyglądając się garstce pasażerów idących ku maszynie od strony pawilonu.

Kiedy Warfield usiadł już na tylnym siedzeniu, jamajski kierowca mercedesa wyskoczył na trawę, a jego miejsce zajął biały ochroniarz. Biały nacisnął klakson. Jego partner podbiegł do prawych przednich drzwi i również wskoczył do środka.

Z rykiem potężnego silnika mercedes zawrócił na tylnym biegu za ogonem samolotu, by z kolejnym grzmotem skoczyć w przód i zniknąć za bramą.

Obok Warfielda siedzieli z tyłu Peter Jensen i jego żona Ruth.

–Pojedziemy do Peale Court, to niedaleko – oświadczył im blady finansista. W jego zapadniętej twarzy jedynie oczy wydawały się żywe i spokojne. – Ile wam czasu zostało? Z rozsądnym zapasem?

–Wynajęliśmy samochód na przejażdżkę do Wodospadów Dunna – odrzekł Peter. – Zostawiliśmy go na parkingu, zanim przesiedliśmy się do mercedesa. Jednym słowem, parę godzin się znajdzie.

–Zapowiedzieliście jasno, że jedziecie oglądać te wodospady?

–Tak. Nawet zapraszałem McAuliffa, żeby się wybrał.

Warfield uśmiechnął się.

–Dobrze się starasz, Peter.

Samochód gnał szosą ku Oracabessie, lecz kilka kilometrów za lotniskiem skręcił na żwirową drogę, której początek wyznaczały dwa białe obeliski. Do każdego z nich przytwierdzono mosiężną tablicę z identycznym napisem: PEALE COURT. Obie tablice, wypolerowane do połysku, lśniły głębokimi barwami złota i czerni.

Na końcu żwirowego podjazdu znajdował się długi parking, za którym stał jeszcze dłuższy, biały parterowy pawilon. Widać było, że stolarkę okien i drzwi wykonano z cennych gatunków drewna. Pawilon stał na wysokim obrywie ponad nadmorską plażą.

Milcząca, starsza wiekiem Murzynka w białym stroju wpuściła trójkę gości. Warfield poprowadził Jensenów ku werandzie z widokiem na rozległe wody zatoki Golden Head.

Rozsiedli się w fotelikach, a Warfield uprzejmie poprosił jamajskiego kelnera, by przyniesiono im coś do picia. Na przykład lekki poncz rumowy.

Deszcz powoli ustawał, a pośród szarego oparu wykwitł na niebie pęk żółtych i pomarańczowych promieni.

–Zawsze uwielbiałem Peale Court – rzucił Warfield. – Tak tu zacisznie.

–Widok stąd taki, że zapiera dech – przytaknęła Ruth. – Czy to twoja własność, Julian?

–Nie, moja droga, ale sądzę, że nabyłbym to miejsce bez większych trudności. Rozejrzyj się, jeśli masz ochotę. Może spodoba wam się tu z Peterem.

Ruth uśmiechnęła się i chwytając aluzję wstała z fotelika.

–Rzeczywiście, chyba się rozejrzę.

Zniknęła za drzwiami werandy, wchodząc do wielkiego salonu z beżową marmurową posadzką. Peter odprowadził żonę wzrokiem i popatrzył na Juliana.

–Czyżby coś aż tak poważnego?

–Nie chcę, żeby się denerwowała – odrzekł Warfield.

–To mi wystarczy za odpowiedź.

–Może i coś poważnego. Ale niekoniecznie. Otrzymujemy niepokojące wiadomości. MI-5.

Peter obruszył się, jak gdyby uważał te niepokoje za przesadne.

–Myślałem, że nic nam nie grozi z tamtej strony. Mieliśmy pełne gwarancje. MI-5 miało nie drgnąć.

–Owszem, może tutaj; na wyspie. W każdym razie nie tak, żeby nam wchodzić w drogę. Inna sprawa w Londynie. Co oczywiste – dorzucił Warfield. Wziął głęboki wdech i wydał pomarszczone, wąskie wargi. – Podjęliśmy zaraz pewne kroki, żeby zapobiec kłopotom, ale nie mogę ręczyć, że się uda. Na dłuższą metę mamy oczywiście wpływ na wszystkie służby, w najgorszym razie można nimi sterować przez Foreign Office, ale martwią mnie ich bieżące działania.

Peter Jensen spojrział tam, gdzie nad poręczą werandy przebijało się już przez chmury popołudniowe słońce. Przestało padać.

–Mamy zatem dwóch przeciwników. Halidon... Diabli wiedzą, co to takiego, swoją drogą... No i brytyjski wywiad.

–Właśnie. W tej sytuacji absolutnie najważniejsze jest to, żeby nie dać im się

zetknąć ze sobą. Rozumiesz, o czym mówię? – Jensen spojrział na Warfielda.

–Oczywiście. Zakładając, że jeszcze nie połączyli swych sił.

–Nie połączyli.

–Skąd ta pewność, Julian?

–Mam taką pewność. Nie zapominaj, że o Halidonie dowiedzieliśmy się właśnie od ludzi z MI-5. Od etatowego personelu. Dunstone wie, komu płacić. Donieśliby nam, gdyby doszło już do kontaktu.

Jensen znowu zapatrzył się w wody zatoki. Dociekliwość mieszała się na jego twarzy z zamyśleniem.

–Ale dlaczego? Dlaczego? Daliśmy temu człowiekowi milion dolarów... W jego dossier nie ma nic, dosłownie nic, co by nam mogło nasunąć cień podejrzenia. McAuliff organicznie nie cierpi wszystkich instytucji rządowych, pieni się, kiedy mu tylko o nich wspomnieć. Między innymi dlatego wysunąłem go jako właściwego człowieka.

–Owszem – bąknął Warfield – pamiętam, Peter, że to ty sprowadziłeś nam tego McAuliffa. Nie zrozum mnie źle, nie obarczam cię odpowiedzialnością, sam przecież się zgodziłem z tym wyborem... A teraz opisz mi wszystko, co widziałeś w nocy. Czy nad ranem.

Jensen spełnił to życzenie. Zakończył relację opisem rejsu rybackiej krypy i usuwania sprzętu medycznego z pokoju w motelu.

–Jak na akcję MI-5, rzecz wydaje mi się niesłychanie prymitywna, Julian. Wywiad ma do dyspozycji dość środków, żeby się nie pętać po motelach czy rozbijać łódkami. Szkoda, że nie wiemy, o co naprawdę chodziło.

–Ależ wiemy. Tak mi się przynajmniej wydaje – uspokoił go Warfield. – Ubiegłej nocy ktoś włamał się do domu, jaki pozostał po zmarłym tragicznie antropologu nazwiskiem Piersall. Około osiemnastu kilometrów od wybrzeża. Doszło do strzelaniny. Wiemy o dwóch ofiarach śmiertelnych, ale mogli tam też być ranni. Oficjalnie policja mówi o napadzie rabunkowym, co jest oczywiście bzdurą. Przy najmniej o tyle, że niczego nie skradziono.

–Piersall. Słyszałem już to nazwisko.

–Wyobrażam sobie. Uniwersytecki radykał, który chciał odkupić tereny od władz w Kingston.

–Ależ tak! Ten, który chciał kupić połowę wzgórz Cock Pitu! Wiele miesięcy temu. Jakiś wariat! – Jensen przypalił fajkę. Trudno było nie zauważyć, że ściska ją z całej siły. – A więc jest tu jeszcze ktoś trzeci – dopowiedział ściszym, nerwowym głosem.

–Albo napad jest dziełem kogoś z pierwszej dwójki.

–Jak to? Co chcesz powiedzieć?

–Wykluczyliśmy MI-5. Napastnikiem mógł więc być Halidon.

Jensen spojrział zdumiony na Warfielda.

–Jeśli tak, to McAuliff pracuje dla jednych i drugich. A skoro wywiad nie nawiązał kontaktu, to dlatego że McAuliff nie chce do tego dopuścić.

–Nader skomplikowany młodzieniec. – Sędziwy finansista ostrożnie odstawił

kieliszek na kafelkowy stolik obok krzesła. Odwrócił się i zerknął przez ramię na drzwi werandy. Z daleka słyhać było głos Ruth Jensen, rozprawiającej o czymś z jamajską służącą. Warfield na powrót odwrócił się ku Jensenowi i chudym, kościstym palcem wskazał czarny skórzany neseser na białym wiklinowym stoliku w sąsiednim rzędzie.

–To dla ciebie, Peter. Proszę, nie krępuj się.

Jensen wstał, podszedł do stolika i zatrzymał się przy neseserze, który okazał się mniejszy niż normalna dyplomatka. Mniejszy i grubszy. Dwa zatrzaski opatrzone były szyfrowymi zamkami.

–Jaki kod?

–Trzy zera w lewym zatrzasku, w prawym trzy piątki. Jeśli chcesz, możesz zmienić kombinację. – Peter nachylił się nad neseserem i zaczął manipulować miniaturowymi pokrętłami, Warfield ciągnął zaś: – Jutro rano ruszacie w głąb terytorium. Dowiedz się możliwie dużo, sprawdź, z kim się kontaktuje McAuliff, bo na pewno będzie się kontaktował. A kiedy ustalisz z całą pewnością, że naprawdę nawiązał kontakt i dowiesz się z kim, powiedz to Ruth. Niech się zwolni, powie, że ją coś boli i niech pędzi do nas z informacją... Dopiero wtedy go zabijesz, Peter. McAuliff to najważniejsza postać. Kiedy zniknie, jedni i drudzy wystraszą się, a my będziemy wiedzieli wszystko, co trzeba.

Jensen podniósł wieko skózanego nesesera. Wewnątrz na zielonej filcowej wyściółce leżało nowiutkie parabellum. Stał pistoletu błyszcząca, oprócz paska matowego metalu pod kabłąkiem spustowym, skąd usunięto numer broni. Obok pistoletu w neseserze spoczywał piętnastocentymetrowy cylinder z gwintem na jednym końcu.

Tłumik.

–Pierwszy raz prosisz mnie o coś takiego, Julian... Pierwszy raz... Tak nie można... – szepnął odwrócony do Warfielda Jensen.

–O nic cię nie proszę, Peter, tylko żądam. Dunstone Limited dało ci wszystko, a teraz liczy na ciebie jak jeszcze nigdy. Zrozum, musisz to zrobić.

Część czwarta

Cock Pit

XXIII

Pomiary rozpoczęli dokładnie w połowie zachodniego odcinka poszukiwań, około czterech kilometrów na południe od Weston Favel, na samym skraju krasowych formacji Cock Pitu. Rozbili obozowisko na brzegu wąskiego dopływu Martha Brae. Wszystkich oprócz Marcusa i Justice'a Hedrików, dwójki tragarzy, przytłoczyła sceneria otoczenia – mieli wokół siebie nieprzeniknioną na pierwszy rzut oka ścianę dżungli.

Przedziwne lasy, gdzie gatunki roślin mieszały się w najbardziej niespotykanych połączeniach, wypełniał tropikalny, bujny seledyn, obok którego strzelała w niebo wysokimi pniami czarna zieleń właściwa północnym strefom klimatycznym. Gęste kępy makuby sąsiadowały tu z puchowcem, czyli drzewem kapokowym, którego wierzchołki ginęły z oczu, przesłaniane środkowym piętnem roślinnych epifitów. Gatunek na Jamajce zwany kapustą górską rósł pośród storczyków i mchów, a grzyby i wysokie eukaliptusy walczyły o swoje prawa do egzystencji pośród innych gatunków pierwotnej, baśniowej krainy.

Podłoże leśne zaścielały splątane łodygi paproci i paprotników, miękkie, wilgotne i nader zdradzieckie. Połacie trzęsawisk kryły się pod parasolami szerokich, rozkrzewionych liści. Z ziemi wyrastały tu i tam pagórki i obrywy, ślady oligoceńskich kataklizmów, do tej pory nie wygładzone dłonią czasu.

Głosy piszczących nietoperzy, papug i łuszczaków rozdzierały monotonne tło dźwiękowe, w którym słyszało się też co pewien czas skrzek dżunglowych szczurów i mangust, złączonych w nie kończącym się nigdy tańcu śmierci. Pozorną ciszę rozdzierał też kwik dzikiej świni, przerażonej albo przeciwnie, ścigającej rywala.

W oddali zaś, widoczne z łączki nad rzeką, wznosiły się góry, oddzielone od dżungli pasmem dzikich traw. Góry miały dziwnie szarą barwę, na której tle stykały się ciągle deszcz i gorące słońce, rozwijając się w tęczyowy spektakl zieleni, błękitu i czerwieni.

A wszystko to o piętnaście minut lotu od kolorowych ulic Montego.

Niewiarygodne.

McAuliff nawiązał kontakt z rezydentami brytyjskiego wywiadu na północnym wybrzeżu. Rezydentów było pięciu. Na wszelki wypadek dotarł do wszystkich po kolei.

Rozmowy z agentami utwierdziły McAuliffa w przekonaniu, że nie mylił się przypisując R.C. Holcroftowi pogardliwe miano manipulanta. Ludzie, do których skierował go Holcroft, nie wzbudzali bowiem specjalnego zaufania. Owszem, oświadczali kolejno, jak to się cieszą, że się nareszcie zgłosił, przyjmowali za dobrą monetę tłumaczenia, że zwłokę spowodowały rutynowe pomiary geodezyjne, i zapewniali, acz bez entuzjazmu, że są gotowi do działania na najmniejszy sygnał ze strony geologa.

Jeden zwłaszcza z agentów MI-5, rezydent z Port Maria, utkwiał Alexowi w pamięci, po tym jak przyjechał samochodem do motelu Bengal, by porozmawiać. Był to

pokażnej tuszy Murzyn, który przedstawił się tylko z imienia. Garvey. Uparł się, by spotkanie zorganizować późną nocą w motelowym barze, gdzie znano go jako miejscowego hurtownika alkoholu.

Już po niedługiej chwili Alex zorientował się, że zapewniając go o swoim oddaniu i chęci pomocy, Garvey w rzeczywistości przesłuchuje go – po to chyba, by przekazać nowy raport do Londynu. Garvey cuchnął jak rasowy szpicel. Co do woni, zmysły nie myliły McAuliffa, bo Murzyn rzeczywiście był nie domyty i nie mógł tego zamaskować nawet potężnymi dawkami ciemnego rumu. Zdradzały go także oczy, przekrwione i niespokojne jak paciorkowate ślepie łośnicy. Garvey wyglądał na człowieka, który nie daruje żadnej okazji, by się wzbogacić.

Pytania zadawał bardzo precyzyjnie, a odpowiedzi McAuliffa wyraźnie nie trafiały mu do przekonania. Wszystkie pytania sprowadzały się, co więcej, do jednej kwestii: czy udało się nawiązać kontakt z Halidonem?

Nawet najmniejszego znaku?

Nie zidentyfikowani gapie, obcy obserwujący wyprawę z oddali... Może jakieś sygnały, objawy? Choćby i dalekie, niewyraźne?

Cokolwiek?

–Kompletnie nic – brzmiała stanowcza odpowiedź McAuliffa.

W takim razie co z parą Murzynów w chevrolecie, tą, która śledziła geologa w Kingston? Tallon wykrył, że to ludzie Waltera Piersalla, znanego agitatora... Wszyscy wiedzą, że to agitator. Tenże Piersall dzwonił do McAuliffa... MI-5 miało swoje dojścia do centrali telefonicznej w Courtleigh Manor. Czego chciał Piersall?

Alex twierdził, że nie wie. Nie dowiedział się tego, bo Piersall nie zdążył się z nim spotkać przed śmiercią, a wiadomo, że agitatorzy, wszystko jedno (podkreślił) biali czy czarni, to ludzie nieobliczalni, tak jak nieobliczalne są wieści, jakie przynoszą. Łatwo natomiast było przewidzieć los, jaki spotka Piersalla. Z tego, co powiedział Tallon i inni, McAuliff domyślał się, że Piersall szedł świeżym tropem Dunstone Limited, choć zapewne nie znał nazwy tej organizacji. Jeżeli tak było, trudno się dziwić, że próbował nawiązać kontakt z McAuliffem. Ale to czyste spekulacje. Nie da się już stwierdzić, na ile prawdziwe.

A jakie były w takim razie przyczyny spóźnienia Sama Tuckera? Gdzie się podziewał tyle czasu?

Pił i hulał z dziewczynkami w Montego Bay. Alexowi było wręcz głupio, że narobił takiego hałasu w sprawie Sama, choć przecież znał kolegę i wiedział, że to niepoprawny łażęga. Aczkolwiek najlepszy gleboznawca w całej branży.

Spocony coraz bardziej Garvey nie wierzył własnym uszom. Pogubił się w lawinie tych sprzecznych informacji. Wobec tylu zdarzeń McAuliff nadal wypierał się wszelkiego kontaktu?

W krótkich, lecz mocnych słowach Alex przypomniał agentowi, że miał dość obowiązków związanych z wyprawą – pracy przy organizacji badań, szukaniu ludzi i wreszcie zabawy z rządową biurokracją – i nikogo nie powinno dziwić, że nie miał głowy do innych spraw. Czy Garvey wyobraża sobie, do cholery, że McAuliff jest tu na wczasach?

Rozmowa-przesłuchanie przeciągnęła się do wpół do drugiej w nocy. Przed odjazdem rezydent MI-5 sięgnął do wyszmelcowanej aktówki i wydobył metalowe pudełko, wielkości futerału na pióro i podobnej grubości. Był to miniaturowy nadajnik radiowy, ustawiony na specjalną częstotliwość fal. U wierzchołka mikronadajnika widniały trzy diody świetlne. Pierwsza z nich, biała, wyjaśnił Garvey, wskazywała po włączeniu urządzenia, że baterie są naładowane i można nadawać – prawie jak „zielone oko” w staroświeckich lampowych odbiornikach. Druga dioda, czerwona, zapalała się podczas nadawania sygnału, a trzecia, zielona, potwierdzała, że podobne urządzenia w promieniu czterdziestu kilometrów odebrały przekaz. Kody miały być dwa, jeden na normalne okoliczności i drugi alarmowy. Pierwszy kod trzeba było nadawać dwa razy dziennie, co dwanaście godzin. Kod drugi wówczas, gdy trzeba było wezwać pomoc.

Garvey zapewnił, że czuwający operatorzy odbiornika będą już umieli określić położenie źródła transmisji, a więc obozu McAuliffa, z dokładnością do tysiąca metrów, a to za pomocą urządzenia pelengacyjnego skoordynowanego z mapą. Niczego nie pozostawiano tu losowi.

Niewiarygodne. Najbardziej niesłychane wydawało się McAuliffowi założenie, że służby wywiadowcze przez cały czas będą towarzyszyć wyprawie z odległości czterdziestu kilometrów. Wszystkie „gwarancje” Holcrofta na temat bezpieczeństwa wydawały się na tym tle zupełnie absurdalne, zważywszy na trudności, jakie ratownicy mieliby z marszem przez dżunglę i czas, jaki musiałby upłynąć od pierwszego alarmu do nadejścia odsieczy.

R.C. Holcroft ma na rozkładzie kolejnego klienta, pomyślał McAuliff.

–Czy to wszystko? – zapytał spoconego Garveya. – To cholerne pudełko ma ochronić całą wyprawę?

–Podjęliśmy jeszcze inne środki – odrzekł zagadkowo Garvey. – Mówię, że niczego nie zostawiliśmy własnemu losowi.

–Ale co to konkretnie znaczy?

–To znaczy, że ktoś czuwa nad wami. Więcej nie wolno mi powiedzieć. Powiem nawet, *mon*, że zwyczajnie nie wiem nic więcej. Tak samo jak pan jestem tylko szeregowcem, wykonuję rozkazy, powtarzam, co mi kazali powtórzyć, i już. Powiedziałem zresztą dosyć, pora na mnie. Samochodem jest stąd do Port Maria kawał drogi.

Garvey wstał od stolika, podniósł rozlatującą się aktówkę i pokołysał się w stronę wyjścia z ciemnego lokalu. Nie umiał jednak ominąć pokusy. Zatrzymał się przy barze, gdzie siedział jeden z zarządców hotelu, i zamówił sobie podwójny rum.

McAuliff ocknął się z zamyślenia, dopiero kiedy za sobą usłyszał głosy Ruth i Petera Jensenów. Siedział na spalonej słońcem błotnej mieliźnie, pamiętając po wezbranych wodach. Jensenowie rozprawiając szli przez polankę od swego namiotu. Alex ze zdumieniem spoglądał na Jensenów. Szli przez poryte zarośla Cock Pitu tak spokojnie, z tak znudzonymi minami, jak gdyby wybrali się na przechadzkę do Regent's Park.

–Podziwiamy majestat natury? – zagadnął Peter, wyjmując z ust nieodłączną

fajkę.

–Najbardziej uderza tutaj połączenie koloru i masy, nie uważasz, Alex? – dodała Ruth, idąca z mężem pod ramię. Południowy spacerok Strandem. – Barwa jest zmysłowa i zwiewna, a ściana lasu tak zbity i splątana...

–Mówisz tak, jak gdyby były to sprzeczne określenia, a to chyba nieprawda? – Peter roześmiał się, bo Ruth udawała, że robi zmartwioną minę.

–Nie słuchaj go, Alex. Mój mąż to prawdziwy pornograf. Inna rzecz, że ma rację. Naprawdę mamy przed sobą majestat. Owszem, zbity majestat. A gdzie się podziała Alison?

–Jest z Fergusonem i Samem. Badają wodę.

–Jimbo-*mon* gotów tu wypstrykać wszystkie filmy, coś mi się widzi – zauważył Jensen, pomagając żonie usiąść obok McAuliffa. – Zupełnie się nie może oderwać od tego nowego aparatu, który przywiózł z Montego.

–Potwornie kosztowna zabawka, jak mi się wydaje. – Ruth wygładziła fałdy wiecznie pomarszczonych bryczesów, jak kobieta, która nie może się przyzwycząić, że nie nosi spódnicy. – Ekstrawagancki zakup jak na młodzieńca, który twierdzi, że jest wiecznie goły.

–Nie kupił tego aparatu, tylko pożyczył – przypomniał sobie Alex. – Mówił, że pożyczył go od znajomego, pracowali razem rok temu w Port Antonio.

–A, tak, zapomniałem. – Peter zapalił fajkę. – Przecież wszyscy byliście w zeszłym roku na Jamajce, tak?

–Wcale nie. Nie wszyscy, tylko Sam Tucker i ja. Pracowaliśmy dla Kaisera. Ferguson też był na wyspie, ale na zlecenie fundacji Crafta. Trzy osoby to jeszcze nie „wszyscy”.

–No tak, ale Charles też jest z Jamajki – wtrąciła dość nerwowo Ruth. – Na pewno ciągle przyjeżdża tu z Londynu. Wydaje mi się, że go na to stać.

–To raczej mało subtelne domysły, moja miła.

–Nie dokuczaj mi, Peter. Alex wie, co miałam na myśli. McAuliff nie mógł się nie roześmiać.

–Rzeczywiście, nie wydaje mi się, żeby Charles zamartwiał się o pieniądze. Na razie nie przyniósł mi jeszcze rachunków i nie zażądał zwrotu kosztów. Boję się pomyśleć, co będzie, kiedy nam przyśle rachunek ze stoiska z ubraniami na safari od Harroda.

–Może się krępuje – podsunął Peter z uśmiechem. – Wygląda przecież jak gdyby dopiero co zszedł z planu filmowego. Czarny myśliwy. Bardzo pociągający obraz, choć dosyć nowatorski.

–Teraz ty z kolei posuwasz się za daleko, mój miły. Charles to naprawdę imponująca postać. – I odwracając się do Alexa Ruth szepnęła: – Mój podstarzały Hemingway jest zielony z zazdrości.

–To nowy aparat, a nowych aparatów się tak łatwo nie pożycza – wtrącił dziwnie bez związku Peter i zerknął, sprawdzając, co powie McAuliff.

–Zależy, jakich się ma znajomych – zbył go Alex, zdając sobie sprawę, że Jensen insynuuje coś botanikowi. – Ferguson umie sobie zaskarbić sympatię.

–Prawda, że jest sympatyczny? – zgodziła się Ruth. – I jakiś taki bezbronny.

Chyba że tkwi przy swoim sprzecznie, wtedy zamienia się w geniusza.

–A tylko to ma dla mnie znaczenie – podsumował McAuliff, odpowiadając Peterowi. – Inna rzecz, że wszyscy jesteście genialni, ze swoim sprzętem, aparatami, fajkami i strojem safari.

Roześmiał się, obracając sprawę w żart.

–Przyłapałeś i mnie, kolego. – Peter wyjął z ust fajkę i pokręcił głową. – W samej rzeczy, to okropny nałóg.

–Wcale nie – uspokoił go Amerykanin. – Nawet lubię ten zapach. Sam paliłbym fajkę, ale zaraz zaczyna mnie piec język. Piecze mnie i szczypie.

–Na to też są sposoby, ale nie będę cię teraz zanudzał wykładem... Zwłaszcza w fascynującym laboratorium dżungli. Czy postanowiłeś coś na temat przydziału zadań?

–Jeszcze nie – westchnął Alex. – Nie ma chyba wielkiego znaczenia, jak się podzielimy. Z kim chcielibyście pracować?

–Przydałby się nam jeden z tych braci-tragarzy – zauważyła Ruth. – Gdziekolwiek się pójdzie, obaj wiedzą dokładnie, jak tam trafić. Ja bym się zgubiła po sekundzie... Wiem, że to egoizm z mojej strony, w końcu moje prace są tu najmniej ważne...

–Ale nie byłoby dobrze, gdybyś nam zginęła, prawda, Peter? – McAuliff nachylił się i spojrzał w ziemię.

–Dopóki jest grzeczna, wolałbym ją mieć przy sobie.

–W takim razie wybieraj – zaproponował McAuliff. – Marcus czy Justice?

–Świetne są te ich zwariowane imiona! – wykrzyknęła Ruth i spojrzała na męża. – Dla mnie Justice. „Sprawiedliwość”. A sprawiedliwość musi być.

–Oczywiście, że się z tobą zgadzam, kochanie.

–Doskonale – uciał McAuliff. – Zostawiam sobie Marcusa. Nie obejdę się bez tragarza. Alison z kolei wybrała Lawrence'a, chyba że masz inne zdanie, Peter?

–Nie, nie, skądże znowu. Wielka szkoda, że ten jego kolega... Jakże mu było, Floyd, tak? Szkoda, że Floyd dał drapaką, że tak powiem... Udało ci się czegoś o nim dowiedzieć?

–Nie. Zniknął i tyle. Niepewny facet. Na domiar złego złodziejasek, tak twierdzi Lawrence.

–Szkoda. Wydawał mi się taki... inteligentny.

–Kochanie, przestań o nich się wyrażać z taką wyższością. To jeszcze mniej strawne niż mój brak subtelności. – Ruth Jensen podniosła kamyk i cisnęła go w wodę wąskiego dopływu. – W takim razie bierz sobie tego grubasa, byleby obiecał, że doprowadzi nas do obozu na posiłki i nocleg.

–Doskonale, dokładnie taki miałem zamiar. Będziemy chodzili na czterogodzinne wypady i kontaktowali się przez radio. Przez pierwszych parę dni nie chcę, żebyście wychodzili w teren dalej niż dwa kilometry od obozu.

–Dalej! – zapiała Ruth, patrząc na McAuliffa – Alex, kochany, możesz mnie oddać do domu wariatów, jeżeli zapuszczę się na dziesięć metrów w te chaszczki!

–Bzdura – odparował jej mąż. – Kiedy zaczniesz łupać młotkiem te swoje

kamienie, zapominasz, że istnieje w ogóle coś takiego jak czas i przestrzeń... A propos badań, Alex, spodziewam się, że będzie tu do nas ciągnął sznur gości, co? Żeby sprawdzić, jak tam postępy i tak dalej.

–Nie, dlaczego? – Zdziwiony Alex poczuł, że między Jensenami trwa w tej chwili nic subtelnego porozumienia, być może nie uświadamiana sobie nawet przez nich. Peter był bardziej nieprzenikniony niż Ruth, delikatniejszy w grze, lecz nie do końca pewny swego. – Wystarczy, jeśli co dziesięć dni wyślemy kompletny raport. Co dziesięć dni przerwa. To zupełnie wystarczy.

–No wiesz, chodziło mi o to, że ostatecznie to miejsce to nie koniec świata, chociaż łatwo można tak sobie pomyśleć. Wyobrażałem sobie, że nasi sponsorzy będą tu przyjeżdżać i sprawdzać, na co idą ich pieniądze.

Peter Jensen popełnił błąd. McAuliff zrobił się natychmiast czujny.

–Jacy sponsorzy?

Ruth Jensen podniosła kolejny kamień, lecz słysząc pytanie, na sekundę zamarła z podniesionym ramieniem. Potem kamień chlupnęła w wodę rzeki. Cała trójka zauważyła to wahanie. Peter spróbował zagadać sprawę.

–Czy ja wiem jacy? Może tytani wiedzy z Królewskiego Towarzystwa albo paru tych pętek z ministerstwa. Znam typków z Towarzystwa, a ci z ministerstwa także nie są tacy serdeczni. I dlatego myślałem... Nie wiem, może nie wiem, co mówię.

–A może... – McAuliff zawiesił głos. – Może wiesz, co mówisz, lepiej ode mnie? Zdarzają się czasem takie inspekcje. Myślałem o dogodności wizytacji, to znaczy niedogodności. Żeby tu dotrzeć, zmarnowaliśmy cały dzień. Oczywiście mieliśmy na głowie ciężarówkę i cały sprzęt... Myślę, że w tych warunkach nikomu się nie będzie chciało urządzać inspekcji.

–Nie przesadzajmy. – Peter Jensen wystukał fajkę o cholewę wysokiego buta. – Sprawdziłem na mapie położenie tej polanki. Tamte podgórskie łąki są bliżej, niż się wydaje. Dosłownie kilka kilometrów stąd. A to idealne ładowisko dla awionetki.

–Właściwie racja. Nie przyszło mi to do głowy. – McAuliff znowu się schylił, chcąc się przekonać, jaką minę ma Jensen, lecz Anglik nie odwrócił głowy. – Rzeczywiście, w razie konieczności... Gdyby trzeba było dosłać sprzęt albo zapasy, w ten sposób można by je przysłać dużo prędzej. Dzięki za pomysł, Peter.

–Nie dziękuj mu tak. Nie warto mu nadskakiwać – odezwała się Ruth i zaśmiała się nerwowo. Zerknęła prędko na męża. McAuliff żałował, że nie widzi w tej chwili jej oczu. – Peter usiłuje udowodnić światu, że jest najtęższym mędrcom w całej knajpie na rogu.

–Bzdura, dziewczyno. Gwarzymy sobie i tyle...

–Myślę, że Peter nudzi się przy nas, Ruth – zażartował McAuliff, a jego śmiech brzmiał dość impertynencko. – Pewnie tęskni za jakimiś nowymi twarzami.

–Wolno mu, pod warunkiem że chodzi o twarze, nie o resztę ciała. – Ruth Jensen znów wydała z siebie gardłowy śmieszek. Peter i McAuliff roześmiali się także. Żarty były wyjątkowo mało udane, z czego McAuliff zdawał sobie sprawę. Jensenowie popełnili błąd, a teraz bali się jego skutków.

Peter mógł rzeczywiście wypatrywać nowych twarzy... A przynajmniej jednej

twarzy. Był przekonany, że McAuliff spodziewa się kogoś w obozie.

Kogo mógł mieć na myśli?

Czy to możliwe... Czy istniał chociaż cień możliwości, że Jensenowie nie byli po prostu parą spokojnych geologów?

Ktoś pogwizdując szedł ścieżką od strony zarośli na północnym skraju polany. Jensenowie i McAuliff podnieśli wzrok na Charlesa Whitehalla, który w czystym i odprasowanym stroju safari kroczył dumnie w towarzystwie obdartego, umorusanego Marcusa Hedrika, starszego z rodzeństwa tragarzy z Cock Pitu. Marcus trzymał się z szacunkiem parę kroków za Whitehallem, a jego czarna twarz miała nieprzenikniony wyraz.

McAuliff powstał i pod adresem Jensenów rzucił:

–Idzie Charley. Parę kilometrów w górę tej rzeki jest wioska. Charley poszedł nająć dla nas paru pomocników.

Ruth i Peter pojęli aluzję, tym łatwiej że sami rwali się, by wstać.

–Ano, cóż, musimy przejrzeć resztę sprzętu – odezwał się prędko Jensen i wstał.

–Właśnie, właśnie. Pomóż mi się podnieść, mój miły.

Jensenowie pomachali Whitehallowi i co prędzej ruszyli do swojego namiotu.

McAuliff i Whitehall przystanęli naprzeciwko siebie na samym środku polanki. Czarny naukowiec odesłał Marcusa Hedrika z poleceniem, by przygotował plan nocnych wart dla reszty murzyńskiej ekipy. Alex oniemiał z wrażenia, słysząc jak Charley--*mon* zwraca się do tragarza. Naukowiec z łatwością przerzucił się na gwara górskich okolic – dla McAuliffa absolutnie niezrozumiałą – pomagając sobie minami, ruchami oczu i rąk doskonale pasującymi do błazeńskiej perory.

–Świetnie ci to wychodzi – zauważył Alex, gdy tragarz oddalił się na tyle, że nie mógł ich słyszeć.

–Nic dziwnego. Przecież po to mnie zaangażowałeś. Nie znajdziesz lepszego fachowca niż ja.

–Jeszcze jedna cecha, za którą tak cię lubię, Charley. Z takim wdziękiem umiesz przełknąć każdy komplement.

–Nie wzięłeś mnie tu ze sobą z powodu wdzięku. Wdzięk to ekstrapremia, na którą wcale nie zasłużyłeś. – Elegancki Whitehall pozwolił sobie na uśmiezek i zapytał: – Zdaje się, że lubisz na mnie mówić „Charley”?

–Przeszkadza ci to?

–Skądże znowu. Nie przeszkadza, bo rozumiem twoją motywację. Zwyczajny mechanizm obronny, normalna sprawa u Amerykanina. „Charley” to gwarowe lekarstwo na kompleksy, częste zwłaszcza w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Partyzantów w Wietnamie też nazywaliście „Charley”, tak samo jak Kambodżańczyków i Laotańczyków. A nawet swoich ziomków na ulicach Ameryki. Od razu czujecie się wywyższeni. Dziwne tylko, że wybraliście akurat imię „Charlie”, co?

–Ale przecież naprawdę masz tak na imię.

–Tak, oczywiście, ale wydaje mi się, że nie o to chodzi. – Murzyn rozejrzył się prędko i ciągnął pod adresem McAuliffa: – Rzecz w tym, że imię „Charles” pochodzi

z niemieckiego. Źródłosłów oznacza „mężczyznę słusznego wzrostu” albo też, według innych źródeł, „o wielkiej tuszy”. Ciekawe, że Amerykanie wybrali sobie to imię na oznaczenie czegoś odwrotnego, prawda?

McAuliff sapnął w złości i znużonym tonem przerwał:

–Przyjmuję z pokorą dzisiejszą lekcję i cały jej subtelny antykolonializm.

Rozumiem, że wolałbyś, gdybym się do ciebie zwracał „Charles” albo „Whitehall”, albo na przykład „Wielki Czarny Przywódco”.

–Przez myśl mi to nie przeszło. „Charley” bardzo mi odpowiada. Tak jest nawet zabawniej. Poza tym i tak jest to lepsze imię niż „Bambo”.

–W takim razie o co się kłócimy, do diabła?

Whitehall zaszczycił McAuliffa kolejnym uśmieszkiem i zniżył głos:

–Dopiero dziesięć sekund temu przestał nas podsłuchiwać brat Markusa Hedrika. Stał za namiotem gospodarczym, tam po lewej. Nastawiał uszu, ale już zniknął.

Alex obrócił się raptownie. Za obszernym brezentowym namiotem, gdzie stoły i ławy znalazły schronienie przed tropikalną mżawką, widać jeszcze było plecy odchodzącego Justice'a Hedrika. Tragarz zmierzał w stronę dwójki pobratymców na drugim końcu polany. Justice był wyraźnie młodszy od Marcusa, dwudziestoparoletni, krępy i muskularny.

–Na pewno? Jesteś pewien, że podsłuchiwał?

–Tkwiał tam i rzeźbił nożem w kawałku drewna kapokowego. Mamy tyle roboty, że nie ma czasu na rzeźbę ludową. Podsłuchiwał. Poszedł sobie dopiero, kiedy na niego spojrzałem.

–Zapamiętam to sobie.

–I dobrze zrobisz. Ale nie przywiązuj do takich spraw zbytnej wagi. Tragarze są znakomici, kiedy trzeba oprowadzać grupy turystów. Dostają fantastyczne napiwki. Podejrzewam, że obu braciom nie w smak praca dla naszej wyprawy. Prowadzimy jakieś pomiary albo, co gorsza, badania naukowe. Nic, przy czym by się dało specjalnie skorzystać. Stąd dąsy.

McAuliff chciał już coś powiedzieć, lecz zawahał się, oszołomiony tym, co usłyszał.

–Czy dobrze cię rozumiem? Jaki to ma niby związek z podsłuchiowaniem?

Whitehall przymknął oczy, jak gdyby cierpliwie tłumaczył lekcję tępawemu uczniowi. Widać było, że nieźle się czuje w tej roli.

–W pierwotnej umysłowości akty nieposkromionej Ciekawości poprzedzają zwykle agresję.

–Dziękuję, doktorze Freud. – Alex nie próbował ukryć irytacji. – Lepiej zmieńmy temat. Co udało ci się załatwić w tamtej wiosce?

–Wysłałem gońca do Maroon Town. Ż prośbą o bardzo nieoficjalną audiencję u Pułkownika Maroonów. Posłucha mnie. Wiem, że się zgodzi.

–Nie sądziłem, że tak trudno o spotkanie z tym „pułkownikiem”. Jeśli dobrze pamiętam, co mówił Moore, a pamiętam, wystarczy mu zaświecić w oczy gotówką.

–Ale chcemy się obejść bez asysty tłumy turystów, Alex. Nie kupimy przy okazji rzeźb plemiennych ani karaibskich paciorków za dodatkowe „dwa dolar, dwa dolar”.

Mamy o wiele ważniejszą misję niż handel pamiątkami. Chcę, żeby Pułkownik nastawił się odpowiednio do tej rozmowy i dobrze się zastanowił.

Alex nie odpowiedział. Whitehall miał zapewne rację. Pod warunkiem że Barak Moore wiedział, co mówi. O ile Pułkownik Maroonów stanowił jedyne dojście do Halidonu, decyzja, by poprosić o rozmowę z nim, nie była sprawą łatwą. Lepiej przygotować drugą stronę, niż narazić się na niespodzianki. Przygotować, ale tak, by nikogo nie spłoszyć, przeciwnie, skłonić do decyzji.

–W jaki sposób chciałeś tego dopiąć? – zapytał wreszcie Whitehalla.

–Jako gońca wysłałem starostę wioski. Dałem mu sto dolarów jamajskich. Mniej więcej tak jakbym tobie wręczył ćwierć miliona. Poprosiłem o spotkanie za cztery dni, cztery godziny od chwili, gdy słońce zniknie za górami...

–Arawackie symbole? – domyślił się McAuliff.

–Dokładnie. Łącznie z prośbą, by do spotkania doszło po prawej stronie koromantyńskiego półksiężyca. Założę się, że taki kształt ma siedziba tego Pułkownika. Dokładne miejsce spotkania Pułkownik ma przekazać posłańcowi. Pamiętaj, że u Maroonów godność Pułkownika dziedziczy się z pokolenia na pokolenie. Jak wszyscy książęta krwi, nasz obecny Pułkownik zna się na plemiennej tradycji. Od razu poznamy, że wie, z czym chcemy przyjść.

–Niby w jaki sposób?

–Poznamy, jeśli miejsce spotkania opisze czwórkami. To oczywiste.

–Skoro oczywiste... Czekaj nas kilka dni zwłoki.

–Nie wiem, czy tylko zwłoki, McAuliff. Przez cały czas będziemy pod obserwacją, pilnie śledzeni, minuta po minucie. Musimy zrobić wszystko, żeby nie spłoszyć drugiej strony. Najlepiej, jeśli zabierzemy się do pomiarów.

–Świetny, pomysł. Tak się składa, że podobno bierzemy forszę za badania geologiczne.

XXIV

Od chwili rozpoczęcia prac w dżunglach Cock Pitu, badania i pomiary pochłaniały całą uwagę uczestników. Niezależnie od tajnych zadań czy intymnych obaw, jakie czuli, musieli umiejętnościami zawodowymi sprostać zadaniu, jakie postawiło przed nimi niewiarygodne laboratorium w postaci krainy Cock Pitu.

Naukowcy ramię w ramię z tragarzami nieśli przez nieprzebytą dżunglę i podgórskie łąki przenośne stoły, dokładnie opakowane mikroskopy, geodimetry, diamentowe świdry, sita do badania osadów i pojemniki na próbki. Zasada czterogodzinnych wypadów w teren okazała się czystą teorią, bo w rzeczywistości nikt nie zadawał sobie trudu, by przerywać ciekawe prace i eksperymenty z powodu takich drobiazgów, jak posiłki czy sesje łączności. Podstawowe środki ostrożności zaczęto wkrótce traktować jako zbędne utrapienie. Już po paru godzinach znudziła wszystkich nowinka w postaci skrzeczących bez przerwy, przeszkadzających w pracy walkie-talkie. McAuliff musiał osobiście przypominać Jensenowi i Fergusonowi, żeby przynajmniej zostawiali swoje radia nastawione na odbiór i znieśli jakoś ciągly gwar w eterze.

Pierwsze wieczory unaocznily, że Charles Whitehall miał wielką rację, zaopatrując się w magazynie Harroda w stroje do safari: uczestnicy wyprawy siadali na składanych krzeselkach wokół ognia niczym łowcy, którzy odpoczywają po całodziennym trudzie polowania. Zamiast jednak rozprawiać o wielkich kotach, antylopach, gryzoniach i ptactwie, wykrzykiwano z nie mniejszym entuzjazmem zupełnie inne słowa. Cynk, mangan i boksyty. Ochra, gips, fosfaty. Warstwy kredowe i eoceńskie. Łupki, skały wulkaniczne. Tamarynda, krwawnik. Guano i babi język. Utwory pustynne, kwasowość gleby, namuły. Cieki wodne, złoża gazu, warstwy lawy trzewiowej. Jamiste utwory wapienne.

Wszyscy podzielali ogólny, niezbitý wniosek: Cock Pit okazał się skarbnicą niewyobrażalnie żyznej gleby, obfitą w wodę i niewiarygodne złoża rud oraz gazu.

Wszystko to trzeba było przyjąć do wiadomości przed upływem trzeciego dnia pomiarów. McAuliff z ust Petera Jensena wysłuchał niepokojąco klarownego podsumowania:

–To po prostu nie do pojęcia, że nikt jeszcze tutaj nie wkroczył i nie zbudował tych terenów. Śmiało powiem, że do Cock Pitu nie umywa się nawet Brasilia! Trzy czwarte wszystkich mocy przyrody czeka tutaj po prostu, aż ktoś zechce z nich wreszcie korzystać.

Na wzmiankę o mieście, które strzeliło w niebo na dzikim brazylijskim płaskowyżu, Alex aż podskoczył i znów bacznie się przyjrzał pykającemu fajkę, entuzjastycznemu ekspertowi od skał i minerałów

Zamierzamy zbudować miasto... Słowa Juliana Warfielda.

Niewiarygodne.

A jednak.

Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, by pojąć obecne zamiary Dunstone Limited. Plan miał wszelką rację bytu, ale, żeby go urzeczywistnić, potrzebny był już tylko olbrzymi kapitał – dokładnie taki, jakim dysponowano w Dunstone. Kiedy raz zaczną

się prace, losy całej wyspy zwiążą się na zawsze z niesłychaną inwestycją na pomocnym wybrzeżu. Armia robotników, nowe miasta, jeden ośrodek.

A potem, nowy rząd.

Władze w Kingston nie mogły, a już na pewno nie chciały odrzucić takiej oferty. Kiedy raz zaczną się prace – kierowane przez jeden ośrodek! – nikt nie będzie w stanie zrezygnować z ogromnych, wymiernych korzyści. Sam strumień napływającego pieniądza to dosyć, by skorumpować parlament.

Gigantycznego tortu wystarczy dla wszystkich. Zarówno gospodarczo, jak i psychologicznie Kingston uzależni się bez reszty od Dunstone Limited.

Szatański plan, tak zawikłany, lecz tak zarazem prosty. Jeśli tamci zawładną Kingston, schowają konstytucję kraju w swoich sejfach. Będą naginać prawa stosownie do swych potrzeb. Dunstone stanie się właścicielem kraju. Słowa R.C. Holcrofta.

Zbliżała się północ. Wiejscy pomocnicy podsycali ogniska, pilnowani przez parę tragarzy, Marcusa i Justice'a. Czarny rewolucjonista Lawrence zdążył już się wciągnąć w rolę pomagiera, usłużnego i taktownego. Jednak przepatrywał ścianę lasu i nigdy nie oddalał się dalej niż na dwa kroki od Alison Booth.

Jensenowie i Ferguson poszli już do namiotów. McAuliff, Sam Tucker i Alison siedzieli jeszcze wokół składanego stolika i rozmawiali cicho. Po ich twarzach pełgał odblask gasnącego ognia.

–Jensen wie, co mówi – tłumaczył Alexowi Tucker, zapalając cienkie cygaro. – Ci, którzy stoją za tą sprawą, przemyśleli to sobie dokładnie. Nie znam się na skałach kruszcowych, ale niech no tylko ktoś trafi na złoża rud, wszyscy rzucą się z miejsca, żeby wykupić te tereny.

–Korporacja. Nazywa się Dunstone.

–Nie rozumiem.

–Pytałeś, kto za tym stoi... Korporacja Dunstone Limited. Kieruje nią taki jeden, Warfield. Julian Warfield. Alison wie, o kim mówię.

Sam wycelował w McAuliffa swoim cygarem i spokojnie, choć z pewną goryczą stwierdził:

–To oni cię wynajęli.

–Oni – potwierdził McAuliff. – Konkretnie Warfield.

–W takim razie cała ta dotacja z Towarzystwa... patronat ministerstwa, czy Instytutu Jamajskiego... Zasłona dymna, tak?

–Właśnie.

–A ty wiedziałeś o tym od samego początku.

–Podobnie jak wywiad brytyjski. Nie, żebym im donosił, Sam. Przeszkolili mnie jako agenta... Na ile to możliwe w ciągu paru tygodni.

–Czy miałeś jakiś ważny powód, żeby chować to przede mną w tajemnicy? Co, Alexander? – Głos Tuckera, a szczególnie sposób, w jaki wymówił to imię, brzmiał groźnie. – Przecież mogłeś mnie uprzedzić... A już na pewno po tamtym spotkaniu w górach. Znamy się w końcu nie od dzisiaj, chłopcze... Nie, tak się nie postępuje, tyle ci powiem.

–Wierz mi, Sam, Alex dobrze zrobił, że nic nie mówił – odezwała się Alison przyjacielskim, lecz stanowczym głosem. – Dla twojego własnego dobra. Ja też wiem, jak to jest. Im mniej wiesz, tym większe masz szansę, wierz mi na słowo.

–Dlaczego mam ci wierzyć?

–Bo znam takie sytuacje. I dlatego że za dużo wiedziałam, znalazłam się aż tutaj.

–Alison musiała uciekać przed Chatelleraultem. Tego też nie mogłam ci powiedzieć, Sam. Pracowała na rzecz Interpolu. Wybrano ją poprzez bank danych. Wszystko wydawało się takie logiczne. Alison chciała wyjechać z Anglii...

–Nie chciałam, tylko musiałam, kochanie... Czy teraz rozumiesz, Sam? Komputer należał do Interpolu, ale wszystkie służby wywiadowcze są spowinowaczone, a jeżeli ktoś mówi co innego, to go nie słuchaj. MI-5 dogrzebało się mojego nazwiska, i pojechałam. Drogocenna przynęta, a przy tym dodatkowa komplikacja w intrydze... Niedobrze jest za dużo wiedzieć. Alex ma rację.

Zaległo między nimi napięte milczenie. Tucker pyknął cygarem, jak gdyby tym gestem zadawał nieme pytanie. Alison odgarnęła z czoła włosy, które rozpuściła na noc. McAuliff nalał sobie łyk whisky. Tucker odezwał się pierwszy:

–Masz szczęście, że ci trochę ufam, Alexander.

–Wiem. Tylko na to liczyłem.

–Ale dlaczego? – nadal dopytywał się szeptem Sam. – Dlaczegoś na to wszystko poszedł, do cholery? Nie umierałeś z głodu. Dlaczego zgodziłeś się dla nich pracować?

–Dla kogo? Mówisz o Dunstone czy o wywiadzie brytyjskim?

Tucker zaskoczony zamilkł i spojrzał na McAuliffa.

–Jezus Maria, chłopie. Nie wiem. Pewnie o jednym i drugim.

–Zgodziłem się pracować dla Dunstone, zanim zgłosiła się do mnie druga strona. Doskonały kontrakt, najlepszy, jaki mi się trafił w życiu. Nim się spostrzegłem, już mnie mieli w garści. Przekonywali mnie, że się im nie wywinę... Jedni i drudzy. Od pewnego momentu chodziło mi już tylko o to, żeby ocalić skórę... Zaczęły się rozmaite gwarancje, obietnice, nowe gwarancje i nowe obietnice. – McAuliff rozejrzał się po polance. Zdumiewała go cała ta scena. Lawrence przyglądał im się, skulony przy dogasających węglach. – Zanim się obejrzysz, siedzisz zatrzaśnięty jak w pudełku, wystarczy potrząsnąć, żebyś zaczął fruwać, odbijać się od ściany do ściany. Kompletny obłąd.

–Posunięcia i kontrposunięcia, Sam – dopełniła obrazu Alison. – To zawodowcy.

–Kto? O której stronie mowa? – Tucker zgarbił się nad stolikiem i popatrzył Alison prosto w oczy.

–O jednych i drugich – odrzekła stanowczo. – Widziałam, co Chatellerault zrobił z moim mężem. Wiem, co Interpol zrobił ze mną.

Znów zagościła między nimi cisza, choć nie tak napięta jak przedtem. I znów milczenie przerwał szept Sama Tuckera:

–Musisz się zdecydować, z kim walczysz, Alexander. Coś mi mówi, że nie podjąłeś takiej decyzji... Mam szczerą nadzieję, że przynajmniej z nami nie masz zamiaru walczyć.

–Określiłem przeciwnika, na ile mogłem, ale nie wiem, co warte są te określenia. Za trudne układy, przynajmniej dla mnie.

–W takim razie zacznij je, chłopcze, upraszczać. Zdecyduj od razu, kto powinien pierwszy zadyndać na stryczku.

McAuliff znów porozumiał się wzrokiem z Alison.

–Kto? Jak zwykle, jedni i drudzy. Ci z Dunstone dosłownie, a MI-5 w przenośni. Wykończyć jednych, podporządkować sobie drugich, na tyle żeby dało się wymazać nazwisko w banku danych. Konkretny plan.

–Zgoda – przytaknął Tucker, zapalając na powrót cygaro. – A teraz odwróćmy rozumowanie. Kogo jesteś w stanie najszybciej wysłać na stryczek? Na sto procent?

Alex i Alison roześmiali się niegłośnie, Alison zauważyła zaraz:

–Boże, wy naprawdę podobnie myślicie.

–Odpowiedz mi na pytanie, synu.

–Na razie jestem w stanie najwyżej ochronić siebie... To znaczy nas... Dzięki temu, co wiem i czego się domyślam. Mam haka na jednych i drugich.

–Nie odpowiedziałeś na pytanie. Na kogo najpierw?

–Nie wiem, pewnie na Dunstone. W tej chwili wydaje mi się, że są na słabszej pozycji. Warfield popełnił błąd, bo rzeczywiście przecenił moją chciwość. Myślał, że mnie kupił, przyjmując mnie do swego grona. Ich przegrana miała być moją przegraną... więc łatwiej pójdzie z Dunstone.

–W porządeczku. – Sam przybrał minę elokwentnego arbitra.– Dunstone Limited okreśmy jako przeciwnika numer jeden. Żeby się wyplątać z ich sideł, wystarczy ci pospolity szantaż. Możesz powiedzieć komuś, co o nich wiesz, złożyć dokumenty na przechowanie w biurze adwokackim... Tak?

–Tak.

–Pozostał nam w takim razie przeciwnik numer dwa: szpiedzy Jej Królewskiej Mości. Przyjrzyjmy się, kto zacz. Jaki mają na ciebie haczyk?

–Ochronę. Mieli mi zagwarantować ochronę.

–Jak dotąd mało skutecznie, co, synu?

–Mało skutecznie – przytaknął McAuliff. – Ale zabawa trwa. – Dojdziemy i do tego, nie spiesz się... A jaki ty masz na nich haczyk? McAuliff zamyślił się.

–Znam ich metody... Znam też ich kontakty. Mogę sporo wychłapać na temat operacji specjalnych.

–Czyli taki sam hak, jaki masz na Dunstone? – Tucker był coraz bliżej celu.

–Właśnie.

–Zatrzymajmy się na sekundę. Co proponuje ci Dunstone?

–Pieniądze. Kupę pieniędzy. Zależy im na tych pomiarach.

–Pogodzisz się ze stratą tej forsy?

–Pewnie że tak, do diabła! Ale może uda się...

–Nie o to chodzi. Domyślam się, że mówisz o swoich „obietnicach i gwarancjach”.

–No tak.

–Te sprawy nie mają akurat znaczenia. Nie ukradłeś niczego złodziejom. Ale, ale: czy jedni i drudzy mogą cię oskarżyć w sądzie jako współnika?

–Boże, skąd! Może im się tak wydawać, ale nic z tego.

–W takim razie masz już komplet odpowiedzi i definicję przeciwnika. Wystarczy, że zrezygnujesz z haczyków i z pieniędzy. Z ich forsy, z ich ochrony. Kiedy się pozbędziesz jednego czynnika, to znaczy pieniędzy, drugi, czyli ochrona, przesta nie ci być potrzebny. Będziesz działał z pozycji siły, mając w ręku własne haczyki. Zaczyniesz dyktować warunki.

–Poniosło cię, Sam – zauważył niespiesznie McAuliff. – A może o czymś zapomniałeś. Zabawa wcale się nie skończyła. Jeszcze możemy bardzo potrzebować tej ochrony. Jeżeli o nią poprosimy, będą nas mieli w ręku. Zrobią z nami, co zechcą. Jak podczas Watergate – oni i my będziemy jak pełzające po sobie robactwo.

Sam Tucker odłożył niedopałek cienkiego cygara do popielniczki na stoliku i wyciągnął rękę po butelkę szkockiej. Chciał już coś powiedzieć, gdy spostrzegł, że ze ścieżki przez dżunglę wychodzi na polankę Charles Whitehall. Murzyn rozejrzał się i szybko zbliżył do przykucniętego nad gasnącym ogniem Lawrence'a. Pomarańczowe węgle oblewały obie twarze brązową poświatą. Murzyni zamienili kilka słów, po czym Lawrence podniósł się, skinął głową i powędrował ku ścieżce. Whitehall odprowadził go wzrokiem i spojrzął na McAuliffa, Tuckera i Alison.

Ruszył ku nim, jak mógł najszybciej.

–Najlepsza ochrona na świecie – mruknął Sam na widok zbliżającego się Whitehalla. – I on, i Lawrence. Mogą się nawzajem nienawidzić, ale razem nienawidzą kogoś jeszcze, a ty możesz to wykorzystać. Ty i my wszyscy. Niech aniołki mają w opiece obu tych czarnych diabłów.

–Wrócił nasz posłaniec – oznajmił Whitehall, nastawiając gazowy płomyk turystycznej latarni w swoim namiocie. McAuliff stał w przedsionku, ukryty za brezentem. Whitehall nie chciał mu niczego powiedzieć, dopóki nie znaleźli się sam na sam.

–Mogłeś śmiało to przy nich powiedzieć.

–Nie, bo wtedy decyzja byłaby zbyt... wielostronna. Nie chcę, żeby do tego doszło.

–A to czemu?

–Musimy zachować szczególną ostrożność. Im mniej ludzi coś wie, tym lepiej.

McAuliff wygrzebał paczkę papierosów i podszedł do jedyne go składanego krzeselka w całym namiocie. Rozsiadł się, wiedząc, że Charley-mon nie skorzysta z pierwszeństwa do miejsca: Murzyn był na to zbyt podekscytowany, zwłaszcza kiedy w niemalże komiczny sposób usiłował zachować kamienną twarz.

–Zabawne, że Alison powiedziała mi dziś dokładnie to samo, choć z zupełnie innych powodów... Ale czego się dowiedziałeś w Maroon Town?

–Zgadają się! Pułkownik spotka się z nami. Co ważniejsze, o wiele ważniejsze... W opisie miejsca spotkania są czwórki!

Kiedy Whitehall podszedł do krzeselka, McAuliff ujrzał w jego oczach ten sam proroczy żar co w Drax Hall.

–Pułkownik proponuje zorganizować spotkanie inaczej. Jeśli nie odezwiemy się teraz, uzna, że się zgadzamy... Poprosił nas o ośmiodniową zwłokę i zamiast w

cztery godziny po zachodzie słońca, chce się spotkać cztery godziny po drugiej nad ranem. Druga nad ranem, czyli na tarczy zegarka w prawo od pory zachodu słońca. Nadal nie rozumiesz? Pojął, o co nam naprawdę chodzi, McAuliff! Pułkownik zrozumiał, potwierdził pierwsze odkrycie Piersalla!

–Spodziewałem się tego. – Była to jedyna odpowiedź, na jaką mógł się zdobyć McAuliff. Nie wiedział, jak poskromić rozbieranego Whitehalla.

–Co, dla ciebie to może nieważne?! – Jamajczyk w zdumieniu zatrzymał się przed McAuliffem. – Naukowiec zrobił nadzwyczajne odkrycie, prześledził w archiwach ledwo widoczne tropy sprzed dwustu lat... Nareszcie okazuje się, że miał rację. Nawet z punktu widzenia nauki odkrycie jest wstrząsające. Może trzeba będzie na nowo pisać całą historię Jamajki... Dalej nie rozumiesz?

–Rozumiem, tak jak doskonale rozumiem, dlaczego się tak denerwujesz. Masz po temu prawo... Ale na razie interesują mnie sprawy przyziemne. Nie podoba mi się ta zwłoka.

Whitehall oniemiał ze wzburzenia. Podniósł oczy ku brezentowi dachu, zaczerpnął głęboki oddech i dopiero wtedy odzyskał panowanie nad sobą. Ocena, jaką sobie wyrobił, była oczywista: białemu idiotcie nie uda się niczego przetłumaczyć. Dlatego odezwał się z pełną politowania rezygnacją:

–Zwłoka to dobry znak. Znak postępów.

–Ach, tak?

–Nie mówiłem ci tego przedtem, ale załączyłem do naszej prośby o spotkanie jeszcze jeden warunek. Zgadzałem się, ryzykowałem, ale uznałem, wprowadzić na własną rękę, że warto je podjąć. Dzięki temu uda nam się szybciej dotrzeć do zasadniczego celu. Powiedziałem posłańcowi, że o posłuchanie proszą... nowi wyznawcy Akaby.

McAuliff skamieniał na swoim krzeselku. Gotów był rozszarpać Whitehalla na strzępki, ale przytomność umysłu pozwoliła mu pohamować gniew. Przed oczami miał straszliwy los pierwszej wyprawy z Dunstone.

–Jak na osobę tak inteligentną, zrobiłeś rzecz idiotyczną, Charley-mon.

–Wcale nie idiotyczną. Przekalkulowałem sobie ryzyko. Jeżeli Halidon zdecyduje się na kontakt, na mocy samych symbolicznych oznaczeń z dokumentów Piersalla, podejmie decyzję, dopiero kiedy się dowie od nas czegoś więcej. Zacznie się rozpytywać, szukać informacji, zorientuje się, że i ja należę do wyprawy. Starszyzna Halidonu na pewno zna moje osiągnięcia, wiedzę, wkład do historii Jamajki. Te argumenty powinny przeważać.

Alex zerwał się z krzeselka i cichym, jadowitym głosem wycedził:

–Ty egoistyczny skurwysynu! Nie przyszło ci czasem do głowy, że tamci mogą znać twoje... pozostałe osiągnięcia i mogą mieć co do nich własne zdanie? A kiedy je wyrażą, zmienisz się w pokarm dla robaków?

–To niemożliwe!

–Co za zarozumiałe kutas! Nie będę narażał życia całej wyprawy tylko przez to, że wyobrażasz sobie Bóg wie co na własny temat. Potrzebna nam teraz ochrona i zaraz ją sprowadzę!

Ktoś zaszurał u wejścia do namiotu. Whitehall i McAuliff podskoczyli i spojrzeli na brezentową klapę. Brezent rozchylił się i do środka wtoczył się powoli czarny rewolucjonista Lawrence z rękami skrępowanymi sznurem. Za Lawrence'em szedł inny Murzyn: tragarz, Marcus Hedrik. Lufę trzymanego w dłoni pistoletu wbijał w plecy jeńca. Kiedy się odezwał, uczynił to szeptem.

–Nie próbujcie sięgać po broń. I bez hałasu. A najlepiej nie ruszajcie się z miejsc.

–Kim jesteś? – zapytał McAuliff, zdumiony, że z głosu Hedrika zniknął głuchy, niepewny ton wiejskiego głupka, słyszany przez cały tydzień.

–To na razie mało ważne.

–Garvey! – wyszeptał Alex. – Garvey sam mi to mówił! Mówił, że kręci się koło nas ktoś jeszcze, ale nie wiedział kto. Jesteś z wywiadu brytyjskiego, tak?

–Nie – sprostował Marcus Hedrik z cieniem uprzejmości w głosie. - Z wywiadu byli dwaj z waszych pomocników. Już nie żyją. A co do tego grubasa Garveya, miał na szosie do Port Maria wypadek. Śmiertelny.

–W takim razie...

–Od tej pory, McAuliff, to ja będę zadawał tu pytania. Pytam więc was obu, jako... nowych wyznawców... Mówcie, co wiecie o Akabie.

Rozmawiali przez kilka godzin. McAuliff dobrze wiedział, że dzięki temu udało się na jakiś czas ocalić wszystkim życie. W którymś momencie przerwało im wejście Sama Tuckera. Sam wycofał się jednak, widząc w oczach McAuliffa błaganie, by nie wtrącać się w sytuację. Tucker mruknął więc tylko, że będzie przy Alison i spodziewa się przed snem zamienić słowo z McAuliffem, po czym wyszedł. Nie zauważył skrępowanych dłoni siedzącego w ciemnym kącie Lawrence'a, za co McAuliff był szczerze wdzięczny losowi.

„Tragarz” nie nażywał się wcale Marcus Hedrik. Prawdziwych braci Hedrików udało się usunąć. Dokąd i w jaki sposób, nie miało znaczenia – tak przynajmniej twierdził bezimienny Halidonita. Podstawowe znaczenie miała inna sprawa: to, gdzie znajdują się dokumenty Piersalla.

Zawsze trzeba zatrzymać coś w zanadrzu... Jako ostateczny argument. Słowa R.C. Holcrofta.

Dokumenty.

Fortel McAuliffa.

Halidonita z ogromną cierpliwością badał każdy szczegół relacji Piersalla streszczonej mu przez Charlesa Whitehalla. Naukowiec opisał historię sekty Akaby, lecz nie wyjawiał, że zna *nagarro*, czyli prawdziwe znaczenie Halidonu. „Tragarz” nie przytakiwał ani się nie sprzeciwiał. Jego zadaniem było wyciągnąć jak najwięcej. Jako śledczy okazał się spostrzegawczy i ostrożny.

Kiedy upewnił się, że Whitehall nic mu już więcej nie powie, kazał mu pozostać w namiocie razem z Lawrence'em. Mieli się stamtąd nie ruszać pod groźbą zastrzelenia. Drugi „tragarz” stał na warcie za namiotem.

Halidonita dobrze wiedział, jak nieprzejednane stanowisko zajmuje McAuliff. Wypytywanie Amerykanina o cokolwiek nie miało sensu. W tym stanie rzeczy Murzyn wyciągnął pistolet i wyprowadził Alexa poza obozowisko. Kiedy wspinali się ścieżką w stronę górskich łąk, McAuliff zaczął powoli rozumieć, jak drobiazgowo są przygotowania Halidonu. Widział wprawdzie tylko ich drobną część, lecz i to wystarczyło. Prowadzący go pod lufą człowiek dwukrotnie kazał mu się zatrzymać i wydawał serię gardłowych papuzich krzyków. Ruszyli dalej, dopiero gdy doleciał ich odzew. Później Alex usłyszał szept porywacza:

–Obozowisko jest otoczone, McAuliff. Mamy gwarancję, że Whitehall i Tucker, nie mówiąc już o pomocnikach, dowiedzieli się o tym. Ptaki, które naśladujemy, nigdy nie krzyczą w nocy.

–Dokąd idziemy?

–Na umówione spotkanie. Z moim przełożonym. Proszę, chodźmy.

Wspinali się jeszcze przez dwadzieścia minut, aż do miejsca, gdzie zarośnięty dżunglą, podłużny pagórek wychodził nagle na otwartą przestrzeń. Górską łąką wyglądała jak przeniesiona tu z innego świata, sztuczny twór pośród wilgotnych lasów i stromych ścian masywu.

Tym razem księżyc nie przesłaniała ani jedna chmurka, toteż całą łąkę spowijało mętne żółtawe światło. W wysokich trawach czekali już dwaj ludzie. Gdy się zbliżyli,

Alex spostrzegł, że drugi z nich został parę metrów i odwrócił się plecami do nadchodzących. Drugi człowiek odsłonił twarz.

Halidonita, przed którym stał Alex, miał na sobie podarte ubranie, na które składała się także mundurowa kurta i buty wojskowe, nadające mu paramilitarny, choć niechlujny wygląd. U pasa leśnego żołnierza wisiała kabura pistoletu. Drugi mężczyzna, ten odwrócony plecami, spoglądał w inną stronę. Miał na sobie luźny kubrak, przewiązany zwykłym grubym sznurem.

Kapłan? Zamarły w transie?

–Niech pan siada na ziemi, McAuliff- rozkazał cudacznie umundurowany partyzant, tonem osoby nawykłej do wydawania poleceń.

Alex usłuchał. To, w jaki sposób się do niego zwracano, uzmysłowiło mu, że porywacze wiedzą o nim znacznie więcej niż on o nich.

Podwładny, który przyprowadził tu McAuliffa z obozowiska, podszedł do „kapłana” i wdał się z nim w cichą rozmowę. Rozprawiając tak, para ruszyła niespiesznie przez łąkę i prawie znikła w cieniach, sto metrów po drugiej stronie żółtej od księżyca równiny.

Po czym zastygła w miejscu.

–Proszę się nie odwracać, doktorze – rozkaz był nagły, a Murzyn, który stał przy Amerykaninie, trzymał dłoń na kaburze. Alex znów przysiadł twarzą w stronę skłonu dżungli, skąd przyprowadził go „tragarz”.

Oczekiwanie okazało się długie i pełne napięcia. McAuliff domyślał się jednak, że jego najpewniejszą bronią – być może jedyną skuteczną -jest chłodna determinacja.

Owszem, był zdecydowany na wszystko, ale o chłodzie trudno było marzyć.

Bał się dokładnie w taki sposób, w jaki doświadczał tego przedtem na azjatyckich wzgórzach. Bał się wówczas w samotności, niezależnie od liczby współtowarzyszy. Nadchodząca zagłada dotyczyła przecież tylko jego.

Gniazdo strachu.

–Nadzwyczajna historia, przyzna pan, doktorze McAuliff?

Ten głos. Boże! Gdzieś już słyszał ten głos.

Wsparł się na dłoniach i błyskawicznie odwrócił głowę w stronę, z której dobiegły go słowa.

Skroń w półobrocie zderzyła się z twardą stalą pistoletu, a przeraźliwy ból przeszył McAuliffowi całą twarz i klatkę piersiową. Przed oczami Alex ujrzał serię rozbłysków, zwłaszcza w sekundzie maksymalnego natężenia bólu.

Po chwili zamiast ukłucia czuł już tylko tępe łomotanie w skroni. Poczuł, że z szyi ścieka mu strużka krwi.

–Proszę się nie odwracać podczas rozmowy – pouczył go znajomy głos. Gdzie go usłyszał pierwszy raz?

–My się znamy.

–Pan mnie na pewno nie zna, McAuliff.

–Tak, ale słyszałem gdzieś pana głos... Tylko gdzie?

–W takim razie ma pan świetną pamięć. Tyle się wydarzyło od tamtej pory... Ale szkoda słów. Gdzie są teraz dokumenty Piersalla? Nie muszę panu tłumaczyć, że od

tej odpowiedzi zależy życie i pańskie, i ludzi, których pan sprowadził na Jamajkę.

–Skąd pan wie, że to istotne dokumenty? I skąd wiadomo, że nie zrobiłem kopii?

–Wiedziałbym od razu, że pan kłamie. Namierzyliśmy na tej wyspie wszystkie kserokopiarki, fotokopiarki, wszystkie sklepy, hotele i firmy, gdzie znajdują się takie urzędnicy. Tutaj, w Bueno, w Monte i w Ocho Rios. Nie robił pan żadnych kopii.

–Więcej bystrości, panie „Halidonie”... Bo chyba tak powinienem się do pana zwracać, co? – Wobec braku odpowiedzi Alex podjął kwestię: – Sfotografowaliśmy te papiery.

–W takim razie nie wywołaliście filmów. Jediną osobą w wyprawie, która ma sprzęt fotograficzny, jest ten chłopiec, Ferguson, a jemu raczej trudno zaufać... Ale nie o to chodzi, doktorze. Kiedy mówimy o dokumentach, mamy na myśli za równo oryginały, jak i wszystkie kopie. Gdyby materiał dostał się do wiadomości publicznej... teraz czy w przyszłości, nieważne... Skutkiem byłaby prawdziwa rzeź niewiniątek. Zginęliby pana koledzy z wyprawy, ich rodziny, dzieci... Wszystkie bliskie osoby. Perspektywa okrutna i łatwa do uniknięcia.

Targować się trzeba do końca. R.C. Holcroft.

–Ale byłby to ostatni wyczyn Halidonu, może nie? – McAuliff wypowiedział te słowa powoli, lecz ostrym tonem, sam zaskoczony własnym opanowaniem. – Coś w rodzaju... brawurowego gestu tuż przed zagładą. Jeżeli na tym panu zależy, guzik mnie obchodzi, co zrobicie.

–Ejże! Hola, McAuliff! – rozmówca podniósł nagle głos, a jego ostry krzyk rozniósł się ponad szczytami ostrych traw, znikając echem w otaczającej łąkę dżungli.

Te same słowa... McAuliff słyszał już dokładnie te same słowa!

Ejże! Ejże, dość tego...!

Gdzie to było? Boże, gdzie wypowiedziano te słowa?

McAuliff wyteżył pamięć. Obrazy, jakie ujrzał przed oczami, roily się od kolorowych plam i za nic nie dawały się wyostrzyć.

Murzyn. Wysoki, gibki i muskularny... Posłuszny cudzym rozkazom. Wydający rozkazy, ale nie we własnym imieniu. Głos, który rozległ się tuż nad uchem, wypowiedział już te same słowa w przeszłości... Przekazując polecenie. I tak samo jak dziś, wśród paniki...

Kiedy to było?

–Mieliśmy porozmawiać. Dla mnie pogróżki to dość jednostronny typ konwersacji. Grozicie mi to tym, to owym, a ja chcę porozmawiać. Umówmy się, że nie stoję po niczyjej stronie. Chciałbym, żeby wasi... zwierzchnicy dowiedzieli się o tym.

Alex wstrzymał oddech, wsłuchiwał się w ciszę, jaka zapadła. W niegłośnej odpowiedzi zauważył pewną władczość, przemieszana jednak z lekkim odcieniem lęku.

–Może pan sobie nie zawracać głowy „zwierzchnikami”. Zaczynam tracić cierpliwość. Mieliśmy ostatnio trudne dni... Musi pan sobie uświadomić, że tu chodzi o pańską głowę.

Mężczyzna z pistoletem przesunął się w bok, na tyle że McAuliff widział go kąciakiem oka. Widok upewnił go, że znalazł się na właściwym tropie. Mężczyzna

odwrócił prędko głowę, sprawdzając, co się dzieje z „kapłanem”. Murzyn z pistoletem w ręce kwestionował zasadność słów postaci w kubraku.

–Jeśli mnie zabijecie... Mnie, czy kogokolwiek z wyprawy, prawda o Halidonie wyjdzie na jaw w ciągu paru godzin.

Znów milczenie. Znów władczość w głosie i ten sam, ledwo wyczuwalny strach.

–W jaki mianowicie sposób chce nas pan tak świetnie zdemaskować, doktorze?

Alex po cichu westchnął i prawą ręką ścisnął swój lewy nadgarstek. Wbijając sobie paznokcie w ciało ciągnął najspokojniej jak mógł:

–W moim sprzęcie znajduje się nadajniczek radiowy. Typowe urządzenie, z tym że częstotliwości nie da się zagłuszyć. Skuteczny w promieniu czterdziestu kilometrów. Co dwanaście godzin wysyłam jeden z dwóch umówionych sygnałów. Dioda na nadajniku zapala się na potwierdzenie, że sygnał został odebrany, a miejsce transmisji określono na mapie. Pierwszy sygnał mówi, że wszystko w porządku, nic nowego. Z drugim inna sprawa, bo kiedy go nadam, ci przy odbiorniku mają zrobić dwie rzeczy; wysłać dokumenty z wyspy i przysłać do obozowiska pomoc. Brak sygnału jest równoznaczny z wysłaniem tego drugiego, tylko działać trzeba jeszcze szybciej. Ostrzeżenie trafia do wszystkich oddziałów w Kingston, łącznie z wywiadem brytyjskim. Będą musieli się włączyć w to wszystko. Zaczną poszukiwania od miejsca ostatniej transmisji i przeczeszą teren. Cały Cock Pit zarozi się od samolotów i oddziałów wojska. Dlatego lepiej będzie umożliwić mi nadanie sygnału. i jeszcze coś, panie „Halidon”. Przy nadawaniu nie będziecie nawet w stanie sprawdzić, który sygnał wysyłam, ten pierwszy czy ten drugi. – McAuliff zawiesił głos dokładnie na trzy sekundy i cicho dodał: – Szach i mat, czarne oddają partię.

Z oddali dobiegło ich skrzeczenie papugi ary. Ktoś lub coś spłoszyło stadko dzikich świń w gęstwinie tropikalnego lasu. Ciepły powiew przygiął kity wysokich traw. Zewsząd dolatywało cykanie świerszczy. Zmysły McAuliffa chłonęły wszystkie te sygnały, na które nakładał się wyraźny, drżący oddech słyszalny w ciemności za plecami. McAuliff wyczuł najpierw, nim usłyszał gniewny skrzek bezsilnej furii.

–*Mon*, nie! – wykrzyknął człowiek z pistoletem i rzucił się w stronę McAuliffa. Alex posłyszał jednocześnie szum rozcinanego powietrza i szelest ubrania, zwiastujący cios w plecy. Za późno, by się odwrócić. Sprężył się tylko i przylgnął do ziemi.

Ktoś rzucił się, by powstrzymać „kapłana” w skoku. Dwie skłębione postaci zwały się McAuliffowi na plecy, wywijając rękami i zaciskając palce. Poczul na sobie dotyk twardej stali, ubrań i ciepłych ciał, więc wyciągnął na oślep dłoń i chwytając nią przeciwnika, podciągnął się z całej siły i odtoczył w bok.

„Kapłan” przeskoczył nad nim. Alex skorzystał z tego, skulił się i pomagając sobie kolanem złapał go za gruby kaftan. Udało mu się przydusić „kapłana” do ziemi, lecz natychmiast złapano go pod ramiona i odciągnięto z taką siłą, że zabolalo go w krzyżu.

Dwaj Halidonicy wykręcili mu boleśnie ręce i przygnietli do ziemi, a ten z pistoletem zbliżył się i dźgnął go lufą w skroń, rozcinając skórę.

–Wystarczy tego, *mon*.

Księżyc oświetlał wykrzywione z furii rysy „kapłana”, wciąż leżącego na ziemi.

McAuliff w jednej sekundzie połączył wszystkie oderwane obrazy i barwne plamy, które kojarzyły mu się nieodmiennie ze słowami „Ejże, dość tego”.

„Kapłana” Halidonu widział ostatni raz w Londynie, w Soho, wśród obłądnego transu „Sowy Świętego Jerzego”. Zamiast kaftana mężczyzna miał wówczas na sobie ciemny garnitur i nie zwijał się na ziemi, lecz wirował na tanecznym parkiecie. To właśnie on wołał do McAuliffa: „Ejże, *mon*, dość tego!” On też zdzielił Amerykanina pięścią w żołądek i zniknął w tłumie, aby godzinę później pojawić się w rządowym samochodzie, który uwiózł McAuliffa z budki na opustoszałej ulicy.

„Kapłan” Halidonu był agentem wywiadu brytyjskiego.

–Przedstawiał mi się pan jako „Tallon” – rzucił McAuliff, usiłując nie okazywać bólu. Dyszał ciężko, więc urywanym głosem ciągnął: – Tak mi się pan przedstawił, nocą, w samochodzie. A kiedy nie uwierzyłem, powiedział mi pan, że to tylko... Taki sprawdzian...

„Kapłan” przetoczył się na bok i powoli pozbierał się z ziemi. Skinieniem głowy kazał dwójce Murzynów rozluźnić uchwyt i zwrócił się do nich:

–Wiedzieliście, że nie chcę go zabić. Wiedzieliście.

–Ale wpadłeś w złość, *mon* - przerwał ten, który zabrał McAuliffa z obozu.

–Wybacz nam, ale nie było rady – dodał ten drugi, ten sam, który przed chwilą krzyknął i rzucił się na „kapłana”.

„Kapłan” wygładził na sobie szatę i ścisnął sznur, którym obwiązał się w pasie. Pod adresem McAuliffa zaś szepnął:

–Ma pan doskonałą pamięć, doktorze. Oby tylko okazał się pan równie bystry w decyzjach.

–Gzy to znaczy, że będziemy rozmawiać?

–Rozmawiamy.

–Cholernie mnie bolą ręce. Może powie pan swoim ludziom, żeby mnie puścili?

„Kapłan” znów skinął głową i strzelił palcami. Murzyni puścili McAuliffa, który wciąż leżąc zaczął sobie rozcierać ręce.

–Moi ludzie, jak ich pan nazwał, okazali się mniej nerwowi ode mnie. Powinien być im pan wdzięczny.

Ten z pistoletem potrząsnął głową i głosem pełnym respektu sprostował:

–Wcale nie, *mon*. Sam powiedz, kiedy ostatnio spałeś?

–Nieważne kiedy. Powinienem bardziej nad sobą panować. Mój przyjaciel chciał przez to powiedzieć, że ostatnich kilka tygodni było piekłem. Nie tylko musiałem się wydostać z Anglii myśląc służby Jej Królewskiej Mości, ale na dodatek musiałem jeszcze wydostać z tamtego kraju kolegę, tego, który zniknął za kierownicą bentleya. Na szczęście Jamajczyk znajdzie w Londynie tysiąc kryjówek. Alex doskonale pamiętał tamte sekundy.

–Ten sam bentley o mało mnie nie rozjechał. Kierowca próbował mnie zabić. Zginął jednak ktoś inny... Z powodu głupiego neonu.

„Kapłan” przyglądał się McAuliffowi bez słowa. Widać było, że i on doskonale pamięta wszystko, co się wówczas wydarzyło.

–Tragedia zapętlila się sama, w ułamku sekundy. Zastawiliśmy pułapkę, ale

sprężyna zablokowała się w ostatniej chwili.

–Tamtej nocy zginęła trójka ludzi. Dwóch otruło się cyjankiem...

–Zrobili, co do nich należało – przerwał Halidonita i pod adresem swoich kom panów odezwał się już ciszej: – Zostawcie nas na chwilę samych.

Obaj Murzyni pomogli McAuliffowi wstać i ostrzegawczo odbezpieczając broń oddalili się nieco, posłuszni rozkazom. McAuliff śledził wzrokiem parę uzbrojonych obdartusów, z których strojem kontrastowały wojskowe kurtki i pasy.

–Nie dość, że wykonują rozkazy, to jeszcze pilnują, żeby ich dowódca nie palnął głupstwa.

„Kapłan” również odprowadził wzrokiem dwójkę podwładnych.

–Za młodu każdy z nas przechodzi wiele rozmaitych prób. Każdemu też przydziela się dziedzinę działań i obarcza odpowiedzialnością za ich skutki. Często myślę, że łatwo przy tym o straszliwe pomyłki. – Halidonita szarpnął za poję kaftana i odwrócił się do McAuliffa. – Cóż, trudno, musimy się do siebie przyzwyczaić. Domyślam się, że zdążył mnie pan zaliczyć do tymczasowych współpracowników MI-5.

–Słuszniej byłoby pana nazwać wtyczką.

–I to doskonałą wtyczką, doktorze. Holcroft dwukrotnie wysunął mnie osobiście do awansu. Byłem u niego jednym z najlepszych specjalistów od Indii Zachodnich. Sam nie miałem ochoty odchodzić. Niestety, pan i ci, którzy panem manipulują, zmusiliście mnie do tego.

–W jaki sposób?

–W pana badaniach kryło się zbyt wiele niebezpiecznych czynników. Z kilkoma dalibyśmy sobie jakoś radę, ale kiedy się okazało, że pana najbliższy współpracownik z ekipy geologicznej – mam na myśli Tuckera – to najwyraźniej przyjaciel Waltera Piersalla, wiedzieliśmy, że trzeba pana wziąć pod lupę. Teraz stało się oczywiste, że wpadliśmy na to za późno.

–A inne czynniki?

Murzyn w kaftanie zawahał się i dotknął czoła, które rozciął sobie padając w ostrą trawę.

–Znajdzie pan dla mnie papierosa? Ten kaftan jest szalenie wygodny, ale ma jedną wadę: nie posiada kieszeni.

–Dlaczego pan go nosi w takim razie?

–Jak to dlaczego? Jako symbol władzy.

McAuliff wyjął z kieszeni paczkę papierosów i wytrząsnął jeden dla Halidonity. W płomyku zapalniczki przekonał się, jak zwiotczała z wyczerpania wydaje się skóra wokół oczu Murzyna.

–O jakich niebezpiecznych czynnikach mowa?

–Bez żartów, doktorze. Wie pan, o czym mówię, równie dobrze jak ja.

–Wiem albo i nie wiem. Proszę mnie oświecić. Czy może i to będzie zbyt niebezpieczne?

–Teraz już nie. Sprawy zaszły zbyt daleko. Niebezpieczna jest teraz rzeczywistość. Tak jak rzeczywistością stały się dokumenty Piersalla. „Czynniki”, o których była mowa, przestały mieć znaczenie.

–W takim razie słucham.

„Kapłan” zaciągnął się dymem i wydmuchnął go żółtą mgławicą.

–Kobieta, wie pan, o kogo chodzi. Na kontynencie jest wielu takich, którzy się jej boją. Między innymi ludzie z hierarchii Dunstone Limited... Markiz de Chatellerault. Tam, gdzie pojawi się ona, idą zaraz służby specjalne. Dalej, ten pański chłopiec, Ferguson. Zamieszany po uszy w machinacje Crafta. Craftowie boją się go z jakiejś przyczyny. Albo bali się i mieli rację. Ferguson nie umiał zrozumieć, jaką katastrofę może spowodować swoimi badaniami nad włóknem barakao.

–Myślę, że to rozumiał – przerwał Alex. – Rozumiał i rozumie. Zdaje się, że próbuje wycisnąć z Craftów pieniądze.

–Nigdy do tego nie dopuszczają. – Halidonita zaśmiał się cicho.

–Niemniej Ferguson to kolejny czynnik. Gdzie stoją Craftowie? Czy współpracują z Dunstone? We wszystkim, co dzieje się na Jamajce, macza palce fundacja Crafta... O Samuelu Tuckerze już wspominałem. Ten jego związek z tak nagle aktywnym Piersallem... Kto wydawał im polecenia? Czy Tucker przybył na wyspę na prośbę McAuliffa, starego kumpla? A może ściągnął go nowy kumpel? A może był to czysty przypadek?

–Owszem, przypadek – potwierdził McAuliff. – Wystarczy znać Sama, żeby odrzucić inne możliwości.

–Sam pan jednak rozumie, że go nie znamy. Przekonaliśmy się za to, że jedną z pierwszych osób, do jakich tu zadzwonił, jest nasz główny przeciwnik... Ktoś, kto spacerował po Kingston, mając w głowie, a i na papierze, tajemnicę sprzed dwustu lat.

„Kapłan” spojrzał na McAuliffa. W świetle księżyca widać było w tym wzroku błaganie, by Alex zrozumiał wszystkie okoliczności. Murzyn opuścił oczy i ciągnął:

–Wreszcie Charles Whitehall. Czynnik bardzo... naprawdę bardzo niebezpieczny i nieobliczalny. Musiałby pan poznać jego życiorys. Holcroft zna go na pewno. Whitehall uznał, że na Jamajce wybiła jego godzina. To oszołomiony fanatyk, mistyk, czarnoskóry Cezar, który na plecach innych czarnuchów chce przedefilować przez Park Wiktorii w triumfie nad Pompejuszem. Whitehall ma zwolenników na całej wyspie. Jeżeli ktoś ma szansę zdemaskować tych z Dunstone, rozmyślnie albo i niechcący, to właśnie Whitehall i jego falanga.

–Holcroft nie miał o tym pojęcia – sprzeciwił się Alex. – Oświadczył mi jasno, że tylko wy... to znaczy tylko Halidon... ma szansę powstrzymać Dunstone.

–Holcroft to stary praktyk. Umie rozniecić wewnętrzny chaos, bo wie, że pośród chaosu najłatwiej mu będzie zadać decydujący cios. Nie zdziwi pana wiadomość, że Holcroft jest teraz w Kingston?

Alex zastanawiał się chwilę.

–Sama wiadomość nie... Dziwi mnie tylko, że się ze mną nie skontaktował.

–Ma swoje powody. Nie chce, żeby zwracał się pan do niego o pomoc. Zależy mu, żeby przeciwnicy nadal dążyli do starcia. Przyleciał na Jamajkę po tym, kiedy się okazało, że Chatellerault jest w Savanna-la-Mar... Ale o tym ostatnim wie pan od dawna.

–Holcroft też się dowiedział o markizie tylko dzięki temu, że zawiadomiłem Westmore'a Tallona.

–Poza tym są jeszcze Jensenowie. Czarująca i oddana para naukowców. Tacy zwyczajni, sympatyczni, no, jednym słowem... Informują Juliana Warfielda o każdym pańskim kroku, o każdej rozmowie. Przekupują Jamajczyków, żeby szpiclowali pana... Wiele lat temu Jensenowie popełnili straszliwy błąd;. Dunstone Limited wyratowało ich i zaprzęło do współpracy. W zamian za wymazanie błędu z pamięci.

McAuliff zapatrzył się w czyste nocne niebo. Pojedynczy, podłużny obłok sunął od strony dalekiego szczytu górskiego ku tarczy księżyca. Czy opar rozwieje się, zanim dosięgnie satelity i zasłoni jego blask? Czy zamąci jasną poświatę?

Tak jak zamąciły się myśli McAuliffa?

–Mamy więc nasze czynniki – zaczął trochę bez celu Alex. – Halidon wie najwięcej ze wszystkich. Na to wygląda. Nie wiem, co się kryje za tym faktem.

–Tylko tyle, doktorze, iż po kryjomu pielęgnujemy tę wyspę.

–Nie przypominam sobie, żeby ktoś was wybierał. Kto powierzył wam taką misję?

–Cytując amerykańskiego pisarza: „prawo nabywa się wraz z ziemią”.

Dziedziczymy to prawo, z tą różnicą, że nie nurkujemy w wodach polityki. Zostawiamy to naszym demokratycznie wybranym konkurentom. Staramy się za to, żeby wody, o których mowa, pozostały czyste. – „Kapłan” dopalił papierosa i rozgniół niedopałek podeszwą sandała.

–Mordujecie ludzi – poprawił go McAuliff. – Słyszałem o tym. Myślę, że jesteście ostatnią grupą, której wypada mówić o czystości.

–Ma pan na myśli poprzednią wyprawę z Dunstone?

–Dokładnie.

–Nie zna pan okoliczności sprawy. A ja nie przyszedłem tu po to, żeby je panu opisywać, tylko po to żeby skłonić pana do wydania dokumentów.

–Tego nie zrobię.

–Dlaczego nie?! – krzyknął Murzyn z taką samą złością co poprzednio i wbił oczy o mrocznych oczodołach w twarz Alexa.

–*Mon?* - dobiegło ich z oddali. „Kapłan” machnął niecierpliwie ręką.

–Przecież to nie pańska wojna, McAuliff. Niech pan to zrozumie i zabiera się z wyspy. Proszę mi oddać dokumenty i zabierać się z tą wyprawą z Jamajki, zanim będzie za późno.

–Gdyby sprawa przedstawiała się tak prosto, dawno bym się zabrał. Nie mam ochoty brać się za wasze wojny, do diabła. Wcale mnie to nie pociąga... Ale nie uśmiecha mi się też wiecznie uciekać na drugi koniec świata przed zbirami Warfielda. Może teraz mnie pan rozumie?

„Kapłan” stał bez ruchu. Kiedy odezwał się, słowa popłynęły powoli i z ledwością dawały się usłyszeć:

–Ostrzegałem ich, że może się tym skończyć. Niech pan mi poda *nagarro*, doktorze. Jakie jest znaczenie Halidonu?

McAuliff wypowiedział trzy sylaby.

XXVI

Wrócili do obozowiska – McAuliff i tragarz, który przejął nazwisko i zajęcie Marcusa Hedrika. Nikt już niczego nie udawał. Kiedy zbliżali się do biwaku, w pierwszym brzasku sączącym się przez gęste listowie widzieli grupy Murzynów w podartych ubraniach. Światło rozbłyskiwało odbite od luf ich broni.

Obozowisko było otoczone, a mieszkańcy zmienili się w jeńców Halidonu.

Sto metrów przed polanką tragarz, który z pistoletem za pasem szedł teraz przed Alexem po wąskiej leśnej ścieżce, zatrzymał się i przyzwał patrol Halidonu. Uczynił to strzelając raz za razem palcami. Wreszcie spomiędzy drzew wychynął potężny Murzyn.

Obaj leśni ludzie naradzili się cicho. Patrol wrócił zaraz na stanowisko, a tragarz zwrócił się do McAuliffa:

–W obozie spokój. Doszło do bójki z Charlesem Whitehallem, ale braliśmy to pod uwagę. Ciężko zranił wartownika. Na szczęście w pobliżu czuwali inni. Związali go i zostawili w jego namiocie.

–A pani Booth?

–Ta druga kobieta? Jest z Samuelem Tuckerem. Jeszcze przed półgodziną spała... Gorzej z Tuckerem, nie chce spać, tylko siedzi przed namiotem ze strzelbą w rękach. W innych namiotach cisza. Niedługo wszyscy wstaną.

–Jeszcze jedno – zatrzymał tragarza McAuliff, zanim ten się odwrócił. – Co się stało z tymi arawackimi symbolami? Pułkownik Maroonów, czwórki, osiem dni i tak dalej?

–Zapomina pan o czymś, doktorze. To ja zaprowadziłem Charley-mona do wioski. Posłaniec nie wybrał się wcale do Pułkownika Maroonów. Odpowiedź pochodziła od nas. – Tragarz uśmiechnął się, odwrócił i wskazał gestem, by Alex wyszedł w ślad za nim na polankę.

Pod czujnym okiem tragarza McAuliff odczekał, aż zaświeci się biała dioda mikronadajnika. Potem delikatnie przycisnął guziczek nadawania, zasłaniając pokrętką lewą ręką. Zdawał sobie sprawę, że jest to próżny gest, nie miał przecież zamiaru wzywać pomocy przez radio i zapełniać kolejnych częstotliwości ostrzegawczym zewem. Powiedziano mu jasno i wyraźnie, że na pierwszą oznakę zbliżania się obcych sił wszyscy uczestnicy wyprawy dostaną kulkę w łeb. Pierwsi zginą Alison Booth i Sam Tucker.

Pozostałe wskazówki również nie pozostawiały wiele wątpliwości. Sam Tucker miał odtąd co dwanaście godzin wysyłać sygnał, że wszystko jest w porządku. Eskortowanego przez tragarza Alexandra czekała powrotna droga na łąki, skąd „kapłan” miał go zabrać do osiedla Halidonu. Do powrotu McAuliffa wszyscy uczestnicy wyprawy stawali się zakładnikami.

Prawdę mieli poznać tylko Alison, Sam, Charles Whitehall i Lawrence. Reszta, czyli Jensenowie, James Ferguson i czarni pomocnicy, mieli tkwić w nieświadomości. McAuliff obmyślił na ich użytek wyjaśnienie, łatwo zrozumiałe dla zawodowych poszukiwaczy: w nocy nadszedł via Falmouth radiogram z Kingston. Ministerstwo wzywało McAuliffa w ważnej sprawie do Ocho Rios. Powodem były

„nowe komplikacje w Instytucie Jamajskim”. Szefowie wypraw przywykli do takich sytuacji, toteż nikt się nie zdziwił, że biurokratyczne omyłki mogą udaremnić nawet pracę w terenie.

Alex obruszył się, kiedy „kapłan” zapowiedział, że nieobecność w obozie może potrwać pełne trzy doby, i zażądał wyjaśnień.

–Nie mogę panu odpowiedzieć, McAuliff.

–Mam się zgodzić na ślepo, tak?

–Chodzi o głupie trzy dni. Poza tym sam pan powiedział, że... szachujemy się nawzajem, czarne i białe, prawda? Obawiamy się zdemaskowania równie mocno, jak wy się obawiacie śmierci.

–Nie byłbym tego taki pewien.

–Bo nas pan nie zna. Proszę sobie uświadomić, że jest okazja zobaczyć coś nowego. Nie pożałuje pan.

–Kazano panu zażądać ode mnie trzech dni?

–Tak jest.

–Mogłoby stąd wynikać, że ten, kto wydał takie polecenie, liczył, iż doprowadzi mnie pan na miejsce spotkania?

–Istnieje taka możliwość.

Alexander machnął ręką i zgodził się na trzydobowy termin.

Czarny rewolucjonista Lawrence wcierał maść penicylinową w obnażone plecy czarnego faszysty Whitehalla. Cięte rany, jakie pozostawił sznur, były głębokie. Ci, którzy wysmagali *Charley-mona*, musieli to uczynić z zaciekłym zaślepieniem. Po rozmowie z McAuliffem obu Murzynom zdjęto pęta na rękach i nogach.

Alexander dał im obu jasno do zrozumienia, że nie zezwala na dalsze wyskoki. Pucz i rewolucję Murzyni muszą odłożyć na inną okazję.

–Twoja bezczelność nie mieści się w głowie, McAuliff! – sapnął Whitehall i skrzywił się z bólu, gdyż Lawrence dotknął szczególnie obolałej rany.

–Chylę czoło przed tą uwagą. Mam w końcu do czynienia z koneserem bezczelności.

–Przecież ty nie masz pojęcia, jak postępować z tymi ludźmi! A ja, pomyśl tylko, całe życie odkopuję kolejne warstwy historii Jamajki, Karaibów!

–Niezupełnie całe życie, *Charley-mon* – spokojnie, lecz złośliwie przerwał Alex. – Rozmawialiśmy o tym w nocy. O drobiazgu, jakim jest twoja działalność pozanaukowa. „Czarnoskóry Cezar, który na plecach innych czarnuchów chce przedefilować przez Park Wiktorii w triumfie nad Pompejuszem...”

–Co takiego?

–Powtarzam tylko, co słyszałem, *Charley-mon*.

Lawrence wcisnął nagle pięść w pręgę rany na ramieniu Whitehalla. Naukowiec wygiął plecy w łuk w paroksyzmie bólu. Drugą rękę Lawrence trzymał tuż przy gardle Whitehalla. Zamarli tak na sekundę, po czym Lawrence szepnął:

–Nie będziesz jeździł na plecach czarnuchów, *mon*. Masz chodzić na nogach, jak wszyscy.

Charles Whitehall obejrzał się przez ramię, zażawionym wzrokiem taksując

potężną, ciężką pięść gotową do ciosu.

–Nie wiesz, co mówisz, głupku. Myślisz, że jakikolwiek rząd popierany przez ludzi z majątkiem będzie tolerował takich jak ty? Załatwią cię w minutę, egalitarna hieno. Zmiażdżą cię.

–A ty może nie chcesz nas zmiażdżyć, *mon*?

–Jeśli czegoś chcę, to dobra Jamajki. To jest dla mnie cel, któremu wszyscy mają służyć.

–Prawdziwa dobra wróżka – skomentował słowa Whitehalla Alex, podchodząc do pary Murzynów.

Lawrence łypnął na McAuliffa z mieszaniną podejrzliwości i posłuszeństwa, cofnął dłoń i znów wziął do ręki maść penicylinową.

–Włóż koszulę, *mon*. Plecy opatrzone – oświadczył pod adresem Whitehalla, zakręcając tubkę.

–Za parę minut muszę się zbierać – rzekł McAuliff, stając przed Whitehallem. – Obozem kieruje odtąd Tucker. Masz robić wszystko, co ci każe. O ile to możliwe, macie kontynuować pomiary. Halidon usunie się w tło, przynajmniej na użytek Jensenów i Fergusona.

–A to jakim cudem? – zapytał Lawrence.

–Prosta sprawa – zaczął tłumaczyć Alex. – Peter prowadzi wiercenia, szuka osadów gazonośnych o dwa i pół kilometra na północny zachód od obozu. Ruth pracuje na wschód od niego w odkrywcę skalnej. Towarzyszy jej tragarz, który się podawał za Justice'a Hedrika. Ferguson idzie na drugi brzeg rzeki, będzie badał zagajniki paproci. Cała trójka pracuje osobno, wszystkich można mieć na oku.

–A co ze mną? – zapytał Whitehall, zapinając kolejno guziki drogiej, bawełnianej koszuli safari, jak gdyby stroił się na koncert w Covent Garden. – Jakie propozycje masz dla mnie?

–Ty musisz tkwić w obozie, Charley-*mon*. Dla własnego dobra. Nie próbuj się stąd wymknąć. Nie biorę wtedy za ciebie odpowiedzialności.

–Wyobrażasz sobie, że coś tu jeszcze od ciebie zależy, McAuliff?

–Owszem, zależy. Tamci boją się mnie tak samo jak ja ich. Nie próbuj naruszyć tej równowagi. Ty też nie, Lawrence. Parę lat temu pochowałem na Alasce człowieka z mojej wyprawy. Zapytajcie Sama, może poświadczyć, że umiem w razie czego odmówić modlitwę nad grobem.

Alison stała nad rzeką, zapatrzona w nurt. Ciepło porannego słońca zaczynało budzić leśnych śpiochów. Spośród drzew dobiegały odgłosy walk, poszukiwań, starć latających i pełzających stworzeń. Zielone liany zwieszające się z wysokich palm makka lśniły od rosy. Paprocie, mech i łopiany zbitą masą obrastały niespieszną wodę dopływu Martha Brae, Rzeka miała niebieskawozieloną barwę jasnego poranka.

–Szukałem cię w namiocie – zaczął McAuliff, podchodząc do dziewczyny. – Dopiero Sam powiedział, gdzie cię szukać.

Alison odwróciła się z uśmiechem.

–To nie była niesubordynacja, kochanie. Naprawdę nie próbowałam uciekać.

–Bo nie ma dokąd... Tutaj będziesz bezpieczna... Muszę iść, tragarz już czeka.

Alison przestąpiła dwa kroki i stanęła twarzą w twarz z Alexem. Jej słowa były niewiele głośniejsze od szeptu.

–Coś ci wyznam, panie Alexandrze T. McAuliff. Bez łez, dramatów i teatralnych chwytów, bo to tylko protezy... A my umiemy chodzić na własnych nogach. Sześć tygodni temu, owszem, uciekałam. Byłam zrozpaczona i ze wszystkich sił próbowałam sobie wmówić, że znajdę wybawienie w ucieczce. W głębi serca wiedziałam cały czas, że to absurd, ale dopiero w Kingston zrozumiałam, jak wielki absurd. Tamci mogą nas znaleźć, gdzie tylko zechcą. Mają komputery, banki danych, przekłete elektroniczne sidła w piwnicach i tajnych pokojach. Są bardzo dokładni i dla tego można sobie wybić z głowy, że się zacznie nowe życie, gdzieś daleko... Zawsze będziemy się bali... Wydaje mi się, że sam jeszcze nie bardzo to rozumiesz i dlatego to, co robisz, jest takie słuszne. „Załatw tamtych, zanim tamci załatwią ciebie”. Sam mi tak powiedziałeś. Dla mnie jest to straszne myślenie. Straszne, ale jedyne, które nam pozwoli jeszcze kiedyś żyć.

McAuliff pogładził Alison po twarzy. Nie pamiętał jeszcze, by oczy dziewczyny mogły być aż tak błękitne.

–Brzmi to prawie jak oświadczyzny.

–Nie mam wielkich potrzeb, nie lubię wielkich słów. Oprócz tego, jak sam zauważyłeś, jestem cholernie dobrym fachowcem.

–McAuliff i Booth, Poszukiwania Geologiczne. Firma z siedzibą w Londynie i Nowym Jorku. Nawet niezły szyld.

–Nie wolałbyś nazwy Booth i McAuliff? Wiesz, w porządku alfabetycznym...

–Jednak nie – sprzeciwił się łagodnie Alex i objął dziewczynę.

–Czy ludzie zawsze wygadują głupstwa, kiedy się boją? – zapytała, przytulając policzek do piersi Alexa.

–Pewnie że tak.

Peter Jensen wsunął rękę do wypchanego plecaka i zaczął grzebać w miękkich warstwach ubrań. Worek był tak wypchany, że skrzywił twarz z wysiłku, wyciągając poszukiwany przedmiot.

Parabellum. Owinięte w plastik, z tłumikiem również w plastiku, przywiązane do lufy.

Ruth stała u wejścia do namiotu, rozchylając materiał na tyle, by obserwować teren. Peter odwinął obie części broni, a tłumik schował do kieszeni bluzy. Nacisnął sprężynę, wysunął magazynek i z drugiej kieszeni wyciągnął pudełko naboji. Metodycznie zaczął je umieszczać jeden za drugim w magazynku, dopóki go nie wypełnił. Pierwszy nabój był gotów do wprowadzenia do komory. Jensen wsunął magazynek do kolby i nasadą dłoni wcisnął go do końca.

Ruth odwróciła się, słysząc metaliczny szczęk broni.

–Czy naprawdę inaczej się nie da?

–Niestety. Julian wyraził się jasno. To ja podsunąłem mu McAuliffa i tylko dlatego Julian się na niego zgodził. McAuliff nawiązał kontakt. Z kim? A może z czym? Zaraz się tego dowiem. – Peter rozchylił bluzę i wcisnął parabellum między trzy rzemyki, przszyte od spodu do podszewki. Zapiął guziki i wyprostował się. – No i jak,

dziewczynno? Widać, że coś sterczy?

–Nie.

–Doskonale. Może nie jestem aż tak zgrabny jak Whitehall w swoim mundurku, ale założę się, że mi wygodniej niż jemu.

–Będziesz na siebie uważał, prawda? Tam jest tak okropnie.

–Przynajmniej przydadzą się na coś te wszystkie biwaki, na które mnie ciągnęłaś. Teraz już wiem dlaczego. – Peter uśmiechnął się do żony i zaczął wiązać plecak. Upchał ciasniej zawartość i zaciągnął rzemienie. Jeszcze raz pociągnął za sznur wokół klapy i poklepał pękaty kształt. Na próbę podniósł plecak za stelaż i nonszalancko upuścił go na ziemię. – No, nareszcie! Zapasów wystarczy mi nawet na dwa tygodnie.

–Jak mam się dowiedzieć, co się dzieje?

–Zorientujesz się po tym, że nie wróciłem z tragarzem. Jak dobrze pójdzie, tragarz tak się wystraszy, że sam nie wróci do obozowiska.

Peter spostrzegł, że jego żonie drżą wargi, a w oczach czai się strach. Gestem przywołał ją do siebie, ale Ruth zamiast podejść, rzuciła mu się na szyję.

–O, mój Boże, Peter..

–Ruth, proszę cię, cicho! Cicho, przestań... – Poglądził ją po włosach. – Julian tyle dla nas zrobił. Sama o tym wiesz. Julian powiedział, że będzie nam bardzo dobrze w tym Peale Court. W Dunstone będą potrzebowali na Jamajce mnóstwa ludzi. Przydamy się.

Kiedy do obozu przyplątał się nieznajomy tragarz, James Ferguson od razu spostrzegł, jak wzburzony, a zarazem ciekawy stał się Marcus Hedrik. Ciekawość tę dzielali wszyscy. McAuliff wyruszył wczesnym rankiem w kierunku wybrzeża, więc było co najmniej dziwne, że tragarz nie napotkał go idąc wzdłuż rzeki. Murzyn upierał się jednak, że widział po drodze tylko miejscowych, tych z gór. Jedni polowali, drudzy łowili ryby, ale białego pośród nich nie było. Gdzie tam. Tragarza przysłało do obozu rządowe biuro zatrudnienia, a konkretnie oddział w Falmouth, gdzie dowiedziano się, że ekspedycji brakuje pomocników. Znał on okolice dopływu Martha Brae, gdyż wychował się w Weston Favel. Poza tym rwał się do pracy. Nie trzeba dodawać, że miał przy sobie niezbędne papiery, podpisane przez jakiegoś urzędniczynę z biura w Falmouth.

O wpół do trzeciej po południu Ferguson, który po południowej drzemce zwlekał się właśnie z polowego łóżka, gotów wyruszać w teren, usłyszał przed namiotem szelest. Podniósł głowę i przekonał się, że to nowy tragarz podnosi klapę i bezceremonialnie wchodzi do środka z plastikową tacą w rękach.

–Chwileczkę...

–Tylko pozbieram naczynia, *mon* - zatrajkotał Murzyn. – Sprzątam, sprzątam i sprzątam.

–Nie mam tu żadnych naczyń. To znaczy, znajdzie się parę szklanek do wypłukania...

Tragarz zniżył głos do szeptu.

–Mam nowinę dla Fergu-mona. Już daję. Pan szybko czyta.

Sięgnął do kieszeni i podał Fergusonowi zalepioną kopertę.

James rozerwał ją i wyciągnął pojedynczy arkusz papieru listowego z nadrukiem fundacji Crafta. Ferguson błyskawicznie spojrział na podpis. Ten znak umiano rozpoznać na całej Jamajce: bazgraninę Crafta seniora, częściowo emeryta, lecz nadal wszechpotężnego zarządcy olbrzymiego koncernu.

„Najtrudniej jest zasyłać przeprosiny z daleka, choć bywają one też najbardziej szczerze, tak jak w naszym przypadku.

Mój syn zachował się fatalnie, za co sam Pana także przeprasza, mówiąc nawiasem. Przeprosiny zasyła z południa Francji, gdzie pozostanie przez czas nieokreślony, choć na pewno długi.

Ale do rzeczy: Pański wkład w laboratoryjne studia nad włóknami barakao jest nieoceniony. Odkrycia, jakie Pan u nas poczynił, naszym zdaniem, mogą się przyczynić do prawdziwego przełomu w tej gałęzi przemysłu. Przełom ten chcielibyśmy przyspieszyć i w tym celu poprosić, by zechciał Pan wrócić do nas najszybciej jak to możliwe. Ma Panu nas zapewnioną przyszłość, zwłaszcza iż, mimo młodego wieku, chcemy Panu zaproponować wynagrodzenie godne pańskich niepospolitych zdolności. Od dziś może się Pan stać bogatym człowiekiem.

Najistotniejszy jest obecnie czas, toteż zalecam Panu jak najszybsze porzucenie wyprawy. Mój posłaniec objaśni Panu szczegóły tej może niekonwencjonalnej eskapady, lecz zapewniam od razu, że powiadomiłem Kingston o moich zamiarach, a władze przystały na nie całkowicie (barakao przysłuży się całej Jamajce). Zgodziliśmy się także z władzami, że nie ma potrzeby powiadamiać o tej sprawie doktora McAuliffa, kierownika wyprawy, który z racji swoich obowiązków sprzeciwiałby się zapewne takiej zmianie planów. W ciągu kilku dni do wyprawy dołączy nowy botanik, który zastąpi Pana w pracach terenowych.

Z przyjemnością czekam na odnowienie naszej znajomości.

Pański oddany przyjaciel,

Arthur Craft, senior”

James Ferguson zachłysnął się ze zdumienia i jeszcze raz przebiegł wzrokiem list. Udało się. Naprawdę się udało! Wszystko! Podniósł wzrok na tragarza, który uśmiechnął się i szepnął: – Ruszymy późnym popołudniem, *mon*. Jak się zacznie zmierzch. Wróć wcześniej z terenu. Spotkamy się nad rzeką i w drogę.

Rzekomy kapłan przedstawił się McAuliffowi tylko jako Malcolm. Maszerowali na południe serią ukrytych ścieżek, które wiły się między skalnymi obrywami, przechodziły przez głębokie groty, to znów niknęły w dżungli. Drugi Halidonita, ten w podartych łachmanach i kurtce mundurowej, szedł przodem, bez wysiłku odnajdując szlak ukryty w lesie i zamaskowane wejścia do długich, mrocznych tuneli skalnych, gdzie trwała odwieczna woń stojącej, podziemnej wody, a w świetle latarek błyskały w alabastrowej izolacji iglice stalaktytów u stropu.

McAuliff miał chwilami wrażenie, że schodzą tunelami do samych trzewi planety, lecz kiedy się wynurzali na powierzchnię, okazywało się, że są jeszcze wyżej niż przedtem: Jaskinie były geologicznym fenomenem, gdyż nieustępliwie wspinały się tunelami pod górę, dając świadectwo szalejącym niegdyś niewiarygodnym mocom wody i ognia. Górskie łańcuchy wynurzające się z oceanicznych rowów i uskoków ścierały się w wiecznej walce, by piąć się w górę, sięgając słonecznego żaru.

Dwukrotnie napotkali na swej drodze górskie osady, lecz okrążyli je szerokim łukiem, ścieżką po górskim grzebieniu przy krawędzi lasu. Malcolm za każdym razem wymieniał nazwę sekty i wyliczał wierzenia, które kazały obu grupom wycofać się ze świata i zamknąć w górskiej kryjówce. Z jego słów wynikało, że w całym Cock Picie można naliczyć dwadzieścia trzy odłamy plemienne, które wybrały życie w izolacji. Liczba musiała być jednak szacunkowa, bo w każdej grupie dochodziło nieustannie do buntów młodzieży, wśród której pokusy odkrywane podczas okresowych wędrówek na targowiska okazywały się silniejsze niż przekleństwo *obei*. Najdziwniejsze, że kiedy dana społeczność rozpadała się, czasem pociągając za sobą sąsiednie, na ich miejscu zaraz wyrastały nowe sekty i od nowa budowały swoje wioski.

– „Opium dla ludu” to często wybawienie od trudów i straszliwej pustki życia w nadmorskich miastach.

– W takim razie czymś trzeba zapełnić tę pustkę – zauważył Alex, który wciąż miał w pamięci obraz starej części Kingston, dzielnic szop z blachy falistej i bez pańskich, brudnych barek mieszkalnych, gdzie gnieździł się wykolejeńcy Dzielnica wychudzonych psów, kocich szkieletów, kobiet w nieokreślonym wieku, które w oczach miały już tylko odrętwienie, miasto bezzębnych mężczyzn, żebrzących o pieniądze na flaszkę wina i załatwiających potrzeby fizjologiczne w cieniach zaułka. Podczas gdy trzy ulice dalej jaśniały rzędami lustrzanych, kolorowych okien błyszczące, nieskazitelne banki.

Jasne, nieskazitelne i nieprzyzwoite w swym kontraście.

– Cóż, na pewno – odpowiedział Alexowi Halidonita. – Właśnie poczucie pustki najszybciej wykańcza tych ludzi, ale łatwo powiedzieć: „zapełnić”. Trzeba najpierw wiedzieć, czym. Tyle komplikacji.

Byli w drodze już od ośmiu godzin. Odpoczywali tylko po przejściu wyjątkowo trudnych odcinków dżungli, po stromych skalnych podejściach i marszach przez nie kończące się jaskinie. McAuliff oceniał, że od obozowiska uszli w głąb Cock Pitu najwyżej dwadzieścia siedem czy dwadzieścia dziewięć kilometrów, coraz bardziej

zdradzieckich i wyczerpujących.

Tuż po piątej, wysoko w górach łańcucha Flagstaff, dotarli do przełęczy i nagle ujrzeli przed sobą trawiasty płaskowyż, długi na osiemset metrów i szeroki najwyżej na czterysta. Z trzech stron otaczały równinę strome urwiska skalne. Malcolm skręcił na prawo, ku zachodniemu skrajowi płaskowyżu. Krawędź łąki opadała tu raptownie ku dżungli, najgęstszej i najbardziej nieprzebytej, jaką Alex widział w całym życiu.

–Nazywamy ten las Labiryntem Akaby – rzucił Malcolm widząc zdumioną minę Amerykanina. – Zapożyczyliśmy ten zwyczaj od starożytnych Spartan. Każdy chłopiec, który kończy jedenaście lat, zostaje sam pośrodku gąszczu i musi tam przeżyć cztery dni i cztery noce.

–Znowu czwórki – mruknął McAuliff, właściwie sam do siebie i zapatrzył się na zbitą, okrutną dżunglę u stóp. – Odyseja śmierci.

–Nie jesteśmy ani Spartanami, ani Arawakami – uspokoił go rozbawiony Malcolm. – Dzieci nie zdają sobie sprawy, że cały czas czuwamy nad nimi z ukrycia. No, chodźmy.

Wędrowcy odwrócili się i ruszyli ku przeciwnemu skrajowi płaskowyżu. Odchodząc, Alex rzucił przez ramię ostatnie spojrzenie na Labirynt Akaby.

Widok, jaki ujrzął po wschodniej stronie łąki, był zupełnie inny niż ten, który obserwował dotychczas.

U stóp płaskowyżu rozciągała się tam dolinka, długa na półtora kilometra i osiemset metrów szeroka, pośrodku której rozlewało się jezioro. Całą dolinę otaczały wzgórza, rosnące dalej w potężny masyw górski. Od północy kilka strumieni łączyło się w wodospad, który wysoką kaskadą spadał w dość szerokie i uregulowane rzeczne koryto.

Po drugiej stronie jeziora ciągnęły się pola – pastwiska, gdzie leniwie pasło się bydło. Oprócz krów widać było kozy, parę osiołków i kilka koni. Teren wykarczowano i obsiano trawą. Całe pokolenia temu, domyślił się McAuliff.

Po bliższej stronie jeziora, tuż przy krawędzi płaskowyżu, widać było strzechy chat, ocienione wysokimi puchowcami. Na pierwszy rzut oka musiało być tych chat siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt. Dachy ginęły prawie pośród drzew, splecionych pnączy i gęstego tropikalnego listowia, wypełniającego całą wolną przestrzeń karaibską obfitością barw. Alex pomyślał, że sama natura służy wiosce jako dach.

Wyobraził sobie zaraz, jak osada wygląda z powietrza – nie z miejsca, w którym stał i z którego mógł ją obserwować pod kątem, lecz z góry, z samolotu.

Wioska – jeżeli była to wioska – musiała z lotu ptaka przypominać zwyczajną górską osadę z kopulastymi strzechami i kręgiem pobliskich pastwisk. Różniło ją od podobnych osiedli położenie. Cała równina leżała w niecce, wysoko w górach. Ten odcinek łańcucha Flagstaff służył z ostrych prądów wznoszących i przeraźliwych turbulencji. Odrzutowce nie schodziły tu poniżej pułapu dwóch tysięcy metrów, a lekkie awionetki unikały przelotów w ogóle. Odrzutowce nie miały tutaj gdzie wylądować, a każdy lekki samolot niechybnie musiał się rozbić przy podejściu.

Całą osadę chroniły więc naturalna rzeźba okolicy i kręty szlak naziemny, niemożliwy do określenia na mapie.

–Niezbýt imponujący widok, co? – Przy Amerykaninie stanął Malcolm. Ogrodzonym ścieżką biegł w stronę jeziora sznur dzieci. Ich nawoływania dobiegały aż tutaj. Wokół chatki kręcili się mieszkańcy osady. Większe ich grupki przechadzały się wzdłuż strumienia, po ścieżce wiodącej do wodospadu.

–Bardzo tu... porządnie. – McAuliff nie umiał znaleźć lepszego określenia.

–A tak – zgodził się Halidonita. – Dbamy o porządek. Chodźmy do osady. Ktoś już czeka na pana.

Tragarz-przewodnik poprowadził ich w dół kamienistego zbocza. Po pięciu minutach stanęli całą trójką na zachodnim skraju krytej strzechą osady. Patrząc ze zbocza Alex nie był w stanie ocenić prawdziwej wysokości drzew, jakie obrastały prymitywne zabudowania. Wśród wysokich pni wiły się liany i pnącza, a z ziemi i z zarośniętych zapadłisk strzelały wachlarze olbrzymich paproci.

Alex zrozumiał, że gdyby płaskowyż był piętnaście metrów wyższy, osada całkowicie zniknęłaby z pola widzenia.

Natura jako dach.

Przewodnik ruszył ścieżką prowadzącą ku grupce chat pośród kępy dżunglowych zarośli. Mieszkańcy osady ubrani byli podobnie jak wszyscy Jamajczycy z wnętrza wyspy. W ich luźnych, powiewnych strojach McAuliff zauważył jednak pewną osobiwość. Jak na całej wyspie, pełno tu było ludzi w podwiniętych spodniach khaki, kobiet w ciemnych spódnicach i białych bawełnianych koszulach – zwyczajny widok z Jamajki. Podobne stroje widuje się na całym świecie -w Afryce, w Australii, na Nowej Zelandii, wszędzie tam, gdzie krajowcy przejęli czy wręcz wykradli ubrania ułatwiające życie białym. Normalny widok... Alex dostrzegał jednak pewną różnicę, choć sam dobrze nie wiedział, na czym ona polega.

Nareszcie zrozumiał! Zarazem też zrozumiał, jaką to inną dziwną rzecz dostrzegł podświadomie w osadzie.

Książki.

Kilku spośród kilkudziesięciu wyspiarzy z zagubionego w dżungli osiedla niosło pod pachą książki. Niektórzy trzymali je otwarte, inni nieśli je w rękach.

Poza tym wszystkie ubrania były, rzecz dziwna, czyste! Po prostu czyste. Znać było na nich plamy potu – rzecz normalną w gorącym słońcu – a także ziemię i błoto z jeziora, co nie zmieniało faktu, że we wszystkich strojach widać było zadbanie niezwykle u mieszkańców odległych, biednych okolic, czy to w Afryce, Australii, na Nowej Gwinei, czy też w Jacksonville na Florydzie.

Przywykło się oglądać ubrania krajowców w opłakanym stanie, podziurawione, podarte, nawet pocięte w strzępki. Ludzie z górskiej osady mieli na sobie czyste, całe, nawet nie połatanne stroje.

Żadnych łachów ze śmietnika czy nie dopasowanych łupów z kradzieży.

Plemię Akaby zaszyło się głęboko w pierwotnej dżungli, lecz to nie oznaczało jeszcze, że -jak wiele odizolowanych górskich społeczności – Halidon zmienił się w zdegenerowaną i żyjącą w nędzy gromadę prymitywów, którym ziemia dostarcza środki zaledwie umożliwiające przetrwanie.

Na ścieżkach i wokół zabudowań Alex widział krzepkie czarne ciała i bystre czarne

oczy – pewny znak, że zrównoważona dieta jest tym ludziom równie właściwa jak bystra inteligencja.

–Pójdziemy prosto do Daniela – zapowiedział Malcolm przewodnikowi. – Ty jesteś już wolny. Dziękuję za pomoc.

Przewodnik skręcił na wydeptaną ścieżkę, która wydawała się tunelem wyciętym w zielonej ścianie pnączy. W marszu zdjął pas z pistoletem i rozpiął mundurową bluzę. Jak komandos, który wrócił z akcji – pomyślał McAuliff. Murzyn mógł wreszcie zdjąć z siebie kostium w postaci rozmyślnie podartych łachmanów.

Malcolm wyrwał go z zamyślenia, wskazując ścieżkę. Tune1 wiodący pod parasolami makuby i puchowców zakręcał w lewo, kończąc się polanką, porośniętą trawą „pajęczą”. Otwarta przestrzeń ciągnęła się aż za koryto potoku, biegnącego tu od górskiego wodospadu na urwisku. Po drugiej stronie szerokiego parowu, za wodą, teren podnosił się i kończył pionową barykadą skalną. Dalej zaczynały się pastwiska, które odbiegały na prawo, w kierunku wschodniego brzegu jeziora.

Na rozległej trawiastej przestrzeni widać było ludzi pilnujących trzody, z pasterskimi kijami w rękach. Słońce nie paliło już tak bardzo, jak w ciągu dnia. McAuliff także pomyślał, że pora spędzić bydło z pól, zanim nadejdzie zmierzch.

W zamyśleniu szedł za Malcolmem, zajęty przede wszystkim obserwacją dziwnej, oddzielonej od świata osady, gdy nagle zorientował się, dokąd idą.

Szli w stronę skalnej ściany i wodospadu.

Dotarli do brzegu potoku zasilającego jezioro i skręcili w lewo. Alex przekonał się, że sztuczne koryto jest dużo głębsze, niż mu się to wydawało z oddali. Brzegi miały prawie trzy metry wysokości, a ziemne ściany wyłożono głazami z płaskowyzu, nadając potokowi regularny bieg. Naturalny ciek wodny ludzka ręka udoskonaliła dawno temu, podobnie jak obsiane pola wokół wioski.

Minęli trzy kładki z desek, opatrzone wysokimi do pasa poręczami, wpuszczone w brzeg. Do każdej kładki prowadziły kamienne stopnie..., ułożone przed dziesiątkami lat. Kolejne kładki dzieliło od siebie niecałych pięćdziesiąt metrów.

Później Alex ujrzał cel wędrówki, ledwie widoczny w plątaninie wysokich drzew, kęp gigantycznych paproci i setek kwitnących pnączy u stóp góry.

Budynek był drewniany, podobny do obszernej chaty. Wznosił się ponad korytem potoku, niczym młyn, a spieniona woda zdawała się wypływać spod fundamentów tej ukrytej budowli. Przy obu nadbrzeżnych podporach widać było stopnie -kolejne kamienne stopnie sprzed wielu pokoleń – prowadzące na szeroką galeryjkę wzdłuż fasady. Pośrodku galeryjki widniały w ścianie drzwi. Zamknięte.

Z odległości, a już na pewno z lotu ptaka, dom całkowicie niknął pod roślinną kopułą.

Długość dłuższego z boków wynosiła około dziesięciu metrów. Szerokości McAuliff nie mógł ustalić, gdyż dom wydawał się wyrastać z dżungli i ściany wodospadu.

Kiedy podeszli do kamiennych stopni, McAuliff zauważył coś jeszcze. Zatrzymał się i zapatrzył na nowe odkrycie.

Z zachodniej ściany budynku wybiegały grube czarne kable, które ginęły w

zielonej ścianie lasu.

Malcolm odwrócił się i uśmiechnął na widok zaskoczenia McAuliffa.

–Nasza łączność ze światem – wyjaśnił. – Sygnały radiowe przekazujemy na łącza telefoniczne w różnych punktach wyspy. Na tej samej zasadzie, na jakiej działają radio telefony w taksówkach, tyle że słyszalność mamy dużo lepszą niż w zwykłych telefonach. Nie można oczywiście dojść do źródła sygnałów. Ale teraz chodźmy do Daniela.

–Kto to taki?

–Minister, czyli głowa naszej rady. Piastuje ten urząd z wyboru, chociaż jego kadencja nie zależy od zwykłego kalendarza

–Kto go wybrał?

Uśmiech Halidonity przygasł.

–Wybrała go rada.

–A kto wybiera radę?

–Cały lud.

–Zupełnie jak wszędzie.

–Powiedzmy, że niezupełnie – rzucił zagadkowo Malcolm. – Chodźmy, Daniel czeka.

Otworzył drzwi. McAuliff znalazł się w wysokiej i obszernej izbie z oknami we wszystkich ścianach. Słysząc tu było wyraźnie szum wodospadu, mieszający się z kaskadą odgłosów pobliskiej dżungli.

W izbie stało kilka drewnianych krzeseł, wyciosanych ręcznie, nie maszynowo. Pośrodku tylnej ściany, obok kolejnych, wyjątkowo masywnych drzwi, stał niewielki stół, za którym siedziała dwudziestoparoletnia Murzynka. Na blacie jej biureczka leżały papiery, a obok, na przepisowym stoliku, widać było maszynę do pisania. McAuliff wybałuszył oczy na widok biurowego porządku pośrodku dżungli.

Naprawdę jednak przełknął ślinę, dopiero gdy zobaczył telefon – na podstawie, po prawej ręce dziewczyny.

–To nasza Jeanine, doktorze McAuliff. Pomaga Danielowi.

Murzynka wstała i uśmiechnęła się, krótko, z wyraźnym przymusem. Alexa przywitała lekkim skinieniem głowy. W jej oczach błysnęło ożywienie, dopiero gdy zwróciła się do Malcolma.

–Podróż się udała?

–Skoro przyprowadzam ze sobą gości, nie możemy mówić o szalonych sukcesach.

–No tak – odparła Jeanine, a ożywienie w jej oczach zmieniło się w obawę. – Daniel chce z wami rozmawiać od razu. Tędy, proszę... doktorze McAuliff.

Dziewczyna podeszła do drzwi i zapukała dwa razy, po czym nie czekając na odpowiedź nacisnęła klamkę. Malcolm stanął ramię w ramię z Alexem i gestem wskazał mu, by wszedł. McAuliff z wahaniem przekroczył próg i znalazł się w gabinecie ministra rady Halidonu.

Pomieszczenie było obszerne, a prawie całą tylną ścianę zajmowało gigantyczne okno z szybą z przyciemnionego szkła. Widok zdumiewał i zapierał dech. Siedem

metrów za szybą pieńło się cielsko wodospadu. Był to jedyny widok z okien pomieszczenia – tony wody, spadające nieskończoną kaskadą. Huk wodospadu był przytłumiony, lecz wyraźny. Pod oknem stał długi, rozsuwany stół z grubym blatem z ciemnego, lśniącego drewna. Za stołem czekał na nich Daniel, minister rady Halidonu.

McAuliff miał przed sobą czarnego Jamajczyka o wyraźnych, nieco europejskich rysach, wzrostu więcej niż średniego, o szczupłej sylwetce. Szerokie ramiona zwężały się w smukłą figurę długodystansowca. Daniel mógł nie tak dawno ukończyć czterdziestkę. Trudno było się zorientować w jego wieku, bo mimo młodej twarzy jego oczy wcale nie wyglądały młodo.

Minister uśmiechnął się, krótko, przyjaźnie, lecz bez serdeczności. McAuliff ruszył w stronę stołu z wyciągniętą prawicą.

Idąc zauważył jeszcze, że Daniel ma na sobie zwyczajne białe spodnie i granatową koszulę rozpiętą pod szyją. Wokół szyi zawiązał białą jedwabną apaszkę, spiętą złotym pierścieniem. Alexowi strój ten przypominał mundur, tak jak mundurem okazał się kaftan Malcolma.

–Witam, doktorze. Nie będę nawet pytał o podróż. Sam za często chodzę tą drogą, żeby nie wiedzieć, jaka to okropna męczarnia.

McAuliff uściśnął podaną dłoń i ostrożnie przytaknął:

–Rzeczywiście męczarnia.

Minister odwrócił się nieoczekiwanie do Malcolma.

–Z czym przychodzisz? Nie widzę powodu, żebyś czekał z meldunkiem. A może nie chcesz mówić przy naszym gościu?

–Nie, dlaczego...? Dokumenty Piersalla są dokładne. McAuliff zapieczętował je i gotów jest je wysłać z miejsca, które leży w promieniu czterdziestu kilometrów od obozu nad Martha Brae. Dokąd, tego sam nie wie... Zostały nam trzy dni, Danielu.

Minister przeniósł wzrok na Malcolma i bez słowa podszedł do krzesła przy rozsuwanym stole. Trwał chwilę z dłońmi na gładzi blatu, a potem spojrzał na Alexa.

–Jednym słowem, upór i geniusz cudzoziemskiego neofity stawia nas wobec groźby kastracji... Niech się pan nie dziwi, doktorze McAuliff. Koniec tajemnicy oznaczałoby dla nas bezsilność. Świat obrabuje nas, splądruje nasze zasoby... Tylko od pana zależy, żeby tak się nie stało. Od pana, geologa na żołdzie Dunstone Limited, no i niespodziewanego współpracownika MI-5.

Daniel spojrzał na Malcolma.

–Zostaw nas teraz samych. Aha, i przygotuj wszystko do podróży do Montego.

–Na kiedy? – zapytał Malcolm.

–To będzie już zależało od naszego gościa. Pojedzie z tobą.

–Skąd pewność, że pojedę?

–Pojedzie pan, doktorze McAuliff. O ile jeszcze będzie pan żył.

XXVIII

Istnieje tylko jedna groźba, która jednoznacznie przemawia do człowieka. Mówię oczywiście o groźbie utraty życia. – Daniel podszedł do olbrzymiego okna, za którym kipiała nie kończąca się ściana wody. – Tam, gdzie nie skutkują nadrzędne argumenty ideologiczne, powiedzmy, takie jak religia czy patriotyzm, ten zawsze odnosi skutek. Myślę, że się pan ze mną zgodzi.

–A ponieważ nie można mnie przekonać argumentami religijnymi czy patriotyzmem, myśli pan, że uda się to groźbą – podsumował McAuliff, który nadal stał przy długim, lśniącym stole. Rozmówca nie zaproponował mu krzesła.

–Owszem. – Minister rady Halidonu odwrócił się od okna. – Jestem pewien, że już panu mówiono, iż sprawy Jamajki to nie pana sprawy.

–Że to „nie moja wojna”, jak ktoś już zauważył?

–Kto taki? Charles Whitehall czy Barak Moore?

–Barak Moore nie żyje – uciął kwestię Alex.

Wiadomość wyraźnie zaskoczyła dostojnika, choć jego jedyną reakcją była chwila głębokiego zamyślenia, po której padło ciche stwierdzenie:

–To przykra nowina. Moore stanowił niezbędną przeciwwagę dla działań Whitehalla. Poza nim nie ma w jego frakcji odpowiednich ludzi. Trzeba będzie kogoś sprowadzić na jego miejsce...

Daniel podszedł do stołu, sięgnął po ołówek i napisał coś na karteczce, którą wydarł z bloku i odłożył na bok.

McAuliff bez kłopotu dostrzegł, co napisał minister. Słowa na kartce brzmiały: „Zastąpić Baraka Moore'a”. Nawet jak na dzień pełen niespodzianek znaczenie tej notatki mogło zdumiewać.

–Ot tak, po prostu? – zapytał Alex, ruchem głowy wskazując kartkę.

–Na pewno nie będzie to proste, jeśli o to pan pyta – odparł Daniel. – Proszę usiąść, doktorze. Pora, żeby pan zrozumiał pewne sprawy. Zanim przejdziemy do dalszej dyskusji...

Alexander Tarquin McAuliff, geolog i właściciel firmy przy 21 West na 38 Ulicy w Nowym Jorku, USA, usiadł na wyciosanym przez tubylców krześle, w ministerialnym gabinecie, wysoko w niedostępnych górach łańcucha Flagstaff, w samym sercu nieprzebytych okolic Cock Pitu na Jamajce, by wysłuchać tego, co opowiada niejaki Daniel, minister rady tajnej sekty o nazwie Halidon.

Nie miał już sił, by myśleć. Teraz mógł tylko słuchać.

Daniel błyskawicznie naszkicował mu zarys sytuacji. Bez wstępów zapytał, czy McAuliff czytał dokumenty Waltera Piersalla. Geolog skinął głową.

By upewnić się, że Piersall nie pomylił niczego w swoich badaniach, minister sam pokrótce opisał genezę plemienia Akaby w epoce wojen z Maroonami na początku osiemnastego stulecia.

–Akaba był swego rodzaju mistykiem, lecz w gruncie rzeczy prostaczkiem, ludowym Chrystusem, choć bez daru miłosierdzia i miłości bliźniego, jakie kojarzy się z chrześcijaństwem. Jego przodkowie, bądź co bądź, znali jedynie prawa koromantyńskiej dżungli. Solidne podstawy miał za to jego system etyczny...

–Skąd czerpicie majątek? – zapytał nagle Alex, któremu wróciła zdolność rozumowania. – Jeżeli macie oczywiście źródło majątku.

–Mamy złoto – odrzekł Daniel po prostu.

–Gdzie?

–W ziemi. W naszej ziemi.

–Na Jamajce nie ma złota.

–Ciekawe stwierdzenie, jak na geologa. Ślady krystalicznych osadów można znaleźć w dziesiątkach minerałów na całej wyspie...

–Drobiny! – przerwał McAuliff. – Mikroskopijne ilości, w dodatku tak pozbijane z płonną skałą, że koszty rozdzielenia złota pochłaniają cały zysk. Przeróbka kosztuje drożej niż kruszec.

–Ale mimo to... Chodzi o złoto.

–Złoto bez wartości.

Daniel uśmiechnął się.

–W jaki sposób, pana zdaniem, złoty pył zbił się z minerałami? Mógłbym pana nawet zapytać, czysto teoretycznie, w jaki sposób powstała nasza wyspa.

–Odosobniona masa lądowa na morzu. Fałdowania tektoniczne... – Alex zamilkł. Teoria, którą miał przed oczami, przyćmiewała wszelkie dotychczasowe wyobrażenia, tym bardziej że była tak prosta. Odcinek złotej żyły eksplodował przed milionami lat w podmorskich warstwach, rozpylając metaliczny pył po sąsiednich utworach masy skalnej, która wynurzyła się z wód. – O Boże... Trafiliście na żyłę?

–Nie ma sensu ciągnąć tego tematu – uciął Daniel. – Od stuleci kolonialne prawa Jamajki mówią jasno, że wszelkie metale szlachetne odkryte na Karaibach stanowią własność Korony Brytyjskiej. Głównie z tego powodu nikomu nie chciało się szukać.

–Fowler – szepnął McAuliff. – Jeremiasz Fowler...

–Słucham?

–Rejestrator królewski z Kingston, prawie sto lat temu...

Daniel zastanowił się.

–Tak. Mówiąc dokładnie, było to w 1883 roku. A więc taka jest treść fragmentu, na który natknął się Piersall. – Minister Halidonu znów zapisał coś na karteczce. – Usuniemy ten zapis z archiwów.

–Czy ten Fowler... – Alex zawiesił głos. – Wiedział?

Daniel podniósł wzrok sponad kartki i wydzierając ją z bloku odrzekł:

–Nie wiedział. Wyobrażał sobie, że spełnia prośbę zbuntowanego odłamu Maroonów, którzy weszli w tajne układy z posiadaczami ziemskimi z północy wyspy. Wierzył, że chodzi o zniszczenie zapisów na temat traktatu plemiennego, by zagarnąć tysiące akrów ziemi pod plantacje. Taką wersję usłyszał i za taką przysługę wziął pieniądze.

–Jego rodzina w Anglii nadal wierzy w tę wersję.

–Dlaczego nie miałyby wierzyć? Fowler pracował przecież w Służbie Kolonialnej – minister uśmiechnął się. – Ale wróćmy może do spraw bliższych współczesności. Widzi pan, doktorze, chcielibyśmy, żeby nas pan zrozumiał. Do końca.

–Słucham.

Z relacji Daniela wynikało, że Halidon nierości sobie ambicji politycznych. Sekta nigdy nie pożądała władzy i trzymała się z dala od życia zbiorowości, dzielając historyczny pogląd, w myśl którego porządek powstaje dopiero z chaosu sprzecznych, czasem wręcz skłóconych ideologii. Idee stanowiły dzieło potężniejsze od katedr. Trzeba tylko zapewnić ludziom wolność, a więc swobodny dostęp do idei. Tak nauczał Akaba.

Wolność poruszania się, wolność wyznawania poglądów... jeśli trzeba, nawet wolność walki. Religia Halidonu była więc głęboko humanistyczna, a leśne bóstwa dżungli symbolizowały nie kończący się nigdy bój sił, które walczą o wolność dla śmiertelników. Wolność i prawo do takiego życia, jakie wybrało sobie całe plemię, bez narzucania tego sposobu życia innym plemionom.

–Nieźle założenie, przyzna pan? – zagadnął prędko zadowolony z sytuacji Daniel.

–Nieźle. Chociaż nie powiem, że bardzo oryginalne.

–Tu się nie zgodzę. Przed nami mogły tak myśleć setki filozofów, ale mało kto próbował urzeczywistnić taką myśl w praktyce... Zyskując samowystarczalność, plemiona natychmiast zaczynają dążyć do tego, by narzucić swój system komu się tylko da. Tak było z faraonami, z Cezarem, z imperium; a właściwie z kilkoma, bo i ze Świętym Cesarstwem Rzymskim, i z imperium brytyjskim, i tak dalej, że już nie wspomnę o Hitlerze, Stalinie czy o pana własnym, zmonopolizowanym rządzie, wzywającym co jakiś czas do krucjaty. Niech się pan strzeże wiernych wyznawców, McAuliff, gdyż swoiście rozumieją wiarę. Tak było i, niestety, ciągle tak jest.

–Ale nie u was. – McAuliff spojrział przez przyciemnioną szybę na spadającą kipieli. – Wy, przeciwnie, sprawdzacie tylko, kto w co wierzy i podejmujecie decyzję. Zgodnie z zasadą wolności walki, jak ją pan nazywa.

–Widzi pan tu jakąś sprzeczność?

–Pewnie że widzę, do diabła. Skoro „wolność walki” oznacza dla pana prawo do zabijania kogo popadnie, a zwłaszcza tych, którzy nie podzielają waszej definicji tego, co wolno, a czego nie wolno...

–Kogo mamy na sumieniu?

Alex oderwał wzrok od wodospadu i przeniósł go na Daniela.

–Zacznę od ubiegłej nocy. Dwóch tragarzy z wyprawy. Możliwe, że za parę dolarów donosili o czym trzeba wywiadowi brytyjskiemu. Cóż takiego mogli powiedzieć? Co jedliśmy na obiad? Kto do nas przychodził? Wasz przewodnik, który się przedstawiał jako Marcus, sam powiedział, że to agenci. Zabił ich, tak? Zgadzam się, że ten tłusty wieprz Garvey, zwyczajny pionek, który nic nie wiedział, rzeczywiście okropnie śmierdział. Ale żeby mu aż za to organizować wypadek na szosie do Port Maria, to już drastyczna metoda. – McAuliff zamilkł na chwilę i pochylił się na krześle. – Zmasakrowaliście całą poprzednią wyprawę, do ostatniego człowieka, choć wiedzieliście tylko, że tak samo jak ja ludzie ci pracują dla Dunstone Limited. Taką mieli pracę. Może zna pan jakieś usprawiedliwienie dla tych morderstw, ale nikt i nic nie usprawiedliwi śmierci Waltera Piersalla... Tak, jasnie panie ministrze, myślę, że i pana można wymienić pośród opętanych fanatyków.

Kiedy McAuliff wyrzucał z siebie gniewne słowa, Daniel siedział przy stole, lecz

teraz powstał i odsunął krzesło w prawo, ku oknu.

–Sto lat temu ten gabinet zajmował cały budynek. Postanowił tak jeden z moich niegdysiejszych poprzedników. Uparł się, że gabinet ministra czy „izba”, jak ją wtedy nazywano, powinna się otwierać na wodospad. Uważał, że ciągły ruch wody i szum zmuszają człowieka do skupienia, każą mu zapomnieć o sprawach mniej ważnych... Ten dawno zapomniany buntownik nie mylił się. Nie mogę się nadziwić, ile rozmaitych rozbryzgów i kształtów widać w wodzie. Kiedy się im przyglądam, potrafię skupić się na tym, co najważniejsze.

–Chce mi pan po prostu powiedzieć, że ci, którzy zginęli, byli „sprawą mniej ważną”?

Daniel przysunął krzesło na miejsce i stanął twarzą w twarz z McAuliffem.

–Nie, doktorze. Szukam tylko sposobu, żeby pana przekonać. Powiem panu prawdę, chociaż nie wiem, czy zechce pan mi uwierzyć. Nasi tragarze, przewodnicy – nasi agenci, jeśli pan chce – potrafią wpływać na wyobraźnię. Wie pan, panie McAuliff, jak nadzwyczajną bronią bywa strach. Bronią, która nie kaleczy. Co nie znaczy, że się cofamy przed rozlewem krwi... Pańscy tragarze w każdym razie żyją. Obezwładniliśmy ich, zawiązaliśmy im oczy, odprowadziliśmy do granicy Weston Favel i puściliśmy wolno. Nie stała im się krzywda, ale przeżyli przerażające chwile. Nie będą już chcieli pracować dla MI-5. Garvey rzeczywiście nie żyje, ale nie zginął z naszej ręki. Pana ulubieniec handlował wszystkim, co mu wpadło w ręce, w tym także kobietami, a ściślej, młodymi dziewczętami. Zrozpaczony ojciec jednej z nich zastrzelił go na szosie do Port Maria, z oczywistych pobudek. Przypisaliśmy sobie cudzą zasługę, i tyle... Dalej, powiada pan, że zmasakrowaliśmy poprzednią ekspedycję. Odwróćmy to twierdzenie, doktorze. Trzech spośród czwórki białych z ekspedycji próbowało zmasakrować nasz patrol. Zaprosili sześciu naszych do obozu, rzekomo żeby porozmawiać, po czym ich zabili.

–Jeden z tych, jak pan mówi, białych był brytyjskim agentem.

–Wiemy to od Malcolma.

–Nie wierzę, żeby wyszkolony agent wywiadu zaczął zabijać na oślep.

–Malcolm twierdził to samo co pan, ale fakty okazały się inne. Agent wywiadu jest tylko człowiekiem, a ludzie w ferworze walki biorą czyjąś stronę, wszystko jedno, którą. Pański agent, nie wiem, kto nim był, podjął wybór... Mógł wybrać inaczej, ale nie chciał.

–Mówił pan o trzech, a ten czwarty? Okazał się inny, tak?

–O tak – w oczach Daniela pojawił się nagle namysł. – To nie był zły człowiek. Holender. Kiedy spostrzegł, co robią jego kompani, zaczął protestować, krzyczeć, a potem rzucił się, żeby ostrzec resztę naszej grupy. Zastrzelili go biali, z którymi przybył.

Obaj mężczyźni milczeli dłuższą chwilę. McAuliff zapytał w końcu:

–A co z Walterem Piersallem? O nim też opowie mi pan jakąś historyjkę?

–Nie – uciął Daniel. – Nie mamy pojęcia, co się stało ani kto go zabił. Domysły, owszem, ale nic poza tym. Walter Piersall byłby ostatnim człowiekiem, którego chcieliśmy zgładzić, szczególnie w tamtej sytuacji. Jeżeli pan tego nie rozumie, jest

pan po prostu głupi.

McAuliff wstał i w zamyśleniu powędrował w kierunku olbrzymiego okna. Czuł na sobie wzrok Daniela, lecz zmusił się do tego, by się nie odwracać. Popatrzył w kipiące strugi wody.

–Po co sprowadziliście mnie tutaj? Po co opowiada mi pan aż tyle? O was i o wszystkim innym?

–Nie mieliśmy wyjścia. Chyba że nam pan nakłamał, a Malcolm się pomylił, ale w to akurat nie uwierzę... Wiemy, w jakiej jest pan sytuacji, i wiemy, kim pan jest. Kiedy Malcolm przyleciał z Anglii, przywiózł ze sobą wszystkie dokumenty MI-5 na pański temat. Mamy zamiar coś panu zaproponować.

Alex odwrócił się.

–Zapewne nie będzie mi wypadało odmówić.

–Raczej nie, tym bardziej że chodzi o pańskie życie. Dodam, że i o życie pańskich podwładnych z wyprawy.

–Dokumenty Piersalla, tak?

–Dużo więcej, ale dokumenty oczywiście także – uspokoił go Daniel.

–W takim razie słucham – rzucił McAuliff od okna. Stłumiony huk wodospadu stał się dla niego w tej chwili nicią łączącą go ze światem. Była w tym pewna pociecha.

–Wiemy, czego chcą Brytyjczycy: chodzi im o listę nazwisk całego kierownictwa Dunstone, o spis międzynarodowej finansjery, która chce zmienić Jamajkę w nową Szwajcarię, w azyl dla kapitału. Nie tak dawno, dosłownie kilka tygodni temu, zjechali na wyspę z całego świata. Spotkali się w San Antonio, niektórzy pod prawdziwymi nazwiskami, ale przeważnie pod fałszywymi. Chwila jest wyjątkowo sprzyjająca, bo szwajcarskie banki zaczynają jeden za drugim łamać tradycję i żądać od klientów prawdziwych nazwisk zamiast anonimowych kodów. Oczywiście świat wywiera nacisk na Szwajcarów i oto skutki. Posiadamy listę osób z Dunstone. Gotowi jesteśmy pójść na wymianę.

–Lista w zamian za życie członków wyprawy? Plus dokumenty Piersalla?

Daniel roześmiał się, nie okrutnie, lecz bardzo niemiło. Widać było, że śmiech jest szczery.

–Obawiam się, doktorze, że to pan ma obsesję na punkcie spraw mniej ważnych. Wprawdzie przykładamy wielką wagę do dokumentów Piersalla, ale nie można tego samego powiedzieć o Brytyjczykach. A my musimy wczuć się w zamysły naszych przeciwników. Brytyjczykom zależy przede wszystkim na spisie kierownictwa Dunstone Limited. A nam zależy przede wszystkim na tym, by brytyjski wywiad i wszystko, co reprezentuje, zniknął z Jamajki. Taką zamianę chcemy zaproponować. McAuliff stał bez ruchu przy oknie.

–Nie rozumiem pana.

Minister nachylił się ponad stołem.

–Domagamy się, by Wielka Brytania przestała się wtrącać w sprawy tej wyspy. Domagamy się tego samego od wszystkich krajów czy, jeśli pan woli, wszystkich plemion. Krótko mówiąc, Jamajkę trzeba pozostawić Jamajczykom.

–Dunstone nie zostawi wam niczego – zaczął Alex, szukając argumentów. –

Wpływy Dunstone są dla waszej wyspy groźniejsze niż brytyjskie czy wszystkie inne, do diabła.

–Ale walka z Dunstone to już nasza sprawa. Przygotowaliśmy własny plan. Dunstone wymyśliła gromadka finansowych geniuszy, ale kiedy ich organizacja znajdzie się na wyspie, wystawi się na nasz cios z wielu stron naraz. Oprócz innych sposobów także wywłaszczenie... Z tym że sposoby, o których mowa, są czasochłonne, a skądinąd wiemy, że Brytyjczykom zaczyna być spieszno. Anglia nie może sobie pozwolić na utratę Dunstone Limited.

McAuliff błyskawicznie wrócił myślą do rozmowy w hotelu Savoy, kiedy to R.C. Holcroft cicho przyznał, że względy gospodarcze mają pewne znaczenie dla sprawy. Niepoślednie znaczenie.

Manipulant Holcroft.

Alex wrócił na swoje miejsce i usiadł. Zdawał sobie sprawę, że Daniel daje mu czas do namysłu, pozwala przyjąć do wiadomości ogrom zupełnie nowych informacji. Bez odpowiedzi pozostawało tyle pytań... Większość z nich, domyślał się Alex, pozostanie bez odpowiedzi na zawsze, ale przynajmniej kilka musiał wyjaśnić od razu. A przynajmniej spróbować.

–Parę dni temu – zaczął niezręcznie – kiedy... zmarł Barak Moore, zaniepokoiło mnie, że Charles Whitehall utracił przeciwnika. Pana też to niepokoi. Widziałem, co pan napisał na kartce...

–O co chce mnie pan zapytać? – wtrącił grzecznie Daniel.

–Nie myliłem się, prawda? Barak i Whitehall stali po dwóch stronach barykady, obaj mają zwolenników. To nie osamotnieni fanatycy.

–Whitehall i Moore? – Tak.

–Osamotnieni na pewno nie. W końcu obaj to charyzmatyczni przywódcy. Moore w czasie przeszłym, Whitehall nadal. W każdym nowym państwie twarzą się z miejsca trzy odłamy: prawica, lewica i zasobne centrum. Ta ostatnia grupa to dawne warstwy uprzywilejowane, które nauczyły się sobie radzić w nowych warunkach. Centrum to nadzwyczaj podatny grunt dla korupcji – te same nudne, biurokratyczne czynności można nagle wykonywać z nowym poczuciem misji. Dlatego centrum likwiduje się najpierw. Najzdrowszą metodą jest zaszczepić w te struktury ludzi z obu skrzydeł. Zaprowadzić pokojową równowagę.

–Właśnie na taki stan czekacie? Z boku, niczym wyrocznia albo sędzia z gwizdkiem?

–Doskonałe porównanie, doktorze. Sam pan wie, że cnotę wykuwa się w walce, a w obu skrajnych ugrupowaniach nie brak pozytywnych jednostek... Niestety, obecność Dunstone utrudnia nam zadanie. Musimy bacznie obserwować wszystkich walczących.

Minister Halidonu znów spojrzał w bok i znów zamyślił się na sekundę. – Dlaczego?

Daniel wyraźnie ociągał się z odpowiedzią. Wreszcie odrzekł z głośnym westchnieniem:

–Dobrze, powiem... Barak Moore zareagowałby na obecność Dunstone aktami

terroru. Zaczęłyby się krwawa łaźnia, chaos Whitehall okazałby się pewnie tak samo niebezpieczny, bo szukałby tymczasowego przymierza, zdobywając nowych wiernych dzięki pieniądzą Dunstone. Tamci mogliby go wykorzystać. Niemieccy przemysłowcy finansowali kiedyś poczynania Hitlera, wyobrażając sobie zupełnie szczerze, iż manipulują jego ruchem. Niestety, organizacje tego typu w absolutny sposób dążą do absolutnej władzy.

McAuliff usiadł wygodniej. Zaczynał już coś rozumieć.

–Jednym słowem, jeśli Dunstone zniknie, wróćcie do punktu wyjścia, jakim ma być... zdrowa walka, tak?

–Tak – przyznał cicho Daniel.

–W takim razie chcecie tego samego co Brytyjczycy. Jakie macie podstawy, żeby im stawiać warunki?

–Proponujemy inne rozwiązania niż Londyn. Mamy czas i mamy gwarancję, że to właśnie my staniemy się panami sytuacji. Anglicy, podobnie jak Francuzi, Ameryka nie i Niemcy, nie mają ani czasu, ani gwarancji. Katastrofa gospodarcza, jaka im zagraża, mogłaby się obrócić tylko na naszą korzyść. Tyle mogę panu powiedzieć. Mamy w ręku listę ludzi z Dunstone. Pan proponuje Anglikom umowę.

–Mam pojechać z Malcolmem do Montego...

–Pod eskortą, chroniony – przerwał ostrym tonem Daniel. – Członkowie pańskiej wyprawy zostaną w obozie jako zakładnicy. Jeżeli choć o jotę odstąpi pan od naszych instrukcji, rozstrzelamy ich po kolei.

–A co będzie, jeżeli MI-5 wam nie uwierzy? Co mam wtedy zrobić, do cholery?

Daniel wstał.

–Uwierzą panu, McAuliff. Pańską wycieczka do Montego Bay będzie tylko jednym punktem programu, jaki przygotowaliśmy dla nich na całym świecie. W paru stolicach ludzie oniemiają z wrażenia. Pan musi tylko wytłumaczyć brytyjskiemu wywiadowi, że to, co widzą, to nie przypadek, lecz dowód na nasze istnienie. Obnażymy czubek góry lodowej Dunstone. Naturalnie, że panu uwierzą. Dokładnie o dwunastej w południe czasu londyńskiego. Już jutro.

–Czy ma pan mi coś jeszcze do powiedzenia?

–Nie. Właściwie tylko jedno. Kiedy nastąpi nasza akcja, spanikowany olbrzym, jakim jest Dunstone, zacznie zabijać na ślepo i roześle morderców. Między innymi w ślad za panem.

McAuliff, zanim pomyślał, zerwał się wzburzony i wycedził:

–Dziękuję, że mnie pan chociaż uprzedził.

–Bardzo proszę – odparł Daniel. – A teraz chodźmy.

Za drzwiami gabinetu „kapłan” Malcolm rozprawiał o czymś szeptem z Jeanine. Na widok Daniela obydwójce umilkli. Jeanine zastąpiła Danielowi drogę ze słowami:

–Dostaliśmy wiadomości znad Martha Brae.

Alex spojrzał kolejno na ministra i dziewczynę. „Martha Brae” musiała oznaczać obozowisko. Chciał już coś powiedzieć, lecz uprzedził go Daniel:

–Mów od razu, niezależnie co się stało.

–Chodzi o dwóch mężczyzn. Jeden jest podobno młody i nazywa się Ferguson,

drugi to specjalista od rud minerałów, Peter Jensen...

Alex odetchnął głęboko.

–O co chodzi? – rzucił Daniel i zażądał: -Najpierw o tym młodszym!

–Do obozu przybył nowy tragarz, z listem od Crafta seniora. Craft obiecuje Fergusonowi złote góry, każe mu natychmiast porzucić wyprawę i jechać do siedziby fundacji w Port Antonio. Nasz patrol dopadł ich i obezwładnił kilka kilometrów w dół rzeki. Zatrzymaliśmy Fergusona i tragarza w kryjówce, na południe od Weston Favel.

–Craft dowiedział się o machinacjach syna – dopowiedział McAuliff. – Próbuje teraz podkupić Fergusona.

–Transakcja może się okazać korzystna dla Jamajki. Prócz tego Ferguson nie jest chyba w pańskich oczach najcenniejszym zakładnikiem.

–Sam go sprowadziłem na wyspę, więc zależy mi na nim – odrzekł chłodno McAuliff.

–Przekonamy się. – Daniel odwrócił się do Murzynki: – Powiedz tym z patrolu, żeby zostali na miejscu. Niech przytrzymają Fergusona i tego tragarza, dalsze instrukcje w drodze. Dalej, Jensen?

–Nic mu nie jest. Patrol idzie jego tropem.

–Opuścił obóz?

–Udawał, że się zgubił. Tak się wydawało naszym. Wcześniej rano, zaraz po wymarszu doktora McAuliffa, kazał swojemu pomocnikowi rozciągnąć taką... Taśmę do azymutów. Tragarz poszedł w las i zatrzymał się dopiero, kiedy skończyła mu się taśma, taka nylonowa linka. Miał się zatrzymać, gdy Jensen szarpnie za drugi koniec...

–Ale Jensen uciął linkę i przywiązał ją do drzewka – przerwał Alex, jak gdyby znał tę historię. – Ale najpierw zatoczył nią pętlę wokół gałęzi, tak?

–Skąd pan wie? – poruszył się Daniel.

–To najstarszy i najgłupszy kawał, jaki znają geodeci. Naprawdę niesmaczny. Robi się go tylko zielonym praktykantom.

–Mówisz, że pomocnik go nie znalazł? Gdzie jest teraz Jensen? – zwrócił się znów Daniel do dziewczyny.

–Próbował iść tropem Malcolma. Patrol mówi, że prawie mu się udało. Wreszcie dał za wygraną i wrócił łukiem do wzgórza po zachodniej stronie terenu. Może stamtąd obserwować cały obóz, wszystkie dojścia z lasu.

–Będzie tam tkwił trzy dni, bez względu na głód czy drapieżniki, jeśli uzna, że coś na tym zyska. Nie ośmieli się wracać do Warfielda z niczym. – Daniel rzucił okiem na Alexa. – Czy wie pan, że to on zaproponował pana jako kierownika ekspedycji?

–On mnie na... – Alex nie dokończył. Szkoda słów.

–Powiedzcie naszym, żeby go pilnowali – rozkazał minister. – Niech się trzymają blisko, ale go nie zatrzymują. Chyba że ma przy sobie i skorzysta z radia, którym może osiągnąć wybrzeża. Wtedy niech go zabiją.

–Co pan wygaduje, do cholery? – wtrącił się gniewnie McAuliff. – Nie macie żadnego prawa...

–Mamy wszelkie prawo, doktorze. Pańscy awanturnicy zwalają się nam na wyspę i

chcą po niej roznieść swoje brudy! Pan chce mnie pouczać o prawach?

Murzyn obniżył głos równie nagle, jak go podniósł, i pod adresem Jeanine wydał polecenie:

–Zwołaj radę.

Daniel sprowadził McAuliffa po kamiennych stopniach w splątaną trawę nad miniaturowym potokiem. Obaj milczeli. McAuliff spojrział na zegarek: prawie ósma. Promienie zmierzchu strzelały jeszcze zza pasma gór na zachodzie pękiem pomarańczowych smug, na tle których sylwetki szczytów nabierały czarnobrazowego odcienia, podkreślającego ich niebotyczną wysokość. Jezioro zmieniło się w ogromną gładź czarnego szkła, w którym masywne górskie sylwetki i pomarańczowe pręgi odbijały się jak w zwierciadle.

Zeszli po trawiastej pochyłości aż do kamiennego muru, który odgradzał pastwiska. Daleko po lewej ujrzeni bramę. Daniel podszedł do niej, zwolnił ogromny skobel i uchylił ją, gestem zapraszając McAuliffa, by przeszedł pierwszy.

–Przepraszam za ten wybuch – odezwał się, kiedy szli przez łąkę. – Skierowałem gniew pod złym adresem. Jest pan w końcu ofiarą agresji, nie agresorem, i dobrze o tym wiemy

–A wy, kim jesteście? Czy pan jest ofiarą czy agresorem?

–Jestem ministrem rady. A co do nas wszystkich, nie jesteśmy ani jednym, ani drugim. Wyjaśniałem już to panu.

–Ciągle mi pan coś wyjaśnia, a skutek jest ten, że wiem o was coraz mniej – powiedział McAuliff; spod oka obserwując zwierzę biegnące w ich kierunku po ciemnym polu. Poznał po chwili, że to żrebak. Kiedy się zbliżyli, żrebak zarżał i bojaźliwie odstąpił na bok.

–Znowu się zerwał. Zawsze to samo. – Daniel zaśmiał się i poklepał kark nerwowego zwierzęcia. – Ciężko go będzie ujeździć, od razu widać... Wio, heja! – wykrzyknął i klepnął żrebaka w bok. Koń wierzgnął i parskając skoczył przed siebie, na środek pastwiska.

–Może właśnie o to pytałem – podsunął McAuliff. – Bo, na przykład, jak udaje się wam ujeździć, to znaczy wychować ludzi? Tak, żeby się nie zerwali i nie uciekli stąd?

Daniel zatrzymał się i spojrział na McAuliffa. Stali w pojedynkę na wielkim pastwisku, skąpanym w krwawym blasku jamajskiego zachodzącego słońca. Padające zza pleców światło zmieniało ministra Halidonu w czarną sylwetkę. McAuliff musiał zasłonić oczy przed blaskiem. Nie widział oczu Daniela, lecz czuł na sobie jego spojrzenie.

–Pod wieloma względami jesteśmy prostym ludem – zaczął Halidonita. – Jeżeli potrzeba nam maszyn czy urządzeń, sprowadzamy je z zewnątrz, razem z lekarstwami, podstawowymi narzędziami rolniczymi i tak dalej. Pośredniczą w tym zawsze nasi ludzie, a nikt jeszcze nie wykrył naszych szlaków przez góry. Nie licząc tych transakcji, jesteśmy tu samowystarczalni. Nasze, jak pan to nazwał, wychowanie bierze się ze zrozumienia, jak ogromny skarb mamy w rękach. Izolacja od świata to rzecz umowna. Sam się pan przekona.

Daniel wyjaśniał dalej, że od dzieciństwa każdy członek Halidonu uważa się za wybrańca losu i musi swoimi czynkami potwierdzić własną wyjątkowość. Od najwcześniejszych lat wpaja się dzieciom zasadę pracy dla wspólnego dobra, przy jak najpełniejszym wykorzystaniu indywidualnych talentów. Członkowie plemienia

poznają ze wszystkimi szczegółami zewnętrzny świat, jego proste zasady, komplikacje, pokój i gwałt, całe dobro i całe zło. Niczego się przed dziećmi nie ukrywa, nie pozwala się fantazjom zastępować wiedzy. Realne pokusy równoważą – może wręcz do przesady, jak przyznał Daniel – realne kary.

Kiedy zbliżają się dwunaste urodziny, każde dziecko z plemienia przechodzi serię prób pod czujnym okiem starszych rady Halidonu. Ostatnią próbę nadzoruje sam minister Na podstawie tych prób wybiera się dzieci, które przejdą szkolenie w szerokim świecie na zewnątrz. Przygotowuje się je do tego przez trzy lata, ucząc konkretnych umiejętności i fachu.

Z ukończeniem szesnastego roku życia wybrani chłopcy i dziewczynki odłączają się od Halidonu i zaczynają nowe życie na zewnątrz, pod opieką przybranej rodziny, w której ojciec i matka także są członkami plemienia. Nie licząc rzadkich wizyt w górskiej osadzie i spotkań z prawdziwymi rodzicami, dzieci przez kilka lat zdane są na pomoc przybranych wychowawców.

–Nikt wam nie ucieka? – zdziwił się Alex.

–Niezmiernie rzadko – odparł Daniel. – Kwestia nadzwyczaj dokładnej selekcji.

–A jeśli selekcja okaże się niedokładna? Jeżeli powstaje groźba...

–Na to pytanie nie odpowiem – przerwał minister. – Powiem tylko, że Labirynt Akaby to miejsce straszniejsze od każdego więzienia. Dzięki temu i tu, i na zewnątrz mało kto ośmiela się nam sprzeciwić. Dezercje zdarzają się ogromnie rzadko.

Z tonu głosu Daniela McAuliff wywnioskował, że nie warto drażnić tego tematu.

–Sprawdzacie dezercerów z powrotem?

Daniel pokiwał głową.

Członkowie Halidonu dobrowolnie utrzymywali swoją liczbę na stałym poziomie, poprzez kontrolę urodzeń. Daniel twierdził zresztą, że na każde małżeństwo pragnące mieć więcej dzieci przypada inne, które chce mieć jedno dziecko albo wcale. Minister dodał, ku zaskoczeniu McAuliffa:

–Małżeństwa zawierane są pomiędzy nami a osobami z zewnątrz. Jest to, po pierwsze, nieuniknione, po drugie zaś, pożądane. Siłą rzeczy procedura musi być skomplikowana i trwa wiele miesięcy, w myśl bardzo ścisłych przepisów.

–Znow selekcja, tylko w odwrotną stronę?

–Najostrzejsza, jaka może być. Pod stałym nadzorem rady.

–A co się dzieje, jeżeli małżeństwo okaże się...

–Kolejne niedozwolone pytanie, doktorze.

–Wydaje mi się, że kary muszą być surowe – odpowiedział Alex.

–Może się panu wydawać, co się panu żywnie podoba – uciął Daniel, ruszając przez pastwisko. – Najważniejsze, żeby pan zrozumiał, iż na całym świecie, wszędzie, mamy dziesiątki naszych rodzin, zakonspirowanych. Mamy wtyczki wszędzie, we wszystkich zawodach, w rządach, w tuzinach uniwersytetów i instytutów... Nie dowie się pan nigdy, że ktoś jest członkiem Halidonu. Na tym właśnie polega nasza groźba, stąd też płynie nasze poczucie bezpieczeństwa.

–Chce pan powiedzieć, że jeżeli opowiem komuś, czego się dowiedziałem, każecie mnie zabić?

–Pana, całą pańską rodzinę. Żonę, dzieci, rodziców... A jeżeli akurat nie ma pan rodziny, zabijemy kochankę, najbliższych współpracowników, wszystkich, którzy mogli lub mogą mieć wpływ na pańskie życie. Możemy wymazać po panu wszelki ślad, wszelkie wspomnienie.

–Musielibyście najpierw znać wszystkich, z którymi się kontaktuję, podsłuchiwać wszystkie telefony. Śledzić mnie, minuta po minucie. Nikogo nie stać na takie zabiegi! Przeciwnie, to ja mogę rzucić na was całą armię, to ja mogę was wytropić!

–Ale nie uczyni pan tego – dokończył Daniel cichym głosem, kontrastującym z wybuchowymi słowami McAuliffa. – Z tej samej przyczyny, dla której nie zrobili tego przed panem inni. Chodźmy. Jesteśmy prawie na miejscu.

Stali na skraju pola, mając za sobą żywą plątaninę liści. Dżunglę Cock Pitu spowijała już atramentowa czerń. Zupełnie nagle przestwór rozdarło przenikliwe, niesamowicie wibrujące wycie, które było jak zawodzenie, jak płacz nie ludzkiej istoty. Ton był niski i zdyszany, a roznosząc się echem, sięgał do najdalszych zakamarków świata. Przypominał dźwięk gigantycznego oboju, wznosząc się niespiesznie, zacierając w prostą garść muzycznych sylab i znów puchnąc w wysokie, proszące skomlenie.

Dźwięk nasilał się coraz bardziej. W jego echach zaczęły pobrzmiwać basowe tony, które szybowyły nad dżunglą i rozbijały się o skalne ściany z taką mocą, że wydawała się wibrować cała ziemia.

Zew ucichł nagle. McAuliff wciąż stał jak wrośnięty. W oddali widział przed sobą ludzkie sylwetki, maszerujące przez łąkę powoli, lecz pewnie, miarowym krokiem, wśród rozmnożonych cieni wieczoru. Kilku spośród tych ludzi niosło tłące się pochodnie.

Zrazu McAuliff dostrzegł tylko cztery czy pięć ludzkich sylwetek, kroczących od strony bramy, lecz zaraz ujrzał następne na południowym brzegu smolistego jeziora. Inni wynurzyli się z ciemności po północnej stronie łąki. Powierzchnię wody cięło kilka płaskodennych łódek, każda z pochodnią na pokładzie.

Po niewielu minutach ludzi było już dziesięciu, dwudziestu, trzydziestu... McAuliff stracił wreszcie rachubę. Nadchodzili zewsząd. Dziesiątki ludzkich sylwetek zdążyły niespiesznie, kołysząc się lekko, przez nocne pola, wszystkie w tę samą stronę. Wszyscy szli ku miejscu, gdzie stali Daniel i McAuliff.

Potem znów rozległo się nie ludzkie zawodzenie, jeszcze głośniejsze niż przedtem – choć wydawało się to niemożliwe. McAuliff przyłapał się na tym, że zatyka sobie uszy. Wibracje, jakie czuł w skroniach i w całym ciele, zaczęły mu sprawiać ból, fizyczny ból.

Gdy Daniel trącił go w ramię, McAuliff okręcił się błyskawicznie, jak pod ciosem. Przez sekundę myślał nawet, że ktoś go uderzył, taką torturę czuł w ciele, kiedy wokoło roznosił się ogłuszający, straszliwy i przeciągły zew.

–Idźmy – szepnął Daniel. - *Hollydoon* może pana okaleczyć.

McAuliff wiedział, że się nie przesłyszał. Daniel nie wypowiedział feralnego słowa jako „Halidon”, lecz właśnie *hollydoon*, jak gdyby pulsujący i ogłuszający dźwięk przyzwał go z powrotem ku innej, starszej i bardziej prymitywnej mowie.

Daniel ruszył szybkim krokiem, prowadząc Alexa prosto ku nieprzebitej ścianie roślinności. Nagle jednak zaczął schodzić w dół, rodzajem rowu czy okopu wrytym w podłożu dżungli. Alex przyspieszył kroku, by nadążyć i prawie wyłożył się na najwyższym stopniu długich kamiennych schodów, wykutych w skale.

Im niżej, tym szersze i przestronniejsze stawały się osobliwe schody. McAuliff poznał nagle, że zeszli do prymitywnego amfiteatru skalnego, którego ściany wznosiły się dziesięć czy dwanaście metrów ponad najniższy poziom. To, co brał za schody, stało się kręgiem koncentrycznych rzędów, zakrzywiających się po obu stronach zejścia.

Naraz nad ich głowami ucichł rozpaczliwy, ogłuszający zew. Cisza. Zupełna cisza.

McAuliff trwał w miejscu, wpatrując się w jedyne źródło światła: niski płomień, rozświetlający skalną ścianę, która zamykała z przodu amfiteatr. W ścianie widniała płyta z matowego, żółtego metalu, na płycie zaś spoczywała wyschnięta mumia, opatana cienką drucianą siecią, również z żółtego metalu. McAuliff nie musiał podchodzić bliżej, by się zorientować, jaki to metal. Złoto.

Wyschnięte, prastare zwłoki – niegdyś potężne – mogły należeć tylko do mistyka i potomka koromantyńskich wodzów afrykańskich.

Akaba.

Zachowane szczątki plemiennego protoplasty... Ciało sprzed wieków. Relikwia plemienia Akaby, wystawiona na widok wiernych. I nie tylko na widok

– Zejdźmy tędy. – Daniel wyszeptał te słowa, lecz Alex słyszał je głośno i wyraźnie. – Proszę usiąść obok mnie. Tylko szybko.

McAuliff zbiegł po pozostałych stopniach na sam dół skalnej misy i wraz z Halidonitą przeszedł na prawą stronę prymitywnej sceny, gdzie ze skały sterczały dwa kamienne bloki. Daniel wskazał Amerykaninowi jeden z nich – ten najbliższy mumii Akaby, która spoczywała niecałe trzy metry od siedziska.

McAuliff przysiadł na kamieniu, pochłaniając wzrokiem otwarty katafalk ze złotych płyt i sieci. Wyschnięte na rzemień zwłoki okrywała czerwono-czarna szata. Stopy i dłonie były odkryte. Potężne, podobnie jak głowa. Biorąc poprawkę na dwa stulecia kurczenia się tkanek, Akaba musiał być za życia ponad dwumetrowym olbrzymem.

Jedyna pochodnia rzucała spod złotego katafalku na skałę migotliwe cienie. Złote druty, otaczające od spodu wydrążony katafalk, migotały dziesiątkami rozbłysków. Im dłużej wpatrywało się w Akabę, tym łatwiej było uwierzyć, że ma się przed sobą grobowiec bóstwa, nadprzyrodzonego bóstwa, które zstąpiło niegdyś na ziemię i czyniło na niej cuda. Nawet dwieście lat nie potrafiło zatrzeć dziwnych śladów na potężnych dłoniach i stopach mumii. Inna rzecz – pomyślał McAuliff – że ów bożek, ów człowiek mozolił się o wiele bardziej niż zwyczajni ludzie...

Słyszając przytłumione stąpanie, geolog rozejrzał się po niecce amfiteatru. Przez ukryte w ciemnościach wejście zstępowała po schodach procesja mężczyzn i kobiet, stopniowo rozdzielając się i wypełniając kamienne ławy.

Wszyscy milczeli.

Ci, którzy nieśli pochodnie, rozstawili się w równych odstępach na kolejnych poziomach pod przeciwległymi ścianami. Wszystkie oczy skupiły się na zwłokach

pod złotą siatką.

Skupienie tłumu sięgało apogeum, jak gdyby obecni czerpali z ciała Akaby witalną siłę.

Milczeli.

Naraz bez najmniejszego ostrzeżenia ciszę rozdarł podobny do eksplozji zew, piorunowy dźwięk. Zawodzący lament zdawał się wydobywać ze skalnych trzewi ziemi, uderzał falą w kamień i wyrywał się w przestwór z niecki, która była grobowcem Akaby.

McAuliff poczuł, jak oddech zamiera mu w gardle, a w głowie zaczyna pulsować krew. Wtulił twarz między kolana i drżąc na całym ciele przycisnął dłonie do uszu.

Zew dosięgnął crescendo, zmieniając się w straszliwy, zawodzący strumień powietrza, który sięgał gorączkowego zenitu. Alex pomyślał z drżeniem, że nie jest możliwe, by ludzkie ucho wytrzymało takie natężenie krzyku. Nigdy jeszcze nie trząsał się tak mocno jak w tej chwili.

Potem zew ucichł i nad amfiteatrem zaległa znów cisza. McAuliff wyprostował się z wolna, opuścił ręce i mocno chwycił się kamiennego siedziska, próbując zapanować nad gwałtownym spazmem, który wciąż wstrząsał jego ciałem. W oczach ciemniało mu od krwi, jaka napłynęła do skroni. Stopniowo, krok po kroku, odzyskiwał zdolność widzenia i spojrzał na rzędy ludzi Halidonu, wybrańców plemienia Akaby.

Wszyscy oni, wszyscy co do jednego, nadał pożerali wzrokiem pradawną, wyschniętą mumię pod splotami złotej nici. Alex domyślił się, że w tej samej pozycji trwali i wtedy, gdy dźwiękowe szaleństwo jego samego omal nie przyprawiło o utratę zmysłów.

Odwrócił się do Daniela i zanim pomyślał, zachłysnął się z wrażenia. Minister rady także siedział pogrążony W transie, z szeroko rozwartymi oczami, znieruchomiałą twarzą i zaciśniętymi zębami. Od pozostałych odróżniał go tylko jeden szczegół: po policzkach Daniela spływały łzy.

–Powariowaliście... Zwariowaliście wszyscy – szepnął Alex. – To jakiś obłąd...

Daniel nie odpowiedział. Nie słyszał go i nie mógł usłyszeć. Był w hipnotycznym transie.

Hipnoza była zbiorowa: w trans wpadli wszyscy, którzy zasiedli w skalnej niecce wykutej w ziemi. Prawie setka mężczyzn i kobiet trwała w transie, posłuszna mocy, której McAuliff nie umiał sobie nawet wyobrazić.

Autosugestia. Autohipnoza. Zbiorowa halucynacja. Niezależnie od tego, jaką nazwą podsuwała Alexowi nauka, tłum zebrany wokół niego w amfiteatrze zapadł w trans, z którego nikt nie mógł się wyrwać, jak gdyby wszyscy ci ludzie przeszli w inny wymiar, znaleźli się w innym, nieznanym miejscu i czasie.

Alex poczuł, że jest tu jedynym intruzem. Rytuał, który oglądał, nie był przeznaczony dla jego oczu.

Lecz przecież nie prosił, by go tu zaprowadzono. Zmuszono go do tego, wyrwano z otoczenia i siłą uczyniono z niego świadka.

Cóż z tego, skoro świadectwo napełniało go tak ogromnym żalem. Nie pojmował

tej sceny. Mógł się jej tylko przyglądać, jak przyglądał się teraz wyschłym zwłokom olbrzymiego niegdyś Akaby.

Zapatrzył się w pergaminową skórę twarzy, która przed wiekami musiała być czarna. Przymknięte powieki, ich pośmiertny spokój. Potężne dłonie, jakże mocarne, złożone na czerwonej i czarnej szacie.

Alex znów spojrzał na twarz mumii. Jej oczy... jej oczy...

Boże! Jezu miłosierny!

Nie, to tylko gra cieni... Straszne, przerażające złudzenie...

Ciało Akaby drgnęło.

Oczy rozwarły się, mocarne dłonie rozczapierzyły palce, nadgarstki obróciły się, a ręce podniosły do góry... Niewiele, centymetry ponad zetlałą szatę.

W geście błagania. I tylko tyle.

Przed Alexem leżała już tylko wyschnięta mumia, okryta złotą siecią.

Geolog przycisnął plecy do kamiennej ściany, ze wszystkich sił próbując nie odejść od zmysłów. Zamknął oczy i kilka razy odetchnął głęboko, trzymając się kurczowo skalnego siedziska.

Nie wiedział, jak długo trwał w tym stanie – minutę, godzinę czy dziesięć przerażających lat. Otworzył oczy, dopiero gdy usłyszał głos Daniela.

–A więc widziałeś – brzmiało jego łagodne stwierdzenie. – Nie bój się. Nigdy już nie będziemy o tym rozmawiać. Nie ma w tym żadnej groźby, tylko dobro.

–Ja... bo ja... – McAuliff nie potrafił wykrztusić słowa. Po twarzy płynął mu kroplami pot, mimo że w amfiteatrze rady Halidonu było chłodno.

Daniel powstał i uczynił dwa kroki ku środkowi skalnej sceny, lecz zamiast przemówić do plemienia, zwrócił się wprost do McAuliffa. Choć mówił szeptem, wyraźne, odmierzone zdania odbijały się echem od ścian.

–Nauki Akaby dotyczą wszystkich bez wyjątku, tak jak wszystkich bez wyjątku dotyczą słowa proroków. Niewielu jednak słucha. Trudno, dzieło trzeba prowadzić dalej, rękoma tych, którzy to potrafią. Jakże prosta nauka. Akabie dane było odnaleźć ogromny skarb... Ci, którzy nie chcą słuchać, nie oglądają takich bogactw, nawet we snach. Cóż, wolą kraść, wolą psuć... Krążymy więc po świecie, chociaż świat nic o tym nie wie, i czynimy, ile się da... Tak już musi pozostać na zawsze, bo gdyby świat się dowiedział, wtargnąłby w nasze życie, zniszczył Halidon, zniszczyłby plemię Akaby, a nauki Akaby poszłyby na zatracenie... Nie jesteśmy naiwni, doktorze McAuliff. Doskonale wiemy, z kim rozmawiać, komu zawierzyć nasz sekret. Czy nawet naszą miłość... Ale niech pana nie zmylą te słowa. Potrafimy także zabijać i będziemy zabijać, by ochronić skarbiec Akaby. Gdy o to chodzi, potrafimy być groźni. Nie cofniemy się przed niczym. Prędzej zniszczymy siebie wraz ze skarbem, niż pozwolimy światu wtrącić się w nasze sprawy.

–Jako minister rady proszę, aby pan powstał, doktorze. Powstał i odwrócił się plecami do plemienia Akaby, do rady Halidonu, twarzą natomiast do ściany. Patrząc w skałę, usłyszy pan głosy, wymieniające miejsca i liczby. Jak powiedziałem, nie jesteśmy naiwni i wiemy, jak działa gospodarka. Nie ujrzy pan jednak ani jednej twarzy, tak jak nie pozna pan tożsamości mówców. Wystarczy, że będzie pan

wiedział, iż niosą w świat bogactwo Akaby.

–Po całym świecie rozprawdzamy bowiem ogromne sumy, tam zwłaszcza gdzie powszechne jest ludzkie cierpienie. W krainach głodu, wygnania... daremności. Co dzień nieprzeliczone tysiące zawdzięczają przeżycie Halidonowi. Codziennie niesiemy im pomoc. Konkretną pomoc.

–Proszę wstać i odwrócić się do ściany...

McAuliff podniósł się z kamiennego siedziska i stanął twarzą do skalnego muru. Przez ułamek sekundy jego wzrok padł na mumię Akaby. Potem przed oczami miał już tylko niebosiężną skalną płaszczyznę. Daniel zaś ciągnął:

–Wnosimy ten wkład nie licząc na polityczne zyski czy wpływy, a po prostu dlatego że posiadamy ukryty majątek i pragniemy go wykorzystać. Tako rzecze Akaba.

–Świat nie jest jednak gotowy, by przyjąć naszą naukę, naukę Akaby. Obluda świata zniszczyłaby nas w jednej chwili, popchnęłaby nas ku samozagładzie. A na to nie pozwolimy.

–Proszę więc zrozumieć jedno, doktorze McAuliff. Tak jak jest rzeczą pewną, iż przypląci pan głową wyjawienie naszego sekretu, równie pewny i znacznie ważniejszy niż pańskie życie byłby inny skutek: jeśli pan tak zrobi, zakończy się działalność Halidonu. A nie ma większej groźby dla świata...

Poszczególne głosy zaczęły teraz składać zwięzłe relacje:

–Kierunek afrykański. Ghana. Czternaście tysięcy buszli zboża. Pośrednik: Bracia Smythe, Capetown. Bank Barclay.

–Sierra Leone. Trzy tony medykamentów. Pośrednik: Hurtownia farmaceutyczna Baldazi w Algierze. Bank Constantine...

–Kierunek dalekowschodni. Wietnam, prowincje Mekong i Quan Tho. Aparatura rentgenowska z personelem i sprzętem. Pośrednik: Szwajcarski Czerwony Krzyż. Bank of America...

–Kierunek południowoamerykański. Brazylia, Rio de Janeiro. Szczepionka przeciwko tyfusowi. Pośrednik: skład medyczny Salizar. Banco Terceiro w Rio...

–Północna Ameryka. Zachodnia Wirginia, Appalachy. Dwadzieścia cztery tony żywności. Pośrednik: Atlantic Warehousing. Bank Chase Manhattan w Nowym Jorku...

–Kierunek indyjski. Dhaka, obozy dla uchodźców. Szczepionki i lekarstwa. Pośrednik: Międzynarodowa Organizacja do Spraw Uchodźców Bank Światowy, Birma...

Męskie i kobiece głosy wyliczały kolejno wszystkie dane, krótkimi zdaniami, w których jednak było pewne ciepło. Relacje zajęły prawie godzinę. McAuliff spostrzegł po pewnym czasie, że niektóre głosy słyszy po raz drugi, choć informacje każdorazowo dotyczyły innych miejsc. Nie powtórzyła się ani jedna nazwa.

Wreszcie zaległa cisza.

Długa cisza. Alexander poczuł, że ktoś mu kładzie rękę na ramieniu. Odwrócił się, by ujrzeć badawczy wzrok Daniela.

–Czy teraz pan rozumie?

–Owszem. Rozumiem – potwierdził McAuliff.

Znowu szli łąką w kierunku jeziora. Leśne odgłosy mieszały się z szumem górskiego wiatru i hukiem oddalonego o milę na północ wodospadu.

Stanęli nad brzegiem wody. Alex schylił się, podniósł kamyczek i cisnął go w smolistą, lśniącą toń, w której odbijał się księżyc. Podniósł wzrok na Daniela.

–Na swój sposób jesteście równie niebezpieczni jak cała reszta. Jedna osoba obdarzona taką... taką swobodą działania. Żadnej przeciwwagi, żadnych zahamowań. Czy aż tak wiele trzeba, aby dobro zamieniło się w zło? Malcolm mówił, że pańska... kadencja nie zależy od kalendarza.

–Nie zależy. Pełnię swoją funkcję dożywotnio. Tylko ja decyduję, czy złożyć urząd.

–I tylko pan wybiera następcę?

–Mam pewien wpływ na wybór. Ostatnie słowo należy oczywiście do rady.

–W takim razie jest pan jeszcze bardziej niebezpieczny, niż myślałem.

–Nie będę zaprzeczał.

Droga do Montego Bay okazała się znacznie łatwiejsza niż okrężny marsz znad Martha Brae, chociażby z tej przyczyny, że tylko niewielką część podróży odbyli piechotą.

Malcolm, który zamiast kaftana miał teraz na sobie elegancki garnitur wprost z Saville Row, poprowadził Alexandra wokół jeziora, skręcając na południowy wschód, gdzie spotkali przewodnika. Jamajczyk poprowadził ich ku podstawie zarośniętej dżunglą, skalnej ściany. Stalowa winda, której łańcuchy ukryto przemyślnie pośród skał, wywiozła ich na szczyt ogromnego urwiska. Tam drugi przewodnik posadził ich w wagoniku, który jeździł na stalowej linii ukrytej między koronami drzew.

Napowietrzną jazdę zakończyło spotkanie z kolejnym Jamajczykiem, który poprowadził ich przez serię głębokich jaskiń. Według Malcolma, zwano je Grotami Quickstep. Nazwa wzięła się podobno od siedemnastowiecznych bukanierów, którzy docierali aż tu z zatoki Bluefield, by chować pirackie skarby na dnie głębokich jezior wewnątrz pieczar. Inna wersja – uważana za bardziej prawdopodobną – głosiła, że w nazwie chodzi o podróżników, którzy nie patrzyli pod nogi i zabili się wpadając w skalne szczeliny. Rzeczywiście łatwo było sobie tu zrobić krzywdę, czy wręcz stracić życie.

McAuliff trzymał się blisko przewodnika, który oświetlał latarką skalne ciemności pieczary.

Kiedy wyszli z grot, przemaszerowali przez dżunglowe zarośla i przystanęli na pierwszej drodze, jaką McAuliff ujrzał w tych okolicach. Przewodnik sięgnął po nadajnik radiowy. Dziesięć minut później z mrocznych cieni po zachodniej stronie drogi wychynął pustynny łazik. Przewodnik pomachał im na pożegnanie. Prymitywny pojazd ruszył pędem przez płataninę górskich dróg. Kierowca starał się do minimum wyciszyć pracę silnika. Z pochyłości zjeżdżali więc samym rozpędem, a kiedy zbliżali się do ludzkich osad, wyłączali światła. Jazda zajęła pół godziny. Minęli przez ten czas wioskę Maroonów zwaną Accompong i skręcili na południe, by kilka mil dalej zatrzymać się na trawiastej łące.

W ciemnościach na skraju pola nieznane ręce wytoczyły spomiędzy paproci i akacji awionetkę. McAuliff rozpoznał w niej dwumiejscową maszynę typu Comanche. Wspięli się do kabiny, a Malcolm chwycił w dłonie drążek sterowy.

–To jedyny trudny odcinek, jaki nas czeka – zawołał, kołując do startu. – Musimy lecieć tuż nad ziemią, żeby nas nie wymacały radary. Niestety, to samo robią hurtownicy od gandzy, przemytnicy narkotyków. Nie wiadomo, czego się bardziej bać w powietrzu, policji czy zderzenia.

Dolecieli jednak bezpiecznie, choć kilkakrotnie kiwali skrzydłami, dając znak napotkanym awionetkom z marihuaną. Lądowali na polach przy samotnej zagrodzie na południowy zachód od Unity Hali. Do Montego Bay było stamtąd piętnaście minut jazdy.

–Nie możemy trzymać się murzyńskich dzielnic, bo wzbudzimy podejrzenia. Ty z racji koloru skóry, a ja przez ubranie i wygląd. Trudno, jutro musimy bez przeszkód poruszać się po dzielnicach dla białych.

Samochodem podjechali do hotelu Cornwall Beach i w dziesięciominutowych odstępach wzięli w nim pokoje. Zarezerwowano im kwatery obok siebie, lecz z osobnymi drzwiami.

Była druga nad ranem, toteż McAuliff z ulgą zwał się do łóżka. Nie kładł się od prawie czterdziestu ośmiu godzin, lecz mimo to długo jeszcze nie mógł zasnąć.

Miał się nad czym zastanawiać. Na przykład nad nagłą dezercją genialnego, samotnego niezgrabiasza Fergusona, wezwanego przez Crafta. Tak, dezercja to dobre określenie. Ferguson ulotnił się bez słowa. Alex mógł mieć tylko nadzieję, że Jimbo-mon ułoży sobie jakoś życie u Crafta. Do wyprawy McAuliffa zamknął sobie drogę już na zawsze.

Następna refleksja dotyczyła Jensenów, tak miłych, tak czarujących... I wbrew świątobliwym minom, po uszy zamieszanych w machinacje Dunstone Limited.

Dalej, Charles Whitehall, „charyzmatyczny przywódca”, palący się, by „na plecach czarnuchów przejechać przez Park Wiktorii, niczym Cezar w triumfie nad Pompejuszem”. W starciu z Halidonem Whitehall nie miał najmniejszych szans. Plemię Akaby nie miało zamiaru go tolerować.

Nauki Akaby nie zostawiały też miejsca dla działalności Lawrence'a, ogromnego mężczyzny i zarazem małego chłopca, następcy Baraka Moore'a. Rewolucja Lawrence'a była mrzonką. Jeżeli dojdzie do przewrotu, to na pewno nie do takiego, o jakim myślał Lawrence.

Alex zastanawiał się też nad Samem Tuckerem. Tuck, sękata, kamienna ostoja porządku. Czy na Jamajce Sam znajdzie wreszcie to, czego szuka po świecie? Bo nie ulegało wątpliwości, że czegoś szuka.

Najwięcej jednak rozmyślał McAuliff o Alison, o jej ślicznym półśmiechu i jasnych błękitnych oczach, a także o jej spokojnej zgodzie na wszystko, płynącej ze zrozumienia świata. Bardzo ją kochał w tej chwili.

Zasypiając już, zapadając w białą pustkę snu, zaczął się zastanawiać, czy będzie im jeszcze dane być ze sobą.

Jeżeli kiedyś skończy się obłąd.

Jeżeli uda się przeżyć.

I jej, i jemu.

Budzenie zamówił na za kwadrans siódma. Czyli o jedenastej czterdzieści pięć czasu londyńskiego. Południe. Czas Halidonu.

Po siedmiu minutach przyniesiono mu do pokoju kawę. Za osiem dwunasta.

Telefon zadzwonił trzy minuty później, czyli za pięć dwunasta czasu londyńskiego. Telefonował Malcolm, nie ze swojego pokoju, lecz z biura Associated Press, które w Montego Bay mieści się na St. James Street. Malcolm upewnił się, że Alex czuwa przy radioodbiorniku. Może warto też włączyć telewizor?

McAuliff zapewnił go, że włączył i radio, i telewizor.

Człowiek Halidonu mruknął, że zadzwoni później.

Za trzy siódma – w Londynie za trzy dwunasta – ktoś zapukał raptownie do drzwi pokoju. Alexander zerwał się z łóżka. Malcolm nic nie wspominał mu o ewentualnych gościach, tym bardziej że McAuliff nie znał w Montego Bay żywej duszy. Podszedł do

drzwi.

–Tak?

Za drzwiami ktoś odchrząknął i z wahaniem odezwał się znajomym, głębokim głosem.

–McAuliff, jest pan tam?

Alex w jednej sekundzie zrozumiał sytuację. Trudno o lepsze wyczucie czasu i symetrii wydarzeń. Tylko nadzwyczajny intelekt mógł zdobyć się na taki pełen symboliki gest i urzeczywistnić go natychmiast.

Otworzył drzwi.

W korytarzu czekał R.C. Holcroft, agent wywiadu brytyjskiego. Stał sztywno wyprostowany, a na twarzy malowało mu się ledwo skrywane zaskoczenie.

–Wielki Boże, to rzeczywiście pan... Nie wierzyłem, chociaż mi mówiono...

Sygnaly znad rzeki... Przychodzą regularnie, nic się tam nie dzieje!

–To najbardziej karkołomna opinia, jaką słyszałem w życiu – oświadczył Alex.

–Wywlekli mnie z hotelu w Kingston, uważa pan, dobrze przed świtem, wywieźli na wzgórze...

–I zabrali awionetką do Montego – dopowiedział McAuliff, zerkając na zegarek. – Niech pan siada, Holcroft, mamy jeszcze minutę i piętnaście sekund.

–Do czego?

–O tym się dopiero przekonamy.

Melodyjny i wysoki, typowo karaibski głos prezentera oznajmił wszem wobec na tle bicia zegara, że w „słonecznej, rajskiej krainie Montego Bay” minęła godzina siódma. W telewizorze pojawiła się nagle plansza z fotografią białej morskiej plaży. Siląc się na brytyjską wymowę, spiker zaczął się rozwodzić nad urokami „naszego wyspiarskiego życia”, witając na Jamajce „wszystkich gości ze wszystkich zimnych krain”. Nie omieszkał nadmieniść, że w Nowym Jorku trwa właśnie zadymka śnieżna.

Dwunasta w południe czasu londyńskiego.

Nic się nie działo.

Nic a nic.

Holcroft stał przy oknie i przyglądał się błękitnoszmaragdowym wodom zatoki. Nie odzywał się, z wściekłością człowieka, który stracił nad sobą panowanie, gdyż nie znał posunięć przeciwnika, a co gorsza nie rozumiał ich celu.

Wymanipulowany manipulant.

McAuliff usiadł na łóżku i zagapił się w telewizor; nadawano program reklamowy, z fałszywą słodyczą zachwalający uroki „pięknego miasta Kingston”. W radiu tymczasem puszczono hałaśliwą muzykę, przerywaną reklamami olejku do opalania Coppertone i samochodów do wynajęcia w firmie Hertz. Co pewien czas lepki kobiecy głos przypominał wyspiarkom w imieniu jamajskiego Ministerstwa Zdrowia, że „cięży można łatwo uniknąć”. Potem znów powtórzono prognozę pogody. W radiu mówi się nieodmiennie o dniu „częściowo słonecznym”, nigdy zaś o „częściowo zachmurzonym”.

Nic niezwykłego.

Nic.

W Londynie było już jedenaście minut po dwunastej.

Nadal nic.

A potem coś zaczęło się nareszcie dziać.

–Przerywamy na chwilę nasz program...

Stopniowo, jak drobna falka z głębin oceanu, która idąc nie zauważona ku powierzchni, wynurza się nagle jako groźny, spieniony wał wodny, narastał też w komunikatach przerażający obraz wydarzeń.

Pierwszy komunikat stanowił zaledwie preludium – był solówką na flet, w której kompozytor zarysowuje nuty, jakie zaraz podchwyci orkiestra.

Wybuch z ofiarami w ludziach w Port Antonio,

Wschodnie skrzydło rezydencji Arthura Crafta wyleciało w powietrze wskutek eksplozji ładunku wybuchowego, a powstały pożar strawił większą część budynku. Można się obawiać, że pośród ofiar znalazł się także patriarcha rodu i założyciel słynnej fundacji.

Krążą pogłoski, że serię wybuchów poprzedziła wymiana ognia z broni maszynowej. W Port Antonio wybuchła panika.

Broń maszynowa. Eksplozje.

No tak, nie zdarza się to często, ale słyszy się o podobnych sytuacjach, zwłaszcza na wyspie, gdzie odosobnione akty przemocy są równie pospolite jak tłumiony gniew.

Na następną „przerwę w programie” trzeba było czekać zaledwie dziesięć minut. Wiadomość nadeszła z Londynu, co McAuliffowi wydało się znaczącym zbiegiem okoliczności. Wagę zdarzenia podkreślał napis, który pojawił się w telewizorze u dołu ekranu: „Zamach w Londynie. Pełna informacja w dzienniku o ósmej”. W radiu puszczono do końca długą i hałaśliwą reklamę, po czym znowu rozległ się głos spikera. Tym razem powaga prezentera mieszała się z zaskoczeniem.

Nie znano na razie wszystkich szczegółów, znano za to skutki londyńskiego zamachu. W czterech punktach miasta zginęła czwórka ważnych osobistości ze świata polityki i przemysłu: dyrektor Lloyda, wysoki rangą funkcjonariusz władz podatkowych i dwóch deputowanych do Izby Gmin – obaj kierujący ważnymi komisjami do spraw wymiany handlowej.

Metody były dwie, jedna już znana, druga nowa, obliczona na to, by wstrząsnąć opinią publiczną.

Strzał ze snajperskiego karabinu, wymierzonego z okna w opatrzone markizą wejście do rezydencji przy Belgravia Square. Bomba w samochodzie, odpalona na parkingu w dzielnicy Westminster. I nowa metoda: trucizna, wstępnie zidentyfikowana jako strychnina, podana w koktajlu (martini z ginem marki Beefeater). Śmierć nastąpiła w ciągu dziesięciu minut, w mdłościach i straszliwych męczarniach... I wreszcie cios nożem, zadany na zatłoczonym rogu londyńskiego Strandu.

Zamachy powiodły się. Zamachowców, jak dotąd, nie ujęto.

R.C. Holcroft tkwił w oknie hotelu, przysłuchując się słowom wzburzonego jamajskiego prezentera. Kiedy się odezwał, było jasne, że i jemu udziela się

wzburzenie.

–O, Boże... Każdego z tych czterech facetów mieliśmy w swoim czasie pod lupą...

–Jak to?

–Podejrzewano ich o ciężkie przestępstwa. Nadużywanie stanowiska, wymuszanie pieniędzy, oszustwa... Niczego nie udało im się udowodnić.

–Za to teraz ma pan wreszcie dowód.

Następne wiadomości nadeszły z Paryża. Reuter ubiegł inne agencje prasowe, już po paru minutach informując świat o tym, co zaszło. Tym razem także odnotowano cztery ofiary. Sami Francuzi, konkretnie trzech Francuzów i jedna Francuzka. Tak czy inaczej, cztery trupy.

I znów, zamach dotyczył postaci z rządu i przemysłowców. Te same metody, co w Londynie: karabin snajperski, bomba, strychnina, nóż.

Zgładzona kobieta była właścicielką paryskiego domu mody, bezlitosną, znienawidzoną, sadystyczną lesbijką, od dawna podejrzewaną o związki z korsykańską mafią. Zastrzelono ją, gdy przekraczała bramę domu na St. Germain des Pres. Co do trójki mężczyzn, pierwszy z nich był członkiem wszechpotężnej Elysee Financial, komisji doradców przy prezydencie republiki. Jego citroen eksplodował na Rue de Bac przy przekręceniu kluczyka w stacyjce. Dwaj pozostali Francuzi kierowali firmami armatorskimi z Marsylii. Statki obu firm pływały pod banderą paragwajską, a ich właścicielem był... markiz de Chatellerault. Pierwszy armator złapał się za brzuch i upadł twarzą na blat kawiarnianego stolika na Montmartre. Strychnina w południowym espresso. Tors drugiego rozplątał rzeźnicki nóż, na pełnym ludzi chodniku przed hotelem George V.

„Parę minut po Paryżu nadeszły wieści z Berlina. Z Berlina Zachodniego, oczka w głowie władz z Bonn. O tym, co działo się we wschodniej części miasta, krążyły tylko pogłoski: za murem słyhać było syreny i gorączkowe krzyki w policyjnych radiotelefonach. Fakty były niejasne.

Jasne było natomiast to, o czym donoszono z Bonn.

Na Kurfurstendam Strasse zastrzelono z dachu pobliskiego budynku spieszącego do restauracji na umówione spotkanie *Unterschriftfuhrera* odpowiedzialnego w Bundestagu za całokształt polityki zagranicznej. Dyrektor imperium Mercedesa – Benza zatrzymał się w przypadkowym korku na autostradzie, gdy na przednie siedzenie jego samochodu wrzucono dwa granaty. Wybuch w ułamku sekundy zniszczył samochód i zgładził pasażerów. Znany handlarz narkotykami wypił trucizną w kuflu ciemnego piwa w barze Grand Hotelu, a nominat mający przejąć ster *Einkunfte Finanzamt* zginął w jednej chwili od wprawnego ciosu noża – w pełnym ludzi hallu jednego z gmachów rządowych.

Następny był Rzym. Snajper ukryty za posągiem dłuta Berniniego na placu Świętego Piotra zastrzelił watykańskiego stratega finansowego, kardynała, znienawidzonego skądinąd jako autora wojowniczej polityki wyciskania datków z najuboższych wiernych. Drugą ofiarą był *funzionario* mediolańskich *Mondadori*, który wjechał nagle w ślepy zaułek niedaleko Via Condotte. W chwilę później jego samochód eksplodował. Dyrektorowi urzędu celnego w rzymskim porcie lotniczym

Fiumicino zaaplikowano śmiertelną dawkę strychniny w kawie cappuccino. Wpływowy makler rzymskiej *Borsa Valori* otrzymał cios nożem między żebra, gdy po Hiszpańskich Schodach schodził na Via Due Macelli.

Londyn, Paryż, Berlin, Rzym.

Wszędzie po cztery ofiary. Metoda zawsze ta sama: karabin, materiał wybuchowy, strychnina, nóż. Cztery odrębne, przemyślnie sposoby działania, każdy obliczony na jak najszerwsze echo w środkach przekazu, na szok. Zabójcami musieli być wprawni zawodowcy. Żadnego z nich nie udało się ująć na miejscu zbrodni.

Radio i telewizja nie usiłowały już kontynuować codziennego programu. Wraz z kolejnymi nazwiskami widzowie i słuchacze dowiadywali się szczegółów życiorysu ofiar. Z informacji przebijała jeszcze jedna prawidłowość, na którą zwrócił McAuliffowi uwagę Holcroft, gdy mówił o czterech zamordowanych Anglikach. Ofiarami nie byli zwyczajni notable polityki czy biznesu. Na wszystkich zamordowanych ciążyły domysły i podejrzenia, wobec wszystkich władze prowadziły w swoim czasie dochodzenia. Kiedy do słuchaczy zaczęły docierać pierwsze aluzje na ten temat, zaintrygowani dziennikarze sięgnęli głębiej do archiwów, z maniacką energią dogrzebując się tuzinów zapomnianych już pogłosek – i nie tylko pogłosek, bo również faktów. Wśród faktów znajdowały się wyroki sądowe (określane dotychczas jako pozbawione podstaw), oskarżenia ze strony wykołowanych konkurentów, zwierzchników i podwładnych (oddalone, wycofane lub nie poparte dowodami) i sprawy wniesione przeciwko tym osobom, a następnie załatwione polubownie albo umorzone.

Dziennikarze sporządzili więc świetny przekrój informacji o podejrzanych. W miejsce niewinnych ofiar powstawał obraz zepsucia i brudu, aura korupcji.

Wszystko to dotarło do widzów i radiosłuchaczy, zanim wskazówki na zegarku McAuliffa pokazały dziewiątą rano, w Londynie była już druga po południu. Druga po południu na Mayfair.

W Nowym Jorku i Waszyngtonie zaczynała się pora urzędowania.

Dziennikarze nie kryli obaw, kiedy słońce wspinało się nad zachodnią półkulą. W eterze roilo się od spekulacji i domysłów graniczących z histerią. Zaczęto głośno mówić o międzynarodowym spisku, zмовie samozwańczych obrońców sprawiedliwości, fanatyków, którzy postanowili zemścić się na ofiarach w całym cywilizowanym świecie.

Czy akcja dotknie także wybrzeży USA?

Dotknęła ich, rzecz jasna.

Przed dwiema godzinami.

Leniwy amerykański olbrzym zaczął się dopiero przeciągać i nieprędko zauważył oznaki szerzącej się zarazy. Pierwsze informacje dotarły na Jamajkę z Miami. Radio Montego przechwyciło splątaną serię komunikatów, przesiało ją, posortowało i w końcu puściło w eter, odtwarzając z taśmy słowa rozmaitych prezenterów, którzy co tchu opisywali wydarzenia na podstawie taśm dalekopisów.

Waszyngton, wczesny poranek. Podsekretarz do spraw budżetu – funkcja o znaczeniu czysto politycznym, nagroda za kwestionowany powszechnie wkład w

fundusz wyborczy podczas ostatniej kampanii – zginął od kuli podczas porannego biegu, tuż obok swej rezydencji w Arlington pod Waszyngtonem. Zastrzelono go najprawdopodobniej z karabinu snajperskiego z celownikiem optycznym. Snajper zaczął się na wzgórzu nad drogą. Ciało odkrył przejeżdżający połą drogą kierowca o ósmej dwadzieścia. Śmierć nastąpiła mniej więcej dwie godziny wcześniej.

W południe czasu londyńskiego.

Nowy Jork. Około siódmej rano, gdy niejaki Angelo Dellacroce – uważany za ważną postać w mafii – wsiadał do swojego lincolna Continental w garażu willi w Scarsdale, nastąpił wybuch, który zmiotł z fundamentów cały garaż. Dellacroce zginął na miejscu, a dom został poważnie uszkodzony. Powszechnie uważa się, że Dellacroce...

W południe czasu londyńskiego.

Phoenix w stanie Arizona. Około godziny piątej piętnaście międzynarodowy finansista i handlarz nieruchomościami, właściciel rozległych terenów na Karaibach, Harrison Renfield, zemdlął i zmarł w swoim apartamencie na terenie klubu Thunderbird, gdzie do późnej nocy przebywał w towarzystwie przyjaciół. Nad ranem obudził się i poprosił o śniadanie. Policja podejrzewa, że został otruty, gdyż w korytarzu niedaleko pokoju Renfielda znaleziono nieprzytomnego kelnera, pracownika klubu. Policja zarządziła sekcję zwłok... Renfield zmarł o piątą rano czasu Gór Skalistych.

O dwunastej w południe czasu londyńskiego.

Los Angeles, Kalifornia. Dokładnie o czwartej nad ranem młody senator z Nevady – oskarżony niedługo wcześniej o machinacje podatkowe w Las Vegas, lecz oczyszczony z zarzutów – wysiadł z motorówki na molo w Marina del Ray. Motorówka była pełna gości powracających z przyjęcia na jachcie producenta filmowego. Między motorówką a wyjściem na molo ktoś podbiegł do senatora z Nevady i rozplątał mu brzuch, tak głęboko i tak długim ostrzem, że przez rozcięte plecy widać mu było kręgosłup. Senator osunął się między balowiczów, którzy ponieśli go dalej i dopiero po kilkunastu krokach zauważyli, że ciepły płyn pod nogami i na ubraniach to krew. Zapanowała panika, podsyciona alkoholem, lecz autentyczna. Czwarta nad ranem, Los Angeles.

Dwunasta w południe, czasu londyńskiego.

McAuliff spojrzął na milczącego, oszołomionego Holcrofta.

–Ostatni zamach miał miejsce o czwartej nad ranem, czyli w południe pańskiego czasu. W każdym kraju zginęły cztery osoby, zgładzone w identyczny, symetryczny sposób. Arawackie czwórki. Odyseja śmierci... Oni tak to nazywają...

–Oni, czyli kto?

–Niech pan zacznie rozmawiać z Halidonem, Holcroft. Nie ma pan wyjścia. Przedstawili panu przecież powody... Mówili mi, że to będzie tylko czubek góry.

–Góry?

–Czubek góry lodowej, jaką jest Dunstone.

–Te warunki są nie do przyjęcia – rozsierdził się R.C. Holcroft. Naczynia krwionośne na twarzy napęczniały mu niebezpiecznie, a na cerze pojawiły się

czerwone plamy. – Żadne czarnuchy nie będą nam tu dyktowały żądań!

–W takim razie nie dostaniecie tej listy.

–Wyciągniemy ją od nich siłą. Nie ma czasu na jakieś pakty z dzikusami.

Alexander nie mógł nie pomyśleć o Danielu, Malcolmie, o niewiarygodnej osadzie nad jeziorem, o katafalku Akaby. A także o skarbcu Akaby. O wszystkim, o czym nie mógł i nie chciał powiedzieć Holcroftowi. Zreflektował się na szczęście, że nie musi niczego mówić.

–Wmawia mi pan, że wszystko, co się stało, to robota dzikusów? Nie chodzi mi o morderstwa, nikogo nie mam zamiaru tu bronić, ale same metody zamachów, dobór ofiar... Sam pan się w tej chwili oszukuje.

–Gównu mnie obchodzą pańskie opinie...! – Holcroft podszedł prędkim krokiem do telefonu na nocnym stoliku. Alex został na fotelu przed telewizorem. Już szósty raz obserwował, jak Holcroft usiłuje się dodzwonić pod jedyny numer, jakim dysponował w Kingston. Łączą ambasady nie wchodziły oczywiście w rachubę podczas operacji specjalnych. Za każdym razem agentowi udawało się uzyskać połączenie z Kingston – co w Montego Bay nie jest rzeczą łatwą – lecz numer na końcu linii był wciąż zajęty.

–Cholera! Znów gówno! – wybuchnął agent.

–Niech pan zadzwoni do ambasady, zanim szlag pana trafi – poradził mu McAuliff.

– Niech pan zacznie rokowania z Halidonem.

–Bez kretyńskich pomysłów – uciął Holcroft. – W ambasadzie nie wiedzą nawet, kim jestem. Personel dyplomatyczny trzyma się od naszych spraw z daleka.

–To niech pan porozmawia z ambasadorem.

–Po co? Co mu powiem, na litość boską? „Wybaczy pan, ekscelencjo, nazywam się tak a tak. Mam na wyspie taką drobną misję...” Musiałbym mu wszystko powiedzieć, a to, zakładając że natychmiast nie rzuciłyby słuchawki, zajęłoby mi dobrą godzinę. Założę się, że ten kretyń zacząłby zaraz wysyłać szyfrogramy na Downing Street! – dokończył Holcroft, wracając do okna.

–W takim razie co pan zamierza?

–Odizolowali mnie umyślnie, rozumie pan chyba? – Holcroft wciąż stał przy oknie i nie patrzył na McAuliffa.

–Ja też odnoszę takie wrażenie.

–Zrobili to specjalnie, żeby mnie odciąć od ludzi, złamać psychicznie, tym co oglądamy tu już trzy godziny... – brytyjski agent urwał i zamyślił się.

W głosie McAuliffa także czuło się zastanowienie.

–Oznaczałoby to, że druga strona zna ten pański telefon w Kingston. Podłą czyli się i zwyczajnie odcięli linię.

–Nie sądzę – sprzeciwił się Holcroft, przepatrując wzrokiem wody zatoki. – W Kingston wiedzą już, że mnie uprowadzono. Nasi ludzie na pewno alarmują wszystkie komórki na Jamajce i próbują mnie znaleźć. Nic dziwnego, że telefon jest ciągle zajęty.

–Nie jest pan więźniem. Drzwi są otwarte – przypomniał mu McAuliff i nagle zastanowił się, czy aby ma rację. Podniósł się z fotela, podszedł do drzwi i otworzył

je.

Na korytarzu, niedaleko wind, stało dwóch Jamajczyków. Spojrzeli natychmiast na McAuliffa, a ten, chociaż ich nie znał, rozpoznał przenikliwy, kamienny spokój na ich twarzach. Widział już takie spojrzenie i taki sam wyraz twarzy wysoko w górach Flagstaff. Jamajczycy byli z Halidonu.

Zamknął drzwi i odwrócił się, by coś powiedzieć, lecz Holcroft uprzedził go i cicho, wciąż się nie odwracając, zapytał:

–Nadal ma pan pytania?

–Na korytarzu stoi jakichś dwóch typów – bez potrzeby odezwał się McAuliff. – Wiedział pan o tym, tak?

–Nie, nie wiedziałem, ale przypuszczałem, że tak będzie. W tej branży obowiązują pewne podstawowe zasady.

–Ale pan nadal uważa ich za dzikusów?

–Wszystko jest względne. – Holcroft spojrzał nareszcie na Alexa. – Będzie pan teraz pośrednikiem. Na pewno uprzedzili pana o tym.

–Jeżeli pośrednik to dla pana ktoś, kto zanieś im pańską odpowiedź, to owszem.

–Tylko tyle? Ma pan zanieść odpowiedź? Nie żądają od nas żadnych konkretnych gwarancji? – zdumiał się szczerze Brytyjczyk.

–Moim zdaniem zażądamy ich dopiero w drugim etapie. Umowa wygląda na stopniową. Poza tym nie wiem, czy tak chętnie uwierzą na słowo uległemu słudze Jej Królewskiej Mości. Za bardzo szafuje słowem „czarnuch”.

–Osioł z pana – burknął Holcroft.

–A z pana autokratyczny sfinks – odparł McAuliff z takim samym lekceważeniem. – Mają pana w garści, agent-*mon*. Mają też w garści listę kierownictwa Dunstone Limited. Przyszedł się pan bawić na ich podwórko... To oni decydują tutaj, co wolno, a czego nie.

Holcroft zawahał się i tłumiąc w sobie irytację zauważył: – Może nie jest aż tak źle. Pozostała jeszcze jedna droga, żeby wyjść z tej kabały. Halidon zabierze pana z powrotem. Chciałbym, żeby zabrali nas obu.

–Na to się nie zgodzą.

–Może nie będą mieli innego wyjścia.

–Umówmy się co do jednej sprawy – przerwał Alex. – W Cock Picie została moja wyprawa. Złożona z białych i z czarnych. Nikomu nie pozwolę narażać życia tych ludzi.

–Zapomina pan – odezwał się Holcroft cicho, lecz z olbrzymią wyższością – że znamy położenie obozu z dokładnością do tysiąca metrów.

–Nie macie szans w starciu z tymi, którzy nas pilnują. Niech pan sobie nie wyobraża, że jest inaczej... Jeden błędny krok, jedno odejście od planu i zacznie się masowa egzekucja.

–Ano tak – zgodził się Brytyjczyk – Taka sama egzekucja miała już w końcu miejsce poprzednim razem. A oprawcami byli ci sami ludzie, których metody i dobór ofiar tak pan podziwia.

–Okoliczności były wtedy zupełnie inne. Nie zna pan całej prawdy...

–Wystarczy już, McAuliff? Zrobię co w mojej mocy, żeby ocalić pańską wyprawę, ale muszę być z panem brutalnie szczery. Pana ludzi nie ma na pierwszym miejscu mojej listy, tak jak nie zależy na nich tym z Halidonu! Istnieją ważniejsze względy. – Anglik zamilkł, by przydać słowom większego znaczenia. – Zapewniam więc pana, że nasze środki wystarczą na znacznie poważniejszego przeciwnika niż jakąś bandę sfanatyzowanych... kolorowych. Nie radzę panu przechodzić za pięć dwunasta na stronę przeciwnika.

Na ekranie telewizora prezenter wciąż monotonnym głosem odczytywał kartki, wręczane mu przez sztab studia. Alex nie był pewien, że dobrze usłyszał, ale wydało mu się, że z ekranu padło znajome nazwisko, choć źle może wymówione, albo po prostu umieszczone w zupełnie nowym kontekście. Odwrócił się do ekranu i gestem dał Holcroftowi znak, by ten się uciszył.

Tak. Znał to nazwisko.

Podobnie jak wiadomość sprzed trzech godzin, była jedynie preludium do depeesz, które nadeszły potem – instrumentalnym wstępem do tematu, który rozwinie orkiestra – nową wieść McAuliff odczytał jako kodę. Terrorystyczna symfonia dobiegała końca.

Prezenter podniósł poważny wzrok na widzów i znów przeniósł go na kartkę.

–Powtórzę jeszcze najnowsze wiadomości. Savanna-la-Mar. Na tamtejszym prywatnym lotnisku Negril doszło do strzelaniny. Grupa nie zidentyfikowanych osobników napadła na kilku Europejczyków, którzy wsiadali do awionetki, by udać się do Weston Favel. Pośród trzech osób, które zginęły w strzelaninie, znajdował się francuski przemysłowiec Henri Salanne, markiz de Chatellerault oraz dwóch jego pracowników... Motywy zbrodni pozostają zagadką. Markiz przebywał w Savanna jako gość rodziny Wakefieldów, Pilot awionetki, zatrudniony przez Wakefieldów, zeznał, że w myśl ostatnich poleceń markiza mieli polecieć do Weston Favel, a stamtąd na niskim pułapie krążyć nad łąkami w głębi terytorium. Policja parafii Westmoreland nadal przesłuchuje...

Alex podszedł do telewizora i pstryknął wyłącznikiem, po czym odwrócił się do Holcrofta, chociaż powiedzieli sobie właściwie wszystko. Amerykanin nie był pewien, czy do agenta MI-5 dotarł sens obecnych wydarzeń.

–Jeszcze jedna ważna sprawa, o której pan zapomniał, Holcroft. Alison Booth. Pańskie brudne dojsście do Chatelleraulta... Pani Booth, pionek, przynęta wypożyczona z Interpolu... I co teraz, panie agent-*mon*? Siedzi pan tutaj, tak? Chatellerault nie żyje, a pan siedzi w hotelu w Montego Bay, nie w górach Cock Pitu. Proszę się nie chwalić, jakie to środki ma pan do dyspozycji, bo to zwykle skurwysyństwo. Został panu już tylko jeden środek, to znaczy ja.

Zadzwoił telefon. McAuliff pierwszy sięgnął po słuchawkę.

–Tak?

–Proszę o nic nie pytać, bo nie ma czasu – rozległ się zdenerwowany głos Malcolma. – Niech pan robi dokładnie to, co każę. Wypatrzyli mnie agenci MI-5. Miejscowi. Jednego pamiętałem z Londynu. Wiedzieliśmy, że się rozproszą po

wyspie, ale nie liczyliśmy, że tak prędko dotrą do Montego...

–Nie musi się pan kryć – wtrącił nareszcie Alex, patrząc na Holcrofta. – MI-5 idzie na współpracę. Nie mają wyboru...

–Powiedziałem, żebyś słuchał, durniu! Na korytarzu stoją dwaj ludzie. Trzeba im powiedzieć, że dzwoniłem i podać hasło. *Aszanti*. Słyszysz, *mon*? *Aszanti*.

Alex zdumiał się, że pełen brytyjskich manier Malcolm zwraca się do niego per *mon*. Jamajczyk musiał być w niezłej panice.

–Zapamiętam.

–Niech im pan powie, żeby zwiewali! Zaraz, już! Niedługo tamci obstawią wszystkie hotele. Musimy się pospieszyć.

–Czemu, do cholery! – przerwał znowu McAuliff. – Teraz ja coś powiem. Jest tu u mnie Holcroft i zaraz...

–McAuliff! – głos Malcolma stał się niski, wyraźny, nie znoszący sprzeciwu. – Wydział karaibski wywiadu brytyjskiego ma piętnastu specjalistów od Indii Zachodnich. Na więcej nie pozwala budżet. Z tej piętnastki siedmiu jest na żołdzie Dunstone Limited.

Cisza, jaka zapadła, była zupełna, a wnioski narzucały się same.

–Skąd dzwonisz?

–Z budki przed McNabs. Na ulicy pełno ludzi. Spróbuję się wmieszać w tłum.

–Ostrożnie z tłumami na ulicy. Słuchałem wiadomości.

–Dobrze, że słuchałeś, przyjacielu. O to nam wszystkim chodziło.

–Mówiłeś, że cię wypatrzyli. Gdzie w takim razie zniknęli?

–Trudno mi powiedzieć. W każdym razie mamy na karku Dunstone. Nawet my nie znaleźliśmy pełnej listy ich ludzi. Będą próbowali wziąć mnie żywcem. Akurat im na to pozwolę... Bywaj, McAuliff... Trzeba walczyć, bo jest o co.

Po tych słowach Malcolm odwiesił słuchawkę. Alexander w jednej chwili wrócił pamięcią do ciemnej nocy na londyńskich przedmieściach, nad Tamizą. W myślach ujrzał obraz dwóch martwych Jamajczyków w policyjnym aucie.

Akurat pozwolę wziąć się żywcem...

Cyjanek.

Jest o co walczyć...

Śmierć.

Trudno było w to wszystko uwierzyć. A przecież działo się to naprawdę. McAuliff delikatnie odłożył słuchawkę na widełki, przez moment mając wrażenie, że ciska garść ziemi na grób.

Chwila nie pozwalała na pogrzebowe refleksje.

–Kto dzwonił? – zapytał Holcroft.

–A, taki sfanatyzowany czarnuch. Nie wiem, czy interesuje pana moje zdanie, ale ten ktoś wart jest tuzin takich facetów jak pan. Z prostej przyczyny: przynajmniej nie kłamie.

–Mam dosyć pańskich świętoszkowatych pouczeń, McAuliff- rozdrażniony Anglik mówiąc to parsknął ze złości. – Fanatycy nie wypłacą panu miliona dolarów. Poza tym nie przypuszczam, żeby ten pański przyjaciel narażał dla pana skórę i własne

interesy, tak jak nam to ciągle przychodzi robić. Poza tym...

–Już naraził skórę – przerwał mu Alex, zmierzając ku drzwiom. – A pan jest teraz takim samym ruchomym celem jak ja.

Sięgnął do drzwi i rozwarł je jednym ruchem. Popędził korytarzem w stronę wind i zatrzymał się.

Na korytarzu nie było nikogo.

Rozpoczął się wyścig w oślepiającym słońcu, wyścig tym bardziej makabryczny, że toczył się pośród drażniących wzrok świetlnych odblasków, rzucanych przez szkło, chrom i kolorowe metale witryn Montego Bay. Wyścig w tysięcznym tłumie, wśród przepychanek, wśród rzesz ludzi o czarnej i białej skórze, pomiędzy stadami chudych mężczyzn i grubych kobiet, przybyszów spoza wyspy. Chudzielcy obwieszani byli aparatami fotograficznymi, a ich towarzyszkami miały na nosie idiotyczne ciemne okulary z oprawkami w błyszczące ząbki. McAuliff sam się zdumiał, że dostrzega te wszystkie szczegóły. Dlaczego tak go złościli ci ludzie? Wśród mężczyzn także dostrzegł kilku grubasów. Ci denerwowali się co chwila i z gniewnymi minami, stoicko, bez słowa, przeciwstawiali się chudym żonom.

McAuliff widział też setki par czarnych oczu, spoglądających wrogo z setek czarnych twarzy, mijanych kolejno w pędzie. Wszędzie dostrzegał szczupłe czarne twarze – nie wiadomo dlaczego same szczupłe – osadzone na kościstych czarnych tułowiach. Kanciaste, wynędzniałe, powolne sylwetki.

Wszyscy ludzie zlewali się McAuliffowi w jeden powtarzający się wciąż obraz, skaczący po kartkach zmysłów.

Wszystko i wszyscy, zapisani, trafiali do odpowiedniej szufladki, rozgorączkowany umysł nadal wypatrywał wrogów

Wrogowie już czekali. Z pewnością.

Przynajmniej jeszcze kilka minut temu...

McAuliff wpadł z powrotem do pokoju. Nie było czasu wyjaśniać rozjuszonemu Holcroftowi, dlaczego wybiegł na korytarz. Najważniejsze było teraz to, aby zmusić gniewnego Brytyjczyka do pomocy. Alex zapytał najpierw, czy Holcroft ma broń, i sam wyciągnął rewolwer, poprzedniej nocy otrzymany od Malcolma.

Na widok broni w ręce Amerykanina Holcroft uznał, że trzeba się pogodzić z sytuacją i z kabury pod marynarką wyjął mały, automatyczny pistolet marki Rycee.

Alexander porwał z krzesła letnią marynarkę z pasiastej kory – również prezent od Malcolma – i przewiesił ją sobie przez ramię, maskując rewolwer.

Wraz z Holcrofem wymknęli się z pokoju i korytarzem pognali, tam gdzie za windami widniały drzwi na klatkę schodową. Na półpiętrze za drzwiami natknęli się na pierwszego z dwójki Halidonitów.

Nie żył. Cieniutka strużka krwi zataczała doskonały półokrąg wokół jego szyi, tuż pod opuchniętą twarzą, wybałuszonym językiem i parą martwych, wytrzeszczonych oczu. Napastnicy udusili go drutem – jak zawodowcy, czysto i błyskawicznie.

Holcroft przyklęknął przy zwłokach, w odróżnieniu od McAuliffa, którego widok zbyt brzydził, by podchodzić bliżej. Anglik podsumował sytuację.

Również z wprawą zawodowca.

–Wiedzą, że jesteśmy na tym piętrze, ale nie wiedzą, w którym pokoju. Drugiego z tych głabów zabrali pewnie ze sobą.

–Niemożliwe. Kiedy mieli to zrobić? Poza tym nikt nie wiedział, że tu jesteśmy.

Holcroft spojrzał raz jeszcze na murzyńskie zwłoki. Kiedy przemówił, McAuliff usłyszał w słowach agenta gniew i ogromne zaskoczenie.

–O Boże... Musiałem być ślepy!

Geolog w tejże sekundzie zrozumiał, o co chodzi.

„Wydział karaibski wywiadu brytyjskiego ma piętnastu specjalistów od Indii Zachodnich. Na więcej nie pozwala budżet. Z tej piętnastki siedmiu jest na żołdzie Dunstone Limited...”

Tak mówił Malcolm, żołnierz Halidonu.

Tego samego domyślił się wreszcie manipulant Holcroft. Puścili się biegiem po schodach. Kiedy się znaleźli na poziomie westybulu, Holcroft zatrzymał się i uczynił coś dziwnego. Zdjął mianowicie pasek od spodni, zsunął z niego kaburę i schował ją do kieszeni, po czym zwinął pasek ciasno; schylił się i położył go w kącie. Powstał, rozejrzał się, przyniósł spod ściany popielniczkę na postumencie i tym sposobem zamaskował pasek.

–Miał pas tam nadajnik, tak? – zapytał go z miejsca McAuliff.

–Tak. Dalekiego zasięgu, z tym że sygnał wychwytuje się tylko na zewnątrz. Sygnał idzie stromym hakiem, więc w budynkach pożytek z tego żaden, za dużo zakłóceń... I Bogu dzięki.

–Chciał pan, żeby pana capnęli.

–Nie, wcale nie chciałem, ale zawsze była taka możliwość, nie zapomniałem o tym... Tylko co dalej, kolego? Teraz twoja kolej dyrygować tym cyrkiem.

–Mam jeden pomysł, tylko nie wiem, czy dobry. Znam lądowisko, w wiejskiej zagrodzie. Na zachód stąd, bo przyjechaliśmy szosą, niedaleko miejscowości, która się nazywa Unity Hall... Musimy tam dotrzeć. – Alex sięgał już do klamki w drzwiach do westybulu.

–Nie tędy – powstrzymał go Holcroft. – Na pewno obserwują wejście. Na ulicy też ich będzie pełno. Moim zdaniem musimy zejść na dół, do wejścia gospodarczego, rampy, bo ja wiem? Na pewno znajdziemy w przyziemiu jakieś drzwi.

–Zaraz, chwileczkę. – McAuliff złapał Anglika za ramię i siłą zmusił go do reakcji: – Ustalmy coś najpierw na przyszłość. Teraz, zaraz... Oszukali cię. Nabrali. Sprzedali cię twoi ludzie. Dlatego umawiamy się: żadnych telefonów z budki, żadnych znaków do przechodniów na ulicy. Biegniemy i nie zatrzymujemy się. Obojętnie, co by się działo. Jeśli się tylko zatrzymasz, radź sobie sam, bo ja znikam. Nie wiem, co wtedy zrobisz, chyba niewiele.

–Co ty sobie wyobrażasz? Do kogo niby miałbym teraz dzwonić? Do premiera?

–Nie wiem, do kogo. Wiem tyle, że ci nie wierzę jak psu. Nie wierzy się kłamcom. Ani manipulantom. A z ciebie jest kawał jednego i drugiego, Holcroft.

–Taką mam pracę – odburknął agent, nie opuszczając oczu. – Szybko się połapałeś, Alex. Zdolny z ciebie uczeń.

–Ale oporny. Nie podoba mi się twoja szkoła.

Tak rozpoczął się wyścig w oślepiającym słońcu.

Ruszyli w górę zakręcającej pochylni, która prowadziła do podziemnego garażu, i natychmiast wpadli na beżowego mercedesa, który nie przez przypadek stał na ulicy tuż przy garażowych wrotach. Alexander spostrzegł zaskoczoną minę białego kierowcy i gest, jaki po niej nastąpił. Kierowca sięgał już po miniaturowy nadajnik.

W ciągu następnych kilku sekund McAuliff stał się świadkiem czynów, których gwałtowności nie zapomniał do końca życia. Czynów dokonanych, co więcej, z wykalkulowaną precyzją.

R.C. Holcroft sięgnął do obu kieszeni jednocześnie, by z prawej wyciągnąć pistolet, a z lewej stalowy cylinder tłumika. Jednym ruchem nasadził tłumik na lufę, wcisnął magazynek i spokojnie podszedł do drzwi beżowego mercedesa. Otworzył je i nie prostując ręki wystrzelił w pierś kierowcy dwa pociski, zabijając go na miejscu.

Zamiast huku wystrzałów McAuliff usłyszał dwa ciche pstryknięcia. Kierowca zwałił się na deskę rozdzielczą. Holcroft sięgnął przez niego i lewą ręką podniósł nadajnik.

Słońce paliło jasno, na ulicy falował tłum spacerowiczów. Jeżeli nawet ktokolwiek dostrzegł egzekucję, nie zareagował. Brytyjski agent prawie nonszalanckim gestem zatrzaskał drzwiczki.

–O Boże... – Tylko na tyle zdobył się McAuliff.

–Przynajmniej się nie zdążył wystraszyć – rzekł prędko Holcroft. – Musimy złapać taksówkę.

Pomysł był dobry, gorzej poszło z jego wykonaniem. W Montego Bay taksówki nie krążą na ulicach, lecz zlatują się jak gigantyczne gołębie na postoje wyznaczone na rogach niektórych ulic, gdzie europejskim zwyczajem ustawiają się w kolejkę -po to by taksówkarze mogli pogawędzić z kolegami albo znaleźć lepszy kurs. McAuliffowi zwyczaj ten wydawał się zawsze obłądny; w tym momencie stał się nie tylko obłądny, ale wręcz zabójczy. Żaden z dwójki uciekinierów nie miał pojęcia, gdzie szukać taksówki. Oczywiście miejsce, jakim był hotelowy podjazd, odpadało ze zrozumiałych względów.

Okrążyli róg budynku i wypadli na ulicę strefy wolnocłowej. Od płyt chodnika bił żar. Wszędzie dookoła rozpychały się różnobarwne i spocone tłumy, zajęte zakupami. Ludzie ciągnęli stadami, wlekli się, przyciskali nosy do sklepowych witryn, zostawiając na szkle brudne smugi. Pożądliwie oglądali to, czego nie warto pożądać – błyskotki... Samochody tkwiły w korku na wąskiej ulicy, a dźwięk klaksonów mieszał się z przekleństwami i pogrózkami. Jamajscy kierowcy szli w zawody, kto kogo prześcignie, choć nagrodą nie był laur, tylko większy napiwek... a także mile polechtana duma własna.

Alexander pierwszy spostrzegł tego człowieka: dokładnie pod zielono-białym drogowskim z nazwą MIRANDA HILL i strzałką wskazującą na południe. Biały mężczyzna był zwalisty, ciemnowłosa, ubrany w garnitur z brązowej gabardyny. Zapięta mimo upału marynarka opinała muskularne ramiona. Mężczyzna przepatrywał wzrokiem ludzki potok na ulicy, kręcąc głową na wszystkie strony niczym monstrialna różowa łasica. W lewej ręce, tak potężnej, że urządzenie prawie w niej niknęło, mężczyzna trzymał walkie-talkie, identyczne jak to, które Holcroft zabrał z mercedesa.

Alex wiedział, że jeszcze parę sekund i obcy ich spostrzeże. Złapał Holcrofta za ramię, żałując w duchu, że obaj nie są przynajmniej o głowę niżsi.

–Tam, na rogu! Pod strzałką "Miranda Hill". Brązowy garnitur.

–Aha, już widzę. – Przystanęli pod nisko zwieszoną markizą wolnocłowego sklepu z alkoholami. Holcroft ruszył wprost ku drzwiom, przeprosinami torując sobie drogę w chmarze turystów. Koszule z Barbados i palmowe kapelusze z Wysp Dziewiczych dowodziły niezbiecie, że ludzka gromada wysypała się z kolejnego statku wycieczkowego. McAuliff chcąc nie chcąc podążył za Holcrofem. Brytyjczyk złapał go za ramię i trzymając go jak w kleszczach, okręcił plecami do ulicy, po czym popchnął go w kierunku wejścia do sklepu.

Wewnątrz agent ustawił się naprzeciwko drugiego końca witryny. Wprost przed sobą miał w polu widzenia zielono-biały napis. Mężczyzna w brązowym garniturze nadal taksował wzrokiem przechodniów.

–Ma takie samo radio – zauważył Alex.

–Jeśli nam dopisze szczęście, to skorzysta z niego. Na pewno dają sobie znać, co się dzieje. Znam tego faceta. Jest z Unio Corso.

–To taka mafia, tak?

–Trochę jak mafia, tyle że dużo skuteczniejsza w działaniu. Facet to Korsykanin, najemnik. Bardzo się droży, ale Warfielda stać nawet na taką usługę – relacjonował Holcroft równymi, krótkimi zdaniem. Widać było, że zastanawia się, co teraz. – Ten facet to nasza szansa.

–Może jaśniej – skrzywił się Alex.

–Ależ tak, już tłumaczę. – Anglikowi powróciła dworna uprzejmość, która Alexa doprowadzała do pasji. – Tamci zdążyli już obstawić cały teren. Wyobrażam sobie, że krążą po ulicach. Za kilka minut zorientują się, że nie ma nas w hotelu. Sygnał nie zmyli ich na długo. – Holcroft ukradkiem podniósł walkie-talkie do ucha i pstryknął kółkiem wyłącznika. Radio zaszumiało głośno. Agent pospiesznie je ściszył, a kilkoro turystów spojrzęło ze zdziwieniem, co się dzieje. Alexander posłał im niepewny uśmiech. Na rogu ulicy, pod szyldem, Korsykanin podniósł nagle radio do ucha. Holcroft popatrzył na McAuliffa.

–Dotarli do naszego pokoju.

–Skąd wiesz?

–Mówią, że w popielniczce tli się jeszcze papieros. Paskudny nałóg. Zostawiliśmy włączony odbiornik... Szkoda, że wcześniej o tym nie pomyślałem. – Brytyjczyk przygryzł naraz wargi, a w jego oczach błysnęło zrozumienie. – Ich samochód nadal krąży po ulicy. SIZ zaklina się, że sygnał wciąż dochodzi z budynku.

–Co za SIZ?

–Specjalista od Indii Zachodnich. Jeden z moich ludzi – wyjaśnił z pewnym bólem Holcroft.

–Twoich byłych ludzi.

–Nie mogą się połączyć z mercedesem – relacjonował szybko Holcroft. – Pora działać.

Szybko wyłączył radio, schował je do kieszeni i wyjrzał na ulicę. Korsykanin słuchał, co mówią przez walkie-talkie. Holcroft odezwał się znowu:

–Musimy to sprawnie załatwić. Słuchaj i notuj w pamięci. Kiedy nasz Włoch skończy meldunek, opuści radio. Wtedy go dopadniemy. Musisz mu wyrwać walkie-

talkie. Musisz, obojętnie, co się będzie działo.

–Ot, tak po prostu? – wystraszył się Alex. – A jeśli wyciągnie broń?

–Będę przy tobie. Nie damy mu czasu.

Korsykanin rzeczywiście nie miał czasu wyciągnąć broni.

Zgodnie z przewidywaniami Holcrofta, prześladowca zaczął mówić coś do mikrofonu. Holcroft i McAuliff zaczęli się na ulicy, zasłonięci niską markizą i przewalającym się tłumem. W tej samej sekundzie, w której Korsykanin zaczął opuszczać rękę, Holcroft trącił Amerykanina w żebra. Obaj ruszyli przez tłum, prosto ku nasłanemu mordercy.

Alex dopadł go pierwszy. Mężczyzna drgnął na jego widok i sięgnął prawą ręką do pasa, a lewą odruchowo ścisnął nadajnik. McAuliff złapał go za nadgarstek i z całej siły staranował Korsykanina barkiem. Morderca wyrznął plecami w słup z drogowskazem.

W tej samej sekundzie po twarzy Korsykanina przebiegł spazmatyczny skurcz, a z wykrzywionych ust wydobył się okropny, szczekliwy dźwięk. McAuliff poczuł, że na ubranie tryska mu ciepła krew.

Opuścił wzrok. Holcroft trzymał w ręce długi nóż sprężynowy – ten sam, którym przed sekundą rozpruł Korsykaninowi brzuch od żeber po miednicę, rozcinając przy tym pasek i materiał gabardynowej marynarki.

–Zabierz mu radio! – rozkazał agent Alexowi. – Zwiewaj na południe, wschodnią stroną ulicy! Spotkamy się na następnym rogu. No już!

Szok był tak przemożny, że Alex niewiele myśląc posłuchał natychmiast. Wyrwał radio ze sztywniejącej ręki Korsykanina i rzucił się przez tłum w stronę skrzyżowania. Dopiero w połowie drogi dotarło do niego, co robił w ostatniej sekundzie przed biegiem Holcrofta. Agent mocował się z ciałem Korsykanina, próbując je oprzeć o słup. Dawał Amerykaninowi czas na ucieczkę!

McAuliff usłyszał teraz za sobą krzyki, które z miejsca przeszły w crescendo wrzasków, pisków i głuchych ryków przerażenia. Pandemonium rozdarł przenikliwy gwizdek policjanta, a po nim następne. Tłum ciał dudniąc butami rzucił się do ucieczki.

McAuliff biegł także... Ale czy na pewno na południe? Czy na pewno wschodnią stroną ulicy? Nie miał siły się nad tym zastanawiać. Czuł tylko olbrzymi strach. I dotyk krwi na skórze.

Tyle krwi! Cholera, przecież ma we krwi całe ubranie! Nie sposób, by ludzie tego nie zauważyli!

Minął w pędzie uliczną restaurację, parasole kawiarni, gdzie biesiadnicy zrywali się z krzesłek, spoglądając ku północy, w stronę spanikowanego tłumu, krzyków i gwizdków, do których dołączyły się teraz syreny... Za rzędem skrzynek z kwiatami stał pusty stolik, nakryty obrusem w tradycyjną czerwoną kratę. Na stoliku stały cukiernica, solniczka i pieprzniczka.

McAuliff sięgnął poprzez kwiaty i porwał obrus ze stolika, strącając naczynia na cement chodnika, gdzie roztrzaskały się – nie wiedział, czy tylko cukiernica, czy też wszystkie. Nie zauważył tego nawet. Myślał jedynie o tym, by zasłonić cholerną

krwawą plamę, którą przesiąkły koszula i spodnie.

Od rogu ulicy dzieliło go już tylko dziesięć metrów. Co teraz, u diabła, co teraz? A jeśli Holcrofta przytrzymali? Czy trzeba tu będzie tkwić, zasłaniając się obrusem jak ostatni imbecyl i przyglądać się ulicznemu pandemonium?

–Szybko, już! – doleciało go zza pleców.

Odwrócił się, czując niewyobrażalną wdzięczność względem losu. Holcroft był tuż-tuż. Alex bezwiednie przyjrzał się jego dłoniom. Lśniły obie głęboką czerwienią, którą zostawiła na nich eksplozja korsykańskiej krwi.

Przeznica była szersza. Tabliczka informowała, że znajdują się na Queen's Drive. Ulica zakręcała pod górę, ku zachodowi. Alexowi coś przypominało to skrzyżowanie. Przy narożniku, który mieli po skosie, zatrzymało się auto. Kierowca wyglądał przez okno, zdziwiony widokiem pędzących ludzi i zgiełkiem.

Alex również musiał podnieść głos, by przekrzyczeć chaos:

–Tam, na rogu! Samochód!

Holcroft kiwnął głową na znak zgody.

Przemknęli przez jezdnię. McAuliff w biegu wyciągnął portfel i wygrzebał z niego zwitek banknotów. Pospiesznie zbliżył się do kierowcy – czarnego Jamajczyka w średnim wieku – i zachłystując się zaczął:

–Musi nas pan podwieźć. Zapłacę, ile pan zechce!

Jamajczyk zamiast się odezwać popatrzył na McAuliffa. W jego oczach pojawił się zwyczajny strach. McAuliff zorientował się wreszcie, o co chodzi: widocznie w biegu wsadził obrus pod pachę -nie pamiętał zupełnie tego gestu, bo odsłonił przed kierowcą w całej krasie wszystkie krwawe plamy na ubraniu.

Kierowca chciał już wrzucić bieg. W ostatniej chwili Alex sięgnął przez otwarte okno, złapał Jamajczyka za ramię i odepchnął od kierownicy. Potem cisnął swój portfel Holcroftowi, szarpnął za klamkę i wywlókł kierowcę na chodnik. Jamajczyk wrzasnął i zaczął wzywać pomocy. McAuliff przeciągnął go na skraj chodnika i pozostawił tam, ciskając mu zwitek banknotów.

Scenę obserwowało parunastu przechodniów, z których jednak większość uciekła, nie chcąc się mieszać do bójk. Inni gapili się, zafascynowani widokiem.

Dwóch białych nastolatków podbiegło do krawężnika, usiłując pozbierać banknoty.

McAuliffowi nie spodobało się to, choć sam nie wiedział dlaczego. Uczynił trzy kroki i wyprostował nogę, kopniakiem trafiając jednego z młodzieńców w ucho.

–Wypieprzać mi stąd! – ryknął.

Nastolatek zwałił się na ziemię, a z jasnych włosów natychmiast zaczęła mu ściekać krew.

–McAuliff?! – zawył Holcroft, biegnąc ku drzwiczkom od strony pasażera. – Wsiadaj i prowadź, u diabła!

Alex wskoczył za kierownicę i natychmiast ujrzał najgorszy obrazek, jaki w tej chwili mogli sobie wyobrazić. Spośród kłębiącego się ulicę dalej tłumy wyjechał beżowy mercedes, który nagle dodał gazu. Potężny, basowy pomruk silnika zwiastował, że wóz lada chwila zrówna się z nimi.

McAuliff wrzucił bieg i wcisnął pedał gazu do samej podłogi. Samochód zareagował posłusznie, a nagły pisk kręcących się kół uradował Amerykanina. Wyjechali na środek Queen's Drive, na szczyt wzgórza, które musiało być owym Miranda Hill z szyldu, i z miejsca wyprzedzili dwa samochody. Niebezpiecznie blisko, zderzając się prawie za każdym razem.

–Mercedes jechał w naszą stronę – odezwał się Alex do Holcrofa. – Nie wiem, czy nas widzieli.

Brytyjczyk okręcił się na siedzeniu, a jednocześnie wyciągnął z jednej kieszeni pistolet i z drugiej walkie-talkie. Wcisnął przełącznik odbioru. Na tle szumów słysząc było zdenerwowane głosy, wydające rozkazy i odpowiadające na pospieszne pytania.

Prześladowcy nie rozmawiali jednak po angielsku.

Holcroft znał przyczynę.

–Dunstone musiało wysłać na Jamajkę połowę wszystkich tych drani z Unio Corso.

–Rozumiesz, co mówią?

–Mniej więcej... Są na rogu Queen's Drive i Essex. W dzielnicy Miranda Hill.

Upewnili się już, że to my wywołaliśmy tamto zamieszanie.

–Innymi słowy: mają nas.

–Ile wyciśniesz z tego wozu?

–Nie jest zły. Ale mercedesowi nie ucieknie.

Holcroft do maksimum nastawił głośność i nie odrywał wzroku od tylnej szyby. Z głośniczka dobiegła nowa seria pospiesznych zdań. Jednocześnie Alex spostrzegł, że z pochyłości po prawej pędzi w ich stronę czarny pontiac. Zapiszczały hamulce, kierowca pontiaca zakręcił kierownicą.

–Matko Boska! – krzyknął McAuliff.

–To oni – potwierdził Holcroft. – Zachodni patrol potwierdza w radiu, że nas dostrzegli. Zakręcaj! W pierwszą lepszą ulicę!

Alex na pełnym gazie dotarł do szczytu pochyłości.

–Co widzisz?! – wrzasnął, skupiając uwagę na jezdni. Za wierzchołkiem wzgórza mogli natknąć się na inne samochody.

–Zawrócili za nami... Wpadli w poślizg w połowie wzgórza, ale już z niego wyszli.

Na wierzchołku wzniesienia Alex zakręcił kierownicą w prawo i znów wcisnął gaz aż do podłogi. Na stromym zjeździe wyprzedził trzy samochody i zmusił kierowcę jadącego z przeciwka do ratowania się ucieczką na chodnik.

–Kilometr przed nami jest jakiś park – powiedział, chociaż w oślepiającym słońcu, odbitym od tysiąca karoserii, nie był pewien, czy dobrze ocenił odległość. Nie było czasu na zastanawianie się. McAuliff zmrużył tylko oczy i nieoczekiwanie wrócił pamięcią do niedawnych scen w Kingston. Pościg. Park z torem wyścigów konnych. I kierowca, pomysłowy Jamajczyk imieniem Rodney.

–To co z tego? – Holcroft przygotowywał się już na to, co miało nastąpić. Prawą ręką, tą z pistoletem, wparł się w deskę rozdzielczą i odłożył skrzeczące radio na siedzenie.

–Prawie nie ma ruchu. Na chodnikach też pustawo... – Alex jeszcze raz szarpnął

kierownicą, wyprzedzając następne auto. Zerknął w lusterko. Czarny pontiak wyrósł za nimi, na samym szczycie wzniesienia. Ściganych od ścigających oddzielały teraz cztery inne samochody.

–Mercedes jedzie na zachód, w stronę Gloucester. Tak powiedzieli, Gloucester.

Ma za nimi ruszyć następny wóz, ulicą Sewell...

Holcroft ledwie nadążał z tłumaczeniem chaotycznej transmisji.

–Sewell jest na drugim końcu tej dzielnicy – mruknął Alex, tyleż do agenta, ile sam do siebie. – Gloucester biegnie wzdłuż wybrzeża.

–Zaalarmowali jeszcze dwa samochody. Jeden na rogu North i Fort Street, drugi na Union.

–W samym centrum Montego. Dzielnicą handlową. Próbują nam odciąć wszystkie drogi... Boże, naprawdę nie ma innej rady!

–Innej rady niż co?! – Holcroft musiał krzyczeć. Pisk opon, wiatr w oknie i ryczący silnik nie pozwalały na normalną rozmowę.

Na wyjaśnienia potrzeba było czasu, lecz choć szło tu tylko o kilkanaście sekund, McAuliff nie miał już ani chwili. Zamiast wyjaśniać, musiał teraz rozkazywać. Tak samo jak wiele lat wcześniej. Komendy, jakie wydawał na skamieniałych wzgórzach, brzmiały w jego uszach równie niepewnie, co obecna seria poleceń.

–Przeskocz na tylne siedzenie – rozkazał Brytyjczykowi, stanowczo, lecz cichym głosem. – Wybij tylną szybę, tak żebyś miał prześwit... Kiedy skręcę w bramę parku, pojedą za nami. Zaraz za bramą zawrócę w prawo i zatrzymam się. Natychmiast! Strzelaj od razu, kiedy tylko zobaczysz za nami pontiaca. Masz zapasowe magazynki?

–Mam.

–Załaduj pełny. Z tamtego wystrzeliłeś już dwie pestki. Tłumikiem nie zawracaj sobie głowy, bo tylko zwiększy rozrzut. Wal celnie, nie na chybił trafił. W przednią szybę i w drzwi. Staraj się nie rąbnąć w opony ani w bak.

Od kamiennej bramy parku dzieliło ich już tylko sto metrów – sekunda jazdy. Holcroft spojrzał dziwnie na Alexa, dosłownie przez mgnienie, i zaczął gramolić się na tył.

–Myślisz, że uda się zamienić samochody...

Nawet jeżeli było to pytanie, McAuliff nie miał na nie zamiaru odpowiadać.

Przerwał z miejsca:

–Nie wiem. Wiem tyle, że namierzyli ten wóz, a my musimy się dostać na drugi koniec Montego.

–Na pewno zauważą własne auto...

–Nie będą go szukać. Przynajmniej nie teraz, może za dziesięć minut... Jeżeli wcelujesz.

Po lewej stronie zamajaczyła brama. Alex zakręcił kierownicą. Samochód zarzucił, Holcroft zaś w tym samym momencie zabrał się za tylną szybę. Jamajskie auto, które mieli za sobą, skręciło w prawo, by uniknąć zderzenia, a wściekły kierowca zatrąbił przeraźliwie. McAuliff przemknął między słupami bramy i sam ostrzegawczo nacisnął z całej siły klakson.

Tuż za bramą nadepnął na hamulec, zakręcił kierownicą w prawo, znów dodał gazu i przeskoczył ponad krawężnikiem. Znowu nacisnął pedał hamulca. Samochód z szarpnięciem zatrzymał się na murawie. Przechadzający się ludzie patrzyli na to z oddali, a para siedząca niedaleko na kocu zerwała się na równe nogi.

Alexandra mało to w tej chwili obchodziło. Za parę sekund mieli otworzyć ogień. Spacerowicze uciekną, wyjdą poza strefę ostrzału i znajdą się daleko od pozycji ogniowej.

Strefa ostrzału. Pozycja ogniowa. Ukrycie. Słowa zapamiętane sprzed stuleci. Okazało się oto, że spacerowicze w parku to nie najzwyczajniejsi piesi. Wcale nie piesi.

Nie piesi, lecz cywile.

Cywile zaplątani w wojnę.

Nieważne, czy cywile domyślali się tego czy nie.

Sprzed bramy dobiegł ich teraz nagły, wibrujący w uszach pisk opon.

Holcroft wystrzelił przez wybite tylne okno. Pontiac w pędzie skręcił w bok, przeskoczył ponad przeciwnym krawężnikiem i roznosząc kępę tropikalnych krzewów wbił się w przyzmę ziemi, zostawionej przez parkowych ogrodników. Silnik nadal wył na wysokich obrotach, lecz skrzynia biegów zaklinowała się, a koła przestały się obracać. Wyciu silnika wtórował przeciągły jęk klaksonu. Z oddali dobiegały krzyki. Krzyczeli cywile.

McAuliff i Holcroft wyskoczyli z auta i pomknęli w tamtą stronę, przez trawę, asfalt i znowu przez trawę. Obaj trzymali broń gotową do strzału, lecz okazało się to niepotrzebne. R.C. Holcroft pokazał, co potrafi. Trafił przez otwarte okno pontiaca, nie naruszając wozu. Martwy kierowca osunął się bezwładnie na kierownicę. To pod jego ciężarem urywał się klakson.

Uciekinierzy obskoczyli samochód i jednocześnie targnęli za klamki – Alexander od strony kierownicy. Natychmiast wspólnie podnieśli martwe ciało. Jęk klaksonu urwał się raptownie, chociaż silnik nadal wył na wysokich obrotach. McAuliff sięgnął pod kierownicę i przekręcił kluczyk.

Cisza, jaka zapanowała, była wprost niewiarygodna.

Niestety, nadal mąciły ją krzyki ludzi na trawnikach i w alejkach.

Krzyki cywili.

McAuliff i Holcroft zgodnie szarpnęli i przerzucili zwłoki nad obitym dermą siedzeniem, zwalając martwego kierowcę na tył, na podłogę. Holcroft podniósł następny nadajnik. Przełącznik nastawiony był na nadawanie. Agent wyłączył go. Alexander siadł za kierownicą i gorączkowo zaczął się szamotać z dźwignią biegów.

Dźwignia nawet nie drgnęła. Alex poczuł, jak kurczy mu się żołądek. Drżały mu także ręce.

W porę przypomniał sobie daleki, dawno zapomniany obraz z dzieciństwa. Stary gruchot w zrujnowanym garażu. W tamtym wozie także wiecznie zacinały się biegi.

Trzeba na sekundę włączyć silnik. Zapalić. Zgasić. I jeszcze raz.

Tak długo, dopóki nie rozkleszczą się tryby w skrzyni biegów. McAuliff zabrał się do dzieła. Nie pamiętał, ile razy włączył i wyłączył silnik. Zapamiętał tylko z całej

sceny chłodny i spokojny wzrok R.C. Holcrofta.

Pontiac szarpnął do przodu, wbijając się jeszcze głębiej w ziemną pryzmę. Alex przesunął dźwignię na literę R, na wsteczny. Koła zabuksowały szaleńczo, a samochód wyskoczył na trawę.

Droga wolna.

McAuliff zawrócił w miejscu i skręcił na asfaltową aleję. Przycisnął gaz, rozpędzając wóz po murawie przed skokiem z wysokiego krawężnika.

Cztery sekundy później minęli kamienne filary bramy.

Alexander skręcił w prawo. Na wschód, z powrotem na Miranda Hill.

Wiedział, że Holcrofta w tym momencie zatkało, lecz mało się tym przejmował. Nadal nie było czasu na wyjaśnienia. Anglik zaczynał zresztą rozumieć zamysł, bo nie odezwał się.

Kilka chwil później, na pierwszym skrzyżowaniu, McAuliff przeskoczył czerwone światło i zakręcił w lewo. Na północ. Z tabliczki wynikało, że pędzą wzdłuż Corniche Annex.

Holcroft zapytał jednak o trasę.

–Jedziesz w stronę tego bulwaru nad morzem?

–Właśnie. Nazywa się Gloucester. Przecina Montego i zmienia się w szosę nr 1.

–Jedziemy w takim razie za samochodem Dunstone... Za mercedesem?

–Tak.

–Domyślam się, że skoro ostatnią transmisję – Holcroft poklepał tranzystorowy nadajnik – tamci dostali z okolic parku, ruszą tam najkrótszą drogą. Inną niż nasza, tak?

–Dokładnie. Skróty są dwa, przez Queen's Drive i przez Corniche Road. Obie ulice dochodzą do Gloucester.

–Inaczej mówiąc, tamci ruszą skrótami?

–Oby ruszyli.

–I oczywiście zaczną przeszukiwać park. – Mam nadzieję.

R.C. Holcroft rozparł się wygodniej na fotelu, jak gdyby poczuł nagle ulgę. W jego głosie był nawet cień podziwu.

–Z ciebie jest naprawdę bardzo pojętny uczeń, McAuliff.

–Powtórzę ci jeszcze raz, że to parszywa szkoła.

Czekali w ciemnościach, przycupnięci w zaroślach niedaleko lądowiska. Upływanie sekund odmierzały cykające świerszcze. Pontiacą porzucili wiele kilometrów stąd, na opustoszałej wiejskiej drodze za Catherine Mount, by piechotą ruszyć do zagrody za Unity Hall. Z przejściem ostatnich kilku kilometrów odczekali do zachodu słońca, a po drodze starali się nie rzucać w oczy. Kierunek podpowiedziały im tory jedynej jamajskiej linii kolejowej.

W skrytce w desce rozdzielczej pontiaca znaleźli mapę samochodową wyspy i przestudiowali ją uważnie. Oblęd. Większości ulic na zachód od centrum Montego w ogóle nie zaznaczono na mapie, inne ulice nie miały nazw, a o mniejszych zaułkach szkoda było nawet mówić. Dwukrotnie musieli przejść przez osiedla nędzy, gdzie mieszkańcy mierzyli ich wzrokiem, jak gdyby pytali, czego szukają dwaj biali w tej

okolicy. Łatwo w takich miejscach o pokusę wzbogacenia się kosztem zabłąkanych gości.

Holcroft uparł się, żeby obaj zdjęli marynarki. Mieszkańcy slumsów mogli więc oglądać broń, dyndającą jemu i McAuliffowi u pasa.

Byli w tamtej chwili jak dwaj kolonizatorzy, brnący przez wrogie zamorskie terytorium i pokazujący czarnym tubylcom, że mają ze sobą ogniste kije, które pluja śmiercią.

Idiotyczna sytuacja.

Na szczęście nikt na nich nie napadł.

W Westgate, kilometr od mostu kolejowego, przekroczyli rzekę Montego. Zaraz za torami natknęli się na tabor bezdomnych włóczęgów, którzy rozbili tam jamajskie obozowisko. Holcroft musiał rozmawiać z tubylcami.

Powiedział im że razem z kolegą sprawdzają linię jako inspektorzy towarzystwa ubezpieczeniowego. Obozowisko, choć niechlujne, nie przeszkadza im, pod warunkiem, że włóczędzy nie będą majstrować przy torach; Gdyby jednak z winy tubylców zdarzył się wypadek albo awaria, kary będą surowe.

Kolejna idiotyczna sytuacja.

Nikt nie zaczepił ich jednak, choć w oczach czarnej gromady tliła się nienawiść.

W Unity Hall była rampa towarowa i magazyn z pustym placem, oświetlanym przez dwie gołe żarówki. Wewnątrz poszarzałej od słońca i deszczu budy siedział stary pijak, raczący się rumem. Z trudem udało się z niego wydusić, w którą stronę muszą skręcić. McAuliff nie znał dokładnie kierunku, ale na oko potrafił ocenić odległość między zagrodą a szosą, która w Parish Wharf zakręcała w głąb wyspy. Do zagrody trzeba było iść na południowy zachód.

O wpół do dziesiątej wieczorem dotarli do lądowiska. Alex spojrzął po raz kolejny na zegarek. Wpół do jedenastej. Nie był pewien, czy podjął właściwą decyzję. Wiedział tylko, że nie mógł postąpić inaczej. Przywołał w myślach obraz długiego budynku na terenie lądowiska. Wewnątrz paliła się poprzedniego dnia żarówka. Teraz jednak w domu było ciemno. Nikogo.

Pozostawało czekać.

Minęła kolejna godzina. Jedyne odgłosy, jakie słyszeli, stanowiły zwykłe tło jamajskiej nocy: stąpanie drobnych drapieżników, wrzask ofiar, nie kończące się potyczki – nie obchodzące nikogo oprócz uczestników.

Dopiero pod koniec następnej godziny usłyszeli coś jeszcze. Nowy dźwięk.

Samochód. Jadący powoli, na niskim biegu, jak gdyby kierowca chciał zachować czujność. Intruz, który dobrze wie, iż znalazł się na cudzym terytorium.

Kilka minut później w bladym księżycowym świetle, sączącym się przez chmury, ujrzeni, jak przez pole biegnie pojedyncza postać. Sylwetka przemknęła najpierw do pomocnego krańca łąki i zapaliła pochodnię, by to samo uczynić z kolei czterysta metrów dalej, na południowym skraju lądowiska, i znów przejść na drugi koniec.

Następny dźwięk. Następny intruz. Stłumiony warkot, tak jak przedtem. Tym razem jednak dźwięk dolatywał z powietrza. Samolot, który na niskich obrotach silnika schodził prędko do lądowania.

Maszyna dotknęła kołami gruntu. Jednocześnie zgasła pochodnia na północnym skraju lądowiska. Niewiele sekund później awionetka zatrzymała się przy pochodni na południowym skraju. Z kabiny wyskoczył jakiś człowiek. Płomień zniknął natychmiast.

–Jazda! – szepnął McAuliff do brytyjskiego agenta. Ramię w ramię rzucili się pędem przez łąkę.

Nie ubiegli jeszcze pięćdziesięciu metrów, kiedy musieli się zatrzymać. Wszystko nastąpiło tak nagle, a zaskoczenie było tak całkowite, że Alex bezwiednie krzyknął i rzucił się na ziemię z rewolwerem gotowym do strzału.

Holcroft stał w miejscu.

McAuliff i Holcroft zastygli w skrzyżowanych, oślepiających smugach dwóch potężnych reflektorów.

–Niech pan rzuci broń, McAuliff – dobiegło ich spoza strug przeraźliwej jasności. W smugę światła wkroczył Daniel, minister rady plemienia Akaby.

To nie czary. Kiedy wkroczyliście na ten teren, włączyły się fotokomórki. Jechali samochodem, Daniel z przodu obok kierowcy, a Holcroft i McAuliff na tylnym siedzeniu. Daleko za sobą zostawili lądowisko i domy Unity Hali. Nadmorską szosą pomknęli do Lucea Harbour, gdzie zatrzymali się na zupełnie pustej, gruntowej drodze wysoko ponad morzem. Gościniec był jednym z licznych szlaków odchodzących od nadmorskiej szosy – tych, którymi gardzą zagraniczni turyści, pozostawiając je wyłącznie tubylcom. Blżej oceanu księżyc świecił znacznie jaśniej. Jego światło odbijało się w migotliwej wodzie i omywało żółtą mgłą twarze pasażerów auta.

McAuliff podczas jazdy mógł przyjrzeć się wnętrzu pojazdu. Z zewnątrz samochód wyglądał na zwyczajny pojazd nieokreślonej marki i rocznika. Na Jamajce jeździły setki takich wehikułów, poskładanych ze złomu. Za to wewnątrz rzucały się natychmiast w oczy istotne różnice: samochód był tak naprawdę precyzyjnie wykończoną fortecą na czterech kołach i ruchomym ośrodkiem łączności. Okna zaopatrzono w grube kuloodporne szyby. W burtach i w tylnej części kabiny widać było gumowe uszczelki, zakrywające szczeliny strzelnicze do prowadzenia ognia z dwóch strzelb o dużym kalibrze i krótkiej lufie, przypiętych za oparciem przedniego siedzenia. Pod deską rozdzielczą znajdowała się tablica ze wskaźnikami i przełącznikami. Między parą mikrofonów spoczywała słuchawka radiotelefonu. Wnioskując z pracy silnika, Alex pierwszy raz jechał osobowym wozem z napędem takiej mocy.

Gdy przychodziło poruszać się po świecie, Halidon cenił sobie wygodę.

Daniel cierpliwie tłumaczył McAuliffowi, że niepotrzebnie tak go dziwią wydarzenia z ostatnich dwóch godzin. Ministrowi wyraźnie zależało na tym, by uzmysłwić Amerykaninowi konkretność całej sytuacji. Kryzys osiągnął tak poważne rozmiary, że Daniel musiał powtórnie opuścić osadę i ryzykując życie próbował opanować sytuację.

Niewykluczone, iż chciał tym sposobem udowodnić R.C. Holcroftowi, że MI-5 ma tym razem do czynienia z rozsądnym, lecz niezwykle twardym przeciwnikiem.

–Musieliśmy się upewnić, że jesteście sami... Mówię oczywiście o waszej dwójce. Trzeba było sprawdzić, czy nikt się za wami nie ciągnie. Popołudnie okazało się gorące, ale zdaje się, że udało się wam wybrnąć po mistrzowsku. Sami nie mogliśmy wam pomóc. Gratulacje.

–Co się stało z Malcolmem? – zapytał Alex.

Daniel zamilkł i cichym, przygnębionym głosem odrzekł:

–Na razie nie wiemy. Szukamy go... Albo jest w bezpiecznym miejscu, albo nie żyje. Jedno z dwojga. – I spoglądając przez ramię na Holcrofta dodał: – Znał pan Malcolma pod nazwiskiem Joseph Myers, komandorze.

McAuliff także spojrział na agenta. A więc nie Holcroft-manipulant, tylko komandor. Komandor Holcroft, kłamca i krętacz... który naraża życie jednego człowieka, aby ocalić innego.

Jedyną reakcją Holcrofta na słowa Daniela było to, że dokładnie na dwie sekundy

przymknął oczy. Ze służbowego punktu widzenia informacja stanowiła dla niego zbędny balast. Żaden manipulant nie ścierpi, że ktoś go przechytrzył.

–Czy mogę polegać chociaż na jednym Murzynie spośród moich ludzi? Ja i tajne służby?

Minister uśmiechnął się lekko.

–Z naszych danych wynika, że nawet na siedmiu. Niestety, trzech z nich jest zupełnie do niczego.

–Dziękuję, że zechciał mnie pan oświecić w tym względzie. Wierzę, że poda mi pan przy okazji nazwiska... Sam pan wie, że wszyscy czarni wyglądają podobnie.

Daniel przyjął stereotypową zniewagę jak coś najzwyczajniejszego w świecie, choć jego uśmiech zgasł, a w oświetlonych księżycem oczach pojawił się nowy, chłodny wyraz.

–Owszem, rozumiem pański kłopot. Tak mało jest cech, po których nas można rozróżnić... Zwłaszcza z pańskiego punktu widzenia. Na szczęście są jeszcze inne miary. Nie przydadzą się panu te nazwiska.

Nie zrażony Holcroft również posłał ministrowi zimne spojrzenie.

–McAuliff przekazał mi wasze żądania. Powiem panu to samo, co rano powiedziałem jemu. Warunki są oczywiście niemożliwe do przyjęcia...

–Przepraszam, komandorze – przerwał mu prędko Daniel – ale sprawy tak się już skomplikowały, że nie ma sensu pogarszać sytuacji kłamstwem. Pańskie instrukcje były jasne od samego początku. Chyba że woli pan, żebyśmy zaczęli paktować z Amerykanami? Z Francuzami? Albo może z Niemcami?

Zaległa nieoczekiwana cisza, okrutne milczenie, jakie zapada tuż po egzekucji. Alexander obserwował parę przeciwników, wczepionych w siebie wzrokiem.

Przekonał się, że w oczach Holcrofta powoli świta bolesna świadomość przegranej,

–Wiecie o tym – szepnął Brytyjczyk.

–Wiemy – zapewnił go Daniel z prostotą.

Holcroft nie odezwał się już i zapatrzył się w okno.

–Obłuda wielkiego świata, doktorze – zwrócił się minister Halidonu do McAuliffa. – Komandor Holcroft to najlepszy oficer wywiadu we wszystkich służbach brytyjskich. Wydział, którym kieruje, miał koordynować działania wszystkich państw, o których wspominałem przed chwilą. Z tym jednak że koordynacja to puste słowo.

Ludzie z MI-5, prowadzący śledztwo w imieniu wszystkich stron umowy, nie informują sojuszników o tym, czego się dowiedzieli.

–Istnieją po temu usprawiedliwione i ważne powody. – Holcroft odwrócił się od okna.

–A wszystkie sprowadzają się do jednego, prawda, komandorze? Do kwestii tajności. Nie możecie ufać sojusznikom.

–Zbyt łatwo dochodzi u nich do przecieków. Wiemy to z doświadczenia – rzekł agent, który znów uparcie wpatrywał się w wodę.

–I dlatego rozmyślnie wprowadzacie ich w błąd – dopowiedział za niego Daniel. – Posyłacie im fałszywe informacje, obiecujecie skupić działania w basenie Morza Śródziemnego, w Ameryce Południowej, mowa jest o Argentynie, Nikaragui, nawet o

pobliskiej Haiti... Nigdy o Jamajce. – Minister zrobił pauzę i powtórzył z naciskiem: – Nigdy nie ma mowy o Jamajce.

–Rutynowy zabieg. – Holcroft zaszczyił Daniela krótkim, badawczym spojrzeniem.

–Skoro tak, to nie zaskoczy pana wiadomość, że wasi sojusznicy podzielają tę nieufność? Oni także wysłali swoje ekipy, najlepszych ludzi, takich jak pan. Wszystkie grupy idą tropem każdego strzępka informacji, jaki im łaskawie przyśle MI-5. A pracują z zapalem.

Holcroft odwrócił nagle głowę do Daniela.

–To wbrew całej umowie – stwierdził ze złością, nie podnosząc głosu.

Minister nie uśmiechnął się wcale na te słowa.

–Chyba nie pora ani miejsce na świętoszko watę pozy, komandorze. – I pod adresem McAuliffa dodał: – Pan oczywiście rozumie, panie McAuliff, że ponieważ konglomerat, jakim jest Dunstone Limited, ma siedzibę w Londynie, ustalono, że jego rozpracowaniem powinni się zająć Brytyjczycy? Nic w tym dziwnego: MI-5 to najlepszy wywiad na Zachodzie, a komandor jest jego najlepszym agentem. Strony wyszły z założenia, że im mniej tajnych służb weźmie się za tę aferę, tym łatwiej będzie zachować śledztwo w tajemnicy. Brytyjczycy mieli działać sami, informując pozostałe kraje o wynikach. Skutek był taki, że zaczęli fałszować dane.

Dopiero teraz Daniel pozwolił sobie na uśmiech.

–W pewnym sensie mieli świętą rację, jako że Amerykanie, Francuzi i Niemcy także gremialnie złamali umowę, a na pewno od samego początku nie mieli zamiaru jej dotrzymać. Wszystkie państwa zaczęły tropić poczynania Dunstone na własną rękę, głośno zapewniając, że zostawiają wolne pole Anglikom... Wszystko przez to, że naprawdę trzeba rozbić Dunstone. Rozebrać całą konstrukcję cegła po cegle, spółka po spółce. Tego domagają się światowe rynki. Kłopot w tym, że cegiełek jest mnóstwo... Oprócz tego każdy rząd wierzy, że jeśli tylko pierwszy osiągnie cel, to jest dostanie do ręki listę kierownictwa Dunstone... Cóż, wówczas otworzy się pole do licytacji.

Tego Holcroft nie mógł już ścierpieć.

–Śmiem twierdzić, że... kimkolwiek jesteście... Logiczne, że to Londynowi powinna przypaść rola wykonawcy.

–„Logiczne” czy tylko „pożądane”? Czasem ludzie mylą te pojęcia. Rozumiem pańskie stanowisko. Bóg, Królowa i Imperium Brytyjskie dostali w ostatnich dekadach po nosie. Nawet zbyt mocno, jeśli zważyć wasze i cudze grzechy. Nas jednak mało to obchodzi, komandorze. Jak zaznaczyłem, pańskie instrukcje były jasne od początku: za wszelką cenę zdobyć listę Dunstone. Wymieniłem tę cenę. Macie się zabrać z Jamajki. Wtedy otrzymacie listę.

Znów chwila milczenia i znów wymiana badawczych, uważnych spojrzeń. Chmura zasnuła księżyc nad Montego, zakrywając twarze pasażerów cieniem. Holcroft zapytał zaraz:

–Jak możemy sprawdzić autentyczność listy?

–Wątpi pan w jej autentyczność, po tym co się wydarzyło dziś rano? Proszę

pamiętać, że wyeliminowanie Dunstone leży w naszym wspólnym interesie.,

–Jakich gwarancji musielibyśmy wam udzielić?

Daniel roześmiał się, wesoło i szczerze.

–Nam nie potrzeba gwarancji, komandorze. My i tak się wszystkiego dowiemy Czy pan tego nie rozumie? Nasza wyspa to nie kontynent. Znamy tu wszystkich agentów, wszystkich pośredników i kontakty, z których korzystacie. – Uśmiech i wesoły ton skończyły się nagle. – Przerwijcie wszystkie działania na Jamajce. Zapłaćcie komu trzeba, dokończcie, co warto dokończyć, ale potem dosyć. Oddajcie Jamajkę prawowitym właścicielom. Naprawdę oddajcie, bez udawania. Zostawcie w spokoju nasze walki, nasz chaos i całą resztę kramu.

–A jeśli... – Anglik zawiesił głos. – Jeśli te decyzje nie zależą ode mnie...

–Proszę uważnie słuchać, Holcroft – przerwał ostro Daniel. – Dzisiejsze egzekucje rozpoczęły się w południe czasu londyńskiego. Zegar na wieży waszego parlamentu codziennie wybija dwunastą. Kiedy pan usłyszy ten ton, niech pan pamięta, że to, czegośmy dokonali dzisiaj, możemy powtórzyć nazajutrz. Będziemy mieli jeszcze wyraźniejsze powody po temu niż dziś. Anglia stanie się pariasem cywilizowanego świata, a na to pański kraj nie może sobie pozwolić.

–Śmieszą mnie te pogrożki! – zapewnił go Holcroft z równą pasją. – Sam pan mówi, że Jamajka to nie kontynent. Co nam szkodzi wkroczyć tu i was zniszczyć?

–Całkiem możliwe, że tak będzie – pokiwał głową Daniel. – Uprzedzę pana od razu, że jesteśmy gotowi na taki obrót rzeczy. Mieszkamy tu już w końcu dwieście lat. Nadzwyczajne, jak ten czas leci, prawda?... Zaklinam pana na wszystkie świętości, Holcroft, niech się pan zgodzi na nasze warunki. Będzie pan miał listę, a oprócz niej szansę na to, by coś uratować z Dunstone na użytek Anglii. Zasłużyliście na to, nie przeczę. Nie sądzę, żeby dało się uratować zbyt wiele, to inna sprawa. Ze wszystkich kierunków zlecą się sępy i zaczną szarpać padlinę. Jeśli trzeba, damy panu czas, powiedzmy kilka dni. Niech pan go nie marnuje!

Na tablicy przyrządów pod kierownicą zapaliło się czerwone światełko, oblewając przedni fotel krwawym blaskiem. Zaraz też rozległ się przerywany, ostry dzwonek. Kierowca sięgnął po słuchawkę i przyłożył ją do ucha na kilka sekund, po czym oddał ją Danielowi.

Minister Halidonu przez chwilę słuchał informacji. Alex widział w lusterku, że na jego twarzy pojawił się niepokój.

A później także gniew.

–Zróbcie, ile się da, ale bez narażania życia. Wszyscy nasi ludzie mają się stamtąd zabierać. Nikt nie ma prawa opuszczać osady. To moja ostateczna decyzja. Nieodwołalna!

Po tych słowach Daniel odłożył słuchawkę pod deskę rozdzielczą, odwrócił się na fotelu i popatrzył na McAuliffa, a później na Holcrofta.

–Brytyjskie doświadczenie, komandorze. Kolonialni eksperci w akcji – odezwał się z sarkazmem w głosie. – Pańscy zachodnioindyjscy specjaliści z karaibskiego wydziału MI-5 otrzymali od Dunstone nowe rozkazy. Mają dotrzeć do Cock Pitu i odnaleźć wyprawę. Dostali instrukcję, żeby nikt nie wyszedł stamtąd żywy

–Boże! – McAuliff przypadł do Daniela. – Może im się to udać?

–Proszę zapytać znawcę tematu – cierpko doradził mu Daniel, wskazując wzrokiem na Holcrofta. – To przecież jego ludzie.

Agent zeszywniał, jak gdyby na chwilę stracił oddech. Było jednak oczywiste, że błyskawicznie obraca w myślach najróżniejsze warianty sytuacji.

–Mają łączność z operatorem odbiornika, który łapie sygnały z obozowiska. Mogą ustalić położenie obozu...

–Z dokładnością do tysiąca metrów – dokończył za komandora Alex.

–Tak jest.

–Musisz ich zatrzymać!

–Nie bardzo wiem, jak.

–Musi być sposób! Na litość boską, Holcroft, przecież tam wszyscy zginą! – McAuliff złapał agenta za klapy marynarki i potrząsnął brutalnie. – Rusz się i zrób coś, bo ci łeb ukęcę!

–Zabieraj te łapy, bo...

Zanim agent zdążył dopowiedzieć groźbę Alexander zdzielił go otwartą ręką prosto w twarz, rozcinając mu wargę.

–Bo co, komandorku? Mówiło się o gwarancjach bezpieczeństwa. Proszę, gdzie te gwarancje!

–Zrobię co w mojej mocy – wybełkotał agent poprzez strużki krwi. – Niczego nie obiecywałem na pewno... Mieliliśmy się tylko starać...

–Ty skurwysynu! – McAuliff znowu zamierzył się do ciosu. Kierowca i Daniel jednocześnie złapali go za rękę.

–McAuliff! W ten sposób niczego pan nie osiągnie! – wrzasnął minister.

–Jemu niech pan powie, żeby coś wreszcie osiągnął! – Alexander przestał jednak krzyczeć, puścił Anglika i odwrócił się do Daniela ze słowami: – Macie tam swoich ludzi.

Naraz Amerykanin przypomniał sobie fatalne słowa, jakie Daniel wypowiedział do słuchawki. „Zróbcie, ile się da, ale bez narażania życia. Wszyscy mają się stamtąd zabierać. Nikt nie ma prawa opuszczać osady”.

–Proszę się z nimi połączyć! Odwołać rozkaz. Trzeba ocalić wyprawę!

–Musi pan coś zrozumieć – odezwał się cicho minister. Trzymamy się pewnych tradycji, pewnych nauk... Sposobów życia, które obowiązują nas od dwóch stuleci. Nie wolno mi narażać tej tradycji.

Alexander spojrzał Danielowi prosto w oczy.

–Będziecie się przyglądać, jak tamci giną? Tak nie wolno, do diabła!

–Niestety, nam właśnie wolno. I dlatego będziemy się biernie przyglądać. Potem zaś pozostanie nam kwestia, w jaki sposób pana zgładzić... Zrobilibyśmy to możliwie szybko. – Daniel podwinął kołnierzyk koszuli, ukazując zgrubienie pod materiałem. Pigułki, zaszyte w szwie. – Sam gotów jestem połknąć truciznę, jeśli nie będzie innego wyboru. Dla mnie decyzja jest prosta.

–Dla pana może owszem, ale na Boga! Mówimy o moich ludziach, nie o panu. Moi ludzie to nie Halidon. Nie wiedzą nawet, że istniejecie! Za czyją sprawę mają zapłacić

życiem?

W głosie Holcrofta rozbrzmiała niespodziewanie zjadliwa ironia:

–Są względy ważne i mniej ważne, McAuliff. Sam ci to mówiłem. Ważne dla nas... I dla nich.

–Na wojnie zdarzają się nieszczęścia, doktorze. Bywa, że muszą zginąć niewinni – dodał Daniel, udając że nie dostrzega podwójnego znaczenia własnych słów. – Istnieją pisane i niepisane prawa...

–Gówno, nie prawa! – rozkrzyczał się McAuliff. Kierowca wyjął zza pasa pistolet. Znaczenie tego gestu było oczywiste. Alexander prędko, badawczo spojrzął w twarz ministra Halidonu i brytyjskiego oficera wywiadu. – Posłuchajcie, panowie. Jeden z was obiecał mi przez telefon, że otrzymamy wszelką ochronę. Ty to powiedziałeś, Holcroft, więc nie wyjeżdżaj mi teraz, że będziecie się starać. W porządku, trudno, ale przynajmniej dajcie jakąś szansę mnie!

–W jaki sposób? – zapytał Daniel. – Nie ma mowy o wzywaniu jamajskiej policji czy wojska.

McAuliffowi przypomniały się nagle cudze słowa, słowa wypowiedziane przez Sama Tuckera nad żarem obozowego ogniska. Ciche stwierdzenie, którym Sam skomentował widok Charlesa Whitehalla i czarnego olbrzyma Lawrence'a, pogrążonych w dyspucie. „Najlepsza ochrona na świecie. Mogą się nawzajem nienawidzić, ale...”

Najlepsza ochrona wyprawy. McAuliff okręcił się ku Holcroftowi.

–Ilu ci zdezerterowało?

–Sprowadziłem z Londynu sześciu specjalistów...

–Tylko jeden z nich nie pracuje dla Dunstone – przerwał im Daniel.

–Czyli pięciu. Ilu mogli zwerbować dodatkowo? – zapytał McAuliff ministra Halidonu.

–W takim pośpiechu może trzech, może czterech ludzi. Zapewne najemników. To tylko zgadywanki... Poza tym zależy im na pewno bardziej na szybkości niż na sile liczebnej. Jeden doświadczony żołnierz z automatycznym karabinkiem...

–Jak dawno otrzymali instrukcje z Dunstone? – prędko zapytał Alex, nie czekając na finał niewczesnej refleksji Daniela.

–Oceniamy, że niedawno. Na pewno nie więcej niż godzinę temu.

–Mogą tu gdzieś znaleźć samolot?

–Mogą. Piloci od gandzy zawsze się zgodzą polecieć, byle im zapłacić. Na pewno trochę to potrwa. Przemytnicy to ludek podejrzliwy, ale dają się przekonać.

Alex spojrzął na Holcrofta, który palcami ocierał krew z warg... wytwornym gestem, jak gdyby strącał z ust okruszki ciasta podczas herbatki w Savoyu!

–Potrafisz się połączyć z operatorem tego radia, które łapie sygnały z obozowiska? Tym nadajnikiem? – McAuliff wskazał na radiostację pod deską rozdzielczą.

–Znam ich częstotliwość...

–Potrafisz czy nie?!

–Potrafię.

–Ale o co chodzi? – chciał wiedzieć Daniel.

–Chodzi o to, żeby sprawdzić, czy ci cholerni dranie już tam dotarli, ustalić, gdzie są...

–Potrzebny panu nasz samolot? – zapytał minister Halidonu, choć z góry znał odpowiedź McAuliffa.

–Tak!

Posłuszny poleceniu Daniela kierowca ruszył z miejsca.

–Nie musi pan znać ich pozycji. Tylko jedno miejsce nadaje się tam do lądowania: trawiasta łąka, trzy kilometry na południowy zachód od obozowiska. Znamy współrzędne tego punktu.

Samochód rozpedził się, zarzucił u wylotu polnej drogi, na której stali, i pomknął przez mrok w kierunku szosy.

Holcroft podał Danielowi częstotliwość radiostacji MI-5, a minister przekazał te dane dalej i wręczył słuchawkę brytyjskiemu agentowi.

Cisza w eterze.

Radiostacja nie odpowiadała.

–Znaleźć samolot to nie takie proste... – odezwał się cicho Daniel, gdy samochód mknął już z rykiem silnika po szerokiej szosie.

Alex położył nagle ministrowi rękę na ramieniu.

–Ten pański „tragarz”, który twierdził, że się nazywa Marcus... Proszę mu powiedzieć, żeby ostrzegł Sama Tuckera.

–Poleciałem ludziom wycofać się – odrzekł lodowatym głosem Daniel. – Niech pan nie zapomina, co mówiłem.

–Niech go pan pchnie z powrotem do obozu, na miłość boską! Trzeba im dać szansę!

–Chce pan pewnie powiedzieć, że... trzeba dać jej szansę?

Jeszcze nigdy w życiu McAuliff nie pragnął czegoś równie mocno, jak w tej chwili pragnął zamordować Daniela.

–Musiał pan to w końcu powiedzieć, musiał pan?

–Musiałem – przyświadczył Daniel, odwracając się, by widzieć wzrok McAuliffa. – Musiałem, dlatego, że wiąże się to z warunkiem, pod jakim dam panu samolot... Jeśli się panu nie uda i jeśli tamta kobieta zginie, pan zginie także. Odbierzemy panu życie. Całkiem po prostu. Po jej śmierci stałby się pan nieobliczalny.

Alexander wytrzymał badawczy wzrok ministra Halidonu.

–Całkiem po prostu – odrzekł. – Zgadzam się bez kłopotu. Gdyby zginęła, sam kazałbym się zastrzelić.

R.C. Holcroft nachylił się ku niemu i głosem jak zawsze odmierzonym i precyzyjnym oświadczył:

–Polecą z tobą, McAuliff.

Zarówno Daniel, jak i Alex spojrzeli na niego. Za sprawą tych kilku słów Holcroft nagle stał się dziwnie bezbronny. Zaskoczyła ich całkowicie taka reakcja Brytyjczyka.

–Dzięki – odezwał się wreszcie McAuliff, który naprawdę czuł w tej chwili wielką wdzięczność.

–Niestety, nic z tego, komandorze – powstrzymał ich Daniel. – Pan i ja... Mamy swoje porachunki. Jeśli McAuliff ma lecieć, niech leci sam.

–Jest pan barbarzyńcą – stwierdził ostro Holcroft.

–Jestem członkiem Halidonu. Poza tym chodzi nam o różne sprawy – panu i mnie.

McAuliff zadarł w górę nos awionetki, wychodząc ponad warstwę chmur. Rozpiął nareszcie kurtkę, pożyczoną od kierowcy samochodu, gdyż w ciasnej kabinie było mu gorąco. Awionetka Halidonu nie była tą samą, którą przylecieli z Malcolmem z lądowiska pod Accompongiem. Owszem, rozmiarami i wyglądem maszyna przypominała dwumiejscowego comanche'a, lecz była cięższa i bardziej zwrotna od tamtego samolotu.

McAuliff nie był dobrym pilotem. Nauczył się latać z konieczności, nie z zamiłowania do lotnictwa. Przed dziesięciu laty, kiedy uznał, że trzeba spróbować szczęścia w prywatnych firmach poszukiwawczych, uznał, że umiejętność pilotażu robi dobre wrażenie na potencjalnych pracodawcach. Wziął przepisową liczbę lekcji i rzeczywiście otrzymał licencję, najniższej klasy.

Umiejętność przydała się. Podczas tuzina wypraw na rozmaitych kontynentach McAuliff rzeczywiście miał okazję latać małymi, prymitywnymi awionetkami.

Modlił się do wszystkich świętych, by wystarczyło mu teraz tych umiejętności. Bo jeżeli nie, można dać sobie spokój z planami na przyszłość.

Na siedzeniu obok położył czarną tabliczkę w drewnianej ramie, jakich używa się czasem w pierwszej klasie szkoły powszechnej. Na tabliczce wypisany był kredą szkic trasy. Kredowe litery odcinały się wyraźnie w świetle lampek tablicy rozdzielczej. Ze swojego fotela McAuliff mógł odczytać prędkość podrózną na kolejnych odcinkach, kursy, wymagane wysokości lotu i znaki topograficzne, które przy księżycu i odrobinie szczęścia uda mu się znaleźć na trasie.

Po starcie z lądowiska pod Unity Hall miał krążąc nad łąką wspiąć się na wysokość trzystu metrów, a następnie skręcić na południowy wschód i lecieć kursem 115 ze stałą prędkością 90. Po kilku minutach miał się znaleźć nad Mount Carey, gdzie w polach musiał odnaleźć dwa płonące krzaki, podobno widoczne z daleka.

Wypatrzył je bez trudności.

Znad Mount Carey, z tą samą prędkością, lecz schodząc na dwieście pięćdziesiąt metrów, miał zakręcić na wschód-północo-wschód i kursem 84 dolecieć do Kempshot Hill, gdzie na drodze będzie czekać samochód z zapalonym szperaczem. Kierowca miał skierować szperacz w niebo.

McAuliff dostrzegł sygnał i zastosował się do następnej wskazówki na tabliczce. Zmiana kursu była tym razem minimalna, bo tylko o osiem stopni, na kurs 92, z tą samą prędkością i pułapem. Trzy i pół minuty później znalazł się nad Amity Hall. I tutaj znakiem był pożar buszu, a przepisana zmiana kursu prawie niezauważalna.

Wschód-północo-wschód, kursem 87 do Weston Favel.

W Weston Favel miał zmniejszyć wysokość lotu do stu pięćdziesięciu metrów, utrzymać prędkość, znaleźć na drodze w południowej części osady dwa samochody stojące nos w nos i mrugające światłami. Zmienić kierunek lotu dokładnie na kurs 90 i zmniejszyć prędkość do 75.

W chwili gdy samolot znajdzie się nad Martha Brae, McAuliff miał skręcić o trzydzieści pięć stopni na południowy wschód i kursem 122 lecieć dalej. Od tego

punktu był już zdany wyłącznie na siebie. Żadnych, sygnałów z ziemi i oczywiście absolutna cisza w eterze.

Podane prędkości, kierunki i czasy były wszystkim, na co mógł się zdać podczas lotu... I nie tylko podczas lotu. Z utrzymaniem wysokości nie miał kłopotu, kwestia ważnego pilotażu. Leciał najniżej jak się dało, uważając na wyrastające stopniowo pochyłości dżunglowych wzgórz. Gdyby nawet znad Cock Pitu dostrzegł ogniska, nie byłoby gwarancji, że widzi obozowisko wyprawy. W górach sporo było wędrownych plemion, czasem ognisko rozpalali także myśliwi. Kursem znad Martha Brae McAuliff miał lecieć dokładnie przez cztery minuty i piętnaście sekund.

Jeśli ściśle zastosuje się do wskazówek i jeśli nie zdarzą się niespodziewane odchylenia w postaci nagłego wiatru albo deszczu, miał Szansę znaleźć się po tym czasie w pobliżu górskich łąk. Jeśli noc będzie jasna, a światło księżyca wystarczające – znów, jeśli” – powinien wówczas znaleźć miejsce do lądowania.

I najważniejsza sprawa. Gdyby po drodze napotkał inne samoloty, miał im dwa razy pokiwać prawym skrzydłem. Był to dla innych pilotów znak, że mają do czynienia z takim Samym przemytnikiem marihuany jak i oni. Przepisany etykietą ukłon, jakim się witają dżentelmeni przestworzy.

Przed nosem awionetki raptownie wyrastały wzgórza, o wiele prędzej niż się tego spodziewał McAuliff. Przyciągnął do siebie drążek sterowy i poczuł, jak prąd wznoszący podrywa maszynę od czoła. Zredukował gaz i wciągnął klapy. Turbulencja stawała się coraz silniejsza, nasilał się także wiatr.

McAuliff ponieważ zrozumiął, skąd wzięła się nagła zmiana prądów i dziury powietrzne. Lecąc przepisany kurs dostał się we front szalejącej nad dżunglą ulewy. Grube krople zaczęły rozpryskiwać się o szybę i bębnić po kadłubie. Wycieraczki okazały się do niczego. Przed sobą widział tylko jednolitą, nieprzezroczystą i pociętą deszczem szarość. Szarpnięciem opuścił lewą owiewkę kabiny, dodał gazu, położył się w ostrym zakręcie w lewo i spojrzął w dół. Teren pod skrzydłami był jednolicie czarny. Jak okiem sięgnąć nic oprócz gęstej dżungli bez najmniejszych przerw. W pamięci odtworzył odcinek lotu znad Martha Brae. W nerwach, w panice. Pilnował, żeby trzymać stałą prędkość, pilnował także busoli. Mimo to zboczył z kursu, niedużo, ale jednak. Nie był zbyt dobrym pilotem, a nocą latał do tej pory tylko dwa razy, choć nawet na to nie pozwalała mu kategoria licencji. W normalnych warunkach odchylenie od kursu, powstałe z winy instrumentów czy też błędu pilota, można skorygować na podstawie przyrządów, znaków terenowych czy przez namiar radiowy.

Odchylenie było jednak faktem. McAuliff pomyślał, że zbił go z kursu wiatr, wiejący... bakwindedem od prawej burty. Natychmiast skarcił się w myśli za herezje terminologii. Wielki Boże, nie żeglował przecież jachtem! Wyrównał lot i delikatnie pochylił się w prawo, ponownie wchodząc w strefę ulewy. Przednia szyba znowu okazała się bezużyteczna. Wyciągnął rękę ponad fotelem pasażera i opuścił owiewkę z prawej strony kabiny. Huk wiatru wdzierającego się z obu stron do samolotu wypełnił ciasne wnętrze. Wiało okropnie, do kabiny wdzierały się potoki wody, zalewając fotele, podłogę i tablicę przyrządów. Deszcz zachlapał też tabliczkę z

namiarami. Jej czarne tło zalśniło, a kredowe znaki wydawały się puchnąć pod warstwą wody, jaka się zebrała w ramkach.

Naraz McAuliff zobaczył to, czego szukał. Trawiasty płaskowyż. Dostrzegł go po prawej burcie – nie po prawej burcie, u diabła, tylko pod prawym skrzydłem! W dole, pośród zupełnej czerni, zamajaczyła jaśniejsza plama, szarawe wyżłobienie w samym środku ciemnego lasu.

Podczas dolotu musiało awionetkę znieść w lewo. Niedużo,, dwa lub trzy kilometry.

Najważniejsze, że udało się znaleźć lądowisko. Poza tym jednym faktem nic nie miało w tej chwili znaczenia. McAuliff raptownie zszedł w dół, tuż nad drzewami położył się na lewe skrzydło i zatoczył półokrąg przed lądowaniem. Podchodził z kursu 2,80. Pchnął drążek sterowy w przód i zniżył się ku ziemi.

Wysokościomierz pokazywał dwadzieścia metrów, kiedy na zachodzie, za samolotem, rozbłysła burzowa błyskawica. McAuliff był wdzięczny za to dodatkowe oświetlenie, które na sekundę rozdarło mrok. Ufał przyrządom pokładowym, a w promieniach własnych reflektorów widział zbliżającą się łąkę, lecz daleki biały błysk dodał mu pewności siebie.

Błyskawica sprawiła, że pod lasem udało mu się dostrzec sylwetkę drugiej awionetki. Stała na łące, z nieruchomym śmigłem, tuż przy północnym skraju pola. Dokładnie w tym punkcie pochyłości, skąd odchodziła trzykilometrowa ścieżka do obozu.

No, tak. Nie udało się zdążyć na czas. Za późno!

Awionetka McAuliffa dotknęła kołami gruntu. Amerykanin przegazował silnik i pokołował w stronę drugiej maszyny. Wolną ręką wyjmował już zza pasa broń.

Reflektory awionetki oświetliły człowieka, który machał do McAuliffa. Nie miał w rękach broni, nie próbował też wcale uciekać czy kryć się. Alexa zaskoczyło to zupełnie. Takie zachowanie nie miało sensu, zwłaszcza u zawodowych morderców, jakimi byli ludzie z Dunstone. Tymczasem człowiek, którego miał przed sobą na łące, nie zdradzał najmniejszych oznak wrogości. Zamiast tego zrobił na przywitanie dziwny gest, bo wyprostował obie ręce w bok i opuścił prawą, a lewą zadarł do góry, powtarzając ten ruch kilkakrotnie, gdy McAuliff kołował w jego stronę.

Alex przypomniał sobie wskazówki, jakie dostał na lądowisku pod Unity Hall. Jeżeli pokażą się inne samoloty, trzeba im pokiwać prawym skrzydłem. Obniżyć prawe skrzydło... Albo prawe ramię.

Oświetlony reflektorami człowiek był pilotem, przemytnikiem marihuany!

McAuliff zatrzymał awionetkę i wyłączył zapłon. Mocniej ścisnął kolbę rewolweru i objął palcem język spustowy. Przemytnik podbiegł od tyłu do otwartej kabiny i krzyknął coś, czego Alex nie usłyszał w szumie deszczu. Okazało się, że jest biały, chociaż twarz ledwo mu było widać spod kaptura peleryny. Amerykański akcent. Z głębokiego Południa, z delty Missisipi.

–Sie masz, kolego! Kurwa, ruch tu jak w burdelu przy sobocie, niee? Nareszcie biały człowiek, proszę, proszę. Czarnych to ja mogę wozić, a czarne pruć, ale niech nikt mi nie każe ich lubić! – Pilot miał dość wysoki, natrętny głos. Jego słowa niosły

się po całej łące. Był średniego wzrostu i – wnioskując z twarzy – drobnej budowy, lecz otyły. Mały człowiek, który nie potrafi udźwignąć ciężaru lat. Pilotowi stuknęła już czterdziestka.

–Dawno usiadłeś? – głośno zawołał Alex, próbując ukryć zdenerwowanie.

–A, z dziesięć minut temu. Trafił mi się kurs z szóstką czarnuchów, uważasz.

Dziesięć minut czy coś koło tego. Na pewno to ich szukasz, co? Też wozisz towar?

–Wozisz się.

–Jak się robi chryja, zaraz biorą ogon pod siebie, przestają być tacy cholernie dumni, niee? A w tych górach łatwo sobie napytać biedy. Rozpuścili się bez nas. Mów, co chcesz, na takich jak oni potrzeba białej ręki!

Korzystając z osłony, jaką dawała deska rozdzielcza, McAuliff wsadził broń za pasek. Nie miał chwili do stracenia, lecz musiał najpierw zrobić coś z pilotem.

–Mówili ci, że jest chryja? – zapytał niby od niechcienia. Otworzył drzwi kabiny i w deszczu stanął na skrzydle awionetki, a potem zeskoczył na mokrą ziemię.

–Koszmarne chryja, kolego. Z tego, co mówili, jakaś druga banda czarnych koleśki oskubała ich do czysta. Przejęła towar, a forszę schowała, uważasz, Co się dziwić, że moje czarnuchy tak się obładowały żelastwem.

–Zaszło nieporozumienie! – oświadczył McAuliff z ogromnym przekonaniem i dodał z obawą: – Jezus Maria! Tego brakowało, żeby ci cholerni idioci...

–Mówili, że nie popuszczą. Chcą krwi, kolego! Uważasz, co się dzieje? Czarni będą tu zaraz wypruć czarnym flaki! To lubię!

–Jeśli tylko spróbują, pół Nowego Orleanu pójdzie z dymem! O rany... – jęknął Alexander. Największe miasto w Luizjanie było też głównym punktem przelotowym narkotyków w całych południowych i południowo-wschodnich Stanach. Pilot wożący marihuanę nie mógł o tym nie wiedzieć. McAuliff wskazał mu punkt o sto metrów na prawo od miejsca, gdzie, jak pamiętał, zaczynała się ścieżka, i zapytał: – Pobiegli w tamtą stronę, nie?

–Sami, kurwa, nie wiedzieli, którądy iść, kolego! Jeden miał ze sobą wykrywacz, sam nie wiem, radar czy licznik Geigera, wielkie pudło, ale do niczego. Nie, mnie się zdawało, że poszli tamtędy – pilot wskazał miejsce na lewo od ukrytej leśnej ścieżki.

Alex szybko obliczył własne szanse. Wykrywacz, który mieli ze sobą mordercy z Dunstone, działał tylko w promieniu tysiąca metrów od nadajnika, a co więcej, nawet gdy odbierał sygnały, nie wskazywał, czy jest się bliżej czy dalej od ich źródła. Było to zresztą główną wadą miniaturowych radiostacji dalekiego zasięgu, rozsyłających wiązkę fal po stromym łuku.

Tysiąc metrów przez gęstą, prawie nieprzebytą dżunglę terenów Cock Pitu. Nawet dziesięciominutowa przewaga nie gwarantowała jeszcze powodzenia ludziom z Dunstone. Nie wiedzieli przecież o istnieniu ścieżki. Alex też nie pamiętał jej biegu, lecz szedł nią już, i to dwukrotnie. Musiał więc tylko wyprzedzić grupę morderców. Jeżeli, jak twierdził południowiec, tamci ruszyli nie prosto ku obozowisku lecz w bok, to zakładając, że pójdą prosto i zakręcą, dopiero gdy coś zauważą... McAuliff mógł ich jeszcze dogonić.

Pod jednym warunkiem. Że odnajdzie ścieżkę i że nie zgubi jej w ciemnościach.

Zapiął ciasniej kurtkę, chroniąc się przed deszczem, odwrócił się ku drzwiom kabiny swojej awionetki, otworzył je, podciągnął się, opierając kolano na zastrzale skrzydła, i sięgnął do schowka za fotelem pilota. Leżała tam strzelba z krótką lufą, samopowtarzalna, o dużym kalibrze -jedna z dwóch, które jechały za siedzeniem w samochodzie Halidonu. Broń była odbezpieczona, magazynek na miejscu. W kieszeniach McAuliff miał jeszcze cztery magazynki, z dwudziestoma nabojami w każdym.

Sto nabo!

Cały arsenał McAuliffa.

–Muszę ich dogonić! – wrzasnął przez strugi deszczu pod adresem południowca.
– Inaczej będzie, że to przeze mnie spalił się Nowy Orlean!

–Ci z Nowego Orleanu to nerwowi kolesie. Jak mam wybór, to dla nich nie latam. Nie pieprzą się z człowiekiem, uważasz...

Zamiast odpowiedzieć, McAuliff pognął w stronę skraju górskiej łąki. Ścieżka zaczynała się na prawo od kępy parzących paproci. Tak przynajmniej pamiętał. Paprocie sparzyły mu twarz, kiedy za szybko wszedł między nie, idąc za przewodnikiem z Halidonu.

Cholera! Nie ma!

Zaczął na oślep rozgarniać ociekające gałęzie, liść po liściu, łodyga za łodygą, w nadziei że rośliny sparzą mu rękę i tym sposobem zdradzą, gdzie szukać ścieżki. Musiał znaleźć ścieżkę, musiał zacząć marsz dokładnie we właściwym punkcie. Każda pomyłka byłaby zgubna w skutkach, gdyż pomogłaby ludziom z Dunstone utrzymać przewagę, a wówczas zniknęłaby szansa, by ich doścignąć.

–Za czym tak buszujesz?

–Co?! – Alex odwrócił się w kręgu ostrego światła. Był tak przejęty poszukiwaniami, że nawet nie wiedział, kiedy przeładował strzelbę. W zaskoczeniu gotów był posłać kulę w intruza.

Pytanie zadał oczywiście południowiec, który podszedł bliżej i zdumiony zapytał:
–Co jest, kolego? Nie masz latarki? Kpisz sobie, czy naprawdę chcesz iść w ten gąszcz bez latarki?

O rany! Latarka została w awionetce. Daniel napominał, żeby w lesie uważać na światło i nie używać latarki niepotrzebnie. Ale to jeszcze nie znaczy, że trzeba ją zostawić w samolocie!

–Zapomniałem. Na pewno znajdzie się w kabinie.

–Na twoim miejscu modliłbym się, kurwa, żeby się znalazła – zauważył pilot.

–Daj mi swoją, co? Możesz sobie zabrać moją.

–Dam, ale masz mi obiecać, że przedziurawisz z tej flinty paru czarnych! – Pilot podał McAuliffowi latarkę. – Kurwa, nie mogę z tym deszczem. Wracam do kabiny. Pomyślnych łowów, kolego!

McAuliff odprowadził wzrokiem pilota, który co sił pędził do awionetki, a sam odwrócił się z latarką ku krawędzi dżungli. Przekonał się, że stoi dosłownie dwa metry od kępy paproci. W świetle widać było wydeptaną trawę, w miejscu gdzie zaczynała się ścieżka.

Rzucił się w zarośla.

Biegł ile sił w nogach, czując jak stopy płaczą mu się w poszyciu, a twarz i tułów smagają niewidoczne w mroku macki gałęzi. Ścieżynka zakręcała, w prawo, w lewo, znów w prawo, w prawo, dalej w prawo... Przerażony McAuliff pomyślał już, że biega w kółko, ale na szczęście ścieżka wyprostowała bieg na krótkim odcinku u podnóża pochyłości.

Nie zniknęła jednak. McAuliff nadal nią szedł, a tylko to było w tej chwili ważne. Zaraz potem zoczył ze szlaku. Ścieżka zniknęła. Zgubił ją!

W ciemnościach rozległ się rozzwierający skrzek, wzmocniony jeszcze przez tropikalną ulewę. W świetle latarki McAuliff tuż przed sobą dojrzał w zasłoniętym palmowymi liśćmi zagłębieniu dziką świnię, maciorę z miotem ślepych jeszcze warchlaków. Z włochatego, okropnego ryja wydobył się następny kwik i ostrzegawcze chrząknięcie. Locha zaczęła wstawać, strząsając uczezione wymion warchlalki. McAuliff rzucił się w lewo, wprost w ścianę dżungli i natychmiast potknął się o kamień. Potem o następny, i następny. Upadł w błoto, a latarka potoczyła się kawałek dalej. Teren był równy i nie zarośnięty. McAuliff odnalazł ścieżkę.

Zerwał się na równe nogi, podniósł latarkę, przycisnął strzelbę do boku i rzucił się w głąb wyciętego pośród dżungli korytarza. Przebiegł tak niespełna sto metrów. Dalej ścieżkę przecinał strumień o błotnistych, zdradliwych brzegach. McAuliff pamiętał przeprawę. „Tragarz”, który podawał się za Marcusa Hedrika, skręcił nad wodą w lewo. Na pewno w lewo? A może w lewo skręcał, gdy szli od obozowiska? Nie, na pewno w lewo. W nurcie widać było za dnia kamienie i palmowe pnie, po których można było przebrnąć na drugi brzeg wąskiej strugi. Alex rzucił się w lewo, celując latarką w wodę.

Odnalazł pnie. Kamienie także – cały prowizoryczny most nad bagnem wsysającym nogi.

Po prawym pniu pełzły w jego stronę dwa węże, powoli, coraz bliżej. Nawet jamajskie mangusty nie mają odwagi zapuszczać się w gąszcz Cock Pitu.

Alex znał ten gatunek węży. Widział go już w Brazylii. Odmiana anakondy, jadowita, atakująca bez ostrzeżenia. Ukąszenie nie było śmiertelne dla ludzi, ale mogło sparaliżować ofiarę nawet na kilka dni. Jeśli podeszło się bliżej niż na parę metrów do płaskich gadzich czaszek, atak był nieunikniony.

McAuliff rozejrzał się wokół siebie, omiatając latarką zarośla. Nad głową zwieszała się może dwumetrowa gałąź puchowca. Podbiegł do niej i uwiesił się, szarpiąc tak długo, aż się złamała. Z gałęzią w ręce wrócił ku pniom. Węże zamaryły, zaniepokojone. Ich śliskie, ohydne ogony splotły się ze sobą, a płaskie głowy uniosły się jedna przy drugiej. Różowe paciorki oczu zwróciły się w stronę, z której dobiegała woń ofiary. W stronę McAuliffa.

Alex lewą ręką cisnął gałąź wprost na pień. W prawej niezręcznie ścisnął strzelbę i latarkę.

Oba węże rzuciły się naprzód, zeskakując z pnia, i jak dwa bicze okręciły się wokół gałęzi, wijąc się pośród liści i celując głowami w jej nasadę, w miejsce gdzie McAuliff trzymał rękę.

Alex sam nie widział, czy cisnął gałąź, czy tylko ją upuścił do wody. Węże zaczęły jeszcze szybciej wić się wokół gałęzi, która zakręciła się na wodzie i zatoniła.

Można już było przebiec wzdłuż pnia i ruszyć ścieżką dalej.

McAuliff przebiegł dotąd najwyżej kilometr, na pewno nie więcej. Zegarek wskazywał, że droga zajęła już dwanaście minut. Alex pamiętał, że ścieżka na tym odcinku ostro odchodzi w prawo, przez nadzwyczaj gęste zarośla paproci i ruty dochodząc do polanki, gdzie niedawno obozowała grupa koczowniczych myśliwych. Tak przynajmniej mówił Marcus – czy raczej człowiek, który się podawał za Marcusa.

Od brzegów Martha Brae i obozowiska dzieliło polankę najwyżej półtora kilometra. Przewaga morderców z Dunstone musiała już zmaleć.

Oby.

McAuliff dotarł do ściany prawie nieprzebytych chaszczy. Przybliżył latarkę do ziemi, szukając przejścia. Gdyby zszedł teraz ze ścieżki – a tym samym zagłębił się w gąszcz, którym nigdy nie szedł żaden człowiek – zgubiłby się na długie godziny. Zapewne odnalazłby drogę dopiero o brzasku albo wtedy, gdy ustanie ulewa.

Poszukiwania dłużyły się nieznośnie. Przygięte łodygi, ułamane gałązki, zagłębienia, jakie w miękkim gruncie zostawiły buty... Kolejne znaki, sygnały. Teraz nie można sobie było pozwolić na najmniejszy błąd.

–Ej tam, *mon!* - dobiegł go stłumiony głos.

McAuliff rzucił się na ziemię i wstrzymał oddech. Tuż za sobą, po lewej, ujrzał światło drugiej latarki. W ułamku sekundy zgasił swoją.

–Gdzie mi zniknąłeś, *mon?* Podaj hasło. Zboczyłeś ze swojego sektora. Albo ja pobrałem.

Podaj hasło. Sektor. Język agentów, a nie górskich tragarzy. Człowieka z latarką wyszkoliło MI-5. Niegdyś. W przeszłości.

Teraz agent słuchał rozkazów Dunstone Limited.

Grupa morderców z Dunstone rozsypała się po terenie. Każdy z agentów otrzymał do przeczesania sektor dżungli. Mogło to tylko oznaczać, że grupa porozumiewa się przez radio.

Sześciu agentów z nadajnikami.

O Chryste Panie!

Promień latarki zatańczył bliżej McAuliffa, migocząc przez szczelną kurtynę liści.

–Tutaj jestem, *mon* - zachrypiął McAuliff, mając słabą nadzieję, że szept i ulewa nie pozwolą przeciwnikowi rozpoznać fałszywego akcentu.

–Zapał latarkę, *mon*.

–Próbuję, *mon* – znów zasyczał McAuliff, decydując się przerwać grę. Co teraz?

Tańczący promień światła migotał w ciemności tysiącem mikroskopijnych lusterek, rozbijających go na hipnotyzujące, świetlne igły.

Mężczyzna zbliżał się.

Alexander bezszelestnie odtoczył się ze ścieżki w mokrą ziemię, między miękkie łodygi. Czuł, że strzelba uciska go w udo.

Krąg światła skakał teraz tuż nad nim, nie zatrzymywany już przez liście. W odblasku Alex dostrzegł tors mężczyzny i dwa krzyżujące się na jego piersi

rzemienie. Jeden podtrzymał polowy nadajnik, drugi kolbę automatycznego karabinka o krótkiej, grubej lufie. Agent trzymał latarkę w lewej ręce. W prawej ścisnął spory i z wyglądu złowroźny pistolet.

Dezerterowi z MI-5 wpojono wielką ostrożność. Instynkt także kazał mu się mieć na baczności.

McAuliff zdawał sobie sprawę, że najważniejsze to wydrzeć przeciwnikowi pistolet. Nie wolno dopuścić do strzału. Nie wiadomo poza tym, jak daleko albo jak blisko znajdują się sektory pozostałej piątki.

Naprzód!

McAuliff ze swojej pozycji wyrzucił prawą rękę w górę, prosto pod lufę pistoletu, i wcisnął kciuk pod kabłąk, za język spustowy. Tym samym ruchem wyprowadził z ramienia cios w głowę agenta i wpasował mu kolano w krocze. Przeciwnik zgiął się od ciosu i wydał jęk bólu. Ręka na moment opadła mu bezwładnie. Alex wydarł z niej pistolet i odrzucił go daleko w ciemność.

Skulony Jamajczyk podniósł wzrok. Lewą ręką nadal ścisnął latarkę, choć celował nią teraz w ziemię. Wykrzywił twarz, jak gdyby chciał zaczerpnąć tchu i krzyknąć...

McAuliff sam nie wiedział, kiedy wbił palce w usta agenta i z całej siły szarpnął za skórę policzków. Jamajczyk wygiął się i metalową latarką zdzielił napastnika w głowę, rozcinając mu skórę na czaszce. McAuliff nie puścił jednak i obawiając się krzyku, wciąż dławił Jamajczyka, choć ten zębami próbował zmiażdżyć mu palce. Skłębieni w uścisku, runęli w zarośla. Jamajczyk zadał latarką kolejny cios prosto w skroń McAuliffa, i jeszcze jeden. Alex nadal groteskowo i okrutnie rozdzierał mu usta, w zapamiętaniu usiłując nie dopuścić, by agent krzyknął.

W walce przetoczyli się prosto w czarne błoto. McAuliff wyczuł pod plecami spory kamień. Oswobodził lewą rękę, wyrwał kamień z ziemi i z całych sił ugodził nim Murzyna w usta, tuż obok własnych palców. Chrupnęły zęby, agent zakrztusił się własną śliną. Alex wyszarpnął okrwawione palce i bez namysłu złapał Jamajczyka za mokre włosy, wciskając mu głowę w miękki bagienny szlam. Pod powierzchnią błota zabulgotało. Seria brudnych baniek rozprysnęła się bezgłośnie na powierzchni szlamu. McAuliff widział to wszystko w blasku porzuconej na ziemi latarki.

Później zaś wszystko ucichło. Jamajczyk nie żył.

Umierając, nie wydał z siebie głosu.

Alexander zmienił pozycję, podniósł latarkę i przy jej świetle przyjrzał się palcom prawej ręki. Skóra wisiała w strzępach, poznaczona śladami zębów, lecz rany okazały się niegłębokie. Mógł swobodnie poruszać dłonią, a tylko o to mu chodziło.

Lewa skroń krwawiła. Ból był po prostu nieznośny, ale nie paraliżował. Krwawienie i ból powinny prędko ustać... A raczej zmaleć na tyle, by można było iść dalej.

McAuliff spojrział na martwego Jamajczyka i poczuł mdłości. Opanował odruch, wiedząc, że teraz już naprawdę nie ma czasu. Wpełznął z powrotem na ścieżkę, podniósł się i krok za krokiem podążył jej biegiem. Idąc próbował skupić wzrok na leśnych ciemnościach. Dwukrotnie, wcale nie tak daleko, błysnęły mu w dżungli światła latarek.

Agenci z Dunstone kontynuowali obławę. Obóz był coraz bliżej.

Na zastanawianie się nie zostało już ani sekundy.

Osiem minut później McAuliff wypadł na polankę. W piersi dudniło mu coraz głośniej. Do obozowiska zostało jeszcze półtora kilometra. Najłatwiejszy odcinek tego straszego biegu.

Szybko sprawdził, która godzina. Dokładnie cztery minuty po pomocy.

Czwórka, symbol Arawaków.

Odyseja śmierci.

Nie ma czasu na namysł.

Odnalazł wylot ścieżki po drugiej stronie polanki i zaczął biec, coraz prędzej, w kierunku brzegów Martha Brae. W płucach nie miał ani odrobiny powietrza. Nie oddychał już, lecz zachłystywał się, a z czoła spływał mu pot przemieszany z krwią, ściekając strużką po szyi na tors i ramiona.

Nareszcie rzeka. Dotarł wreszcie do rzeki!

Dopiero w tej chwili zorientował się, że ulewa ustała. Tropikalna burza odsunęła się dalej. Omiótł latarką teren po lewej stronie i odnalazł głązy, które wyznaczały ostatnich paręset metrów drogi do obozowiska.

Nie słyszał do tej pory strzałów karabinowych. Nikt nie użył broni. Przez ciemność za plecami maszerowało pięciu doświadczonych morderców. Straszliwa noc dopiero się zaczynała... Teraz miał jednak jakąś szansę.

Tylko o to błagał los, o nic więcej. O szansę, która pozwoli mu nie wydać ostatniej komendy plutonowi egzekucyjnemu. Gdyby przegrał, wydałby taki rozkaz z radością. Nie miałby po co żyć po śmierci Alison.

Ostatnich pięćdziesiąt metrów przebiegł najszybciej, jak pozwalały mu wyczerpane mięśnie. Latarkę trzymał wprost przed sobą. Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegł, był namiot gospodarczy u wejścia do obozowiska. Pędem wybiegł na polanę.

Nie dostrzegł na niej ognisk ani żadnych innych oznak życia. Słysząc tylko szelest tysięcy kropel spadających z drzew. Namioty stały puste jak rząd pomników na cześć zaginionych mieszkańców.

Poczuł, że dławi go w gardle. Ciałem wstrząsnął mu zimny dreszcz. Cisza zapowiadała najgorszą z możliwych nowin.

–Alison! Alison! – wykrzyknął i na oślep rzucił się do jej namiotu. – Sam! Odzie jesteś, Sam?!

Kiedy z ciemności dobiegły go nagle słowa, w mgnieniu oka zrozumiał, że uszedł śmierci i że życie zaczyna się od nowa.

–Alexander, to ty? Mały figiel, a już bym cię ustrzelił, chłopcze. – zawołał do niego Sam Tucker z ciemności na skraju dżungli.

Z zarośli wynurzyli się Sam Tucker i „tragarz” – rzekomy Marcus. Na widok Halidony McAuliff wybałuszył oczy. Marcus zauważył jego minę i prędko powiedział:

–Nie ma czasu na długie wyjaśnienia. Miałem prawo podjąć decyzję i skorzystałem z niego. – Tu wskazał na klapę bluzy. Alex zrozumiał ten gest bez trudności. Pod materiałem Marcus nosił zaszyte pigułki z cyjankiem, takie same jak te, które Alex w żółtym księżycowym blasku oglądał na polnej drodze za Lucea Harbour. „Dla mnie decyzja byłaby prosta”. Tak mówił Daniel.

–Gdzie Alison?

–Jest z Lawrence'em i Whitehallem. Odskoczyli w górę rzeki – uspokoił go Sam.

–A Jensenowie?

Tucker zamilkł

–Nie wiem, chłopcze.

–Jak to nie wiesz?

–Zniknęli. Wiem tylko tyle, że zniknęli... Wczoraj zagubił się Peter. Jego pomocnik wrócił do obozu sam. Szukał go, ale bez skutku. Ruth zniosła to bardzo dzielnie. Wspaniała dziewczyna... Ma mnóstwo hartu. Zorganizowaliśmy poszukiwania, ale dalej nic. No a dzisiaj rano poszedłem do namiotu Jensenów, sam dobrze nie wiem dlaczego, i okazało się, że Ruth też nie ma. Nie pojawiła się od tamtej pory.

McAuliff zastanowił się nad tym. Czy Jensen odkrył coś nowego? Może coś przeczuł? Uciekł razem z żoną? Prześliznęli się między patrolami Akaby? Pytania na inną okazję.

–A tragarze? – McAuliff powiedział to zduszonym głosem, z góry obawiając się odpowiedzi.

–Zapytaj naszego przyjaciela. – Tucker ruchem brody wskazał Alexowi żołnierza Halidonu.

–Odesłaliśmy ich na pomoc, pod strażą. W dół rzeki – odrzekł człowiek, który przywłaszczył sobie imię „Marcus”. – Tej nocy nie zginie żaden Jamajczyk, chyba że z własnego wyboru. Ta walka ich nie dotyczy.

–A ciebie dotyczy? Czy to twoja walka?

–Znam ludzi, którzy was szukają. I mam wolny wybór: mogę walczyć.

–Połowiczna wolność wyboru z nauk Akaby? – podsunął cicho Alex. Marcus wzruszył ramionami i nie mrugnawszy okiem sprostował:

–Osobista wolność wyboru, doktorze.

W głębinach tropikalnej dżungli rozległ się krzyk ptaka czy może nietoperza, a po nim następny. I jeszcze jeden. McAuliff pewnie by tego nie zauważył, przyzwyczajony do nieustannej, nocnej symfonii lasu – przyjemnej dla uszu, choć tak okrutnej w rzeczywistości.

Tym razem jednak nie mógł nie zauważyć.

Marcus poderwał głowę i reagując na hałas złapał Alexandra za rękę. Wydarł mu z dłoni latarkę i popchnął Tuckera głębiej w zarośla.

–Na ziemię! – szepnął przenikliwie i podciął McAuliffa, który runął i odturlał się od miejsca, gdzie stali.

W mroku dżungli rozległo się siedem wystrzałów karabinowych. Kule trafiały w drzewa, inne z trzaskiem pomknęły w głąb zarośli, a dwie zaryły się w ziemi tuż obok Alexa, który zajął lepszą pozycję i wymierzył broń w kierunku, skąd strzelano. Przycisnął spust i omiółł cały teren ogłuszającą salwą dwudziestu pocisków. Potyczka trwała dosłownie kilka sekund. Później wszystko na powrót ucichło.

Alex poczuł, że ktoś go szarpie za nogę;

–Wycofuj się. Do rzeki, *mon* - wydał szeptem rozkaz Marcus.

McAuliff odczołgał się w ciemność. Z zarośli znów ktoś wystrzelił w jego stronę, lecz kule poszły w prawo.

Nowy wystrzał huknął niewiele metrów od nich. Marcus odskoczył w lewo i odpowiedział ogniem z flanki, uciszając przeciwnika. Alex domyślił się, że Marcus chce mu ułatwić odwrót. Rzucił się natychmiast w prawo, w stronę bliskich już zarośli.

–Tutaj, Alex! – doleciał go głos Sama Tuckera.

Wpadł między zarośla, gdzie zamajaczyła mu przy ziemi sylwetka Tuckera. Sam klęczał na jednym kolanie, ze strzelbą w pogotowiu.

–Gdzie oni są! O rany, gadaj, gdzie Alison i wszyscy?!

–Biegnij do rzeki, chłopcze! W górę nurtu, trzysta metrów stąd. Powiedz czarnym, co się dzieje, my ich tu tymczasem przytrzymamy.

–Nie, Sam! Masz iść ze mną!... Nie znajdę ich!

–Zaraz do was doskoczę, synu...

Dżungla wypluła kolejną serię pocisków. Marcus odpowiedział ogniem z drugiej strony polany. Tucker nie przestając gadać złapał w garść materiał kurtki McAuliffa i popchnął przyjaciela do tyłu.

–Ten czarny sukinsyn ubrdał sobie chyba, że da sobie odstrzelić dupę w naszej obronie! Może nie zasłużyłem sobie, żeby mnie tak osłaniał, co? Ale to w końcu mój ziomek. Mój nowy krajan, chłopcze. Boże, od początku wiedziałem, że podoba mi się na tej pieprzonej wyspie. A teraz zjeżdżaj i pilnuj dziewczyny. Zaraz do was doskoczmy, nic się nie bój. Leć do dziewczyny, Alex!

–Tamtych jest pięciu, Sam. Jednego zabiłem, jakieś dwa kilometry stąd. Musieli spostrzec moją latarkę, kiedy biegłem. Przepraszam... – wykrztusił McAuliff i znów rzucił się w ociekający deszczem las, przebijając się przez chaszczę ku rzece. Dzwoniąc guzikami kurtki o lufę strzelby stoczył się po niewysokim zboczu i wleciał do wody.

Teraz w górę rzeki. W lewo!

Trzysta metrów. Pięćset kroków. Albo cały kontynent.

Biegnąc trzymał się rzeki, gdyż w ten sposób mógł oszczędzić na czasie. Człapał przez muł i zarośla, potykał się o zwalone pnie. Dopiero teraz przypomniał sobie, że wystrzelał cały magazynek. Nie przerywając biegu sięgnął do kieszeni, zwolnił zatrzask, wyciągnął stary magazynek i umieścił w jego miejscu pełny. Przeładował broń, wprowadzając pierwszy nabój do komory.

Z myślowego odrętwienia wyrwał go huk nowych wystrzałów. Gdzieś za jego plecami trwała walka na śmierć i życie.

Wąski nurt zakręcał w tym miejscu. McAuliff przebiegł już ponad sto metrów. Wydawało mu się nawet, że prawie dwieście. „Mój nowy krajan”. Boże! Sam Tucker, obieżyświat i łazęga, znawca prymitywnych ludów i miłośnik dalekich krain – żeby ktoś taki pod koniec życia szukał sobie nowej ojczyzny? Nie tylko szukał: znalazł, i to w najbardziej niebezpiecznej chwili w całym życiu, pośród okrutnej dziczy gór Cock Pitu na Jamajce! Znalazł dom, w chwili gdy na szali trzeba było położyć życie.

McAuliff przeraził się nagle, bo z ciemności tuż ponad głową wychynął potężny czarny kształt. Zaraz potem wokół szyi Amerykanina jak imadło zacisnęła się para czarnych łap. Rozczapierzone palce przeorały mu twarz. Potężna pięść zdzieliła go perfidnie w nerkę, raz i drugi. McAuliff podniósł strzelbę i kolbą ugodził wiszącego mu na plecach napastnika, jednocześnie zatapiając zęby w dławiącej go dłoni. Obaj mężczyźni runęli w wodę.

–*Mon!* O, Jezus, *mon*.

Płaczliwy głos należał do Lawrence'a, wciąż uczeponego ramion McAuliffa. Obaj w oszołomieniu zwolnili uścisk i rozdzielili się, podnosząc ręce. Alex niezręcznie schował za siebie broń. Lawrence uczynił to samo z długim nożem.

–Mało co, a bym cię zastrzelił – wybuchnął Amerykanin.

Z północy dobiegły ich nowe odgłosy strzałów.

–A ja mogłem ci wsadzić ostrze, zamiast walić trzonkiem – burknął czarnoskóry olbrzym, stojąc po pas w wodzie. – Chcieliśmy złapać zakładnika.

Obaj wiedzieli, że nie czas na długie opowieści.

–Gdzie jesteście? Gdzie Alison i Whitehall?

–Tu, niedaleko. Parę kroków.

–Nic jej się nie stało?

–Wystraszyła się tylko... Ale to odważna dziewczyna. Jak na białą, i to jeszcze z Anglii. Wiesz, o co chodzi, nie, *mon*?

–Pewnie, że wiem, *mon* - uspokoił go McAuliff. – Biegnijmy.

Lawrence ruszył przodem i wyczłapał z wody trzydzieści metrów za miejscem nieomal śmiertelnego starcia. McAuliff zauważył, że rewolucjonista obwiązuje chustką przedramię, ale przestał się dziwić, gdy poczuł wreszcie w ustach smak cudzej krwi. Jak gdyby chciał się usprawiedliwić tym gestem, roztarł obolałą nerkę.

Murzyn wskazał lewą ręką, że muszą się wspinać w górę zbocza. Drugą rękę przyłożył do ust, wydając wibrujący gwizd. Głos ptaka, nietoperza albo sowy... Nie miało to w tej chwili znaczenia. Odpowiedział mu identyczny gwizd z dżungli u szczytu zbocza.

–Biegnij na górę, *mon*, ja tu zaczekam – rzucił Lawrence.

Alex nie wiedział do końca, czy tak mu podpowiedziały emocje chwili, czy też przemówiła przez niego własna ocena sytuacji, lecz pozostało faktem, że złapał czarnego rewolucjonistę za ramię i pchnął go z całej siły pod górę.

–Dosyć tego wydawania rozkazów! Nawet nie wiesz, co się dzieje. A ja wiem! Dlatego bierz dupę w troki i gnaj na górę!

Z zakrętu rzeki znów doleciał huk strzałów.

Lawrence zamrugał. Jak niepewną ma minę, widać było dobrze przy księżycu,

który na powrót zalał swoim blaskiem dopływ Martha Brae.

–Dobrze, dobrze, *mon!* Tylko mnie przestań pchać!

Obaj wyczołgali się na szczyt zbocza i zanurkowali w zaroślach. Z mrocznej płataniny łodyg wychynęła następna ciemna sylwetka. Alison. Lawrence odwrócił się do McAuliffa i uwolnił go od latarki. Rozumieli się bez słów.

Dziewczyna rzuciła się McAuliffowi w ramiona. Cały świat, cały wszechświat na jedno mgnienie zatrzymał obłądne wirowanie i zamarł. Zastygł w spokoju i w szczęściu. Lecz tylko na mgnienie.

Nie było przecież czasu na refleksję. Ani nawet na myślenie. Nie było też czasu na słowa.

Alex i Alison milczeli.

Objęli się mocno, a potem spojrzeli sobie w oczy, w kolejnym księżycowym rozbłysku ponad skrawkiem świata nad okolicą Martha Brae, która stała się nagle wspólnym domem.

Nagle, bo w chwili śmiertelnego starcia. W chwili skrajnego poświęcenia.

Przerwał ich milczenie Charles Whitehall, czego zresztą można się było po nim spodziewać. Charley-*mon* podszedł do Alexa i Alison ze świdrującym wzrokiem. Nadal miał na sobie wyprasowany strój safari, lecz jego twarz zmieniła się w nieruchomą maskę.

–Umawiałem się z Lawrence'em, że zostanie nad rzeką. Dlaczego zmieniasz nam plany?

–Czasem mnie zadziwiasz, Charley...

–Za to ty mnie nudzisz, McAuliff! – odparował Whitehall. – Przecież słyszę wystrzały!

–Mnie to mówisz? To do mnie strzelali, ty czarny sukinsynu! – palnął McAuliff, zanim zdążył się ugryźć w język. Żałował tych pochopnych słów. – Zaraz ci wytłumaczę, co się dzieje. Rozumiesz, co mówię?

Whitehall uśmiechnął się jadowniczo.

–Ano, opowiadaj... biała świni.

Alison strząsnęła nagle z siebie dłonie McAuliffa. – Przestańcie!

–Przepraszam – rzekł prędko McAuliff.

–A ja wcale nie przepraszam! – postawił się Whitehall. – Nareszcie mówimy sobie prawdę. Nie widzi pani, że mówimy prawdę? Co, biała panienko?

Lawrence stanął pomiędzy nimi i rozdzielił potężnymi łapskami, a potem groźnym, donośnym choć dziecinnym głosem zahuczał:

–Obaj macie się zamknąć! McAuliff, mów szybko, co wiesz! Raz dwa, *mon!*

Alexander w paru słowach opisał sytuację, swoje lądowanie na łące, awionetkę – nie wspomniał ani słowem, że była własnością Halidonu – i powtórzył relację przemytnika, który zabrał swoim samolotem do Cock Pitu sześciu morderców mających dokonać masakry. Opisał wyścig przez dżunglę, gwałtowne starcie zakończone śmiercią w błocie i fakt, że „tragarz” Marcus uratował im życie, gdyż w porę dosłyszał w ciemności krzyk spłoszonego ptaka.

–Tamtych jest pięciu, *mon...* - Lawrence'owi przerwała jednak nowa salwa

karabinowa, od północy, gdzie blisko. Odwrócił się szybko do Whitehalla: – Ilu bierzesz, *fascisti*?

–A ilu ty, *agricola*?

–Dość tego, do cholery! – rozwrzeszczał się McAuliff. – Nie pora na wasze licytacje!

–Niczego nie rozumiesz – powstrzymał go Whitehall. – Tutaj liczą się jedynie nasze licytacje. Jesteśmy gotowi. My mamy szansę. Zwykle bywa tak tylko w książkach, co? Jeden na jednego, zwycięzca dyktuje warunki...

„Nie wolno mylić charyzmatycznych przywódców z pionkami... Pionki można zastąpić, dobrać nowe...” Słowa Daniela, ministra plemienia Akaby.

–Powariowaliście obydwaj. – Alex sam zdziwił się, że stać go w tej chwili na taki wielki rozsądek i spokój. – Rzygać mi się chce jak was słucham. Róbcie sobie jak uważacie, aleja...

–Alexander! Alexander! – dobiegł go krzyk od zbrocza, z odległości może dwudziestu metrów. Poznał, że wzywa go Sam Tucker.

Alex rzucił się w stronę skraju dżungli. Przodem biegł razem z nim Lawrence, który potężnym ciałem zmiatał z drogi gałęzie. Machał rękoma jak wiatrak, zasłaniając McAuliffowi resztę widoku. Lawrence przypadł do wody. Alex zaczął schodzić ku niemu, lecz nagle stanął jak wryty.

Sam Tucker dźwigał na rękach Marcusa, czarnego „tragarza”. Głowa kołysząca się nad wodą zmieniła się w krwawą masę. Widać było odłupane kulą fragmenty czaszki.

Tucker nie chciał mimo to porzucić ciała.

–Jeden z tamtych zaszedł nas z boku i zaskoczył nad brzegiem. To ja dałem się tak zaskoczyć... Marcus skoczył między nas i zatrzymał kulę. Władował się prosto na tamtego, ale cały czas strzelał, aż go położył. Szedł wprost na lufę.

Tucker złożył zwłoki na nadrzecznym błocie.

McAuliff zastanowił się prędko. Zostało jeszcze czterech. Czterech morderców, nasłanych przez Dunstone.

Czterech – przeciwko piątce. Nie piątce! W tym starciu udział Alison odpadał.

Czterech na czterech.

Ich czterech – na czterech morderców.

Czterech. Arawacka czwórka.

Odyseja śmierci.

Alex poczuł na ramieniu dłoń dziewczyny. W księżycowym świetle Alison przytuliła policzek do jego pleców.

Górska łąka.

Jedyna droga ucieczki wiodła na górską łąkę. Dwoma samolotami mogli uciec daleko za Cock Pit.

Co z tego, skoro Marcus wyraźnie powiedział, że poza wąską, krętą i niebezpieczną ścieżką przez dżunglę nie da się tam właściwie dotrzeć?

Ścieżka zaczynała się na wschód od rzeki, daleko na prawym skraju polany z obozowiskiem. Tamci na pewno będą obserwować obóz. Dezerterzy z MI-5 byli

agentami nie od dziś. Droga ucieczki znalazła się na pierwszym miejscu ich listy. Jedynej ścieżki będą strzegli ludzie z bronią automatyczną.

Poza tym mordercy z Dunstone wiedzieli, że muszą szukać swoich ofiar nad rzeką. Nawet jeśli zapuszczą się w tę stronę, pozostawią kogoś na straży obozu.

Będą jednak się musieli rozdzielić. Nie zaryzykują grupowego wypadu, w obawie, że wyprawa, której szukają, zdoła się prześliznąć przez oka sieci.

Idąc za tą myślą, McAuliff i Sam Tucker ustalili plan działania, udoskonaloną wersję śmiertelnego pojedynku, jaki chcieli urządzać Lawrence i Charles Whitehall. Alexander miał zostać przy Alison. Pozostała trójka miała się rozsypać po lesie i na własną rękę tropić przeciwnika.

Metoda była prosta: zabić ratując własne życie.

Lawrence opuścił potężne cielsko w nurt rzeki. Trzymając się jedną ręką brzegu, zaczął powoli brnąć pod prąd. Tuż nad powierzchnią wody trzymał pistolet, a długi nóż wyjął z pochwy i wsadził sobie za pas, skąd łatwo mógł go wyszarpnąć w razie potrzeby.

Księżyc świecił coraz jaśniej, gdyż deszczowe chmury odpłynęły daleko. Parasol dżungli tylko częściowo przesłaniał ten blask. Rzeczny prąd był równy, a wokół gałęzi i sterczących głązów tworzyły się mikroskopijne wiry. Na wierzchołkach głązów odcinał się jasno mech i mokre zielone wodorosty.

Lawrence zamarł w miejscu i przykucnął jeszcze niżej – tak że nad wodą wystawała już tylko para oczu. Ukosem po drugiej stronie wąskiej odnogi dostrzegł człowieka, który skradał się tak samo jak on, chociaż w odróżnieniu od Lawrence'a nie zdawał sobie sprawy, że jest obserwowany.

Brnący po pas w wodzie człowiek starał się nie zamoczyć trzymanej nad głową i groźnej z wyglądu broni. Stawiał długie kroki, a w marszu chwycił się zwisających nad wodą gałęzi. Patrzył wprost przed siebie.

Jeszcze kilka sekund i znajdzie się dokładnie naprzeciwko Lawrence'a.

Murzyn odłożył pistolet w kępę nadrzecznych paproci, sięgnął pod wodę i zza pasa wyjął długi nóż.

Zanurkował pod powierzchnię i zaczął płynąć pod wodą w stronę drugiego brzegu.

Sam Tucker popełznął przed siebie wzdłuż górnej krawędzi stoku ponad rzeką. Później sturlał się z pochyłości, między korzenie potężnego puchowca. Pod ciężarem jego ciała z pnia zerwało się pnącze, spadając Tuckerowi na pierś jak zwinięty w kłębek wąż. O mało nie krzyknął.

Znajdował się teraz nieco na północ od obozowiska, gdyż udało mu się wzdłuż lewego brzegu rzeki zatoczyć półkole na zachód. Pomysł był prosty – Sam miał nadzieję, że nie będzie to zgubna prostota. Patrol z Dunstone skupił całą uwagę na dole rzeki. Ścieżka, którą nadbiegł McAuliff, zaczynała się po wschodniej stronie polany. Mordercy będą jej pilnować, spodziewając się jednak ataku od strony rzeki, a nie z głębi dżungli.

Kryjąc się za pnem puchowca Tucker przysiadł, poluzował pasek strzelby, przekręcił broń i przełożył ją skosem przez plecy. Znów skrócił pasek. O strzelaniu

nie było mowy, najwyżej w ostateczności, tym bardziej że użycie broni palnej w tych warunkach równało się podpisaniu na siebie wyroku śmierci.

Pomyślał, że tej ostatniej ewentualności nie można wprawdzie wykluczyć, ale nim przyjdzie co do czego, trzeba będzie niejakiego Sama Tuckera długo i uparcie namawiać do zgonu.

Znów położył się plackiem i jak gad popełznął przez splątany labirynt leśnego poszycia.

Bardziej niż wzrok w znalezieniu przeciwnika dopomógł mu słuch. Odgłos jaki dał się słyszeć, był arcy ludzki – zwyczajny dźwięk, który podszeptał Tuckerowi, że wróg rozluźnił uwagę i nie spodziewa się ataku. Ostatecznie morderca pilnował terenu odległego od areny starcia i uznał, że może sobie darować przesadną czujność.

Właśnie dlatego człowiek z Dunstone dwukrotnie pociągnął nosem. Nocne podchody sprawiły, że zatkała mu się przegroda nosowa. Gdy płuca zażądały powietrza, odruchowo oczyścił nozdrza i tyle.

Tuckerowi również to wystarczyło.

Amerykanin skupił się na kierunku, z którego dobiegło go siąkanie nosem. Pięćdziesięcioparoletnie oczy nie służyły mu już tak jak dawniej, a cóż dopiero tej nocy, wobec braku snu i ciągłych wart w tropikalnych ciemnościach. Wiedział jednak, że posłużą – przynajmniej jeszcze ten jeden raz.

Morderca przykucnął za drzewiastą paprocią. Między nogami, opierając kolbę o ziemię, trzymał karabinek. Za jego plecami Tucker dostrzegł w księżycowej poświacie zarys namiotu gospodarczego na lewym skraju polany. Każdy, kto spróbowałby przeciąć polanę, znalazłby się na celowniku.

Paprocie wykluczały użycie noża. Gdyby ostrze nie wbiło się dokładnie tam, gdzie powinno, zaatakowany mógłby rzucić się na Sama albo podnieść krzyk. Paproć dobrze zasłaniała plecy agenta. Rzut nożem wchodził wprawdzie w grę, lecz bez gwarancji celności.

Istniały lepsze sposoby. Sam przypomniał sobie luźne pnącze, które z pnia puchowca spadło mu na pierś.

Sięgnął do kieszeni i wydobył z niej szpulą najzwyczajniejszej linki mierniczej – cienkiego stalowego drutu w plastikowej koszulce, tak przydatnego przy najrozmaitszych okazjach...

Bezszelestnie poczołgał się ku olbrzymiej drobnolistnej paproci.

Przeciwnik znowu pociągnął nosem.

Powoli, centymetr po centymetrze, Sam zaczął podnosić się za paprocią. Nareszcie ujrzał tuż przed sobą, w zasięgu rąk, kark i głowę mordercy.

Powolnym ruchem rozłożył potężne, sękaty ramiona. W dłoniach trzymał rozciągnięty stalowy drut w nylonowej osłonie.

Charles Whitehall pienieł się z wściekłości. Chciał pójść wzdłuż rzeki, najkrótszą drogą, o wiele bliższą niż szlak przez zarośla, które co krok trzeba było rozplątywać z mazołem. Stało się jednak na tym, że skoro Lawrence czuwał przedtem nad rzeką, zna już teren i tam właśnie powinien wrócić. Dla rewolucjonisty – rzeka.

Whitehall spojrzał na fosforyzujące wskazówki zegarka. Do pierwszego

umówionego sygnału zostało dwanaście minut. Pod warunkiem że ktoś, kto ocaleje, poda sygnał.

Sygnały miały być proste.

Cisza oznaczała dokładnie tyle, ile oznaczała. Czyli nic. Krótkie, gardłowe chrząknięcie dzikiej świni oznaczało sukces. Pojedynczy sukces.

Dwa chrząknięcia – dwie ofiary. I tak dalej.

Proste.

Charles był przekonany, że gdyby to jemu dostała się marszruta nad rzeką, już w tej chwili mógłby podać sygnał. Przynajmniej jeden.

Musiał jednak zadowolić się patrolem na południowy zachód, gdzie istniały najmniejsze szanse na kontakt i starcie. Zwykle marnowanie czasu. A kto obstawiał najważniejsze kierunki? Dziadek, stanowczy, pomysłowy, ale przeraźliwie zmęczony, a oprócz dziadka niezdarny chłopak prosto ze wsi, może i zdolny, ale trochę fantasta, ot, niezgułowaty osiłek.

Marnowanie czasu! Wściec się można.

Whitehall nie wiedział, że już za chwilę wścieknie się jeszcze bardziej: wówczas mianowicie, gdy na potylicy poczuł uderzenie ostrego metalu i usłyszał wypowiedziane ostrym szeptem słowa:

–Spróbuj otworzyć pysk, to będziesz miał dziurę w czaszce, mon!

Dał się złapać! W gniewie zapomniał o czujności.

W duchu Whitehall wyzywał się od głupców.

Napastnik nie strzelił, to inna sprawa. Podobnie jak Whitehall nie chciał widocznie alarmować wystrzałem pozostałych. Nadal jednak boleśnie dźgał lufą czaszkę Whitehalla. Prowadził jeńca w prawo od kierunku, w jakim zdążył Charlie-mon.

Widać było, że ma zamiar przesłuchać ofiarę, by dowiedzieć się tym sposobem, gdzie szukać reszty wyprawy.

Następny głupiec.

Uwalniający chwyt był prostym manewrem. Aby znieść przewagę przeciwnika, potrzebna była tylko twarda powierzchnia za jego plecami.

Aby roznieść przeciwnika.

Zaatakowany musiał się mocno odbić po otrzymaniu ciosu, zamiast wytracić impet w powietrzu albo sprężyć go zamortyzować, padając na miękką powierzchnię. Najważniejszy był cios, czy raczej pchnięcie, bez którego zaatakowany mógł pociągnąć za spust. Chwyt był ryzykowny, ale trudno. Nie ma metod doskonałych. Skierowany w tył impet nie pozwalał ofierze zacisnąć palców na spuście, co umożliwiało zadanie drugiego, ukośnego ciosu. Drugi cios w każdej sytuacji wytrącał broń z rąk przeciwnika.

W optymalnych warunkach pierwszy cios padał jednocześnie z drugim.

Dalekowschodnie podręczniki walki wręcz mówiły o tym wyraźnie.

Przed sobą, po lewej stronie, Whitehall rozróżnił w tropikalnej ciemności zarys pagórka, kolejnego z serii wzniesień, które w krasowym Cock Picie na każdym kroku wyłaniały się nieoczekiwanie pośród dżungli. U stóp pagórka spoczywał spory głaz, omywany bladym księżycowym światłem docierającym sponad, koron drzew.

Dobry i głaz... Chociaż nie, nie tylko dobry: nadawał się doskonale.

Whitehall udał, że się potknął, minimalnie, jak gdyby stopa utknęła mu na sekundę między korzeniami. Natychmiast poczuł na czaszce dotknięcie lufy. Teraz! Tyłem głowy uderzył prosto w czubek lufy i błyskawicznie zanurkował w prawo, chwytając oburącz za karabinek i pchając go przed siebie. Kiedy przeciwnik wyrznął plecami w głaz, Whitehall z całej siły wyszarpnął mu broń z garści.

Oszołomiony morderca zamrugał. Charles Whitehall zdążył tymczasem wyprostować palce i złożyć je razem, by z niesamowitą szybkością i koncentracją zadać ostateczny cios. Wyprostowane ręce wyznaczały kierunek ataku: palce jednej ręki zanurzały się w prawe oko, palce drugiej w miękkie ciało pod grdyką.

McAuliff oddał pistolet Alison. Zaskoczyło go, że dziewczyna z taką wprawą sprawdza, czy broń jest nabita. Wyłuskała magazynek, nacisnęła sprężynowy zatrzask i nasadą dłoni wprowadziła magazynek z powrotem do kolby ze zręcznością, która wprawiałaby w podziw nawet taką parę rzeźmieszków jak Bonnie i Clyde. Uśmiechnęła się do Alexa i zakomunikowała mu, że pistolet zamókł.

Jeszcze osiem minut. Dwa razy po cztery. Nie była to pocieszająca myśl.

Alexa zastanowił fakt, że pośród nocy nie rozległ się ani jeden urwany krzyk. Czyżby przeciągająca się cisza miała oznaczać, że nocny koszmar będzie miał następne akty?

Nie wiedział, czy jego ludzie sprostają zadaniu. A nuż są za powolni? Za mało czujni?

–Alex! – szepnęła Alison, cichutko, lecz ostro. Złapała go za ramię, pociągnęła na ziemię i wskazała w gęstwinie punkt na zachód od nich.

Raz za razem błysnęła tam latarka.

Dwa razy. Później nic.

Ktoś zaszamotał się w zaroślach. Ktoś albo coś. Rozległ się furkot skrzydeł i seria krótkich skrzeków, która urwała się tak nagle, jak zaczęła.

Latarka zapaliła się znowu, najwyżej na sekundę. Znow ciemność.

Napastnik znajdował się może o trzydzieści metrów od nich. Odległość trudno było dokładnie ocenić w tak gęstej dżungli. Sposobność sama pchała się w ręce. Jeśli Alexander Tarquin McAuliff nauczył się czegoś podczas ostatnich dwóch tygodni nieustannego szaleństwa, to właśnie tego, by bez namysłu wykorzystywać każdą sposobność.

Przyciągnął do siebie Alison i szepnął jej, co ma robić. Potem puścił ją i zaczął po omacku szukać czegoś, co przedtem zauważył na ziemi. Po piętnastu sekundach jak najciszej wspinał się po pniu drzewa kapokowego. Strzelbę przewiesił przez ramię, a dłońmi bezszelestnie sprawdzał wytrzymałość niższych gałęzi. Zadanie utrudniała mu wypchana dodatkowym ciężarem kurtka.

Kiedy się usadowił, dwa razy poskrobał w korę drzewa. Stojąca pod pniem Alison gwizdnęła – nie jak nocne zwierzę, lecz jak człowiek, który próbuje przesłać sygnał. Potem dokładnie na sekundę włączyła swoją latarkę, zgasiła ją i pędem umknęła spod drzewa.

Nie upłynęła minuta, gdy morderca chyłkiem dopadł do pnia – skulony, z

wystawioną strzelbą, gotów do mordu.

McAuliff puścił gałąź i w locie wycelował ostrym końcem trzymanego w rękach kamienia w czubek czaszki napastnika.

Duża wskazówka zegarka zatrzymała się na dwunastce, sekundnik na jedynce. Już czas.

Pierwszy zew nadbiegł od strony rzeki. Po mistrzowsku naśladowany kwik dzikiej świni.

Drugi sygnał przyszedł z południowego zachodu. Daleki, lecz równie mistrzowski, rozniósł się echem po dżungli. Wreszcie trzeci, z północy, trochę zbyt chropawy i niewprawy, lecz wystarczająco wyraźny. Sygnały mówiły same za siebie.

McAuliff spojrział Alison w oczy -jasne, ogromnie błękitne oczy, nieruchome w blasku jamajskiego księżyca.

Podniósł broń do góry i serią wystrzałów rozdarł nocną ciszę. Kto wie, czy południowiec czuwający przy przemytniczym samolocie nie roześmiał się na ten odgłos z satysfakcją. Alex miał nadzieję, że zabłąkana kula spadnie na łakę i trafi pilota prosto w czaszkę.

Co tam, nieważne.

Ważne było tylko to, że przeżyli. Że jednak sprostali zadaniu. Porwał Alison w ramiona i radośnie wrzasnął pośród nocy. Okrzyk nie brzmiał jak kwik dzikiej świni, lecz i to na szczęście przestało mieć znaczenie.

Siedzieli przy plażowym stole nad nieregularnym w kształcie basenem, wpuszczonym w ławicą koralową ponad błękitnym morzem. Walka oceanu i skał obsypywała brzeg łukowatymi kaskadami białej piany, tryskającymi w górę i zakrywającymi białą kipiela poszarpane kamienne szczeliny.

Z górskiej łąki polecieeli bezpośrednio do Port Antonio. Postanowili tak, gdyż z pokładu samolotu Tucker połączył się przez radio z Robertem Hanleyem, ten zaś udzielił im wskazówek tonem, który wykluczał wszelkie spory. Na małym lotnisku San Jones usiedli o drugiej trzydzieści pięć nad ranem. Czekala już tam na nich limuzyna przysłana z Willi Neptuna.

Czekał tam także Robert Hanley. Gdy tylko Sam Tucker wyskoczył z kabiny, Hanley uścisnął mu prawicę, a lewą ręką z całej siły zdzielił Amerykanina w szczękę. Potem schylił się i pomógł Tuckerowi pozbierać się z ziemi. Przywitał się jeszcze raz, już serdeczniej, lecz nie omieszkał w gniewnych słowach zakomunikować przyjacielowi, że jeśli przez kilka ostatnich tygodni posiwił jeszcze bardziej ze zmartwienia, jest to wyłączna wina Sama Tuckera.

Tak pogodzeni, dwaj nowi-starzy przyjaciele pili do świtu w barze Willi Neptuna. Młody zarządca hotelu, Timothy Durell, poddał się dopiero dziesięć po piątej rano, odesłał barmana na nocleg, a sam wręczył klucze od baru Hanleyowi i Samowi. Durell nie zdawał sobie sprawy, że ostatnie zamysły Dunstone Limited zrodziły się – w bardzo konkretnym znaczeniu tego słowa – właśnie w jego hotelu, do którego zjechali się tak niedawno goście z całego świata. Obcy może na wyspie, lecz między sobą starzy znajomi... Wszystko to jednak było już tylko niepokojącym wspomnieniem.

Charles Whitehall odjechał wraz z czarnym rewolucjonistą Lawrence'em. Obaj pożegnali się już na lotnisku. Każdego z nich czekało wiele pracy, wiele zadań, wiele spotkań. Nikt nie pytał, jakiego rodzaju, bo i tak nie doczekałby się odpowiedzi. Rzecz rozumiała się sama przez się.

Whitehall i Lawrence mieli się wkrótce rozdzielić.

Najważniejsze jednak, że zetknęli się ze sobą. W ich sytuacji nie można sobie było życzyć wiele więcej.

Alison i Alex natomiast znaleźli się w najdalszej z szeregu nadmorskich willi. Alison obandażowała McAuliffowi rękę, obmyła mu zadrapania na twarzy i w myśl angielskiej tradycji kazała mu moczyć się przez godzinę w wannie z gorącą wodą.

Spali przytuleni aż do południa.

Było już kilka minut po pierwszej. Siedzieli przy stoliku, zupełnie sami. Sam Tucker zostawił dla Alexa kartkę, na której napisał, że lecą z Hanleyem do Montego Bay na rozmowę z prawnikiem. Mieli zamiar założyć spółkę.

–Niechaj Bóg ma w opiece tę wyspę -jęknął w duchu McAuliff.

O wpół do trzeciej Alison trąciła go w ramię i ruchem głowy wskazała alabastrowy portyk po drugiej stronie trawnika. Po marmurowych stopniach schodziło dwóch nowych gości – jeden czarny, drugi biały, obaj w nienagannych garniturach.

R.C. Holcroft i Daniel, minister rady plemienia Akaby, z siedzibą wysoko w górach

masywu Flagstaff.

–Nie zajmujemy wiele czasu – obiecał Holcroft, siadając na wskazanym mu przez Alexa krześle. – Pani Booth, jestem komandor Holcroft.

–Nie miałam co do tego wątpliwości – odrzekła Alison, serdecznie, ale bez cienia uśmiechu.

–Czy wolno mi pani przedstawić... kolegę z branży? Pan Daniel, wewnętrzne sprawy Jamajki. Panowie już się znają, jak mniemam.

–Owszem.

Daniel skłonił się bardzo uprzejmie i także usiadł. Popatrzył na McAuliffa i szczerym tonem zaczął:

–Jest panu za co dziękować. Ogromnie mi ulżyło.

–Go z Malcolmem?

W oczach Daniela na mgnienie błysnął żal. – Niestety...

–Mnie także jest przykro – odezwał się McAuliff. – Malcolm ocalił nam życie.

–Taki miał obowiązek – odrzekł tylko minister Halidonu.

–Czy słusznie się domyślam – delikatnie wtrącił Holcroft – że pani Booth została wprowadzona w sprawę? W ogólnych zarysach?

–Najzupełniej słusznie, komandorze – odpowiedziała mu sama Alison.

–Doskonale. – Brytyjski agent sięgnął do wewnętrznej kieszeni, wyciągnął żółty blankiet telegraficzny i podał go Alexowi. Było to telegraficzne potwierdzenie przelewu, wystawione przez londyński Barclay Bank. W myśl dokumentu na konto pana A.T. McAuliffa w nowojorskim banku Chase Manhattan przekazano sumę sześciuset sześćdziesięciu tysięcy dolarów. Jednocześnie bank informował, że pod adresem wyżej wymienionej osoby wysłano akredytywę bankową, którą należy załączyć przy wszelkich rozliczeniach podatkowych z amerykańskim urzędem podatkowym przy Departamencie Skarbu.

Alex dwukrotnie przebiegł wzrokiem depeszę, sam dziwiąc się własnej obojętności. Przekazał papier Alison, która zaczęła czytać, lecz w połowie lektury odłożyła dokument na stolik i przycisnęła filiżanką, by nie uleciał.

Nie odezwała się.

–Nasze rachunki skończone, McAuliff.

–Niezupełnie. Mówiąc bez ogródek, chcę, żeby było to ostatnie nasze spotkanie w życiu. Nasze także w tym sensie, że moje i pani Booth. Jeżeli MI-5 znów do nas zapuka, najdłuższe obciążające was zeznanie trafi do wiadomości publicznej, a wtedy...

–Mój drogi – przerwał mu znużonym tonem Anglik. – Pozwól, że oszczędzę ci czasu. Wdzięczność, i szacunek zobowiązują mnie, jako osobę prywatną, do zaofiarowania gościny, ilekroć będziecie w Londynie. Osobiście zresztą uważam, że niezły z ciebie chłop. Natomiast pod względem zawodowym moja organizacja nie chce mieć już z tobą nic wspólnego. Służby Jej Królewskiej Mości nie mają zamiaru zajmować się śledzeniem międzynarodowych afer. Mówię to prosto z mostu.

–To ze mną, a z panią Booth?

–Zasada dotyczy oczywiście i pani Booth. – Holcroft z pewnym wstydem spojrział

na Alison. – Tym bardziej że, naszym zdaniem, przeżyła okropne chwile. Przeszła przez te próby wspaniale i zaskarbiła sobie naszą wdzięczność. Okropna przeszłość już się nie powtórzy, droga pani. Na publiczne pochwały nie możemy sobie, niestety, pozwolić, ale w pani dossier umieścimy notatkę, że oddała pani wybitne usługi. Po czym zamkniemy tę teczkę. Na zawsze.

–Chciałabym w to wierzyć – rzekła cicho Alison.

–Nic nie stoi na przeszkodzie, pani Booth.

–A co będzie z Dunstone? – zapytał McAuliff. – Co teraz? Kiedy coś postanowicie?

–Już postanowiliśmy – uspokoił go Holcroft. – Nad ranem przekazaliśmy szyfrogram z całą listą.

–Kilka godzin temu – podjął cicho Daniel. – Około południa czasu londyńskiego.

–W ośrodkach finansowych świata trwa akcja – ciągnął Holcroft. – Wszystkie rządy zgodziły się współpracować... Bo też wszyscy mogą na tym tylko skorzystać. McAuliff podniósł wzrok na Daniela.

–Ma pan komentarz do swoich słów o obłudzie wielkiego świata.

Daniel uśmiechnął się w odpowiedzi.

–Być może świat otrzymał drobną nauczkę. Przekonamy się o tym dopiero za kilka lat, czyż nie?

–A Piersall? Kto zabił Piersalla?

Teraz odpowiedział Holcroft.

–Zabili go właściciele gruntów na północnym wybrzeżu, którzy chcieli skorzystać na inwestycjach Dunstone. Istotne jest naukowe dzieło Piersalla, nie tożsamość jego zabójców. Ci w porównaniu z Piersallem to tragiczne pionki.

–A więc to wszystko. – Daniel zaczął się zbierać z krzesła. – Westmore Tallon może sobie dalej sprzedawać ryby, uczniowie Baraka Moore'a podniosą broń przeciwko zwolennikom Charlesa Whitehalla, a wóz postępu potoczy się dalej po wyboistych drogach. Pora chyba na nas, komandorze?

–Tak, jak najbardziej. – Holcroft powstał w ślad za ministrem rady plemienia Akaby.

–Ale co z Jensenami? – zwrócił się Alexander do Daniela, pewien że tylko Halidonita wie, co się stało.

–Pozwoliliśmy im uciec. Opuścili teren Cock Pitu. Wiedzieliśmy, że na wyspę przybył Julian Warfield, ale nie mogliśmy go zlokalizować. Było pewne, że Peter Jensen zaprowadzi nas do niego. Rzeczywiście tak zrobił. Poszliśmy za nim do Oracabessy... Julian Warfield zginął na balkonie prywatnej willi Peale Court.

–Co z nimi teraz będzie? Z Jensenami? – McAuliff przeniósł wzrok na Holcrofta. Komandor i Daniel wymienili szybkie spojrzenie.

–Zawarliśmy pewną umowę. Mężczyzna i kobieta, odpowiadający rysopisom Jensenów, wsiedli rano w Palisados do samolotu lecącego do Rzymu. Wygląda na to, że Jensen wybrał życie emeryta. Zostawimy go w spokoju. Tak się składa, że to właśnie on zastrzelił Juliana Warfielda... Dlaczego? Warfield polecił mu zgładzić kogoś innego, a Jensen nie mógł tego zrobić.

–Musimy iść, komandorze – ponaglił Daniel.

–Tak, oczywiście. W Londynie czeka pewna kobieta, którą ostatnio raczej zaniedbuję. Bardzo spodobał jej się niejaki McAuliff, poznany w Soho. Żona twierdzi, że doskonale umiesz słuchać ludzi.

–Proszę ją pozdrowić ode mnie.

–Nie omieszkam. – Brytyjczyk spojrział na bezchmurne niebo i krąg gorącego słońca. – Emerytura nad Morzem Śródziemnym. Kto wie?

Po tych słowach R.C. Holcroft pozwolił sobie na nikły uśmiech i, jak każą dobre maniery, przystawił swoje krzesło do stołu.

Szli po zielonej murawie przed pawilonem nazywanym willą i wychodzącym na ocean. Biała kurtyna oceanicznej kipieli wyprysnęła ponad koral raf i przez mgnienie nieomal zastygła w powietrzu, wśród błękitu Morza Karaibskiego, które wydawało się nie źródłem, lecz tłem kaskady. Potem kaskada piany runęła w przód, wnikając w każdą z tysięcznych szczelin, które tworzą koralową ławicę, i znów stała się oceanem, na nowo powracając do własnego źródła. Piękno miewa rozmaite formy.

Alison wzięła McAuliffa za rękę.

Byli wolni.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-06

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/